PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SIÓDMY. — TOM CVIII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1910.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1910.

WIECE I KONGRESY W OSTATNICH MIESIĄCACH.

Kwestya stosunku Kościoła do dzisiejszej kultury jest na porządku dziennym i ulubionym tematem tych, którym katolicyzm jest solą w oku. Od XVIII wieku w różny sposób uzasadniano twierdzenie, że największym wrogiem nowszej kultury jest Kościół; obecnie zwalcza się tego wroga w imię największych dóbr kulturalnych: prawdziwej religii, prawdziwej moralności, narodowości, wolnej nauki, wolności sumienia, o czem nas każda gazeta, czasopismo, każde zgromadzenie przeciwnych obozów do przesytu poucza. Uważając kwestyę katolicyzmu za przesądzoną, oglądano się zawczasu za surogatem tej upadłej wielkości i jako tę zbawczą siłę chwalono w pierwszej połowie zeszłego wieku naukę, która miała zastąpić wiarę i moralność. Po bankructwie tego pomysłu uważano przez jakiś czas, wobec wzrastającej potęgi i kultury państw protestanckich, jako jedynie możliwą i prawdziwą formę religii protestantyzm, gwarantujący większą swobodę religijną, a gdy ten zawiódł, umizgano się nawet do prastarego indyjskiego buddyzmu. Dziś doszli już do przekonania, że żadna z istniejących religii nie odpowiada obecnej kulturze, dlatego gonią za religią przyszłości. Jak ta religia ma wyglądać, apostołom jej jeszcze nie jest zupełnie jasne, ale niejakie światło rzuca na nią tegoroczny kongres światowy dla wolnomyślnego chrześcijaństwa i religijnego postępu, który odbył swe posiedzenia od 5 sierpnia w Berlinie. Przed dziesięciu laty powstała w Bostonie myśl zjednoczenia wszystkich wolnomyślnych dążności religijnych,

z którejto myśli wyłoniły się kongresy światowe wolnomyślnego chrześcijaństwa. Pierwszy z nich odbył się 1901 r. w Londynie, następne 1903 r. w Amsterdamie, 1905 r. w Genewie, 1908 r. w Bostonie. Co pod chrześcijaństwem na tych kongresach się rozumie, już z tego można poznać, że jednoczy ono odpadłych katolików, protestantów różnych odcieni, żydów, wyznawców buddyzmu, parsyzmu, islamu, słowem wszystkich, którym religia jest raczej etyką niezależną od jakiejkolwiek formy wyznania religijnego, jak oświadczył prezydent tegorocznego kongresu. Bliżej określił to ciekawe chrześcijaństwo francuski pastor Elie Gounelle z Paryża, żądając uwolnienia chrześcijaństwa od formalizmu, klerykalizmu i dogmatyzmu — szkoda, że nie dodał: i od chrystyanizmu, — tak, że prof. Bacon z New Haven mógł powiedzieć, że dziś już mowy niema o obozie protestanckim i katolickim, lecz tylko o liberalnym i reakcyjnym. Przedstawia się więc to wolnomyślne chrześcijaństwo jako najskrajniejszy indywidualizm religijny czyli jest chrześcijańską nazwą dla nowożytnego pogaństwa, jakie się coraz więcej szerzy po wielkich miastach. Za drogę do tej nowej formy chrześcijaństwa uważa holenderski pastor Backe, a z nim inni, socyalizm demokratyczny, który światu dopiero wskazał wartość i cel życia doczesnego. Znaczące to słowa, zawierające tę chyba dziś już jasną prawdę, że ostateczna walka rozgrywać się będzie między katolicyzmem a socyalizmem, między religią wieczności a doczesności. To *Credo* wolnomyślnych, na innych punktach bardzo różne, przejawia się także we wszystkich mowach i wnioskach tegorocznego wiecu berlińskiego. Kluczem zaś do rozwiązania wszystkich zagadek i skrupułów religijnych, punktem wyjścia wolnomyślnych i ich zasadniczym dogmatem, pomimo wszelkiej wolności od dogmatyzmu, jest relatywność wiedzy, negacya prawdy absolutnej i tem samem źródło najskrajniejszego indywidualizmu, który z jednym z mowców kongresu twierdzi, że absolutnem jest tylko własne przekonanie. Na tem więc polega przekształcenie idei chrześcijańskiej, wolnej od wszelkiego dogmatyzmu, formalizmu i klerykalizmu, którego możliwość starał się w zbytecznej mowie udowodnić znany protestancki profesor Troeltsch z Heidelberga.

Wobec tych zasadniczych idei i przekonań religijnych powtarzały się na kongresie ustawicznie nawoływania, które od szeregu lat są stałem hasłem wolnomyślnej agitacyi, popartej protekcyą loży masońskiej. Wzywano i na tegorocznym kongresie w imię wolności wyznania religijnego do separacyi Kościoła od państwa, do rozerwania ich nienaturalnego związku. Ważną rolę odegrał wniosek separacyi szkoły od Kościoła, gdyż widzą w tem anachronizm i pogwałcenie praw i godności nauczyciela, że Kościół ma staranie o szkołę; najmocniej zaś powtarzało się wzywanie do wystąpienia z Kościoła czyto katolickiego czy protestanckiego, jako najlogiczniejszy postulat zasadniczych idei kongresu.

Te i inne hasła przedstawiają po wielkiej części żądania coraz częściej występujące w programach różnych rządów, są to paragrafy szerokiej antykatolickiej agitacyi, są to także myśli ukryte w niezliczonych duszach, w których rozterka między życiem i religią wytworzyła pragnienie jakiejś nowej, choć dotychczas nieokreślonej formy religii — religii przyszłości. Stąd kongres berliński jest znowu znakomitą ilustracyą do tego żywego interesu, którym się dziś cieszy kwestya religijna, ale zarazem dowodem potężnej opozycyi do Kościoła i smutnem świadectwem wzrastającego niezadowolenia religijnego, które dzisiejsze stosunki i zawikłania życia ze sobą przynoszą. Zdaje się też z tego kongresu wynikać, że wszystko co niekatolickie coraz więcej skupia się około jednego programu religijnego i przygotowuje ostatnią walkę między Chrystusem i Belialem. Niezawodnie kongres berliński i następne kongresy wolnomyślne niemało się przyczynią do rozjaśnienia naszej sytuacyi religijnej.

Wobec tego powitać należy z radością budzący się i szerzący się coraz więcej ruch katolicki, szczególnie owe wielkie i imponujące zjazdy i wiece światowe i krajowe, które nie tylko dążą do pogłębienia myśli katolickiej i utwierdzenia w miłości do wiary i Kościoła, ale zarazem do dobrze obmyślanych i szerokich programów akcyi katolickiej, czyto tyczącej się życia wewnętrznego religijnego, czy też akcyi zewnętrznej, zwłaszcza społecznej.

Przy końcu sierpnia odbył się doroczny wiec katolików niemieckich w Augsburgu, *confessio augustana catholicorum,* jak trafnie nazwał świetne to zebranie prezydent wiecu, nadradca sądu krajowego Marx, z Düsseldorfu. Na historycznym gruncie zaciętych walk religijnych, w mieście sławnej konfesyi protestantów i pokoju religijnego, tegoroczny wiec katolików nabrał szczególniejszego znaczenia. Imponująca ta manifestacya zgody w tej samej wierze i miłości dla Kościoła, na tle tak ważnych, choć bolesnych wspomnień historycznych, mimowoli wydała się każdemu jako uroczysty protest przeciw każdej negacyi Kościoła i rewolucyi religijnej czyto czasów przeszłych czy teraźniejszych, ale zarazem jako dowód tajemniczej żywotności Kościoła, który wśród nowych zupełnie zadań kulturalnych, zadziwiającego postępu na wszystkich polach życia ludzkiego, zwłaszcza wiedzy, i wśród zmienionych zupełnie, najczęściej wrogich stosunków politycznych i społecznych pozostał światłem i solą świata także dla ludów najkulturalniejszych. Prasa antykatolicka wprawdzie nie szczędziła frazesów, aby temu sławnemu zebraniu katolików niemieckich czyto podsunąć obce mu motywa czy też wskazać na jego reakcyjne stanowisko, ale czasy przeszły, kiedyto milczeniem pomijano wiece katolickie, owszem nikt się już nie tai z przekonaniem o ich doniosłości i znaczeniu, jak to sam protestancki nadburmistrz Augsburga w swojej powitalnej mowie wyraził. Niepodobna też oprzeć się potężnemu wrażeniu, które sprawiają te masy zgodnych katolików wszystkich klas społecznych, uświadomionych i przejętych prawdą i wielkiem posłannictwem swego wspólnego i jednolitego poglądu na świat. Pochód robotników, rzemieślników, młodzieży, liczący 35.000 uczestników i wspaniała, nader liczna pielgrzymka mężów katolickich wszelkiego stanu do grobu św. Ulryka były tego wymownym wyrazem.

Ale nie manifestacye są celem wiecu lecz praca, i to praca iście niemiecka na polu kulturalnem, charytatywnem i społecznem, praca przyczyniająca się do zabezpieczenia drogiego skarbu wiary i moralności wszystkim klasom społecznym, do zagwarantowania praw i wzrostu Kościoła. Praca ta poważna i ciężka od-

bywa się nie na posiedzeniach publicznych, lecz zamkniętych, na sesyach pojedynczych sekcyi, różnych towarzystw i stowarzyszeń. Niema kwestyi tyczącej się dziś tak skomplikowanego życia kulturalnego i religijnego, którejby nie uwzględniono, rozważono i, gdzie potrzeba, nie zaradzono odpowiednimi wnioskami i środkami. Jeżeli się uwzględni, że cała ta olbrzymia i intensywna praca jest pracą przeważnie osób świeckich, to Kościół idealniejszego współpracownictwa sobie życzyć nie może i biskup augsburski nie wahał się także publicznie oświadczyć, że dla episkopatu niemieckiego obrady i ustanowienia wieców katolickich są drogocenną wskazówką dla ich pasterskiej działalności.

Trudno wchodzić w szczegóły, można zaś bez przesady powiedzieć, że wnioski wiecu przedstawiają przedewszystkiem gruntowny i nieomal całkowity program akcyi katolickiej, program z szerokiem uwzględnieniem kwestyi społecznej, zdradzający wszędzie znaną systematyczność i praktyczność niemiecką. Dla wykonania zaś programu albo istnieją już różne i liczne stowarzyszenia katolickie albo powstają za inicyatywą wiecu nowe organizacye, które ustanowieniom wiecu z góry służą za gwarancyę, że czczem słowem i życzeniem nie zostaną.

Szczególną uwagę zwrócił tegoroczny wiec katolicki na kwestyę misyi katolickiej tak wewnętrznej jak zewnętrznej. W świetnej mowie nazwał profesor Beck z Fryburga kwestyę duszpasterstwa po wielkich miastach najważniejszą kwestyą obecnej chwili. Podczas gdy wiec wolnomyślnych w Berlinie wyraził przekonanie, i nie bez podstawy, że forma chrześcijaństwa, jaka się wytwarza w wielkich miastach, będzie ową reformą religijną, ową religią przyszłości, za którą wolnomyślni wzdychają, ideałem indywidualnej religii, wiec katolicki widział w szerzącem się pogaństwie wielkich miast najgroźniejsze niebezpieczeństwo, zagrażające duchowi katolickiemu. Nie taił się też wiec z tem przekonaniem, że szybki rozwój wielkich miast zastał Kościół nieprzygotowany i że dotychczas Kościół w ich duszpasterstwie nie dorósł swemu zadaniu. Zapomocą historyi wskazał prof. Beck na fakt, że jak z początku z miast szerzyło się chrześcijaństwo po prowincyach, tak teraz odwrotnie, pogaństwo nowożytne zdobyło miasta i szerzy

swą propagandę po prowincyi. Nie zawierała wprawdzie mowa prof. Becka dla znawcy tej kwestyi nic nowego, opierał się bowiem głównie na znakomitem dziele wiedeńskiego prof. Swobody o duszpasterstwie w wielkich miastach, ale śmiało wskazał na braki i potrzeby tej tak ważnej misyi, podnosząc szczególnie konieczność podziału wielkich parafii po miastach na mniejsze i energicznego współpracownictwa stowarzyszeń katolickich, zwłaszcza Kongregacyi Maryańskich.

Piąty kongres światowy maryański i czwarty ogólny zjazd Sodalicyi Maryańskich z Niemiec, Austryi i Szwajcaryi, które przy końcu miesiąca lipca odbyły się pod protektoratem kardynała i arcybiskupa d-ra Jana Katschthalera w Salcburgu, służyły więcej celom wewnętrzno-religijnym i wydoskonaleniu i rozszerzeniu organizacyi sodalicyjnej. Akcent, z którym podniósł prof. Beck znaczenie sodalicyi dla duszpasterstwa i katolizacyi wielkich miast może nastręczy przyszłym zjazdom jednolity program dla wspólnej akcyi wszystkich sodalicyi w ich apostolskiej pracy. Do nieśmiertelnych zasług, które położyła sodalicya około pozyskania dla Kościoła całych okolic i krajów zajętych przez reformacyę XVI wieku, dołączy może w przyszłości i tę, że przyjmie na siebie piękną choć ciężką misyę katolizacyi miast wielkich, jak to już uczyniły kongregacye wiedeńskie. Silna ich organizacya i kontakt z wszystkiemi warstwami społeczeństwa uzdalniają sodalicyę przed wszystkiemi innemi stowarzyszeniami katolickiemi do tego ciężkiego dzieła, wspólna praca miejskich i wiejskich kongregacyi mogłaby zapobiedz utracie niezliczonych dusz dla Kościoła i tak poważny głos tegorocznego wiecu katolickiego w Augsburgu przyczyniłby się do zdrowej modernizacyi sodalicyi, która może na tem tylko polu jest możliwa albo przynajmniej najwięcej wskazana. Słusznie bowiem zauważył prof. Beck, że jeżeli kwestyi duszpasterstwa po wielkich miastach nie rozwiążemy w najbliższej przyszłości, wtedy los Francyi i nas spotka, która z wielką ofiarnością dbała o misye zagraniczne, ale o misyi najważniejszej we własnym kraju zapomniała. Gdyby tegoroczny wiec katolików niemieckich nie był nic innego dokazał nad to, że tak energicznie zwrócił uwagę katolików na potrzeby

wewnętrznej i zewnętrznej misyi, byłby zaiste tem samem udowodnił, że ożywiony był prawdziwym duchem katolickim, ogarniającym cały świat, ale w sposób rozumny i praktyczny. Niema prawdziwego katolika, któregoby nie obchodziły żywo prace zagraniczne i zamorskie Kościoła, ale błędnem byłoby zostawić świat kulturalny na pastwę nowożytnego pogaństwa, aby pozyskać niekulturalne pogaństwo dla chrześcijaństwa.

Zauważono także, że tegoroczny wiec katolików niemieckich więcej, niż poprzednie, zdradzał charakter bojowniczy. Tłumaczy się to łatwo wypadkami ostatnich zwłaszcza czasów, szczególnie bezwstydnemi napaściami protestantów z powodu encykliki o św. Karolu Boromeuszu, które jasno pokazały katolikom, że większości protestantów o zgodę nie chodzi; tłumaczy się także faktem podnoszonym przez prezydenta wiecu, że nigdy jeszcze niewiara tak śmiało sobie nie poczynała, jak za naszych dni; tłumaczy się zaś także żywem przekonaniem o wyższości poglądu chrześcijańskiego na świat, który w trafnych słowach skreślił były austryacki minister rolnictwa Eks. Dr. Ebenhoch. Były to ciepłe słowa katolika z przekonania, ale także męża stanu, któremu dobro państwa, rodziny i każdego z osobna nie są czczym frazesem, który też wie, że pogląd na świat doby dzisiejszej stanowi o losach przyszłości. Z prawdziwym entuzyazmem przyjęto słowa Ebenhocha, w których wskazał na potrzebę popierania młodzieży akademickiej. Podniósł zasługi stowarzyszenia Alberta Wielkiego, któremu się zawdzięcza, że liczba akademickiej młodzieży katolickiej podniosła się o 3% i zasługę kardynała Katschthalera z Salcburga, który tej idei poświęcił życie swoje. Nie taił się z wrażeniem, które na nim zrobili reprezentanci 70 korporacyi niemieckich akademików obecnych na mszy pontyfikalnej w katedrze augsburskiej w barwnych odznakach swych różnych stowarzyszeń i z chorągwiami swemi, którzy po skończonem nabożeństwie nie wstydzili się w uroczystym pochodzie po Augsburgu zamanifestować także publicznie swych katolickich przekonań. Nikt chyba słuszności nie odmówi słowom Ebenhocha, jeżeli rozumną opiekę nad młodzieżą akademicką uważa za jedno z najważniejszych zadań naszej doby i znamienna to rzecz, że reprezentant katolików austryackich

i tak wybitny znawca stosunków katolickich w Austryi, do tej gorącej odezwy czuł się spowodowany, widocznie pragnął, aby głos jego przeszedł przez Alpy i rozległ się po całej monarchii habsburskiej, by w przyszłości porównanie inteligencyi katolickiej niemieckiej z inteligencyą austryacką tak źle nie wypadło.

O wiecu katolickim w Augsburgu może być tylko jedno zdanie, że godnie stanął w szeregu 56 poprzednich wieców i że niejedną cenną cegiełkę dorzucił do dzieła wielkich katolików, którzy w tych corocznych zebraniach stworzyli nieocenioną podporę wiary i Kościoła katolickiego w Niemczech.

Odrębne położenie katolicyzmu w Austryi odbiło się także na ważniejszym dla nas VII wiecu katolików austryackich, który zagajony został 9 września w Innsbrucku. Austrya, wydana za Józefa II w ręce loży i płytkiego racyonalizmu, długo pokutowała i pokutuje po części i dziś jeszcze za grzechy ojców. Od niedawnych dopiero czasów rozpoczyna się budzić nowe życie religijne w obozie katolickim, ma zaś do walczenia z niezwykłemi trudnościami, które mu stawia nacyonalizm i silna agitacya żydowsko-antykatolicka. Pomimo tego, że Austrya liczy 90% katolików, brak silnej organizacyi a zwłaszcza wpływowej prasy paraliżowały usiłowania dobrze myślących. Działalność Luegera w Wiedniu oraz całej partyi chrześcijańsko-socyalnej i założenie Piusvereinu w roku 1905 przyczyniły się niemało do silniejszej akcyi katolickiej. Lecz z każdej nieomal mowy, wypowiedzianej na wiecu innsbruckim, wyczytać było można, że katolicyzm w Austryi jeszcze bardzo zagrożony i że w porównaniu do rozbudzonego ruchu katolickiego w Niemczech, jeszcze dużo do życzenia pozostawia. To też zaraz na pierwszem zebraniu prezydent wiecu hr. Hubert Galen uważał za potrójne zadanie wiecu tegorocznego wydoskonalenie organizacyi, kwestyę prasy katolickiej i popieranie związku św. Bonifacego. Potężne i z wielkim entuzyazmem przyjęte hasło dorzucił na tem pierwszem zebraniu arcyb. Teodorowicz, kończąc mowę swoją gorącą odezwą: Katolicy wszystkich krajów łączcie się! Hasło z pewnością na czasie wobec już nie haseł podobnych, ale wprost związków międzynarodowych

wrogich obozów i ich międzynarodowej akcyi antykatolickiej, hasło wzywające do organizacyi światowej, odpowiadającej jak najlepiej światowej organizacyi samego Kościoła.

Bez wątpienia pierwsze miejsce zajęła na wiecu innsbruckim kwestya prasy katolickiej, i słusznie, bo braku wielkiej i potężnej prasy niczem zastąpić nie można, jak zauważył w świetnej mowie swojej apostoł prasy katolickiej w Austryi, ks. Wiktor Kolb T. J. Jeżeli prawdą jest, co zaznaczył w referacie swoim o stanie prasy katolickiej, zwłaszcza wiedeńskiej, wydawca *Reichspost'u* dr. Fryderyk Funder, że zbliżyła się dla myśli religijnej w krajach katolickich Europy chwila rozstrzygająca, — a wobec rozszalałej walki trudno o tem wątpić, — to przyznać z nim trzeba, iż najwyższy czas, aby słabej jeszcze pozycyi prasy katolickiej w Austryi przyjść z pomocą i jej niedomaganiom za wszelką cenę koniec położyć. Doświadczony żurnalista jest tego zdania, że raz założona gazeta katolicka, odpowiadająca wszelkim potrzebom i wymogom naszej doby, miałaby zdolnych i fachowych współpracowników poddostatkiem, którzy teraz jeszcze wahają się publikować swe prace w prasie katolickiej, tak że zapomocą choćby najpotrzebniejszych tylko środków konkurencya z *Neue Freie Presse* byłaby zapewniona. Brak funduszów zastąpi u nas zapał i pewność posiadanej prawdy. Są to śmiałe słowa w ustach jednego z pierwszych przedstawicieli prasy katolickiej w Austryi, ale bodaj czy nie prawdziwe! Przecież śmiałe wystąpienie Luegera udowodniło aż nadto jasno, że nie brak chęci i siły dla dobrej sprawy, ale śmiałości i energii. Dowiadujemy się z referatu Fundera także, że *Piusverein*, założony za inicyatywą V wiecu katolickiego w Wiedniu 1905 dla popierania prasy katolickiej w Austryi, do 31 sierpnia 1910 już liczył 125.000 członków i 807 grup lokalnych, ale słyszymy zarazem, że zasiłki jego wcale nie są wystarczające, niewystarczające szczególnie dla stworzenia tak bardzo potrzebnego niezależnego biura telegraficznego, na które musieliby się złożyć katolicy całego świata. W naszym szybko żyjącym czasie ten wygrał, kto pierwsze odbiera wiadomości i na usługi ma szeroko rozgałęzioną sieć informacyjną. Mowa ks. Wiktora Kolba T. J., zwracająca przeważnie uwagę na wielkie

niebezpieczeństwo, które grozi katolicyzmowi w Austryi od agitacyi wolnomyślnej, z którą ręka w rękę idą wielkie gazety żydowsko-liberalne, uzasadniła niejako słowa Fundera i słuszność słów Piusa X, który uważa za zaszczyt i obowiązek każdego katolika austryackiego należeć do Piusvereinu. Entuzyazm, z którym obie mowy i wnioski Fundera zostały przyjęte, może służyć za rękojmię, że gorąca odezwa wiecu innsbruckiego do popierania prasy katolickiej nie przebrzmi bez skutku, zwłaszcza, że zadaniem Piusvereinu jest także rozszerzanie prasy katolickiej po rodzinach i lokalach publicznych.

Jeżeli w referatach o stanie prasy katolickiej ustawicznie powtarzało się wyznanie, że wiele więcej nam pod tym względem czynić wypada, to posiedzenia i narady, tyczące się organizacyi katolickiej jeszcze więcej wyjawiły braków w organizacyi różnych stanów i różnego wieku. Obok kwestyi organizacyi rolników, przemysłowców i rzemieślników gruntownie się zastanawiano nad kwestyą wychodźtwa i organizacyi młodocianych. Jeżeli *adstrictio glebae* dawnych wieków miało swoje niedogodności pod względem kulturalnym, to fluktuacya ustawiczna dzisiejszej populacyi tem większe ma niedogodności pod względem religijnym. Wraca ta kwestya ustawicznie na zebraniach katolickich i konferencyach pastoralnych, jak paraliżować olbrzymie szkody, które wyrządza katolicyzmowi roczna ruchawka niezliczonych tysięcy ludzi, przenoszących się często masami w okolice o bardzo niekorzystnych warunkach religijnych. Ponieważ żaden kraj od tej plagi wolnym nie jest, jedynem rozwiązaniem kwestyi może być tylko międzynarodowa akcya, opiekująca się wychodźcami. Dąży do tego związek św. Rafała, dąży i Misya kolejowa, ale zwłaszcza rzeczą duszpasterzy jest pozostawać w ustawicznym kontakcie z organizacyą i uświadamiać o niej parafian, inaczej największe wysiłki skutku nie osiągną. Ponieważ zaś w tej całej kwestyi wyzysk wielką odgrywa rolę, słusznie wiec innsbrucki domaga się jak najprędzej ochronnego prawa dla wychodźców i ich interesów ekonomicznych i religijnych.

Wielką sympatyą i żywym interesem cieszyła się kwestya organizacyi dla młodocianych. Z referatów wynika, że już dużo

na tem tak ważnem polu dokonano, ale brak jeszcze centralizacyi całego ruchu opieki dla młodzieży w czasie od szkoły do koszar.

Jeżeli zaś wiec tak gorąco się zajął organizacyą dla młodocianych, nie mógł, uwzględniając stosunki austryackie, ominąć jednej kwestyi tyczącej się także młodzieży t. j. szkoły. Z boleścią zapytał w referacie swoim tyrolski nauczyciel Nikolussi, czy w katolickiej Austryi istnieje potrzeba, aby wiecowi katolickiemu przedłożyć kwestyę: jak przyjść w pomoc i popierać w szkołach zagrożonego ducha katolickiego? Opisując zgubną i energiczną akcyę wolnej szkoły, dochodzi do twierdzenia, że niebezpieczeństwo jest większe, aniżeli się zwyczajnie sądzi. Główny dlatego nacisk kładł na katolickie wychowanie samychże nauczycieli, dowodząc ze słusznością, że jakiekolwiek będą prawa szkolne i prądy przeciwne, zawsze charakter szkoły od nauczyciela zależeć będzie. Także referent dla szkół wyższych, docent dr. Uhde, uważał za najpotrzebniejszy środek do zaszczepienia i dźwigania ducha katolickiego, wobec dążności do wykluczenia katolików z wyższego szkolnictwa zwłaszcza uniwersytetów, kształcenie utalentowanych katolików na gruntownych uczonych i profesorów szkół wyższych i popieranie katolickich akademików, ponieważ oni w pierwszym rzędzie powołani są do odrodzenia katolickiego poglądu na świat w szkołach wyższych. Dlatego poleca, aby jak najwięcej budowano domów katolickich dla akademików, by ich uchronić od niebezpieczeństw moralnych i budzić w nich ducha korporacyjnego, aby pomnożono kongregacye maryańskie dla akademików i domagano się także usunięcia ustawy, zabraniającej kongregacyi po gimnazyach, szkołach realnych i innych szkołach średnich i wyższych. We wnioskach, tyczących się kwestyi szkolnej, nie zapomniano o tem, aby w gorącej odezwie wezwać do licznego udziału w katolickiem stowarzyszeniu szkolnem dla Austryi, istniejącem już od 25 lat, które dotąd zasłużyło się sprawie katolickiej zwłaszcza założeniem katolickich seminaryów nauczycielskich. Od szkoły zależy przyszłość, o tej prawdzie nikt chyba nie wątpi, i dlatego będzie to jedną z największych zasług tegorocznego wiecu katolickiego w Innsbrucku, jeżeli za jego inicyatywą

i staraniem bezbożne dzieło wolnej szkoły w Austryi zostanie sparaliżowane.

Zdaniem wszystkich uczestników wiecu, największe wrażenie wywarła mowa ks. Augustyna hr. Galena, Benedyktyna z Emaus około Pragi, o apologetycznych zadaniach katolików, znak że tym tematem natrafił na bolączkę, która dotkliwie dokucza katolicyzmowi w Austryi.

Zwróciliśmy już na innem miejscu tego czasopisma uwagę na nadzwyczajne posłannictwo apologii czynu, pióra i słowa w naszych czasach; mowa Galena jest naszych wywodów świetnem potwierdzeniem. Skonstatowawszy, że, według zeznań internacyonału wolnomyślnego, w Austryi walka rozstrzygająca rozgrywać się będzie między postępowcami i papiestwem rzymskiem, opisuje intensywną walkę, którą od 12 i więcej lat w Austryi wolnomyślni czyli loża i socyalna demokracya przeciw katolicyzmowi prowadzą, rozniecając nienawiść narodową i szerząc zepsucie. Zarazem czuł się zmuszonym z oburzeniem zaznaczyć, że sam rząd w monarchii liczącej 90% katolików, przez usta ministra uważał obronę katolików przeciw bezwstydnym napaściom opozycyi za zakłócenie spokoju religijnego. Tem więcej potrzeba obrony własnej dóbr najwyższych; jako środki zaś do niej podnosi ks. Galen prasę, zebrania, organizacyę. Szczególniejszą uwagę zwrócił na działalność związku św. Bonifacego, który piórem i czynem oparł się energicznie zgubnym wpływom akcyi żydowsko-masońskiej i ruchu *Los von Rom,* szerząc pisma apologetyczne i budując na zagrożonych pozycyach kościoły.

Tymi i innymi wnioskami i rezolucyami pokazał wiec innsbrucki, że katolicy Austryi są świadomi stanowczej chwili, która się zbliżyła dla katolicyzmu w Austryi zarazem także braków w swej akcyi i organizacyi; przejawia się zaś w nich niemniej nadzieja lepszej przyszłości i ostatecznego zwycięstwa chrześcijańskiego światopoglądu. Narzucona przez przewrotowe żywioły walka, która w równej mierze tyczy się Kościoła i monarchii, nie może nie zwrócić także uwagi i sympatyi rządu ku usiłowaniom katolików, aby *unitis viribus* stanąć w obronie ołtarza i tronu.

Dla uzupełnienia obrazu o tegorocznych wiecach i kongresach katolickich dodać należy, że na początku sierpnia i Anglia dożyła pierwszego wiecu katolików angielskich w Leeds, w którym brali udział także lordmajorowie Londynu i Leeds. Zaraz na pierwszem posiedzeniu wskazał prymas angielski arcybiskup Bourne na tryumfy Kościoła katolickiego w Anglii, którego nowa hierarchia dopiero 60 lat istnieje i na wybitną działalność wielkich jego prymasów Wisemana, Manninga i Vaughana. Wspaniały wzrost Kościoła w Anglii przedstawiają cyfry następujące: w roku 1850 liczył Kościół Anglii i Wales 587 kościołów, 99 szkół, 11.000 katolickich dzieci szkolnych i 788 księży, dziś liczy 1760 kościołów, 1064 szkół, 336.000 dzieci szkolnych i 3687 księży, tak, że katolicy angielscy i w życiu publicznem już pominięci być nie mogą. Główną kwestyą wiecu angielskiego była także misya wewnętrzna i zewnętrzna. Kościół angielski, wzmocniony na wewnątrz, myśli teraz o energiczniejszej akcyi katolickiej w posiadłościach zamorskich angielskich, aby przeciwdziałać propagandzie Kościoła anglikańskiego. Dobrze też byłoby, gdyby Anglia katolicka choć w części zastąpiła ofiarnością swoją dla misyi zamorskich Francyę, której uwaga teraz cała na wewnątrz zwrócona.

W angielskiej też posiadłości, bo w Montrealu w Kanadzie odbył się równocześnie z wiecem insbruckim w nadzwyczaj uroczysty sposób tegoroczny kongres eucharystyczny, zaszczycony obecnością legata papieskiego, kardynała Vannutellego. Procesya, w której udział brało oprócz kardynała-legata wielu arcybiskupów, 150 biskupów, kilka tysięcy księży świeckich i zakonnych, 25.000 reprezentantów różnych kościelnych stowarzyszeń Kanady i Stanów Zjednoczonych i sam prezydent ministrów Laurier, świadczy o nadzwyczajnem znaczeniu tych od niedawna istniejących kongresów, które przy eucharystycznym Chrystusie skupiły się około samego jądra życia Kościoła katolickiego. Wzruszająca była scena, kiedy kardynał Vannutelli 30.000 dzieci w katedralnym kościele udzielał błogosławieństwa Ojca świętego. Na największem zebraniu, które kiedykolwiek Kanada widziała, w kościele Notredame przemawiał obok kardynała-legata i arcybiskupa

Nowego Yorku także prezydent ministrów Laurier. Dla kongresów eucharystycznych lat następnych wyznaczono na rok 1911 Sewillę, na rok 1912 Wiedeń, i na 1913 Lyon. Kongresy eucharystyczne są wymownym dowodem tej prawdy, że Chrystus żyje, i imponującym protestem przeciw wszelkim próbom dążącym do negacyi Chrystusa, które w ostatnich czasach coraz częściej się powtarzają. W tem ich wielkie znaczenie dla naszej doby, w tem w części także przyczyna, dlaczego w krótkim czasie urosły w tak potężną manifestacyę.

Jeżeli zadaniem Kościoła katolickiego jest praca i walka w służbie najwyższych ideałów ludzkości, to tegoroczne wiece i kongresy katolickie, do których dodaćby należało i wiec apologetyczny międzynarodowy w Vich w Hiszpanii, wyraźnie nosiły na sobie piętno katolicyzmu. Dlatego, choć poważne jest dzisiejsze położenie Kościoła i na różnych punktach bardzo zagrożone, wobec tych imponujących usiłowań do zorganizowania mas i koncentracyi sił w obronie dóbr najwyższych, przyczyny do małoduszności nie mamy. Przyszłość tylko Bogu wiadoma, ale i nad przyszłością istnieje słowo Chrystusa, na które z taką siłą znowu wskazał kongres eucharystyczny: »W świecie będziecie udręczeni, ale ufajcie, jam zwyciężył świat«! (70. 16, 33).

Ks. A. Starker.

PIĘĆSETLECIE KRAKOWSKIEJ KONGREGACYI KUPIECKIEJ[1].

Rzadką uroczystość święci w tym roku, założona za panowania Władysława Jagiełły w r. 1410 przez kupca i rajcę krakowskiego, Jerzego Morsteina, Krakowska Kongregacya Kupiecka. Pięciowiekowego jubileuszu swojego dwie ponoś tylko z prastarych naszych polskich korporacyi świeckich się doczekały: dziesięć lat temu obchodziła go nasza Uczelnia Jagiellońska, obecnie Kongregacya kupiecka miasta Krakowa. »Jesteśmy równoletni — mówił na obchodzie Kongregacyi Ekscelencya hr. Tarnowski, nawiązując do tego wiekowego koleżeństwa obu instytucyi — i jesteśmy jedyni ze wszystkich świeckich instytucyi polskich, co przetrwali wszystkie zmiany i burze czasu, i żyją, i są. Dynastye trwają; ale prócz nich, co zostało przy życiu, co w swoim dawnym kształcie? Nic; tylko ta w Krakowie Szkoła i ta Kongregacya kupiecka«.

Był też to obchód pełen uroczystej powagi, a majestatu godnego takiego jubileuszu. Zrozumiały zarówno wszystkie polskie instytucye kupieckie jego doniosłość, śpiesząc ze swemi delegacyami i życzeniami, oraz bratnie nam z Czech i Moraw, jak mieszczaństwo i obywatelstwo i wybitne sfery polskiego społeczeństwa.

Piękną bo też kartą wiekowego istnienia i dziejowej działalności może poszczycić się ta Kongregacya, jako orędowniczka

[1] Por. Stanisław Kutrzeba i Jan Ptaśnik: »Dzieje handlu i kupiectwa krakowskiego«. Kraków 1910. — Roczniki czasopisma *Kupiec Polski*. W Krakowie. — Statut i Sprawozdania roczne z czynności Rady Kongregacyi kupieckiej.

spraw polskiego kupiectwa, w szczególności chrześcijańskiego, instytucya rdzennie katolicka.

Kongregacyę kupiecką tworzy duch średniowiecznych stosunków ekonomicznych. Powstaje ona w czasie, kiedy hanzeatycki w liczbie innych miast tego potężnego związku Kraków, jest jedynym w Polsce, a stąd niezmiernie bogato uprzywilejowanym rynkiem handlowym, miastem, odpowiednio temu znaczeniu, bardzo zamożnem i potężnem, a źródło tego stanowi znakomicie naonczas postawiony stan średni, reprezentowany w kupiectwie. Znane to w dziejach naszych rody kupieckie stoją na jego czele: Morsztynowie, Wierzynkowie, Bonerowie, Salomonowie. Byli to wszystko przybysze z Zachodu i Południa. Na wzór więc związków kupieckich wczesnego średniowiecza hanz i gild rozwinąwszy się w Krakowie, tworzą w celu obrony i popierania zawodowych interesów podobny związek kupiecki; zaznaczyć musimy, że na ziemiach polskich stanowi on pierwszą i jedyną właśnie organizacyę handlową. Widocznie było jej wówczas potrzeba, widocznie stała na straży swego zakresu działania, kiedy ci wielcy potentaci kupieccy, co w mieszczańskim Krakowie rej wodzili, powołują Kongregacyę do życia.

Jakie było wówczas pole jej działania, z powodu braku danych archiwalnych, odtworzyć sobie dziś niepodobna. Pozostałe lakoniczne zapiski, jako wpisy nowych członków, ciągną się rzemiennym dyszlem po r. 1459, który kresem jest ostatnim z wiadomości dochowanych nam o Kongregacyi z pierwszej epoki jej życia. Jakiemś echem historycznem odbiły się jeszcze przywileje z r. 1521 i 1524 Zygmunta I i z r. 1594 Zygmunta III dla kupców wydane. Po XVII wiek jednak nie znajdujemy nigdzie wyraźnego śladu nie tylko jej życia, ale nawet istnienia. Czy istniała, a jeśli istniała jak długo? tego odgadnąć nie można. Być może, iż zrazu zamarła w jakimś okresie tego czasu, zwłaszcza, gdy właśnie ci wielcy kupcy-mieszczanie, wchodząc do grona rady miejskiej i liczebnie z czasem w niej przemagając, nie potrzebowali tej osobnej organizacyi dla obrony swych interesów, bo siłą rzeczy, w tym składzie magistratu, dostateczną znajdowali rękojmię należytego rozwoju handlu.

Odzywa się też znowu dopiero wtenczas i wtenczas mamy

o niej dokładniejsze już pojęcie, kiedy epoka przewagi mieszczańskiej zachwiała się w swej sile i upadła pod przewagą uprzywilejowanego żywiołu szlacheckiego. Jest to zarówno chwila upadku handlu, kupiectwa i miasta samego, które przestało być stolicą, a w przywilejach handlowych coraz nowe rywalki mu popowstawały. W celu już może nie odrodzenia dawnej świetności stanu, ale dźwignięcia się z ruiny i utrzymania odżywa ta stara Kongregacya kupiecka. Jasno zrozumiano, że tylko wspólnemi siłami zdobyć sobie można warunki bytu.

Ale tymczasem stosunki w kraju inaczej się ułożyły. Z biegiem setek lat organizacye kupieckie powstały i w innych większych miastach polskich, zwłaszcza w Warszawie i Poznaniu i one pozyskały swe własne przywileje z uszczerbkiem przywilejów Krakowa. Czy przykład tych miast był może bodźcem w odrodzeniu tej prastarej organizacyi? Tak, i faktem jest, że kupiectwo krakowskie łączy się teraz na nowo, przedkłada radzie miasta Krakowa nowy swój statut, który też 17 stycznia 1722 roku rada przyjmuje, a August II, 23 października t. r., artykuły te zdefiniowane w 20 punktach uroczystym patentem królewskim zatwierdza.

Z dokumentu tego dowiadujemy się dokładnie, jakieto przyczyny wpływają na zrzeszenie się ponowne kupców krakowskich. Rozwielmożnili się bowiem w mieście »przeszkodnicy cuiusvis status ac conditionis, którzy nie tylko pokątnie, ale z całą swobodą prowadzą w tem mieście handle, gdy im prawo to nie przysłuża, skutkiem czego przysięgli kupcy miasta tego na fortunach upadają«. Do tych »przeszkodników« zaliczano widocznie najbardziej kupców przejeżdżających, którzy uprawiali na własną rękę drobny handel; Węgrów z winami, którzy omijali prawa i brali wieczne protekcye; rzemieślników, nie kontentujących się swojem rzemiosłem, bo chwytali się obok tego kupiectwa i osobliwie winnych szynków; wreszcie procentowo wzrastających żydów, co »do ostatniej ruiny przywodzą stan kupiecki«.

Kongregacya jest obowiązującą organizacyą dla wszystkich chrześcijańskich kupców grodu; XII artykuł patentu królewskiego

powiada, że nikt prawa miejskiego nie mający i nie będący w bractwie kupieckiem żadnym sposobem nie śmie handlować.

Ma Kongregacya swoją starszyznę na dwa lata obieralną, per secreta vota ex pluralitate, ludzi posessorów, tych zatwierdza Magistrat i odbiera od nich przysięgę. Obowiązkiem tej starszyzny jest trzymanie porządku i zabieganie wszelkim przeszkodnikom. Mają cztery razy do roku zwykłe zwoływać schadzki i nie gdzieindziej tylko na ratuszu odprawować je mają. W razie potrzeby, za zezwoleniem magistratu, mogą zwoływać nadzwyczajne schadzki. Mają rozsądzać dyssensye, jakieby się okazały między P. P. Bracią około kupowania lub przedawania lub odmawiania jeden drugiemu, takowych napomnieć i uśmierzyć, winna zaś strona proporcyonalną kwotę do skrzynki dać powinna. Ciż Ichmość Panowie Starsi, kontrowersye, któreby w interesach pure kupieckich zachodziły między P. P. Bracią, powinni będą uznać i rozsądzić (salva nihilominus appellatione ad nobilem et spectabilem Magistratum). Starsi wreszcie mają się starać »omni meliori modo«, aby wszystkie prawa i wolność od królów i rzeczypospolitej stanowi kupieckiemu nadane, były wykonywane, jako też dekreta Kongregacyi ściśle przestrzegane, bez uszczerbku dla praw Sukiennic i t. zw. Bogatych kramów, które od dawien dawna uprzywilejowane miały statuty.

Jakież obowiązki były stowarzyszonych? Tenże sam dokument je określa. Przedewszystkiem nikt nie mógł być przyjętym, »któryby prawa miejskiego nie miał, a przyjęty miał się starać, co do pomienionego bractwa wszelkiej kontradykcyi i sprzeczki zachować«. Każdy wchodzący do bractwa miał »certum quantum według kondycyi swojej na otrzymanie jego i na expensa prawne za klucz Ichmościów Panów Starszych reponere«. Bracia czeladzi i kupców żadnych do kupiectwa ani do kramów obracać i chować nad rok nie powinni, którzyby nie byli zapisani należycie, albo którzyby od pana innego swywolnie odeszli a poświadczenia nie mieli. Żaden także nie śmiał pod swoje imię, protekcyą cudzych towarów do swoich domów lub sklepów przyjmować, tem bardziej żydowskich, i od nich procent pobierać. Przychwytany na takiej zbrodni miał być na najbliższej sesyi Konfraternii karany. Panom

kupcom również nie wolno było dawać protekcyi do handlowania czeladzi. Statut wzajemnie zakazuje wreszcie kupcom utrzymywać u siebie czeladników jakiegokolwiek rzemiosła i kunsztu, którzyby na przeszkodę panom rzemieślnikom jakie roboty wykonywali.

Nie zaniedbano i sprawy pobożności zrzeszonych. Raz w rok mianowicie mieli oni wysłuchać wspólnie wotywy i officium za zmarłych Braci, odprawianej w kościele Maryackim w poniedziałek po św. Agnieszce.

Tak ukonstytuowana Kongregacya rzeczywiście wchodzi w życie i wykonywuje skutecznie swoje prawa, walczy z Węgrami i Grekami o sprzedaż win, to znowu z coraz rosnącym żywiołem żydowskim, broniąc interesów chrześcijańskich kupców. Stara się w magistracie i u tronu o nowe przywileje i egzekucyę dawnych.

Ostatni rozbiór Polski i początek rządów austryackich, zmniejszył niepomiernie agendy Kongregacyi, bo rząd się widocznie wiele o nią nie troszczył i nie liczył z jej postulatami. Smutny stan handlu za czasów Księstwa Waszawskiego wyłania w Kongregacyi projekt utworzenia z Krakowa wolnego miasta i wtedy też odżyje Kongregacya. To najświetniejszy okres jej władzy. Zasadniczo wchodzi w skład rządów tego małego państewka, jako pewien departament dla spraw handlowych. Od jej opinii, projektów wszystko zależy i bez niej na tem polu życia społecznego nic się nie dzieje w obecnej dobie. Naturalnem jednak następstwem nowego jej stanowiska i organizacya uległa niektórym koniecznym zmianom. Już r. 1818 uchwała z dnia 14 marca określa, że konsyliarzy czyli radców Kongregacyi wybierają nie sami starsi, tylko cała Kongregacya z każdego sortymentu po dwóch. Liczono ich zaś wówczas sześć, obejmujących o wiele szerzej, niż dzisiaj, cały handel, mianowicie: dział 1. hurtowny i bankierski, 2. galanteryjny, łokciowy przedni, jedwabny, porcelaną i fajansami, 3. korzenny, farb i materyałów aptecznych, 4. żelazny, norymberski, księgarski i muzykalia, 5. sukienny, 6. winny. Właściwie jednak nową organizacyę dał Kongregacyi rok 1821. Wówczas to bowiem określono prawem, że ona jedna ma być tylko w rzeczypospolitej. Żydom nie wolno tworzyć osobnej

w mieście organizacyi. Zrobiono jednak przez to zamach na charakter wyłącznie katolicki naszej Kongregacyi. Pozwolono bowiem żydom należeć do niej z głosem doradczym, jeśli przez trzy lata trudnią się handlem, płacą podatki osobiste, utrzymują księgi według rozporządzeń pisanych w polskim i niemieckim języku i mają 5 tysięcy funduszu. Szczęściem tylko nie straciła ona wówczas cechy stowarzyszenia chrześcijańskiego, to prawo bowiem w praktykę ani razu nie weszło. Organizacyi Kongregacyi w niczem zresztą nie naruszono. Tak samo zarządza majątkiem, przyjmuje i wyzwala młodzież, przyjmuje swych członków, którzy muszą przedłożyć przedtem świadectwo dobrego prowadzenia, wyzwolenia i sprawności zawodowej, okazać dostateczne wiadomości buchalteryjne i fundusze. Wybiera wreszcie kandydatów na radców rady handlowej, starszych i sekretarza giełdy. Zebraniom Kongregacyi przysłuchuje się zawsze senator, potem komisarz rządowy. Znać, że rząd rzeczypospolitej prawdziwie interesuje się handlem Krakowa. Raz po raz bowiem swojemi nowellami do zasadniczej ustawy rozciąga pieczę nad Kongregacyą. Tak np. stosunek kupców do uczniów i subjektów, zwykle zostawiający dużo do życzenia, określa i uregulowanie go powierza Kongregacyi r. 1833; wówczas spotykamy się też za rzeczypospolitej z pierwszymi śladami zawodowej szkoły handlowej.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie działalność Kongregacyi kupieckiej aż po najnowsze stosunki społeczne, jakie wytworzyła okupacya Krakowa przez Austryę. Ogólne bowiem państwowe ustawodawstwo administracyjne musiało się siłą rzeczy rozciągnąć na nowo wcieloną rzeczpospolitą pod nazwą W. Ks. Krakowskiego. Lubo więc w pierwszej chwili Kongregacya pozostaje na swem stanowisku, znaczenie jej coraz się chyli, a kiedy r. 1850 wprowadził instytucyę Izb handlowych i przemysłowych, one stają na czele interesów handlu, dalej wolność przemysłu i handlu ogłoszona w 9 lat później, odbiera już zupełnie Kongregacyi jakikolwiek jej urzędowy charakter. Kongregacya staje się i jest po dzień dzisiejszy stowarzyszeniem tylko t. zw. dobrowolnem.

Wobec tego i statut, jaki pozostał jej z czasów rzeczypospolitej, stał się już tylko dokumentem dziejowym najpotężniej-

szego okresu życia Kongregacyi. Po wielu projektach nowego statutu, przyjęty wreszcie został na posiedzeniu Kongregacyi projekt w r. 1886 i zatwierdzony przez c. k. Namiestnictwo, oparty na ustawie państwowej z 15 listopada 1867 r. o dobrowolnych stowarzyszeniach. Ostatecznie zredagowany ten statut uzupełniany w latach 1896, 1905 i 1906 określa w treści tak stanowisko Kongregacyi.

Przez to, że ustrzeżono jej chrześcijański wyłącznie charakter, ma ona na celu wzajemną w tem gronie swych członków pomoc ku obronie i popieraniu interesów stanu tak materyalnych jak moralnych. A to przez obrady i odpowiednie zarządzenia w sprawach handlowych, transportowych, cłowych, kredytowych, zakupu i sprzedaży towarów; dalej przez reprezentowanie członków swoich wobec władz rządowych i krajowych, przez wnoszenie próśb i memoryałów, popieranie handlu krajowego w prasie, utrzymywanie biura informacyjno statystycznego i biura pracy dla członków; przez moralną opiekę nad uczniami i pomocnikami, zostającymi w obowiązkach handlowych u członków Kongregacyi, jak również przez możliwe popieranie i subwencyonowanie szkół zawodowych. Leży wreszcie w jej statutach materyalne wspieranie członków i po nich pozostałych wdów i sierót, oraz udzielanie członkom bezprocentowych pożyczek do wysokości 1000 koron z funduszu rezerwowego, za poręczeniem dwóch członków Kongregacyi.

Tych rozróżnia ona trzy kategorye, t. j. członków rzeczywistych, jako to kupców, jawnych spólników handlowych, prokurzystów i prowadzących interes na rzecz trzecich osób; członków-uczestników, tj. wdowy i niewiasty, prowadzące samoistnie handel pod własną firmą; członków honorowych, których ogólne zgromadzenie zaszczyca tą godnością za szczególne dla Kongregacyi zasługi.

Każda z wymienionych kategoryi członków ma swoje prawa i obowiązki, odnoszące się do udziału czynnego w zgromadzeniach, korzyściach i wkładkach. Czyn hańbiący i niehonorowy może wykluczyć z Kongregacyi jej członka.

Kongregacya ma swoje fundusze, jako to: obrotowy, rezerwowy i żelazny.

Na czele Kongregacyi stoi rada, składająca się ze starszego, jego zastępcy, podskarbiego i 10 radców, oraz sekretarza płatnego. Do niej należą przedewszystkiem sprawy administracyjne, prócz tego wybiera dwóch delegatów do kuratoryi szkoły handlowej, na posiedzenia Stowarzyszenia Młodzieży handlowej i do sądu polubownego; wpisuje uczniów do księgi praktykantów a po odbytej praktyce wypisuje tychże do księgi pomocników handlowych.

Wkońcu statut opisuje warunki kontraktowe między pryncypałem a uczniem i subjektem handlowym. Kongregacya bowiem rozciąga swoją opiekę co do uczniów i pomocników handlowych, zostających w zawodowych obowiązkach u członków tejże.

Statut ten moglibyśmy nazwać liberalniejszym od augustowskiego. W tym bowiem nie dano żadnego wyrazu religijności, aczkolwiek Kongregacya w berle swojem ma wizerunek Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej, patronki polskiego kupiectwa, i obok nabożeństwa za zmarłych członków, uroczystem nabożeństwem obchodzi patronalne święto i w ten dzień wszystkie sklepy zamyka. Pominięcie tego nie wpłynęło widocznie wcale na ducha przywiązania jej do Kościoła.

Wielkie i wpływowe agendy Kongregacyi upadły, przyszła znowu pewna depresya łatwo zrozumiała, ale też miały w tej epoce wystąpić nasze wady społeczno-narodowe, paraliżujące nieraz największe dzieła. Wiekowa Kongregacya kupiecka nie uległa im, skoro istnieje, ale ciężko ją one dotknęły, uniedołężniły jej działalność, wykazując tylko raz po raz wielki brak zrozumienia własnych interesów kupców, kierujących się przysłowiową zasadą: »wolność Tomku w swoim domku«. Do obecnej epoki swojej z przeżycia wieków przynosi Kongregacya nieskażony skarb wiary, przynosi gorącą troskę o dobro kupiectwa chrześcijańskiego, z wiecznej walki z wrogim sobie żywiołem cześć i poszanowanie kupca polskiego chrześcijańskiego. I to jej też nadal celem i obowiązkiem, jako dobrowolnego stowarzyszenia kupców chrześcijańskich Zrozumieli to najpoważniejsi obywatele-kupcy, że tylko takie zrzeszenie da im znowu siłę odporną, zyski, poszanowanie i wpływ w społe-

czeństwie i rządzie. Uważają więc sobie za najświętszy obowiązek należeć do niej i brać w jej życiu czynny udział. Bo to jest dziś obowiązkiem każdego kupca Polaka-katolika. A jeśli większość kupiectwa krakowskiego do niej należy, znać że dobrze jeszcze stosunkowo się u nas dzieje. Ale, że i ta mniejszość w obozie katolickim się znajduje odżałować przecież tego trudno. Ten brak solidarności bowiem musi iść zawsze w parze z pewnym rozdźwiękiem zapatrywań, tyle zgubnym w skutkach dla jednostek, jak dla całej sprawy. To oznaka ciężkiej choroby samolubstwa społecznego. W zakresie swego celu Kongregacya więc stoi dzisiaj na czele interesów chrześcijańskiego kupiectwa, walcząc o materyalne dlań stanowisko, zwłaszcza wobec wzmagającej się potęgi i stanowczej przewagi handlu żydowskiego. Organizuje się również wewnątrz dbając o dobro swych członków, o uczciwe prowadzenie handlu, o regulowanie godzin pracy, o swój personal, wychowanie młodzieży sobie powierzonej. Bardzo nieraz doniosłe znaczenie dla kupiectwa mające zapadają w niej uchwały, które wszyscy jednogłośnie przyjmują. Lecz niestety, jest to tylko stowarzyszenie dobrowolne, a więc jedyną egzekutywę jego stanowi konsekwencya w postępowaniu członków i ich własny honor, uczciwość. Stąd w wielu wypadkach ustawa zostaje martwą literą, a już o wspólnem postępowaniu całego kupiectwa mowy być nie może, kiedy nie wszyscy należą do Kongregacyi i z nią się nie solidaryzują.

Niedaleko sięgając podamy np. jeden z tak smutnych skutków braku solidarności. Oto we wrześniu 1905 r. ogólne zgromadzenie kupców chrześcijańskich uchwala cały szereg postanowień, dotyczących ograniczenia czasu pracy w handlach krakowskich ze względu na należny wypoczynek personalu sklepowego i niedzielny. Wówczas również zwrócono uwagę baczniejszą na uczniów handlowych. W 9 punktach sformułowano bardzo mądre znowu zasady o czasie ich praktyki, uprzedniej kwalifikacyi, stosunku ilościowego do pomocników, konieczności uczęszczania do szkoły i wyraźnie na naukę religii, o wypisie. Wszystkie te uchwały podpisali najwybitniejsi kupcy, z upoważnienia zgromadzenia dając imieniem swojem gwarancyę uchwałom. Czy nie zostały one martwą literą? Oto Rada Kongregacyi z początkiem roku 1909 znowu

musi wracać do tej sprawy. Pokrzywdzona bowiem młodzież handlowa za pośrednictwem Stowarzyszenia kupców i młodzieży handlowej wniosła do Rady Kongregacyi pismo pod dniem 4 lutego 1909 r., w którem użala się, że normalia uchwalone w d. 17 września 1905 r. przez ogólne zgromadzenie chrześcijańskich kupców, dotyczące skrócenia godzin pracy w handlach, spoczynku niedzielnego, praktyki handlowej, przez kupców i pomocników przyjęte, nie są przez kupców dotrzymywane. Ogólne też zgromadzenie członków Kongregacyi 7 marca t. r. ze słusznym naciskiem i jasnem rzeczy zrozumieniem podnosi, że takie nieprzestrzeganie zobowiązań przyjętych dobrowolnie, wywołuje nie bez podstawy rozgoryczenie, osłabiając zarazem zaufanie młodzieży do pryncypałów, a także nie przysparza powagi i szacunku samemu kupiectwu. Uchwalono też przypomnieć kupcom owe normalia, rozdając je na nowo wydrukowane, z prośbą, aby do zawartych tamże zobowiązań w zupełności się zastosowali i ściśle je przestrzegali. Spodziewaćby się należało, że taki apel do honoru obywatelskiego w dochowaniu danego słowa wystarczyćby powinien, bo jakaż inna egzekutywa ponadto zostaje w ręku Kongregacyi? Tymczasem niezadługo może znowu młodzież pomocnicza stanie w przykrej konieczności upomnienia się o normalia, a kto się upomni o wykonanie tychże względem uczniów handlowych? Próżne narzekanie na złe czasy, gdzie niema karności, ilekroć dobro ogólne osobistemu interesowi musi ulegać.

W stosunku do obowiązujących władz dla handlu i przemysłu ma swoje jeszcze prerogatywy: staje mianowicie Kongregacya jako ich doradczyni. Te pytają jej w ważniejszych wypadkach o opinię i liczą się z tyle poważnym głosem. Zatrzymała też nadal Kongregacya prawo egzaminowania i wypisu uczniów na pomocników handlowych.

Tem jest obecnie pięciowiekowa nasza Kongregacya kupiecka. Czy taką nadal zostanie? czy losy dalsze nie złamią kiedy tego organizmu? Zależy to w pierwszym rzędzie od rozwiązania bardzo aktualnej dla kupiectwa sprawy t. zw. gremiów kupieckich. I znowu tu wysuwa się na pierwszy plan kwestya żydowska. Sprawą założenia gremiów t. j. przymusowej organizacyi na podstawie ustawy przemysłowej, z urzędowego swego stanowiska

zajmuje się od kilku lat żywo Izba handlowo-przemysłowa krakowska W myśl bowiem tej ustawy ma być w Krakowie zawiązanem stowarzyszenie kupieckie (gremium), obejmujące wszystkie osoby, które wykonują przemysł handlowy. Wobec tego członkami jego musieliby być zarówno katolicy jak Izraelici. Im też przedewszystkiem chodzi o przyprowadzenie do skutku ustawy. Najpierw dlatego, że dziś nie posiadają odpowiedniej zawodowej korporacyi, a nadto czują, że urzeczywistnienie ustawy o gremiach zapewniłoby kupiectwu żydowskiemu wszelkie z nich korzyści i zupełne ekonomiczne zwycięstwo, jako liczebnie przemagającemu w Krakowie. Kupcy chrześcijańscy oczywiście widzą korzyści wynikające z przymusowego stowarzyszenia. Onoby bowiem położyć mogło dopiero kres pewnej niekarności jednostkowej, jakiemu ulega dobrowolne stowarzyszenie, przynosząc uchwałom egzekutywę i skutecznie wskutek tego zaradzając ogólnemu dobru kupców. Ale nie mogą się zgodzić na to, by interesy chrześcijańskich kupców cierpieć miały szkody i ulegać wiecznie korzyściom większości izraelickiej, by ewentualnie zależały od ich grzeczności i łaski. Z zaprowadzeniem tych gremiów Kongregacya kupiecka straciłaby więc swoje prerogatywy na rzecz gremium, a władze w sprawach handlowych już więcej nie miałyby obowiązku się do niej odwoływać ani liczyć z jej postulatami. Wysiłkiem więc jej obecnie największym pozyskać jeszcze w gremium kupieckiem dla kupców chrześcijańskich zapewnienia ustawodawczego odpowiedniego im stanowiska i głosu. Bądź co bądź w najlepszych nawet warunkach nie można się łudzić najidealniejszymi w gremium stosunkami dla chrześcijan. Pertraktacye te przewlekają też bardzo wejście u nas w życie ustawy o gremiach. Kwestya to już jest jednak przesądzona.

Rozpoczęcie istnienia gremiów, czy więc może zakończy wiekowy żywot Kongregacyi, czy stanie się ona już stowarzyszeniem bezcelowem, niepotrzebnem? Oto pytanie dla jej przyszłości najważniejsze. Obawiaćby się należało najbardziej niezrozumienia własnego interesu przez samych polskich kupców i znamiennego w naszem społeczeństwie braku poświęcenia osobistego dla ogółu.

Obawiaćby się zwłaszcza należało tego tem bardziej, że

z pewnych sfer wyłania się z poza kulis na arenę życia dążność jakiegoś kokietowania z żydami, które sprawie chrześcijańskiego kupiectwa żadnej dotąd korzyści nie przyniosło, dając je tylko w upokarzającą zależność od Izraelitów. Co dotyczy np. zupełnego święcenia niedzieli w katolickiem kupiectwie, dwóch zdań być nie powinno. Zrzeszeni też kupcy i pomocnicy we wspólnem stowarzyszeniu dali temu wyraz, zanosząc pismo do Kongregacyi kupieckiej, żądające, drogą wiecu kupieckiego, zupełnego spoczynku niedzielnego. Kongregacya na to mogła tylko odpowiedzieć — cytuję dosłownie z jej sprawozdania za r. 1909 — »że wiec ogólno kupiecki zamierzonego celu nie osiągnie, gdyż bez współudziału kupców żydowskich zupełny spoczynek niedzielny nie da się zaprowadzić, spoczynek taki dałby się przeprowadzić jedynie w drodze ustawodawczej«. Nie wiem czy żydzi nie tylko spoczynek szabatu ale innych swoich świąt, których wiele więcej jest obowiązujących, niż w Kościele katolickim, zaprowadzili przy współudziale kupców chrześcijańskich; dobrze zaś Kongregacya odpowiedziała, że święcenie niedzieli u nas jedynie drogą ustawodawczą dałoby się zaprowadzić, bo na innej nie znaleźlibyśmy tej konsekwencyi, jaka panuje wśród żydów w ich interesach ekonomiczno-religijnych. Trudno zaś żądać dobrowolnej od żydów ofiary, by obchodzili swoje i nasze święta. — Czwarty już rok wychodzi w Krakowie pismo, nader poważnie i fachowo redagowane, *Kupiec Polski,* jako organ kupiectwa polskiego. Przez to kupiectwo polskie miało się rozumieć[1] »całe kupiectwo w Galicyi, które uważa się za polskie«. *Kupiec Polski* nie kierował się też nigdy względami wyznaniowymi. Pragnął przez to kupcom wyznania mojżeszowego w naszym kraju, którzy przyznają się do narodowości polskiej, dać możność wspólnej pracy dla dobra kraju i dobra polskiego handlu. Nie można żydom brać za złe, że nie chcieli zrozumieć tej idealnej dążności i stać się z żydów Polakami. Założyli swoją *Trybunę kupiecką* we Lwowie, jako miesięcznik poświęcony interesom żydowskiego kupiectwa, gdzie nie obstają za

[1] Por. *Kupiec Polski,* rok IV, nr. 12, artykuł: »Rozdział wyznaniowy w kupiectwie galicyjskiem.«.

polskimi interesami, a *Kupiec Polski* mógł tylko skonstatować, że żydzi w swoim separatyzmie posuwają się już za daleko, ponieważ *Trybuna* »występuje z egoizmem, który jest wprost prowokacyą polskich chrześcijańskich kupców naszego kraju«. Gorszyć się nie powinniśmy, że oni spełnili obowiązek względem swoich interesów i utrzymują ten organ zawodowo wyznaniowy, ale uczyć się od nich spełniania bez rumieńca własnych obowiązków. Po tak gorzkiem doświadczeniu tem więcej nas dziwić musi skłonność nie zachowania charakteru chrześcijańskiego przyszłego wiecu polskiego kupiectwa, jaki w czasie jubileuszu Kongregacyi postanowiono zwołać w najbliższym czasie. Ale czy to nie jest już dosadnym dowodem kokieteryi z żydami?

Obawiaćby się więc można przy wrodzonej nam prywacie o przyszłość tej Kongregacyi. W ostatnich jednak czasach pokazali kupcy katoliccy tyle mądrego skojarzenia i siły w dbaniu o wspólne dobro, że chociaż istnienie dalsze Kongregacyi zależeć będzie od tej szlachetnej cnoty, opierającej się wyłącznie na dobrej woli jednostek, wątpić nie możemy, że nadal spełniać będzie, bo powinna tem bardziej, swoje właściwe obowiązki.

A w tej nowej konstellacyi stosunków pole przed nią otworzy się wielkie, zadanie nader poważne. Konieczna zmiana statutu będzie musiała go jasno wytknąć, by wytworzyła znowu silną korporacyę do zrealizowania życzeń i zebrania sił chrześcijańskiego kupiectwa. Jeśli kiedy bowiem, to z tą chwilą utworzenia gremiów musi ono być silnem, solidarnem, konsekwentnem. Taką siłę w akcyi około obrony swych interesów może dać jedynie i wyłącznie organizacya. Tam gdzie walczą tylko jednostki, tam gdzie w małem społeczeństwie jeszcze rozdrabnia się siły, tam nie można dojść do rezultatów. Tą organizacyą właśnie żydzi wciskają się dzisiaj w Krakowie, centralizując swoje interesa w głównych arteryach handlowych miasta, a z chwilą przewidywanego rozwoju dzielnic już zdobywają dla siebie najodpowiedniejsze punkty.

Kupiectwo katolickie dobrze to odczuło, że stanowisko jego może być łatwo zachwianem a nawet unicestwionem. Sympatycznym dla tej dążności okazał się więc projekt zlania bardzo poważnego i liczebnego Stowarzyszenia kupców i młodzieży handlowej

z Kongregacyą kupiecką w jedną kongregacyę, nad czem już osobna komisya z członków obu stowarzyszeń wybrana od r. 1907 pracuje, a obecnie do wykonania szczegółowego statutu przystąpiono.

Ale to mało — to stworzyłoby siłę chrześcijańską miejscową. W czasie jubileuszu Kongregacyi podniesiono właśnie myśl utworzenia w Galicyi jednego ogólnego związku polskiego kupiectwa, związku aczkolwiek mało jeszcze w kraju rozwiniętych chrześcijańskich stowarzyszeń. On miałby dawać — skreślając jego cel mówił radca August Porębski — inicyatywę do wspólnej pracy i czynów, udzielać rządowi i władzom odpowiednich wskazówek, ewentualnie wywierać wpływ na arenie politycznej, słowem stanąć na czele i straży wszelkich zawodowych, obywatelskich, społecznych i politycznych interesów kupiectwa polskiego. I to znowu z szczęśliwą myślą rzuconą w czasie jubileuszu czeka Kongregacyę praca około wprowadzenia w życie takiego związku, stwarzania coraz liczniejszych grup kupieckich po miastach ku obronie interesów żywotnych chrześcijańskiego kupca.

A tak czyż znowu nie czeka Kongregacyę zadanie istotnie obywatelskie, narodowe, bronienia jak dawniej skarbów naszej przeszłości. Trwałość we wierze, obrona praw obywatela-kupca Polaka, dobrobyt ojczyzny i cześć kupiectwa pod berłem Niepokalanej Dziewicy złączone, będą zawsze jej zadaniem tak wielkiem, tak wzniosłem i jak ongi świętem. Czy możnaby nawet pomyśleć o zaniku tej wiekowej instytucyi polskiej. To świadczyłoby smutnie o obywatelskim duchu dzisiejszej epoki. Nie — ona będzie potężną i owoce jej pracy będą chlubą naszej ojczyzny.

Ks. Jarosław Rejowicz.

KATOLICYZM ELEUZYŃSKI.

(Ciąg dalszy).

II.

Jakie pojęcia ma Lutosławski o Bogu, świecie, istocie, pochodzeniu i losach człowieka, o stosunku wszechrzeczy do Najwyższej Istoty?

W niemieckiej swej książce *Seelenmacht* wypowiedział całą swą teoryę, streszczając zarazem swe zapatrywania, rozrzucone po pismach dawniejszych, zwłaszcza w książce »Z dziedziny myśli«. Dowiadujemy się, że wszechświat cały, czyli wszystko to, co rzeczywiście istnieje, składa się z istot duchowych, nazwanych ogólnie duszami. Między niemi, ponieważ są one nierównej doskonałości, musi być i istota jedna najwyższa. Ta najwyższa istota to jest Bóg [1]. Skąd wiadomo, że taka istota jest tylko jedna, a nie cały, dajmy na to, gatunek? Z analogii, boć i w każdem ludzkiem dobrze uporządkowanem towarzystwie jeden duch przewodzi [2]. Ten Bóg różni się od innych dusz tylko stopniem doskonałości, nie zaś zasadniczo, gdyż wszystkie inne dusze są same przez się nieśmiertelne, odwieczne, niezależne. Bóg zatem nie jest ich stworzycielem [3]. L. odmawia swemu Bogu również przymiotu nieskończoności [4] i wszechmocy [5]. Co do opatrzności — to ta przy-

[1] *Seelenmacht*, str. 116. [2] Tamże, str. 117. [3] Tamże, str. 123 seq.
[4] Tamże, str. 136 sequ. [5] Tamże, str. 119 ss.

najmniej w wątpliwość jest podaną, gdyż »Najwyższa Istota zdaje się być dalece wyższą ponad ludzi, iż bezpośrednie stosunki między nią i pojedynczymi ludźmi jest mało prawdopodobną«[1], zastępuje ją zatem »opatrzność zbiorowa« duchów mniej różniących się od nas co do stopnia doskonałości[2].

Istota, którą my pospolicie nazywamy człowiekiem, podług filozofii L., składa się z niezliczonej ilości istot duchowych, t. j. dusz obdarzonych przynajmniej w zaczątku wolą i poznaniem, z których jedna, główna, kierująca wszystkiemi innemi, nazywa się właściwie duszą, mówi o sobie ja, jest właściwie człowiekiem, podczas gdy inne niższe, pomocnicze dusze, składają się na to, co ciałem nazywamy, a co jest jakby mieszkaniem dla właściwego człowieka. Stosunek duszy do ciała przyrównany jest do stosunku człowieka do odzieży, a nawet do stosunku jeźdźca do konia[3]. Wobec tak luźnego związku, może dusza wyjść z ciała i to nie tylko w zjawisku, które śmiercią nazywamy, ale i za życia, mianowicie ustępując miejsca innej duszy. Naprzykład »gdy ktoś zwaryuje, to znaczy, że jego dusza, tak samo jak w przypadku śmierci, wskutek niewiadomych nam warunków, traci władzę nad ciałem... Te same rozumowania tyczą się tak zwanej zmiany osobistości... Tylko tutaj spostrzegamy dwie lub więcej dusz, kolejno obejmujących władzę nad jednem i tem samem ciałem«[4]. Jak wszystkie inne »wolne dusze«, tak oczywiście i dusze ludzkie co do trwania nie mają początku. »Jeśli staniemy, powiada Lutosławski, na gruncie ścisłego (o bodajby to!) rozumowania, to... skłonimy się raczej dla zachowania duszy jej charakteru substancyi, czyli istoty rzeczywistej, do uznania jej istnienia bez początku ani końca, nie uwarunkowanego żadnym aktem twórczym doskonalszej istoty«[5]. »Wieczne istnienie wielości dusz nie jest trudniejsze do zrozumienia, niż istnienie jednej duszy doskonałej, tworzącej wszystkie inne«[6]. Dodajmy do tego wędrówkę dusz, czyli wielokrotne wcielanie się, o którem ustawicznie L. mówi, a będziemy mieli całą metafizykę bytu, według koncepcyi Lutosławskiego.

[1] Tamże, str. 118. [2] Tamże, str. 140 ss. [3] Tamże, str. 30, 31.
[4] »Z dziedziny myśli«, str. 123. [5] Tamże, str. 125. [6] Tamże.

Ktoby pragnął bliżej poznać sposób dowodzenia L. i ocenić filozoficzną wartość całej tej nauki o »wolnych duszach«, tego odsyłamy do wzmiankowanej już pracy ks. St. Kobyłeckiego. Z niej się dowiemy, że dowodzenie L. odznacza się brakiem jakiegokolwiek dowodu, a ścisłość myślenia jest mniej więcej wszędzie taka sama, jak w zacytowanym przez nas ustępie, z którego dowiadujemy się, że co jest rzeczywiste, to jest substancya, a co jest substancyą, to początku mieć nie mogło. Nam chodzi tu o zestawienie nauki Lutosławskiego z objawieniem chrześcijańskiem. Jeśli uprzytomnimy sobie, że cała ta teorya nic więcej nie czyni, jak degradując Boga do rzędu innych dusz, zaprzecza Mu aktu twórczego, to sprzeczność jej z nauką objawioną jest tak widoczna, że wykazywać ją byłoby rzeczą zgoła zbyteczną. Całą metafizykę L. unicestwia pierwszy artykuł symbolu wiary naszej, w którym powtarzamy: »Wierzę w jednego Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, widzialnych wszystkich rzeczy i niewidzialnych«.

Widzimy, że autor *Seelenmacht* i »Z dziedziny myśli« nie miał nic wspólnego z chrześcijaństwem. Lecz czytelnik zada nam pytanie: Czyż po napisaniu wymienionych książek nie nawrócił się L. do wiary katolickiej, a zatem czyż nie bezcelową jest rzeczą wytykać mu minioną jego niewiarę?

Otóż tu stajemy wobec zagadki, którą na podstawie późniejszych utworów L. rozwiązać nie łatwo. W pismach swych po »nawróceniu« o Bogu i stworzeniu *ex professo* nigdzie nie traktuje, są tylko pobieżne wzmianki i oderwane wyrażenia, z których możnaby wnosić, że wierzy w Boga chrześcijan, w Trójcę św., wiemy, że mu nawet dogmat *filioque* przypada do gustu, ale kiedy uprzytomnimy sobie, że z całej *Seelenmacht* każe L. wyrzucić tylko rozdział VII, jako niezgodny z nauką Kościoła [1], a o rozdziale V, gdzie jest mowa o *höchstes Wesen*, i o rozdziałach traktujących o duszy nigdzie w swych retraktacyach nie wspomina, owszem całą tę książkę, jak i inne dawniejsze dzieła między »ważniejsze« swe utwory kładzie, do poznania ich czy-

[1] *Eleusis* I, str. 207 i »Ludzkość odrodzona«, str. VI u dołu i 272.

telnika zachęcając, to mimowoli nasuwa się podejrzenie, że Lutosławski, jeśli wprost nie mistyfikuje swem nawróceniem, to przynajmniej grubo się łudzi, że z dogmatami chrystyanizmu zdoła pogodzić swą naukę o »wolnych duszach« wraz z ich Bogiem. Może sądził, że kompromis będzie wystarczającym, jeśli tu i ówdzie wyrazi się, że »dusza jest jedną z wiecznych iskier bóstwa« [1], stawiając ją tem samem w pewną od tegoż bóstwa zależność. Nie wiemy wprost, co o tem sądzić, i dlatego obawa o prawowierność L. nie już wyznaniowo-katolicką, ale wprost »deistyczną«, będzie miała dotąd uzasadnienie, aż L. wyraźnie oświadczy, że potępia cały swój system »wolnych dusz«, wyłożony w *Seelenmacht.*

Przejdźmy do bardziej szczegółowego poznania »antropologii« Lutosławskiego, na podstawie późniejszych jego pism.

Wiemy już, jaki stosunek zachodzi między duszą i ciałem człowieka. Tego punktu swej nauki L. na pewno nie zmienił po swem nawróceniu. Z *Eleusis* dowiadujemy się, cośmy już skądinąd wiedzieli, że »ciało jest to cała hierarchia istot niższych, mających być rządzonemi przez jaźń« [2]. Następnie czytamy tamże, że »człowiek oprócz ciała materyalnego posiada ciało pramateryalne (?) czy astralne, tak zwane dlatego, że to ciało subtelne wędruje nie tylko po ziemi, ale po innych gwiazdach. To ciało astralne może być pośrednikiem między ciałem materyalnem a duszą« [3]. Nie dopowiedział tylko, czy to ciało astralne jest istotą prostą, czy również »całą hierarchią« istot niższych. Przez hipotezę ciał astralnych wyjaśnia L., obok innych fenomenów, także tajemnicę wrażliwości na pieszczoty cielesne innej osoby [4].

Co do pochodzenia składowych części człowieka, to »ciało pochodzi w zarodku swym od ciał jego rodziców — ale dusza nie ma pochodzenia — jest jedną z wiecznych iskier Bóstwa o nieskończonej przeszłości« [5]. Taka odwieczna dusza »z natury rzeczy musi przyodziewać się w różne ciała przez nią samą utkane z niższych monad, coraz to bogatsze formami, w miarę jak ona sama zyskuje na treści« [6]. Wcielanie duszy dokonywa się dzięki

[1] *Eleusis* I, str. 94. [2] Tamże, str. 34. [3] Tamże, str. 37.
[4] Tamże, str. 38. [5] Tamże, str. 94. [6] »Wykłady Jag.« II, str. 20.

innym dwom kochającym się duszom, które przez swą miłość przyciągają trzecią duszę z poza świata. Kolejne wcielania się duszy mają swój koniec. Mianowicie »duch, co różnicę płciową przemógł (niżej dowiemy się, co to znaczy), ukończył swe wędrówki na ziemi i dalszych tutaj wcieleń już nie będzie odbywać, tylko się wzniesie ku jaśniejszej jakiej gwieździe, aby tam łączyć się z duchami podobnymi i utrzymywać te ogniska energii, jak słońce, co światłem swem ożywia tyle światów« [1]. Ten kres rozwoju i doskonalenia się duszy nazywa się słonecznością; do niej każdy duch kiedyś dojść musi.

Fizykom pozostawiamy zadanie rozprawienia się z tą nową oryginalną teoryą pochodzenia światła. Sami zaś znowu zestawimy naukę L. o duszy i jej losach z nauką chrześcijańską.

Pierwszy błąd, nie najgorszy jeszcze, w antropologii L. polega na tem, że L. burzy jedność istoty ludzkiej, stanowiąc, w myśl Platona, tak luźny związek między duszą a ciałem, jaki zachodzi pomiędzy odzieżą i jej posiadaczem, lub jeźdźcem i rumakiem, którym jeździec kieruje. Takie porównania, możliwe w ustach poety, lub nawet jakiegoś pisarza ascetycznego, pragnącego uwydatnić godność duszy ludzkiej, nie powinny się znaleźć w pismach filozofa, którego zadaniem jest dbać o metafizyczną ścisłość, zwłaszcza nie powinny wyjść z pod pióra filozofa chrześcijańskiego. Filozofia, opierając się ostatecznie na faktach wewnętrznej świadomości, ustanawia daleko ściślejszą jedność istoty człowieka, jedność, dzięki której i ciało nie tylko, jak odzież, do człowieka należy, ale jest częścią składową natury ludzkiej. Pominiemy tu metafizyczne wywody, odsyłając ciekawych do dzieł specyalnych [2]; zaznaczamy tylko ze swego stanowiska, że filozoficzna teorya ścisłej jedności duszy i ciała znalazła swój wyraz nawet w określeniach dogmatycznych Kościoła, zwłaszcza na soborach powszechnych: we Vienne 1312 r. i Laterańskim piątym r. 1513, że dusza ludzka stanowi sama przez się i bezpośrednio prawdziwą substancyalną formę ciała ludzkiego [3]. Tem samem wyklucza się możliwość przyjęcia na słowo L. poglądu,

[1] *Eleusis* I, str. 63. [2] Np. Tilmann, Pesch: *Institutiones psychologicae*, tom I, str. 354—406. [3] Denzinger, n. 480 i 738.

że ciało składa się z »całej hierarchii« istot niższych, ale w każdym razie duchowych, lub jakichś dusz pomocniczych, kierujących odżywianiem, ruchami, zmysłami człowieka. Teolog z pierwszej połowy XIX stulecia Günther chciał obdarzyć człowieka, obok duszy rozumnej, jedną tylko dodatkową duszą zmysłową, mimo to doktryna jego została odrzuconą przez papieża Piusa IX w latach 1857 i 1860, przyczem powtórzonem zostało stare twierdzenie, że »od duszy rozumnej ciało również odbiera i ruch i wszelkie życie i zmysł«[1]. Ciało »astralne«, od teozofów zapożyczone, jest mrzonką, nad którą do porządku przechodzimy.

Ważniejszymi błędami od dotychczas wyłożonego są p r e e g z y s t e n c y a i r e i n k a r n a c y a, stanowiące właściwie jądro antropologii Lutosławskiego. Teorye te, które się wylęgły gdzieś w Indyach jeszcze w zamierzchłej starożytności, przewędrowały potem niemal wszystkie części świata, zjawiając się w rozmaitych postaciach i kombinacyach, jużto w starożytnym Egipcie, jużto u Platona i Pytagorasa i ich uczniów, odżyły potem w systematach heretyckich Gnostyków i Manichejczyków, podzielane były również przez neo-platończyków, potem przez żydowskich kabalistów, a w łonie chrześcijaństwa przez Orygenesa i kilku jego zwolenników. Katolicka teologia, jeśli nie liczyć Orygenesa, wolną była od tych naleciałości, przyjmowali je za to rozmaici protestanci, w XVII stuleciu mistyk, szewc śląski Jakób Boehme anglicy Henryk More i Józef Glanvill, Fr. Helmont i Chrystofor Sand, filozof Leibniz, w XVIII wieku Gotthold Lessing, Karol Bonnet, w XIX w. Fryderyk Schelling, Baader, Rueckert, i wielu innych[2]. U nas doktryny te znalazły apostoła w osobie A. Towiańskiego, a J. Słowacki uważał za swe powołanie obwieścić światu swego rodzaju teoryę ewolucyi, w której preegzysten-

[1] Tamże, n. 1655 i przypisek.

[2] O pochodzeniu i dalszych losach tych dwóch pokrewnych sobie doktryn — preegzystencyi i metempsychozy, mamy dwie prace ks. Feliksa Laudowicza, niemiecką: *Wesen und Ursprung der Lehre von der Präexistenz der Seele und von der Seelenwanderung in der griechischen Philosophie*, Berlin bez roku wyd. i łacińską: *De doctrinis ad animarum praeexistentiam atque metempsychosen spectantibus, quatenus in Iudaeorum et Christianorum theologiam vim quandam exercuerint, quaestiones.* Lipsiae 1898

cya i reinkarnacya naczelne miejsce zajmują. Dziś znajdują one najgorliwszego propagatora w Lutosławskim.

Nie wdając się wcale w rozbiór najrozmaitszych odcieni i modyfikacyi, jakim doktryny te w różnych czasach i u różnych pisarzy ulegały, możemy wskazać, że wiara chrześcijańska musi się zachować odpornie wobec nich, bez względu na formę, w jakiej kiedykolwiek występowały.

Sam L. musiał czuć, że nauką o wędrówce dusz kompromituje się wobec wierzących; przestrzega bowiem jednego ze swych uczniów, że »nie każdemu można o reinkarnacyi mówić« [1]. Narzeka na to, że nauka o reinkarnacyi, po świetnem powodzeniu w szkołach greckich, »została przytłumiona przez powagę Kościoła na nowe tysiącolecie«, lecz dodaje natychmiast, że przez to bynajmniej nie została usuniętą »z księgi wiedzy ludzkiej« [2]. Owszem i co do stanowiska Kościoła względem tej teoryi, Lutosławski, jakby dla uśpienia katolickich skrupułów, zapewnia, że to jest mylne choć powszechne mniemanie, jakoby Kościół potępiał metempsychozę bezwzględnie i pod jakąbądź formą. »W istocie, powiada, żadne potępienie jakiejkolwiek doktryny nie jest bezwzględnem, lecz tyczy się jedynie tej historycznej formy, jaką dany pogląd przyjął w dziełach potępionego heretyka, a takie potępienia bywają też spowodowane okolicznościami epoki... Kościół miał powody potępić wiarę w wędrówkę dusz w epoce krwawych walk i brutalnych namiętności, bo wtedy tłumy ludów... nie mogły jeszcze pojąć metempsychozy, wyznawanej przez grona wybranych uczni najsubtelniejszych szkół greckich... Ci rycerze ambitni i namiętni potrzebowali hamulca, więc zamknięto im widok nieskończonego szeregu żywotów, zagrożono wieczną karą, jeśli w ciągu jednego doczesnego życia na raj nie zasłużą... Dlatego Kościół nie chciał w tym względzie jeszcze całej prawdy wyjawić« [3]. Pociesza jednak swoich zwolenników, że »dziś, gdy najwięksi nasi wieszczowie jawnie głoszą tę prawdę z natchnienia Bożego, może zostanie ona uznana powszechnie« [4]. Zlekka

[1] *Eleusis* III, str. 384. [2] »Wykłady Jag.« II, str. 55.
[3] Tamże, str. 61 sequ. [4] Tamże, str. 63.

próbuje nawet poprzeć swą tezę słowami Chrystusa Pana, który o św. Janie Chrzcicielu powiedział: »Ten ci jest Eliasz«. Według wykładu L. miał Zbawiciel stwierdzić ponowne wcielenie się ducha Eliasza w Janie [1].

Uczniowie Lutosławskiego — elsy, o ile można wnioskować z ich pism, przyjmują również tę naukę na powagę »wieszczów« i swego założyciela. T. Strumiłło twierdzi, że »reinkarnacya tylko w formie wstecznej (t. j. rozumiana jako wcielanie się dusz ludzkich w zwierzętach) została przez Kościół potępiona« [2] i piętnuje »wyobraźnię inkwizytorską ortodoksów«, którzy byli innego zdania, kiedy chodziło o naukę Towiańskiego i Słowackiego. Jednocześnie jednak znać u Strumiłły pewne zażenowanie i niepewność siebie.

Choćbyśmy się zgodzili na to, że teorya reinkarnacyi w takiej postaci, w jakiej ją widzimy u L., nie była formalnie przez Kościół sądzoną i potępianą, to i wtedy nie wypływa stąd, że pogodzić się da ona z dogmatami katolickimi. Nawiasem powiemy, że napróżno L. się trudził tłumacząc, dlaczego Kościół musiał metempsychozę potępiać »w epoce krwawych walk i brutalnych namiętności«, napróżno dlatego, że Kościół w owej epoce, którą L. ma na myśli, metempsychozą się wcale nie zajmował i wyroków potępiających nie wydawał. Tłumaczeniem swojem L. zdradza tylko osłabienie w sobie zmysłu moralnego, skoro sądzi, że Kościół mógłby był potępić jakąś naukę, choć prawdziwą, dlatego tylko, że ona nie na czasie, i że dla dobra »rycerzy ambitnych« potrzeba, aby w fałsz wierzyli.

Mniejsza więc o potępienia formalne. Prawdopodobnie pisma L. nie dostąpią tego zaszczytu, by miały być rozpatrywane przez trybunały rzymskie. Niemniej jednak sprzeczność reinkarnacyi Lutosławskiego z wiarą katolicką jest widoczną dla każdego człowieka dobrej woli.

Teorya reinkarnacyi, jeśli nie ze swej natury, to w systemie L. wiąże się ściśle z teoryą o p r e e g z y s t e n c y i dusz. Preegzystencyę można pojmować wielorako, jużto jako istnienie

[1] Tamże, str. 62. [2] *Eleusis* v, str. 171.

dusz odwieczne, jużto jako powołanie ich do bytu, ale przed umieszczeniem w ciałach. Przy przyjęciu odwiecznego istnienia, możnaby wyobrazić sobie ich zupełną od Boga niezależność, lub też przypuścić jakieś pochodzenie od Niego, które, abstrakcyjnie rzecz biorąc, dałoby się pomyśleć jako stworzenie z niczego, lecz odwieczne, lub jako emanacya z natury Bożej, coś na wzór tego, jak pochodzą jedne od drugiej Osoby Trójcy Przenajświętszej. Te same dwa sposoby dałyby się wyobrazić również i w hipotezie powołania do bytu owych dusz w czasie, ale przed wlaniem ich do ciał.

Otóż wszystkie te wyimaginowane sposoby preegzystencyi, których liczby pomnożyć się nie da, już były rozpatrywane przez Kościół wielokrotnie i wszystkie zostały potępione. Mówiliśmy już o absolutnej sprzeczności z chrześcijańskiem *Credo* przypuszczenia niezależnego od Boga bytowania dusz, jak je wyłożył L. w *Seelenmacht*. Lecz słyszeliśmy, że dusza ludzka jest jedną z »odwiecznych iskier bóstwa«. Przypuśćmy więc, że te wyrazy coś znaczą i zrozumiejmy je w sensie emanacyi dusz z natury Bożej, — cóż osiągniemy? Oto spotykamy się tu z panteizmem, który w całości, jako taki, wręcz się wierze chrześcijańskiej sprzeciwia, a w szczególności natkniemy się na dogmatyczne orzeczenie Soboru Watykańskiego, oddane w tych słowach: »Ktoby utrzymywał, że rzeczy skończone, bądź cielesne bądź duchowe, albo przynajmniej duchowe, wypłynęły z boskiej substancyi, niech będzie wyklęty«[1]. Zatem na emanacyę dusz z bóstwa czy to odwieczną, czy też dokonaną w czasie, niema miejsca w dogmacie katolickim.

Pozostaje zatem tylko s t w o r z e n i e z niczego. Ta sama metoda eliminacyi, jaką się posługiwaliśmy dotąd, musi być najpierw zastosowaną do pojęcia »stworzenia odwiecznego«. Pomijając już, że »stworzenie odwieczne« wielu bardzo tęgim umysłom wydawało się filozoficznym absurdem, znowu napotykamy cały szereg orzeczeń Kościoła, wykluczających odwieczne istnienie stworzeń. Sobór w Reims z roku 1148 określa, że tylko jeden Bóg jest odwiecznym; w roku 1329 potępiono błędy »mistrza

[1] Denzinger, n. 1804.

Eckarta«, głoszącego, że odkąd Bóg jest, odtąd i świat stwarza, a Sobór Watykański wznawia orzeczenie Soboru IV Laterańskiego, że Bóg od początku czasów *(ab initio temporis)* stworzył z niczego *utramque creaturam, spiritualem ac corporalem*, t. j. aniołów i świat, a potem *deinde* ludzką, jakoby wspólną z ducha i ciała złożoną [1]. A zatem dusze ludzkie chyba tylko o tyle »odwiecznemi iskrami bóstwa« zwać się godzi, o ile istniały one odwiecznie idealnie w umyśle Bożym, jako idee istot mających być kiedyś powołanemi do bytu. Rzeczywisty zaś byt dusz, jak i wszelkiego stworzenia miał kiedyś swój początek.

Wielu talmudystów utrzymywało, że Bóg stworzył wszystkie dusze ludzkie w czasie, ale jednocześnie wszystkie i że zawarł je w pewnym skarbcu, zwanym *Araboth*, skąd je wypuszcza w świat, w miarę potrzeby ożywiania ciał. Pokrewnem było pojęcie orygenistów, utrzymujących, że wszystkie dusze ludzkie były kiedyś aniołami i zostały skazane na zamknięcie w ciałach za jakieś przewinienie. Otóż i ta forma preegzystencyi utrzymać się nie da, albowiem Kościół ją odrzucił w kanonach Soboru Konstantynopolskiego z roku 543, potwierdzonych w parę lat później przez papieża Wigiliusza [2]. W szczególności potępionem zostało mniemanie, jakoby istniała przed Wcieleniem Słowa dusza Chrystusa, co wszakże byłoby logicznem następstwem teoryi preegzystencyi. Po takiem odrzuceniu preegzystencyi dusz w jakiejkolwiek postaci, zapanowała ogólnie w Kościele nauka, streszczona w słowach św. Tomasza z Akwinu: »Wyznawać należy po prostu, że dusze nie są stwarzane przed ciałami, lecz stwarzane są jednocześnie z wlaniem ich (do ciał)« [3].

Pewnik teologiczny, wyrażony w słowach Anielskiego Doktora, wraz z preegzystencyą wyklucza i wszelką metempsychozę, gdyż mówi o stwarzaniu dusz każdy raz dla każdego na świat przychodzącego człowieka. Zamknijmy jednak na to oczy i wyobraźmy sobie, że dusze są stwarzane w chwili pierwszego swego

---

[1] Denzinger, n. 391, 501—503, 1783. [2] Tamże, n. 203 i 204.

[3] *Summa theol.* I, qu. 118, art. 3. Odrzuca również Kościół i teoryę traducyanizmu, według której dusze dzieci pochodzą od dusz rodziców. Lutosławski na szczęście tej teoryi nie podziela.

wcielenia, że jednak potem mogą przechodzić w inne ciała. Traktujmy teoryę metempsychozy, oczyszczoną od teoryi preegzystencyi przynajmniej absolutnej, t. j. bytowania dusz przed jakiemkolwiek wcieleniem. Hipoteza tak postawiona nie jest wprawdzie własnością L., lecz poruszamy ją, aby przeciąć wszelki wybieg nawet w przyszłości. Zresztą dowody, które przytoczymy, będą miały swoją wartość wobec metempsychozy jakiejkolwiek. Otóż reinkarnacya, nawet tak zredukowana, nie wytrzymuje w żaden sposób próby teologicznej.

Najpierw sprzeciwia się ona wierze w zmartwychwstanie ciał. »Idzie godzina, mówi Chrystus, w której wszyscy, którzy są w grobach, usłyszą głos Syna Bożego i wynijdą którzy dobrze czynili — na zmartwychwstanie żywota, a którzy źle czynili — na zmartwychwstanie sądu« [1]. Opierając się na tych słowach Zbawiciela i na wielu innych miejscach Pisma św., chrześcijanie wierzyli od początku, że na sąd powszechny staną wszyscy ludzie, jacykolwiek żyli na świecie, w tych samych ciałach swoich, które do grobów złożyli. Identyczność ciał zmartwychwstałych z ciałami za życia była też niejednokrotnie określaną przez Kościół [2]. Choć niełatwym jest problem, na czem polega identyczność ciała wobec ciągłej wymiany materyi w organiźmie, jednak nikt nie zaprzeczy, że gdyby teorya metempsychozy była prawdziwą, ciało, w którem jakaś dusza po raz pierwszy mieszkała, byłoby numerycznie innem, niż ciało drugie, dziesiąte, setne, któremi później taż sama dusza się posługiwała. Wszak nie będzie L. twierdził, że ciało Słowackiego, spoczywające w Paryżu, jest identycznem z ciałem Mojżesza, pochowanem gdzieś na górze Nebo. Otóż jeśli metempsychoza jest prawdą i jeśli nasz poeta nie łudził się, że w nim mieszkał duch wielkiego wodza izraelskiego, w którem, pytamy, ciele ma zmartwychwstać ów tylokrotnie wcielający się duch? Czy we wszystkich? Ależ to absurd widoczny. Czy w jednem, dajmy na to — ostatniem? Ależ w takim razie owa dusza tyle razy wzbudzała mylny akt wiary pomimo zapewnienia Pisma św. i Kościoła, ile razy spodziewała się, że

[1] Jan v, 28. [2] Denzinger, n. 347, 427 i indziej.

powstanie z grobu w ciele, które w danej chwili nosiła. Czy można wtedy mówić o zmartwychwstaniu wszystkich, »którzy są w grobiech«, jeśliby miało powstać nie tylu ludzi, ilu żyło kiedykolwiek na świecie, ale tylu tylko, ile jest owych duchów kolejno się wcielających? Zresztą jeśli reinkarnacyę traktuje się jako środek oczyszczenia duszy od jakichś poprzednich win i udoskonalenia jej aż do »słoneczności«, jak to czyni L. wślad za wszystkimi nieomal zwolennikami metempsychozy, w takim razie niema właściwie wcale miejsca na zmartwychwstanie ciał, któreby chyba tylko przyćmić tę słoneczność mogły.

Teorya reinkarnacyi znosi dogmat o istnieniu czyśca, i z góry zaznaczamy, że próżny byłby wybieg, gdyby L. chciał czyścem nazywać owo oczyszczanie i doskonalenie się stopniowe w kolejnych wcieleniach, opierając się na tem tylko, że natury czyśca Kościół dotąd żadnym dogmatycznym wyrokiem bliżej nie określił. Każdy widzi, jak dalekiem byłoby takie pojmowanie czyśca od powszechnej wiary katolików, opierającej się, jeśli nie na wyraźnych soborowych określeniach, to w każdym razie na powszechnem zwyczajnem nauczaniu Kościoła, którego to nauczania wartość wyżej omawialiśmy. Wiemy o rozróżnieniu między Kościołem wojującym na ziemi, a cierpiącym w czyścu, tymczasem, przyjąwszy metempsychozę jako czyściec, rozróżnienie to utraciłoby wszelki sens. Następnie, gdyby życie nasze w ciałach obecnych było jakąś karą za przewinienia dawniejszych żywotów, to chyba musielibyśmy coś wiedzieć i o naszych winach, by cierpienia miały wartość moralną i ekspiacyjną. Dalej przypuściwszy, że żywot obecny jest czyścem, trzebaby przypuścić i to, że wolność woli jest nam odjętą, lub przynajmniej na tyle ograniczoną, iżbyśmy nie mogli stawać się gorszymi w nowych żywotach, gdyż inaczej cykl pokut i wcielań nigdyby się nie skończył; tymczasem zarówno doświadczenie, jak i wiara przeczy takiemu ograniczeniu wolności. Wreszcie dogmatem jest[1], że dusze »czyścowe« są pozbawione możności nowych zasług, czyli że tylko wypłacają się sprawiedliwości Bożej za winy nie

[1] Denzinger, n. 778.

dość za życia odpokutowane, lecz nowej zasługi wobec Boga zdobyć nie mogą. Oczywiście, że tego do życia ziemskiego żadnym sposobem zastosować nie można. Jeśli Lutosławski, pozostając przy metempsychozie i pragnąc ocalić dogmat istnienia czyśca, wyznaczy dla tego ostatniego jakiś czas i miejsce między kolejnemi wcieleniami duszy, to w takim razie wpadnie w sprzeczność z innym punktem nauki Kościoła, a mianowicie, że dusze po odbyciu czyśca osiągają bezzwłocznie królestwo niebieskie, gdzie cieszą się oglądaniem Boga i współkrólowaniem z Nim [1]. Słowem na żaden sposób przy wierze w czyściec niema miejsca na jakiekolwiek reinkarnacye.

Z dogmatem o piekle dałaby się teorya metempsychozy pogodzić, jeśliby się przyjęło, że dusze grzeszników, którzy umierają w stanie odwrócenia się od Boga, są wyjęte z dobrodziejstwa powtórnego wcielania się i idą na wieczne zatracenie. Lecz L., o ile wiemy, tego wyjątku nie czyni, jakoby spodziewał się, że wszystkie duchy przez kolejne wcielania dojdą do błogosławionego stanu »słoneczności«. Tutaj teorya jego spotyka się z nauką Orygenesa o powszechnej »apokatastazie«, polegającej na tem, że wszyscy potępieni czy to ludzie, czy szatani po długiej pokucie doczekają się wreszcie wybawienia. Jeśli preegzystencya była pierwszym ogniwem długiego łańcucha mrzonek, obracających się około centralnego pojęcia metempsychozy, to apokatastaza jest tegoż łańcucha ogniwem ostatniem. Losy obydwóch końców tej doktryny były jednakowe, nauka bowiem o powszechnem przywróceniu wszystkiego została potępioną przez Kościół w zacytowanych przez nas wyżej kanonach z roku 543, potwierdzonych przez papieża Wigiliusza [2], a potępioną dlatego, że się sprzeciwiała dogmatowi o wieczności kar piekielnych. Lecz jeśli tak, to czyż może się ostać wobec wiary teorya Lutosławskiego, w której nie tylko dla wiecznego, ale dla jakiegokolwiek piekła miejsca niema?

Zaprzeczenie piekła nie tylko wypływa logicznie z teoryi L., ale widocznie tak mu się wiara w kary piekielne nie podoba, że

[1] Tamże, n. 693. [2] Tamże, n. 211.

werbując adeptów dla katolicyzmu, zwalnia ich od takiej wiary, obiecując im, że wcale przez to nie zajdą w kolizyę z nauką Kościoła. Warto posłuchać jego wywodów. Do duszy, którą rażą dogmaty kościelne, tak się odzywa: »Jeśli już żadną miarą nie możesz ty, polska duszo, pojąć, by Bóg miłosierny miał kogoś na zawsze potępić, to pamiętaj, że Kościół ci wcale nie każe wierzyć, iż ktokolwiek został potępiony, choć o wielu wyraźnie zaznacza ich kanonizacyą, że zostali zbawieni. Kościół tylko uczy rzeczy prostej, że kto w chwili śmierci nie miałby żalu doskonałego za grzechy i trwałby w swojem potępianiu Boga, ten doznałby nawzajem wiecznego potępienia od Boga. Jest to sposób warunkowy określenia wzajemności stosunku między duszą ludzką a Bogiem. Ale Kościół wcale nie uczy, jak mniemają niektórzy, jakoby koniecznie kiedykolwiek ktokolwiek został potępiony. Kościół wierzy w piekło i niebo, lecz uroczyście orzeka tylko, że ktoś na niebo zasłużył, nigdy zaś jeszcze nie orzekł o nikim, że został potępionym. Więc jak ci trudno pojąć męki wiekuiste, wolno ci wierzyć, że każdy człowiek miał w chwili śmierci żal dostateczny, by piekła uniknąć i takie wyobrażenie wcale nie będzie sprzeczne z nauką Kościoła« [1]. Widocznie elsowie do takich polskich dusz należą, które nie mogą przypuścić wiekuistego piekła, a właściwie piekła wogóle, choćby i nie wiekuistego. Jakiś els pod kierunkiem kapłana odprawia rekolekcye. Zmuszony do rozmyślania o karach piekielnych, takie zapisuje refleksye: »Co jest w sercu najlepszego wzdryga się przed przyjęciem potępienia wiecznego! Przecie dogmatem nie jest, że ktokolwiek został potępionym na wieki, choć taką była wiara w Kościele (co za subtelne odróżnienie wiary od dogmatu!) — więc może piekło istnieje *in potentia* — i czekać będzie ofiar napróżno, dzięki ogromowi miłości Bożej?« [2] A inny els (a może ten sam), cytowany już T. Strumiłło wtóruje pierwszemu: »Wszak dogmatem nie jest, że ktokolwiek będzie wiecznie potępiony, i można sobie wyobrazić, że dzięki ogromowi łaski i miłosierdzia piekło nie znajdzie mieszkańca« [3], przyczem powołuje się na po-

[1] *Eleusis*, II, s. 30—31. [2] *Eleusis*, III, s. 301. [3] *Eleusis*, V, s. 171.

wagę Słowackiego: »nawet Judaszowi przebaczone jest — powiada wieszcz w proroczem (?) uwielbieniu nieograniczonego miłosierdzia Bożego«.

Niestety! Jakkolwiek objawiona prawda o istnieniu wiecznego piekła nie tylko dla dusz polskich, ale dla każdych innych jest straszną, żadne wykręty nic tu nie pomogą, i katolik na uspokajające słowa L. w żaden sposób zgodzić się nie może. Przypuśćmy bowiem, że z pojęcia miłosierdzia Bożego wypływa wniosek, iż piekło w rzeczy samej nie istnieje, lub jeśli istnieje, to nie doczeka nigdy mieszkańca, — co w takim razie powiedzieć o tylu groźbach Pisma świętego piekłem wiecznem, jak tłumaczyć sobie słowa Chrystusa: I pójdą ci na męki wieczne?[1] Powie może katolik eleuzyński, że groźba piekła ma tu znaczenie pedagogiczne, żeby ludzi od występków odstraszyć, — lecz któż będzie się bał takiego piekła, o którem wyrozumuje sobie, że miłosierdzie Boże nikogo tam nie dopuści? Wszak i małe nawet dziecko śmiałoby się z pogróżek matki, gdyby wiedziało, że rózga, jaką mu obiecują, albo wcale nie istnieje albo nigdy matka do ręki jej nie weźmie. Bojaźń piekła może posiadać znaczenie pedagogiczne, ale tylko wtedy, kiedy jesteśmy przekonani, że ono w rzeczywistości grozi występnym i że nie stoi bynajmniej w sprzeczności z dobrocią i miłosierdziem Bożem, czyli, jeśli się odrzuci precz misterne kombinacye L. i jemu podobnych teologów[2]. Prawda, iż Kościół nie wskazuje na nikogo, jako na potępionego, pozostawiając sąd o grzesznikach Bogu, mimo to wiara, do jakiej upoważnia L., że każdy człowiek w chwili śmierci miał żal

[1] Mat. 25, 46.

[2] Żeby nie dać powodu do nieporozumień zaznaczyć trzeba, że bojaźń kar piekielnych bynajmniej nie jest jedyną, ani też główną pobudką życia moralnego. Najwyższą pobudką jest miłość Boża. Ale faktem jest, stwierdzonym przez doświadczenie, że dla wielu ludzi ta szlachetna pobudka jest sama przez się za słaba, i tym bojaźń kar przychodzi z pomocą. Od tej bojaźni idzie »początek mądrości«, która potem przekształca się w miłość. Zauważyć też trzeba, że złą jest i nie wystarczającą dla życia prawdziwie moralnego, a zatem i dla zbawienia bojaźń kar, czysto niewolnicza, wykluczająca miłość, kiedy mianowicie ktoś jest tak usposobiony, że gotówby przekraczać prawo Boże, gdyby piekła nie było.

dostateczny, nie byłaby wiarą, ale prostem przypuszczeniem, na niczem zgoła nie opartem. Czy Judaszowi przebaczonem jest, jak chce Słowacki, a za nim Lutosławski i elsowie, dochodzić tutaj nie będziemy, wiemy tylko, że Judasz w Piśmie św. nazwany jest »synem zatracenia« i że o nim Chrystus Pan powiedział: »Lepiejby było gdyby się nie narodził człowiek ten« [1]. Do wiary w jego zbawienie nie wystarcza nam powaga prorocza polskiego wieszcza. Zresztą, jeśli Lutosławski i jego zwolennicy chcą polegać w tej kwestyi na objawieniach prywatnych, to mógłbym im zacytować objawienia prywatne wielu świętych, stwierdzające istnienie piekła i obecność w niem potępieńców, a nawet fakty ukazywania się ich, by zaświadczyć o własnem potępieniu. Taki fakt stwierdzono naprzykład w procesie kanonizacyjnym św. Franciszka de Hieronymo T. J., zmarłego w Neapolu 1716 r. Kościół katolicki nie opiera swej wiary w piekło na prywatnych objawieniach czy zjawianiach się potępieńców, bo ma silniejszą pobudkę do wierzenia w słowach Zbawiciela, ale katolicy eleuzyńscy, przywiązujący wielką wagę do objawień prywatnych, winniby i objawienia o istnieniu piekła wziąć pod uwagę. Nie Kościół zatem, i nie w średnich wiekach dopiero i nie rycerzy tylko ambitnych i namiętnych zaczął straszyć piekłem, ale Chrystus Pan, ów najłagodniejszy Mistrz z Nazaretu, odzywa się z tą groźbą do wszystkich wieków, a każdy katolik wiedzieć musi, że »niebo i ziemia przeminą a słowa Jego nie przeminą«.

Tak więc wykazaliśmy chyba dość jasno, że wobec dogmatów Kościoła katolickiego teorya reinkarnacyi ostać się nie może. Jest ona herezyą, i to herezyą bardzo grubą, niczem nie przysłoniętą, w oczy bijącą. A w takim razie, czego mamy prawo domagać się od L. i tych wszystkich zwolenników jego, którzy rozbratu z Kościołem wziąć nie chcą? Oto domagać się możemy, aby metempsychozę w jakiejkolwiek formie wykreślili ze swego *Credo*, owszem nawet z liczby przypuszczeń, aby wyzbyli się wszelkiej nadziei, że reinkarnacya uznaną zostanie w Kościele, aby przestali twierdzić, że tę »prawdę« głosili wieszczowie z natchnienia

[1] Św. Mat. 26, 24.

Bożego i owe mniemane natchnienia umieścili w rzędzie niezdrowych marzeń i illuzyi. Muszą się zgodzić nadto z nauką Kościoła o ciągłem stwarzaniu dusz przez Boga, a zatem muszą poczytać za przechwałkę zapewnienie Lutosławskiego, że »pozostaje nam możliwość przypomnienia nawet najodleglejszej przeszłości w wyjątkowych chwilach« z poprzednich żywotów, a jeśli komu zacznie się przypominać taka przeszłość, zamiast brać ją za prawdę, mają raczej zwątpić o normalności funkcyi swego mózgu. Tego wszystkiego wymaga prosta konsekwencya wierzącego katolika. Wolno każdemu być katolikiem z przekonania, lub nie być nim, ale skoro kto oświadcza, że przyjmuje wiarę katolicką, musi ją przyjmować taką, jaką ona jest, a nie jakąby się ją mieć chciało. Tego wymaga prosta sumienność człowieka uczciwego.

W imię tejże uczciwości ludzkiej protestujemy przeciwko nadużywaniu przez L. tekstów biblijnych do uzasadnienia tez, sprzeciwiających się wierze, jak np. słów Chrystusa o św. Janie. Wprawdzie nie on pierwszy operuje tym tekstem dla podparcia metempsychozy, — czynili to przed nim heretycy rozmaici, ale ta okoliczność nie uwalnia go od winy. On mógł i powinien był wiedzieć o tem, że chcąc posługiwać się Pismem św., trzeba je znać dobrze, a przytem brać i tłumaczyć je w duchu wykładu kościelnego, a nie po sekciarsku, t. j. podług własnych zachcianek. Zresztą przy większej dozie sumienności byłby łatwo z zestawienia z innymi ustępami ewangelii [1] zrozumiał, w jakiem znaczeniu Zbawiciel nazwał Jana Eliaszem, a od samego Jana Chrzciciela usłyszałby słowa: »Nie jestem Eliaszem« [2]. Dowodów na metempsychozę można dowoli nazbierać w indyjskich księgach, w Talmudzie, u greckich filozofów, szukać ich jednak w Biblii to trud stracony [3].

(C. d. n.)

Ks. Jan Urban.

---

[1] Np. św. Łukasza 1, 17.

[2] Św. Jan 1, 21.

[3] Rozbiór innych ustępów Pisma św., nadużywanych przez zwolenników metempsychozy, zobacz u Laudowicza: *De doctrinis* etc. str. 7—13 i 30—33.

Z PÓŁNOCNYCH KRESÓW POLSZCZYZNY.

I. Z MAZOWSZA PRUSKIEGO.

Jadącemu z Warszawy pospiesznym pociągiem kolei petersburskiej i patrzącemu w Białymstoku na wlokące się pociągi kolei bocznej w stronę Grajewa, ani nie przyjdzie na myśl, że w odległości około 90 wiorst, w północno-zachodnim kierunku, leży *Łek* (Lyck), stolica Mazowsza pruskiego i że zarówno w kierunku wschodnim od niego, jak w zachodnim, w pasie granicznym pruskim, szerokim na mil 8410, usłyszy język polski w brzmieniu gwary mazurskiej, z odcieniami właściwości mowy Kurpiów z Puszczy Zielonej. Kraj ten od wieków niemczony nie zatracił dotąd swego polskiego charakteru, a w stosunku do osobliwości topograficznych i właściwego sobie charakteru etnograficznego i językowego, za mało dotąd był przedmiotem badań. Prawda, że warunki są dosyć nieprzychylne, ale kto umie z nimi się pogodzić, trudności zwyciężyć, a przeszkody niemożliwe do usunięcia przeskoczyć, albo nawet i pod nie podleźć, ten trudu i częstego zaparcia się siebie nie pożałuje.

Kraj pagórkowaty, miejscami poprzerzynany nagiemi ławicami piasku, jest przeważnie lesisty i obfity w jeziora. Te zwłaszcza, błyszcząc większą lub mniejszą szybą w zagłębieniu wzgórzy falistych, u wierzchołków w ciemny kontur lasem szpilkowym zarysowanych, nadają krajobrazowi właściwy charakter, niby wyschłego dna morskiego z resztkami spłynionej wody, a zarazem usposabiają podróżnego do powitania nieprzejrzanej wód fali na niedalekim Bałtyku...

Ludność przeważnie gospodarna i zamożna, ponieważ umie wyzyskać rolę i gospodaruje dosyć postępowo. Języka swego nie straciła, ale się go wstydzić poczyna wobec inteligencyi i wpływu niemieckiej szkoły; działa tu w pewnej mierze i protestantyzm, niosący za sobą germanizacyę, chociaż na pociechę wyznać trzeba, że ten jest mniej niebezpieczny. Temu samemu wpływowi przypisać trzeba zanikanie właściwości etnograficznych w ubiorze, urządzeniu domu, obyczajach, zwyczajach itd. Co się zachowało, nosi na sobie piętno starożytności wiekowej i jest dla badacza pierwszorzędnej wartości materyałem.

Ale Niemcy nie próżnują.

Jeżeli im tyle zależy na zniemczeniu Prus zachodnich i Wielkopolski, jakąż wagę przypisywać muszą tym kresom prawdziwie wschodnim, których pas nadbałtycki zamieszkuje ludność niemiecka. Znana jest maksyma: *divide et impera!* (Rozdzielaj i rządź!) Wmówić Mazurowi, że on nie Polak, ale Mazur, że co innego Polacy i »wielkopolska agitacya«, przez którą chcą oderwać od królestwa pruskiego przez Fryca wielkiego zdobyte kraje, — a co innego *Masurenland* (kraj Mazurów) od wieków przynależny do Prus i zawsze królom pruskim wierny. »Mazurzy dawno zapomnieli, że ich prapradziadowie należeli do królestwa polskiego. Chociaż trwają uparcie przy swej gwarze, która jest zepsutą(!) polszczyzną, mocno naszpikowaną wyrazami niemieckimi, są przecież poddanymi króla pruskiego z entuzyazmem, a z mrzonek reszty Polaków, zamieszkujących Prusy, co do zmartwychwstania Polski niema u nich ani śladu. Nadto są wiernymi synami kościoła ewangelickiego, lubo okazują pewne skłonności do przyswojenia sobie niektórych zewnętrznych obrzędów Kościoła katolickiego«.[1]

Tak się wmawia w Mazurów odrębność językową, odrębność *Masurenlandu* od ziemi mazowieckiej i śpiewa się z patosem:

O Heimatland, Masovias Strand,
Masovia lebe — mein Vaterland![2]

---

[1] *Masuren.* Ein Wegweiser von Anton Hensel. 2 wyd., Królewiec 1896, str. 27 i 28.

[2] Tamże, str. 4 i 5.

Zaledwo o dwie mile od granicy odległe, miasto powiatowe, liczące podobno ludności 12.000 z górą, punkt zetknięcia się, a raczej krzyżowania dwu kolei królewiecko-grajewskiej i wystrućko-olsztyńskiej, Łek słusznie za stolicę Mazurów pruskich uważany być może. Położony nad długiem jeziorem tegoż nazwiska, na wzgórku niezbyt wyniosłym, ma wskutek kierunku ulic, głównej i kolejowej, kształt naciągniętego łuku, którego cięciwę tworzy linia kolei żelaznej, a strzałę napiętą prosta ulica kolejowa, grotem godząca w jezioro i przeszywająca je na wskroś mostem na wysepkę wiodącym i groblą poza wyspą usypaną. Oświetlone gazem z palnikami Auerowskimi, schludnie utrzymane, czyni na podróżniku przyjemne wrażenie, dopóki go bliższe poznanie stosunków nie zadziwi i nie zaboli.

Nie sięgając ani w metryki, ani w spisy ludności, czyta się na licznych tablicach sklepowych i wystawowych nazwiska: Brzoska, Wrubel, Sobiech, Wielgoss, Wessoleck, Czygan, Jakubzig, Philipzick, a nawet Skibowski, Skrodzki, Wilamowski, Kowalewski, Rogalski, Lojewski, Orlowski, Zijmowsky, Artischewsky, które zeszpecone pisownią są na wskroś przecież polskie. Niestety — poza nazwiskami więcej polskiego nic się nie znajdzie i jeżeli posiadacz polskiego nazwiska nie zaprze się wprost swego pochodzenia polskiego, w każdym razie języka już nie umie, chyba kilka wyrazów koniecznych do porozumienia się z ludnością okoliczną, jeszcze nie zniemczoną.

Oto np. targ, jeden z większych, jakie się dwa razy tygodniowo odbywają. W ulicy głównej ruch wozów i gwar kupujących; wozy ustawiają się w dwa równoległe rzędy, każdy wóz z tabliczką, mieszczącą nazwisko właściciela, nazwisko wsi i powiat. Są to nieraz komiczne, a zarazem smutne okazy germanizacyi, jak np. tabliczka z napisem: »Samosni Dorf Markoscheyen«, co ma znaczyć, że gospodarz nazywa się Zamożny, a mieszka we wsi Markosieje!

Na wozach pozostają gospodynie (białki), lub bracia i synowie, a gospodarze (gbury) idą się raczyć do szynków i sklepów. Siwe, długie, z samodziału sukmany, i podobnego koloru czapki okrągłe, których jedna część odwinięta ku przodowi, tworzy da-

szek, cechują gburów starszych, którzy się jeszcze sukmany nie wstydzą. Stojąc lub siedząc, gwarnie rozmawiają, użalając się lub opowiadając, a co chwila trącając się szklankami, mówią: prost! (tj. prosit!) Ich żony i córki nie zachowały w stroju już nic od rębnego; te ostatnie przebrały się już w kapelusze i modne ubrania i zawzięcie flirtują z feldweblami, których marsowe oblicza ocieniają dwie miotełki wąsów w górę à la Wilhelm rozczesane.

Wszyscy między sobą rozmawiają po polsku, ale niechby tylko kupiec lub żołnierz przemówił po niemiecku, natychmiast zaczynają łamać ten język w straszny sposób i popisywać się, że oni też umieją. Nie braknie i takich, co usprawiedliwiając się, że dobrze nie mówią po niemiecku, wyrażają radość, że ich dzieci będą dobrze mówiły, bo teraźniejszy »rechtor« nie przebaczy, za każde słowo polskie karze, a sam nie umie po polsku, więc dzieci wyuczą się *fajn po niemiecku!...*

Polakowi z innych stron przysłuchują się uważnie.

— Prawda, że mnie rozumiecie? — pytam.

— O jo, jo — odpowiadają.

— Ano, to widzicie, żeśmy wszyscy Polacy.

— To nie, prose waści, my Mazury.

— Naturalnie — wtrąca mój towarzysz Polak — wyście Mazury ale i my Mazury. Bo widzicie, Mazury są tu i około Warszawy i het, nad Wisłą, aż w Galicyi, a to wszystko, chociaż mówi trochę inaczej, mówi po polsku.

— No, niby tak, ale my Mazury, nie Polaki.

Dlaczego tak wypierają się polskiego pochodzenia, wkrótce się dowiedziałem. Przedewszystkiem w szkole, jest »Polak« przezwiskiem, które dziecku mazurskiemu rumieniec na lica wypędza, kiedy mu je nauczyciel w twarz rzuci. Polak w pojęciu junkrów pruskich, to człowiek niechlujny, niedbały, twardogłowy, nieprzystępny dla kultury niemieckiej, a więc zdrajca kraju. A w kościele? — Tam Polak, to znowu katolik, Jezuita, chytry, zabobonny, ciemny i głupi, bo go światło nauki ewangelickiej nie oświetla, tak jak Mazurów, prawie wyłącznie ewangelików.

Czy się dziwić, że takim Polakiem Mazur być nie chce i że o tę nazwę się gniewa?

Dopiąwszy tego, idzie germanizacya po nici do kłębka. »Wasza mowa — mówi — to nie język polski, to nie *hochpolnisch*, to gwara mazurska, która nie mając literatury, nie ma prawa bytu i zaginąć musi. Wasza mowa, to równie jak mowa Ślązaków, jest zepsuciem mowy niemieckiej, jest *wasserpolakisch*, bo nadaje słowom niemieckim brzmienie miejscowe, mając »brukować« zam. *brauchen* (potrzebować), »kalka« zam. *Kalk* (wapno), »dibzak» zam. *Diebsack* (kieszeń), »sznyptuch« zam. *Schnupftuch* (chustka do nosa), »dyrchem« zam. *durch* (na wskroś) itp. Nie macie więc powodu tej gwary bronić i zachowywać, ale nauczyć się porządnego języka niemieckiego i stać się uczestnikami wielkiej kultury niemieckiej. My wam ją niesiemy z całą ofiarnością, a wy, głupcy, odtrącacie ją i popieracie gazety nie waszą gwarą nawet, ale polskim, obcym wam językiem pisane!«

I lud mazurski zaczyna w to wierzyć, zwłaszcza, że mu te pojęcia wszczepia szkoła od wczesnej młodości.

Jak też wygląda na tej wsi mazurskiej i w tej chacie, wystawionej na takie pociski kulturtraegerów?

Objawiona chęć miała się wnet urzeczywistnić.

— Chce waść u nas sie rozpatrzyć, siadaj waść z nami! — odezwał się jeden z Mazurów, ze wsi niedalekiej.

Pokusa była wielka. Wprawdzie z targu wracają gospodarze dobrze podchmieleni, bo »sznaps« nie próżnuje, ale może to jazda nie tak niebezpieczna, zwłaszcza, że drogi dobre i równe.

Jechaliśmy wózkiem szerokim, ale krótkim, tak, że tylko jedno siedzenie można było umieścić. Siedzimy we trzech, a brat »gbura« umieścił się w tyle kosza wozowego i ucisza prosiaka w worku, wołającego o ratunek. Konie dość rosłe, ale wychudłe, biegną rączo, zwłaszcza kiedy na nie gospodarz gwizdnie. Mijamy most na rzece, przy którym tablica mieści utrakwistyczny napis: »*Schritt!* powoli«. A więc gdzie potrzeba wymaga nie zaprzecza się istnienia języka polskiego, czyli gwary mazurskiej. Tylko nazwy miejscowości ulegają bezwzględnemu niemczeniu, choćby nawet komicznemu. Mała osada na południe od Ełku leżąca, a nazwana Szybą, czyli w brzmieniu mazurskiem Syba, figuruje na tablicy jako »Sybba«, wymawiana przez Niemców jak »Zyba«.

Ale nie wszystkie nazwy uległy przekręceniu fonetycznemu; wiele po prostu przetłumaczono, jak np. Nowa Wieś na *Neuendorf*...

Mijamy gęste bory, torfiaste łąki, zatoki jeziorek lub jezior i stajemy na miejscu.

Chata naszego gbura stoi osamotniona, bo jest on posiadaczem 80 mórg, więc ma niby folwark w środku swej posiadłości. Tylko chałupnicy o kilku morgach kupią się przy sobie w osadę; zresztą wsi zamożniejsze bywają tu bardzo rozrzucone i nie czynią wrażenia wsi, zwłaszcza, jeśli w nich niema kościoła. Zabudowania gbura obszerne, tworzą prostokąt, w środku obora. Dom mieszkalny obszerny, ale nizki, ma sień, dwie obszerne izby po obu jej stronach i w drugiej części sieni spiżarnię. Na środku izby, do której weszliśmy, leżała kupa ziemniaków (bulwy), które przysposabiano do sadzenia, obok kołysał się półtoraroczny chłopiec w przywiązanej do belki w powale kołysce, aby się nie wywrócił w zapędzie. W jednym kącie izby naprzeciw drzwi, długi stół, nakryty obrusem białym, a obok niego ława z oparciem, w drugim, za perkalowemi czerwonemi firankami, wielkie łoże. Widać zamożność, ale niema porządku; sama gospodyni, równie jak jej dzieci, brudna i zaniedbana.

— *Mutter*, przyrządź nam podwiecorek! — woła gbur na żonę, a ta zagotowawszy wody, nalała ją do dużego porcelanowego dzbana i postawiła na stole razem z flaszką araku, cukrem i szklankami. Nie wiedziałem, co to będzie; oddałem innym pierwszeństwo w zrobieniu sobie napoju i jak inni osłodziwszy wodę gorącą, dodałem araku, aby się napić t. zw. tu »herbaty«, która jest prostym grokiem.

Nadszedł sąsiad i rozmowa poczęła być coraz żywsza. Właśnie przyszło pismo z powiatu, że gminie nie pozwalają na otwarcie szkoły, ponieważ niema dosyć funduszu, a szkoła w sąsiedniej wsi zupełnie jej wystarcza, zwłaszcza, że będzie na dwu klasową przeistoczona.

— Jakto? — zapytałem — to wy chcecie szkoły, a władze wam jej odmawiają?

— Słuchajże waść, to jest tak. Przed welunkiem (*Wählung, Wahl* — wybory), to nam landrat obiecywał, ze dostaniem

skołe, jak na nigo bedziem štimowali, a nie na nasego mazura. Teraz nima dla nas pieniędzy; teraz jino żandar patrzy, aby štrofować jak nima ordnunku, abo jak sie cyta nase *Gazete Ludowo*. Tak to jes pomsta.

W toku rozmowy dalszej dowiedziałem się, że u nich stosunki dość przykre. »Majątkarze« czyli właściciele większych posiadłości są wyłącznie Niemcy konserwatywni, którzy należąc również z nauczycielem Niemcem do komisyi podatkowych, szacują za wysoko dochód gbura i przyczyniają się do wymiaru nader wysokiego podatku. Jeżeli dodamy do tego daniny kościelne na wysoką pensyę dla pastora i dodatki gminne, zrozumie się skargi na ucisk podatkami.

— Księdzu (tj. pastorowi) płać »jelgi« (wielki) płat, a za pogrzeb i za cosio jesce, a on sobie panem, a mi (my) zebrakamy.

Z okazyi pastora przypomnieli sobie przed kilku dniami zapadłą uchwałę synodu duchownego w Ostródzie, aby język polski tolerować wprawdzie w kościele ewangelickim, ale iść według głosu sumienia niemieckiego i wprowadzać, gdzie można, język niemiecki wszelkimi środkami, jakie tylko mogą być do dyspozycyi.

— Ano — mówili — przydzie nam zostać abo baptystami (sekta na Mazurach) abo Apostolarzami lub gromadkarzami, abo sobie zrobim nowo sekte, aby nie słusać pastorów takich.

Takto lud ten nie ma nigdzie oparcia, nigdzie opiekuna.

Wieczór się zbliżał, chciałem się z nimi pożegnać. Prosili aby zanocować, a na drugi dzień zawieźli mię do swego starszego brata w inną stronę jeziora.

Niepospolita okazałość budynków tego gbura zwróciła moją uwagę. Wszystko murowane, pokryte dachówką, obora czysta. I wnętrze nie zawiodło. Zastałem gospodarstwo, starych, bezdzietnych, w dużej, jasnej izbie, w której i firanki u okien i komoda, i szafa, i sofa wyścielana nie należała do zbytku, a cała podłoga była wyłożona chodnikami domowego wyrobu, z różnych różnokolorowych pasków. Gospodarz był typem Mazura; twarz pełna, nieco obrzękła wprawdzie, wygolona starannie, nos prosty, oczy

niebieskie figlarnie przysłonione powiekami, czoło wyniosłe w wianku siwych włosów. Oddawszy gospodarstwo przybranemu synowi, bratankowi, sam wypoczywa, czytając wiele i rad gwarząc o tem, co się na świecie dzieje. Posiadłość jego możnaby nazwać folwarkiem, bo samego lasu ma 300 morgów i w osobnym budynku opodal, utrzymuje trzech parobków żonatych.

— U nas tu bida, robociązych (najemników) trudno dostać, a i sług nimas; trza płacić 100 marków rocnie i jęcej (więcej) i dać pod zasiew korca owsa i pod dwa korce bulw.

Tak się skarżył, dopóki na stole nie pojawiła się herbata (czyli grok) i gotowane jajka, które rad spożywa. Przy piciu rozrumieniła się twarz jego i zachęcał do dolania araku, »bo to dobrze, jak człojeka rozgrzeje krzynke (nieco)«.

Pożegnałem go z milszem, niż jego brata wrażeniem; a rad byłem, żem poznał i zamożniejszego »gbura«, aby mieć wyobrażenie o różnicy. Stosunków ubogiego chałupnika nie trzeba kreślić; wobec poprzednich, łatwo sobie je wyobrazić można.

Taki jest szkicowy obraz Mazurów wschodnio-pruskich.

II. NA MAZURSKIEM POJEZIERZU.

Lec (Lötzen) na pozór niczem się nie różni od tuzina innych miasteczek powiatowych, rozsianych na piaskach Mazowsza pruskiego. Taki sam szablonowy dworzec kolei, taki sam z czerwonej cegły budynek pocztowy, tacy sami na ulicach stójkowi w pikelhaubach i taki sam na placu *Kriegerdenkmal*, na którego cokole błyszczą dziesiątki nazwisk polskich, skoszlawionych pisownią niemiecką; pod szumnem hasłem *für Kaiser und Vaterland* legły te Bartki, Kaspry i Michały, pod Metzem, Sedanem lub Gravelotte... A przecież ma Lec czyli zniemczały *Lötzen* swą własną fizyognomię, która go stanowczo indywidualizuje: leży on na wązkim pasie między dwoma jeziorami, Lewentyńskiem i Kisańskiem (wyżej Niebolskiem zwanem) i jest emporyum handlowem dla parowców, kursujących na północ do Węgoborka, a na południe przez Mikołajki do Rudzian. I Węgobork i Rudziany mają już kolej żelazną i towary tu dostawione idą dalej lądem.

W piękny, choć chłodny poranek majowy, znalazłem się na parowcu »Löwentin«, mającym odpłynąć do Rudzian i na jezioro nidzkie *(Nieder See)*. Bojąc się spóźnienia, spieszyłem, ile możności, i przeraziłem się poważnie, usłyszawszy w drodze gruby gwizd parowca; tymczasem nie tylko, że czasu do odjazdu było dosyć, ale nadto mało było dotąd na pokładzie osób; gwizdnięcie zaś było sygnałem dla wozu z kilkudziesięciu beczkami piwa nadjeżdżającego, aby prędzej przybywał. Zanim naładowano piwo, stawiając nawet na pokładzie liczne beczki, upłynęło dobre pół godziny, a może i więcej; świadomi niepunktualności odjazdu przybyli na czas, a kapitan dał dopiero wtedy znak do odbicia, kiedy nikogo już na drodze nie dojrzał, a beczki obciążyły parowiec nawet ponad normalną miarę.

Wypłynęliśmy z bardzo prymitywnej przystani na pełne jezioro. Podnoszące się coraz wyżej słońce, poczęło siec ciepłymi promieniami unoszące się nad wodą opary, które rychło opadły, gnane lekkim wiatru powiewem. Naokoło widać było brzegi jeziora nizkie i bez uroku; tu i tam jakiś dom biały lub wysmukły dąb, albo lasek świerkowy i to wszystko. Powoli malały niewielkie domy Leca, aż spłynęły w jedną wydłużoną plamę.

Tymczasem południowo-zachodnią część jeziora, którąśmy płynęli, poczęły ściskać brzegi: na prawo zostały Strzelce, Bogaczewo — małe osady polskie, przed nami wzrastała wyniosła wieża kościoła rydzewskiego. Brzegi, teraz więcej interesujące, zwężają się tak, że je łączy most, popod który kanałem przesunąć się musi parowiec, w biegu zupełnie wolnym. Poza mostem jest już jezioro jagodzieńskie, mające nazwę od Wielkiego Jagodnego i Małego, które leżą na lewym brzegu prawie przy obu końcach jeziora.

Przy Małem Jagodnem jest dość zajmujący długi język lądu, wciskający się w jezioro, a zarosły cały liściastemi drzewami, które tworzą park naturalny. Oprócz tego do znacznej odległości płaskiej mielizny rośnie gęsto trzcina, dając schronienie stadom dzikich kaczek i gęsi.

Przy Jagodnem omal nie było przypadku. Jakaś Niemka miała tu wysiąść, ale, że parowiec nie może zbliżyć się do brzegu

wypłynął po nią przewoźnik na małej łódce. Czy nie dosyć doświadczony, czy nie zupełnie trzeźwy, dał się porwać wirowi spienionej śrubą wody i zamiast się zbliżać, oddalał się z falami od parowca, który tymczasem prawie stanął. Po długiej walce zbliżył się wreszcie do boku okrętu, ale uderzywszy za silnie o jego korpus, znowu się odsunął w chwili, kiedy pasażerka już chciała wskoczyć do łódki i jedną nogę stawiała na jej brzegu. Gdyby nie pochwycenie jej przez maszynistę, byłaby wpadła do wody niechybnie. Kiedy się wreszcie dostała do mokrej łodzi, a jej Charon odbił, fale sunącego naprzód parowca długo miotały wątłą łupiną i kołysały tak, że obecne na pokładzie panie kilkakroć wydały okrzyk przerażenia, bo się zdawało, że się łódka już przechyla. Dopiero kiedy odważna Niemka stanęła na brzegu i chustką poczęła dawać znaki w stronę parowca, rozległy się oklaski, wiewanie chustkami i okrzyki: *A braves Mädel!*

Towarzystwo składało się istotnie z Niemców lub prawie z Niemców, bo jestem przekonany, że żaden miejscowy Mazur, choćby go zagadnąć po polsku, nie przyznałby się do znajomości tego języka. Jeszcze w okolicy Łku mogłoby się to stać łatwiej, ale tu, rzeczby to była niebywała. Jeżeli Mazur taki należy do ludu, a znajdzie się w stosunku zależności do Niemca, nie może się zdradzić ze swym językiem, boby stracił miejsce; jeżeli zaś należy już do pewnego rodzaju inteligencyi przeszedł poprzednio jakieś szkoły, w których mu dostateczną ilość kultury niemieckiej wlano do głowy, a wyśmiano wszystko, co polskie i słowiańskie.

Na parowcu utworzyło się trzy grupy: do najliczniejszej należało trzy starsze kobiety i jedna młoda, a te nieprzestannie trzepały językami, aż do szumu w uszach, drugą tworzyła jakaś młoda para turystów spoglądająca więcej na siebie, niż na okolicę, i wreszcie samotny kapitan pruskiej piechoty, dobywający co chwila inną mapę z przybocznej torby i studyujący okolicę zawzięcie, jakby już jutro miało nastąpić jej ufortyfikowanie lub potrzeba obrony. Syn Marsa nie przestał tu nawet staczać bezkrwawych utarczek, wodząc palcem po mapie.

Niebawem dobył binokle i począł śledzić otaczające nas

brzegi jeziora. A już też widoczna była wysmukła wieża w Szymionkach i coraz wyraźniej występowały przytulone do niej większe i mniejsze domy. Błądząc z przedmiotu na przedmiot oko darmo szukało tu ujścia jeziora, którędyby dalej płynąć było można. Z ciekawością tedy uważali wszyscy, w jakim parowiec popłynie kierunku; nikomu na myśl nie przyszło, że niebawem wpłyniemy w kanał.

Zbliżyliśmy się do mostu łączącego przez kanał drogę z Szymionek ku miastu Rynowi. Parowiec zwolnił biegu, komin blaszany zgięto w tył — wszyscy się pochylili, lub przykucnęli i powoli znaleźliśmy się poza mostem u początku kanału łączącego jezioro jagodzieńskie z szymiońskiem. Kanał to na 12 m. szeroki, a nie więcej jak $2^1/_2$ metra głęboki, zmusza parowiec do ostrożnego i wolnego posuwania się naprzód, tem więcej, że prawie w połowie linia jego prosta łamie się i drugie to ramie tworzy ż pierwszem kąt rozwarty.

Zaraz poza mostem parowiec przystanął. Trzeba było wyładować kilka beczek piwa, a natomiast przyjąć dwie beczki jakiegoś płynu tłustego, lub smarowidła. Pierwsze udało się dobrze drugie doznało przeszkód i wywołało komiczno-tragiczne intermezzo. Beczki do ładowania były znacznie większe, niż beczki piwne, a lubo wypukłość ich boków była mniejsza, trzeba było wprawy wielkiej, aby na wązką deskę, służącą za pomost, wtoczyć beczkę równo. Z jedną jakoś to poszło, druga pomimo komendy i nawoływań, wpadła w wodę. Z pomocą lin nic się nie dało zrobić, bo brzeg prostopadły, zakończony opłotkiem z wikli, wstrzymywał wytoczenie beczki na brzeg; dopiero z pomocą desek udało się wydobyć owego »wieloryba«, przyczem jeden ze służby parowcowej ukąpał się poniewolnie, chociaż tylko po pas; opłotek uratował go od zanurzenia się w mule, a może i skrycia się pod spód parowca.

Okolica nad kanałem szymiońskim należy do najnudniejszych, jakie tu można napotkać. Błotniste łąki i bagniska torfiaste ciągną się nieprzerwanie po obu stronach kanału i zaledwo tu i owdzie w oddali dostrzedz można drzewo. Szczęściem, pomimo wolnej jazdy, kanał przebywa się dosyć szybko i wpływa

na małe jeziorko, aby z niego dostać się znowu kanałem do większego Taltowiska. Przy tem jeziorze ma parowiec znowu do przebycia wązki kanał nakryty mostem, leżącym na szosie z Mikołajek do Rynu. Z daleka widać było kilka osób, czekających na moście, później nadjechał powóz i przystanął, wreszcie w całym pędzie wpadł cyklista, a spostrzegłszy parowiec tuż prawie przy moście, zatrzymał się również.

Servus Eduard! krzyknął ku nam, a na głos ten, zerwał się kapitan i począł ręką machać ku mostowi.

W tej chwili zgiął się komin, kapitan okrętu krzyknął *hocken!* (przykucnąć!); szczęściem dla rozczulonego piechociarza awka obok niego była próżna, więc rzuciwszy się na nią, uniknął powalenia.

Jeszcze chwilę tylko trwa jazda Taltowiskiem, potem jeszcze jeden kanał krótki i wpływamy na jezioro Ryńskie (zwane także *Talten)*, mające długości około 20 kilometrów, a szerokość bardzo rozmaitą od $^1/_2$ do 2 kilometrów. Brzegi jego są znacznie wyższe, miejscami dosyć strome, głębokość zaś ma być między wszystkiemi jeziorami mazurskiemi największa. Ze zmianą kierunku jazdy z zachodnio-południowego na południowy, poczyna wiatr dość ostry niedyskretnie zdzierać woalki z twarzy niewieścich, a szczypać nawet dosyć opalone oblicza służby okrętowej. Wszyscy owijają się, jeśli tylko mają pod ręką co cieplejszego, pruski kapitan podnosi kołnierz płaszcza w górę i razi czerwoną jego podszewką; ja, chociaż nie mam podobnej podszewki, czynię to samo, bo uszy moje są niezwykle tkliwe na zimno. Tylko rąk nie osłaniam, bo trzymam w nich momentalny aparat fotograficzny i oczekuję sposobności zdjęcia jakiego szczególnego przedmiotu lub widoku. Z boleścią w sercu dotkniętej do żywego ambicyi amatora, spostrzegłem, że mnie już uprzedzono i wyręczono; w kajucie zawieszono za szkłem wzory, a u służącego można je wszystkie otrzymać chociaż za cenę dosyć wygórowaną. Chociaż się tedy zbliżamy do Mikołajek, ja chowam aparat do torby, bo Mikołajki mam na kupionym światłodruku.

Przy skręcie pod most i ku przystani czuła odbyła się scena. W ogrodzie, przylegającym jednym bokiem do kościoła, drugim

do brzegu jeziora, stały dwie damy i na widok parowca poczęły powiewać chustkami. Z naszej strony w grupie dam zrobił się ruch, potem okrzyki; puszczono w ruch również chustki, a wkrótce i języki, bo odległość pozwalała głos usłyszeć. Scenie tej położyła koniec nieubłagana konieczność pochylenia się i to znacznego, aby belki mostu nie »zestrychowały« z pokładu nieoględnych.

Parowiec stanął w mikołajeckiej przystani, w której się zaroiło głównie od dzieci. Poczęto wyładowywać piwo; — część podróżnych wysiadła, a chociaż miałem ochotę poznać miasteczko (nazywane przesadnie przez Niemców »Wenecyą mazurską«), wstrzymałem się od tego pod wpływem uwagi kapitana okrętu, że odbijamy zaraz po wyładowaniu, a że dopiero w powrocie zatrzymuje się tu parowiec na całą godzinę.

Nie miałem zamiaru powracać tylko dla tego, aby Mikołajki poznać; z bólem serca więc musiałem swoje obserwacye ograniczyć na tem, co mi los nasunął na moście i na brzegu przystani. Otóż najpierw zauważyłem, że ludność tu jest polska, bo niewątpliwie Polakiem był ów parobek, który spiesząc drogą ku parowcowi, widocznie wołany przez kogoś, wołał, że »musi iś po psiwo« — a zapewne i jego interlokutor musiał tego samego używać języka, bo wątpię, czyby się w innym był mógł z nim porozumieć. Stwierdziłem również prawdę po wielekroć stwierdzoną, że płeć piękna korzysta chętnie z każdej okazyi, jeżeli tylko może się pokazać, zwłaszcza obcym; gdzie niema stacyi kolei żelaznej, tam używa się ku temu choćby lichej przystani, a ponieważ przy niej niewielka promenada, więc choćby niewygodnego i trzęsącego się mostu. Czerwone, zielone i fioletowe parasolki wyglądały na nim jak olbrzymie maki...

Zauważyłem wreszcie, że nie tylko w kraju ojczystym, ale i tu, w *Masurenlandzie* nie mam szczęścia — do kobiet. Korzystając ze sposobności, chciałem kilka postaci, wraz z mostem i przystanią, przekazać potomności zapomocą klisz fotograficznych, tymczasem nieprzyjazne losy, w tej chwili, kiedym już miał nacisnąć sprężynkę migawki, zesłały gwałtownego Eola, który wszystkie postacie na moście odwrócił ode mnie, jak chorągiewki; kiedym chciał szkodę naprawić, grupa malownicza rozstrzeliła się, a pa-

rowiec, odsuwając się od brzegu, popadł w nerwową drżączkę utrudniającą zdjęcie fotograficzne, nawet momentalne. Ile potomność na tem straciła, nie umiem objaśnić, ale ja straciłem wiele, bo wiarę — w siebie...

Mikołajki tedy pozostawiły w mej duszy elegijne wspomnienie. Szczęściem nowe wrażenia zatarły niedawne; bo oto kapitan okrętu, obserwujący moją żyłkę fotograficzną, raczył przemówić do mnie z wysokości swego kapitańskiego pomostu i zwrócić mi uwagę, że wpływamy na jezioro Beldan i że niebawem będziemy mijać ujście jego w ogromny *Spirding*. Ow *Spirding* to polskie »Śmiardwy«, największe obszarem jezioro mazurskie, którego się jednak nie zwiedza, ale tylko obok niego przepływa. Jezioro to bez mniejszych i większych odnóg, obejmuje powierzchni 102 km□ i daje złudzenie pełnego morza, bo się brzegów przeciwnych nie dostrzega; tylko w południowo-wschodnim kącie czerni się jeden punkt: to wyspa i warownia »Ełkiem« zwana.

Chwila oglądania tego jeziora trwa literalnie tylko minutę; brzegi się znowu zsuwają i dalekie płaszczyzny zasłaniają drzewa. Mijamy na lewo Wierzbę, osadę polską, i wpływamy w przecudowny park, przerznięty głębokim i długim, ale wązkim pasem jeziora. Właściwością Beldana jest gęste zalesienie obu jego brzegów i to przeważnie drzewami szpilkowemi. Brzegi wysokie, a nawet strome, a na nich tu i ówdzie dąb lub inne jakie drzewo liściaste, nadają krajobrazowi wiele rozmaitości i wdzięku. Majestatyczny spokój, przerwany chyba śpiewem ptaka, usposabia nawet nie-romantyka do poważnej zadumy i podziwu dla przepięknej natury. Obrazy te przesuwające się przed okiem na sposób kalejdoskopu, tem więcej niewolą zmysły, że przedtem nic się podobnego nad jeziorami nie spotkało, owszem nad wszystkiem prawie ciążyła — nuda.

Przygłuchy jęk parowca budzi z zadumy. Poczęliśmy skręcać w prawo wązką szyją, zwężoną jeszcze bardziej wysoką trawą wodną i mnóstwem tratew, zbitych z drzewa, przeznaczonego do tartaku. Robimy łuk w lewo, ostrożnie się między tratwami przesuwając i spostrzegamy wielki tartak wodny, a naokoło niego stosy trocin. Podróż wydaje się być skończona, na-

około niema wyjścia, jakiś kanał zamknięty mostem wysokim i palisadą.

Parowiec przybija do brzegu i staje. Jesteśmy w Gusiance. Niektórzy podróżni opuszczają pokład, ja pytam, czy to już koniec jazdy.

Nie — musimy tylko zaczekać, aż przez śluzy przejadą tratwy z jeziora gusińskiego, leżącego o 2 m. wyżej od Beldana. Istotnie otwarto rodzaj ogromnej, z belek skonstruowanej bramy, woda wyższego jeziora napełniła śluzę, w którą wpłynęły dwie tratwy. Następnie zamknięto poprzednią bramę, a otwarto pierwszą przed nami: woda poczęła odpływać, aż się tratwy obniżyły do poziomu ogólnego i wtedy przepłynęły koło parowca, a on na ich miejsce wpłynął do śluzy. Nastąpił proces odwrotny, niż z tratwami: najpierw zamknięto za nami śluzę, potem powoli puszczano wodę, aż się poziom śluzy zrównał z jeziorem guszyńskiem, poczem parowiec ruszył dalej.

Krajobraz leśny trwa bez zmiany, ale podszycie drzew szpilkowych i płaskie brzegi nadają mu odmienny charakter. Małe jeziorko przebywa się rychło i staje w przystani rudziańskiej, otoczonej również licznemi belkami pływającemi przy brzegu, a należącemi do sąsiednich parowych tartaków.

Przystań rudziańska znajduje się tuż u mostu kolei, łączącej Ełk przez Jansbork z Rudzianami. Most, jak wiele innych, a przecież nie brak było gości, którzy się mu dziwili, a nawet kupowali kartkę pocztową z widokiem tego nieśmiertelnego dzieła sztuki.

Mało podróżnych wysiadło, większość, z tymi, którzy tu wsiedli, okazała chęć zwiedzenia jeziora nidzkiego, połączonego kanałem krótkim z jeziorem guszyńskiem. Wpływamy tedy na coraz szerszy przestwór; charakter brzegów podobny do jeziora beldańskiego, ale specyalną cechą nidzkiego, są liczne, całe drzewami porosłe wyspy, tworzące nader malownicze grupy.

Jezioro to tworzy trzy boki nieforemnego czworoboku od zachodu, południa i wschodu; bok północny tworzy linia kolei żelaznej, przecinająca ogromny bór jansborski. Gdyby dalsze jeziorka były połączone kanałami, możnaby stąd podpłynąć aż pod

Jansborg, a potem przez jezioro Warszawskie i dalsze dwa mniejsze, dostać się do Śmiardw od strony wschodnio-południowej.

Tak nam objaśniał kapitan okrętu, ale ze względu na spóźnioną porę i potrzebę powrotu, pokazał nam jezioro nidzkie tylko może w $^1/_{10}$ części, eksplikując, że dalej takie samo.

Wróciliśmy tedy do przystani rudziańskiej. Pociąg, który mnie miał powieźć dalej do Szczytna *(Ortelsburg)* i Olsztyna *(Allenstein)* na Warmii, miał nadejść dopiero o godz. 3., a teraz była 12. w południe. Skorzystałem tedy z pożądanej przerwy i zapuściłem się w głęboki bór sosnowy, napawając się balsamicznem powietrzem. Zbierałem też wrażenia przebyte w dniu tym i nie żałowałem tego punktu programu w podróży; poznałem bowiem najciekawsze okolice Mazowsza pruskiego, cechujące wybornie kraj cały i dziwiłem się w duchu, że dotąd nikt z polskich turystów w tę stronę kroków swoich nie zwrócił.

(Dok. nast.)

Roman Zawiliński.

ECHA PODZIEMNE[1].

SZKIC LITERACKI.

To, co szumnie ochrzczono mianem rewolucyi rosyjskiej, co zaś w istocie rzeczy nie było niczem innem, jak tylko anarchią pospolitą dusz i umysłów, wyrzuciło ze swoich odmętów cały szereg talentów, które jednakowoż zetliły się w ogniu i wichrach haseł najszczytniejszych w zasadzie, wypaczonych zaś haniebnie w zastosowaniu praktycznem.

Naturalną rzeczy koleją maniera przedstawiania »bohaterów« rewolucyjnych przedostała się do literatur, mających bezpośrednią styczność z współczesną literaturą rosyjską. Do polskiej w stopniu znikomo małym, przyczem podkreślić z zadowoleniem należy, iż apoteozy unikano, czego dowodem najwymowniejszym »Przywódca« Stefana Krzywoszewskiego, — do małoruskiej, na nieszczęście, aż nadto silnie.

Jest w tym znamiennym objawie coś symptomatycznie chorobliwego. Echa haseł przebrzmiałych, co zmilkły rychlej, niźli zdołano je rzucić, przepojone są taką beznadziejną żałobą, jak gdyby koniec świata był już niedaleki.

... »Żegnajcie niwy... I ty, kukułko, ze szczytu brzozy. Tyś również stroiła struny mojej duszy. One osłabły, poszarpane grubymi palcami, a teraz naciągają się znowu. Słyszycie? Ot, za-

[1] Kociubińskij Mychajło: »Z głybiny«. Opowidania. (»Mołoda Muza«, czysło 12). Lwów 1909. 8-ka, str. 100.

brzęczały nawet... Żegnajcie mi. Idę pomiędzy ludzi. Dusza gotowa, struny tęgie, naciągnięte, ona już gra«... (str. 36).

Talent niewątpliwy, uległ — niestety — zarazie nagminnej. Podniósł się do apoteozowania dusz niezrównoważonych bezwarunkowo, niezdecydowanych nigdy, a idących jedynie za hasłami dnia dzisiejszego, czy wczorajszego.

Oddziałało nań silnie, bardzo tęgo, to dążenie fatalne, jakiego objawy można co krok napotykać we współczesnej literaturze rosyjskiej. Ale też widoczna jest u p. Kociubińskiego doskonale beznadziejność krańcowa, rozpacz z tej przyczyny, że o wolności takiej, do jakiej chcieli dążyć twórcy »nowej Rosyi« społeczno-politycznej, na wieki wieków mowy być nie może. Rozpacz czarna, szczera, bezdennie szczera, a tak jaskrawie i wyraziście malująca się na tle przeróżnych kwestyi, które lat temu parę, za ś. p. pierwszej i drugiej nawet Dumy państwowej, nie schodziły z porządku dziennego nie tylko obrad *quasi*-parlamentarnych, ale, — co gorsza, — bywały rozstrzygane na meetingach rozmaitych klubów, petersburskich zwłaszcza, w sposób iście Salomonowy, rozpacz człowieka, myślącego uczciwie, na widok niechybnie zbliżającej się katastrofy — wieje z tych stu stron książki. Bo, gdyby katastrofa ta przyszła, nie daj Boże, — wówczas bylibyśmy świadkami ruiny przeraźliwszej od tych wszystkich, jakie wieki starożytne przechowały do naszych czasów, jako groźne upomnienie i przestrogę dla pokoleń...

P. Kociubińskij nie jest twórcą daty dzisiejszej. Rozpoczął działalność literacką nie wczoraj, ani onegdaj, a przecież, pomimo więzów, jakie nakładała nań wiekuistej pamięci *predwaritielnaja cenzura*, potrafił wypowiedzieć się zawsze, ilekroć tego potrzeba wymagała, w sposób o wiele zręczniejszy od tego, jaki obrał w omawianej książce. Stąd bowiem, z kart tych wszystkich, wieje tyle rozczarowań, taka krańcowa negacya czynu wszelkiego i bytu samodzielnego, że, wychodząc ze stanowiska, iż literatura powinna bezwarunkowo umacniać ducha, siły mu dodawać, otuchę wlewać do pracy dla przyszłości, należałoby zbiór nowel p. Kociubińskiego potępić najbezwzględniej.

Byłem świadkiem tylu rozterek duchowych współczesnych

twórców »Młodej Rosyi«, z boleścią prawdziwą patrzyłem na zmagania się ich z samymi sobą i z duchem czasu, (które to dwa warunki tylko w wyjątkowych wypadkach godziły się razem), a przecież trudno bardzo było mi pogodzić się z temi wątpliwościami, nad rozwiązaniem których oni tracili napróżno czas drogi, jak gdyby chodziło im o rozwiązanie conajmniej tak trudnego i skomplikowanego dylematu, jakim jest zagadka wszechistnienia... Dokąd dochodzono w trakcie rozumowań, mających pozór filozofii życiowej, lepiej nie wspominać!

Podobnież mają się rzeczy z p. Kociubińskim, którego utwory są poniekąd echem dalekiem wypadków straszliwych.

* * *

Daleki jestem od wyczerpywania dokładnego zawartości całego zbiorku jego opowiadań.

Celem poparcia tego wszystkiego, co powiedziano wyżej, postaram się o streszczenie najbardziej typowych obrazków.

A zatem »Śmiech«. Śmiech straszniejszy od wszystkich »Czerwonych śmiechów« z czasu wojny japońskiej.

Blada, niewyspana pani Natalia odchyliła drzwi z sypialni do pokoju jadalnego, gdzie już stara służąca robiła w pośpiechu porządki codzienne. Okiennice były przymknięte. Otworzyć je, czy nie?... rozmyślała pani domu pogrążona w troskach. Wszak źli ludzie chodzą nieustannie popod oknami... A nuż zaszliby tutaj?... Tak rozumując, nie posłała nawet kucharki do miasta po codzienne sprawunki, rozkazując nikogo bezwarunkowo nie wpuszczać do mieszkania. W pokoju panował półzmrok i tylko żółte smugi światła przebijały częściowo przez szpary w okiennicach, rozciągając się w przestrzeni falami błędnemi, drżąc nieustannie chwiejnie.

Pani Natalia myślała o dniu dzisiejszym z wewnętrzną trwogą. Czem on się zakończy?... Iluż to ludzi stratowały kopyta końskie, wiele krwi przelano?... A teraz na dobitek podburza ktoś motłoch przeciwko inteligencyi! Wieleż to razy błagała męża,

żeby zabrać dzieci i wyjechać na pewien przeciąg czasu, póki nie nastanie spokój. A teraz?... I za co to?!...

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć płacz dzieci. Pani Natalia bez namysłu rzuciła się w kierunku głosów jękliwych, uspokajała dziatwę, ruszając nerwowo rękoma, jak ptak skrzydłami. Kiedy jednak pośpieszyła jej z pomocą Barbara, dzieci ucichły. Natomiast pani Natalia zaniepokoiła się naprawdę, gdyż dowiedziała się od Barbary, że jacyś nieznajomi, podejrzani ludzie zapytywali o pana domu. To też bez namysłu poleciła przedewszystkiem służącej, iżby mówiła wszystkim nieznajomym, iż państwo wyjechali na czas dłuższy, sama zaś postanowiła rozmówić się na seryo z mężem.

Pan mąż, nawpół ubrany, zaczynał objawiać swój krewki nieco temperament gniewem, nadto krzykliwym. Nastrój był ponury. Kiedy zaś zachciało się mężowi kazać otworzyć okiennice, na policzki pani Natalii wystąpiła krew plamami czerwonemi.

Pani Natalia sprzeciwiła się energicznie, o ile na to było ją stać, otwarciu okiennic. Mąż mruczał coś długo pod nosem, ale, koniec końców, przyznał żonie słuszność. Pokój owionięty był tajemniczym półmrokiem. Dzieci — chłopczyk i dziewczynka — zdziwione niemało czemś, co po raz pierwszy w życiu zobaczyły, szeptały coś pomiędzy sobą, pan Waleryan zaś bębnił bezmyślnie palcami po stole. Dręczyła go ciągle myśl o tem sławnem swojem przemówieniu, jakie wygłosił na ulicy do ludu, ale zarazem obawiał się, aby ten lud nie zechciał odwdzięczyć się mu za naukę czemś, czego nie pragnąłby nikt pod żadnym warunkiem.

Najwięcej drażniły go zapuszczone story. Co też tam za niemi, na ulicach dzieje się teraz?... myślał.

Na szczęście przyszedł znajomy student Horbaczewski, powitany radośnie, jak gdyby był prorokiem. Był w mieście, widział wszystko, zatem niechaj opowiada o tem, na co patrzył, co się dzieje tam, co usłyszał od ludzi!...

Wypadki przedstawiały przyszłość w kolorach możliwie najciemniejszych. Co przyszłość przyniesie?... któż może odgadnąć. Wszystko wskazuje na to, iż koniec będzie jak najgorszy. Bo to... u Mykitki był meeting *czarnosotienny*. Radzono długo przy

akompaniamencie tłuczonych po pijanemu szklanek i kieliszków, kogo najprzód bić, ale to tak bić, póki duch z ciała nie wyjdzie. Ulicami włóczą się jakieś indywidua o twarzach hardych, płonących nienawiścią, oczy ich zaś zioną ogień na sam widok człowieka inteligentnego. Pomiędzy motłoch, który się pościągał nawet ze wsi, rozdają darmo wódkę. Tłum naradza się, ale nad czem radzi, tego nikt nie wie dokładnie. Padają tam tylko nazwiska, ale dlaczego, po co, w jakim celu?...

Zatopionych z całą uwagą w opowiadaniu odrywa na chwilę od smutnych refleksyi przybyła znajoma. Ślady pomieszania znać było z całego jej zachowania się i dość wyraźnych półsłówek. Już to, o czem powiedziała na wstępie, było wystarczające.

— »Moi kochani, moi drodzy... wy jeszcze żyjecie? A ja myślała... Zaczęło się już... Tłum chodzi po ulicach z portretem carskim. Co dopiero widziałam, jak bili Sikacza... Młodszego, studenta... Nie zdjął czapki przed portretem. Widziałam, jak jego, już bez czapki, czerwonego, w podartym surducie, zgiętego we dwoje, rzucano z rąk do rąk i wszyscy bili. Oczy u niego takie wielkie, czerwone, obłąkane... Ogarnął mnie strach... Nie mogłam patrzeć się... I wiecie — kogo widziałam w tłumie? Lud... Włościan... w szarych, odświętnych sukmanach, w wielkich butach, prostych, statecznych włościan... Tam byli ludzie z naszej wsi, cisi, spokojni, pracowici... Ja ich znam, ja już pięć lat jestem nauczycielką w tej wsi... A teraz uciekłam stamtąd, bo mnie chcieli pobić. U nas wszystkich zrujnowali. No, jeszcze tam bogatszych... Ale kogo mnie żal, to naszej sąsiadki. Stara wdowa, biedna. Jeden syn na Sybirze, drugi siedzi w więzieniu... Tylko została się jej stara chata i ogród. I ot, zniszczyli wszystko, rozebrali chatę, sad wyrąbali, książki synów podarli... Nie chciała prosić, jak inne. A niektóre wychodziły naprzeciwko tłumu z obrazami, z drobnemi dziećmi, padały na kolana w kurz i błagały całemi godzinami, ręce chłopom całowały... I nad temi zlitowano się«...

Podczas całego tego opowiadania pani Natalia siedziała naprężona, jak struna, jak gdyby czegoś wyczekiwała.

Nagle ze dworu dał się słyszeć hałas. Wszyscy umilkli,

obrócili się ku oknom i z wyciągniętemi szyjami zakamienieli w uwadze. Hałas zdawał się przybliżać. A było w nim coś podobnego do dalekiej ulewy, do głuchego ujadania zwierząt. A-a-a... a-a-a... głosy zmieszane odbijały się o wysokie ściany i gdzieś w pobliżu dało się słyszeć stąpanie nóg po chodniku.

Pan Czubiński chciał wyjść na ulicę, gdy wtem, jak na komendę, wszyscy rzucili się na niego, krzycząc, że nie powinien wychodzić, bo to właśnie jego szukają, że tam niczego nie wskóra, że nie można zostawiać na łasce losu żony i dzieci. Żona zaś zapewniała, że umrze bez niego. Tymczasem hałas przycichł. Tylko z kąta dolatywał rosnący z każdą chwilą płacz przelękłych dzieci. Dopiero Barbara uspokoiła je. To też goście nie szczędzili jej pochwał. Pani domu zaś mówiła:

— »O! moja Barbara to złota kobieta... To nasz prawdziwy przyjaciel... Spokojna, rozsądna, przychylna. I wyobraźcie sobie, bierze wszystkiego trzy ruble na miesiąc«...

Goście zaczęli zabierać się do wyjścia i teraz dopiero przypomniała sobie szczebiotliwa znajoma cel swojego przybycia. Otóż — podług niej — pan Waleryan po swoich mowach meetingowych nie powinien siedzieć w domu. Lepiejby przeczekać ten niepewny czas gdzieś u sąsiadów, po prostu ukryć się. Radzi tak postąpić ze szczerego serca.

Teraz, gdy państwo Czubińscy zostali sami w przyciemnionym pokoju, otoczeni czemś groźnem i niewidzialnem, i starali się jedno przed drugiem ukryć niespokojne myśli, trwoga wzrastała, zbierając się dokoła nich, jak trujący gaz. Bo czyliż on zdoła stawić opór ślepej złości rozszalałego tłumu, niewiedzącego, co czyni?! Żona wiedziała także o tem.

W tej chwili dał się słyszeć głos dzwonka. Pani Natalia nie puściła męża, chociaż dzwonek dzwonił, jak opętany. Wejściem przez kuchnię przyszedł znajomy lekarz i już idąc wołał głośno, witając dobrych przyjaciół:

— »Siedzicie sobie gołąbki i nie wiecie, co się dzieje... Biją, zabijają... Porzną, powiadam wam, jak kurczęta... Rozbili mieszkanie doktora Garne, zniszczyli wszystkie jego instrumenty. Żonę włóczyli za warkocze, a Garne'go zabrali ze sobą: nosi teraz

portret na froncie huliganów. Macie raz!... Iwaneńka ściągnęli z dorożki i rozbili mu głowę. Macie dwa. Zalizko musiał przysiądz na absolutyzm, gdyż bili go tęgo. Macie trzy. Akuszerkę Raszkiewiczową podobno zamordowali. Policyi niema, znikła. Oddano nas na pastwę pijanej hołoty... Trzeba nam wszystkim zebrać się na rynku koło rady miejskiej. Słyszycie? Zaraz. Zaraz trzeba zebrać się i bronić się orężnie«.

Po tych słowach lekarz wybiegł czemprędzej z krzykiem. A pana Czubińskiego ogarnęło przerażenie. Co począć? Gdzie ukryć się? Uciekać... tak, ale dokąd?... Dziesiątki planów błyskały w jego głowie, jak błędne ogniki i zaraz gasły. Zwierzęcy przestrach pędził go z kąta w kąt, a myśli tak przelatywały mu szybko przez mózg, jak zwierzęciu, pojmanemu w sidła. Dopiero wejście Barbary, która na widok trwogi, bijącej z twarzy pana domu, wybuchła szalonym śmiechem, przywróciło mu trochę przytomności. Zdziwiony takim niespodzianym wybuchem wesołości, przystanął, kucharka zaś, pośmiawszy się jeszcze nieco, przemówiła z dziką radością w głosie, z którego przebijała nieukrywana nienawiść:

— »Ha-ha!... Biją... i niech biją... Ha! ha-ha! Bo dosyć panowania... ha ha-ha!... Chwałaż ci, Boże, doczekali się ludzie... Ha-ha-ha!... wyrznąć w pień... ha-ha-ha!... żeby i na nasienie... wszystkich«...

Czubińskij uchwycił się stołu, bojąc się, żeby nie upaść ze złości. Wygonił ją do kuchni i zrobiwszy parę kroków zatrzymał się rozmyślając nad tem, co od niej usłyszał, a co wydało się jemu niemożliwem, czemś niezrozumiałem.

— Dlaczegóż ona nie strejkuje?... — krzyczał w złości otwierając okiennice, przez które ze dworu runęło chłodne powietrze, a wraz z niem echo groźnych pomruków ulicy. A... a... a!... przylatywało z daleka i zbliżało się z każdą chwilą. A w tem wyciu słychać było brzęk tłuczonego szkła i krzyki oderwane, pełne rozpaczy i przerażenia, i stukot nóg olbrzymiej tłuszczy. Wiatr jesienny pędził w dal żółtawe chmury, uciekając z miasta, skąd słychać było poryk:

— A-a-a... a-a-a!...

Że p. Kociubińskij przeżył wiele godzin rozpaczy i beznadziejnie smutnych porywów, tego najlepszym dowodem »Intermezzo«, fantazya liryczna rozdzierająco bolesna. Po jakże krwawych ścieżkach błąkał się umysł autora?!...

— »Chyba mogę być pewnym, że nie odchylą się drzwi... ot, tak troszkę, z lekkiem skrzypnięciem, i z niewidomej ciemni, bardzo głębokiej i niemającej końca, nie zaczną wychodzić ludzie... ci wszyscy, którzy składali w mojem sercu, jak we własnem schowku, swoje nadzieje, gniew i cierpienia, albo krwawą drapieżność zwierza... Ot, już ich widzę. Ba, ba! Jakżeż was wielu... To wy, co z was wyciekła krew maleńką dziurką od kuli żołnierskiej, a to wy... suche preparaty: was zawijano w białe worki, huśtano na powrozach w powietrzu, a potem składano w źle przysypane doły, skąd was psy wygrzebywały... Patrzycie na mnie z wyrzutem — i po waszej stronie prawda. Wiecie raz czytałem, jak was powieszono razem dwunastu... Razem dwunastu... A drugim razem wiadomość o szeregu białych worków zakąsiłem dojrzałą śliwką. Tak wziąłem, wiecie, w palce prześliczną soczystą śliwkę... i poczułem w ustach przyjemny, słodki smak... Widzicie, nawet nie czerwienię się, twarz moja biała, jak wasza, bo trwoga wyssała ze mnie wszystką krew. Nie mam już ani kropli krwi gorącej i dla tych żywych nieboszczyków, pośród których idziecie, jak krwawa mara«...

Na takich wizyach i rozmyślaniach mijał dzień za dniem. Aż raz wszedł autor w rozmowę z chłopem, a od niego usłyszał rzeczy, od których włosy wstają na głowie: o nędzy, o tem, jak choroba zabrała mu pięcioro dzieci, o tem, jak lud chciał panom odebrać ziemię, a za to jedni gryzą szarą ziemię, a inni kopią ją w minach sybirskich, i o tem, jak sam opowiadający chłop przez rok bił wszy siedząc w więzieniu, i o tem, jak teraz raz na tydzień »stanowy bije go w mordę«. A dalej usłyszał, iż obecnie nastały takie czasy, że przyjaciel zdradzić gotów jest przyjaciela, że dokoła snują się tysiące uszu ciekawych, wiją się tysiące niewidzialnych rąk, że musi chodzić pośród ludzi, jak wśród wilków, i ciągle mieć się na baczności. Mówił chłop dalej jeszcze, jak to

ludzi pożera bieda i wódka, ludzie zaś, dla braku oświaty pożerają się nawzajem tak, że życie staje się niemożliwem, strasznem.

Stąd też rozpacz ogarnia go ze wszech stron, oplątując go, jak pająk schwytaną muchę. Jeszcze lepiej maluje się brak wiary w lepszą przyszłość w obrazku p. t. »Ślepy«, którego inwokacya jest sama przez się charakterystyczna:

... »Czuję pod sobą twardy, więzienny materac, widzę swoje ciało rozciągnięte na łóżku, swoje wielkie nogi, obute w trzewiki, swoje ręce, któremi-m... W kąciku błyska lampka, a nad nią zawisła szara, wroga cisza. I nie chcę widzieć tego, nie chcę... Zamknę oczy. Koła ogniste. Tańczą i sypią iskrami... A teraz... teraz płynie już rzeczka życia. Bo cóż z tego, że zamknięto mnie w tym ciemnym lochu, kiedy cały pyszny świat, wszystkie barwy, cały ruch życia tutaj u mnie, w głowie w sercu«... Tak zaczyna więzień swoje pamiętniki.

Więzień miał zlecenie wykonać zamach rewolucyjny na wysokiego dygnitarza. Chodził tedy z browningiem w kieszeni koło budynku, w którym zamieszkiwała upatrzona ofiara sądu partyjnego. To też ogarniała go żądza przeniknięcia wzrokiem przez mury, ażeby bodaj zobaczyć tego, za którym kurzyły się wsie, który prześladował ludzi, jak zwierzęta szczwane, który zostawił za sobą potoki krwi. Bo on i te wioski, ludzie i browning były jakby kółkami jednego łańcucha. A teraz?... Przypomina mu się matka, której »syn pójdzie na śmierć z podniesionem czołem i czystem sercem. Bo w jego sercu skipiała się krew przelana niewinnie, bo w niego zlały się wszystkie ludzkie łzy i płomieniem rozgorzał gniew ludu... Zabijaj mnie, kacie! Ty zabijasz lud«...

I któż to dał temu więźniowi prawo sądu nad uczynkami ludzkimi? Zapewne jakaś organizacya rewolucyjna, jakiś trybunał samozwańczy, który o tyle niesprawiedliwszym okazał się od sądów państwowych, że skazywał na śmierć, nie dając możności oskarżonemu oczyścić się z uczynionych mu zarzutów i wykonywał wyroki skrytobójczym sposobem. Ilu to Bogu ducha winnych ludzi wysłały w ten sposób trybunały partyjne w Rosyi na tamten świat, któż policzyć w stanie?!...

»Teraz jam tutaj — czytamy dalej w pamiętniku bojowca —

pośród tych ścian, jak zwierz w pułapce... Jak? ginąć tu... w tym worku... kiedy tam wolność... robota... towarzysze«...

Co to za »robota« i co to za »towarzysze«, nie trudno odgadnąć. Natomiast więzień, jak się okazuje, miał odwagę spełniać wyroki sądów partyjnych, tylko brak mu odwagi w obliczu grożącej jemu samemu śmierci. Rzecz uwagi godna: ten, który lekceważył sobie życie drugich, drży o swoje, jak o coś bardzo drogocennego.

»Co? już idą?... Trzeba być spokojnym... trzeba być spokojnym... Tak spokojnym, ażeby serce stało się jak głaz, ażeby duma skuwała czoło, ażeby zadrgnął sam szary ranek i zetlało od złości serce katów. Idę bez żalu — tak było trzeba. Jakaż prześliczna moja droga... ostatnia krótka droga... prześliczny ranek, biały, mglisty, jak gdyby całun mogilny. Brzęk... brzęk... chrzęszczą karabiny z tyłu na plecach... Już? Tak blizko?... Stało się. Nie trzeba... ja sam... żeby widzieli oczy... I swój ostatni oddech... Mamo!«...

Więzień zbudził się z straszliwego snu. I znowu ogarnia go jedyna myśl ucieczki z więzienia. Okno wysoko?... Tak wysoko... A podkopać się? Co?... Niemożliwe?... A może przecież?...

Typ to, jakby żywcem z życia przeniesiony do książki. »Takich« bohaterów wolnościowych miała Rosya bez liku.

Najtęższym z pomiędzy wszystkich obrazków p. Kociubińskiego jest »On idzie!«, osnuty na tle pogromów żydowskich, a napisany z taką siłą, że nie ustępuje bynajmniej analogicznemu dramatowi p. t. »Ahaswer« Heijermansa.

Okoliczności składały się bardzo źle. »Stanowy« był, zdaje się, niezadowolony z otrzymanej łapówki i jakkolwiek zapewniał, że nie dopuści do pogromu, nie znajdował wiary u ludzi. Najgorsze było to, że nikt nie wiedział, czy mająca po jutrzejszem nabożeństwie odbyć się procesya zostanie zaniechana, czyli też nie? O tem z trwogą szeptano w miasteczku. Przekupnie, pozamykawszy kramy wcześniej, niźli zwykli byli czynić to zazwyczaj, zgromadzili się na rynku i, oglądając się trwożnie dokoła siebie, przyciszonymi głosami opowiadali jedni drugim o jakichś tajemniczych, nieznanych ludziach, którzy zjawili się niespodziewanie w miasteczku i o tem, że jeszcze rano bogatsi kupcy po-

wyjeżdżali ze swojemi żonami i dziećmi. Jedne za drugimi przejeżdżały wozy ładowne, unoszące z miasteczka dobytek »puryców«. Niebawem rynek opustoszał do tła. Zbliżała się noc, pełna zagadek.

W domu starego *szochata* Abrama odbywała się tymczasem narada przy świetle łojówek. Zgromadzili się tam sami starzy, doświadczeni ludzie ze zmarszczkami na czołach i białemi brodami. Wszyscy mówili razem, gdyż wszystkich przygniatała ta sama troska. Jedni chcieli zebrać jeszcze trochę pieniędzy dla »stanowego«, innym przychodziło na myśl, ażeby udać się do popów z prośbami o ratunek, byli też i tacy, którzy doradzali udanie się do synagogi, celem spędzenia całej nocy na modlitwie. Wielki Bóg, który wyprowadził Izraela z pustyni, który nie dopuścił do tego, iżby żydzi utonęli w morzu nienawiści innych narodów, odwróci i tym razem od nich wrogą rękę. Kiedy jednak barczysty woźnica Josel, który miał silniejsze piersi od innych, przekrzyczał wszystkich i oświadczył, że młodzież postanowiła bronić się do upadłego orężem palnym, trwoga zamknęła wszystkim usta, a białe brody, jakby zwiędłe opadły na piersi. W tej chwili rozpoczął się zgiełk na nowo. Stary *szochat* Abram, który przez cały ciąg swego spokojnego życia podrzynał tysiącom kur i gęsi szyje, pobladł cały i zakrzyknął:

— »Jak! Oni chcą strzelać! Ci głupcy, ci opętańcy! Oto »politycy«! Oni chcą przelać krew, jaka spadnie na nasze głowy. Oni wywołają zemstę — i zemsta, jak wilk pożre nasze dzieci, cały spokojny lud! Aj-waj!...«

Wszyscy krzyczeli razem z Abramem: krzyczały bezzębne usta, krzyczały zmarszczki mądrości i doświadczenia, skakały brody oraz białe i chude ręce. A od oburzenia i krzyku wszystkim stało się duszno i nawet nieco lżej, jak gdyby tym krzykiem wypędzali z domu trwogę. Ostre to oburzenie niebawem jednakowoż przeszło i krzyki powoli ucichły. I znowu powstało pytanie, toż samo, co na początku — co mają robić?... Ale nikt nie mógł nic wymyśleć. I czem jaśniejszem stawało się, że niema absolutnie żadnej rady, że nie można nawet uciec, bo niema koni,

ludzie zaczęli naraz wierzyć w cud. Stanie się coś takiego, co odwróci nieszczęście, procesya przejdzie cicho i nie zaczepi nikogo.

Ktoś podał myśl, ażeby o przebieg dnia jutrzejszego zapytać ślepą Esterkę, która kiedyś przeczuła śmierć swoich dzieci, a potęm oczy wypłakała z żalu za niemi. Przyprowadzono ją tedy do *szochata*. Zaczęła mówić, a głos jej brzmiał tak uroczyście i z taką potęgą, jak u starodawnych proroków:

...»Widzę zwierzęta... dokoła zwierzęta. W ich oczach ogień, a na zębach krew... ludzka, czerwona... A w sercu mają wilczą żądzę... Oni niosą swojego Boga i na drążkach, co w ich rękach, krew... krew synów moich biednych... Aj-waj!...«

— »Aj-waj!... — z cicha wyjęczały dziesiątki słuchających jej wróżby żydów.

...»A ich popi śpiewają i czarnemi ustami chwalą Pana Boga, a na szatach ich krew... ludzka krew... I ryczą krwawe zwierzęta razem z popami i rozbijają o kamień głowy dzieci maleńkich... Aj-waj!... Ot, pod nogami u mnie krew... czarna, zapieczona... wielkie, czarne kałuże... Leżą kobiety białe, jak kreda, i patrzą się ich martwe oczy na mężów... na trupy dzieci... I skaczą po dzieciach spieniałe zwierzęta i wyją: śmierć! śmierć!«

»Aj-waj!« — rozległy się jęki w izbie i płacze ze dworu.

... »Ogień i śmierć!... Widzę ręce, widzę oczy, błagające o ratunek... Słyszę krzyk... Walą się ściany... strzelają... piekło... Oj, duszno mnie... Oj, moje serce... A teraz słyszycie?... Sza! Biegną po schodach... wyłamują drzwi... A tam moje dzieci... moje syny kochane... Aj-waj!... Ratujcie. Nie bijcie«...

I wszyscy podchwyciwszy żałobne »Aj-waj!«... zaczęli jęczeć, aż stało się tak strasznie, jak w sądny dzień. A *bobe* Esterka mówiła ciągle i łzy bezustanku lały się z jej ociemniałych oczu. Rozbity, starczy głos dzwonił czasami, jak głos proroka, a wtedy dokoła robiło się cicho, ludzie wstrzymywali oddech i składali na dno serca każde słowo staruszki, jak ciężki żal. Może to nie Esterka mówi, a ich dola i czerwony tuman, który zawisł nad miasteczkiem, może jutro przemieni się w rzeczywistość. Może te dzieci, które teraz tulą się u kolan matek, będą jutro walać się po ulicach, nieżywe, tłoczone ciężkimi buciskami pijanej tłuszczy?... Aj-waj!...

Kiedy wreszcie Esterka zamilkła i ją pochyloną wyprowadzono popod ręce na ulicę, tłum, zgromadzony pod oknami, rozstąpił się i odprowadził *bobe* aż do jej chaty. Goście *szochata* rozeszli się też unosząc ze sobą na noc trwogę.

Przed świętem prawosławnem miasteczko przeżyło niespokojną noc. Do świtu lampy paliły się w mieszkaniach, a ludzie nie spali, gotując się na dzień jutrzejszy, jak na pożar. Chowano kosztowniejsze przedmioty. Zewsząd rozlegał się płacz.

Rankiem miasteczko było jakby bezludne. Po opustoszałych ulicach błąkały się tylko kozy.

Nagle odezwał się z dzwonnicy dzwon. Zatrząsł powietrzem i jak nóż ugodził w serca. A kiedy dzwony zadzwoniły wszystkie razem i naród zaczął zbierać się na nabożeństwo, setki ócz spoglądało na tłum przez szyby okien.

Blady, niewyspany *szochat* Abram słuchał głosu dzwonów z drżeniem na całem ciele. Długo namyślał się nad tem, czy wyjść z domu na ulicę? Ostatecznie odważył się i drobnym krokiem, oglądając się na wszystkie strony, podążył w kierunku rynku. Szedł z ogromną trwogą w sercu. Po drodze dowiedział się, że lud zbiera kamienie i chowa je w zanadrze. Ktoś widział u innego siekierę pod sukmaną. Wówczas ogarnęło go przerażenie. Zaczął tedy wrzeszczeć do spotkanych swoich współwyznawców, że trzeba bronić się, strzelać, kłóć nożami i narobił takiego hałasu i zgiełku, że przestraszeni ludzie wybiegali z domów i błagali go, ażeby umilkł już raz. Ale on blady, zapieniony, rzucając straszny wzrok dokoła siebie, krzyczał tak głośno, jak gdyby chciał krzykiem zagłuszyć ogarniającą go trwogę. Ci, którzy nie słyszeli skąd krzyk powstał, w przekonaniu, że pogrom już rozpoczął się, w panicznym strachu uciekali z rodziną w pole.

Nareszcie Abram umilkł i nagle zrobiło mu się strasznie, straszniej tu wśród ludzi, aniżeli mu było w domu. Od strony rynku dał się słyszeć krzyk: »Już idzie!«... Może tam już leje się krew, może tam już rzną, mordują? Zaczął uciekać, ile mu sił starczyło, w kierunku swego domostwa. Byle jak najprędzej dostać się do domu!

Esterka siedziała na progu swojego domu, zakrywszy twarz

rękoma. Zobaczy to, przed czem wszyscy pouciekali, a co tam w Odessie, zabrało jej synów. Ale nie bała się. Czegoż ma się obawiać, kiedy to, co mogło być najstraszniejszem, stało się dawno? Nie strach, lecz nienawiść zakipiała w jej piersiach na odgłos dzwonów. Zdawało się jej, że to setki krwawych rąk wyciągnęły się od dzwonnicy ponad dachami domostw. Wstała i wyciągnąwszy ręce poprzód siebie, poszła na spotkanie procesyi. Nagle usłyszała coś, jak płacz, jak wycie wichru. Po chwili dźwięki te przemieniły w wielki ryk.

Szła procesya. Esterka nie zdawała sobie z początku sprawy, z czego pochodzi ów zgiełk. Po namyśle jednak przebiegło jej przez głowę: »Aha! on idzie!... on idzie!«. A gdy ogarnęły ją tłumy ludu, podniosła ręce do góry, krzycząc: — »Słuchaj, ty, żydowski synu! Znowu ty idziesz? Ty, któryś zabrał moje dzieci! Mego Leibę i mego Chaima... Ty znowu błogosławisz rozlewowi krwi twego narodu! Słuchaj, oddaj mi moich synów... To ja tobie mówię, ja... ślepa Esterka, com wypłakała oczy... ja matka synów moich biednych... Słuchaj, dokąd idziesz, zatrzymaj się... Dość krwi«...

Dokoła niej stąpały tysiące nóg, dyszały tysiące piersi, dudniły basy, a dzwony jęczały, jak opętane...

Niemniej kapitalny jest typ kata-ochotnika w szkicu p. t. »Persona grata«. Typ to z życia schwycony z zadziwiającą wiernością całej charakterystyki aż do najdrobniejszych szczegółów, co mogę zaświadczyć, jako że raz byłem obecny przy masowem straceniu rewolucyonistów na t. zw. »Lisim nosie«, niedaleko Kronsztadu.

Dla zrozumienia treści obrazka wymienionego muszę dodać jeszcze następującą uwagę. Kodeks karny rosyjski nie zna kary śmierci. Dlatego też nieznana jest również w Rosyi instytucya kata państwowego. Karę śmierci utrzymano tylko w kodeksie wojskowym. To też z chwilą ogłoszenia stanu wojennego, jak to miało miejsce podczas rozruchów lat ostatnich, władza znajduje się bez kata. Że zaś tej roli nie chce podjąć się nikt ze stanu cywilnego, przeto funkcye katów sprawują zazwyczaj zbrodniarze, odsiadujący więzienie, otrzymując za to rozmaite ulgi i udogodnienia.

Taki typ właśnie kreśli p. Kociubińskij w szkicu »Persona grata«.

Łazarz nienawidził z całej duszy dozorcę więziennego, któremu aresztanci dali przezwisko »morda«. Razu jednego zawołano Łazarza do kancelaryi więziennej. O czem tam z nim rozmawiano, tego nie wiedział nikt z towarzyszy niedoli Łazarzowej, on zaś sam, pytany o to, plótł im coś niewyraźnie, ni w pięć, ni w dziewięć. Napozór zdawało się, że nie nastąpiła żadna zmiana. A jednak! Łazarz zmienił się do niepoznania. Myślał o czemś głęboko, nieustannie. Podczas przechadzki liczył coś tajemniczo na palcach: »Jeden — dwadzieścia pięć, za dwu — pół setki, za dziesięciu będzie trzysta bez pięćdziesięciu«.

Sposób życia Łazarza zmienił się do niepoznania od tej nocy, w której cichaczem zabrano go z więzienia i wsadzono do pociągu kolejowego. Zamiast chałata był ubrany w żółtą koszulę, dostał też wysokie buty. Siedzący zaś naprzeciwko niego żandarm rozmawiał z nim przyjaźnie tak, że Łazarz zapomniał, iż jest aresztantem. Kiedy zaś stróż bezpieczeństwa przyniósł flaszkę wódki, którą wypróżniono we dwójkę, obydwaj zaczęli krzyczeć i przeklinać na całe gardło, ściskali się nawzajem za ręce i coś przyrzekali. Łazarzowi szumiało z lekka w głowie, serce zaś napawało się zadowoleniem, że taka ważna osoba w mundurze i przy szabli ściska go za rękę i rozmawia, jak z równym. Jechali tak całą noc, cały dzień i znowu noc, aż w nocy przybyli do więzienia. Tu, nie zważając na spóźnioną porę, przyjął Łazarza zarządca. Zaprowadzono go do celi, wcale schludnie utrzymanej, z łóżkiem wygodnie zasłanem, jakiego nigdy w życiu nie miał. I gdyby nie okno zakratowane, Łazarz mógłby był myśleć, że nocuje u jakiegoś bogatego pana. Rano jakiś więzień przyniósł mu herbatę i chleb. Dawano mu wódki, ile tylko zapragnął, przysyłano kompanię do gry w karty. Dnie mijały po dniach. Łazarz wysypiał się do woli, jadł, ile mógł, pił wódkę i grał w karty. Aż raz zbudzono Łazarza tuż przed świtaniem. Żandarm kazał mu odziać się, poczem wyprowadził za bramę, gdzie czekał już pojazd. Jechali długo wśród ulic bezludnych, skręcili na pola, aż przyjechali na plac, na którym stała szubienica. Niebawem

dał się słyszeć szczęk broni i z mgły zaczęli wynurzać się ludzie. Był ich spory orszak.

Na czele kroczył, plątając się w swoich *ryzach*, wysoki pop. Za nim szedł naczelnik więzienny, i jeszcze jacyś ludzie, pochód zamykał oddział żołnierzy, od których ciemnych mundurów odbijało coś jasnego. Ta jasna plama zwróciła na siebie uwagę Łazarza. Była to postać dziewczęcia o jasnych, lnianych włosach. Łazarz zaczął niecierpliwie szukać oczyma tego, dla którego zeszli się ci ludzie tutaj, dla którego postawiono ten słup. Takiego jednak nie znalazł.

Podeszli blizko i postawili dziewczę pod rusztowaniem. A Łazarzowi zabłysła myśl w głowie: »Dlaczego ono nie płacze?... Dlaczego nie krzyczy?«... Stoi natomiast spokojnie i cicho i patrzy śmiało. Potem powiedział coś naczelnik więzienia i podszedł pop, podnosząc krzyż do ust skazanej. Ona jednakowoż odtrąciła ręką znak męki Pańskiej, wydała z siebie jakiś głośny okrzyk. Wszyscy stali pobledli, ona zaś wbiegła szybkim krokiem sama na rusztowanie.

Łazarz stał patrząc, jakby zapomniał, co mu czynić teraz należy, jakby to wszystko było tylko snem.

Ocknął się dopiero na głos żandarma. Rzucił się niezręcznie w stronę skazanej. Nie broniła się. Sama złożyła ręce i stała, czekając, póki on nie zdąży ich związać. Następnie podano mu długi, biały worek. Drżącemi rękoma zaczął zakładać go na głowę dziewczynie, kiedy zaś dotknął jej ciepłej szyi, uczuł, jak gdyby go coś upiekło; strzepnął się całem ciałem. Kiedy zaś wytrącił jej z pod nóg schodki, poczuł ciszę jakąś niezwykłą, śmiertelną, ciszę, która ssała serce.

Do Łazarza zbliżył się naczelnik więzienia. Podniósł rękę, chcąc poklepać go po ramieniu, ale w tej chwili cofnął ją i tylko głosem stłumionym rzucił mu słowo: *M-mołodiec!*... Wnet cały orszak odszedł.

Tego dnia Łazarz mógł pić do woli. Iwan i Kalenik pomęczyli się nieustannem przynoszeniem mu flaszek. A on pił na umór i krzyczał, iżby w izbie jego panował gwar. Sam zaś naprożno starał się odgadnąć, co to dziewczyna krzyknęła, stojąc

tam pod słupem, przed śmiercią? Słyszał wprawdzie jej donośny głos, ale słowa ukryły się w pomroce, jaka ogarnęła mu skronie w owej chwili. Pod wieczór spił się i chciał z kimś bić się. Iwan jednak i Kalenik uciekli, a Łazarz zwalił się na łóżko.

Zasnął. W pijanym śnie usłyszał najwyraźniej słowa, jakie dziewczyna rzuciła w twarz obecnym przy egzekucyi, chociaż słów tych nie rozumiał i nie myślał nad ich znaczeniem. Teraz ujrzał jej cienkie włosy, drobne dłonie, jakby dziecięce. A ciepły dotyk jej białej szyi żył na jego ręce i rozłaził się po całem ciele, jak stado mrówek. I śniło się mu, że patrzy na swoje ręce, czy coś nie przystało do nich?...

Po tym wypadku budzono Łazarza często. Wstawał, szedł na robotę, do której nie czuł już wstrętu, jaki ogarnął go był po pierwszym razie. Był nawet poniekąd zadowolony, bo widział znowu pole, zieleniejące zbożem, wschód słońca, czuł powiew wiatru. Przyzwyczaił się, boć, jak ktoś słusznie powiedział, człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego prędzej, niźli bydlę!...

Miewał do czynienia z rozmaitymi ludźmi. Jedni szli śmiało, mówiąc przed zgonem ślicznie. Inni, pobledli, jak trupy, ledwie sunęli nogami, niektórych musiał wieszać już omdlałych. Inni wreszcie klęli, łajali i opierali się jemu. Takich wlókł za kark, krępował im ręce i mordował się tak, że pot występował na całem jego ciele. Byli tam i starcy i młodziki, mężczyźni i kobiety, panowie i ludzie z gminu. Czasem robota nie szła, jak na złość, gdy pętla zsunęła się z szyi skazańca lub była źle zaciśnięta. Wówczas biały worek skakał, kurczył się i nie mógł prędko umrzeć. Celem skrócenia męczarni, Łazarz ciągnął wisielca za nogi, aż coś chrzęściało i był koniec. Raz nawet postronek urwał się i trzeba było powtarzać operacyę. Innym razem trafiło się znowu tak, że sznur był za długi, to też, kiedy Łazarz wybił schodki skazańcowi z pod nóg, ciało drgnęło, jak opętane, i oderwało się. Tylko głowa została w pętlicy i skakała wraz ze sznurem, zalewając krwią całe płótno. Ile to wówczas nasłuchał się połajanek za niezręczność?!...

Każdy z »klientów«, spotykając się w ostatnich chwilach swego życia z Łazarzem, zostawiał mu jakiś szczegół swojej po-

staci na zawsze w pamięci: wzrok, głos, kolor włosów, kształt szyi, ruchy, słowa. Wszystkie te niespodziewane podarki żyły w Łazarzu swojem tajemnem życiem. Przypominało się mu to wszystko podczas snu. Bo w dzień zazwyczaj nudził się, albo chodził nachmurzony, gniewny. Wówczas bił Iwana i Kalenika, klął i pił. Pijaństwo wytwarzało w nim dzikie zachcianki i złość. Krzyczał na wszystkich, walił pięściami w drzwi i dokuczał każdemu, jak mógł.

Raz nie przyjął rano czajnika, lecz zażądał samowara. Gdy zaś Iwan nie chciał spełnić jego żądania, poparzył go ukropem i porozbijał naczynia. Przychodził starszy, krzyczał, ale Łazarz dalej z uporem zawziętym domagał się samowara i wyprawiał takie hałasy, że starszy uciekł, a na stole pojawił się samowar. Wymagania Łazarza stawały się większe z dniem każdym. Oprócz wódki zażądał piwa i — codziennie podawano mu piwo. Przynoszono też drogie potrawy, a całą izbę przystrojono kilimami. Łajań jego słuchano w milczeniu i to doprowadzało go do wściekłości. Zrodziła się w nim konieczna potrzeba męczenia wszystkich, kto się tylko nawinął. Po pijanemu zdawało mu się, iż jest znaczną figurą, to też wyprawiał szalone awantury i bił wszystkich. Aresztanci skarżyli się dozorcom, ale ci niekiedy tylko starali się pohamować zapędy wojownicze Łazarza w sposób delikatny.

Teraz dokuczało mu wszystko: i te ściany i wódka, Iwan i Kalenik. Po nocach miewał widzenia, czuł pod ręką jasnowłosą kosę dziewczęcą i delikatną szyję. Tak mijał mu tydzień po tygodniu i świat stał się dla niego niemiłym. Poczuł nawet obrzydzenie do wódki, ale mimo to pił nadal, chociaż wódka wydawała mu się podła, niesmaczna, i tak słaba, że nie mógł upić się nią. Wówczas występowała u niego potrzeba krzyku, hałasu i awantur. Nie mógł tylko odegnać od siebie ciszy, która szczerzyła doń zęby ze wszystkich kątów izby. Przemogła go...

Po nocach przypełzały do jego łóżka mary powieszonych przez niego, najczęściej zaś owo jasnowłose dziewczę z zapytaniem jednem i tem samem na ustach: »Za coś mnie zabił?«... Łazarz tego nie wiedział. Nie wiedział, jak ma na to odpowiedzieć, a przecież pragnął, ażeby ona do niego mówiła i opowiedziała

mu o wszystkiem. Raz opowiedziała mu tym samym głosem, jaki przetrwał w jego słuchu dotąd, iż zostawiła staruszkę-matkę, która teraz za nią tonie cała we łzach i że on zabił ją tylko dlatego, że mu za to zapłacono. Czyliż potrzebne mu tak były te pieniądze? Czyż dały mu spokój, szczęście lub zdrowie? Czyż godziło się pozbawiać człowieka życia za wódkę, pieniądze i za grzech?... Czyliż mu teraz lepiej, aniżeli dawniej?

Iwan i Kalenik robili rozmaite przypuszczenia co do zauważonej w całem zachowaniu się Łazarza zmiany. Długo zastanawiali się nad przyczynami jej możliwemi, aż zgodzili się na to, że Łazarz, widocznie, przepił się, gdyż chodzi zasępiony, cichy i ciągle nad czemś rozważa. Chodzi po izbie i nagle bez przyczyny wyciągnie przed siebie dłonie, popatrzy na nie uważnie i znowu schowa do kieszeni. Co też on widzi na swoich dłoniach?!...

Przez parę już dni nie przychodził po Łazarza żandarm. Każdego wieczora, kładąc się spać, myślał Łazarz o nim i spodziewał się nad ranem jego wizyty. Kto też przysyła po niego żandarma?... myślał, położywszy się do łóżka. Jacy ludzie? Chciałby był ujrzeć tych ludzi, od których uważał się piękniejszym, czystszym. Tych ludzi, którym wstyd nawet słońca, skoro każą wieszać przed świtem! Myśli jego błąkały się, aż padały z wyczerpania. Od tych myśli robiło się mu duszno.

Nareszcie jednej nocy zjawił się żandarm. I stała się rzecz niespodziewana!

Kiedy bowiem zbudził Łazarza i kazał mu ubrać się, Łazarz oświadczył z uporem chłopskim, iż o tem ani myśli. Kiedy zaś żandarm zaczął nalegać, Łazarz wpadł w furyę piekielną, bił wszystkich, kto mu się nawinął pod rękę, tak, że musiano go związać, przyczem pobito go dotkliwie. Przyszedł nawet dozorca sam, zaklinając i prosząc. Bo i jakżeż można tak robić?!... Przecież tak mu we wszystkiem dogadzają, jak żadnemu z więźniów! Tylko nie trzeba chlać tak wiele gorzałki, gdyż, ot! — jaki ona skutek zły wywiera...

Łazarz związany leżał wśród zdemolowanej celi. Oddychał ciężko, a w sercu jego drżała zła radość, że dzisiaj nie będzie

egzekucyi i że od niego są zawiśli ci nieznani mu, którzy mają moc życia i śmierci...

Potem Łazarz upokorzył się. Ucichł i już nie sprzeczał się, gdy go żandarm przebudził ze snu. Szedł do swego zajęcia, jak rzemieślnik, tylko oczy błyszczały mu czemś niedobrem, co krył na dnie duszy. Łazarz stał się milczący i spokojny tak, że Kalenik wraz z Iwanem nie mogli dość nachwalić się go. Przypuszczali, że od tego czasu, gdy kata tak dotkliwie pobito, on poczuł siłę *naczalstwa*, gdyż najczęściej rozmawiał z nimi o przełożonych. Najwięcej zaś zaciekawiał go ów ktoś, o którym ani Iwan ani Kalenik nie mogli mu dać bliższych objaśnień. »On« da rozkaz zabicia i zaraz stawią słup, prowadzą do niego człowieka, żandarm przychodzi po Łazarza, a Łazarz nakłada pętlę na szyję. W ciasnej głowie kata, w której dawniej myśli były, jak poplątane nitki, teraz zwijały się w jeden kłębek.

Teraz Łazarz myślał nieustannie nad tem, kim jest ów potężny i gdzie go szukać? I co z nim zrobić?...

Wówczas po raz pierwszy od czasu, gdy go ogarnęło zniechęcenie i apatya, gdy nabrał wstrętu do swego rzemiosła, po raz pierwszy poczuł rozkosz gubienia ludzi. Poczuł nienawiść w sercu i rozkosz męczarni.

Niemniej ciekawy psychologicznie jest kończący książkę obrazek p. n. »W drodze«.

Młody student Kiryło żył w atmosferze gorącej, trwożnej, niebezpiecznej. Nadzieje lepszego jutra to rosły, to upadały w jego sercu. Otaczał go długi korowód ofiar, między któremi nie brak było najukochańszych, najbliższych, opary krwi i taniec śmierci. Atmosfera, w jakiej żył, odepchnęła od niego rodzinę. Zapomniał nawet, jak się nazywa. Teraz wszyscy nazywają go imieniem »Kiryło«, »towarzysz Kiryło«.

Nadeszła chwila, w której musiał ukryć się dobrze przed oczyma wrogów. »Towarzysze« zaprowadzili go do jakiegoś położonego na przedmieściu domu i tu oddali go pod opiekę jakiejś starszej kobiety. Teraz, gdy czuł się bezpiecznym, zaczął rozmyślać nad tem, po co tu przyjechał, co ma wykonać i czarny pająk troski zaczął już oplatać go siecią.

Wieczorem doszedł go z mieszkania gospodyni czyjś głos srebrzysty, który go zachwycił. Niebawem ujrzał właścicielkę tego czarującego głosu. Była nią córka gospodyni, dziewczę młodziutkie, rozkoszne, modrookie.

Z nudów chodził na przechadzkę do poblizkiego lasku w ciągłem oczekiwaniu na otrzymanie rozkazu listownego od partyi. Po upływie długich dni, gospodyni podała mu raz list. Schował go odruchowo do kieszeni i zaczął rozmyślać, dlaczego dziewczę nie zaglądnie do niego, chociaż je o to prosił. O niem marzył bez przerwy. Marzenia te odebrały mu siłę do czynu. W snach zdawało mu się, że musi coś wykonać bezwarunkowo, koniecznie, ale — nie może. Zbiera wszystką swoją moc, napręża wolę, oblewa się potem — i nie może... A musi! To bolało go niewypowiedzianie. Budził się wyczerpany, bezsilny, rozbity, jak gdyby dokonał się w nim jakiś zasadniczy przewrót.

Teraz Kiryło nie chadzał już sam na przechadzkę. Panna Guścia bowiem znała doskonale wszystkie cudowne zakątki lasu. Towarzysząc mu, szła przed nim wesoła i świeża, rozkoszna i rozpromieniona, jak słońce. Często przekomarzali się słowami, które przylegały do nich, jak osty, które trudno oderwać od ubrania.

Zjawiali się tutaj każdego rana, zrywali kwiaty leśne, zbierali grzyby, zbiegali, trzymając się za ręce, w doliny. A on nie mógł odróżnić jej od szmeru lasu, od woni ziół i kwiatów.

Raz, wśród głuchej nocy zbudziło go słowo straszne, które usłyszał najwyraźniej: — »Zdrajca!«...

Zbudzony Kiryło oglądnął się z niepokojem po izbie. Nie było nikogo. Siadł machinalnie na łóżku i wyjąwszy z kieszeni nierozpieczętowany dotąd list, który mu dawno już podała gospodyni, postanowił go otworzyć. Jakaś odraza powstrzymała go od tego, zawywszy w nim, jak przestraszony pies, i ręka opadła mu bezwładnie. Niewidzialna, gorąca fala uderzyła mu w głowę i spędziła go z łóżka. Co? u dyabła! — rozumował. Wszak liczy dopiero dwadzieścia lat, a zatem ma wszelkie prawo do życia, jakie mu daje wiek młodociany!... Któż może go zmusić do zniszczenia swego »ja«, chociażby to nawet było potrzebne tysiącom innych. Przecież on ma prawo zostawić też dla siebie odrobinę!...

Wrzał cały ze złości i chodził nerwowo z kąta w kąt, od ściany ku ścianie.

Co działo się na świecie?... Alboż go to interesowało?!... Gazet nie czytał, listów nie otrzymywał i nikt nie przychodził do niego. Raz z początku ktoś się o niego dopytywał, a nie mogąc go nigdy zastać, nie pokazywał się więcej.

Przypadkowo spotkał się na ulicy ze znajomym, z którym nie widział się od dwu lat. Przypomniał sobie tego »bandytę«, który piorunował na zgromadzeniach, nawoływał do rewolucyi, był odważny, gorący i lubiany. Przypomniał sobie także jego żonę Ale jakim sposobem oni jeszcze żyją i to, w dodatku na wolności?...

Ulegając prośbom znajomego, pomimo niechęci ze strony własnego »ja«, dał się zaprowadzić do ich willi, gdzie zastał »towarzyszkę« Maryę, zajętą gospodarstwem domowem, ogrodem, kurami, gęśmi i t. p.

Przy stole »towarzysz« Iwan, jak gdyby umyślnie, rozpoczął podniesionym głosem dyskusyę o najświeższych wypadkach, ale wnet zmienił temat, zapraszając gościa do oglądnięcia gospodarstwa. Wszystko tu było dalekie od tego, przed czem czuł Kiryło lęk, udając się na *daczę*. Pozostał tedy u znajomych.

W dnie powszednie Iwan jeździł do biura, skąd powracał późno, łając »ziemstwo« współczesne, w którem był urzędnikiem; kpił sobie złośliwie z tych liberałów, którzy tak prędko zmienili owczą skórę na wilczą, przywoził nowiny. Pomiędzy jedną łyżką barszczu a drugą opowiadał o tem, wielu skazano na śmierć, wielu powieszono. Słowa te zajadał barszczem, a w antraktach komunikował, że wojsko strzela po wsiach chłopów, jak dziczyznę. Wszysko to zaś opowiadał z takim spokojem, jak gdyby to działo się kiedyś, przed wiekami.

Żonę jego zaciekawiały niekiedy szczegóły w rodzaju: oderwanych przez bomby rąk, nóg, ale to wszystko było niczem wobec troski, iżby pieróg nie przypalił się. Zapominała o wszystkich okropnościach i biegła na kłótnię z kucharką. Potem kładli się spać. Kiryło zaś wybiegał na dwór, żeby nie słyszeć ich spokojnych oddechów.

Sypiał i Kiryło — prawda, że nie za dnia. Natomiast w nocy

męczyły go sny straszliwe. Śniło mu się bowiem noc w noc, że on coś musi... musi, a nie ma tyle sił, żeby to coś wykonać i sam nie wie, co to takiego on musi?

Wieczorami przychodziła do niego zesłana skądś kursistka, która mieszkała w sąsiedniej willi. Przynosiła ze sobą na twarzy bajeczny jakiś, jakby nie z tego świata, zachwyt, a pod pachą książkę. Zasiadano przy świetle lampy do wspólnej lektury rzeczy niezdrowych, chorobliwych, chimerycznych w rodzaju *A rebours* Huysmannsa, gdzie miłość gniła, jak rana, a »ja« rozkwitało w przepyszny trujący kwiat. Orgia ducha i ciała, instynkty dzikie i ów protest wszystkiego przeciwko wszystkiemu...

Niekiedy młodzi sprzeczali się. Wówczas twarze ich gorzały, pani Maryi czerwieniały końce uszu i oczy nabierały blasku fosforycznego, Iwan przechadzał się po pokoju z natchnionem obliczem i zadziwiał wszystkich urywkami najtęższych przemówień, kursistka zaś siedziała w zachwycie bajecznym, jak królewna państwa podziemnego.

Im dalej zaś byli od myśli o smutnych wypadkach, jakie dzień każdy przynosił, tem silniej chwytali się ich wszyscy troje, jak gdyby chcieli z zamkniętemi oczyma przepłynąć nad głębiną, w której kryły się szczątki rozbitego okrętu. Czytanie kończyło się późno w noc. Iwan odprowadzał kursistkę do domu, a powróciwszy, zastawał żonę, zatopioną w lekturze jakiejś książki. Kiedy zaś trzeba było pomyśleć o spoczynku, wówczas zaczynały się dopiero sceny o to, kto weźmie książkę na noc do siebie?

Kiryłą nie zajmował się teraz nikt z tą pieczołowitością, jaką okazywano mu podczas pierwszych dni jego pobytu na *daczy*. Kiryle życie obmierzło, postanowił tedy zapytać Iwana stanowczo, dlaczego nie bierze udziału w pracach i przedsięwzięciach partyjnych, on luminarz pomiędzy niedawnymi przywódcami?...

Kiedy zatem Kiryło napomknął raz o tem, Iwan poruszył ze zdziwieniem ramionami.

Bo i cóż ma teraz robić?... Pośród ogólnego zniszczenia, apatyi i zniechęcenia?... Przecież nie jest bohaterem i nikt nie ma prawa wymagać od niego czynów heroicznych. Robił, kiedy można było robić!...

Wyszła stąd kłótnia, podczas której krzyczeli obydwaj ze złości. A przez piersi każdego z nich krzyczał własny ból, wstyd, krzyczała potrzeba ranienia siebie samego, podczas chłosty, jaką wymierzało się drugiemu.

Rozeszli się zagniewani srodze. Kiryło błąkał się długo, aż nareszcie zdołał pohamować się nieco. A zatem: czy miał słuszność?... czy nie obraził bez najmniejszego powodu Iwana?...

Powracając do willi, ujrzał Iwana i jego żonę, zgiętych podczas plewienia chwastów na grządkach.

Nie poszedł do miasta, lecz udał się do swojego pokoju i pierwszą jego czynnością było wydostanie owego nierozpieczętowanego listu z kieszeni. Wydobył szarą, pomiętą kopertę. Rozdarłszy ją, zaczął czytać.

Jeszcze nie zapóźno!... Teraz wiedział nareszcie co ma uczynić. I kiedy tak rozważał nad treścią listu, doleciał go z balkonu głos pani Maryi z zaprosinami na kolacyę.

Kiryło jednakowoż nie odezwał się. Zabrał się w drogę...

Takiem niedomówieniem kończy się nowelka, a z nią razem tom p. Kociubińskiego. Można domyślać się, że Kiryło poszedł wykonać rozkaz partyi, a więc popełnić jakiś zamach browningowy lub bombowy.

* * *

...Otośmy chwasty na ugornem polu... zeschłe konary, złamane przez wichry!...

Smutne to określenie nasuwa się zawsze, ilekroć zdarzy się mnie czytać utwory rosyjskie, czy też małoruskie, które obrały sobie za tło wypadki lat ostatnich. W kałużach brudu szukano ideałów, bohaterów, czynów wielkich, jak gdyby nie chciano zrozumieć, że cały ruch rewolucyjny rosyjski po roku 1905 był ognikiem błędnym na podobieństwo tych, jakie błąkają się nad gnijącem bagniskiem, pokrytem przecudną trawką, lśniącą barwami tęczy.

Dr. Stanisław Zdziarski.

BITWA.

ILIADY PIEŚŃ V.

(Dokończenie)

Odyssej a Diomed z obu Ajasami
Zagrzewali do walki Achajów — co sami
Nie bali się potęgi Trojan, ni krzykania,
Lecz stali, jak te chmury, któremi przesłania
Syn Kronosowy górskich wierzchołków ogromy,
Stawiąc w powietrzu cichem zwał chmur nieruchomy,
Kiedy Boreasowe usnęły podmuchy
I wszelkich inszych wichrów, co wśród zawieruchy
Przepotężnym powiewem z głośnymi poświsty
W niwecz obłoków nawał stargają cienisty —
Tak niewzruszenie stali, dotrzymując kroku
Trojanom, niestrwożeni Achaje. Więc w tłoku
Atrejda biegał, ducha dodając im wiele:
— »Mężami bądźcie, serce miejcie — przyjaciele,
Uczciwość w chrobrem starciu czyńcie sobie wzajem;
Gdzie się ludzie uczciwym rządzą obyczajem,
Tam jest więcej zdrowego, niż ległego człeka;
Tchórzów zasię ni sława ni zdrowie nie czeka!«
Tak rzecze i oszczepem, raźno godząc, sprząta
Męża, co w pierwszych rzędach stał, Deikoonta:
Wspaniałego Ajneja druh był najmilejszy

Syn Pergasów — u Trojan powagi niemniejszej
Zażywał, niźli same Priamowe syny,
Bo harcownik był w przedniem zderzeniu jedyny.
Agamemnon go włady włócznią w tarcz uderza:
Pawęż nie wytrzymała, spiż nawskróś pancerza
Przebiwszy się, pas na nim na wylot przeszywa
I w dolną część żywota ubódł go do żywa.
O ziemię Deikoon grzmotnął więc jak długi
Aż na nim zachrzęszczały blachy od kolczugi.
Ajnej za to dwu mężu danajskich pokona
Walecznych — Orsilocha razem i Krethona,
Syny Dioklesowe; ojciec w rolnej Ferze
Mieszkał, zasobny mieniem; — ród jego się bierze
Od Alfeja, rzecznego strumienia, co płynie
Wijący się szeroko w Pytyjskie dziedzinie.
On spłodził Orsilocha, włodarza nad tłumem:
Orsiloch zaś Diokla, wspaniałego umem;
Zaczem po Dioklesie byli dwaj bliźniaki,
Krethon i Orsilochos, wprawni w bój wszelaki;
Obaj młodziuchni wsiedli na czarne okręty,
Przeciwko Troi stadnej pięknemi źrebięty
Z Argiwami ruszając, by wsławić imiona
Atrejdów: Menelaja i Agamemnona
I tam skończyli, w śmierci okryci zasłonę,
Jako dwu lwu, co rosły przez mać swą karmione
Na gór szczycie, gdzie borów przepastne manowce,
To woły, to spasione porywają owce
I napadają póty zagrody człowiecze,
Póki spiż w mężów dłoni obu nie usiecze,
Tak ci, Ajneja dłonią zgładzeni żałośnie,
Zwalili się na ziemię, jak dwie gonne sośnie.
Gdy padli — Menelaja zdjął żal, — bohatera,
Więc przez szeregów przednich ciżbę się przedziera
Pancerny skrzącym spiżem, włócznią trzęsąc w dłoni;
Ares tedy z umysłu męstwo w nim rozpłoni,
Ufając, że się z onym Ajnejas upora.

Obaczył go Antiloch, syn cnego Nestora,
Więc przez szeregów przednich ciżbę się przedziera,
Gdyż obawa o ludów pasterza go zbiera,
By szwanku w czem nie poniósł, a przez to na nice
Nie obrócił Achajskiej wojennej krwawice.
Tamci oba stawając do walki buńczucznie
Wznieśli już na się ręce i ostrzone włócznie;
Wtem przy ludów pasterzu tuż Antiloch stawa.
Ajnej — acz duży rycerz — gdy widział, że sprawa
Z dwu mężoma, co wzajem wspierają swe kroki,
W miejscu nie dotrwał. Oni bliźniąt obu zwłoki
Pomiędzy lud Achajski porywając ninie,
Biedaków tych cisnęli w ramiona drużynie
I w przedni szereg walczyć bieżeli z powrotem.
Z ich ręku tam Pylajmon rozstał się z żywotem,
Który mógł być na równi z Aresem ważony,
A pawężne pod wodzą miał swą Paflagony:
Atrejda go Menelaj, oszczepnik nielada
Żgnie włócznią i w obojczyk cios mu srogi zada;
Antiloch zasię, jego woźnicę pokona
Syna Atymniasa, bitnego Mydona
W chwili, kiedy rumaki miał zawracać właśnie
Z niedzielonym u kopyt rogiem — wtem go trzaśnie
W łokieć głazem Antiloch, że z rąk w okamgnieniu
W kurzawę puścił wodze, na których rzemieniu
Słoniowa kość jaśniała. W skroń Antiloch tnie go,
Machnąwszy krzepko mieczem. Z siedziska zdobnego
Ow, dyszący, łbem naprzód zwalił się na ziemię
Tak, iż w kurzawę barki zapadły i ciemię;
I wryty w miałkie piaski tkwił jeszcze przez chwilę,
Aż go konie, trąciwszy, rozciągnęły w pyle,
Gdy je Antiloch biczem w rozpędzie przyspieszy
Przepędzając je raźno do Achajskiej rzeszy.
Więc Hektor one konie poprzez wojska szyki
Poznał i w trop za niemi gnał z gromkimi krzyki,
Za nim siła trojańskich mężnych rot się zrywa,

Biegł Ares i Enyo z nimi przeraźliwa,
Szalejąca w pogromów rozwścieczeniu ślepem,
Zaś Ares w garściach strasznym potrząsał oszczepem,
Raz przed Hektorem lecąc, to znów za nim w tyle.
Ujrzawszy go, jak wryty zatknął się na chwilę
Diomedes, co w bojach gromkim głosem słynie,
Jak wędrownik, gdy długo idąc po równinie
Stanie nad wartką rzeką, co do morza płynie
I bezradny poziera, jak nurty potoku
Pienią się rwącym prądem — i nawraca kroku,
Tak cofnął się Tydejczyc i do rzesz powiada:
— »Przyjaciele, Hektora włócznikiem nielada
I wojem niepożytym widzimy w podziwie,
A z bogów któryś zawżdy wspiera go skwapliwie
I od zguby go broni. Teraz ot pomyka
Przy nim Ares; kształt na się wziąwszy śmiertelnika,
Przed Trojanami wstecz się zawróćmy bez ujmy,
Z nieśmiertelnymi bogi zgoła nie wojujmy!«
Tak rzekł. Trojanie z bliżu na nich nacierali:
Hektor o ziem dwu mężów umnych jazdy wali,
Co w jednym byli wozie: Menesthej z Anchialem;
Telamonic ogromny, Ajas — tknięty żalem
Nad ich upadem — podbiegł a stanąwszy z blizka
Złożył się włócznią lśniącą, w Amfiona ciska,
Selagowego syna, co z bogactwa znany,
Mieszkał w Paizie, wielkie posiadając łany,
Ale mu czarną Dolą było przeznaczone
Na Priama i synów jego pójść obronę.
Ajas mu Telamonic grot wskróś pasa miota,
Iż długie drzewce w głębi ugrzęzło żywota.
Runął z szczękiem. Więc Ajas biegł świetny w te pędy,
By zeń zbroję obłupić, lecz na niego wszędy
Trojan ostre, łyskliwe groty się sypały,
Aż nimi puklerz jego najeżył się cały.
On zasię trupa wtenczas przydeptawszy piętą
Wyrwał włócznię spiżową w brzuch jego wetkniętą,

Lecz mu z bark zedrzeć zbroi nie zdolił wspaniałej,
Przystępu bowiem k'niemu broniły mu strzały;
Zląkł się, że odwrót bitni Trojanie mu przetną,
Co z włóczniani gromadą stanęli tam świetną;
Więc choć duży, waleczny i pełen był chwały,
Odparli go, że cofnąć musiał się zdumiały,
Tak w trudach walki srogiej parli się przez pola.
Wtem Tlepolema, syna Herakla, gna Dola,
Udałego, rosłego — gna go niezmożona
I naprzeciw boskiego stawia Sarpedona;
Gdy pędząc k'sobie, z blizka już na się podbiegą,
Ów syn — tamten wnęk Zeusa chmurami władnego,
Tlepolem pierwszy słowem owego zagadnie:
»Sarpedonie, Lykejcom rający doradnie,
Musisz tu pchać się drżący i w sztukę bojową
Niewprawny? Kłamią, gdy cię synem Zeusa zową
Ajgidą władnącego! Gdzież tobie człowieku
Do mężów, co zrodzeni z Zeusa w dawnym wieku!
Tacy, jak miał Herakles być mocarny siłą,
Rodzic mój nieulękły, lwie serce w nim biło;
Toć o Laomedona przybył tu rumaki
W sześć naw i z garstką ludzi, a dał się we znaki:
Miasto Ilion spustoszył, wyludnił ulice.
Tyś mdłego ducha, lud więc idzie twój na nice;
Nie będzie z ciebie — tuszę — dla Trojan przedmurza;
Gościu z Lykii, choć w tobie moc byłaby duża,
Bo cię zmogę i w bramę wtrącę Hajdesową!«
Sarpedon, wódz lykijski, odrzekł taką mową:
— »Tlepolemie, on iście zniszczył Ilion święty,
Bo możny Laomedon wyrządzał mu wstręty,
Niewdzięcznem sercem dobre płacąc jemu czyny
I nie dał mu rumaków, dla których przyczyny
Herakles przywędrował tutaj był z daleka;
Lecz tobie mówię, że śmierć odemnie cię czeka
I Dola czarna; dasz ty — gdy cię włócznią skruszę, —
Mnie sławę, Aisowi rumacznemu duszę!«

Rzekł Sarpedon. — Tlepolem rozmach z góry bierze
Oszczepem jasionowym — i obaj rycerze
Z rąk naraz ogromnemi włóczniami cisnęli;
Sarpedon żgnął onego w środek sam gardzieli,
Aż na wylot przebodło przeraźliwe ostrze;
Więc mu się noc na oczach podziemna rozpostrze,
Tlepolem jednak za to swem ogromnem drzewem
Wymierzył był onemu cios na udzie lewem.
Grot w ciało raźno grzęźnie, w kość prawie się wrzyna.
Aliści od zagłady rodzic wyrwał syna:
Boskiego Sarpedona zacnych druhów paru
Z bitwy uniosło. Drzewce ogromne ciężaru
Dodawało wleczone. Nikomu do głowy
Nie przyszło z uda wyrwać oszczep jasionowy,
Ażeby ranny stanąć o własnej mógł sile;
Spiesząc na łeb na szyję trudu mieli tyle.

Lucyan Rydel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

E. Orzeszkowa: »Gloria victis« (1863). — W. Skiba: »Nad poziomy«. — M. Konopnicka: »Z 1835 roku«. M. Czerny: »Niewolnicy ciała«, — K. Zdziechowski: »Łuna«. — St. Ostrowski: »Z gwiazdą mocarza«. — T. Jeske-Choiński: »Jacobini«. — H. Piątkowski: »Mistrz Kłębek«. — St. Przybyszewski: »Dzień sądu«. — J. Żuławski: »Kuszenie szatana«. — W. Sieroszewski: »Ze świata«. — G. Zapolska: »Sezonowa miłość«. — G. Zapolska: »Szaleństwo«. — K. Przerwa-Tetmajer: »Maryna z Hrubego«. — St. Okulicz: »Obrazki z 1863 roku«. — A. Szymański: »Z jakuckiego Olimpu. Jurdiúk Ustúk Us«. — Gabryela: »Poganka«. — A. Strug: »Ze wspomnień starego sympatyka«. — Iwo Płomieńczyk: »Dziewczęta«. — Theresita: »Stygmat«. — Z. Bartkiewicz: »Psie dusze«. — A. Gruszecki: »Światłodawcy«. — R. Jaworski: »Historye maniaków«. — Fr. J. Galiński: »Psia wasz...« — A. St. Iwieński: »Najwyższa droga«. — Knut Hamsun: »Rewolucya«.

Nie można się oprzeć głębokiemu wzruszeniu, czytając Orzeszkowej »Gloria victis« [1]; przecież to rok 1863, tak krwawemi zgłoskami w dziejach zapisany. Zdawaćby się mogło, że na miejscu byłoby tu raczej *Vae victis* starego dębu z lasów horeckich; a jednak, mimo wszelkich tragedyi złamanych ludzkich serc, jest to *Gloria* zupełnie na miejscu, bo »z dziś zwyciężanych dla jutrzejszych zwycięzców powstają oręże i tarcze«. Opowiadania te nie są wyrwane z różnych chwil 1863 r.; ich tematem jedno miejsce i krótki czas: zwycięstwa i porażki w lasach horeckich i ich następstwa; stąd też osobistości

[1] E. Orzeszkowa: »Gloria victis« (1863). Wilno. W. Makowski. 1910. Str. 403.

w różnych obrazach powtarzają się i tym sposobem łączą się te obrazy między sobą. Odmalowała je Orzeszkowa ze zwykłem sobie mistrzowstwem. Widać tu postacie szlachetne, które wiedzą, że idą na »odpowiedzialność, mękę i śmierć«, idą »w jedności i ofiarności«, »z nadzieją czy przeciw nadziei, ale z prawdą i Bogiem«, a »jaki tam koniec będzie to będzie, powinność swoją czyńmy«. Te postacie przemieniają się w tragiczne, gdy widzą, jak wszelkie ofiary daremne, a następstwa tak w nieszczęścia i niedolę bogate — jednak życie i wszystko na ołtarzu składają. Taka np. znana już czytelnikom *Przeglądu* polska Hekuba! Trzech synów zabiera jej powstanie, a choć serce matki w kawały się drze, przenosi jednak tę ciężką ofiarę i upada pod jej brzemieniem dopiero wówczas, gdy spotyka ją największy ból, bo córka z rosyjskim oficerem dom i ziemię rodzinną opuszcza. Niemniejsze wrażenie robi »Bóg nie kto«, gdzie łzy z niewinnym śmiechem radości i szlachetnej prostoty się mieszają, i to serdeczne *Gloria victis*, przypominające koncepcyą swoją najpiękniejsze obrazy z »Iskier« i »Chwil«, choć tak od nich różne bolesną swoją treścią, lecz i płynącą z tych kart nadzieją, tem *Gloria victis*. Walki i zabiegi, rozlana krew i płynące łzy i ofiarna śmierć osiągają jednak pewne skutki; te maluje może najpiękniejsza z nowel »Oficer«. Oficer, Polak zmoskwicony, przechodzi dziwną metamorfozę. Powstanie zabiera mu bratanka, którego kochał i zbliża go do więźnia polskiego. W duszy tego człowieka, który znał dotychczas tylko surowy obowiązek służby wojskowej, powstaje walka, budzą się dawne wspomnienia, brzmi coraz potężniej głos: »Ja o takich rzeczach nigdy nie myślał, nie wiedział... ja człowiek zgubiony«. Więźniowi uprzyjemnia, ile w jego mocy, pobyt w turmie, a gdy się dowiedział, że grozi mu szubienica, ułatwia jemu, narzeczonej i rodzinie ucieczkę, kula zaś rewolwerowa przecina nić jego życia. Niesłychanie subtelnie oddany ten proces przemiany w duszy i żal tylko, że takie ostateczne rozwiązanie dała autorka. Ten człowiek na lepszą dolę zasługiwał. Odkłada się książkę z wdzięcznością, z przekonaniem, że do niej nieraz się jeszcze powróci i z życzeniem: takich więcej!

»Nad poziomy« [1] zasługuje również na polecenie i rozpowszechnienie. Z pierwszego przedewszystkiem tomu pachnie wiosną, a choć

[1] Wołody Skiba (Wł. Sabowski): »Nad poziomy«. Powieść z r. 1863. T. I, str. 291. T. II, str. 196. Warszawa—Kraków G. Gebethner i Sp. 1910

ta wiosna w dalszym ciągu przemienia się w zimę, na wszystkiem jednak spoczywa blask ideału, który opromienia, łagodzi i koi. Nie jest to historya 63 roku, lecz historya kilku młodych chłopców, których rok 63 do siebie pociągnął i częścią życia pozbawił, częścią na wszystkie strony świata rozwiał, ale dopiero po ciężkich przejściach i bohaterskich ofiarach. Niesłychanie trafnie oddane tu życie młodzieży szkolnej, takiej niestety! której dziś już coraz mniej. Kłopoty szkolne, figle płatane zacnym profesorom, do których podobnych dzisiaj już chyba także niewielu, wysokie aspiracye, pierwsze uczucia, czyste i idealne, radości i przelotne smutki, to wszystko składa się na słoneczny wprost obraz. Ta młodzież przemienia się jednak w mężczyzn, gotowych do walki i poświęceń i składa wszystko na ołtarzu ojczyzny, — wszystko, nawet najgłębiej w sercu tajone uczucia, nie upada pod brzemieniem ofiar i nie cofa się ani na chwilę z raz obranej drogi obowiązku. To właśnie osłabia smutne wrażenie drugiego tomu, który przedstawia, jak ułudy się rozwiewają a marzenia powoli w gruzy się sypią. Idea i myśl łączą się w tej powieści harmonijnie razem i stwarzają rzecz wcale niepoślednią.

Ze wzrastającem przygnębieniem zaczyna się czytać »Z 1835 roku« [1], kończy się z nadzieją i odkłada z rozrzewnieniem. Treścią tego opowiadania są losy wygnańców polskich w kopalniach Nerczyńska. Smutne to losy, grozą przejmująca martyrologia, tem straszniejsza, że nadzieja, co ożywiała serca, powoli zwątpieniu i rozpaczy ustępować zaczęła. I kto wie, coby się było stało, gdyby nie szczęśliwe zrządzenie, które wygnańcom dało do rąk na dalekiem wygnaniu »Pana Tadeusza«. Pod wpływem tych wierszy nadzieja na nowo się budzi: »Nie zginęła! Jest! Żyje! Żyć będzie wiecznie!... Jest Ojczyzna! Wierzę w nią! Kocham ją! Chcę żyć i cierpieć dla niej!« Na kilkudziesięciu stronicach rozsnuła autorka klejnoty myśli i uczucia, a jednym z najpiękniejszych to biczowanie się starego Dowiata za dusze rycerzy-męczenników.

»Niewolnicy ciała« [2] należą do tego rodzaju powieści z ostatniej rewolucyi w Królestwie, które, choć nie bez błędu, mają jednak

[1] M. Konopnicka: »Z 1835 roku«. Kraków. Towarzystwo Szkoły Ludowej. 1909. Str. 51.

[2] M. Czerny: »Niewolnicy ciała«. Powieść. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 328.

trwalszą wartość tak ze względu na myśl, jak i na przeprowadzenie tejże. Czuć w tej powieści tęsknotę za lepszą dolą, za wolnością i szczęściem, ale równocześnie brzmi w niej nuta głębokiego przekonania, że droga, jaką pewne stronnictwa wybrały, do tego celu nie wiedzie, bo »człowieka o złych instynktach ani kultura, ani sprawiedliwość, ani dobrobyt nie naprawi« (str. 118). Z tego też względu jest powieść surową, lecz sprawiedliwą krytyką ostatnich zajść rewolucyjnych. Jest nią także i w przeprowadzeniu tej myśli. Czytelnik staje przed różnorodną mozaiką typów. Znajdują się w niej zapaleńcy; na wszystko gotowi, którzy wierzą tylko w bombę i browning; idealiści, którzy tę wiarę utracili, lecz biegu rzeczy już cofnąć nie mogą. Najwięcej jednak szumowin i wyrzutków, o instynktach złych i przewrotnych, mordujących dla mordu samego lub dla prywatnych korzyści, kompromitujących jeszcze więcej całą sprawę, której i tak już trudno bronić. I gdy dla pierwszych dwóch kategoryi czytelnik czuje pewną sympatę, bo choć błądzą, to w dobrej wierze, dla ostatnich, dla tych »niewolników ciała« żywi tylko wstręt i obrzydzenie. Wartość powieści obniżają liczne, często zbyt mgliste refleksye.

W wir rewolucyjny prowadzi także powieść Zdziechowskiego, która wywołała pewną rozbieżność sądów. Ten wir zwiastuje nie przedświt ani świt, lecz »Łunę« [1]. Tytuł »powieść współczesna« mówi za mało; trzebaby jeszcze koniecznie dodać »psychologiczna«, gdyż powieść jest mniej powieścią, jak raczej analizą, nawet dość ciężką. Stąd też nie nadaje się »Łuna« do czytania w wolnych, tysiącem zajęć rozerwanych chwilach; trzeba ją studyować i to ustępami z rozwagą, zastanowieniem się i nawet rozumowaniem. W ogólnem sprawozdaniu z nowszych powieści nie możemy się zająć szczegółowym rozbiorem »Łuny«; ograniczymy się do kilku uwag. Duch rewolucyi unosi się nad całą powieścią, tam nawet, gdzie chwilowo innemi rzeczami autor się zajmuje i ta rewolucya przejawia się na szerokiem tle społecznem. Czytelnik wstępuje do pałaców, gdzie ludzie wegetują, a nad nimi płynie groza i strach — obawa nie o możliwe kataklizmy narodowe, lecz strach o wygody i bezczynne, kołtuńskie życie. Jednak i w tych pałacach znajdują się ludzie patrzący w głąb. Jedni lękają się nie o siebie, lecz o kraj i społeczeństwo — nie łudzą się

[1] K. Zdziechowski: »Łuna«. Powieść współczesna. Tom I, str. 432; tom II, str. 495. Warszawa—Kraków. E. Wende. G. Gebethner i Sp. 1910.

i nie oszukują, radzą i przestrzegają, ale to głos wołającego na puszczy, sprawa za daleko się posunęła. Inni według własnego przekonania rzucają się w wir, na różnych drogach szukają i błądzą i opuszczają ręce — za wielką jest nieufność i za wielki bije żar. Czytelnik wchodzi w świat literacki i artystyczny, szlachetny i podły, w świat czynu uświadomionego, czynu niepewnego i w świat brzmiącego frazesu, sprzecznego z życiem. I roztacza się wreszcie obraz samych przywódców ruchu, bogata galerya typów. Tłum niekoniecznie szeroki, szukający swojej korzyści i idący na lep szumnych haseł; fanatycy, co dążą do walki z Bogiem, jak mówi główny wódz, Ryszard, — z władzą i społeczeństwem nawet, aby światu dać szczęście, niepomni, że zarodek nieszczęścia człowiek sam w sobie nosi, że więc szczęście na ziemi to *fata morgana;* idealiści i mistycy, marzący o jakiemś królestwie Bożem, choć właściwie bez Boga; najgorszego wreszcie rodzaju frazesowicze, u których praktyka z teoryą zawsze i stale w wielkiej niezgodzie. Najmniej ulicy, mało bomb, mordów i krwi, i ta okoliczność świadczy o artystycznym talencie autora. Charakterystyka postaci, faktów, zapatrywań dobra, choć, jak już wspomnieliśmy, rozwlekła trochę i zanadto analizująca. Ostateczna nuta, która po przeczytaniu powieści do serca się dobywa, jest ta sama, na którą zwróciliśmy kiedyś uwagę, omawiając tegoż autora »Przemiany«: »jeżeli ziarno pszeniczne nie obumrze, samo zostanie; jeżeli obumrze, wielki owoc wyda« czyli: droga do szczęścia, to droga obowiązku, ofiary, zaparcia się, poświęcenia i cierpienia, złożonego na ołtarzu ludzkości. Zwrócić musimy wreszcie uwagę na jeden jeszcze szczegół, który wywołał pewną opozycyę. Autor porusza w »Łunie« także kwestye religijne, co było zupełnie na miejscu, gdyż one same się wyłaniały. Uczynił to, naszem zdaniem, trochę niezręcznie. W usta jednego ze swych bohaterów wkłada np. takie zdanie: Paweł, widząc, że siłą fizyczną Kościoła nie złamie, przedzierzgnął się obłudnie w apostoła, znieprawił myśl Chrystusową i stworzył Kościół Pawłowy, daleko od Chrystusowego odbiegły. Z tego uczyniono autorowi zarzut — niesłuszny o tyle, o ile jest jasnem, że ten pogląd nie jest poglądem autora, który go też bynajmniej nie podtrzymuje — słuszny znowu, o ile temu poglądowi nie przeciwstawia innego równoważącego. Ten błąd powtarza się w powieści, a jest on błędem, bo nie każdy czytelnik potrafi zdać sobie sprawę z tego, co czyta; negacya zawsze łatwiej się przyjmuje, jak afirmacya.

Przed niedawnym czasem podnieśliśmy w *Przeglądzie* wysoko zalety opowiadań i obrazków Ostrowskiego p. t. »Z dziejów pułku«. W takich drobnych utworach leży, zdaje się, siła talentu autora. Tego samego nie można powiedzieć o większych pracach Ostrowskiego, a więc i o ostatniej powieści »Z gwiazdą mocarza« [1]. Część historyczna, aczkolwiek ożywiona znajomością i miłością tych czasów, traktowana jest trochę po kronikarsku, a niektóre opisy, w każdym razie zwroty, przypominają żywcem Sienkiewicza; może autor i bez Sienkiewicza byłby tak napisał — konstatujemy tylko fakt. Epizod, należący do historycznej części, t. j. nocne wybryki »gidów«, można było spokojnie opuścić; może jest on i prawdziwy, z ważnością chwili ta zbytnia swawola nie licuje. Lepiej udała się autorowi część niehistoryczna czyli dzieje miłości. Te rozwija on żywo, obrazowo i z pewnem zacięciem. Lecz i tu dwa zastrzeżenia. Zdaje się nam, że te dwie pary, z których jedna poznaje i pobiera się w pierwszej części, druga poznaje dopiero i pobiera się w części drugiej, przerywają jedność opowiadania, rozpraszają uwagę i obniżają wartość powieści. Zastrzeżenie drugie odnosi się do skomplikowanej sytuacyi w miłości Radwana i Reginy. Regina, nie mogąc przełamać oporu ojca, wstępuje do klasztoru, spotyka tam ciężko zranionego Radwana w szpitalu klasztornym, pielęgnuje go i ostatecznie za niego wychodzi. Takie nawiązanie sytuacyi wywołuje pewien niesmak, lecz jeżeli już autor ją wybrał, trzeba było tę rzecz odmalować realnie i prawdziwie. A przecież żadna nowicyuszka po dwóch miesiącach nowicyatu, na pytanie, czy już złożyła śluby, nie odpowie: nie czuję się godną; po prostu złożyć ślubów jeszcze nie może, bo nie pozwala na to ustawa zakonna. A i to trudno zrozumieć, jak w klasztorze młodej nowicyuszce na taką wielką swobodę w przestawaniu z chorym narzeczonym pozwolić mogą. Nie robimy tych uwag w celu, aby wyszukiwać błędów, lecz aby przestrzedz; za często i za fałszywie pisze się w powieściach o klasztorach.

Sam tytuł »Jakobini« [2] wskazuje na treść ostatniej powieści Choińskiego. Właściwie nie jest to powieść w tem znaczeniu, jakie

[1] St. Ostrowski: »Z gwiazdą mocarza«. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1910. Str. 351.

[2] T. Jeske-Choiński: »Jakobini«. Powieść historyczna z czasów rewolucyi francuskiej. Tom I, str. 268; tom II, str. 291. Warszawa—Kraków—Poznań. G. Gebethner—Leitgeber.

dzisiaj temu rodzajowi beletrystyki dajemy. Autor objął w niej zbyt obfity w ważne wypadki czas, bo od zdobycia Bastylii do morderstwa króla; skutkiem tego nie dał treści tej struktury, jednolitości i tego życia, jakiego od powieści się domagamy. Za wiele w »Jakobinach« długich uwag, refleksyi, dyskusyi, rozpraw nawet, oświetlających rewolucyę z punktu historycznego i psychologicznego. To w utworze, który ma być powieścią, a przemienia się w jakąś, w lżejszą formę ujętą, książkę historyczną, nuży. Mimo to »Jakobinów« polecić możemy. Przeciętny czytelnik znajdzie w tym utworze ostatecznie i wątek powieściowy, znajdzie tony silne i sytuacye w wysokim stopniu tragiczne; spotka się także ze satyrą, ironią i humorem, który mimo całego tragizmu treści, nie wnosi w nią rozdźwięku, lecz łączy się w całość, uwypukla i uplastycznia. Czytelnik poważny doczyta się w »Jakobinach« jeszcze innej rzeczy. Zrozumie i pozna, dokąd zdąża człowiek-zwierzę, wyzwalający się z pod prawa i władzy. Ta rewolucya to stek szumowin. Entuzyaści i idealiści prędko się spostrzegli, dokąd walka zmierza i zawrócili, choć zapóźno; wszystko inne nie szukało idei, lecz siebie i swego pożytku, stąd rozboje i mordy, wzajemne szpiegowanie się i gubienie. To prawdziwa Gehenna złości i brudu, ale ta złość i ten brud mściły się na samych twórcach. I jak zwykle w życiu, tak i tu: garść zbrodniarzy steroryzowała naród, nie pragnący krwi i nie pozwoliła mu stanąć w obronie świętych praw. Czemuż to dobro zawsze tak łatwo cofa się przed złem? Wierzyć się nie chce, że w łonie jednego narodu mogło się znaleźć aż tyle brudu. I jak swego czasu przy »Błyskawicach«, tak i przy »Jakobinach« myśl mimowoli zwraca się do świeżych, bolesnych wypadków...

Dziwnie przyjemną niespodziankę zrobił czytelnikom Piątkowski powieścią »Mistrz Kłębek« [1], przy której czytaniu, wbrew przepowiedni autora, nikt rozumny z pewnością ziewać nie będzie. Jest to cięta, trafna, wcale udatna satyra, chłoszcząca pewne chorobliwe objawy społeczeństwa. Takie sobie wiejskie chłopię, co to na wsi nierogaciznę pasało, a w wolnych chwilach z gliny figurki lepiło i protektora w osobie zacnego wiejskiego proboszcza znalazło, reklama dziennikarska, której senzacyi potrzeba było, wyśrubowała na geniusza. Kołtuny warszawskie nie mogły się geniuszu dopatrzyć, wystawa prac w i e l-

[1] H. Piątkowski: »Mistrz Kłębek«. Powieść. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 433.

kiego artysty zrobiła fiasko, więc reklama się cofnęła. Franuś poszedł do szkoły rzeźbiarskiej, gdzie jednak rysunku nauczyć się nie mógł; na geniusza pasuje go znowu głośny malarz Czarlikowski, »skończony snob, wychowany w sztucznej atmosferze kabaretów i przesiąkły ekscentrycznem życiem bohemy i kabotynizmu paryskiego«. Ostatecznie mistrz jedzie do Krakowa, gdzie dostaje się do grona »najświeższej Polski« i w środowisku tych geniuszów, nadgeniuszów, podgeniuszów i nadludzi (prawdziwiej byłoby: podludzi) staje się znakomitością, bo rzeźbiarzem, malarzem, muzykiem i poetą, a na każdem polu wielkim i niezwykłym. Zgłupiały ogół nie wie, co o tem sądzić, przypuszcza jednak, że coś jest, tylko tego c o ś nie widzi. Sławnemu Kłębkowi za mało sławy w kraju; ze zwaryowaną histeryczką-półdziewicą jedzie do Paryża. Tu mniej mu się wiedzie; półdziewica go opuszcza, a Francuzi wnet się poznali na farbowanym lisie. Ale Paryż od Krakowa daleko, reklama, swoją drogą dobrze opłacona, też nie śpi; geniusz wraca do Krakowa z większą jeszcze aureolą sławy, jak dawniej. Kraków urządza nawet narodową apoteozę wielkiego mistrza, który tymczasem odkrył w sobie nowy talent: genialnego tancerza; w Warszawie znowu grunt pod nogami traci i — *finita la comedia.* Życie poszło swoją drogą, zdrowa reakcya zwyciężyła i zapanowała, »najświeższa Polska« rozleciała się na wszystkie strony, niektórzy jej członkowie przeszli nawet do wrogich obozów a M i s t r z K ł ę b e k, nieznany i zapomniany, umarł jako chłop na swojej skromnej zagrodzie. Bicz satyry chłoszcze najpierw pewien odłam dziennikarstwa, te indywidua z pod ciemnej gwiazdy, moralne zera, które jednak urabiają opinię, podsuwając się pod płaszczyk altruizmu, a służąc jedynie cynizmowi i własnej kieszeni. Mniejsza o to, że dla swoich ohydnych celów łamią drugiemu życie. Te ustępy powieści niektóre redakcye mogłyby sobie wziąć jako temat do rozmyślania. Ostrzej jeszcze chłoszcze powieść blagę panującą w tak zwanej nowej sztuce i jej zwolennikach. W tej części znajdują się świetne charakterystyki różnych filarów i koryfeuszów, takiego np. szefa »najświeższej Polski« Bajdochy, poety Ambrozyackiego, malarza Hazdrubalskiego i różnych innych bez końca. Krótkie sprawozdanie nie pozwala wchodzić w szczegóły. I w tej satyrze czuć także ból nad zdeprawowaną sztuką i nad jej rozkładowym wpływem na społeczeństwo, bo i ten wpływ jest przedstawiony. Jednem słowem książka dobra, a byłaby jeszcze lepsza, gdyby mniej było rozsianej po całej powieści charakterystyki Kłębka, która i tak jest jasna i gdyby z niej usunięto całkiem niepotrzebną

np. scenę z Bronką. Inne sceny też wskazują błoto, ale w ten sposób, że się odrazy do niego nabiera, dojrzałemu więc czytelnikowi nie zaszkodzą.

Po przeczytaniu powieści »Dzień sądu« [1] zostaje się długo pod wrażeniem Występuje jeszcze wprawdzie tu i ówdzie dawny Przybyszewski, rozwichrzony, nieścisły, bluźnierczy i brutalny, na ogół jednak jest to powieść poważna i odbija dodatnio od innych. Hanka opuszcza męża i dziecko i żyje z Czerkaskim; tęsknota za dzieckiem zatruwa im jednak życie, a te walki, może trochę rozwlekłe, są przedstawione silnie i pogłębione. Hanka wyrywa się i wyjeżdża wreszcie do dziecka, gotowa już nawet i Czerkaskiego opuścić, byle przy córce pozostać. Nie zastaje męża w Warszawie ani w Krakowie, lecz gdzieś koło Tatr. Mąż na wycieczce; dzień cały z dzieckiem się bawi, wieczorem mąż ją bezlitośnie odrzuca. Muzyk Zaremba, który w całej podróży otaczał ją troskliwą opieką i w niej się zakochał, wynajduje jej mieszkanie, z którego Hanka wczesnym rankiem ucieka. Idzie w góry; zdaje się jej w niezdrowem majaczeniu, że przed nią płynie jej Basia, idzie coraz wyżej, na nic nie bacząc i spada do przepaści. Oto *der Fluch der bösen Tat,* dobrze narysowany i wyzyskany. Jeszcze jedno w tej powieści uderza. Przybyszewski, zajmujący się w swych powieściach zwykle chorobliwemi zjawiskami życia, zwraca się w »Dniu sądu« do problemu narodowego i wielką część książki poświęca walce z germanizacyą w Prusach, w szczególności zaś strajkowi dzieci szkolnych. Cała ta wojna opisana dodatnio i ciepło. »Dzień sądu« nie jest, rozumie się, książką dla młodzieży ze względu na kilka ustępów i zwrotów; dla dorosłych i dojrzałych, umiejących i chcących umiejętnie czytać, może być nawet pożytecznym.

Komuby się trochę podejrzanym wydawał tytuł »Kuszenie szatana« [2], ten się zawiedzie. Z wyjątkiem »Kuszenia szatana«, »Rozmowy z dyabłem« i »Z papierów po niedoszłym samobójcy«, w których brzmi pewna nuta sceptycyzmu i rozwijają się zapatrywania, na które nie każdy się zgodzi, a z których nadto pierwsze dwa utwory należą raczej do filozofii, jak do belletrystyki, wszystkie inne utwory, choć

[1] St. Przybyszewski: »Dzień sądu« (»Synów ziemi« część wtóra). Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 453.

[2] J. Żuławski: »Kuszenie szatana«. Opowiadania. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 251.

nie dają lektury zbyt lekkiej, są rzeczami wartościowemi. Czuć w nich pewien niewymuszony wdzięk, jak np. w opowiadaniu »Modlitwa« lub niektórych ustępach z okruchów. Widać w nich głębszy pogląd na życie. »Pax«, dajmy na to, przeprowadza udatnie myśl, że szczęście życia to życia spokój, a spokój to ofiara. Nie brak i opowiadań o głębszym zarysie tragicznym. Młody Polak-kosmopolita, który drży na samą myśl zamieszkania w rodzinnych stronach, zaczyna całem sercem kochać ten zagon rodzinny, z bólem go traci, lecz groby ojców dają mu spokój i wiodą do nowego życia (»Z domu ojców«); podwójna tragedya: matki, co umiera, widząc nieszczęście córki i cierpienie córki, której złamano serce (»Matka«); rozpacz idealisty, co lata życia poświęcił, aby ludzkości dać szczęście i widzi, że daremnie (»Biały szczur«); a przedewszystkiem o Ibsenowskim zakroju »Po uczcie«, gdzie wielki uczony i literat, któremu w dzień jubileuszu cały naród hołd składał, poznaje za późno, że minął się z życia powołaniem i cierpi i dręczy się — to wszystko daje lekturę nietuzinkową, a co najważniejsza, pobudza do myślenia.

Znane już przeważnie utwory zawiera Sieroszewskiego »Ze świata« [1], wraca się jednak chętnie do nich. Składa się na to niezwykłość i egzotyczność tematów; autor, znany podróżnik, choć tylko z musu, był w stanie dobrze je opracować. Żywo i wyraziście maluje przygody na morzu i na lądzie, przykuwa uwagę i ani na chwilę jej nie rozluźnia. Czytelnik żyje z tymi ludźmi, czy cierpią oni w bezowocnej podróży do bieguna, czy po szerokiem morzu błąkają się za wielorybem lub po śnieżnej pustyni gonią za »dzikusem«. Z tem samem zaciekawieniem idzie i do Chin, gdzie, jak i u nas, cierpią i dręczą się serca. Jest to tem większą zasługą, że niemałego trzeba talentu, aby tematem od nas tak odległym nie na chwilę tylko, lecz na dłużej zająć; autor trudności wszystkie szczęśliwie ominął. Ze względu na tytuł i na całą treść wydaje nam się w tym tomie mniej na miejscu prześliczna skądinąd i szeroko u nas znana, z życia dzieci zaczerpnięta sielanka »Latorośle«.

Jako charakterystyka sezonu w Zakopanem ma »Sezonowa miłość« [2] niepoślednią wartość; patrzy w głąb i choć kładzie ostre farby

[1] W. Sieroszewski: »Ze świata«. Opowiadania. Kraków. Spółka nakł. »Książka«. Str. 249.

[2] G. Zapolska: »Sezonowa miłość«. Powieść współczesna. Wydanie II. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 446.

i kolory, robi jednak wrażenie, że przedstawia prawdę, daleką od pozornej rzeczywistości. A ta prawda rysuje się jeszcze jaskrawiej na tle pięknej i ślicznie, powiedzielibyśmy nawet: namiętnie opisanej przyrody tatrzańskiej. Jako charakterystyka wybitniejszych postaci jest powieścią wcale udaną. Wystarczy tu wspomnieć o góralce Obidowskiej, w której sercu obok poziomych instynktów kryją się głębokie tragedye, co tę Aszantkę robią często nawet sympatyczną i obudzają dla niej współczucie, jakie wywołuje również mąż Tuśki, zahukany i zapracowany urzędnik warszawski, który gdy w chwilach szczerości otwiera swą duszę, mimo wszystkich swoich ujemnych przymiotów, do siebie pociąga. Jako idea, która, jak w ognisku koncentruje się w żonie Żebrowskiego, Tuśce, i aktorze Porzyckim, pokazuje powieść te same niedostatki i moralne błędy, jak wogóle wszystkie powieści Zapolskiej. Tuśka, kobieta-lalka, bez wartości moralnej, bez wyższej myśli, bez pojęcia o obowiązku; Porzycki, sympatyczny w niektórych objawach, szczególniej w nocnej wycieczce ze Żebrowskim, też niewiele wart, choć jego grube błędy płyną raczej z lekkomyślności. Stąd flirt, posunięty bardzo daleko, a tylko wypadkiem od ostateczności powstrzymany, stąd wreszcie postanowienie opuszczenia męża i synów, postanowienie przyjęte choć niewykonane, nie z pobudki obowiązku, lecz uczucia i wrażenia. Porzycki zrywając odzyskuje trochę sympatyi; Tuśkę i książkę żegna jednak czytelnik z niesmakiem i niezadowoleniem.

Wrażliwym i nerwowym czytelnikom nie można stanowczo dać do ręki ostatniej powieści Zapolskiej »Szaleństwo« [1]; zanadto przygnębia i rozdrażnia. Wyglądają z tej powieści tu i owdzie dawne pazurki, np. gdy pisze o konwenansach i ustawach tam, gdzieby trzeba mówić o prawie Bożem lub przyrodzonem, gdy wspomina o »śmiesznej ceremonii ślubnej«, którą »chińszczyzna życia upiększyła spowiedzią z całego żywota«, choć to twierdzenie zupełnie fałszywe; wogóle jednak temat powieści jest traktowany poważnie i wykazuje pewne zmiany na lepsze w zapatrywaniach autorki. Bohaterka »Szaleństwa«, Rena, kobieta niezwykle przeczulona i w wysokim stopniu nerwowo chora, powodując się tylko nerwami, wychodzi za mąż za głośnego doktora. Nie daje i nie otrzymuje szczęścia. Nerwy też w wielkiej części sprawiają, że się zapomina i oto zaczyna się potrójna walka:

[1] G. Zapolska: »Szaleństwo«. Powieść. Warszawa–Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 394.

wyrzut sumienia, że dziecko niesłusznie nosi nazwisko męża — gniew i oburzenie, że przypuszczalny ojciec dziecka żeni się, wreszcie niepewność, wywołana przypadkowem zdaniem jakiejś znajomej: »kobieta wiedzieć nie może...« Ta potrójna walka, odmalowana żywemi barwami i z psychologiczną znajomością serca, prowadzi Renę do tego, że sobie i innym, a przedewszystkiem dziecku zatruwa życie i kończy wreszcie samobójczą śmiercią. W przeprowadzeniu tej psychologicznej walki leży, naszem zdaniem, słaba strona utworu. Rozumiemy, czemu autorka położyła taki nacisk na owo wewnętrzne szamotanie się, wywołane niepewnością: kto więc jest ojcem? Łączy się ono z pierwiastkiem pierwszym, to jest z wyrzutami sumienia i, jeżeli autorka chciała dać szczery moralny podkład powieści, trzeba się było do tych dwóch elementów ograniczyć; taka podwójna walka musiałaby się z pewnością toczyć w sercu kobiety, co jeszcze zachowała trochę prawości i szlachetności. Element środkowy wartość powieści obniża; jest tylko prostem rozdrażnieniem z powodu utraconego wpływu, ze sumieniem zaś, które tu główną powinno odgrywać rolę, nie ma nic wspólnego.

Powieściom Tetmajera pod względem moralnym zawsze wiele zarzucić można było, technika ich jednak była przeważnie dobra; »Maryna z Hrubego« [1] szwankuje pod każdym względem. Jak zwykle, jest i tu nienawiść do szlachty, do kleru i Rzymu, posunięta aż do żądania polskiego Kościoła i polskiego papieża; jest wiele scen wstrętnych i brutalnych; żadnej prawie jasnej postaci, wszędzie za to człowiek-zwierzę w najszerszem tego słowa znaczeniu. Co miało być jasnem, jest niem chyba w oczach autora. Kostka Napierski, podnosząc bunt, czyni to ze zemsty i jest wprost niedołęgą, który mógł się ratować, a ratować nie potrafił; na Łętowskiego jedynie i Radockiego pada trochę światła. Z pewną predylekcyą malowana wolność obyczajów, a szczególnie jakaś, jakby apoteoza pogaństwa ludu z Podhala, robi wrażenie przykre; to ostatnie jest też nie bardzo prawdopodobne. Dawny talent Tetmajera objawia się tylko w kilku opisach, np. w wyruszaniu juhasów na hale ze stadami i w tragedyi serca Maryny. Dziewczyna ta, nie tylko przez pół, ale zupełna poganka, oddała swą miłość największemu wrogowi ludu, rozpustnemu, jak sam szatan, Sieniawskiemu, i choć się targa i łamie, uczucia tego z serca wyrwać

[1] K. Przerwa-Tetmajer: »Maryna z Hrubego« (Na Skalnem Podhalu). Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 332.

nie może, opuszcza wszystko i na hańbę za Sieniawskim idzie; jest w tem naprawdę coś z tragedyi.

Miło jest zawsze wziąć do ręki książkę, opisującą nasze wielkie tragedye dziejowe; podnosi ona duszę na wyżyny ideału, rozpala święty ogień miłości kraju, wykazuje, że i bezowocna ofiara jest rzeczą wielką i konieczną. Do takich książek należą także »Obrazki z 1863 r.« [1]. Robią one wprawdzie wrażenie, że autor nie obraca się swobodnie na polu literackiem, dlatego ich faktura nie odpowiada ze wszystkiem dzisiejszym wymaganiom, a zbyt długie i częste uwagi przerywają tok opowiadań, są jednak pisane serdeczną krwią i poczciwie. Czytelnik spotyka na każdej karcie postacie wielkich, chrześcijańskich bohaterów, którzy niczego już się nie spodziewają, bo spodziewać nie mogą, a jednak idą na trud, na niewolę i od niewoli słodszą śmierć, gdyż pcha ich święty, w sercach gorejący ogień. Wszędzie wielkie wysiłki, wielkie bohaterstwa i wielkie cierpienia, ale one dlatego, że tak nadludzkie, obudzają nadzieję, że to morze przelanej krwi i wylanych łez tam w górze kiedyś policzonem będzie.

Niby proza, niby poemat przedstawia się Szymańskiego egzotyczna baśń »Z jakuckiego Olimpu« [2]. Tematem tej baśni pewne wierzenia, zwyczaje i urządzenia religijne i prawdy życiowe, które na ten dziki, nieznany naród rzucają jednak wcale ciekawe światło. Głębsze nawet myśli znajdują do tych pierwotnych serc przystęp, jak ta, że to, co się nad ogół wybija, drogą cierpienia iść musi i, co jest ideą przewodnią tej baśni, że dobrowolna ofiara i cierpienie błogosławieństwo dla ogółu niosą. Książka jednem słowem poważna, ale też dla poważnych tylko napisana.

Może trochę za długi, trochę nienaturalny i niekoniecznie potrzebny wstęp, ale ostatecznie tę dawną znajomą »Pogankę« [3] czyta się jak baśń i z wyjątkiem kilku ślicznych scen, łagodnem światłem życia w rodzinnym domu spędzonego opromienionych, jest też ona kawałkiem baśni przez sposób ujęcia i przeprowadzenia tematu, niejasność

[1] St. Okulicz: »Obrazki z 1863 r.« Kraków 1910. Str. 218.

[2] A. Szymański: »Z jakuckiego Olimpu. Jurdiúk Ustúk Us«. Baśń. Kraków 1910. Str. 149.

[3] Gabryela (Narcyza Żmichowska): »Poganka«. Kraków—Warszawa. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 252.

sytuacyi i fantastyczność pomysłów, gdzie prawdę od urojenia trudno odróżnić. Z opowieści wyłania się myśl, że »człowiek zdolny i uczciwy... który przyniósł ze sobą na świat złote serce, dyamentową wyobraźnię, mógł zostać poetą lub prorokiem... został kochankiem pięknej kobiety«, która go zdradziła i »dziś złamany, bezsilny, martwy, nieużyteczny. Biada miłości, która się tak na jednostkę wyrzuci i zmarnuje«. Chodzi tu o konkretny wypadek, więc ostatecznie przeciwko tej tezie nic mieć nie można, w pojedynczym bowiem razie może być prawdziwą, choć z takiego życia ludzkości niewielka pociecha. Nie jest jednak wykluczonem, że ktoś tezę ogólniej zrozumieć zechce, a wówczas byłaby ona fałszywą, bo i zdrada nie każdego zabija i uczciwe uczucie wiele pomódz może.

Dwa obrazki i rodzaj pamiętnika a wszystko odnoszące się do rewolucyjnego ruchu w Królestwie zawiera Struga »Ze wspomnień starego sympatyka« [1]. Książka ta różni się bardzo od tegoż samego autora »Jutra«. Tam, choć na wiele poglądów nie mogliśmy się zgodzić, pojawiała się żywiołowa prawie siła talentu, głębokie odczucie bólu i zrozumienie różnych objawów duszy ludzkiej; obecna książka nastrojona jest na ton minorowy. Podoba się obrazek »Z powrotem«; to rzecz nawet wdzięczna, w lekkim tonie trzymana, choć i nad nią unosi się w gruncie jakiś smutek i tęsknota. Innego rodzaju są już »Odruchy«, taka sobie smutna historya agitatora, wsparta o szerokie tło wspomnień i cierpień jednostek ogółu, w której występuje nawet — rzecz dziwna — niezwykle sympatyczna postać kapłana. Same zaś »Wspomnienia« to jakby historyczny dokument i przyczynek do dziejów rewolucyi. Widać tu początki, rozwój, upadek i znowu ożywianie się ruchu; występują różni przywódcy, nie zawsze bardzo świadomi celu i nie bardzo do niego dorośli; odzywają się kwasy, niezgody, rozterki i podejrzenia. Czuje się dla tych ludzi nawet sympatyę, gdyż tak często w dobrej wierze działają, a ból i cierpienie w sercu zawsze oddźwięk znajdzie — nie można się jednak zgodzić na dużo ich zapatrywań ani na ich sposób działania; tej granicy nigdy chyba nie przekroczymy. Tęskna, trochę bolesna, trochę rozmarzona atmosfera wisi nad tą książką.

---

[1] A. Strug: »Ze wspomnień starego sympatyka«. (»Ludzi podziemnych« serya II). Kraków. Spółka »Książka«. Str. 235.

Dużo różnych rzeczy, choć zawsze prawie koło uczucia miłości się obracających, znajduje się w tych »Dziewczętach« [1]. Są tu nastroje i marzenia, trochę, jak to dzisiaj moda, mgliste, językiem pięknym opisane — nie do twarzy im tylko z pewną nutą sarkazmu, która czasami gdzieś tam się przebija. Są tu niby baśnie, niby symbole o królewnach i królewiczach, słoneczne i ponure, wdzięczne i groźne, w których i myśli doczytać się można. Znajduje się także i świat podlotków z tajonymi w sercu ideałami. A te ideały są dość ciekawe. Ot! smażona skórka pomarańczy, garść włoskich orzechów, umorusana czarnemi czereśniami buzia; czasem także kwiaty i muzyka, a zawsze nadto »on«, wyśniony królewicz z bajki, który ma tę jedną ujemną stronę, że nie przychodzi, a jeżeli i przychodzi nawet, to przypomina zawsze opowieść o kwaśnych winogronach. Prowadzi to wszystko życie trochę bezmyślne, ma to swoje radości i smutki, czasami urojone, prawdziwe czasami i jest ostatecznie dość sympatyczne. Talent autorki, gdyby pracował więcej trzeźwo, naturalnie i nad tematami poważniejszymi, mógłby dać i dałby z pewnością doskonalsze rzeczy.

Wytworne wydanie, niecodzienna forma, formie nieodpowiadająca treść — tak się przedstawia zbiór nowel Theresity »Stygmat« [2]. Dużo tam rozwichrzonych myśli, dużo ciemnych, niezrozumiałych ustępów i chorych charakterów. Są to nowele wyjęte przeważnie z życia pensyonarek klasztornych, a ich treścią prawie wyłącznie niezdrowa miłość pensyonarki; miłość do kapłana (»W alei krzyża«), do zakonnicy (»Niepokalanka«), miłość wstępującej do klasztoru uczennicy do jakiegoś ideału męskiego (»Stygmat«). I ciągnie się to przez kilkadziesiąt stron i drażni czytelnika, który musi sobie powiedzieć, że autorka zna może objawy niezdrowej miłości, nie zna jednak ani klasztoru ani klasztornego pensyonatu, boć przecież gdyby nawet jaka chora dusza przypadkiem tam się znalazła, nie jest ona regułą, lecz wyjątkiem. W innych nowelach, jak »Appasionata« lub »Salvae aeternum« (swoją drogą nie pisze się *salvae* lecz *salve*) wszystko również anormalne i chorowite. Szkoda wysiłku i pięknej formy!

---

[1] Iwo Płomieńczyk (Maryla Wolska): »Dziewczęta«. Nowele. Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. 1910. Str. 267.

[2] Theresita (M. Krzymuska): »Stygmat«. Wydanie drugie. Warszawa—Kraków. J. Fischer — G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 117.

»Psie dusze!« [1] dlatego chyba, że psim jest los i psiem życie pewnej liczby postaci tego dziełka, a pewnie i dlatego, że uczciwszem nieraz, o ile o tem wogóle mowa być może, jest życie psa. Niema co mówić! Jest w tych obrazkach — bo nowel tu bardzo mało — pewien, nawet dość bystry zmysł obserwacyjny, choć czasami, jak np. w typach »U wołyńskiej granicy« trochę jednostronny, jest bezpośrednie uchwycenie wrażeń i lekkość opisu, jest sarkazm i satyra i odczuty chwilami ból życia, może zbyt krańcowy pesymizm — to wszystko jednak jakieś zimne. Brak serdecznej krwi, którąby wiele z tych rzeczy pisać wypadało, a rany jak w »Z mroków życia« bezlitośnie obnażać i z nich drwić, to, zdaje się, do niczego nie prowadzi. Jak jednak do tego zbiorku dostać się mógł »Radosny dzień«, to dla czytelnika zagadką. Obniża on wartość książki i polecić jej nie pozwala.

Od p. Gruszeckiego nie można się spodziewać rzeczy doskonałej — tej iluzyi pozbył się już dawno każdy z recenzentów. Kto, jak on, na sensacyę poluje, na spekulacyę liczy i tyle rzeczy rok rocznie fabrykuje — innego wyrażenia użyć niepodobna — stawia siebie samego w rzędzie rzemieślników, nie literatów. Jeden jednak możnaby postawić postulat, ten, żeby to, co autor nazywa powieścią, nie było tylko paszkwilem. A takim paszkwilem, i do tego bardzo nieudolnym, są »Światłodawcy« [2]. Paszkwilem na Kościół, który — ze zdumieniem dowiaduje się o tem czytelnik — podaje np. jako dogmat do wierzenia, że św. Kinga przyniosła do Polski sól; paszkwilem na duchowieństwo, które wprost ohydnie w tej powieści jest przedstawione; paszkwilem wreszcie na władzę i ogół nauczycielstwa. Wielka część nauczycielek zawdzięcza przecież, według autora, posady swoje poświęceniu tego, co tworzy najdroższy skarb kobiety — to kochanki i utrzymanki. Nauczyciele znowu niezaradni, niepraktyczni, niesolidarni — młodzi zapaleńcy rej między nimi wodzą i siebie i innych unieszczęśliwiają. Każdy na to z pewnością się zgodzi, że w stosunkach nauczycielstwa ludowego dużo jest do zreformowania i do zrobienia, dużo tam braków i błędów, jednak nawet z licznych faktów nie wolno tworzyć reguły.

---

[1] Z. Bartkiewicz: »Psie dusze«. Nowele i obrazy. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 231.

[2] Artur Gruszecki: »Światłodawcy«. Powieść współczesna. Warszawa. L. Biernacki i Sp. 1909. Str. 197.

Taki jednostronny i nienawistny obraz, jaki malują »Światłodawcy«, sprawie z pewnością nie pomoże, zaszkodzi jej raczej.

Kilka już razy spotykaliśmy się w naszych sprawozdaniach z beletrystycznemi wydawnictwami »Książki« i byliśmy dla nich, z pewnemi, czasem ważnemi zastrzeżeniami, prawie zawsze z uznaniem. Nie możemy tego uczynić z książką Janowskiego »Historye maniaków« [1]. Może i autor miał jakiś wytknięty cel przed oczami, niepodobna się jednak, z małymi wyjątkami, w tem wszystkiem zoryentować i potrzeba niemałego wysiłku, żeby tę książkę sumiennie do końca przeczytać. A szkoda, bo choć forma, o ile się odnosi do języka, do zwrotów i porównań, daje okazyę do różnych zarzutów, to jednak w takich obrazkach, jak »Zepsuty ornament« lub »Medi« znajduje się koloryt, siła i dobry rysunek stanów duszy, który sercem wstrząsa.

Za motto swoich opowiadań »Psia wasz...« [2] postawił Galiński słowa Multatuli'ego: »Żaden autor nie jest dość rozsądnym, aby pojąć głupotę swych czytelników«. Wystarczyłoby w tym wypadku przestawić tylko słowa: a u t o r i c z y t e l n i k ó w, a bylibyśmy bliżej prawdy. Bo cóż sądzić o autorze, który daje rzeczy piękne, a obok nich zaraz stawia dziecinne ramoty, moralne i literackie zera? Takie opowiadania, jak »W bastyonie«, »Jaś«, »Matka«, mają wartość i znamionują talent. Obok nich pojawia się jednak zaraz »Środkowa reduta«, dysputa w miejscu ustępowem o istnieniu a raczej nieistnieniu Boga, lub obrzydliwie realistyczne »Nagniotki«, i znowu »Dla dziecka«, gdzie ojciec, kochanek nieznanej sobie własnej nieślubnej córki, bierze z nią ślub a potem ginie samobójstwem, i moralnie wstrętna, zwyrodniała »Fausse couche«. Co jeszcze w tym zbiorku się znajduje, większej wartości nie posiada. W całej książce czuć zapach »Środkowej reduty« i teza o odwróceniu motta jest chyba uzasadnioną.

Jeżeli ktoś nie wie jeszcze, jak bardzo na bezdroże zeszedł gust czytającej publiczności, niech weźmie do ręki Iwieńskiego tak zwaną

---

[1] R. Janowski: »Historye maniaków«. Kraków. Spółka nakł. »Książka«. Str. 233.

[2] Fr. J. Galiński: »Psia wasz...« Opowiadania. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1909. Str. 169.

powieść »Najwyższa droga« [1], która przecież także znalazła nakładcę. Dowiedzieć się z niej można dużo ciekawych rzeczy, a najpierw, jak wyglądają chorobliwe, erotyczne majaczenia psychopaty i jakie poglądy na kobietę głosił Nietzsche, choć autor przezornie o tem, że to Nietzsche, nie wspomina; być może, że i w czytelniku, podobnie jak w autorze, »jak błyskawica« zrodzi się myśl, że już zbliża się chwila, w której natura jedną płeć inną jakąś zastąpi, a z pewnością wiele artystycznej przyjemności dadzą takie poglądy, jak »nędzna histerya św. Teresy«, lub takie wyrażenia i porównania, jak »biała gorączka« lub »anemiczne leśne konwalie, białe i smutne, jak sen zakonnicy«. Znajdzie w tej *quasi* powieści czytelnik wszystko, nawet skrupulatnie umieszczone daty lat, w których powstały trzy rozdziały wielkiego dzieła, nie znajdzie tylko sztuki ani zdrowia.

Nie mamy wielkiego nabożeństwa do różnych bezpłatnych dodatków, przeznaczonych dla czytelników gazet. Dużo tam zwykle niezdrowej sensacyi a mało wartości. Do takich jednak nie należy zbiorek nowel Knuta Hamsuna »Rewolucya« [2]. Na wolne chwile to nie najgorsza lektura, w miarę pogodna, lekkim humorem okraszona, jak »Rewolucya« lub »Na występach«, w miarę tragiczna i tajemnicza, jak »Niewolnicy miłości« i »Dama z Tivoli«; wywołuje także »dreszcze«, jak »Strach śmierci« i »Upiór«; rozrzewnia w »Gwiazdce w górskiej chacie«, jednem słowem służyć może dobrze do zabicia czasu, gdy się nie ma nic więcej do roboty.

* * *

Z piśmiennictw obcych.

Die Ehe am Ausgange des Mittelalters. Eine kirchen- und kulturhistorische Studie. Von *Dr. Franz Falk.* Freiburg i Br. Herder. Str. VIII, 96.

W ostatnich dziesiątkach lat podniesiono w obozie protestanckim zarzut, iż Kościół średniowieczny nie cenił należycie godności małżeństwa, iż uważał je jako związek grzeszny, który co najwyżej tolero-

[1] A. St. Iwieński: »Najwyższa droga«. Powieść. Część pierwsza: *Ite missa est.* Warszawa. W. Wiediger. 1909. Str. 75.

[2] Knut Hamsun: »Rewolucya«, »Strach śmierci« i inne nowele. Wilno. *Kuryer litewski.* 1910. Str. 123.

wać można. Przywykliśmy już do podobnych zarzutów, skierowanych przeciw nauce i instytucyom Kościoła katolickiego. Gdy o nich słyszymy, dziwi nas jedynie ta okoliczność, że ich autorowie mają jeszcze pretensyę, by ich uważano za ludzi wykształconych a nawet uczonych.

Jak niedorzeczny jest w szczególności wyżej nadmieniony zarzut tyczący się stanowiska Kościoła w średnich wiekach wobec małżeństwa, dobitnie wykazuje dr. Falk w niniejszej rozprawie. Musiał Kościół katolicki widocznie wysoko cenić instytucyę małżeńską i mocno być przekonanym o jej doniosłości, skoro od samego początku swego istnienia zachęcał wiernych i nalegał, by nie inaczej, jak tylko za interwencyą kapłana zawierali małżeństwa, i sam akt ślubu uświetnił ceremoniami pełnemi najpiękniejszej symboliki, jak np. poświęceniem pierścionków, welonu i paska ślubnego (rozdz. I, II). Pod wpływem nauki Kościoła o wybitnem znaczeniu związku małżeńskiego dla rodziny i społeczeństwa, wytworzyły się w średnich wiekach rozliczne zwyczaje i prawa ludowe, przyznające matkom bezpośrednio przed i po połogu daleko idące przywileje (rozdz. III). Niemniej jasnym dowodem na korzyść Kościoła są owe liczne pisemka ulotne, książki pobożne i nowelki, podówczas wszędzie rozpowszechnione, które w barwnych i gorących słowach bądź to wychwalają świętość stanu małżeńskiego, bądź podnoszą szczęście, jakie on pod każdym względem przynosi małżonkom, i wierność małżeńską, stanowiącą podstawę i warunek niezbędny tegoż szczęścia (rozdz. IV – VI). Rozdział VII poświęca autor kwestyi wyprawy ubogich dziewcząt. Znamienny to fakt, że w tym kierunku Rzymowi należy się pierwszeństwo. W samym bowiem Rzymie powstały przy schyłku średnich wieków aż cztery bractwa, które jako cel wyłączny wytknęły sobie wyposażenie ubogich panienek. Historya jałmużnictwa papieskiego świadczy, iż wyposażenie biednych dziewcząt należało do stałych rubryk w księgach wydatków. Ale i w innych także miastach europejskich nie brakowało fundacyi na tenże sam cel. Pomiędzy miastami północnej Europy stoi w pierwszych szeregach Hamburg — podówczas jeszcze katolicki — gdzie w samym XV w. powstało 26 fundacyi prywatnych celem uposażenia panienek wstępujących w związki małżeńskie. Ta nadzwyczajna hojność Kościoła i jego synów, jak z jednej strony zadaje oczywisty kłam rozpowszechnionym uprzedzeniom przeciw t. zw. martwej ręce Kościoła, tak z drugiej strony świadczy nader korzystnie o czci, jaką cieszył się stan małżeński w oczach Kościoła katolickiego. W tym szacunku dla stanu małżeńskiego Kościół posunął się nawet tak daleko,

iż wielu małżonkom i wdowom przyznał cześć Świętych i przedstawił ich wiernym, jako wzory godne naśladowania (rozdz. VIII).

Reformacya zaś XVI w. nie tylko że nie podniosła szacunku dla stanu małżeńskiego, lecz raczej go obniżyła w nauce również, jak i w życiu praktycznem. Protestantyzm wyzuł małżeństwo z godności sakramentalnej i odjął mu cechę związku nierozerwalnego. Rozluźnienie obyczajów było naturalnem następstwem takiej nauki. W domach samychże predykantów, powołanych bądź co bądź do czuwania nad świętością małżeństwa wśród wiernych, grasowały powszechnie dwa zwłaszcza występki: pijaństwo i nierząd (rozdz. IX).

Autor nie zbywa czytelników nic nieznaczącymi frazesami, lecz twierdzenia swoje opiera na skrzętnie zebranych źródłach; więc o skrzywienie prawdy historycznej lub o stronniczość posądzać go nie można. To też rozprawę jego, która w obecnych warunkach jest bardzo na czasie, wszystkim gorąco polecamy.

Ks. J. Roth.

Geschichte der österreichischen Revolution im Zusammenhange mit der mitteleuropäischen Bewegung der Jahre 1848—1849. *J. A. Helfert.* I. B. Str. XIX, 536. II. B. Str. XV, 380. B. Herder. Fryburg i Wiedeń. 1907—1909.

Do czasów rewolucyi 1848 r. w Austryi, niewiele mamy wybitnych prac. Friedjunga *Oesterreich* i *Der Kampf um die Vorherrschaft in Deutschland,* Springera *Geschichte Oesterreichs* (tomy II), dalej Kohmera *Parlament.* Coś jest i do historyi Czech, nadto nieco pamiętników. W polskiej literaturze ukazało się prawie że ostatniemi laty kilka dzieł do tej epoki; np. praca p. D'Abancourta, Pamiętniki Ziemiałkowskiego, Widmana, Fr. Smolki, a przedewszystkiem prace Łozińskiego.

Najnowsze dzieło przynosi nam człowiek, biorący czynny udział w wypadkach 1848-go roku, J. A. Helfert. Wszelkie dane były po jego stronie, by napisać znakomite dzieło o rewolucyjnym okresie w Austryi. Z pochodzenia niemiecki Czech, z kategoryi tych ludzi, którzy zalewali Galicyę w roli germanizatorów-policyantów: ale, konsekwentnie, musiał on znać stosunki czeskie, tak ważne do zrozumienia ich legalnej, a zażartej walki konstytucyjnej. Z zawodu prawnik, już w bardzo młodym wieku miał sposobność poznać i stosunki polskie, bo zaledwie 27 lat liczył, gdy zasiadł na katedrze naszej Jagiellońskiej Wszechnicy w Krakowie, gdzie wykładał prawo rzymskie i ko-

ścielne. Było to w r. 1848, w przeddzień rewolucyi. Wybrany posłem do pierwszego austryackiego parlamentu w tymże r. 1848, niedługo potem (w tym samym roku) powołany na sekretarza ministeryalnego, stał jak najbliżej sfer rządzących i był świadom całego przebiegu spraw. Jako ustawicznie czynny polityk, zajmował on stanowisko wybitnie centralistyczne, wedle ówczesnego rozumienia, a zawsze dobrze widziany w sferach rządowych, mógł też znaleźć łatwy dostęp do archiwów państwowych i zaczerpnąć stamtąd te wiadomości, jakich inni historycy mieć nie mogli. Nadto bardzo obszerne, prywatne zbiory Helferta do dziejów epoki rewolucyjnej, jaką sam przebył, późny, zrównoważony wiek, w którym się zabrał do pisania tych dziejów, a przeszłość obfita w twórczość na polu historyi, to wszystko daje gwarancyę, że praca o rewolucyi będzie czemś znakomitem.

Opowiadanie samo zaczyna Helfert od omówienia stosunków wewnętrznych Austryi: naturalnie, że na pierwszy plan wysuwają się przedewszystkiem stosunki narodowościowe, obok kilku najwybitniejszych podówczas osobistości w świecie politycznym (rozdział I, II). W rozdziale III i IV występują już pierwsze chmury na horyzoncie Austryi z zapowiedzią przewrotu. Ruch w Galicyi, opozycya na Węgrzech, a dziwne zachowanie się palatyna, ucisk i szykany austryackie w Lombardyi, a ruch wolnościowy, gdy nawet sam papież zwraca się przeciwko Austryi; równocześnie i Prusy starają się usunąć Austryę od wpływów i pierwszej roli w związku niemieckim. W następnych rozdziałach V, VI (zatytułowanym »Wiosna ludów«), VII i VIII czujemy powiew rewolucyi po całej Europie, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków austryackich. Wgląda tutaj autor dość szczegółowo we wszystkie czynniki i osoby działające tak, że formalnie zalewa pamięć czytelnika mnóstwem nazwisk. O stosunkach polskich, pod trzema zaborami, wspomina niewiele, aczkolwiek częstych a specyalnych wzmianek jest dosyć (np. na str. 45, 291, 301, 375, 387, 426, 454 i i.). W IX rozdziale znajdujemy plany konstytucyjne i prace polityków austryackich z kwietnia 1848 roku.

Drugi tom zaczyna się rozdziałem X, z brawurą zatytułowanym »Jeszcze Polska nie zginęła«. Cały ten rozdział omawia stosunki Polaków w 1848 r., ale w sposób nam nieprzychylny. Więc naprzód losy powstania krakowskiego, poznańskiego, dalej dzieje deputacyi galicyjskiej do Wiednia; znajdujemy też tutaj bardzo dokładnie opisane sympatye delegatów frankfurckiego sejmu dla Polski. Również wybitnie dokładnie przedstawia Helfert w następnym rozdz. XI dzieje w Niem-

czech, szczególnie zaś parlamentu frankfurckiego, do którego posiadał specyalne materyały, nikomu dotąd niedostępne, oraz i zjazd słowiański w Pradze. Obszerny rozdział XII poświęcony jest kampanii włoskiej Radeckyego; rozdz. XIII wypadkom majowym (Paryż, Neapol, Wiedeń). Ostatnie rozdziały XIV i XV przedstawiają ucieczkę dworu cesarskiego w dniu 17 maja 1848 r., jego przybycie do Innsbrucka, oraz wrażenie, jakie ten postępek cesarza wywołał w Wiedniu. Teraz zaczynają wiedeńczycy budować barykady a Windischgraetz zaczyna wszechwładnie swoje panowanie.

Tylko co przytoczona treść wskazuje, że dzieło Helferta nie jest jeszcze skończone. Ruch chorwacki wraz z kampanią węgierską, reakcya, dalszy ruch konstytucyjny, to wszystko jeszcze nie tknięte, czeka na opracowanie. Szkoda zaiste, że śmierć nie pozwoliła autorowi dokończyć jego dzieła.

Mimo wieku podeszłego, pisał on z werwą, życiem i świeżością, tak, że sądząc po stylu i języku, nie możnaby przypuszczać, że to pisze starzec prawie dziewięćdziesiątletni! Książka sama przynosi mnóstwo nowego materyału.

Postępowanie rządu, decyzye jego, stosunek Austryi do Niemiec i do ruchu frankfurckiego, szczególnie zaś cały frankfurcki parlament, są tutaj po raz pierwszy przedstawione w oświetleniu archiwalnem. Niektóre dokumenty przytoczył nawet autor *in extenso* w dodatkach, nawiasowo mówiąc, dość obszernych, tak w pierwszym jak i drugim tomie. Między innemi znajdujemy tam dla nas Polaków specyalnie interesujący dokument, jaki przesłał Pillersdorfowi Stadion w marcu 1848 r., o deputacyi lwowskiej z r. 1848, wraz z krótką charakterystyką każdego z deputatów. Z innych ważniejszych dokumentów, zamieszcza Helfert (w t. I) wiele do stosunków narodowościowych na Węgrzech z epoki przedrewolucyjnej i patent z 25 kwietnia oraz list gen. Mazucchallego do Pillersdorfa z 30 marca 1848 roku. W drugim tomie mamy w całości przytoczony protest deputacyi galicyjskiej i krakowskiej przeciwko wcieleniu Galicyi do Austryi (z 27 kwietnia), nadto i drugi protest przeciwko zarządzeniom Stadiona. Wreszcie projekt Stadiona do niedoszłego pisma odręcznego cesarza w sprawach galicyjskich do Pillersdorfa, oraz odpowiedź Stadiona na interpelacyę ministra z powodu zażalenia, jakie Polacy zanieśli przeciwko niemu do cesarza. Te ostatnie dokumenty są po raz pierwszy dopiero ogłoszone.

Ks. K. Konopka.

Die Welt als Tat. Umrisse einer Weltansicht auf naturwissenschaftlicher Grundlage. Von *Dr. J. Reinke*, Prof. der Botanik an der Universität Kiel. Fünfte Auflage. Berlin 1908, Paetel. 8-o, str. 505.

Czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* już nieraz spotykali się na łamach tego czasopisma z nazwiskiem autora tej cennej rozprawy, zamykającej w sobie cały światopogląd słynnego i odważnego w wypowiadaniu swoich przekonań przyrodnika. »Świat jako czyn« to główne dzieło Reinkego, zawodowego botanika i biologa na uniwersytecie w Kielu, a inne jego dzieła, jak »Początki teoretycznej biologii« lub »Filozofia botaniki« są właściwie tylko jego uzupełnieniem i komentarzem. Wobec ukazania się tego dzieła w piątem obecnie wydaniu, warto się zapoznać w głównych zarysach z jego treścią i ocenić jego doniosłość, bo takich dzieł nie pisze się corocznie, gdyż są owocem długoletniej refleksyi naukowej i gruntownych studyów.

W pierwszym rozdziale pierwszej części zapoznaje nas autor z genezą swej pracy. Wyrosła ona z nieprzezwyciężonego popędu autora do ujęcia naukowych materyałów w jednolity system i opierania na nich własnego filozoficznego poglądu na świat. Reinke chce być filozofem, a jeśli nieraz mniej pochlebnie wyraża się o filozofach, to ma na myśli idealistów, jakimi byli np. Hegel lub Lange.

Rozpoczyna autor swoje filozoficzne wywody od swego poglądu na teoryę poznania, przyczem, jako krytyk realistyczny, zakłada całą siłą zdrowego rozsądku protest przeciw idealizmowi i czystemu subjektywizmowi w filozofii. W następstwie tego poglądu odrzuca kantowskie kategorye czasu i przestrzeni, domagając się zamiast nich czegoś przedmiotowego na podstawie empiryi, tudzież oświadcza się za rzeczywistością przyczynowych związków. Przyczynowość pojmuje Reinke nie na wzór nici, łączącej przyczynę ze skutkiem, lecz raczej na podobieństwo tysiącznymi węzełkami uplecionej sieci rozlicznych warunków tak pozytywnych jak negatywnych, których suma stanowi dopiero właściwą przyczynę realną. Widoczna, że tak zaciera się u Reinkego różnica między przyczyną a warunkiem. Stąd dochodzi także do wniosku, będącego tylko zmodyfikowanem nieco zdaniem Kirchhoffa, że wyjaśnić przyczynowo zjawiska przyrody znaczy tyle, co je opisać, gdyż warunki, podlegające opisywaniu, składają się na ich przyczynę. Ponieważ jednak wszystkich warunków opisać w danym wypadku nie zdołamy, stąd tylko o cząstkowem wyjaśnianiu przyczynowem mówić możemy. Nie trudno poznać, że pojęcie przyczynowości ustępuje tu miejsca pojęciu funkcyi na wzór teoryi Macha. W takim jednak

razie powinien był Reinke bliżej wytłumaczyć, jakiego to rodzaju jest zależność zjawiska od poszczególnych warunków. Albowiem albo te warunki uważamy za działające na zjawisko, — a wówczas miasto jednej przyczyny otrzymamy tylko kompleksy przyczyn, — albo pojmujemy je jako niedziałające na skutek, lecz jakimś sposobem wzajemnie od siebie zależne — a wówczas dopraszamy się bliższego wyjaśnienia tej wzajemnej zależności.

Nie można także bez zastrzeżenia zgodzić się na pojęcie Reinkego o przypadku, który przeciwstawia prawności przyrody, nie zaś celowości, jak słusznie to czyniła filozofia średnich wieków. Słusznie zbija R. zarzut, jakobyśmy pojęcie celu wnosili dopiero w przyrodę, nie zaś czytali go w niej.

W ostatnim rozdziale pierwszej części mówi wprawdzie autor o względności naszego poznania, ale nie odrzuca bynajmniej wszelkiej bezwzględnej prawdy. Nieliczne podstawowe prawdy bezwzględne nie mogą, w myśl Reinkego, podać nam bezwzględnie prawdziwego poglądu na świat, lecz domagają się uzupełnienia luk zapomocą hipotez, które tem samem są uprawnione w nauce. Pewnego sprawdzenia wymaga jeszcze zdanie autora o naukowej tolerancyi, bo skoro przyjmuje bezwzględną wartość pewnych prawd, niepodobna już mówić o tolerancyi dla ich antytez, lecz tylko o tolerancyi dla ich zwolenników.

Druga część dzieła zawiera tylko to, co o rozwoju wszechświata i ziemi naszej w każdej kosmogonii lub geologii znaleźć można. Wystarczy tu zaznaczyć, że kreśląc historyczny rozwój ziemi, Reinke obficie korzysta z bogatego skarbu doświadczenia swego w dziedzinie botaniki. W rozdziale o materyi i sile wprowadza nadto nowy sposób oznaczenia nieodwrotności organicznych zjawisk, mianowicie »kierunek siły«.

Tu już przystępuje Reinke do problemów, wchodzących w zakres fachowej jego wiedzy i badań biologicznych. Wykazawszy, że badanie istotnych cech życia jest w pierwszym rzędzie zadaniem fizyologii, rozpatruje budowę i chemiczny skład komórki, jej zamianę energii, rozwój, pobudliwość, rozmnażanie, dziedziczność i zdolność przystosowywania się do ośrodka. Rezultat tych badań stanowi teorya jego o »dominantach«, jak Reinke nazywa kierownicze siły pędzące w świecie roślinnym i zwierzęcym, które nie dają się podciągnąć pod pojęcie energii. Dominanty te przypominają nam arystotelesowską teoryę o formie substancyalnej (ἔντελέχεια), oraz teoryę Helmonta. Biolog każdy, badający rzeczy bez uprzedzenia, musi, jak widać, poza ele-

mentami, które mechanicznie dają się określić, przyjąć jeszcze jakiś pierwiastek nieokreślony, mniejsza o to czy nazwie go duszą, czy siłą żywotną, entelechią lub dominantą. Reinke przedstawia się zatem jako zwolennik neowitalizmu, uznającego celowość w naturze, w organizmach. Konsekwencya sama prowadzi go na mocy zasady analogii do przyjęcia inteligencyi kosmicznej, gdyż tylko w ten sposób można sobie tłumaczyć liczne zagadki przyrodnicze, które w przeciwnym razie możnaby wprawdzie ig..rować, nie zaś rozwiązać. Jakkolwiek więc natura tego wpływu świadomej inteligencyi na przyrodę nie jest dla nas zupełnie jasna i zrozumiała, to jednak istnienie tego wpływu jest postulatem wiedzy przyrodniczej. To też, podobnie jak Wasman, wskazuje protestancki przyrodnik Reinke na konieczność naukową teoryi stworzenia w przeciwstawieniu do hipotez, które zapomocą nieokreślonego »przypadku« uwalniają swych zwolenników od niepożądanych wniosków o istnieniu Boga. Ale tu musi R. się rozprawić z darwinizmem, którego niegdyś był wyznawcą. Po krytycznej ocenie hipotez, podjętych celem ratowania tego systemu przez Nägeli'ego, Wolffa, Spencera i Weismanna, nasz badacz oświadcza się za teoryą ewolucyi, którą w ślad za Huxley'em odróżnia od darwinizmu. Zaznacza jednak przytem, że teoryę ewolucyi uważa również tylko za hipotezę, gdyż zjawiska przyrody nie zmuszają koniecznie do jej przyjęcia. Nadto uważa pogląd, wyprowadzający wszystkie gatunki żyjących istot z jednej tylko komórki pierwotnej za zbyt szablonowy, i dlatego przyjmuje miliony stworzonych komórek pierwotnych, które żyły prawdopodobnie w wodzie i posiadały wewnętrzną zdolność rozwijania się.

Kwestya samorodztwa raz jeszcze prowadzi Reinkego do pojęcia Boga. Otwarcie wyznaje: »Uważam monizm za chybioną próbę pojmowania świata«. Niema żadnych danych, któreby domagały się monizmu, źle tylko zrozumiano logiczną tendencyę do jedności. Główną też przyczynę niepowodzenia darwinizmu upatruje Reinke w jednostronnem usiłowaniu tłumaczenia rożnorodności z jednego pierwiastka. Sam domaga się przynajmniej dwóch elementów, materyi i inteligencyi.

Ateizm potępia autor surowo. »Według mojego przekonania właśnie ateizmu nie można pogodzić z badaniem przyrody, wolnem od uprzedzeń. Dlatego też ateizm pojmuję tylko psychologicznie. Zdaje mi się, że polega na wewnętrznej odrazie do przyjęcia Bóstwa, na ucieczce przed niepożądanem rozwiązaniem zagadki świata, na wynie-

sieniu się człowieka, przybierającem już cechy patologiczne. Ateizm pod żadnymi warunkami nie chce przyjąć rządów Bóstwa, a zatem nie wolno o nich wnioskować na podstawie przyrody: taka to jego logika«.

Podobnież odrzuca panteizm, gdyż energia, materya i dominanty nigdy nie dają się utożsamić. Tu jednak napotykamy pewną niejasność w pojęciu Boga: autor zdaje się Boga pojmować raczej jako duszę świata, skoro powiada: »Słowo Bóg jest symbolem dla sumy owych inteligentnych i twórczych sił, które równocześnie będąc transcendentnemi i immanentnemi, z transcendencyi wytwarzają immanencyę«. Zdaje się, że w tem pojęciu ginie pojęcie osobowości i jedności Boga. Zresztą dla Reinkego pojęcie osobowości jest tylko antropomorfizmem, co daje się wytłumaczyć u niego tem, że wszelkie wogóle myślenie mieni antropomorficznem. Nadto, wedle Reinkego, osobowość polega na świadomości siebie, podczas gdy chrześcijański pogląd łączy w pojęciu osoby tak świadomość siebie, jak pojęcie substancyi. Przyjmuje też Reinke za Kartezyuszem jasną ideę za kryteryum prawdy, i z prawdomowności Boga wnioskuje o prawdziwości naszego myślenia, przez co dopuszcza się znanego błędnego koła Kartezyusza.

Na uwagę zasługuje jeszcze określenie stosunku nauk przyrodniczych do pojęcia Boga. »Właśnie dlatego, powiada Reinke, że Bóg w przyrodzie działa wyłącznie przyczynowo, może w naukach przyrodniczych nie być uwzględniony«.

Ostatni rozdział dzieła zajmuje się opisem stworzenia w Księdze Rodzaju. Reinke nazywa opowiadanie biblijne o stworzeniu jednem z największych umysłowych dzieł historyi. Przyjmuje potrójny akt stworzenia, odnoszący się do materyi, do pierwszego życia i do umysłu ludzkiego, jakkolwiek dla ostatniego nie uznaje niezbędnej konieczności. Atoli z czysto filozoficznego stanowiska musimy przyjąć ten trzeci akt stworzenia, gdyż między inteligencyą zwierzęcą a ludzką istnieje niczem nie zapełniona przepaść.

Możliwość cudów Reinke przyznaje wprawdzie, ale określa cud niedostatecznie, jako »zjawisko«, którego nie pojmujemy ani pojąć nie zdołamy.

Kończy swoje dzieło znamiennem wyznaniem stworzenia świata: »N a p o c z ą t k u b y ł c z y n«.

Dzieło Reinkego, pisane jasnym, potoczystym i barwnym stylem, pod względem formy nie podaje wykładów uniwersyteckich, lecz zwraca się w swobodnym kształcie rozmowy do wszystkich wogóle klas wy-

kształconych, chociaż i zawodowym uczonym niemało przyniesie nowego. Szczególnie zaś można je polecić tym, którzy chcieliby sobie pewne wyrobić zdanie, czy chrześcijaństwo, wiara w Boga i wiedza są ze sobą sprzeczne, jak się to dzisiaj dość powszechnie twierdzi. Mamy tu przed sobą badacza z poza katolicyzmu, badacza, który przez 40-letnie swe prace zawodowe zdobył sobie uznanie wszystkich fachowców, i który na podstawie samodzielnego i nieuprzedzonego myślenia doszedł do Boga i pojęcia stworzenia. W jego dziele niema czczych frazesów, jak u Haeckla i Spółki, lecz wszędzie przejawiają się skromność i powaga prawdziwego uczonego.

J. Hahn.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Urządzenia polityczne Szwajcaryi. *Dr. Michał Wyrostek.* Kraków.

Autor pragnie *ad usum* głównie polskiego proletaryatu socyalistycznego, jak to widać z dedykacyi, przedstawić ustrój Szwajcaryi. Ustrój ten bowiem idzie najdalej w kierunku niwelacyi demokratycznej, najbliższy jest ideału wszechwładztwa ludu.

Przedstawia kraj i ludność, formę rządu, ustrój władzy prawodawczej, wykonawczej sądowej, prawa polityczne i wolnościowe obywateli, stosunek kantonów do związku i między sobą, sprawy zewnętrzne. W osobnym rozdziale kreśli urządzenie polityczne w kantonach, przedstawiając z powodu różnolitości tych urządzeń tylko najbardziej charakterystyczne typy. Kończy obrazem ruchu i siły organizacyi socyalistycznej w Szwajcaryi.

Przedmiot stara się autor przedstawiać w sposób przedmiotowy i tylko nieliczne ustępy są nieco podlane sosem socyalistycznym. Objektywność ta cechuje i obraz rozwoju socyalizmu: zdobywa się nawet autor, mówiąc o stowarzyszeniach zawodowych, na pochwały dla organizacyi chrześcijańsko-społecznych. Dlatego też praca ta może być pożytecznym podręcznikiem dla pragnących się w sposób mniej mozolny zapoznać z ustrojem w każdym razie odrębnym i oryginalnym, jakim jest ustrój polityczny Szwajcaryi.

B.

Syonizm. *Teodor Jeske-Choiński.* Warszawa.

Uwagi swe, poparte danemi historycznemi, streszcza autor w następujących wnioskach: Syonizm nie jest tworem nowym, lecz tkwił od wieków w duszy Izraela, jako tęsknota do Syonu. Izraelici, to naród odrębny religią, rasą, etyką, tradycyami, stąd asymilacya masowa jest utopią. Na rozwój poczucia odrębności rasowej u Żydów w czasach ostatnich, oraz na organizacyę syonizmu wpłynął nie antysemityzm, lecz liberalizm, pozwalający żydom porozumiewać się i dążyć jawnie do wcielania swych tęsknot. Nie można ze stanowiska innych narodów nic mieć przeciw idei szczerego syonizmu, tj. utworzenia

odrębnego państwa żydowskiego w Afryce, w Azyi lub Ameryce. Natomiast zgubny jest syonizm podstępny, który pod pozorem emigracyi organizuje żydów do walki przeciw chrześcijanom. Kwestya żydowska obchodzi przedewszystkiem Słowian, gdyż na ich ziemiach mieszka przeważna część narodu żydowskiego.

A.

Moja wojaczka 1825 - 1831. Z notatek, szkiców i wspomnień *Jerzego Reczyńskiego* ułożył Władysł. Chodźkiewicz. Lwów 1908.

Do dość licznego szeregu pamiętników r. 1830 przybywa nowy. Przynosi on kilka nieznanych szczegółów o wybuchu powstania, o bitwie pod Grochowem i Wielkim Dębem oraz o wyprawie partyzanckiej w Kaliskie. Te szczegóły zapewniają mu trwałą wartość, jako materyał źródłowy do historyi powstania, o ile ostaną się wobec ostrza krytyki historycznej.

Chcielibyśmy sprostować tylko błąd w pewnych szczegółach, który położyć należy raczej na karb wydawcy. Pierwsze ustępy pamiętnika podają, że autor pochodzi z rodziny Ręczyńskich, a tymczasem na tytule wymienione jest nazwiska autora Reczyński. Pierwsza pisownia jest właściwa, o ile sięgają nasze wiadomości. A również wiadomo nam, że na autorze pamiętników nie wygasł ród Ręczyńskich, że żyją potomkowie jego brata, używają jednak niewłaściwie nazwiska Reczyński.

B.

Patryotyzm a socyalizm. *Res.* Biblioteczka popularna »Życia«. Wydanie drugie poprawione. Kraków 1909.

Nie nowe jest twierdzenie socyalistów, że socyalizm da się pogodzić z patryotyzmem, a nawet, że socyaliści są najlepszymi patryotami. Dla ugruntowania wiary w tę opinię broszurka, której tytuł przytoczyliśmy, zbiera argumenty na jej poparcie. Nie mamy jednak przekonania, by te argumenty zdołały nawrócić niewiernych Tomaszów: raczej może zachwiać byłyby zdolne wiarę tych, którzy zapewnienia takie przyjmowali bezkrytycznie, a teraz widząc je poparte całym arsenałem argumentów, zechcą się w nie wgłębić.

Z argumentami tymi niema chyba potrzeby gruntowniej się rozprawiać, gdyż sprawa to w opinii publicznej już przesądzona. Świadczą najlepiej czyny socyalistycznych przewódców i reprezentantów w poszczególnych państwach.

B.

Meditationes de praecipuis fidei nostrae mysteriis. *Ven. P. Ludovici de Ponte S. J.* De Hispanico in Latinum translatae a Melchiore Trevinio S. J. de novo in lucem datae cura Augustini Lehmkuhl S. J. Editio altera recognita. Herder. Freiburg 1908. — Część II (XXVI, stronic 266), Część III (XLII, str. 530)

Znany w teologii moralnej O. Lehmkuhl T. J. wydaje obecnie medytacye W. O. Ludwika de Ponte, jako ciąg dalszy wydawnictwa Herderowskiego, zwanego *Bibliotheca ascetica mystica*. Druga część podaje medytacye o N. Pannie, o Wcieleniu i życiu ukrytem Zbawiciela; trzecia o Jego życiu publicznem, do męki P. wyłącznie.

Autor nie wchodzi wcale w szczegóły historyczne, nie troszczy się wiele o odkrycia skrypturystyczne, naukową egzegezę pozostawia szkole. Natomiast jako znakomity mistrz życia duchownego przytacza z zadziwiającą prostotą tekst ewangeliczny, porywa duszę do szlachetnych uczuć, przedkłada

wzniosłe ideały cnoty i dodaje przestrogi przed najrozmaitszemi uchybieniami w postępowaniu duchownem. Trzeba wejść w sposób myślenia autora, by nie tylko odnieść korzyść w rozmyślaniu, ale także, by się nauczyć łatwo sztuki rozmyślania. Mile się też czyta często podane *colloquia* czyli rozmowy duszy z Bogiem i z Świętymi. Nic więc dziwnego, że powyższe medytacye wprowadzają do duszy czytelnika błogi, niezwykły nastrój. — Szkoda tylko, że wydawca, aczkolwiek jest sam wybornym znawcą duszy ludzkiej i praktyki życia, nie uwzględnił jednak moralnych warunków obecnych, czemby ułatwił niezmiernie zastosowanie ogólnych norm cnoty do codziennego życia.

M. H.

Zapyski naukowoho Towarystwa imeny Szewczenka. Tom LXXXVII. Lwów, 1909. str. 232.

W treści wymienionego tomu napotykamy szereg prac, tyczących się rzeczy polskich, przyczem przeważa historya, której bodaj czy nie zbyt wiele wyładowuje to wydawnictwo z pokrzywdzeniem innych gałęzi nauki.

Mamy tutaj tedy początek obszerniejszego studyum p. Wasyla Herasymczuka p. t. »Wyhowszczyzna i traktat hadziacki«, dalej rzecz, napisaną na podstawie dokumentów archiwalnych, p. Wiaczesława Lipińskiego »Generał artyleryi W. Ks. Ruskiego«, w której jest mowa o posunięciu do tej godności Stefana na Czerniechowie Niemierzyca przez Jana Kazimierza. Cenne przyczynki do biografii i utworów Iwana z Wiszni (Wiszeńskiego) podaje dr. Wasyl Szczurat, a p. Osyp Makowej wydał »Parę dokumentów z Huculszczyzny z drugiej połowy XVIII stulecia«. Szereg uwag i materyałów o »Ukraińskich dramatycznych przedstawieniach w Galicyi« drukuje p. M. Woźniak.

W dziale drobnych notatek na wyróżnienie zasługuje »Przygoda sumskich Kozaków we Lwowie z biskupem Szumlańskim w r. 1685« podana przez p. J. Dżydżorę

Całości tomu dopełnia przegląd prac etnograficznych w czasopismach zachodnio-europejskich za rok 1906 w zestawieniu p. Z. Kuzieli, szereg recenzyi i sprawozdań (między niemi J. Wadowskiego »Kościołów lubelskich«) oraz spis treści, rozłożony na autorów ostatnich sześciu tomów *Zapysok*.

F. R.

Juliusz Słowacki. W sześćdziesiątą rocznicę zgonu poety. *Dr. Wiktor Hahn.* Brody. Nakładem księgarni F. Westa. 1909. (16-ka, str. 13).

Broszurka niniejsza zawiera przemówienie wstępne, wygłoszone na uroczystym wieczorze ku czci Słowackiego we Lwowie. Charakterystyka przewodnich idei, zawartych w utworach poety — oto główna zaleta, dzięki czemu książeczka powinnaby znaleźć się w rękach tych, którzy o Słowackim wiedzą coś, ale bardzo powierzchownie i dorywczo. Dla młodzieży lat niżej 14-tu można ją z całem zaufaniem polecić, jak niemniej dla szerokich warstw naszego drobnego mieszczaństwa.

B. K.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ostatnie rozporządzenia papieskie.

Prasa antykatolicka całe szpalty swych czasopism zapełnia w ostatnich dniach komentarzami i lamentacyami nad ostatniemi rozporządzeniami papieskiemi. Złość i zdumienie przejawia się w tych napaściach na Piusa X, który odważył się stanąć w opozycyi do idei szerzonych przez prasę liberalną i nie oglądać się na opinię postępowców naszej doby. Świat przyzwyczajony do rozmaitego rodzaju wolności, nie wie co począć z papieżem, który w tej zbytniej wolności widzi zgubę społeczeństwa a przedewszystkiem prawdziwej religii. To średniowieczny człowiek, to zmartwychwstały inkwizytor, to zacofany proboszcz z jakiejś zapadłej wioski, który urąga wszelkim zdobyczom nowszej kultury, tak brzmią mniej więcej zdania o Piusie X. Nie omieszkały nawet gazety liberalne wystąpić w obronie dotkniętych rozporządzeniami papieskiemi i ubolewać nad katolikami, odciętymi od kultury dzisiejszej, chociaż nikt je o to nie prosił, już dlatego, że chyba nikogo pozytywne chrześcijaństwo mniej nie obchodzi, jak organy loży i żydowstwa. Przekonani katolicy nie tylko nie czują się pokrzywdzeni, ale dumni i szczęśliwi z tego, że Opatrzność boża powołała na Namiestnika Chrystusa kapłana, któremu niezachwiana wiara w najwyższe posłannictwo Kościoła i przywileje swego urzędu każe z energią Grzegorza VII stawić czoło wszelkim zaku-

som niepowołanych reformatorów i apostołów, choćby we własnym obozie się znaleźli, i przeprowadzić gruntowne i zbawienne reformy tam, gdzie tego żąda dobro Kościoła i obowiązek jego naczelnego zwierzchnika. Od czasu do czasu i z obozu przeciwnego wydobywają się zeznania, świadczące o tem, że i tam, wprawdzie niechętnie, ale faktami parci, uznają rzadką energię, czujne oko i świetny dar oryentacyjny Piusa X. Nie mylą się chyba ci, którzy już dziś sądzą, że imię Piusa X, zohydzane przez wrogów Kościoła, jednem z najświetniejszych będzie w historyi papiestwa.

Leżą przed nami w ostatnich dniach wydane przez Piusa X: *Motu proprio* w sprawie modernizmu, list napisany do fryburskiego profesora Dècurtins'a, nowe dekrety, tyczące się pierwszej Komunii św. dzieci i usuwania administracyjnego proboszczów. Jak donoszą, miało być spowodowane *Motu proprio* organizacyą modernistyczną, szerzącą tajną korespondencyę modernistów po seminaryach duchownych. Wobec tego oburzającego faktu, którego Stolica św. ma niezbite dowody, nie dziw, że środki zaradcze Piusa X są bardzo stanowcze, niemal radykalne, zwłaszcza o ile się tyczą wykształcenia młodego kleru. W dalszym zaś ciągu dodaje papież osobną przysięgę, którą składać mają profesorowie, klerycy przed święceniami, spowiednicy, urzędnicy biskupich kuryi i sądów duchownych, kaznodzieje postni, urzędnicy kongregacyi rzymskich i trybunału Stolicy św. Formuła przysięgi wylicza fundamentalne nauki Kościoła i wszystkie błędy modernistów z dziedziny dogmatu, filozofii, historyi kościelnej i egzegezy, wymienione już w encyklice *Pascendi* i syllabusie Piusa X. Domaga się Ojciec św. najściślejszego przestrzegania rozporządzeń zawartych w *Motu proprio*, ponieważ codzień rośnie niebezpieczeństwo, i żąda wszelkiej czujności i surowości względem tych, którzy występują przeciw mądrości z nieba, jak gdyby nauka wiary, depozyt boży złożony w Kościele, była zepsutą i przestarzałą, dążą do jej zmiany w tym kierunku, by się dała nagiąć i zastosować do postępu i zwyczajów naszej doby, do poglądów i myśli umysłów dzisiejszych. Całą więc dążnością ostatniego *Motu proprio* papieskiego jest wykorzenić modernizm z samego kleru i zagrodzić mu przystęp do niego.

Szerszego interesu jest list napisany przez Piusa X do znanego profesora katolickiego uniwersytetu we Fryburgu szwajcarskim, Kaspra Dècurtins'a. Powodem do tego listu jest praca Dècurtins'a o modernizmie w literaturze, która daje papieżowi sposobność uzupełnienia niejako swoich dotychczasowych uwag o modernizmie. Chwaląc autora za jego pracę i zasługi w obronie Kościoła, zaznacza papież, że modernizm potępiony przez encyklikę *Pascendi* na polu teologicznem i filozoficznem, szukał innej drogi swej propagandy i uważał za najstosowniejsze obrać ją przez literaturę i sztukę, zwłaszcza powieść i nowelę. I tak powstał szereg utworów literackich i ich tłumaczenia na różne języki, w których podziwia się i uwielbia kulturę wrogów Kościoła, podczas gdy dla kultury prawdziwie katolickich narodów i pisarzy ma się tylko politowanie lub szyderstwo; wynosi się mdłą religijność i mętny idealizm nieokreślonego żadnym dogmatem uczucia religijnego na niekorzyść tych, co wierzą ściśle w dogmat kościelny, jako prawdę absolutną, a szerzy się przekonanie i poglądy o niemożliwości dojścia do prawdy, o równorzędności wszystkich religii będących tylko mniej lub więcej udatną ale zawsze niedoskonałą i potrzebującą nowych poprawek próbą sformułowania doświadczeń, uczuć, nastrojów religijnych i w ten sposób bardzo skutecznie rozpowszechnia się najzgubniejszy indyferentyzm w rzeczach religii, która przeczy poznawalności prawdy absolutnej i dlatego każdą religię poniża do rzędu niedoskonałej, zmiennej formy. Słusznie uważa Ojciec święty ten rodzaj propagandy modernistycznej za jeden z najszkodliwszych, bo piękną i przystępną formą powieści, nowelki lub krytyki estetycznej łatwiejszy znajduje dostęp do warstw najszerszych i zatruwa ogromne masy wierzącej ludności. Zwrócono w ostatnich czasach całą uwagę na literaturę pornograficzną i rozwinęła się przeciw niej szeroka agitacya bez względu na wyznania, która kilkakrotnie odbiła się echem także o pałace parlamentarne różnych państw, ale demoniczna siła, która »bez granic rozpuściła cugle instynktów, aby się tarzały w nurtach płciowości — i nazwała to sztuką«, nie zmieniła swego charakteru, kiedy korzystając z fałszywej filozofii zaczęła w powieści i nowelce wmawiać w ludzi, że zmienne

zawsze pojęcia i przejściowe uczucia bez wpływu na życie i moralność — stanowią religię. Jak prawdą jest, że niemoralność bywa źródłem niewiary, tak niemniej prawdą zostanie, że niewiara bywa źródłem niemoralności. Wielka stąd zasługa profesora Dècurtins'a, że zwrócił uwagę na niebezpieczne i zgubne teorye i dążności w literaturze katolickiej, które może niejednemu wydawały się dotychczas szczęśliwem pogodzeniem katolicyzmu z dzisiejszą kulturą, rodzajem postępowego ale zawsze jeszcze prawdziwego katolicyzmu, w gruncie rzeczy zaś są popularyzacyą zgubnych zasad modernistycznych. List Piusa X przyczyni się niezawodnie do wyświetlenia kwestyi, która od dawna zajmuje umysły czujniejsze, i oddzielenia kąkolu od pszenicy. Ojciec św. wzywa zwłaszcza katolickich wychowawców młodzieży i prasę katolicką, aby piętnowały utwory literackie, pisane w duchu modernistycznych idei.

Uzupełnieniem dekretu Piusa X z 20 grudnia 1905 o częstej i codziennej Komunii św. jest nowy dekret wydany 8 sierpnia tego roku, zaczynający się od słów *Quam singulari.* Zarządza on, aby dzieci już około siódmego roku życia, a jeżeli są dość rozwinięte, nawet prędzej zaczynały przystępować do Stołu Pańskiego, byle tylko umiały odróżnić chleb eucharystyczny od chleba zwykłego. Ale troską duszpasterzy i wychowawców obowiązkiem być powinno, by dzieci takie w następnych latach szkolnych coraz głębiej wnikały w zrozumienie tak ważnej sprawy. Można się spotkać z różnemi zdaniami o tem ostatniem rozporządzeniu Piusa X, ale w przestraszający sposób szerząca się niemoralność i, co za tem idzie, niewiara w młodocianych sercach, to chyba dostatecznie uzasadnia i podnosi doniosłość tego kroku papieża, który zresztą nie przedstawia się jako nieznana dotąd w Kościele praktyka, lecz jako powrót do zwyczaju dawnych wieków chrześcijańskich. Pod wpływem surowszych poglądów teologicznych, zbyt wygórowane żądania przesunęły powoli termin pierwszej Komunii św. za daleko w wiek młodzieńczy z niemałą szkodą dla praktycznego chrześcijaństwa, gdyż u wielkiej liczby katolików pierwsza Komunia św. dlatego stawała się często i ostatnią na cały szereg lat następnych.

Dla wierzącego katolika nie jest też rzeczą tajną, jak po-

ważnym środkiem umoralniającym jest częsta i godna Komunia św., dlatego dodaje Pius X w wyż wspomnianym dekrecie, że pierwszej Komunii św. od razu towarzyszyć ma i częsta albo nawet codzienna Komunia św. także u dzieci, aby w ten sposób utrzymać je w tej czystości serca, której do siódmego roku jeszcze nie straciły. Jest nowy ten dekret nowym i pięknym objawem tej wzruszającej miłości, którą Pius X wszędzie pokazuje dla wieku młodocianego i »wiek dziecka« nie mógł sobie życzyć troskliwszego Ojca chrześcijaństwa.

Niemałe wrażenie wywarł także dekret św. Kongregacyi konsystoryalnej z 20 sierpnia o administracyjnem usuwaniu proboszczów. Tyczy się on wypadków takich, w których usunięcie proboszcza jest wskazane dla pożytku wiernych, albo dlatego, że już należycie swych obowiązków spełniać nie może, albo też dlatego, że dalsze jego urzędowanie stałoby się szkodliwem dla parafii. W tych wypadkach, w których zachodzi u proboszcza obłęd, brak doświadczenia i wiedzy, głuchota, ślepota albo inne choroby duszy i ciała, czyniące go niezdolnym do dalszego wypełniania obowiązków pasterskich, nienawiść ludu, choćby nieuzasadniona i niepowszechna, utrata dobrej opinii wśród ludzi uczciwych i poważnych, występek ukryty, który niebawem wyjść może na jaw, złe prowadzenie spraw doczesnych, zaniedbanie obowiązków parafialnych, nieposłuszeństwo pomimo pierwszego i drugiego upomnienia w rzeczach ważnych względem Ordynaryusza — w tych wszystkich wypadkach może być proboszcz wezwany do rezygnacyi, a gdyby nie chciał zastosować się do wezwania, należy wydać dekret usunięcia. Jeżeli wniesie rekurs przeciw dekretowi, należy przystąpić do rewizyi aktów i zatwierdzenia dekretu poprzedniego. W dalszym ciągu dekret uwzględnia szczegółowo owe wypadki, w których zachodzi potrzeba usunięcia proboszcza i daje przepisy, jakie przy każdym wypadku zachować należy. Artykuł ósmy dekretu decyduje także o zaopatrzeniu usuniętego kapłana, rozporządzając, że Ordynaryusz starać się powinien wedle możności o zaopatrzenie kapłana albo ustępującego dobrowolnie na wezwanie albo usuniętego sposobem administracyjnym. Stać się to może albo przez przeniesienie go na inną parafię, albo przez nadanie

mu jakiegoś urzędu kościelnego albo przez wyznaczenie pensyi, stosownie do tego, jak okoliczności doradzą.

Jakkolwiek następstwa tego dekretu mogą być poważne, każdy uznać musi, że dekret ten, mający wyłącznie na względzie dobro dusz i parafii, jest nowem świadectwem wielkiej duszpasterskiej gorliwości Piusa X i zaradzi w najodpowiedniejszy sposób niemożliwym nieraz stosunkom po parafiach i stąd pochodzącemu zdziczeniu dusz. Dobro Kościoła kategorycznie domaga się tego, aby parafia, ta pierwsza komórka organiczna Kościoła, jak najlepiej była zaopatrzona we wszystkie warunki bogatego życia religijnego, i dlatego bardzo prawdopodobne jest, że Ojciec św. nie poprzestanie na tym dekrecie, odnoszącym się do parafii i proboszczów, lecz wydawać będzie w dalszym ciągu i inne rozporządzenia dla uregulowania spraw parafialnych. Dość wskazać tutaj na niemożliwe stosunki parafialne po większych miastach, na które w ostatnim czasie już częstokroć zwracano uwagę, aby powziąć uzasadnioną nadzieję, że i ona jako też i inne strony organizacyi kościelnej znajdą w przyszłości szerokie uwzględnienie. Zresztą usunięcie urzędnika na drodze administracyjnej w państwie jest już od dawna rzeczą tak zwyczajną, że i w Kościele razić nie powinno, owszem dziwić się wypada, że dotychczas odpowiedniego dekretu nie było.

Szczęśliwe połączenie potężnej energii i ojcowskiej troskliwości, którego dowód dał Ojciec święty niedawno w sprawie Sillon'u francuskiego, a również i w ostatnich swych dekretach, stanowi idealną zaletę papieża w ciężkich czasach przejścia kulturalnego, w których, jak nas historya uczy, zawsze niebezpieczne prądy i coraz nowe potrzeby rozliczne stawiają Kościołowi zadania i trudności. Losem zaś takiego papieża było zawsze i będzie także nadal, że zasługi jego dopiero przyszłość należycie ocenić potrafi, bo wśród zamętu ścierających się zapatrywań, wśród wywołanych a łatwo zrozumiałych niechęci osobistej natury, trudno o sąd spokojny i bezstronny.

Ks. A. Starker.

Wystawa w Krakowie.

Jednym z głównych momentów grunwaldzkiego obchodu jest niewątpliwie stworzenie pomnika króla Władysława Jagiełły, a także otwarcie wystawy pamiątek, związanych z epoką wielkiego monarchy. Wystawa ta, z początku zakreślona na szersze plany, musiała jednak znacznie ograniczyć swój pierwotny zakres. Powodem tego był stosunkowo za krótki czas, przeznaczony na jej urządzenie, następnie ogromne koszta, jakie za sobą pociągała, a w końcu niezmierna trudność w gromadzeniu pamiątek i przedmiotów sztuki, rozrzuconych po całym obszarze dawnej Polski. Trudność ta leżała w tem, że przeważna część zabytków znajduje się w nieznanych szerszym kołom uczonych kościołach dalszych prowincyi i kościółkach wiejskich. W takiej chwili rozumie się dopiero, czem jest fachowa inwentaryzacya zabytków, przeprowadzona już wszędzie w krajach zachodnich, a której u nas brak fatalnie na każdym niemal kroku daje się odczuwać. A przytem u nas, z tak odległych czasów niewątpliwie dużo więcej pamiątek zniszczało lub bezpowrotnie przepadło, niż się zachowało. Polska bowiem, z natury swego narodu, obdarzona słabym ustrojem politycznym, od szeregu wieków, aż po ostatnie czasy, była widownią nieustannych krwawych walk i najazdów. W takich czasach i warunkach twarde żelazo i grube mury nie oparły się często niszczącemu losowi, a nie dopiero błyszczące, złote lub malowane płótna. Obok tego, z powodów politycznych, odmówił udziału zabór pruski i rosyjski. Dla tychto powodów, komitet urządzający wystawę, zmuszony był oprzeć się przedewszystkiem na skarbcach kościelnych i zbiorach muzealnych Krakowa i najbliższej jego okolicy.

A jednak, mimo takiego ograniczenia, wystawa przedstawia się imponująco tak pod względem ilości, jak przedewszystkiem co do wyjątkowej wprost wartości artystycznej i rzadkości wystawionych okazów. Stary Kraków, »serce Polski«, pokazał w takiej chwili, co chowa najdroższego w swojem łonie. Zaskrzypiały ciężkie, żelazne podwoje skarbców kościelnych, zadźwięczały pęki kluczów, przekręcanych nie ze zwykłym spokojem — z mroków wielkich, starych szaf zaiskrzyły się bezcenne krzyże, kielichy i monstrancye, zajaśniały przecudną gamą kolorów szaty liturgiczne i tkaniny, o liściach ze srebra i kwiatach ze złota, a ze zbiorów bibliotecznych dobyte kodeksy miniaturowe i dokumenty pergaminowe, by w tym dniu uroczystym zaświadczyły

raz jeszcze dowodnie o tej wielkiej chwili dziejowej, spełnionej w roku 1410.

Wystawa zajęła gmach Tow. Przyj. Sztuk Pięknych na placu Szczepańskim, który nieco zmienił swój codzienny wygląd. Już na zewnątrz przed budynkiem uderzają nas wspaniałe flagi, rozpięte na wysokich masztach z herbami Litwy i Korony, króla Jagiełły i królowej Jadwigi. Poniżej przybito tarcze głównych bohaterów z pod Grunwaldu: podwójny krzyż Witolda, brata Jagiełły, Sulima Zawiszy Czarnego, Dębno Zbigniewa Oleśnickiego i Słońce Zyndrama z Maszkowic. Wnętrze przedsionka zaś wita nas szeregiem bojowych proporców krzyżackich zdobycznych, skopiowanych wiernie ze starych rycin.

Wchodzimy do głównej sali. Środek jej zajmuje gipsowy odlew sarkofagu króla Jagiełły z katedry na Wawelu. Monarcha, o rysach niewątpliwie portretowanych z natury, leży na wznak, w stroju koronacyjnym. Nogami depcze smoka, na znak, że Litwę wywiódł z pogaństwa, a więc z mocy szatana, którego symbolem jest smok. Za grobowcem, na ścianie, nad prowizorycznie urządzoną mensą ołtarza, widzimy duży tryptyk z XV w. z Muzeum Narodowego. Pochodzi on z kościółka wiejskiego we wsi Korzennej i wyobraża Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu św. Jana Ewangelisty i Chrzciciela. Malowany na drzewie, na podkładzie gipsowym, dawną techniką tempery t. j. farbami klejowemi, uderza nas naiwnym wdziękiem postaci. Miejsce predelli pod nim zajmuje nizki, podłużny obraz na złotem tle ze sceną św. Anny Samotrzeciej. Po bokach mensy ołtarzowej rozmieszczono szeregi przepięknych, wielkich mis bronzowych gotyckich z XV wieku, używanych po kościołach do celów liturgicznych. Powtarza się na nich stale przedstawienie Zwiastowania lub Pierwszych Rodziców, ujęte w ornament roślinny. Na jednej z tych, z kościoła Maryackiego, widzimy jelenie, ścigane przez psy gończe. Między ołtarzem a sarkofagiem ustawiono osobno za szkłem mały, srebrny relikwiarz, zdobyty przez króla pod Grunwaldem i ofiarowany przez niego kościołowi św. Floryana w Krakowie, gdzie dotąd się znajduje. Niewielki, w kształcie wieżyczki, ze szklanym kloszem, ma na krawędzi podstawy wykuty napis, który poucza nas, że kazał go zrobić komtur zamku krzyżackiego Schönse, Henryk Dalbe w r. 1366. Z boków sarkofagu, na pochyłych postumentach, rozłożono kolczugi, misiurki, szyszaki, ostrogi, strzemiona i miecze krzyżackie. Na samym przodzie grobowca usta-

wiono insygnia królewskie: berło, korona i ostrogi, skopiowane ze znajdujących się w grobie króla Kazimierza Wielkiego.

Po bokach głównego ołtarza urządzono dwa mniejsze, na których tronują dwie statuy średniowieczne Madon, niezmiernie cenne okazy ze zbiorów p. Goldsteina. Nad nimi zawieszono cechowe, gotyckie obrazy. Jeden nadgrobny, rycerza Wierzbięty z Ruszczy z roku 1425, jeden z najstarszych obrazów w Polsce. Drugi wyobraża prześlicznie Madonnę, z całym naiwnym wdziękiem młodości i pochodzi z klasztoru Cystersów w Szczyżycu pod Krakowem. Jako zakończenie tej ściany ołtarzowej tworzą dwa posągi Madon, w drzewie rzeźbione i polichromowane, własność Muzeum Narodowego: jedna pochodzi z Grybowa, druga z Krużlowéj. Są to figury stojące, niezmiernie typowe dla czasu, w którym powstały, t. j. piętnastego wieku. Całą tę ścianę wyścielono szeregiem drogocennych tkanin i makat gotyckich i późniéjszych, tworząc przez to prześliczną kolorystyczną gamę barw. Wśród tkanin szczególniej wybija się wspaniała opona, rozpięta pod samym sufitem, z genueńskiego aksamitu, na złotem tle czerwone, duże korony. Należy ona do klasztoru św. Andrzeja i przedstawia wartość kilkudziesięciu tysięcy guldenów. Trudno nie wspomnieć przytem o bogatym czapraku z XVI wieku z grubego, wypukłego haftu srebrnego na podkładzie z waty.

Boki sali zajmują stalowe, oszklone witryny, w których rozmieszczono bezcenne istotnie przedmioty dawnego cechowego złotnictwa, najlepsze świadectwo wysokiej sztuki i kultury, jaka kwitnęła w murach dawnego Krakowa. Pierwsza szafa po prawej ręce mieści trzy zabytki, związane z królową Jadwigą. Jest to racyonał czyli odznaka arcybiskupia, przyznana osobnym przywilejem papieskim biskupom krakowskim. Jest on cały wyszyty kilku tysiącami pereł, przepysznie zachowanych. Według tradycyi, robota własnoręczna królowej Jadwigi, którą także potwierdza napis haftowany: *Hedvigis regina filia regis Ludovici,* poniżej zaś herb Jadwigi i orzeł polski.

Obok racyonału duży krzyż, bogato wysadzany kamieniami i perłami niezwykłej wielkości, z całą koronką ażurowych ornamentów, z szeregiem scen myśliwskich, konnych postaci i zwierząt ściganych. Belka poprzeczna krzyża ma być przerobiona z jakiejś podobno korony zdobytej i ofiarowanej przez króla Kazimierza W. Możemy jednak w nim rozróżnić części późniejszych czasów. U dołu umieszczone herby, orzeł polski z XV w. i Półkozic, biskupa Rzeszowskiego, wskazują, że ten krzyż jest darem Kazimierza Jagiellończyka dla katedry

wawelskiej. Trzecim klejnotem wystawy jest mała szkatułka z kości słoniowej, pokryta rzeźbionemi scenami z romansów średniowiecznych o Trystanie i Isoldzie, o Arystotelesie i Filidzie, o Piramusie i Fizbie, o Lacelocie. Jest to nadzwyczaj rzadki okaz sztuki francuskiej czternastego stulecia, i według tradycyi była ona własnością królowej Jadwigi, a po jej śmierci przeszła do skarbca katedry.

W następnej szafie umieszczono wspaniałą monstrancyę gotycką, przeszło metr wysoką, ze srebra, grubo złoconą. Pochodzi ona z kościoła parafialnego w Wieliczce. Niezwykłymi rozmiarami i koronkową misterną robotą zatrzymuje uwagę, wzbudzając podziw u wszystkich. Sąsiednią witrynę zajął świetny rząd na konia po Stefanie Czarnieckim, który tu umyślnie ustawiono, jako dar jubileuszowy grunwaldzki rady miasta Krakowa dla Muzeum Narodowego. W szafach po drugiej stronie sali pokazano bogactwa kościołów krakowskich, przedewszystkiem zaś najbogatszego skarbca po wawelskim, kościoła maryackiego a dalej kościoła św. Floryana, św. Andrzeja, OO. Dominikanów, OO. Franciszkanów, OO. Karmelitów, św. Katarzyny i w. i. Widzimy tu zatem szeregi złotych kielichów gotyckich i krzyżów kościoła Panny Maryi, dalej monstrancye, szkatuły, pastorały, relikwiarze, których niepodobna po kolei wyliczać.

Ale oprócz tych kosztowności są jeszcze inne, niemniej cenne. W jednej z gablot płaskich mieszczą się największe relikwie uniwersytetu krakowskiego: dokument fundacyjny Kazimierza W. z r. 1364 z dużą pieczęcią oryginalną i drugi akt odnowienia wszechnicy przez Władysława Jagiełłę z r. 1400, oba pisane na pergaminie. Przy nich leżą trzy berła uniwersyteckie, gotyckie, z XV wieku, srebrne, pozłacane. Dwa z nich większe są kanclerzy uniwersytetu, jedno sprawione przez kardynała Oleśnickiego, drugie przez Fryderyka Jagiellończyka. Trzecie, najmniejsze, jest rektorskie, ozdobione szeregiem herbów.

W innej gablocie widzimy najstarszą metrykę uniwersytetu krakowskiego t. j. spis uczniów, sporządzony przy jego otwarciu w r. 1400. Gdzieindziej rękopis św. Jana Kantego, dalej najstarsze dwa teksty pieśni Bogarodzica z początku XV wieku, protokoły cudów przy zwłokach królowej Jadwigi, następnie akta radzieckie z archiwum miejskiego, księgi ławnicze i dokumenty cechowe. Uwagę zwraca także w osobnej gablocie umieszczone dzieło z XV stulecia: *Banderia Prutenorum,* gdzie mamy podobizny wszystkich zdobytych na Krzyżakach pod Grunwaldem sztandarów. Uwagę zwracają wielkie kodeksy minia-

turowe z XV wieku, wśród których jeden pochodzi z pod Grunwaldu, jako tropheum wojenne, dziś własność biblioteki kapitulnej.

Boczne ściany głównej sali przykrywają również makaty i tkaniny. Z tych na pierwsze miejsce wybija się wspaniały, olbrzymi gobelin biskupa Trzebickiego z herbem Łabędź. Należy on do gatunku t. zw. gobelinów pejsażowych i przedstawia majestatyczne olbrzymy leśne na tle dalekiego pejsażu. Wśród drzew przewija się całe mnóstwo ptaków i zwierząt. Uderza w nim nadzwyczajna świeżość barw, która tłumaczy się rzadkiem używaniem tych gobelinów przez kapitułę z powodu ich wielkości. Wystawiony jest jeden z najmniejszych. Sprawione przez biskupa Trzebickiego służyły widocznie do dekoracyi pałacu biskupiego, a potem przeszły na własność katedry. Obok trzeba postawić przepyszne średniowieczne kapy i ornaty, zapełniające ściany i gabloty bocznych sal. Między niemi spotykamy hafty niezmiernej rzadkości, sięgające aż w czternasty wiek. Jako przedstawienie powtarza się najczęściej scena ukrzyżowania, traktowana z całym realizmem, właściwym tym czasom. Z szesnastego wieku budzą podziw materye t. zw. altembasu *(altobasso)*, zwykle złote i srebrne na czerwonym aksamicie. I dziwić się doprawdy trzeba, że mimo burz dziejowych, które najsrożej odbijały się zawsze na Krakowie, stare miasto, »serce Polski«, przechowało ich jeszcze tak imponującą liczbę. Snać, że czuły to zawsze klasztory i kościoły, co powierzono ich pieczy, że ustrzegły nam ich tyle jeszcze.

W bocznej sali na lewo zgromadzono rzeczywiście wspaniałe zabytki żydowskie. I oni także, dzieląc z miastem przez tyle wieków dolę i niedolę, poczuli w tej chwili nierozdzielną łączność z krajem i narodem, użyczywszy z radością i zapałem swych najcenniejszych pamiątek rytualnych, pochodzących z bóżnic krakowskich. Na ścianach rozwieszono kilkanaście makat. Uderzają one bogactwem i doborem barw. Są to zasłony do Pisma św., zmieniane stosownie do uroczystości. Najpiękniejszą jest zarazem najstarsza, złoty brokat na zielonym aksamicie. Obok szereg późniejszych. Jedna z kręconemi kolumnami, wypukły haft srebrny, dalej tkanina z materyi używanych do kontuszów, następnie żywe w kolorze i deseniu jedwabne adamaszki z ośmnastego wieku. Najcenniejsze, przeważnie współczesne Jagielle, pamiątki zamknięte w oszklonej witrynie. Widzimy tam hebrajski rękopis na pergaminie Starego Testamentu z połowy XIV wieku, ozdobiony kilku miniaturami, np. miniatura ze świecznikiem siedmioramiennym. Jest także bardzo piękny srebrny kubek gotycki, używany do

ceremonii ślubnych, dalej miedziany kociołek ze scenami wypukło-rzeźbionemi, świeczniki mosiężne, rękopisy hebrajskie i mosiężna misa renesansowa z prześlicznie rysowanym orłem dwugłowym.

Poza tem widzimy w innych salach ogromne mnóstwo bardzo wartościowych przedmiotów, używanych przez osoby prywatne, z Warszawy, ze Lwowa i Krakowa, ze wsi bliższych i dalszych. Uderza tylko zupełna nieobecność najbogatszych w Polsce zbiorów Muzeum XX. Czartoryskich. Wystawy dopełniają jeszcze szeregi odlewów gipsowych ze średniowiecznych rzeźb kamiennych, a wreszcie setki fotografii z najważniejszych budowli polskich z tego czasu. Można się istotnie spodziewać, że ta niezwykle zajmująca wystawa odbije się szerokiem echem wśród społeczeństwa i obudzi w niem żywy interes dla jej zwiedzenia.

Franciszek Klein.

Przegląd muzyczny.

»Missa pro defunctis« ks. d-ra Józefa Surzyńskiego. — Jubileusz Roberta Schumana. — Tydzień Ryszarda Straussa w Monachium.

Przed niedawnym czasem zdawaliśmy sprawę z dwóch ostatnio wydanych u Pusteta w Ratysbonie mszy naszego premiera muzyki kościelnej w Polsce, ks. d-ra Józefa Surzyńskiego. Obecnie nadarza nam się znowu sposobność stwierdzenia, że zasłużony wydawca *Monumentorum musices sacrae in Polonia*, nie tylko nie ustaje w swej twórczości, ale pogłębia ją i swój kunszt udoskonala. Nie ulega żadnej wątpliwości, że sympatyczny i dzielny ks. proboszcz kościański jest i najbardziej utalentowanym i najwykształceńszym kompozytorem religijnym w Polsce. Utrzymuje nas w tem przekonaniu nie tylko opinia muzycznej, fachowej prasy zagranicznej, ale i ścisła analiza jego wartościowych dzieł, wznoszących się tak bardzo wysoko ponad to, co u nas w tym zakresie powstaje. Stwierdzamy z największem zadowoleniem, że wiedza kontrapunktyczna ks. Surzyńskiego ciągle jeszcze rośnie. Jest to zarazem piękny przykład nie liczenia się z lokalnymi warunkami chóralnymi, utrudniającymi wykonywanie trudniejszych dzieł; zarazem jest to dowód spontanicznego i niczem nie krępowanego tworzenia. *Missa pro defunctis (quatuor vocibus inaequalibus organo comitante concinenda... opus 28.* Düsseldorf 1910, L. Schwann), jest nowym dowodem wielkiego talentu i wiedzy; co więcej, dowodem rozmaitości stylu, pomimo, że ten ostatni jest jednolitym we wszystkich dzie-

łach ks. d-ra Surzyńskiego. Dlaczego tak jest — trudno dociec; jest to jedna z tajemnic tworzenia wogóle. Oczywiście cel i charakter tej mszy również na to wpłynął. Wielką technikę kompozytorską zdradza jedna szczególna zaleta, spotykana w poprzednich dziełach ks. J. Surzyńskiego: oto piękna zgoda pomiędzy harmonią i polifonią — co sprawia, że nawet bardzo kontrapunktyczne partye brzmią bardzo dobrze. Głosy prowadzone są śpiewnie i gładko, twardych lub wątpliwych brzmień nie znajdujemy. Na ten sąd nie wpłynie nawet takt czwarty w dolnym systemie strony 14, ani też takt drugi w środkowym syst. str. 15. Także harmonicznie interesują nas prawie wszystkie ustępy i podnoszę jeden szczegół, na pozór drobny, lecz w mszy tego rodzaju bardzo dobre wrażenie sprawiający: mam na myśli te nagłe przejścia z es-dur do es-moll. Niektóre harmonie wydadzą nam się za miękkie jak na styl kościelny; sądzę jednak, że w mszy żałobnej są usprawiedliwione. Najwięcej przemawia do mego przekonania *Graduale et Tractus (Requiem aeternam):* tu nastrój idzie ręka w rękę ze stylem. Wielką zaletą tej mszy jest to, że panuje w niej wielka rozmaitość, polegająca na wyzyskaniu kontrastów między barwą wokalną i instrumentalną, między głosami solowymi i chórem. Wkrótce będziemy mieli sposobność ujęcia w całość krytyczną twórczości ks. d-ra J. Surzyńskiego, wtedy też dokładniej zastanowimy się nad znaczeniem mszy ks. d-ra Surzyńskiego w naszej muzyce.

Zeszły się w obecnym roku jubileusze dwóch największych marzycieli-romantyków w muzyce: Chopina i Schumana. Kto poświęcił nieco czasu przeczytaniu tych jubileuszowych fejletonów, które umieściły pisma niemieckie, ten zauważył jeden fakt, nie zdradzający ani wahania, ani dwuznaczności: oto zgodnie przyznano Chopinowi wyższe stanowisko w rozwoju muzyki, stanowisko bardzo ważne ze względu na koleje muzyki w drugiej połowie XIX. stulecia. Nie użyto wprawdzie ani razu tego porównania, ale sens moralny zawsze był jasny i niewątpliwy. Schuman padł ofiarą fatalnej pomyłki, spowodowanej zbytnią admiracyą dla Mendelssohna: oto pragnął tworzyć we wszystkich formach, przedewszystkiem zaś w wielkich, symfonicznych. Stąd rozdrabniał swój geniusz w różnych kierunkach, zamiast, wiedząc, iż małe formy najlepiej mu odpowiadają, ograniczyć się do nich i ustawicznie w tej dziedzinie odkrywać nowe, nieznane światy, zamiast po głębiać się w tym kierunku. To stało się tragedyą jego twórczości z drugiego okresu. Ta niepewność, niezdecydowanie, niemożność całkowitego zdania sobie sprawy z wrodzonych tendencyi i przeznaczenia,

wynikły także niewątpliwie z fizyologicznych ułomności Schumana, który był nękany chorobą (paraliż postępowy), mającą go wreszcie doprowadzić do obłąkania. W takim stanie nie trudno o »idée fixe«. Schuman pragnął być »klasycznym«, on, romantyk najczystszej wody. Pragnął następnie tworzyć opery, oratorya, symfonie, uwertury, koncerty, sonaty — te, które napisał nie posiadają stylu właściwego tym formom, a jednak nas przykuwają do siebie ogromem talentu, fantazyą, wielką inwencyą. Właściwem jego polem była fortepianowa muzyka. Największe jego arcydzieła należą do tej dziedziny. Wyliczać je nie widzę potrzeby; któż bowiem nie zna ich? U nas właśnie są to najpopularniejsze utwory obok dzieł Chopina, którego ocenić zdołał Schuman całkowicie i chronologicznie najpierwej. W tych właśnie dziełach Schumana znajdujemy najpiękniejszy obraz romantyzmu niemieckiego i to w najpiękniejszej formie. Szlachetny idealizm, fantastyczność przechodząca czasem w groteskę, melancholia obok rozgrzanej wesołości, mistycyzm i energia życiowa, pierwiastek ludowy i naiwny obok wyrafinowanego indywidualizmu i subjektywizmu, wznoszenie się na szczyty wszechludzkich myśli i uczuć, a obok tego romantyczna poezya zacisza domowego — oto wielka i rozległa skala Schumanowskiej duszy, jej bogactwo i głębia, siła i wrażliwość. I gdziekolwiek sięgniemy w jej przepastne skarby, wszędzie spotkamy się z jakimś ujmującym i wywołującym sympatyę pierwiastkiem.

Tylko największym mistrzom przypadł w udziale zaszczyt, iż urządzono dla nich uroczystości, podczas których wykonywano wyłącznie ich dzieła. A jednak i między nimi znaleźli się i tacy, którzy dopiero po śmierci byli zrozumiani i czczeni uroczystościami. Ryszard Strauss, największy współczesny symfonista, ubiegający się obecnie o laury największego kompozytora dramatycznego, Strauss, należący bez wątpienia do najwybitniejszych obecnych pieśniarzy, doznał za życia tego zaszczytu. Mniejsza o to, czy li tylko idealne cele wpłynęły na urządzenie »tygodnia R. Straussa« w Monachium, czy tylko uznanie i entuzyazm zgromadziły publiczność z całej Europy i czy »sądu ostatecznego« o jego dziełach nie wytrąbiła reklama, pożerająca resztki idealizmu muzycznego. Dość, że napływ był równie wielki, jak entuzyazm, a nie mniejszy, niż doskonałość wykonania jego dzieł, czasami niedościgniona. Kto miał sposobność przypatrzenia się publiczności, ten zauważył chyba przedstawicieli wszystkich stanów i zawodów, od domów panujących, duchowieństwa i dygnitarzy począwszy, na *homines simplices* skończywszy. Strauss utrzymuje uwagę całego świata w na-

pięciu. Jest aktualnym i niemal każda nowa kompozycya potęguje tę aktualność. Iluż znajdzie się takich, którzy zdążyć mogą za szybkim i karkołomnym nieraz lotem jego kolubryn symfonicznych, zawierających ustępy ogromnej wartości, ustępy genialne, natchnione?! Któż pojmie stojące niemal na szczycie szaleństwa karykaturalne waryacye p. t. »Don Quixote« lub pieniącą się od piany histeryi »Elektrę«, albo »Życie bohatera«, miejscami podnoszące nas do szczytów rzetelnego natchnienia, to znów strącające na dno płytkiej banalności, lub miażdżące, jak uderzenie stu biczów i toporów? Któż jednak nie ulegnie czarowi »Śmierci i wyzwolenia«, w którym to poemacie symfonicznym przedstawia Strauss po mistrzowsku agonię i wyzwolenie duszy wznoszącej się, jak jasny promień w nadziemskie sfery. Kto nie odczuje tragedyi życia »Don Juana«, który po życiowej dewastacyi widzi brak celu przed sobą, a nie jest już zdolny do zagłębienia się w myślach głębszych i poważniejszych. Podziwiamy w »Till Eulenspieglu« humor, mogący chyba rozsadzić boki najbardziej zagrożonego melancholią słuchacza. Podziwiamy (jak wszędzie u Straussa), genialną instrumentacyę »Zaratustry«, mimo, że forma i tendencya nie zawsze są nam sympatyczne. Również w operze »Feuersnot« bawi nas satyryczno-kabaretowy humor, mimo, że wolelibyśmy aby drastyczne wybryki były usunięte. Silniej niż dramat Wilde'a działa »Salome« Straussa, choć wstręt niekiedy bierze górę ponad estetyczną przyjemnością. Jakiekolwiek jednak mamy zapatrywania na cechy indywidualności Straussa, zawsze musimy bezstronnie uznać jego wielkie znaczenie w muzyce, jego potęgę techniczną i jarzącą się od coraz nowych świateł indywidualną fantazyę. Zapewne — bez Wagnera nie byłoby Straussa, lecz czy bez Beethovena i Berlioza byłby Wagner tem czem jest? Czy Beethoven byłby sobą bez istnienia Haydna i Mozarta?

Pozostawić jednak należy przyszłości sąd o Straussie; czas rozstrzygnie, co w dziełach Straussa posiada trwałą, co zaś przelotną wartość.

Dr. Adolf Chybiński.

Notatki astronomiczne.

Straszydło ogona komety znów wywołało w tym roku panikę w całych masach, strach istnie śmieszny, gdyby nie był miał dla nie-

których tak tragicznych następstw. A gdy oczekiwany dzień 19 maja minął, gdy po tym dniu tak samo jak poprzednio wszystkie zjawiska wszechświata szły swoim trybem i porządkiem i nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło, zwrócono się przeciw astronomii i zaczęto ją oskarżać, że bezpodstawnie szerzy panikę wśród ludzkości. Czyż jednak słuszne były te skargi, czy astronomowie nie przepowiadali, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi naszej planecie? Czy nie należało raczej zwrócić się przeciw gazetom i czasopismom, które pochwyciwszy wiadomości niekiedy mało uzasadnione lub z mętnego źródła zaczerpnięte, dla sensacyi niejedno zdanie rozgłaszały, z którego się astronomowie w duchu śmiać musieli? Owszem, jeżeli kto miał doznać rozczarowania, to chyba atronomowie, którzy spodziewali się odnieść więcej korzyści dla nauki z oczekiwanego przejścia przez ogon komety. Obserwacye ich bowiem mało przyniosły pozytywnych wyników mimo nakładu pracy, jakiej nie szczędzili, urządziwszy nawet na ten dzień oczekiwany osobne obserwatorya czasowe w dogodnych miejscach. I tak, że ograniczymy się do jednego przykładu, udał się profesor Birkeland z Chrystyanii do Kaafjord na 70 równoleżniku, by obserwować wpływy magnetyczne komety na zorzę północną, ale jego mozołom nie odpowiedział pożądany rezultat.

Że jądro komety w oznaczonym czasie przeszło między ziemią a słońcem, to nie ulega wątpliwości, a wyjść to może tylko na chlubę nauki. Albowiem, jak wiadomo, obliczenie drogi komety choćby peryodycznej, jaką jest kometa Halleya, nie jest bynajmniej tak łatwe. Wobec bardzo małej masy takiego wędrowca, perturbacye eliptycznej jego drogi, powstałe skutkiem przyciągania wielkich planet naszego systemu, mogą być bardzo znaczne, tak, że nie tylko o dni kilka, ale o lata całe przyspieszyć mogą lub opóźnić jego powrót. Ostatni obieg komety Halleya (od punktu przysłonecznego do powrotu w to miejsce) trwał 74 lat i 155 dni (od 16 listopada 1835 do 20 kwietnia 1910), poprzedni 76 lat i 249 dni (od 12 marca 1759 do 16 listopada 1835), inne dosięgły 78 i 79 lat. Dlaczegoż jednak wobec tak dokładnych obliczeń przepowiednie astronomów w części zawiodły? By odpowiedzieć na to pytanie, przypomnijmy sobie co twierdzi nauka o składzie komet.

Wiadomo z obserwacyi, że kometa w wielkiej odległości od słońca przedstawia się jako mgliste ciało okrągławe bez żadnego ogona. Dopiero gdy zbliża się do źródła ciepła naszego systemu, zaczyna się rozwijać i powiększać, wydaje ze siebie jakby ognie olbrzy-

mich pochodni lub wybuchy strasznych wulkanów, podobne do znanych dobrze i od dawna zwłaszcza w czasie zaćmień obserwowanych pochodni słonecznych. Wybuchy te, skierowane początkowo prawie zawsze do słońca, w przeważnej części wnet od niego się odwracają i coraz dalej odstępując tworzą najróżniejszej postaci ogony, zazwyczaj jaśniejsze u brzegów, niż w środku, często wachlarzowate, często mające jeszcze inne drugorzędne jądra w sobie, niekiedy dzielące się na kilka części. Z obserwacyi wynika więc dowodnie, że muszą pod wpływem słońca powstawać w komecie gwałtowne zaburzenia, że następnie siła jakaś odpychająca oddala wytwory tych wybuchów od króla planet, który dał im początek. Jakie to są te zaburzenia, jaka siła na nie działa, o tem różne dawano tłumaczenia.

Dziś najprawdopodobniejszą i graniczącą prawie z pewnością zdaje się być hipoteza, którą ostatecznie wykształcił rosyjski astronom Bredichin. Gdy kometa z olbrzymich odległości zbliża się do słońca, pod wpływem jego ożywczego ciepła zamarła jej materya zaczyna się rozszerzać, gazy zawarte w jądrze parują lub uchodzą ze stałych materyi, które je absorbowały, i to najsilniej z tej strony, z której słońce działa. Stąd owe wybuchy i pochodnie, które obserwujemy, a które początkowo skierowują się ku słońcu. Ale wnet współdziała prócz ciepła i siły przyciągania i inna siła, czy to będzie ciśnienie światła [1], czy siła elektryczna czy inna, która odpychając cząsteczki rozsypuje je po przestworzu i tworzy wspaniały, niekiedy na setki milionów kilometrów rozciągający się ogon. Bredichin, który pierwszy rachunkiem poparł tę hipotezę, rozróżnia trzy rodzaje cząstek. Jedne większe i cięższe, na które przyciąganie silniej działa, niż siła odpychająca, tworzą ogony do słońca zwrócone, które niekiedy można było zauważyć, choć zwyczajnie są krótkie i nieznaczne. Inne, mniejsze cząstki, na które obie siły prawie w równej mierze działają, tworzą ogon wachlarzowy. Wreszcie najdrobniejsze cząsteczki, u których znacznie przeważa odpychanie, daleko odchodząc od jądra tworzą wspaniałe, długie, proste ogony. Widoczne zaś będą te cząsteczki czyto skutkiem oświetlenia słonecznego, czyto skutkiem wyładowań elektrycznych lub innych zaburzeń w samej komecie, czy też, jak starał się Boys wykazać, skutkiem promieni α radu lub innych ciał promieniotwórczych, które oświetlają rozsypane po przestworzach cząstki. Cząsteczki

[1] Pr. *Przegląd Powsz.* stycz. 1907, str. 29 nn., gdzie objaśniono zasadę ciśnienia światła.

te, według Newalla i Burnsa, należą w części bliższej tylko do atmosfery komety; w większej części są to drobne cząsteczki, rozsypane po przestworzach okalających słońce, których istnienie daje się poznać zwłaszcza w czasie zaćmień, a pochodzić mogą choćby od dawniejszych komet. Teoryę tę zdaje się potwierdzać widmo komet, które dla wszystkich jest prawie zawsze jednakowe, a czasem nieco różni się widmo ogona od widma jądra.

Flammarion, dziś najgłośniejszy francuski astronom, w ostatniej swej konferencyi [1] z okazyi komety Halleya zwrócił znów uwagę na trudność, która co do długich ogonów zdaje się obalać teoryę Bredichina. »Kometa z 1843 roku na przykład, mówi on, okrążyła słońce w dwu godzinach z szybkością 550 km. na sekundę w odległości minimalnej 124 tysięcy kilometrów. Ale jej ogon był długi na 300 milionów kilometrów, czyli przewyższał dwa razy odległość ziemi od słońca. Koniec ogona zatem musiał odbyć w dwu godzinach drogę równie długą, jak ziemia w sześciu miesiącach, czyli musiał wędrować z chyżością 64 milionów kilometrów na sekundę. Przy tak szalonej chyżości wszelkie prawa grawitacyi ustają i musiałby się ogon rozsypać po przestworzu«. Stąd wniosek, że długie ogony nie mogą być materyalne w fizycznem znaczeniu tego słowa. Proponuje więc hipotezę, przez innych już poruszoną, że ogon składa się przy jądrze z cząstek materyalnych, oświetlonych skutkiem promieniowania wychodzącego z jądra pod wpływem słońca. Dalszy ciąg zaś to już tylko drganie eteru, więc zjawisko niematerialne, lecz czysto świetlne.

Jakąkolwiek przyjmiemy przyczynę wytwarzającą ogon, choćby był w części tylko złożony z materyi, gazy te i cząsteczki nie wracają już do komety po jej przejściu przez punkt przysłoneczny. Stąd każdy powrót peryodycznej komety jest dla niej stratą, stratą dość znaczną u mniejszych komet lub u tych, które się znacznie zbliżają do słońca, jak wspomniana kometa z 1843 r. lub wspaniała kometa z r. 1882. Stąd niektóre komety już po kilku a nawet po jednym obiegu stają się niewidoczne skutkiem straty materyi, któraby ogon mogła wytworzyć. Zdarzyć się to zwłaszcza może przy kometach o krótkich okresach obiegu; inne bowiem mogą w czasie swej długiej wędrówki, trwającej setki a nawet tysiące lat, według prawdopodobnych obliczeń, absorbować cząstki gazów, zawarte w przestrzeniach i tak skompensować w części przynajmniej stratę poniesioną przy

[1] Miana w Towarzystwie astronomicznem w Paryżu 12 maja 1910.

ostatniem przejściu koło słońca. Że komety peryodyczne stać się mogą niewidoczne, mieli tego astronomowie już kilka przykładów, że wspomniemy tylko o komecie Bieli, której droga zaznacza się jeszcze tylko deszczem tak zwanych gwiazd spadających.

Ogon tworzy się dopiero koło punktu przysłonecznego, najbardziej zaś się rozwija po przejściu komety przez to miejsce, jak i u nas najgorętsze dni zwyczajnie dopiero w kilka tygodni lub nawet miesięcy po letniem przesileniu następują. Gdy Max Wolf w Heidelbergu 12 września zeszłego roku pierwszy zdołał odnaleźć zapomocą fotografii zbliżającą się kometę Halleya, żadnego jeszcze ogona nie było widać. Dopiero przy zbliżaniu się do punktu przysłonecznego, w którym się kometa znalazła 20 kwietnia, zaczął się ogon coraz wyraźniej rysować.

Według obliczeń miało jądro komety przejść 19 maja o godzinie drugiej w nocy między nami a słońcem, w odległości 23 milionów kilometrów. Czy ziemia przejdzie przez ogon czy nie, zależało to od wielu okoliczności. Naprzód musiał sam ogon wynosić przeszło 23 miliony kilometrów, co jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpić mogło: ostatnia kometa, widziana w styczniu bieżącego roku, miała ogon długi na 100 milionów kilometrów, kometa z 1843 r. mierzyła 300 milionów kilometrów, a nawet średnie komety dosięgają długości 30 do 40 milionów kilometrów. Nadto powinien był ogon być prosty, zwrócony w stronę przeciwną od słońca, a przynajmniej nie wykrzywiony znacznie ku północy lub południowi. Wreszcie miało być wykluczone oderwanie się ogona od komety, co w rzeczywistości nierzadko się zdarza. Zauważono na przykład, że przy ostatniem przejściu komety Halleya przez punkt przysłoneczny ogon nagle się oderwał, potem dopiero zaczął się tworzyć inny, od tamtego różny kształtem i wielkością. Również co do obecnego przejścia zauważono już w kwietniu i maju pewien podział ogona.

Według obserwacyi z paru dni przed pamiętną datą, obliczano ogon komety rzeczywiście na 30 do 40 milionów kilometrów, przedstawiał się zupełnie prosty i spodziewano się zapowiedzianego spotkania. Astronomowie oczekiwali z wielką niecierpliwością tej chwili, która miała im przynieść nowe zdobycze naukowe. Tymczasem ranek 19 maja przeszedł bez żadnych szczególnych objawów, owszem jeszcze wieczorem tego dnia widziano ogon komety w tem samem miejscu, w którem był dnia poprzedniego. Niektórzy jak naprzykład Wolf w Heidelbergu, twierdzą, że widzieli koronę koło słońca i księżyca wieczorem i w nocy

z 19 na 20, podobną do tej, jaka się ukazała po strasznym wybuchu wulkanu Krakatoa w 1883 r., który całe tumany pyłu rozrzucił po atmosferze, inni zauważyli słabą burzę magnetyczną, którą jednak raczej przypisać należy plamom na słońcu, jakie się tego dnia okazały. Z innych obserwacyi wynikałoby, że dopiero 20 nad wieczór ziemia przeszła przez ogon. Zaznaczyć wreszcie należy zdanie niepośledniego astronoma, Innes z Transvaalu, który twierdzi, że ziemia po prostu rozbiła ogon komety, część jego została na wschodzie i była widoczna jeszcze po dacie przejścia, drugą obserwowano na zachodzie. Rozerwanie to przypisuje takiej samej sile, jaka w słońcu wytwarza ogon komety, musiałaby to więc być najprawdopodobniej siła elektryczna, która odepchnęła ogon od ziemi.

W każdym razie, choć zdarzenie całe nie przyniosło spodziewanych zdobyczy w całej pełni, jakich się spodziewali astronomowie, jednak nie bez korzyści minęła chwila dla naszych wiadomości o tych wędrowcach niebieskich. Korzyści te ujmuje Flammarion w następujące punkty:

1) Jądro komety przeszło między nami a słońcem 19 rano, ale przejście to było zupełnie niewidoczne. Jądro samo zatem jest też przeźroczyste (jak to zresztą przypuszczano po przejściu wielkiej komety z 1882 r.), czyli zawiera ciała nie dosięgające 120 kilometrów średnicy lub nawet 60; najprawdopodobniej składa się z ciał jeszcze mniejszych, tak, iż nawet spotkanie się ziemi z jądrem komety może być uważane za nieszkodliwe.

2) Przejściu przez ogon komety stanął na przeszkodzie jakiś wpływ niedobrze jeszcze znany, część przeszła koło nas, druga część się oderwała.

3) Przejście przez ten ogon drugorzędny odbyło się 19 wieczór i objawiło się, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zapomocą cząsteczek jakby drobnego pyłu, rozsypanych po atmosferze. Czy ziemia wywierała wpływ odpychający na ogon, nie da się z pewnością skonstatować.

Nadto do tych wyników badań dodać można szereg studyów nad widmem komety, których szczegółowo rozpatrywać nie będziemy, które jednak niemało przyniosą korzyści dla teoryi komet.

Ostatecznie więc zawodu doznali wszyscy, i ci co wierząc różnym strachom, rozpuszczanym przez źle poinformowane źródła, spodziewali się czegoś wielkiego, i astronomowie, którzy przypuszczali, że

przy tem zdarzeniu zasięgną dokładniejszych wiadomości co do istoty ogona komety.

Inne zdarzenie zajmowało także niedawno temu astronomów, mniej popularne, bo nie tak rzadkie, jak zjawienie się komety Halleya, powtarza się bowiem co 15 lub 17 lat. Ale wobec tego, że w ostatnim czasie coraz większe i dokładniejsze teleskopy wchodziły w użycie, zdarzenie to budziło wielką ciekawość w kołach uczonych. Była to ostatnia opozycya planety Marsa, najdogodniejsza do obserwacyi, bo w punkcie przysłonecznym planety, kiedy to ten nasz sąsiad znajdował się najbliżej naszej ziemi.

Wiadomo wogóle, że ostatnie dziesiątki lat wielkie przyniosły zdobycze co do znajomości tej planety. Odkąd zmarły tego roku astronom włoski Schiaparelli wykrył w r. 1877 na Marsie tak zwane kanały, ciekawość astronomów wzrastała coraz więcej, a szerzone w szerszych kołach wiadomości o mieszkalności naszego sąsiada budziły wogóle zaciekawienie.

Według najdokładniejszych obserwacyi, prowadzonych od szeregu lat, wiemy już, że Mars, skutkiem uchylenia swej osi obrotu do płaszczyzny swej orbity naokoło słońca, podlega zmianom peryodycznym podobnym do naszych pór roku. Białe plamy, okalające jego bieguny, a które dziś wszyscy przyjmują za śnieg, albo lód, wzrastają w czasie zimy marsowej a maleją w lecie. Przy zmniejszaniu się okolone są pasem niebieskawym, który zdaje się być wodą, powstałą skutkiem topnienia lodu, co świadczy przeciw hipotezie, by plamy białe składały się z bezwodnika węglowego zestalonego, jak niektórzy przypuszczali. Bezwodnik węglowy bowiem pod ciśnieniem atmosferycznem, jakie panuje na Marsie, a które nie może być większe od naszego, przechodzi bezpośrednio ze stanu stałego w gazowy.

Równocześnie z ubytkiem śniegu na biegunach, okazują się coraz wyraźniej linie prawie proste, przeważnie niewidoczne w zimie, koloru szarawo-zielonego, idące od bieguna ku równikowi w różnych kierunkach, najwięcej na północnej półkuli, często dzielące się prawie nagle na dwie równoległe, powstające w sąsiedztwie pierwotnego pojedynczego kanału. Zależnie od położenia planety widać coraz to inne kanały, i to najłatwiej wtedy, gdy Mars już nieco oddala się od ziemi, nie w chwili samej opozycyi. Zatem dopiero na podstawie różnych obserwacyi potrafiono wyrysować mapę Marsa z wszystkiemi tak zwanemi morzami i kanałami.

Początkowo utrzymywano, że z powodu wielkiej odległości od

słońca musi być na tej planecie średnia temperatura niższa od zera, stąd woda zwyczajnie w stanie stałym. Dokładniejsze rozważania jednak zdają się potwierdzać zdanie, iż twierdzenie powyższe polega na ekstrapolacyi, że można zupełnie uzasadnić także stosunki klimatyczne, w których mimo wielkiej zmiany temperatury w nocy i we dnie może mieć Mars temperaturę średnią wyższą od zera, dochodzącą nawet do 8 stopni, więc tylko o 7 stopni niższą od średniej temperatury na powierzchni ziemi. Niedawno temu popularyzował Flammarion tę kwestyę, roztrząsając ją w swej książce: *La planète Mars et ses conditions d'habitabilité,* dzieło oczywiście nie ściśle naukowe, bo zapuszczające się w hipotezy tylko możliwe, ale wykazujące, że teoretycznie przypuścić się dadzą na Marsie takie stosunki, któreby dozwalały istotom podobnym do naszych żyć i rozwijać się.

Opozycya Marsa dała powód do nowej dyskusyi. Astronom amerykański Lowell, niestrudzony obserwator Marsa od lat piętnastu, miał na podstawie swych ostatnich spostrzeżeń w Flagstoff (Stany Zjednoczone) konferencyę na posiedzeniu Towarzyswa astronomicznego w Paryżu dnia 6 kwietnia r. b., na której usiłował uzasadnić swoje zdanie o warunkach klimatycznych Marsa, dozwalających roślinności a nawet istotom podobnym do naszych żyć i rozwijać się. Sławne kanały uważa on nie bezpośrednio za przewody roznoszące wody polarne po planecie, lecz raczej za dowód istnienia takich przewodów. Byłaby to roślinność rozwijająca się wzdłuż kanałów, przeprowadzonych może ręką istot rozumnych dla zapobieżenia ogólnemu brakowi wody na planecie. Dokładna regularność kanałów, idących najczęściej wzdłuż południków, więc drogami najkrótszemi, zachowujących jednakową szerokość wzdłuż całej drogi, sama nasuwa przypuszczenie, że to dzieło istot rozumnych, obdarzonych wielką siłą i zręcznością, skoro tak olbrzymie dzieło potrafiły stworzyć. Na miejscach, gdzie się schodzi kilka kanałów, widać dokładnie plamy okrągłe, zwane przez Lowella oazami, których kształt geometryczny znów świadczy, że mamy do czynienia ze sztuką, nie z naturą. Kolor zaś zielonawo-szary tych tak zwanych kanałów, które muszą mieć około kilkunastu i więcej kilometrów szerokości, zjawiający się w czasie lata marsowego, zdawałby potwierdzać przypuszczenie, że to co widzimy, to roślinność rozwijająca się wzdłuż wody. »Gdyby obserwator, umieszczony w znacznej odległości od ziemi, mówi Lowell, przypatrywał się wylewom Nilu, miałby widok podobny. Nie dostrzegłby może wody, ale widziałby rozwój roślinności po wylewie jako kanał ciemniejszy, odbijający od okalają-

cej Egipt pustyni«. Nadto, podaje Lowell jako dowód swej hipotezy zjawienie się nowych kanałów, które rzeczywiście za nowe uważać trzeba, bo okazały się w części planety, najlepiej dotychczas badanej, mianowicie około tak zwanej wielkiej Syrty.

Podczas gdy ostatnia opozycya planety dała powód Lowellowi do utwierdzenia się w swej hipotezie o rzeczywistości tak zwanych kanałów marsowych, równoczesne obserwacye Antoniadiego w Meudon zdają się prowadzić do odmiennych rezultatów. Już poprzednio znana była między astronomami teorya, która utrzymywała, że kanały marsowe są tylko zjawiskiem optycznem, któremu nie odpowiada rzeczywiste ukształtowanie planety. Oko bowiem posiada własność łączenia i kojarzenia drobnych plam i punktów w linie, przedewszystkiem proste. Może zaś ono rozróżnić ciemną linię na jasnem tle nawet wtedy, gdy jej szerokość jest zbyt drobna, by można ujrzeć plamki tej samej średnicy, co szerokość owej linii. Maunder z Greenwich na przykład podaje wypadki, kiedy mógł obserwować gołem okiem, posługując się jedynie zadymionem szkłem, szereg plamek na słońcu, które mu się przedstawiały jako linia, podczas gdy większe plamy odosobnione były niewidoczne. Stąd mogło rozmieszczenie różnych plam na Marsie doprowadzić do widzenia kanałów, zwłaszcza, że im dłużej i dokładniej »wprawne« oko astronoma przygląda się planecie, tem więcej widzi tych kanałów i tem dokładniej mu się okazują. Nagłe podwojenie kanałów również łatwiej dałoby się w ten sposób wytłumaczyć jako optyczne złudzenie, zależne od położenia badanego przedmiotu. Również plamy dowolnego kształtu, za małe by mogły dać dokładny obraz, przedstawiają się oku zawsze jako okrągłe punkty. Charakterystyczny w tym względzie przykład może dać porównanie obserwacyi Beera i Mädlera z 1830 r. zapomocą 11-centymetrowego teleskopu, z następnemi obserwacyami aż do ostatnich spostrzeżeń Lowella (teleskop 45-centymetrowy) i Antoniadiego (83-cm). Dwie plamy okrągłe, zupełnie do siebie podobne, zaznaczone na rysunku pierwszych badaczy, przedstawiają się dziś jako dwa tak zwane morza *(Lacus Solis* i *Sinus Sabaeus)* różnych kształtów, na których tle inne występują szczegóły. Tak więc i oazy Lowella mogłyby w przyszłości stracić dla obserwatora kształt swój geometryczny, a nawet rozpaść się na grupy drobniejszych plam.

Antoniadi na podstawie ostatnich obserwacyi, które po zeszłorocznej opozycyi prowadził dłużej, niż jego koledzy z zawodu, mianowicie do 25 listopada, mógł dośledzić w kilku miejscach, gdzie do-

tychczas widziano kanały, nieregularnie rozmieszczone punkty i plamy, które odpowiadały zupełnie obrazowi ziemi lub księżyca, widzianych z daleka. Dochodzi on do następujących wniosków:

1) Prawdziwy wygląd Marsa jest naturalny, nie różni się istotnie od wyglądu księżyca na przykład.

2) W dobrych warunkach nie widać żadnych geometrycznych kształtów.

3) Powierzchnia planety zasiana jest plamami szarawemi najróżniejszego kształtu i wielkości, które w mniej dokładnych teleskopach przedstawiają się jako kanały.

Do takiegoż wniosku dochodzi astronom Sola z Barcelony, na podstawie obserwacyi, które przeciągnął do listopada zeszłego roku. Twierdzi też, że mu się udało wiele kanałów rozłożyć na plamy nieregularne przy obserwacyach zapomocą teleskopu 83-centymetrowego swego obserwatoryum. »Cudna legenda kanałów marsowych, według niego, rozwiała się po tej ostatniej opozycyi«.

Według tych spostrzeżeń zdawałoby się więc, że kanały Schiaparellego są tylko wytworem naszego oka, że zatem ten dowód istnienia istot rozumnych na Marsie rozwiewa się w oczach krytycznego obserwatora.

Bądź co bądź kwestyi nie można jeszcze uważać za przesądzoną. Może następna opozycya Marsa blizka punktu przysłonecznego planety, która nastąpi za czternaście lat, przyniesie nam nowe wiadomości o tej w każdym razie ciekawej planecie.

Ks. Józef Sawicki.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909.

(Ciąg dalszy).

Kto się w opiekę odda Panu swemu... przyszło mnie mimowoli na myśl, kiedy zacząłem dochodzenia śledcze w rachunku rocznym sumienia *Towarzystwa Prawniczego.* Istotnie — dzięki prezydencyi JE. d-ra A. Mniszek-Tchórznickiego, a niemniej zastępowi uczonych i praktyków, żeby wymienić tylko z tego miejsca: prof. d-ra A. Balasitsa, prof. d-ra J. Buzka, d-ra W. Domaszewskiego, d-ra J. Dylewskiego, prof. d-ra St. Głąbińskiego, prof. d-ra Alfr. Halbana, prof. d-ra J. Milewskiego, prof. Stebelskiego, M. Stefkę i wreszcie

niecodzienny umysł znanego literata p. d-ra Tad. Sobolewskiego, — *Tow. prawnicze* rozpoczęło 35-ty rok swego istnienia pod jak najpomyślniejszemi auspicyami. Co prawda, trudności finansowe, z jakiemi instytucya ta walczy już od lat kilku, nie pozwoliły w r. ub. na rozwinięcie działalności we wszystkich kierunkach, wytkniętych statutem, zmuszając do liczenia się z warunkami materyalnymi Towarzystwa. Wobec tego podjęto przedewszystkiem starania, ażeby przez odczyty i wykłady na temat aktualnych zagadnień i zdarzeń chwili bieżącej, tudzież przez pogadanki o najnowszych projektach ustawodawczych pobudzić ruch naukowy do żywszego tętna i dać sposobność członkom do obznajomienia się z najnowszemi sprawami z dziedziny prawa i polityki ekonomicznej oraz wyrobienia sobie o nich zdania. Usiłowania te zostały uwieńczone rezultatami, stosunkowo bardzo pomyślnymi. Od całego szeregu bardzo wybitnych prawników i ekonomistów otrzymano przyrzeczenia wygłoszenia w *Tow. prawniczem* odczytów i wykładów na temat kwestyi aktualnych ostatniej doby. Programu tego atoli jedynie część można było wykonać.

I tak z zapowiedzianego dłuższego cyklu wykładów odbyły się następujące: prof. d-ra Wł. Sieradzkiego »O psychologii zeznań« prof. d-ra J. Milewskiego »O podjęciu wypłat w gotówce«, d-ra M. Allerhanda »O wymogu pisemności (*?!*) w obowiązującem prawie cywilnem i w projekcie z r. 1907«, d-ra Br. Blumenfelda »O skutkach cudzołostwa po separacyi«, prof. d-ra Al. Dolińskiego »Usiłowania jednolitej kodyfikacyi prawa wekslowego«, wreszcie prof. d-ra Wł. Abrahama »*Impedimentum catholicismi* według nowego ustawodawstwa kościelnego«.

Jako objaw pomyślny w stosunku do lat poprzednich zaznaczyć należy liczny stosunkowo udział członków w zebraniach naukowych. Szczególniejsze zainteresowanie obudził i największe grono słuchaczy ściągnął wykład tak wybitnego ekonomisty, jakim jest prof. dr. Milewski, który w świetnym wykładzie wyjaśnił znaczenie i trudności jednej z najdonioślejszych kwestyi polityki ekonomicznej i monetarnej. Wymieniony referat d-ra Allerhanda wywołał tak ożywioną dyskusyę, że dalszy jej ciąg musiano odroczyć do osobnego zgromadzenia w r. b. Nie mniejsze zainteresowanie, ujawnione najlepiej w polemice, wywołał odczyt prof. Sieradzkiego. Niektóre z powyższych wykładów pomieszczone zostaną w całości w organie Tow. prawniczego, tyle zasłużonym *Przeglądzie prawa i administracyi*. Ponadto ma Tow. cały szereg wykładów, przyrzeczonych przez najwybitniejsze siły prawnicze

z wiceprezydentem parlamentu prof. Starzyńskim oraz wielu profesorami i docentami uniwersytetu lwowskiego na czele.

Członkowie Tow. otrzymywali bezpłatnie, podobnie jak w latach poprzednich, nadzwyczaj starannie redagowany organ Tow. *Przegląd prawa i administracyi.* Żałować wypada tylko, że liczba członków jest znikomo mała, gdyż zaledwie 179, których wkładki stanowią jedyne źródło dochodów Tow A że, na dobitek, wpływają one bardzo nieregularnie, tak, że kwota z tego tytułu uzyskana w r. b. jest znacznie mniejsza, aniżeli za lat ubiegłych, więc Tow. musiało zamknąć rachunki za r. 1909 deficytem, chociaż — co prawda — bardzo nieznacznym (19 kor. 87 hal.).

Rządzono się w Tow. prawn. bardzo ekonomicznie, o czem najlepiej i najwiarygodniej poświadczyć mogą cyfry, których tutaj kilka podajemy. Przedewszystkiem zaznaczyć i podkreślić musimy, iż Tow. prawn. nie otrzymało ani grosza subwencyi i stało tylko wkładkami członkowskiemi, które dały razem 2994 kor. Unikat to pomiędzy stowarzyszeniami, których żywot bez subwencyi postronnych byłby bardzo marny, albo zakończyłby się suchotami kasowemi. Z kwoty powyższej lwią część, bo aż 1825 kor. pochłonęła prenumerata *Przegl. prawa i admin.* dla członków. Nadto z poważną cyfrą 560 kor. figurują tu wydatki na bibliotekę. Resztę pochłonęły wydatki administracyjne i bieżące. — Fundusz rezerwowy zamyka się kwotą stosunkowo pokaźną, bo wynoszącą aż 1647 kor. Jak na Galicyę — to aż nadto!...

Ruch biblioteczny był stosunkowo nieznaczny, albowiem w ciągu r. ub. wypożyczono tylko 42 dzieła (a w ilu tomach?!...). Również skromnie przedstawia się przyrost doroczny, który określa sprawozdanie cyfrą 26 dzieł i to przeważnie pochodzących z darów.

Fakt, sam przez się zastanowienia godny i narzucający się mimowoli, a zasługujący bezwarunkowo na podkreślenie, że ruchem w dziedzinie nauk prawno-społecznych tak mało interesują się pp. sędziowie, adwokaci, notaryusze i wogóle prawnicy lwowscy, iż Towarzystwo liczy zaledwie 179 członków. Czyliż uzyskawszy chleb, przestaje się myśleć o tej nauce, która chleb ten dała do rąk?!...

* * *

Tow. lekarzy galicyjskich liczyło się do najlepiej sytuowanych pod względem materyalnym. Ale też na dobrobyt jego składało się czterdzieści parę lat pracy i poważna liczba członków, przekraczająca

pół tysiąca, rozmieszczona w 20-tu sekcyach prowincyonalnych, porozrzucanych po całej Galicyi, z których najruchliwszemi były: jarosławska, przemyska, wadowicka i sanocka. A jakkolwiek dorobek naukowy nowo powstałych sekcyi, zakopiańskiej i czortkowskiej, nie dosięgnął jeszcze spodziewanych wyżyn, to, wnioskując z ilości nowowstępujących członków, można wróżyć im bardzo wielką żywotność.

Tow. bowiem miało nie tylko cele naukowe na oku, ale także humanitarne dla wdów po swoich członkach, na które łoży już od lat kilku przeciętnie po 12 tys. kor. rocznie. I chociaż wydatek taki obciąża znacznie finanse Tow., przecież przyznać należy, iż Tow. łatwiej i godziwiej jest obejść się bez pewnych wygód lub zrezygnować z nakładu na inne, nierównie szlachetne cele, aniżeli obojętnie spoglądać na niedostatek, z jakim walczy wiele wdów i sierót po lekarzach. Ale też członkowie zamożniejsi pamiętali o celach humanitarnych Tow., zapisując mu sumy wcale poważne, żeby tylko wspomnieć o legacie śp. d-ra J. Barzyckiego w kwocie 34 tys. koron lub o willach śp. d-ra L. Nazarkiewicza w Gries obok Bozen. Co się tyczy zakładu kąpielowego w Morszynie, rozwijał się on powoli. Wszelako są powody do optymizmu we względzie finansowym, a to dlatego, że Tow. wydzierżawiło rządowi tereny swoje, zawierające pokłady syngenitu, t. j. soli potasowych i magnowych, których eksploatacya powinna być rentowna.

Posiedzeń naukowych odbyto dwadzieścia kilka, na których obok odczytów demonstrowano chorych. Udział bierny członków był liczny, chociaż rzadko dochodził do jednej czwartej całej ilości członków. Organem Tow. był krakowski *Przegląd lekarski,* o czem mówiliśmy na innem miejscu.

Rok ubiegły należy uważać za wcale pomyślny w rozwoju *Towarzystwa hygienicznego.* Liczba członków wzrasta stale, a nowoprzybywający członkowie to nie tylko fachowcy, zmuszeni siłą konieczności do przeglądania kart hygieny. Organ Tow. *Przegląd hygieniczny,* zwiększył swoją objętość, jakkolwiek Tow. skupiło dotąd zaledwie dwustu kilkunastu członków. Odczyty, urządzane przez Tow., cieszyły się znaczną ilością słuchaczy, którzy brali gorliwy udział w dyskusyach. O stałym rozwoju stowarzyszenia świadczy też obrót kasowy, który znacznie przekroczył kwotę 4 tysięcy koron, w czem mieszczą się subwencye: sejmowa 600 koron, krajowa w tej samej wysokości i rady miasta Lwowa 400 koron.

Byłoby objawem bardzo pożądanym, gdyby spełniły się gorące życzenia Tow., dotyczące zawiązywania oddziałów filialnych na pro-

wincyi, celem tem skuteczniejszego rozbudzenia w całym kraju żywego zainteresowania się sprawą polepszenia na każdym kroku stosunków sanitarnych, które, jak to powszechnie wiadomo, są po większej części w stanie urągającym pojęciom kultury XX stulecia. Przynajmniej w tych miastach, w których od lat szeregu istnieją i działają wcale pomyślnie oddziały *Tow. lekarskiego,* powinnyby powstać co rychlej filie *Tow. hygienicznego,* które miałyby tam znacznie więcej racyi bytu i podatniejsze pole do działania.

Galicyjskie Tow. lekarzy weterynaryjnych liczyło z końcem roku ub. 172 członków czynnych oraz 2 korespondentów, 4 członków honorowych i 2 wspierających. Ubytek zatem w porównaniu z r. 1908 wcale nieznaczny. Jak w latach poprzednich, tak też w r. ub. starano się nie tylko o postęp umiejętności weterynaryjnych, lecz zajmowano się także gorliwie sprawą polepszenia bytu materyalnego i stosunków służbowych weterynarzy, pozostających w służbie autonomicznej i rządowej. Ruch specyalnie naukowy osłabł — niestety! — znacznie. W r. ub. urządzono wszystkiego trzy posiedzenia z referatami samodzielnymi, a mianowicie: d-ra Markowskiego »Próby aglutynacyjne przy rozpoznawaniu nosacizny u koni«, p. F. Frieda »Zakaźny nieżyt guziczkowy organów płciowych u bydła rogatego« i p. Röslera »Patognomiczne znaczenie ciałek Negri'ego przy wściekliznie«.

Sprawozdanie kasowe przedstawia się wcale pomyślnie. I tak dochody funduszu administracyjnego wynosiły 2723 kor. (w czem subwencya sejmowa 700 kor.); rozchód był mniejszy o 551 kor. (w tem pozycya najważniejsza 1768 kor. za *Przegląd weterynarski*). Czasopismo to rozwijało się wcale pięknie i liczyło ogółem 371 prenumeratorów (z tego w Król. Polskiem i w Rosyi 143). Dochód osiągnięty z niego wynosił 4243 kor., rozchód 3910 kor., a byłby jeszcze pokaźniejszy, gdyby nie zaległości, przedstawiające poważną cyfrę 825 rubli i 252 k., z których 507 rubli uznano za nieściągalne. Ponadto rozporządzało Tow. kilku funduszami specyalne przeznaczenie mającymi. I tak z funduszu zapomogowego wydatkowano 700 kor., że zmalał on do wysokości 52 kor. Fundusz wsparć im. D. Herasymowicza przenosił kwotę 20.828 kor., fundusz stypendyjny im. prof. d-ra J. Szpilmana zamknięto kwotą 1080 kor., fundusz wydawnictwa polskich naukowych podręczników weterynaryjnych wynosi zaledwie 950 kor., wreszcie fundusz na zakupno albumu dla Akademii weterynaryi we Lwowie 43 kor.

* * *

Towarzystwo Politechniczne wykazuje w 33-cim roku swojego istnienia postępy nieustające, zarówno na punkcie pielęgnowania umiejętności technicznych, jak niemniej wyrabiania solidarności zawodowej. W r. ub. ruch w Tow. był znaczny, dzięki odczytom, dyskusyom i innym sprawom aktualnym, poruszanym przez członków. Zdarzało się nawet nieraz, zwłaszcza w porze zimowej, że na jeden dzień przypadało dwa i więcej posiedzeń różnych komisyi, ankiet, sekcyi lub zarządów, tak, że lokal okazał się za szczupłym i posiedzenia musiały odbywać się w czytelni, co jest stanowczo anormalne, gdyż przeszkadza tym, którzy pragną korzystać z czasopism i książek, wyłożonych w czytelni. To też potrzeba zastanawiania się nad koniecznością rozszerzenia lokalu okazuje się już obecnie piekącą. — Istniejące w łonie Tow. sekcye, a mianowicie: architektoniczna, mechaniczna i elektrotechniczna, przyczyniły się także niemało do wzmożenia i celu i kontaktu z pokrewnemi stowarzyszeniami zawodowemi. Wogóle punkt ciężkości ruchu naukowego w *Tow. Politechnicznem* przenosi się stale na sekcye fachowe. — Zróżniczkowanie wiedzy zawodowej postąpiło obecnie już tak dalece, że niepodobieństwem jest dzisiaj ogarnięcie jej całokształtu. To też odczyty wygłaszane na zebraniach tygodniowych bywały niejednokrotnie zanadto fachowe i nie mogły, — jak dawniej, — ściągać członków z różnych działów techniki, lecz przeważnie zawodowców. Zagraniczne towarzystwa techniczne dawno to już zrozumiały i rozpadły się na grupy fachowe, mogące bardziej pogłębić dany temat odczytu. I polskie Tow. pójdzie przypuszczalnie w tym kierunku, ale chyba nie prędko jeszcze. I tak wielce pomocnemi okazały się stałe komisye, a mianowicie: redakcyjna, odczytowa, ochrony praw techników, wycieczkowa i zabawowa, a niemniej oddziały, o których pomówimy niżej.

Liczba członków Tow. była wprost imponująca, wynosiła bowiem 12 członków honorowych, 5 dożywotnich, 889 zwyczajnych i nadzwyczajnych, tj. razem 940. Z tego we Lwowie mieszkało 419, w Krakowie 55 i w Stanisławowie 65.

Zgromadzeń naukowych odbyło się w oddziale lwowskim 24, na których wygłoszono pomiędzy innymi następujące odczyty: p. St. Żeleńskiego »O witrażu, jego powstaniu, rozwoju, wyrobie, oraz nieco o mozajce szklanej«, prof. M. Thulliego »Doświadczenia ze słupami żelazno-betonowymi obciążonymi mimośrodkowo«, prof. W. Syniewskiego »O nowościach z dziedziny mykologii technicznej«, prof. J. Lewińskiego »O parcelacyi gruntów budowlanych«, pana

W. Rawskiego »O budynkach teatralnych pod względem bezpieczeństwa«, p. Z. Ciechanowskiego »Budowa motorów parowych w Galicyi w ostatniem dziesięcioleciu«, p. Z. Bielskiego »O przemyśle hutniczym w Rosyi południowej«, d-ra Z. Pazdry »Ubezpieczenie pensyjne funkcyonaryuszy prywatnych ze szczególnem uwzględnieniem zawodów technicznych«, prof. d-ra St. Pawlika »Znaczenie i rozmiary budynków w gospodarstwie wiejskiem«, p. Wł. Floryańskiego »Kilka słów o teoryi aeroplanów«, d-ra St. Anczyca »Łączenie blachy przez zgrzewanie i stapianie«, prof. P. Hauswalda »O latawcach«, prof. d-ra M. Hubera »Z mechaniki sztucznego lotu«, wreszcie prof. W. Krycińskiego »O nowej metodzie nauczania rysunków i malarstwa w szkole przemysłowej«.

Jak w latach poprzednich, tak i w r. ub. wydano 24 numerów *Czasopisma technicznego* w objętości 40 arkuszy druku, mieszczących 32 prace, napisane przez 24 autorów. Ogólny koszt pisma wynosił 12.782 kor., z czego przypada 10.110 kor. na wydatki redakcyjne. Byt materyalny *Czasopisma* należy uważać za zapewniony wobec zainteresowania się nim naszych władz rządowych i krajowych, które objawia się przez przyznawanie pismu wysokich subwencyi.

Czytelnia *Tow. Politechnicznego* otrzymywała w r. ub. 54 czasopism, w tem 4 dzienniki, 31 treści technicznej i 19 pism treści ogólnej. W tej liczbie pism polskich było 34, niemieckich 15, w innych językach słowiańskich 5 i angielskie jedno.

Praca w »Sekcyi elektrotechników« obraca się głównie około wydania przekładu polskiego »Przepisów bezpieczeństwa przy wykonywaniu urządzeń elektrycznych o prądzie silnym«, oraz około »Polskiego słownictwa elektrotechnicznego«. Tłumaczenie »Przepisów« jest już ukończone i niebawem ukaże się w druku. Sprawa »Słownictwa« daleka jest jeszcze ostatecznego załatwienia. Sekcya odbyła też dwa zgromadzenia odczytowe, na których prof. Rothert wygłosił referaty »O przetwornicach jedno- i dwutwornikowych«, oraz »O oprawkach do szczotek dynamomaszyn i o elektrowni w Przemyślu«.

W »Sekcyi mechaników« odbyło się ośm odczytów, z których wymieniamy: p. K. Morawskiego »Stan obecny opalania lokomotyw ropą«, prof. E. Hauswalda »Centralne pracownie technologiczne«, Z. Sochackiego »O motorach gazowych« i p. A. Webera »O aeromotorach«.

Rachunki kasowe zamknęło Tow. wspaniałą cyfrą 34.952 kor.,

w czem znajduje się tylko 2000 kor. subwencyi, wkładki członkowskie za to imponują 18.390 kor.

* * *

A kiedy mamy mówić o *Związku naukowo-literackim*, niepodobna nie powtórzyć słów Digammy ze *Słowa Polskiego* (nr. 456, z r. 1909), charakteryzujących znakomicie cel instytucyi:

»Niema nic podobnego ani w Krakowie, ani w Poznaniu, ani w Warszawie, ani w Wilnie. Tam wszędzie zazdroszczą Lwowu tego salonu literackiego. I nie trzeba się temu dziwić. Stworzenie takiego organu nie jest łatwe. Ma on w swojej naturze coś niezmiernie ludnego i nieuchwytnego — zaspakajać ma potrzebę niejasno uświadamiającą się w umysłach i dającą się wyprowadzać w pole byle jakim surogatem towarzyskiej wymiany myśli, choćby w kawiarniach — niemniej potrzebę istotną«.

W statucie *Związku*, przed laty ułożonym, zadanie towarzystwa było oznaczone: »Tow. ma zadanie ułatwiać członkom swoim: wszechstronne zaznajamianie się z najnowszymi prądami piśmiennictwa, sztuki i nauki... możność wymiany myśli, tudzież zużytkowywać pracę, w tym kierunku podjętą, na korzyść szerszej publiczności«, a to zapomocą odczytów połączonych z dyskusyami.

»Potrzeba *Związku* — powiada dalej Z. Wasilewski w swoim znakomitym artykule — zrodziła się poza katedrą akademicką i poza salą wykładów popularnych, tam, gdzie myśl puszczona wolno, trzyma się jeszcze pracowni naukowej i zawisa nad umysłowością społeczeństwa, której stać się ma dorobkiem i zaczynem, bez żadnej rękojmi, czy będzie zauważona i wchłonięta. A można mieć naukę w gabinetach, można ją dogmatycznie rozrzucić okruchami wiedzy po szkołach elementarnych i pomimo to, nie podnieść kulturą poziomu umysłowości... Umysłowość powszechna, zwłaszcza w sferach, które szkolnie stoją na wyższym poziomie oświecenia, nie może zostawać bez ruchu. Zagłuszenie ciekawości umysłowej jest dla niej śmiercią, a zanik krytycyzmu, bierność poznawcza — jest chorobą, odpowiadającą w organizmie atonii organów trawienia. Umysł choćby najoświeceńszy, ale pozbawiony władz ruchu i chłonności, staje się balastem społeczeństwa, hamującym jego polot duchowy«.

Głównem staraniem *Związku* było podtrzymanie dobrych stosunków pomiędzy pracowniami wytwórczemi nauki, sztuki i piśmiennictwa a najbliższem ich środowiskiem, przez które praca twórcza myśli po-

winna sączyć się do społeczeństwa, tj. ułatwianie obcowania producentów, we wszystkich dziedzinach twórczości umysłowej, z pierwszymi szeregami konsumentów.

O ile cel powyższy został osiągnięty, o tem najlepiej zaświadczy spis prelekcyi, w liczbie 22, z których wymienimy: prof. d-ra J. G. Pawlikowskiego »Mesyanizm polski«, prof. d-ra Stan. Grabskiego »Jednostka, a społeczeństwo«, prof. d-ra J. Buzeka »Prusy wobec Polaków«, p. E. Naganowskiego »Subjektywizm jako czynnik kulturalny«, d-ra K. Nittmana »Szkolnictwo szwajcarskie«, dwa znakomite odczyty d-ra P. Mączewskiego o Wyspiańskim, d-ra Wł. Konopczyńskiego »Duch i technika partyjności w Polsce porozbiorowej«, d-ra L. Posadzy'ego »Dziady«, jako poemat wyzwolenia«, p. Cz. Łukaszkiewicza »Pierwiastek niepodległości w literaturze węgierskiej«, prof. d-ra Stan. Zakrzewskiego »O królu Władysławie Warneńczyku«, prof. d-ra J. G. Pawlikowskiego »Nieznany rapsod „Króla Ducha“«, d-ra L. Posadzy'ego »Zakres kompetencyi krytyki literackiej«, p. Wł. Kozłowskiego »Rozwój kultury cielesnej na tle dziejów powszechnych«, p. J. Palędzkiego »O Wielkopolsce i Prusach królewskich«, p. M. Pawlikowskiego »Wpływ oddalenia na pierwiastki twórcze i uczuciowe«, wreszcie p. Antoniego Potockiego »O Przybyszewskim«.

Zbędne byłyby chyba wobec gwarancyi, jaką dają nazwiska prelegentów, pochwały nawet najwyższe. Natomiast na podniesienie zasługuje inny moment z działalności *Związku*, ten mianowicie, że do tak świetnych rezultatów można było dojść, skoro rozporządzało się środkami wprost minimalnymi. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż nie otrzymywano znikąd subwencyi, ale pomimo to, przy setce członków, opłacających miesięcznie koronę, uzyskano w dochodach 2281 kor., z których wydatkowano 1203 kor., w czem maksymalna pozycya, bo aż 745 kor. za najem lokalu. Wydział *Związku*, na którego czele stali mężowie tak niepospolitych zasług naukowych i obywatelskich, jak pp. prof. J. G. Pawlikowski i Wasilewski, a w łonie wydziału pracowali wytrwale: prof. dr. St. Zakrzewski, dyr. M. Gawalewicz, dr. Wł. Witwicki, dr. Wł. Kozicki oraz p. Maryla Wolska, znana pod pseudonimem poetyckim D-mol, może z zadowoleniem i dumą patrzeć na to, co mu pisane było dokonać, ale też przyjąć wyrazy uznania publicznego za pracę hojną w plony od człowieka, który nigdy w życiu nie był zwykł prawić komukolwiek niezasłużonych pochlebstw.

»Lwów — pisał słusznie p. Wasilewski — jest dzisiaj najbogatszem ogniskiem polskiego życia umysłowego. Istnieje tu wiele towarzystw naukowych... rozwinął się nadto do niebywałych dawniej rozmiarów księgarski ruch wydawniczy, pretendujący do stwarzania i podtrzymywania kierunków umysłowych. To, co się nazywa duchem czasu, prądem literackim, tutaj, we Lwowie, ma wszelkie dane do formułowania się i szukania swego wyrazu, z pewną dozą odpowiedzialności dziejowej wobec innych miast polskich i dzielnic. Ale temu zadaniu Lwów nie może sprostać przy dzisiejszej swej dezorganizacyi życia umysłowego i towarzyskiego. Organizacya jakakolwiek, aby tylko stykająca nie wiedzące o sobie sfery i jednostki, jest niezbędna, jeśli środowisko tak wielkie, jak Lwów, ma wydawać z siebie ton. Prócz tego żadna myśl, utajona w gabinetach, nie stanie się prądem kierowniczym umysłowości; wszystko ginąć będzie bez rezonansu w umysłach współczesnych, pozostawionych przypadkowemu kierunkowi przedsiębiorców druku, sceny, wystaw. O twórczości narodowej, według jakiejś linii historycznej, nie może być mowy w tych warunkach. Umysłowość bierna, nie ożywiona własnym ruchem wewnętrznym, staje się łupem prądów zewnętrznych, bez żadnych zresztą dla świata korzyści. — Liczenie na prasę w tych warunkach, również jest zawodne, bo i ta bez oparcia o pewne organy myśli zbiorowej, niema gdzie wyczuć tętna. Tymczasem zaś wszystkie próby organizowania umysłowości i ożywiania jej przez wymianę myśli są warunkiem elementarnym życia w zbiorowiskach, powołanych do przewodzenia społeczeństwu. Swoją część zadania spełnił *Związek naukowo-literacki* jak najsumienniej, a za to proste spełnienie obowiązku, które w czasach obecnych należeć zaczyna — co najgorsze! — do rzadkości — należy się zarządowi, jak niemniej całej instytucyi prawdziwa wdzięczność i jak najuczciwiej zasłużone uznanie ze strony wszystkich, dla których kultura narodowa nie przedstawia jeszcze waloru mniej wartościowego od... liczmanów importowanych z zagranicy...

* * *

Rok ubiegły był jednym z najpomyślniejszych w dziejach *Koła literacko-artystycznego*, jako rok nadzwyczajnego wzrostu liczby członków i wielkiego ożywienia w dziedzinie sztuki. Z początkiem r. 1909 liczyło *Koło* 268 członków, z końcem zaś tegoż roku, po odliczeniu tych, którzy wystąpili i doliczeniu tych, którzy przystąpili, wynosiła liczba członków 408 (tj. więcej o 140). Wzrost ten — co najważ-

niejsza — trwa nadal. — Najważniejszym obchodem r. ub. było urządzenie do spółki z komitetem jubileuszowym uroczystego wieczoru, poświęconego Słowackiemu. Pozatem urządzono sześć odczytów, jedenaście koncertów, oraz dwie pogadanki na temat »Patryotyzm przemysłowy«. Odczyty wygłosili pp. German, Kossowicz, Pawłowski, Pietrzycki i Styka. W koncertach wzięły udział siły pierwszorzędne, a między niemi p. Jadwiga Korolewicz-Waydowa, Barcewicz, Dianni, Szymanowska, Ludwig i Różycka. — Za inicyatywą pp. Rybkowskiego i Janowskiego urządzono w listopadzie i grudniu w sali *Koła* wystawę dzieł sztuki, w której wzięli udział prawie wszyscy wybitniejsi malarze lwowscy, a jak tego rodzaju wystawa była potrzebna i jak dobrze powiodła się, świadczy najlepiej zainteresowanie, jakie wywołała u wszystkich, zajmujących się sztuką, oraz ilość sprzedanych na tej wystawie obrazów. — Nie od rzeczy też będzie wyjąć cyfr kilka ze sprawozdania kasowego, zamkniętego w rubryce dochodów poważną cyfrą 44.792 koron (w tem połowa z wkładek członków). Niepodobna wszelakoż nie zwrócić uwagi na dość smutny objaw, że podczas gdy dochód z odczytów i koncertów dał 2.595 kor., to z gry w karty, uzyskano 3.791 kor.!!! Uwagi, jakie stąd same przez się nasunąć się muszą, są tego rodzaju, że zbędne byłoby ich wyłuszczanie. Toż samo w wydatkach: podczas, gdy na bibliotekę wydatkowano 500 koron, na karty mało mniej, bo aż 418! Ogółem literatura schodziła tu na plan ostatni, tak, że dla *Koła* odpowiedniejszą byłaby każda inna nazwa, tylko nie »literacko-artystycznego«... Wszak na ogół 41 czasopism polskich, prenumerowano zaledwie 11 literacko-artystycznych, z obcych zaś przeważnie humorystyczne oraz ilustracye popularne, z wyłączeniem pism rzetelnie uprawiających sztukę i literaturę. Wreszcie, co za owych 500 koron zakupiono dla biblioteki i jak wielka jest obecnie ta biblioteka — o tem sprawozdanie milczy, jak zaklęte. A wszak daty z tego zakresu powinny były bezwarunkowo być uwzględnione na miejscu naczelnem!... Czysty majątek *Koła* wynosi 6.550 koron.

Klub społeczno-naukowy, w którym nauka i literatura stały na usługach polityki pseudo-postępowej, pomijamy milczeniem dla zasady samej. Nie piszemy wszak o stow. politycznych!...

* * *

Rok ubiegły, jako pierwszy w istnieniu *Koła dramatycznego*, był przedewszystkiem poświęcony organizacyi wewnętrznej młodego

stowarzyszenia, oraz i bodaj czy nie najwięcej wysiłków pochłonął na pracę przygotowawczą. Trzeba było bowiem zająć się niewdzięczną pracą przygotowawczą, a zatem: wypracowaniem regulaminów, urządzeniem odpowiedniem lokalu, zebraniem drużyny artystycznej (co bodaj, czy nie było najtrudniejsze?!), przygotowaniem repertuaru, wreszcie próbami sztuk, które nie miały nigdy ujrzeć światła kinkietów, a były potrzebne jako przygotowanie pedagogiczne przyszłych artystów i amatorów. — Wystąpiono po raz pierwszy w wieczorze, poświęconym twórczości dramatycznej Adolfa Neuwert-Nowaczyńskiego, wieczorze, poprzedzonym stosowną prelekcyą. — Zebrań odczytowych zdołano doprowadzić do skutku zaledwie trzy, na których mówili pp.: Maryan Gawalewicz na temat »Teatr teraźniejszy i teatr w przyszłości», znany krytyk i nowelista p. Kornel Makuszyński »O teatrach i kabaretach paryskich«, p. Adam Zagórski »O teatrach w Berlinie« oraz p. Walewski »O stylu w sztuce i na scenie«. Ponadto poświęcono jeden wieczór odczytaniu przez p. Wandę Siemaszkową niegranego dotąd dramatu p. t. »Wyklęci«. Nie godzi się też pominąć milczeniem wieczorów dyskusyjnych, z pomiędzy których na pierwszy plan wybija się p. Zagórski Adam z »Romeo i Julią«. — O mnóstwie prób ze sztuk, przeznaczonych do grania w roku bieżącym, wspominamy jedynie tem zdaniem tylko.

Do biblioteki przybyło 38 dramatów polskich. Czytelnię zaopatrzono w dzienniki i czasopisma peryodyczne polskie, niemieckie i francuskie. I to wszystko zdołano urzeczywistnić, mając w szeregach członków zwyczajnych zaledwie 42, a wspierających 23!... Dodaję nawiasem, że rok administracyjny zamknięto saldem 179 koron 61 hal.

Rezultaty pracy stowarzyszenia mogą pozornie wydawać się skromne. Aleć nie odrazu Kraków zbudowano!.. jak powiada pewne mądre przysłowie. To też nie można dziwić się, iż nie zdołano uczynić więcej w roku pierwszym istnienia, który wymagał przedewszystkiem położenia trwałych fundamentów pod istnienie kółka, bądź co bądź szczupłego. Gdyby ono powstało było np. w Krakowie, niewątpliwie rozwój jego już w roku pierwszym istnienia byłby przybrał rozmiary nieporównanie rozleglejsze. We Lwowie wszelako, gdzie od stowarzyszeń najrozmaitszych zachowaj nas Panie!... bodaj w przyszłości, to tylko, co zdziałano, zasługuje na uznanie i poparcie rzetelne.

Niedaleko nam stąd do pokrewnej instytucyi, poświęconej kultowi muzyki czystej.

Rozsadnikiem rzetelnej kultury muzycznej można śmiało, bez

przesady, nazwać instytucyę, istniejącą zaledwo dwa lata, a jednak wielce już zasłużoną. Założone głównie dzięki energii i zapobiegliwości znanego kompozytora, p. Edmunda Waltera, *Koło muzyczne* wykazuje dorobek wprost świetny. Członków, co prawda, skupiło nie taką liczbę, jakiej należałoby się było spodziewać, ogółem bowiem liczyło w r. ub.: 27 członków założycieli, 238 wspierających i 43 członków czynnych. Ale — zważyć należy — członkowie ci nie byli tylko figurantami, lecz brali żywy udział w pracach stowarzyszenia, nadzwyczajnie ruchliwego, o czem świadczy najwymowniej urządzenie 26 wieczorów muzycznych, połączonych z prelekcyami, illustrowanemi przez pierwszorzędne siły koncertowe. Wagę odczytów podnosi zwłaszcza ich aktualność oraz różnorodność, że o większą wprost trudnoby kusić się. Z pomiędzy całego ich szeregu niepodobna przemilczeć następujących: ks. O. G. Delahaye'a *Berlioz compositeur et critique musical*, p. Kazim. Mirskiego *Vincent d'Indy i paryska Schola cantorum*, p. Edmunda Waltera o Mozarcie, Schumannie, o poemacie Tennysona »Enoch Arden« z okazyi utworu R. Straussa, o Haendlu, prof. Stanisława Niewiadomskiego o F. Mendelssohnie-Bartholdy'm, p. Juliana Tennera »O pierwiastku muzycznym w poezyi Słowackiego«, d-ra J. Kleinera »Muzyka w życiu i twórczości Słowackiego«, Wł. Bryły »Szkoły skandynawskie i ich wybitni przedstawiciele«, d-ra L. Grudera »O Zygfrydzie R. Wagnera«, K. Schuppleröwny o Piotrze Czajkowskim, wreszcie p. E. Waltera »Szopen-Schumann-Liszt; trzy style« i referat krytyczny z okazyi pracy d-ra Chybińskiego o stosunku muzyki polskiej do zachodniej w wieku XV-tym i XVI-tym.

(C. d. n.).

Dr. St. Zdziarski.

Druk ukończono 12 października 1910.

ODŻYDZENIE POSTĘPU.

Słynie Warszawa z żywego tętna w ruchu umysłowym: nie dziw, iż ciekawie śledzi przygodę, zdolną istotnie zająć pilnie uwagę ogółu i w poważnym Krakowie, i w dalekiem Wilnie, i w zaprzątniętym własną walką Poznaniu. We wszystkich dzielnicach czasopisma podzieliły się z czytelnikami nowiną o nowem haśle: odżydzenie postępu. Ci, w których godzi to hasło, postępowi Żydzi, zaraz przeciw niemu zatrąbili na alarm w *Nowej Gazecie*, pismie Kempnera; piszą tam: »obóz reakcyjny także u nas, nie tylko na całym świecie, podtrzymuje starą legendę, że postęp i żydzi — to jedno, przeto niektórzy poddali się suggestyi tej legendy, a inni się nią zatrwożyli i próbują krzewić hasło: postęp musi być asemicki. Wiemy, — ciągnie *Nowa Gazeta*, — co znaczy hasło asemityzmu: zrodziło się tam, gdzie wylęgły się wszystkie nacyonalistyczne barbarzyństwa; w zastosowaniu do postępu prowadzić też musi logicznie do wyświecenia zewsząd Polaków postępowych, którzy jednocześnie są z urodzenia żydami... wprowadzić w ruch asemityzm, to znaczy tak odżydzić postęp, aby nie było w nim śladu żyda... Ogniska pracy, które mogą mieć jakikolwiek pozór, że żydzi popierają je dlatego, iż są postępowe, trzeba zgasić, aby się nie zdawało, że się tu warzy strawa koszerna«.

Przewodnictwo w tem odżydzaniu postępu przypadło głównie Andrzejowi Niemojewskiemu, Julianowi Unszlichtowi i Izie Moszczeńskiej. Ostatnia najmniej dodatnimi pojęciami określa swój zwrot asemicki: wypowiada jakąś myśl ujemnie, choć obrazowo,

przez zarzuty, że żydzi biorą w arendę każdy prąd postępowy i ustawiają przy nim młyny i tartaki własnego interesu; szczególnie polscy żydzi podtrzymują jakoby swoje prawo, żeby polski postęp był filosemickim, żeby wszystkie obozy lewicy przyjęły obronę żydowszczyzny za myśl zasadniczą polityki i to wszędzie i bezwzględnie, choćby żydowskie zamiary rozbieżną szły drogą, albo wręcz sprzeczną z postępem. Dla tych arendarzy postępu stworzył Kempner w *Nowej Gazecie* ognisko, przy którem zawsze i niezmiennie miała się warzyć tylko koszerna strawa. Również z A. Niemojewskim także I. Moszczeńska pisze się na zasadę, że socyalizm polski, o ile ma istnieć, może zajmować się tylko ekonomicznem, społecznem i politycznem dźwignięciem proletaryatu polskiego i nie wolno go używać do obrony kasty w rodzaju fenickich kupców.

Jaśniej J. Unszlicht na odżydzenie walki społecznej wskazuje słowami o tej Targowicy, »która się zdradziecko zakradła do naszych mas robotniczych, aby dla antypolskich szwindlów drobno-mieszczaństwa żydowskiego wyzyskać siłę polityczną proletaryatu polskiego przez stałe podjudzanie go przeciw własnej ojczyznie«.

Również jasno można asemityzm socyalny widzieć zapowiedziany w słowach A. Niemojewskiego, mniej obrazowych, ale niemniej dosadnych, bo czytamy, że:

Jeżeli przypatrzymy się uważnie niektórym odłamom naszych grup socyalistycznych (kilka ich jest w Królestwie) zwłaszcza np. osławionej Socyalnej Demokracyi Królestwa Polskiego i Litwy, znajdziemy tam wprawdzie nieco socyalizmu, silnie jednak trącącego zwyczajną anarchią, ale za grosz nie znajdziemy »demokratyzmu«. Żydek-agitator, który cały świat obdarzał religiami, robi z socyalizmu nowy kościół, posiadający z jednej strony szereg niewzruszonych dogmatów, a z drugiej strony hierarchię agitatorów-kapłanów, których władza duchowa nad gminem roboczym jest nieograniczona. Zupełnie tak, jak ksiądz drży tylko o to, ażeby wierny nie rozpoczął myśleć własnym mózgiem, tak ten typ socyalistów stara się odciąć robotnika od wszystkiego, co nie posiada jego partyjnego »aprobatur« albo »imprimatur«.

I tu zbawienie ogółu jest na planie drugim, a natomiast na planie pierwszym jest walka socyalistycznego kościoła z kościołami innymi, traktowanymi jak sekty i ukazywanymi jako takie, które pozostają na służbie dyabła, czyli »burżuazyi«. Przynależność do partyi

i ślepe względem niej posłuszeństwo jest czynnikiem decydującym; kto się do tego nie stosuje, ten jest istotą wyklętą moralnie, zgniłą i zasługującą na bezlitośne wytępienie. Polemika wysuwa na czoło tych ludzi typy zziajane, zapienione, zaplute, temperamenty wschodnich dogmatyków, którzy żyją jeszcze nastrojami religijno-społecznymi, formułują zarzuty co do *sacrilegium* i ogłaszają »ekskomuniki«. A jak zwykle, tak i tu, grupa tych żydów-socyalistów, mimo pozorów, ujawnianych przeważnie w napuszystej i krzykliwej frazeologii, pozostaje przedewszystkiem w rasowo rodzinnym związku z resztą żydów, a te węzły czysto antropologiczne są tak silne, że kto zaczepi ideowo jakiegokolwiek żyda, natychmiast ujrzy w sojuszu przeciwko sobie: żyda-talmudystę, żyda-socyalistę i żyda-liberalistę.

Jest rzeczą wielce znamienną, że ci pachciarze ideowi stanowią zakałę różnych grup naszych i wszędzie dali się we znaki. Dali się we znaki postępowi, wolnej myśli, socyalizmowi... Przodkowie Róży Luxemburg pomagali szlachcie w walce z miastami naszemi, to też zalało je żydowstwo. Przodkowie pani Róży Luxemburg, wysadziwszy niejednego szlachcica z majątku, rozpierali się potem w ganku jego dworu i tak z niego szydzili, jak szydzi obecnie Róża Luxemburg. Przodkowie tej damy szynkowali wódkę ludowi polskiemu. Róża Luxemburg już wódki nie szynkuje, ale to, co daje ludowi do wypicia w postaci artykułów i broszur, posiada wszystkie cechy literackiej okowity.

Należy rozbić w proch przesąd, że żydzi i postęp to jedno. Postęp polski ma służyć polskiej sprawie i niczemu więcej. Tylko przez należyte spełnienie swego obowiązku względem ojczyzny spełnia on swe obowiązki względem ludzkości. Polska myśl wolna służy polskiej sprawie i niczemu więcej...

Jakim sposobem A. Niemojewski od Żydów oderwie Polaków pod czerwonym sztandarem? jakich znajdzie dla nich przywódców? ilu nakoniec znajdzie zwolenników? Tego nie wyjaśnia: dość, że dotąd zapowiada socyalizm odżydziały, nim później odwoła tę myśl.

Tak też rozumieją widocznie Żydzi ów postęp asemicki na polu społecznem, bo w swojem piśmie socyalistycznem, *Młocie*, walą ten postęp maczugami takich przezwisk, jak wolnomyślne chuligaństwo, policyjno-śledcze instynkty, połączenie czarnoseciństwa rosyjskiego i antysemityzmu zoologicznego z wolną myślą, niepoczytalne łobuzerstwo, albo i coś gorszego.

Także inne pisma różnych odcieni rozumieją rdzenną myśl A. Niemojewskiego jako asemityzm w postępie społecznym, bo zwrócony przeciw utożsamianiu postępu z radykalizmem politycznym i społecznym pewnych warstw żydowskich.

Tak ujemnie określone i tylko zarzutami wytknięte stanowisko, pozwala jednak odgadnąć przynajmniej w zakresie pracy społecznej postęp nie skrępowany względami na interesa żydowskie, bo te interesa właśnie na polu gospodarki społecznej szły drogą sprzeczną z postępem narodowego dobrobytu. Pod tym względem asemicki zwrot byłby nowiną najpożądańszą, bo cała Polska słyszy, jak biedny lud wiejski i robocze warstwy miejskie dotąd rozprawiają nad zagadką, jaką im ciągle zadawał postęp demokratyczny. Uchodzi to za pewnik, że kraj nasz biedny nie zdoła wyżywić i zaopatrzyć całego narodu, stąd dwa czy trzy miliony rodaków muszą za morzami tułać się i do wszystkich ognisk przemysłu w Europie cisnąć się po chleb i parę groszy dla pozostałych w kraju nędzarzy. A tenże sam kraj, bez chleba i grosza dla swoich milionów trzech, żywi ośm milionów Żydów; dostarcza im nie tylko chleba czarnego, ale i pierników z miodem; znajduje dla nich nie już marne złotówki, ale i rulony dukatów. Więc cóż na to radziła postępowa demokracya? Czasem dobrem słowem pochwały poparła demokracyę chrześcijańską w jej wysiłkach dla dobra warstw biednych, — ale przy dobrem słowie dla swoich, miała dla Żydów względy nierównie skuteczniejsze od słów, bo nad interesami ich czuła się obowiązaną do opieki w imię właśnie postępu i tolerancyi. Dobrze tedy i znakomicie postąpi, jeżeli przestanie trapić nasz lud łamigłówką, której rozwiązać chłopski rozum nie umiał.

Na tem tedy polu zdaje się świta nowa doba postępu, bardzo ważnego dla ludu; ale czy na polu wyłącznie społecznem zapowiada się asemityzm? Czy bardziej zasadniczego postępu jeszcze mamy oczekiwać w dziedzinie tak oświatowej jak obyczajowej? Czyż tu już nie nastąpi postęp wyzwolony od wpływów rabińskiego rozumu i talmudu z jego prawami nieraz rozwiązłemi?

Pytają się o to różne pisma, ale z odpowiedzi postępowych asemitów nie wnoszą, żeby na polach zasadniczego rozwoju rozumu i woli wolna myśl polska miała się odżydzić. Poważna *Gazeta Warszawska* pana Dmowskiego wątpi, czy do tego celu doprowadzi praca A. Niemojewskiego. Przewiduje, że:

Chce p. Niemojewski czy nie chce, znajdzie on zawsze obok siebie żydów, ilekroć wystąpi do walki przeciwko religii i Kościołowi. W armii fanatyków ateizmu i idei antychrześcijańskiej p. Andrzej Niemojewski znajdzie zawsze żydów nie tylko w pierwszym szeregu, ale na stanowiskach głównodowodzących. A głosząc hasła »antysemityzmu postępowego«, pracując nad »odżydzeniem wolnej myśli polskiej«, p. N., jeżeli w dalszym ciągu będzie równie jak obecnie impulsywny i szczery, wyzna może kiedyś szczerze, że wbrew woli własnej pracował *ad maiorem Iudaeorum gloriam,* wysługiwał się ich interesom.

Także postępowi żydzi w *Nowej Gazecie* twierdzą, że postęp nie przeżyje rozłąki z żydostwem; zamknięty między żywiołami polskimi, wpadnie we wstecznictwo.

Iza Moszczeńska powstaje przeciw tym przepowiedniom i wywodzi, że:

Nowa Gazeta dzielnie, choć nieświadomie zapewne, popiera stanowisko organu p. Dmowskiego. I ona sądzi, że postępowe niemowlę, odstawione od semickiej mamki, przypłaci życiem tę niewczesną reformę. Rozwód między filosemityzmem a postępem ocenia, jako »zburzenie podstawowych walorów programu«, zdradzając tem, że w jej programie filosemityzm miał znaczenie fundamentu — a reszta była tylko nadbudową. Dla tych, co chcą »odżydowszczyć« postęp, wyznacza miejsce »poza postępem« — nie myśli zatem jeszcze i w obecnej chwili wypuszczać monopolu postępowego z żydowskich rąk. I dla niej więc — jak dla *Gazety Warszawskiej* — postęp będzie żydowskim lub go nie będzie wcale, — kwestya żydowska jest dla niej »probierzem naszego hartu kulturalnego«. Zresztą wierna swemu temperamentowi, zaczyna już krakowski targ. Przyznaje, że w kwestyi żydowskiej są »pierwiastki, które dotkliwie hamują rozwój postępu polskiego« i lękliwie przewiduje, że »odżydzenie« postępu nie pozostawi »ani śladu żyda«.

I J. Unszlicht zdaje się, że ogólniej, niż na polu tylko społecznem, pojmuje »walkę z rozkładowymi wpływami nacyonalizmu i klerykalizmu żydowskiego na ideologię postępową polską«.

Także A. Niemojewski odsądza od wszelkiej ceny współpracownictwo żydowskie na polu wolnej myśli, bo nie widzi w niej samodzielnego czynnika w postępie niezależnej oświaty, tylko narzędzie fanatyzmu religijno-rasowego, zależne od ciemnych przywódców ducha żydowskiego. Więc wywodzi, że żydostwo:

... na ogół jest to »kasta religijno-rasowa«. Nacisk jej na poszczególnych członków jest zbyt wielki, ażeby ci pod wpływem obozów na-

szych całkowicie się przekształcili; a i to jeszcze należy wziąć pod uwagę, że żywią oni do tych obozów zawsze ukrytą nieufność, posądzają je o antysemityzm żywiołowy i uważają swe podłoże żydowskie za ostateczne »refugium« w razie potrzeby. Następnie praca ich w polskim postępie i w polskim socyalizmie, nie wyłączając polskiej wolnej myśli, jest przez masy żydowskie mile widziana, odwrotnie jak u nas; ciemne masy żydowskie rade są, że różni inteligentni żydkowie atakują katolicyzm, szlachtę, a nawet krytykują polskość, gdyż mają swój antygoizm. Żydzi inteligentni, pracując u nas, cieszą się tedy uznaniem swych mas najciemniejszych...

I o tem wie A. Niemojewski, że postępowi żydzi obstają za ciemnymi i ich ciemnotą, i że ciemni stoją za postępowymi i przy nich, i że cały ogół tej kasty godzi w nas, przesiąkły polakożerczym antygoizmem. Donosi tedy:

Jeżeli rozbił się w proch przesąd, że katolicyzm i polskość, to jedno, należy rozbić w proch drugi przesąd, że postęp i żydzi, to jedno. Analogia jest uderzająca.

Fakty ostatnich lat dowiodły, że postępowcy żydowscy oparli się wszelkim próbom szczepienia wolnej myśli wśród żydów i chcieli zredukować kampanię wolnej myśli w Polsce do atakowania katolicyzmu z całkowitem pominięciem judaizmu, i że ci postępowcy żydowscy usypiali naszą czujność na polakożercze zabiegi nacyonalizmu żydowskiego, nazywając walkę z nim objawem reakcyi antysemickiej. Cały postęp i wolna myśl walczyły ze zboczeniami patryotyzmu, czyli z nacyonalizmem — ogół żydów chciał postęp i wolną myśl pchnąć do walki z samym patryotyzmem. Żydzi podburzają nam robotników i cały socyalizm chcą nastroić wrogo dla sprawy ojczystej. Kto zaś przeciw temu z najlżejszym wystąpi protestem, tego piętnuje się natychmiast jako antysemitę.

Nic nie wspomina tu A. Niemojewski, o ile sam ulegał wpływowi talmudystów. Może tego tak nie zauważył, jak nieraz Polak nie zdaje sobie sprawy, że po dłuższych stosunkach z wychowańcami uczelni nam wrogich szerzy poglądy berlińskie czy wiedeńskie, jakby sam do nich doszedł. Ale rodacy, obeznani z przeróżnymi zarzutami na nas, nieraz wymienią stronicę niemieckiego podręcznika, na którym wychowani uczniowie, podsunęli niebacznemu Polakowi myśl Ono Klopa, że Sobieski nie ocalił Wiednia, albo dowód Prawego, jakoby Kopernik był Niemcem. Więc Polak choć nie wiedział, kim zacz byli Ono Klop albo Prawe, choć o ich

dziełach nie słyszał, zdumiony widzi dowody, że powtarzał ich naukę, bo oddychał powietrzem, które nią nasiąkło.

Tak znawcy początków chrześcijaństwa i burz przeciw niemu wywoływanych przez wieki, naczytali się przeróżnych zarzutów na Kościół i mogą łatwo wymienić miejsce i czas, z którego pochodzi myśl przechowywana w obozie tym albo owym, jako oręż przeciw chrześcijaństwu. Z kim członkowie owego obozu przestają, temu łatwo narzucą swoje pojęcia i dalej szerzą je przez tego, kto może wierzyć, że głosi pogląd swój własny. Tak może A. Niemojewski i jego na tem polu spółzawodniczka nie wiedzą, z jakiego nasienia zakiełkowały w ich umyśle płody literackie czy historyofobiczne, z którymi występują przeciw Ewangeliom i godzą w początki chrześcijaństwa.

Znawcy jednak mogą postępowym Warszawiakom wykazać, że nasiona ich poglądów tak co do wnętrznej treści, jak i co do postaci zewnętrznej noszą na sobie niewątpliwe cechy umysłu żydowskiego.

I tak co do poglądów na Jezusa Nazareńskiego, ich nasienie dojrzało w głowie rabińskiej, spoczywa od wieków w niecnem סֵפֶר חלדת ישו, rozpowszechnia się czy to przez rabina השלם w dopiskach do księgi וחקוני שבת, czy przez belfera לעמבערגער przy wykładach הסדור העה, kiedy uczą młode żydzięta. Następnie ów wychowanek hajderu czy jego syn przestaje z wolnomyślnym Warszawiakiem, który nie wie nic o żadnym seferze rabi Szloma czy Lembergera i mniema, że własnym rozumem ugodził w talmudycki pogląd. Może oceni prawdę, kiedy przeczyta słowa, któremi sprawę Harnack wyjaśnia, ów mistrz wiedzy postępowej i pozytywny niedowiarek (*Mission u. Ausbreitung*, str. 40, 40):

»Paweł, faryzeusz, zdetronizował w dziejach naród izraelski z jego religią; wyrwał Ewangelię z łanu żydowskiego i przesadził ją na łan człowieczeństwa. Nie dziw, że całe żydowstwo na dobre wtedy wszczęło przeciwdziałać Ewangelii. O nienawiści żydów świadczy każda stronica Dziejów Apostolskich od 13-go rozdziału. Usiłowali co chwila i co krok powstrzymywać Pawła w jego dziele śród pogan. Poduszczali tłumy i władze po wszystkich krajach. Wystąpili z oszczerstwami na Jezusa a syste-

matycznie i oficyalnie ustalili w świecie straszne przesądy przeciw chrześcijaństwu, które już za doby trajańskiej występowało jako powaga. Dostarczyli literackiego materyału poganom wrogim chrześcijaństwu. Natchnęli Nerona, — jeżeli wszystkie wskazówki nie łudzą, — pomysłami przeciw chrześcijanom i prawie wszędzie stali w tyle albo na przedzie przy krwawych prześladowaniach późniejszych. — Tertulian zwie bóżnice *fontes persecutionum*. Zmyślnie przeczuli swoich wrogów właściwych w poganach ponawracanych, choć o nich nie mieliby na pozór wcale się troszczyć... ale ci rzeczywiście wyparli żydostwo ze stanowiska religii wszechświatowej, na które żydzi zaczynali już wkraczać«.

Po dobie, którą opisał Harnack, następne wieki pokazują inne burze przeciw Kościołowi, wywoływane przy udziale Żydów: widać ich przy wybuchu obrazoburstwa, słychać ich z Arabami w filozoficznych zapasach ze scholastyką, w nich znajduje nowożytny panteizm pierwszą podporę, z ich udziałem pierwszorzędnym toczyła się przez dziesiątki lat kampania o zabór Rzymu, opisana źródłowo w *Vicissitudes politiques* Karola Van Duerma. Nie odrodziła się od starej nowsza Synagoga: *fons persecutionum*.

Również co do zewnętrznego wątku najnowsze oszczerstwa na Jezusa, powtarzane za innymi także w postępowej Warszawie, noszą na sobie oczywiste piętno umysłowości żydowskiej, jako znamienne okazy nie rzetelnej pracy poznawczej, tylko roboty trawestacyjnej, w jakiej celuje Żyd.

Żydzi okazują zmysł wybitnie trawestacyjny przez swój dorobek znamiennej pracy na polu pisarskiem w dobie chrześcijańskiej.

Główny płód ich ducha z tej doby, to Talmud. Twórcy jego obwałowali w nim Torę niby bezpiecznym szańcem swoimi wykładami; dla ochrony wykładów otoczyli je drugim wałem dopisków; dla ich bezpieczeństwa zaopatrzyli je trzecim rzędem uwag, a dokoła ich powiedli czwarty mur odnośników i tak dalej rozszerzali Talmud niby poszóstny pas twierdz naokoło Tory. Już tej ostatniej nikt nie widzi poza rzędami baszt, wież i zameczków obronnych: Żyd czyta tylko przelewane z próżnego w puste przeróbki pomysłów ustawianych to z góry na dół, to z lewa na

prawo, to w porządku odwrotnym, to wcale bez porządku, — a cały ten wykwit myśli żydowskiej nie zdobywa innych czytelników, prócz Żydów, bo prócz nich wszyscy po kilkunastu stronicach talmudu znudzeni zamykają ten zbiór płodów wyobraźni, bez żadnej myśli poznawczej. A i sami Żydzi prawowierni, czasem rozczarowani talmudem, określają jego treść tem właśnie podobieństwem, powtórzonem obecnie, i utyskują na wielorakie wały, z poza których nie widać już prawdy, zatopionej w przeróbkach, komentarzach i trawestacyach.

Ani nic nowego nie widać od wieków we wszystkiem, czem Żydzi napełniają czasopisma, którymi rządzą: wywodzą na różne sposoby ciągle stare myśli o papieżycy Joannie, o inkwizycyi, o papieżu Borgiaszu, o środkach uświęcanych przez cel, o ciemnocie średniowiecza, o upadku państw katolickich, o wszelakich objawach wstecznictwa i braku ducha w Kościele. Odpierani po niezliczone razy, wykrywani jako napastnicy złej woli, Żydzi w tych czasopismach rzadko kiedy podejmą polemikę rzeczową, rzadko przez dowód prawdy poprą cząstkę zarzutu przeciw Kościołowi, zwykle od rzeczowej potrzeby dowodów odwracają uwagę, dowcipem się posługują i zmyślnie nicują skargę na ich bezpodstawne zaczepki, aby odrzucić ją z okładem na oskarżyciela.

Tak też postąpili obecnie z wywodami i A. Niemojewskiego i I. Moszczeńskiej. Cały ustęp *Nowej Gazety*, umieszczony na pierwszej tu stronicy, opływa w trawestacye zwrotów, wcześniej użytych w *Myśli* Niemojewskiego albo przez Izę Moszczeńską w *Kuryerze*. W *Myśli* czytamy, że to postępowi żydzi utożsamiają żydostwo z postępem; *Nowa Gazeta* przewraca ową myśl na swój pogląd, jakoby to obóz wsteczniczy podtrzymywał ową legendę. Moszczeńska nadmienia o koszernej strawie warzonej przy ognisku *Nowej Gazety: Nowa Gazeta* przewraca tę wzmiankę, aby wyśmiać obawę przed żydem. Niemojewski zarzuca żydom nacyonalizm polakożerczy: *Nowa Gazeta* przekręca zarzut na skargę przeciw asemitom i reakcyonistom za nacyonalistyczne barbarzyństwa. Niemojewski w *Myśli* przewartościował spółpracowników żydowskich, *Nowa Gazeta* nicuje jego słowa dość niezrozumiale na przewartościowaną tolerancyę. I tak dalej pochwy-

tuje Żyd w *Nowej Gazecie* to zwrot Moszczeńskiej o mezaliansie postępu z filosemityzmem, to inną jej uwagę; słowem całą odpowiedź urobił z trawestacyi i okazał się wprawnym przewijaczem cudzych słów a nie zastępcą prawdy rzeczowej.

I tenże zmysł trawestacyjny do wiecznej przeróbki starych wymysłów żydowskich uderzał w antychrystyanizmie Warszawiaków i zdradzał, czyj zakrój umysłowy natchnął ich i prowadził w utworach o rodowodzie Chrystusa.

Tak dotąd zżydziały postęp warszawski odtąd zapowiada, że już myśli wyzwolić od wpływów obcych swój mózg polski, — wypowiada dalsze braterstwo broni spółpostępowcom starozakonnym, — dowiaduje się przynajmniej w dwudziestym wieku o stosunkach, o których już wiedział Cyceron, i w znanej mowie przestrzegał Rzymian, żeby nie wchodzili w sprawę ze Żydem, bo za jednym stoi cały legion wyzyskiwaczy tej sprawy dla własnych zamiarów. Tak dopiero dziś Niemojewski dowiedział się, że nad każdym Żydem czuwa kahał, jak przewodnik spółwierców nawet na wyższym stopniu oświaty, dopuszczanych do polskich obozów.

A jednak A. Niemojewski odżydza postęp nie bez pewnej tolerancyi dla oświaty żydowskiej; i potępia żydostwo na ogół, jako jedną religijno-rasową klikę antygojów, i z drugiej strony wyznaje się dalekim od krytyki całego żydostwa i jego warstw oświeconych: dla nich wyraża przychylną cześć słowami:

> Winniśmy zwrócić uwagę na to, że nie mamy na myśli tego typu spokojnego żydów, który pracuje na katedrach uniwersyteckich, tworzy naukę, literaturę, sztukę, krząta się w charakterze lekarzy, adwokatów, rejentów, zakłada dla żydów szkoły i ochronki, słowem pracuje kulturalnie i nieraz zasługuje na najwyższe słowa uznania, ale ten typ ruchliwych »pachciarzy ideowych«, często plujących na tamtych.

Oględniej na posłuchaniu, danem wywiadowcy ze *Świata*, Niemojewski wyznaje, że nie myśli wcale naruszać takich jednostek, jak Askenazy, Dickstein, Nussbaum, ale przecie cofa się jeszcze dalej na filosemityzm z wiarą w jakieś dowody, że są szlachetni żydzi-patryoci, którzy zgadzają się z przekonaniami jego obozu. Nie sądzi jednak, żeby w postępie polskim Zydzi

przedstawiali poważną liczbę, choć nie wie, czy ta mała liczba nie narobi efektownej wrzawy.

I w słowach, na które się I. Moszczeńska pisze w *Kuryerze*, A. Niemojewski wymienia najprzód wysoce podniosłych Kościuszków i Mickiewiczów, a do nich w drugim rzędzie zalicza Daszyńskich, Diamandów, Haeckerów...

Więc Żydzi, z którymi zrywa postępowa Warszawa, przecie znajdują w jej oczach łaskę dla sporego zastępu antygojów, na których kahał wywiera zbyt wielki nacisk, ażeby dał im się całkowicie przekształcić w polskich obozach. A ostatnie z przytoczonych słów Niemojewskiego i Moszczeńskiej już nawet na polu społecznem zawracają wstecz z drogi asemickiej: już i Żydom wyścielają krzesła w poczestnym rzędzie drugim po Kościuszce i Mickiewiczu.

I do tych odwrotów w tył ku filosemictwu znajduje Postęp warszawski zachętę nawet w piśmie takiem, jak *Słowo*. Ten dziennik zdał bardzo oględnie i bezstronnie sprawę z początkowego wybuchu w Postępie, ale po kilku dniach namyślił się głębiej i wystąpił z uwagami pana Straszewicza, że postępowcy, do niedawna sympatyczni pod wielu względami, obecnie nie zasługują na sympatyę, bo wybuchnęli jaskrawym, namiętnym antysemityzmem: niechże nie popadają w ciasny szowinizm a pamiętają na Jankla w »Panu Tadeuszu« i na innych jego współwierców-patryotów.

Zachęty p. Straszewicza zdołają utwierdzać Niemojewskiego w łaskawym względzie dla światłych żydów i patryotycznych Janklów: mimo jego wykrzykników, że własnemi oczyma chce śledzić drogi Postępu, przecie ciągle tak dowcipkuje przy wtórze spółpostępowców na tle kleru katolickiego, że widocznie patrzy się jeszcze przez szkła żydowskie. Zapewnia wywiadowcę *Świata*, że ważna to rzecz dla jego obozu, żeby żydzi nie krytykowali katolicyzmu; żydzi zamykali drogę postępowi polskiemu, znienawidzonemu przez całe społeczeństwo i uważanemu za partyę żydowską. Ale słowa te wyglądają powiedziane dla rozgłosu.

Przy tych zapowiedziach, Postęp sam nie przestaje tak się wyrażać dziś o księżach katolickich, jak się nauczył chyba od

wolnomyślnych Żydów, bo ci to wyzwoleńcy z pod powagi rabinów o ich nieuctwie wyrażają się tak właśnie, jak Postęp o księżach: jak rabini, tak rzekomo księża nie zdołają wyjaśnić rozumnie swojej wiary, tylko grozą narzucają cześć dla swojej powagi. Gdyby Postęp spoglądał własnem okiem, tedy widziałby niedaleko, jak władze innowiercze uciekają się do środków surowych, aby kaznodzieja nie rozprawiał o Wierze, nie rozwijał prozelityzmu przez wywody o Kościele, nie przekonywał wyznawców rządowej prawdy o ich mylnych pojęciach. Widocznie ten ksiądz w sumienia godzi przez wykład rzeczowy; wszak nikogo nie zaniepokoiłby, gdyby wymagał Wiary a nie wykazał jej podstaw; widocznie rozumnym dowodem działa, kiedy przyciąga innowierców albo wykładem obowiązków pozyskuje spółwierców dla cnoty; widocznie zdaje ściśle sprawę ze swojej nauki, a nie jak rabin grozi chajremem i drży z gniewu na każdy zarzut, choćby podniesiony w dobrej wierze.

Oczywiście tedy polskie oko odróżni księdza od rabina, a żydowskiem okiem ten wodzi jednakowo po rabinach i księżach, kto jak Niemojewski kpi z księży, oburzonych przez myśl poczętą czyimś mózgiem własnym; tak i Unszlicht zrównywa księdza z rabinem i rozprawia o klerykalizmie żydowskim; tak i Moszczeńska szydzi jakby z czci dla rabina z rzekomej trwogi wstecznników przed złem słowem o księdzu niegodnym czci: może o podłej duszy jakiego Macocha Kościół każe mówić dobrze? wszak wykazuje z dziejów własnych, że przez złych księży runąłby dawno, gdyby nie moc Boża, która niejednego tam dźwigała Kordeckiego, gdzie hańba z jednego na tylu spada osobiście niewinnych.

Cały tok dowcipów i docinków wymierzonych przeciw postępowi chrześcijańskiemu wykazuje w asemityzmie Postępu warszawskiego wiele zapowiedzi buńczucznych a mało myśli odżydziałych. Nie odżydzona to myśl, która nie zdoła zapuścić się spokojnie w drogę poznawczą, aby ocenić zdobycze potężnego ducha, jakim chrześcijaństwo bezsprzecznie owiało ród ludzki. Aby tę potęgę ocenić, jaką chrześcijaństwo okazuje w dziejach oświaty, na to trzeba umysłu badawczego, a żydowski dowcip

i zmysł trawestacyjny nie dokazał na polu ściśle poznawczem nic szczególnie pamiętnego dla nauk. Na przestwory wolne, zlatywane wyobraźnią, wybił się umysł żydowski kilku imionami: zdobył się na Spinozę w oderwanej dziedzinie teoryi filozoficznych, na Mendelssohna w pieszczotliwych dźwiękach strun porozdzieranych, na Heinego w literaturze tęsknoty zjadliwej, na tego i owego przywódcę w rozpaczliwym ruchu społecznym ku mrzonkom komunizmu, na jeszcze może jakieś imię śród przedstawicieli wyobraźni artystyczno-naukowej. Ale, na takiem polu idei wsławiał się umysł żydowski, gdzie znalazł sobie zagon przydatny do uprawy płodów powabnych na oko, bez strawy dla myśli poznawczej; wypowiadał się przez dzieła natchnione głęboką zadumą rozsłodzonej rozpaczy, ale nie wzbił się sławą wiekopomną na obszarach rzetelnej pracy w działach nauki. W tej pracy umysł tłumiony przez wieki niewoli u rabinów, z jarzma przesądów wyzwala się dwojako: albo nie poprzestaje na ujemnym sądzie o powadze talmudystów i rozwinie zasoby ducha badawczego, aż dotrze do pokładu prawd niewzruszonych; albo na taki bój o prawdę nie zdobędzie się ani z Klaczką ani z również niepospolitymi myślicielami, tylko ugrzęźnie w odrazie do powag kahalnych i zatopi się w pogardzie dla wszelkiej powagi, aż znienawidzi zgoła całą drogę myśli jakbądź skrępowanej. Wtedy za okrzyk bojowy bierze sobie dwuznacznik: myśl wolną. Pojęcie o wolnej myśli znaczy bardzo wiele w dziale sztuk wyzwolonych, ale nie znaczy prawie nic w krainie prawdy. Tu przyroda rzeczy surowym rozkazem krępuje badacza w jego wnioskach, nie przyznaje oku prawa do widzenia złota w próchnie, ani rozumowi do zliczenia dwójki z dwójką na piątkę. Nie zna fizyologia wolnego oka czy ucha w świadectwie o barwie czy dźwięku, ani psychologia nie zna wolnej myśli poznawczej w zdobyczy prawd przedmiotowych; na bujną rolę wyobraźni odsyła wszelką myśl niepodległą czy to przymusowi liczb, czy świadectwu przyrody, czy też zjawiskom dziejowym.

Nie nad postępem tedy wiedzy naukowej pracują tacy pospolici wyzwoleńcy z pod powagi rabińskiej, tylko nad zastojem człowieka w rozwoju pojęć najgłębszych, nad uprawą zasady

Du Bois Reymonda o wiecznym Ignorantyzmie. Rozpędzają swobodnie myśl do sądu o świecie, i udają, że przez ten rozpęd wyobraźni ćwiczą myśl poznawczą; a czują się we wnioskach swoich tylko wynalazcami poglądów osobistych: stąd nie przeczuwają nic przedmiotowego w cudzych wnioskach naukowych, odmawiają bezwzględnej powagi prawdom rzeczowym i wzywają każdy rozum w bój o myśl wolną pod hasłem agnostycyzmu. I poza ścisły zakres poznawczy dalej rozciągają swój sceptycyzm: wyzwoleni sami z pod przepisów talmudu, w chrześcijaństwo wnoszą myśl niepodległą jego przykazaniom, bunt przeciw wewnętrznemu przymusowi i potrzebie zwycięstw nad sobą. Przepowiadają w imię postępu wolną miłość z jej następstwami i swobodę obyczajów, krępowaną chyba zewnętrznymi względami na ludzkie sądy i kary.

Nie postęp to oczywiście na wyżyny sławy, którą zdobywa geniuszem myśliciel, męstwem bohater. Jak o zwycięstwach prawdy, tak o woli silnej, o harcie cnoty, o niezłomnych charakterach przestałoby myśleć społeczeństwo, gdyby w pochodzie do źródeł oświaty i do rozkwitu piękna obyczajowego powierzyło swój postęp przewodowi żydowskich agnostyków i materyalistów.

Zatem Warszawiacy postępowi, z Żydami stowarzyszeni, chyba zostaną czynnikiem ujemnym dla postępu ducha w narodzie. Czyż mają tedy prawo do miana bojowników o postęp?

Tak... bo i to prawda, że postępem nie tylko nazywa się nabytek sił w zdrowych ustrojach, ale stwierdzać można postęp choroby; mówi się także o postępie rozkładu w społeczeństwach na widok coraz wstrętniejszej zgnilizny.

Więc nie można odmówić A. Niemojewskiemu z jego obozem praw do miana bojowników o postęp, choć skłaniają się do towarzystwa broni także z Żydami w liczbie niewielkiej, ale zdolnej wywołać wrzawę rozgłośną.

Pójdą w bój o zastój ducha a postęp rozkładu społecznego, o rozwój sceptycznej ignorancyi i przewagę wolnych obyczajów.

Każdy wróg nasz mile przywita ich na drodze takiego postępu i szczerze, rad przykłaśnie ich narodowym zdobyczom.

Ks. K. Czaykowski.

JASNEJ GÓRY STRAŻ.

Jest kraj... pod mgłami milczy zimnemi,
Jest lud... do szarej przyrosły ziemi,
Jest dni kolejność nad nim ponura...
Lecz jest nad krajem tym Jasna Góra,
Jest Tron w aniołów wzięty obręcze,
U stóp leżące nadziei tęcze —
Tam Pani nasza królewska mieszka!
Od każdej chaty jest ku Niej ścieżka,
Dziecięcy głosik już o Niej gwarzy —
Przysięgli męże w Jej stoją straży.

Na Jasnej Górze tej szarej ziemi,
Z oczyma matki czuwa smutnemi
Przejasna Pani — i Boga chwały
Nad kraj ten smutny, nad kraj ten szary
Na rękach swoich podnosi cicha.
Wkoło Niej złotość niebios oddycha. —
Przez Was nie przedrze się cień tu wraży!
Hej straży nasza! Ty biała straży!

W pracy, w krwawicy my do ostatka,
Lecz z Jasnej Góry czuwa nam Matka!
Lecz Jasnej Góry łuna ogniowa

Królowę Jasną wiernie nam chowa, —
Lecz ku nam lecą z Jej litaniją
Pieśni, co wiecznie u Jej stóp biją!
Jej Obraz ku nam chwałą się jarzy!
Hej straż tam czuwa! hej wierna straży!

Gdy nam myśl pracą mdleje strudzona,
Tam za nas woła straż postawiona!
Kiedy nam serca strwożone mdleją,
Oni strażniczą stoją nadzieją!
Gdy lud niemieje, zjęty grzechami,
Żywot pokutny prosi za nami,
Bo święci stoją u Jej ołtarzy!
Hej straży nasza! zakonna straży!

A kiedy zejdzie ku nam dzień święta,
Kraina cała, jak nieobjęta,
Zakwita w pieśnię, w szum chorągwiany,
Że kraj, jak wielkie rozbrzmi organy!
Niosą się pieśni, prowadzą rzesze
W niebieskie Pani naszej pielesze,
Ku tej Królewskiej Matczynej twarzy,
Gdzie duch narodu stoi na straży.

Oto wychodzą w rzesz powitanie
Straże Królowej — tłum co przystanie
Witają od Niej — pieśń wziąwszy ludu
Prowadzą rzesze w przybytek cudu.
Grzesznych rozgrzeszą, a mdłych ośmielą,
Chlebem Żywota Najświętszym dzielą,
Wiodąc, gdzie Pani łask gospodarzy.
Hej Orędowna! hej biała straży!
. . . . . .

Matko Cudowna! Wszechmocny Synu!
Przeklęt niech będzie dzień tego czynu!

Straż zdradzająca! śród straży zbrodzień —
Królowa nasza hańbiona codzień!...
Oto odchodzi smutna Królowa
Za gwiazdy jasne, w wieczność się chowa!
Któż Ją zatrzymać z nas się poważy?
Przez nas zdradzoną! w wybranej straży!

Serce w nas płacze: O Matko nasza,
Że też i Tobie trzeba Judasza!
Nam w poniewierce naszej łaskawa!
Oto, co naród Tobie oddawa!
W obliczu wszystkich narodów ziemi
Świecić czołami nam shańbionemi.
Cóż uczynimy, my tłum nędzarzy?
Jedyny Skarb nasz zdeptan! O straży!

Na Jasną Górę tej szarej ziemi!
Na Jasną Górę z łzami krwawemi!
Niechaj świątynia zabrzmi milcząca
Grzmotem pokutnym piersi tysiąca,
Które z łoskotem o flizy biją!
Bądź Ty nam jeszcze! o bądź Maryją!
Niech płacz serdeczny bije echami,
Aż Matka nasza zapłacze z nami!

Potem nam klęknąć i wznieść ramiona
I trwać milczący — niech patrzy Ona,
Niech przezna duszę każdego do dna,
Niech wezwie, która Jej służyć godna...
Gotowi wszyscy!... Zlituj się Pani!
Niech tak nie będziem strasznie karani,
By wiernej Tobie zabrakło straży
U naszej »Jasnej Góry« ołtarzy.

Krystyna Saryusz Zaleska.

ESTETYKA T. LIPPS'A.

I. Stanowisko psychologiczne estetyki.

Do zasobu słów, które w życiu najczęstsze znajdują zastosowanie, które najczęściej słyszeć się dają, należy bezsprzecznie ta ich grupa, która w wielu odmianach i formach mieści w sobie pojęcie piękna. Określeniem »piękny« szafujemy bardzo rozrzutnie, obdarzamy niem mnóstwo przedmiotów, z którymi wchodzimy w pewną styczność, na które patrzymy, których słuchamy, lub czytamy, które sobie nawet w duszy wystawiamy.

Piękne jest dla nas nie tylko pogodne niebo, zasiane i rozświetlone brylantami gwiazd, ale i niebo skłębione i ruchome, drgające olbrzymimi zwałami chmur. Piękna jest okolica, zasiana kwieciem — ale też piękny pustynny krajobraz, żarzący się ognistem słońcem. Piękna woda, spadająca kaskadami z gór, ale i piękny ogień, co złotymi językami odrywa się od ziemi i mieniąc się w kłębach dymu, ulatuje w górę. Piękni są ludzie nie tylko w wieku młodocianym, gdy w ich okrągłych kształtach wzbiera życie, ale i wtedy, gdy w dojrzałym wieku, z poważną myślą, widać ich przy pracy, a nawet i wtedy, gdy siwizna przyprószy im skronie, zmarszczki poorają twarz, a wiek późny pochyli ich postać ku ziemi; jeszcze i wtedy są oni dla nas piękni. Pięknym jest las cały, piękne i drzewo osobno stojące, mówimy o pięknych konarach, listkach, pojedynczym kwiatku. Pięknym wydaje się nam poważny szum lasu, ale też i piękny głos samotnej fujarki na

rozległych, cichych polach. Do czegóż wreszcie nie da się przyczepić to słowo »piękny«, kiedy zarówno używamy go mówiąc o rzeczach wielkich, jak i o drobnych, o całościach, jak i o częściach, o rzeczach widzianych rzadko, jak i o przedmiotach codziennego użytku, o żywych i martwych, o rzeczach zupełnie odmiennych, tak bez żadnego ze sobą związku, jak go niema między pięknym gmachem a pięknym wierszem, między pięknym tańcem a pięknym obrazem.

Kiedy jesteśmy tak hojni w szafowaniu tem określeniem »piękny«, kiedy je dajemy przedmiotom krańcowo odmiennym, których fizyczne własności są ze sobą wprost sprzeczne, cóż my przez nie rozumiemy, co chcemy powiedzieć i orzec o tych przedmiotach? Czy my też naprawdę coś przedmiotowego wyrażamy, czy też temu słowu nic nie odpowiada w rzeczywistości, albo za każdym razem co innego?

Niewątpliwie jest rzeczą bardzo trudną uchwycić zasadniczy rys tego mieniącego się tysiącznymi odcieniami pojęcia, wymykającego się ciągle, niby widmo pustynne, wszelkim próbom do ujęcia i określenia jego zawartości A próby były liczne i już od czasów Platona i Arystotelesa nie na zabawę prowadzone. Jednak rezultat nie odpowiedział oczekiwaniom, nie zadowolnił umysłów. Cokolwiek powiedziano o pięknie, to zawsze wydawało się nieokreślonem, chwiejnem, budziło wątpliwości, w zastosowaniu do poszczególnych przedmiotów piękna okazywało się niedostatecznem, żądało rozmaitych omówień, poprawek, dopełnień. Teorya piękna nie przylegała, nie nakrywała się z pięknem rzeczywistem. Doszło do tego, że poczęto powątpiewać o tem, czy w ogólności badania i prace nad pięknem przyniosą kiedyś rezultat pomyślny. Wszak nie kto inny, tylko tej miary estetyk co Schiller, w liście do W. Humboldt'a pisał o teoryach estetycznych, że oddałby je wszystkie w zamian za jedną tylko prawdziwą pomoc techniczną [1].

A szeroka publiczność? Ta o estetykę nie pyta, nią się nie zajmuje, jako bezużytecznem filozofowaniem pomiata zupełnie.

I cóż to takiego utrudnia zbadanie piękna? co to jest, że

[1] Gerhard Gietmann St.: *Kunstlehre. Allgemeine Aesthetik.* Str. 5.

piękno potrafi wszelkim usiłowaniom do ujęcia go we formę określenia ujść i wymknąć tem łatwiej wtedy, gdy z całą systematycznością wyruszano na jego obławę, otaczano dokoła, coraz bardziej usiłowano ścieśnić jego swobodny teren, coraz ściślejszą związać definicyą? Wówczas to niechybnie uchodziło zawsze. Badacze-łowcy spostrzegali, że to, co ujęli w pęta określenia, to są tylko jakieś szaty pomięte i poniszczone z piękna, jakiś szkielet wyschły po pięknie, które zeń odleciało i znowu uśmiechnięte, urocze ukazuje się im w nieporównanym wdzięku swojej wolności i swobody i buja koło nich, przy nich, nad nimi, śmiejąc się serdecznie z ich zakłopotania, przedrwiwając z ich tak sprytnie, tak mądrze, tak systematycznie obmyślanej obławy.

Systematyczna praca dla zdobycia i ujęcia prawdy, przynosi wdzięczne rezultaty. Prawda dozwala się ująć w określenia, zasady, reguły, a tak ujęta, staje się jaśniejszą, zrozumialszą, prostszą i przystępniejszą. Piękno szydzi ze wszelkich systematycznych usiłowań. Istnieje, bawi i cieszy ludzi, rozjaśnia i rozwesela ich życie, ale kiedy je chcą zrozumieć, wytłumaczyć, sprowadzić do reguł, zasnuwa się mgłami, staje się zawilszem, coraz mniej jasnem, mniej mówiącem, aniżeli wtedy, kiedy bezpośrednio odzywało się do duszy.

Skąd to pochodzi? Jaka tego przyczyna?

Przyczynę tę stanowi pierwiastek podmiotowy piękna.

Kiedy wypowiadamy zdanie o estetycznej wartości jakiegoś przedmiotu, kiedy go nazywamy mniej lub więcej pięknym, mniej lub więcej brzydkim, to w tem zdaniu inny zachodzi między nami a owym przedmiotem stosunek, aniżeli ten, jaki zachodzi między nami a przedmiotem, gdy o nim coś orzekamy w interesie czystej wiedzy. Gdy nam chodzi o prawdę, wówczas wypowiadając cokolwiek o przedmiocie, wykluczamy z naszego twierdzenia wszystko, co się nas tyczy, wypowiadamy prawdę bez względu na nas; ale gdy idzie o piękno, gdy jakąś rzecz nazywamy piękną, to wówczas już nie wyrażamy absolutnej jego wartości, bez względu na nas, ale przedewszystkiem mówimy, że nam się podoba. Nie tylko nie wykluczamy względu na siebie, ale ten wzgląd właśnie włączamy, wprowadzamy do zdania. Wyrażamy wówczas,

że odnosimy się do przedmiotu z przyjemnością, z upodobaniem. Więc w każdem twierdzeniu o pięknie, przedewszystkiem mówimy, o sobie. Choć podmiot zdania oznacza coś od nas odrębnego, jednak w myślach zajmujemy się przedewszystkiem sobą, swojem wrażeniem, jakie odbieramy od przedmiotu, a dopiero na drugiem miejscu, przedmiotem, który to wrażenie przyjemne w nas wywołał.

O przedmiocie myślimy o tyle, że jemu zawdzięczamy przyjemność doznaną. Mówimy, jest piękny: t. j. wpatrywanie się weń, słuchanie go, poznanie go dostarcza nam przyjemności. To przedewszystkiem wyrażamy, a potem niejasno już i tylko domyślnie spodziewamy się, że i dla innych w takich samych warunkach będzie źródłem upodobania, że i dla innych będzie pięknym. Raz po raz nadzieja nasza nie sprawdzi się; to, co nam się podobało, cośmy nazwali pięknem, to nie podoba się innym, którzy nawet utrzymują, że jest brzydkie. Przedmiot tymczasem pozostaje ten sam, nie zmienił się nic ani na lepsze, ani na gorsze, zatrzymał wszystkie swoje cechy i własności. Skąd ta różnica w sądach? Gdyby sądy estetyczne wypowiadały myśli o przedmiocie w samym tylko interesie czystej prawdy, bez względu na uczucie upodobania lub nieprzyjemności, jakie powstaje w nas przy jego poznaniu, wówczas takich różnic i takich sprzeczności nie byłoby wobec przedmiotu, który przecież nie wymaga głębokich dociekań, leży przed naszymi oczyma, dostępny dla każdego, kto tylko ma zmysły zdrowe. Różnica ta pochodzi jedynie od osób, które wobec tego samego przedmiotu, różnych doznają wrażeń w bogatej ich skali, od przyjemnych aż do całkiem nieprzyjemnych.

Dlatego, że jeden stojąc wobec pewnej rzeczy doznaje zadowolenia, przyjemności, nazywa on tę rzecz piękną. Inny, któremu ta sama rzecz nie podoba się, nie sprawia przyjemności, wobec której stoi obojętnie, albo może doznaje niemiłych uczuć, wstrętu, nazwie ją niepiękną, brzydką, zawsze zależnie od przyjemności i zadowolenia, jaką w sobie na jej widok, przy jej spostrzeganiu, znajduje.

Człowiek rozstrzyga tu na korzyść lub niekorzyść przedmiotu, według miary, jaką znajduje w sobie, według swego upodobania.

Stąd, kto pragnie zająć się badaniem piękna, temu nie wystarczy określić piękno samo w sobie, piękno przedmiotowe, nie wystarczy mu w badaniach nad pięknem operować samemi pojęciami metafizycznemi, które jako ogólne, zawsze okazują się zbyt nieuchwytne, niepraktyczne, niezadawalniające umysłu, ale trzeba wejść w człowieka, w jego stany i wymogi i potrzeby, w jego naturę ludzką, zwłaszcza o ile ona zdolna do poznawania i czucia, aby poznawszy ją, można było zrozumieć, dlaczego pewne przedmioty jej dogadzają a inne nie dogadzają, dlaczego jedne są piękne a inne nie zasługują na tę nazwę. Bez poznania wnętrznej działalności człowieka, bez wniknięcia w jego duchowe właściwości, nie może być zrozumienia piękna, nie może być nauki o pięknie. To też na polu psychologicznem dopiero da się z pożytkiem uprawiać estetyka, na pole psychologii musi ona zajść, jeżeli chce być zrozumiałą, a nie poprzestać na jałowych ogólnikach.

Na taką drogę badań psychologicznych wstąpiła w przeważnej części estetyka czasów ostatnich. Niezadowolona z lotnych spekulacyi i zdumiewających pomysłowością, ale zawrotnych konstrukcyi, w jakie ją wpędzili myśliciele idealistyczni, poczęła szukać lepszych podstaw do swych dociekań w naturze człowieka i w badaniu jego zachowania się wobec piękna. Nie chcąc bujać wysoko w górze i, straciwszy wszelki punkt zaczepny z rzeczywistością, być narażoną na miotania i targania przez coraz to nowsze prądy filozoficzne, wolała się spuścić na ziemię — nizko, zająć się badaniem na każdym kroku spotykanego działania piękna w człowieku, badaniem najprostszych, najbardziej elementarnych jego przejawów.

Pierwszy, który się stanowczo przeciw spekulacyi w estetyce wypowiedział, był słynny psychofizyk lipski, G. T. Fechner. Estetyce na metodzie spekulatywnej zbudowanej, »estetyce z góry« — *Aesthetik von oben*, — przedstawił estetykę, wychodzącą z faktów doświadczeniem stwierdzonych — »estetykę z dołu« — *Aesthetik von unten*. Ta »estetyka z dołu« miała tworzyć podstawę realną wszelkim innym dalszym pracom, wnioskowaniom, systemom.

I rzeczywiście jego »Szkoła przygotowawcza estetyki«, *Vorschule der Aesthetik*, wydana 1876 r., nosi już piętno wyraźne

nowej metody, — a choć pozytywnych rezultatów nie dała wiele, to jednak wielki wywarła wpływ na późniejsze pokolenie estetyków przez otwarcie nowych widnokręgów, przez wskazanie drogi, którą należało kroczyć, poruszenie nowych zagadnień, które żądały rozwiązania. Przeważna część estetyków naszej doby obraca się na polu psychologicznem, a nawet ci, którzy, jak Jonasz Kohn zajęli wrogie stanowisko wobec estetyki psychologicznej, zarzucając jej »brak zasad« do oceny piękna, do odróżnienia danych estetycznych od innych danych psychologicznych — i ci nawet siłą rzeczy zniewoleni są zstąpić na grunt psychologiczny, ilekroć przyjdzie im mówić o pięknie, a nie chcą ogólnikami zbywać poruszonych zagadnień.

J. Volkelt [1], Groos [2], Szczepan Witasek [3], Teodor Lipps [4], Max Dessoir [5], Sully-Prudhomme [6], Benedetto Croce [7], Mario Pilo [8], Manfredi Porena [9], oto szereg nazwisk, które się wybiły w estetyce, a oznaczają samych estetyków-psychologów. Prócz nich trzebaby całe stronice zapełniać nazwiskami innych, którzy swe prace z zakresu estetyki zamieszczają w czasopismach psychologii poświęconych, lub drukują oddzielnie, jako szczegółowe badania. Jakkolwiek psychologowie-estetycy obierają różne metody do swych badań, jedni z nich poprzestają na obserwacyi swych własnych estetycznych wzruszeń [10], inni używają doświadczeń, eksperymentów, statystyki i wogóle środków, jakimi się posługuje psychologia doświadczalna [11], inni znów wynikami fizyologii chcą roz-

---

[1] *Der Symbolbegriff der neueren Aesthetik.* 1876. i *System der Aesthetik.* München 1905.

[2] *Einleitung in die Aesthetik.* 1892. *Der aesthetische Genuss.* 1902.

[3] *Grundzüge der allgemeinen Aesthetik.* Leipzig. 1904.

[4] *Psychologie des Schoenen.* Hamburg, Leipzig. 1903, 1906.

[5] *Aesthetik und allgemeine Kunstwissenschaft.* Stuttgart 1906.

[6] *L'expression dans les beaux arts.* Paris, 1883. Lemerre.

[7] *Estetica come scienza dell' espressione.* Palermo 1902.

[8] *La psychologie de beau et de l'art.* Paris 1895. Alcan.

[9] *Che cos' e il bello? Schema d'una estetica psicologica.* Milano. 1905. Hoepli.

[10] Volkelt, Siebeck, K. Gross, Witasek, Lipps.

[11] Wielu autorów zwłaszcza niemieckich. Słynniejsi: Oswald Külpe Alfred Lehmann, E. Meumann, J. Segal.

świetlić zagadnienia estetyczne [1], inni nakoniec w wyjaśnieniach swych sięgają aż do biologicznej ewolucyi [2], to przecież wszyscy oni do jednego zdążają celu, chcą wnieść światło do ciemnych i zawikłanych procesów estetycznego używania, chcą zrozumiałem uczynić to uczucie, jakie się budzi wobec dostrzeganego piękna. Ze zrozumienia upodobania estetycznego spodziewają się wynieść także pewną naukę, pewne wskazówki co do przedmiotowego piękna, oraz uzyskać zasady, jakiemi muszą się kierować artyści w swej twórczości, aby ich dzieła mogły odpowiedzieć wymaganiom stawianym przez naturę ludzką, spragnioną i tęskniącą do piękna.

Wśród tłumaczeń, jakie pojawiły się na widowni naukowej, a dotyczyły omawianych zagadnień, najgłośniejszą się stała teorya »wczuwania się«, *Einfühlungstheorie.*

Właściwie nową całkowicie ona nie jest, nie zjawia się bez poprzedników. Poprzedzili ją filozofowie-estetycy, którzy głosili pojęcia pokrewne tym, jakie ona dzisiaj zastępuje. Herder raz po raz w swych pismach powtarza myśli, że cały świat przedstawia się nam jako żywy organizm. »Im więcej wmyślamy się w wielkie widowisko sił działających w przyrodzie, tem mniej to możebne, byśmy nie odczuli wszędzie podobieństw do siebie, żebyśmy nie ożywiali wszystkiego własnem odczuciem«. Wprowadza więc Herder jakieś odczucie życia w naturze, a to odczucie było w nim samym tak silne, że zaważyło w jego poglądach filozoficznych na świat. Wprowadziło ono w nie zabarwienie panteistyczne, ożywiając świat cały jedną duszą wszechświata, a do estetyki wprowadziło zasadę, że niema piękna bez odczucia życia: żaden kształt, żadna forma nie jest piękną, jeśli zarazem nie jest wyrazem życia, któreby w niej można wyczuć [3].

O odczuciu natury rozprawiają także romantycy, zwłaszcza Nowalis-Hardenberg, Wilhelm Schlegel i Jean Paul [4].

---

[1] Georg Hirth: *Aufgaben der Kunstphysiologie.* 1891.

[2] Grant Allen: *Physiological Ästhetics.* London 1887.

[3] Dr. Robert Sommer: *Grundzüge einer Geschichte der deutschen Psychologie und Aesthetik.* Würzburg. Str. 303 i następne.

[4] E. Meumann: *Aesthetik der Gegenwart.* Str. 44.

Schiller, jakkolwiek już stoi pod wpływem kantowskich form subjektywnych, jednak zatrzymuje pojęcie wczuwania się. Trudniej mu przychodzi wytłumaczyć je przy ostro zarysowanem rozgraniczeniu władz duszy, jakiego się nauczył od Kanta, ale to go nie odstrasza. Teorye Kanta nagina tak, by przy nich mogło się ostać pojęcie piękna, jako »żyjącej postaci«. Myśli Schillera streszcza Sommer w ten sposób: »Jeśli do bezpośredniego poznania, na które złożyły się wrażenia zmysłowe, przyłączy się w naszej duszy treść uczuciowa, a my tę treść włożymy w kształty dostrzeżone, w ten sposób, że będą w nim wyglądały, jakby je wytworzyły przyczyny w nich działające, wówczas przedmiot ten nazywamy pięknym« [1]. Jak z tego widać, wprowadza on przy omawianiu piękna jakiś proces psychiczny uczuciowego przenoszenia własnego życia w kształty dostrzegane, podobnie jak to ujrzymy przy szerszym rozbiorze teoryi wczuwania się.

Miała zatem teorya wczuwania się poprzedników, miała do kogo nawiązać. To też myśli Herdera, Schillera nie zaginęły, ale znalazły uwzględnienie, a nawet i pewne pogłębienie u późniejszych estetyków. Odnosi się to zwłaszcza do Teodora Vischera i do Lotze'go.

Teodor Vischer wychodzi z założenia, że każde estetyczne pojmowanie rzeczy nosi na sobie cechy symbolizmu. Symbolizm estetyczny, według niego, to nie jest wyrozumowany sposób wyrażania pewnych idei zapomocą umówionych znaków, np. oznaczenia godności królewskiej zapomocą berła — ale jest tą właściwością piękna, mocą której każdy jego przejaw jest wyrazem, jest mową odnoszącą nie tak do »świata rozumu«, jak do władzy uczucia: »Leży to w naturze duszy naszej — mówi on — że wchodzi ona i wkłada się całkiem we wszystkie zjawiska przyrody, jak również w kształty, jakie człowiek wytwarza. Zjawiskom tym, które nie wiedzą o żadnym wyrazie, mimowoli i nieświadomie podkłada nastroje, a sama ze swym nastrojem przenosi się w przedmioty. To pożyczanie się, podkładanie, wczuwanie się duszy w formy

[1] Sommer: *Grundzüge einer Geschichte der deutschen Psychologie und Aesthetik.* Str. 391. Cfr. *Schillers Aesthetik,* str. 366.

bez duszy, stanowi przedmiot, o który głównie rozchodzi się w estetyce. Jest ono ciemne w porównaniu ze symboliką wyrozumowaną, konwencyonalną, ale całkiem określone w swym rodzaju« [1].

W ten sposób pojmuje Teodor Vischer wczuwanie się i jego ważność dla estetyki. Coraz jaśniej zdaje sobie sprawę, jak się to wczuwanie odbywa, jakie ma objawy, ale nie czuje się na siłach wniknąć aż do przyczyn, jakie je wywołują, i rozświetlić jego powstawanie samo. Powstawanie wczucia było dla niego zakryte wielkim mrokiem, którego przedrzeć nie zdołał i nazwał je tajemnicą.

Czego nie próbował Vischer, o to pokusił się Lotze [2]. Ten usiłował przedrzeć ciemności i przypatrzyć się tajemnym narodzinom wczuwania się. Według tego, co zdołał zauważyć, wczuwanie się przychodzi do skutku przy pomocy pamięci. Przy spostrzeganiu pewnych zjawisk przestrzennych, np. ruchu, budzi się w nas przypomnienie przyjemnych lub mniej przyjemnych wrażeń, którycheśmy kiedyś przy podobnym ruchu własnym doświadczyli (np. przy dźwiganiu, tańcu i t. d.). Wspomnienie to odtwarza w nas dawne stany uczuciowe, dawne przeżycia i łączy je i kojarzy bezpośrednio z widokiem dostrzeżonego ruchu. W ten sposób na widok pewnego kształtu w naturze, wspomnienia dawne są przyczyną powstania nowych wczuć. To tłumaczenie nie wyczerpywało przedmiotu. Spostrzeżono wnet jego niedostateczność w tem, że nie same tylko wspomnienia, ale i inne przyczyny wywołują wczucia. Okazała się potrzeba dalszych badań. Więc znowu tem pilniej zabrano się do nich, a prace najnowszej doby posunęły teoryę wczuwania się naprzód.

Wśród wielu prac, jakie zajmowały się tą teoryą, na pierwszy plan wybiły się prace monachijskiego psychologa-estetyka Lipps'a. Żaden z estetyków nie zdołał tak obszernie, tak wszechstronnie opracować teoryi wczuwania się, jak tego dokonał Lipps. Nie tylko ogólnie daje pogląd na teoryę wczuwania, nie tylko

---

[1] Meumann: *Die Aesthetik der Gegenwart.* Str. 44.

[2] H. Lotze: *Mikrokosmos.* III Aufl., t. II, str. 201 i nast.

podpatruje jego powstawanie, ale zstępuje na poszczególne pola twórczości artystycznej, w każdym rodzaju piękna stara się wyśledzić i wykazać kryjący się w niem pierwiastek uczuciowy. Jego prace oznaczają najwyższy punkt w rozwoju teoryi wczuwania się, zaokrąglają i wykończają wszystko, co dotychczas w tym przedmiocie poruszono i powiedziano. To też chcąc poznać teoryę wczuwania się, trzeba zapoznać się z pracami Lipps'a, a zwłaszcza z jego dwutomowem dziełem: *Aesthetik*, którego tom pierwszy wyszedł 1903 r., a drugi tom trzy lata później, 1906 r.

Lipps, jak wyżej wspomnieliśmy, zadanie swe jako estetyka pojmuje psychologicznie, t. j. nie bada przedmiotowego piękna, ale usiłuje przez wyjaśnienie działania piękna na umysł, na dusze, rzucić światło i na samo piękno. Sam tytuł dzieła określa to stanowisko dobitnie. W przeciwieństwie do dawnych estetyków, którzy określali estetykę jako filozofię piękna i sztuki, on swojej estetyce daje miano: Psychologia piękna i sztuki, zaznaczając już w samym tytule, jaki kierunek w estetyce przedstawia. Lecz wejdźmy bliżej i przypatrzmy się dokładniej jego poglądom.

Nie zrywając związku z tradycyą, która zawsze w pięknie upatrywała dwie strony, formalną i rzeczową, Lipps na podstawie tego rozróżnienia dzieli też ogólne swe dociekania nad pięknem na dwa działy. W jednym z nich roztrząsa pytania, jaka winna być forma piękna, drugi zaś dział zajmuje się jego treścią. Jedno i drugie zagadnienie usiłuje, stosownie do swego stanowiska, wyprowadzić psychologicznie, t. j. wykazać, że takie a nie inne warunki, takie a nie inne cechy stanowią wymaganie duszy, aby mogła znaleźć estetyczne zadowolenie w danym przedmiocie.

Stwierdza najpierw ogólnie, że to, co jest piękne, co estetyczną posiada wartość, jest zarazem przyjemne, wnosi do duszy uczucie przyjemności, upodobania, rozkoszy. Upodobania te, choć wszystkie są upodobaniami, t. j. są duszy przyjemne, jednakowoż wielkie między sobą kryją różnice. Nie wszystkie są jednakowo przyjemne. Jedne są więcej, inne mniej przyjemne. Zachodzi więc różnica w natężeniu samem upodobania. Lecz jeszcze większa różnica leży w jakości upodobań. Zapewne sprawia upodobanie komiczna sytuacya, jak również i szlachetne poświęcenie się dla

drugich, przecież jakościowa różnica w obu tych upodobaniach ogromna. Od czegóż więc zależą te i tym podobne różnice?

Jeżeli chcemy zadowolenie estetyczne i jego różnice zrozumieć, to wprzód trzeba zrozumieć, jak powstaje zadowolenie i rozkosz wogóle. Otóż przyjemność, zadowolenie powstaje w duszy wtedy, kiedy ona znajduje sposobność zajęcia swych władz w sposób im odpowiedni, tak, jak one tego domagają się i wyczekują. Bo, »jakiekolwiek zajmie się stanowisko w kwestyi czem jest dusza[1], jest ona zawsze czemś, co ma swą własną istotę, właściwą sobie organizacyę, strukturę, krótko mówiąc, »naturę«, która dąży, chce we właściwy sobie sposób zająć się i działać«.

Otóż jeżeli dusza w swych czynnościach napotka coś, co ją zajmie, co odpowiada jej skłonnościom, usposobieniu, wyczekiwaniu, coś, w czemby jej natura pełniej i swobodniej mogła swe nagromadzone siły zatrudnić, do swych praw przyjść, wówczas spełnione są warunki jej zadowolenia i rozkoszy, wówczas odczuwa takowe. Rozkosz, przyjemność, zadowolenie jest tylko bezpośrednim objawem, że jakaś czynność odpowiada skłonnościom duszy, jest wyrazem dobrego stosunku, dobrania się wzajemnego duszy i przedmiotu, którym się dusza zajęła. Dwa więc czynniki wchodzą w rachubę, gdy idzie o zadowolenie duszy: z jednej strony dusza ze swemi skłonnościami, pożądaniami, wyczekiwaniem pewnych zajęć, t. j. natura duszy; z drugiej strony przedmiot, który kołacze, dobija się do duszy, żąda, żeby się nim zająć, wzbudza w niej zainteresowanie swojemi zaletami, t. j. posiada pewną »wielkość psychiczną«. Jeśli między duszą, gotową do zajęcia się interesującym przedmiotem, i wyczekującą go, a przedmiotem samym, stosunek tak się ułoży, że powstanie między niemi równowaga, że ani pożądanie duszy nie wzmaga się i nie stawia wygórowanych żądań przedmiotowi, ani przedmiot od duszy nie domaga się zbyt natarczywie zajęcia się sobą, lecz wielkość

[1] Lipps: *Grundlegung der Aesthetik,* str. 9. Lipps sam jest zwolennikiem paralelizmu psychofizycznego i nie uznaje odrębności duszy od ciała. W estetyce jednak jego zapatrywania mało wpływają na całość poglądów, i teorya wczuwania jest od zapatrywań na istotę duszy niezależną.

psychiczna odpowiada pojemności wymagania, natenczas warunki rozkoszy są najpomyślniejsze. Gdyby zaś równowaga w jakiś sposób została zakłócona, czy to przez wzrost pożądania w duszy, któremu nie może dostatecznie odpowiedzieć wielkość psychiczna przedmiotu, czy też, że przedmiot ze swej strony zbyt natarczywie, nadmiernie dobija się o zajęcie się sobą, wówczas uczucie zadowolenia, przyjemności zmniejsza się, zmienia, przemienia nawet na uczucie niezadowolenia — występuje niesmak i przykrość.

Główną zatem rzeczą jest dowiedzieć się, jakiego rodzaju są pociągi naturalne duszy, — *Zug in der Natur der Seele*, — czego ona domaga się i wyczekuje od przedmiotu, który ma ją napełnić zadowoleniem. Żądania te są liczne, ale podzielić je można na dwie grupy: jedną grupę stanowić będą wymagania stawiane przedmiotowi ze względu na jego formę, druga zawiera warunki dotyczące treści przedmiotu.

Omawiając pierwszą grupę żądań, stawia Lipps jako naczelną zasadę piękna, tyczącą się jego formy: zasadę jedności w różnorodności. Na zasadzie wnętrznego doświadczenia każdego człowieka konstatuje on, że dusza wprost narzuca się człowiekowi ze swą zasadniczą cechą jedności, zawsze i wszędzie skupiając całą różnorodność jego aktów duchowych w jednym akcie świadomości swego jednego »ja«. Ten ustawicznie stwierdzany fakt, formułuje jako prawo jedności: »W duszy istnieje dążność, aby różnorodne elementy, naraz dane, skupić w jednolitą całość i zamknąć w jednym akcie pojmowania, uwagi, świadomości«. Jeśli zatem chodzi, aby dusza mogła uczuć upodobanie, winien przedmiot uczynić zadość tej dążności duszy i zaspokoić ją, stawiając się przed nią w szacie pewnej jednolitości.

Atoli jest i druga dążność w duszy, niemniej od pierwszej jej właściwa, o charakterze i kierunku na pozór jedności przeciwnym. Jest to dążność do zróżniczkowania jedności na części. Dusza bowiem przy całej swej ścisłej jedności, nie jest tak jednolitą i ściśnioną, żeby jej działalność ograniczoną była do prostych tylko i pojedynczych elementów, w patrzeniu n. p. do jednej barwy, w słuchaniu do jednego tonu i t. d. Jej działalność, jak wiemy, jest bardzo różnorodną i bogatą, może od razu objąć mnóstwo

pojedynczych elementów, a mogąc to zrobić, dąży też do tego, by pełniej się zająć, by więcej swych sił zatrudnić przy tej samej rzeczy, by ją pełniej z wielu stron od razu ująć i przyswoić sobie. Więc dąży do wyszukania tych różnych stron i znajduje zadowolenie, gdy je w przedmiocie napotka. Jednostajność nie może jej zadowolić, bo nie odpowiada jej tendencyi do rozmaitości, nie budzi jej zajęcia i nuży. Jednostajność nie posiada »wielkości psychicznej«. Znane jest psychologiczne prawo »absorpcyi elementów w jednostajnej całości«. Opiewa ono, że im ściślej pojedyncze części jednoczą się między sobą i z całością, tem łatwiej »gubią się«, t. j. nie gubią się same w sobie, ale gubią się dla nas, uchodzą naszej uwagi, jakby dla nas nie istniały. Z tego wynika, że aby wywołać zadowolenie w duszy, musi przedmiot odpowiedzieć jej wymaganiom tyczącym się różnorodności, musi, zachowując swą jedność, przedstawić duszy dostateczną rozmaitość swych części, żeby w nich pełniej mogła rozwinąć swoje działanie. Najogólniejsza przeto zasada, wyprowadzona z »natury duszy«, a dotycząca formy piękna, jest znana już od dawna zasada o jedności w wielorakości.

Lipps dalej omawia tę zasadę, wyszczególniając rozmaite rodzaje jej zastosowania, zstępuje do formułowania praw innych, bardziej szczegółowych, opierających się na tamtem ogólnem a czyni to wszystko z uwzględnieniem natury duszy. *Es liegt in der Natur der Seele*, powtarza się raz po raz jako punkt wyjścia dla dowodzeń. Za dalekobyśmy iść musieli, gdybyśmy dalej postępowali za tokiem jego wykładu o zasadach formalnych piękna. Ograniczymy się jeszcze tylko do zwrócenia uwagi na to, co mówi o przyzwyczajeniu, które także pewną gra rolę w sądach estetycznych.

Wiadomą jest rzeczą, że wskutek przyzwyczajenia, rzeczy, które dawniej podobały się nam, tracą powoli swój urok dla nas, nie wywołują upodobania estetycznego, przestają nas zajmować, najwidoczniej nie odpowiadają jakimś wymaganiom duszy. Zachodzi więc pytanie, czy w ocenie piękna trzeba też brać w rachubę i fakt przyzwyczajania się, czy też należy oceniać piękno bez względu na przyzwyczajenie; jeśliby należało liczyć się z przy-

zwyczajeniem, czy rola przyzwyczajenia jest taka, żeby ją wynieść aż do godności zasady? Lipps odpowiada przecząco. Z przyzwyczajenia nie można stwarzać reguły ani normy do oceny piękna i uzasadnia swe zdanie tem, że piękno jest własnością przedmiotu i należy do rzeczy niezależnie od tego, jak ten lub ów potrafi je wykorzystać dla swego upodobania. Posiada ono wartość w sobie, która domaga się swego zrealizowania w upodobaniu estetycznem, bez względu na to, czy zrealizowanie natrafi na jakie przeszkody czy nie natrafi. A właśnie przyzwyczajenie jest taką przeszkodą w podmiocie leżącą, które choć ujemnie wpływa na realizowanie piękna w estetycznem upodobaniu, jednak nic nie przesądza o jego wartości samej, ani nie może być miarą i zasadą w ocenianiu piękna.

Otóż nie sądzimy, żeby wyjaśnienia te były trafne i rozwiązywały zagadnienie. Przedewszystkiem zwracamy uwagę, że Lipps opuszcza swoje stanowisko psychologiczne. Nie daje nam wyjaśnienia psychologicznego, ale akcentuje tylko objektywność piękna, która ma rzekomo nie dozwalać nam oceniać go na podstawie faktów psychologicznych. Ależ wtedy popada w sprzeczność ze swem założeniem, bo założeniem jego było »z natury duszy« wyprowadzić zasady tyczące się piękna. Nie zostaje więc wierny swojej zasadzie, i bez potrzeby zmienia swoje stanowisko, przenosząc się na stronę estetyki przedmiotowej. Przyjąwszy raz za zasadę, że miara piękna leży w człowieku, trzeba było już w tym duchu prowadzić dzieło dalej i z natury duszy wyprowadzać prawa piękna. Schematycznie przedstawiłoby się to w ten sposób. Dusza nie może zajmować się długo jedną i tą samą rzeczą. Faktem jest, że im dłużej zajmuje się jednym przedmiotem tem mniej się nim interesuje, tem bardziej obojętnieje dla niego, nudzi się i nuży, doznaje przykrości nawet. Jest to prawo działania duszy. Lipps nazywa je psychologiczno-historycznem prawem odmiany działań duszy — ale w każdym razie jest prawem psychologicznem i wyraża naturę duszy, pożądającą zmian w przedmiocie działania. Jest ono, co zresztą sam Lipps przyznaje, szczególniejszem zastosowaniem ogólnego prawa absorpcyi pojedynczych

części w jednostajnej całości, o którem wyżej była mowa, prawa, które domagało się pewnego urozmaicenia ze strony przedmiotu, aby tenże mógł wywołać upodobanie. Otóż dlaczego mamy ograniczać tę rozmaitość, która bawi, do utworów przestrzennych tylko, dlaczego nie pojąć jej ogólnie pod każdym względem, tak pod względem przestrzennym, jak i pod względem czasowym; dlaczego nie postawić jasno zasady zmienności piękna, kiedy tego logicznie domaga się prawo odmiany działań duszy? Przedmiot, jeżeli ma być prawdziwie piękny, nie może zostawać wciąż jednakim, nie może martwieć w skrzepłych formach, ale musi się rozwijać, musi się zmieniać, musi wciąż stawać się nowym, słowem, musi żyć. Oczywiście ta zmienność będzie miała swoje granice w samej naturze przedmiotu leżące, swoje prawa, któreby w dalszym ciągu zbadać i określić należało, jednakowoż do głównych zasad piękna należy przydać wielorakość w kierunku czasowym, uznać zmienność piękna jego rozwój i życie. Rozszerza to i pogłębia zrozumienie piękna, i wprowadza pewne głębokie różnice w samo jego pojęcie: różnicę piękna niedoskonałego i ograniczonego i piękna absolutnego, nieskończonego. Piękno, wśród którego obecnie się obracamy, okazuje się w tem świetle bardzo ograniczone, zdolne ledwo na parę chwil zająć człowieka, poczem wyczerpuje się prędko i nie zajmuje więcej; ta zaś jego ograniczoność każe przeczuwać i tęsknić do innej piękności, która ponad wszelkie niedoskonałości piękna stworzonego, bez żadnych zgoła stron ujemnych lub ograniczeń, »wiecznie stara a wiecznie, jak się wyraża św. Augustyn, jedynie zdolna zaspokoić wszystkie wymagania i oczekiwania duszy: piękność Boga«.

Zasada jedności w rozmaitości wraz z bardziej szczegółowemi prawami, które są z niej wyprowadzone i na niej się opierają, jest zasadą, dotyczącą formy piękna, oprawy, w której ma być okazany ten klejnot, aby wywarł wrażenie estetyczne, aby się podobał. Zasada ta nie poucza nas o treści piękna, nic nie mówi o tem, jaka zawartość ma się w takiej szacie okazać, aby się podobała. A przecież forma bez treści obejść się nie może, jeśli nie chce zostać tylko czczą, nic nie mówiącą oprawą. Oprawa

musi oprawiać coś, szata leżeć na czemś, służyć do osłony i ozdoby treści.

Treścią piękna jest życie. Ono to powinno być ujęte w piękną formę, w którejby jedność i rozmaitość była uwidocznioną.

Jakie to życie i jak je należy rozumieć, o tem poucza już sama teorya wczuwania się.

(C. d. n.)

Ks. L. Rudnicki.

KATOLICYZM ELEUZYŃSKI.

(Ciąg dalszy).

III.

W *Seelenmacht* cały rozdział VII, zatytułowany *Seelenpaare*, był poświęcony metafizyce płci. Treść owego rozdziału tak się przedstawiała. Dusze nie mają płci; jeśli zaś pomimo to najściślejszym ze związków ludzkich bywa związek dwóch osób różnej płci, a podstawy do tego nie należy szukać jedynie w zmysłowości, współczuciu, lub względach materyalnych, zatem opiera się ów związek na podobieństwie dusz i wspólności ich celów, rodzących prawdziwą miłość. Takie dusze niejednokrotnie spotykają się w ciągu swych licznych pielgrzymek ziemskich. Taka tylko czysta miłość powinna być podstawą małżeństwa. Gdzie jej niema, tam się para nie dobrała i najlepiej zrobi, jeśli się rozejdzie. Kościół ani państwo nie powinno się wtrącać do regulowania małżeństwa; gwarancye prawne małżeństwa były dobre na niższym szczeblu moralnej kultury, lecz nie teraz. A zatem — rozwody i wolna miłość — oto dwa praktyczne rezultaty owego rozdziału o »parach dusz«. Wolna miłość powinna się jednak oczyszczać od elementu zmysłowego, bo małżonkowie, kochając się tylko czystą miłością, zdołają »przyciągnąć« potężną duszę dla dziecięcia, któremu ciało dają. Wszystko to jest rozprowadzone obszernie i nieraz drastycznie aż na 37 stronicach książki.

Lecz oto w rok po wydaniu *Seelenmacht* Lutosławski się

»nawraca«, a nawrócenie to ma wycisnąć swój ślad na metafizyce płci. Posłuchajmy, co nam opowiada o tem on sam, kryjąc się pod pseudonimem Ari, jakoby swojej uczennicy, notującej wrażenia z »wykładów jagiellońskich«. Na parę dni przed spowiedzią, — pisze mniemana Ari, — »wszedł na katedrę już nie jako profesor, ani agitator, lecz jako pokutnik, głoszący publicznie swe winy, po raz pierwszy wyrzekający się tego, co sam przedtem drukiem ogłosił, ostrzegający tych, co mu wierzyli, że ich w błąd wprowadził VII-m rozdziałem o *Seelenpaare* dzieła *Seelenmacht*.. Słuchałam go ze zdumieniem i myślałam sobie: czy też ten człowiek przypuszcza, że go ktośkolwiek rozumie?!... Odwoływał swe mylne poglądy na miłość i małżeństwo — bronił nierozerwalności ślubów małżeńskich i wszelkich wogóle ślubów« [1]. Zmianę poglądu, jak sam wciąż wyznaje, zawdzięczał »z jednej strony licznym doświadczeniom w zakresie przyjaźni z kobietami,... z drugiej strony studyum Danta ukazało mi całą ciasnotę jego (t. j. Danta) ideału miłości wyłącznej« [2].

Nowe poglądy znalazły swój wyraz w pracy »O kobiecie«, z której wyjątki p. t. »Z metafizyki płci« umieścił w I tomie *Eleusis*, i odtąd wciąż powołuje się na tę pracę, kiedy przypomina swe nawrócenie i potępienie przekonań niezgodnych z nauką Kościoła. O powstaniu tego nowego utworu tak opowiada sam jego autor, występujący tym razem pod pseudonimem Dak-Łaja.

Pisał go przez 6 dni po parę godzin dziennie z zegarkiem w ręku, poczem »zapadł w stan osłabienia, trwający kilkanaście dni, chciał swe dzieło zniszczyć i miał je za nic. Przez cały czas jego pracy modlono się za niego najgoręcej« [3]. Znając okoliczności powstania książki i sąd pierwotny autora o niej, moglibyśmy jej nie brać w rachubę, tem bardziej, że sam autor również wyznaje, »że to nie rozprawa dogmatyczna ni dzieło teoretyczne — lecz igraszka wolnego ducha niespętanego niczem — będącego sobą i wyrażającego to, co mu przez myśl przechodzi« [4]. Pomimo to trzeba i z tym utworem się liczyć, albowiem autor tuż obok

[1] *Eleusis* I, str. 207, 208. [2] Tamże, str. 221. [3] Tamże, str. 184.
[4] Tamże, str. 183.

powyższych wyznań stwierdza, że »ktokolwiek sięgnie głębiej, przyzna, że tu mamy nie wybryk imaginacyi, ale płód twórczego natchnienia«[1] i do rozprawy tej wielokrotnie w innych pismach odwołuje się.

Przypatrzywszy się owemu »płodowi natchnienia« i porównawszy go z rozdziałem o »parach dusz« w niemieckiej książce, spostrzedz musimy, że poprawiając swój system, L. wypędzał dyabła przez Beelzebuba. Najpierw co do sposobu przedstawienia rzeczy, jeśli w *Seelenmacht* widzimy jeszcze jakie takie liczenie się z przyzwoitością, to w »Metafizyce płci« napotykamy na wprost pornograficzne ustępy, godne zaiste »wolnego ducha, nieskrępowanego niczem, będącego sobą«. Wprawdzie niektóre ustępy w tekście zamieniono kropkami, jakoby na żądanie samych uczni i uczennic Lutosławskiego, ale autor snać sądził, że nie może pozbawiać ludzkości owych przebłysków natchnienia i umieścił je osobno pod koniec rozprawy w formie przypisków, podnosząc tym sposobem pikancyę inkryminowanych ustępów i zwracając na nie podwójnie uwagę czytelnika[2].

Co do treści — to zaczyna Lutosławski swą »metafizykę« w ten sposób: »W oczach większości ludzi... różnica płci jest różnicą fizyologiczną. Ale dla tych, co pojęli istotę Bytu, co przeniknęli okiem ducha znaczenie życia ludzkiego... dla tych wyzwolonych aniołów, co mają prawdziwą mądrością, chorób duchowych lekarką, przemienić życie, a odrodzić ludzkość[3], — dla nich tajemnica płci inaczej się przedstawia«. Mianowicie »istnieją zasadnicze różnice duchów, z których wynikają cielesne różnice«[4]. Po takim uroczystym i wiele obiecującym wstępie, po dociekaniu dlaczego Mickiewicz jest, a dlaczego nie jest większym poetą od Konopnickiej, dowiadujemy się, że »płeć to nie gatunek ciał, lecz dusz zasadnicza natura, w formach cielesnych wyrażająca się«[5], choć

[1] Tamże, str. 184.

[2] Ta manipulacya z przypiskami, obok drugiej — występowania pod 15 pseudonimami (»Kobietę« pisał ks. Robak!), usprawiedliwia już sama przez się sąd tych, którzy, jak A. Mikulski, zaliczają tomiki *Eleusis* do rzędu literatury psychopatycznej.

[3] Porównaj tytuł najnowszej książki: »Ludzkość odrodzona«.

[4] *Eleusis*, I, str. 8. [5] Tamże, str. 10.

trafiają się i pomyłki dusz w formowaniu sobie ciał, boć »trafia się, że królewski męski duch przychodzi na świat w ciele kobiety, a zdarza się jeszcze daleko częściej kobieca dusza, co męskie sobie ciało zbuduje i mężczyznę udając, babą przez całe życie pozostaje« [1]. Zdawałoby się czytelnikowi, że jeśli płeć jest zasadniczą różnicą dusz, to męska dusza zawsze męską pozostać powinna, tymczasem nie, — Lutosławski poucza nas o »wiekowych wahaniach jaźni« między kobiecością a męskością w miarę tego, jaka »funkcya zasadnicza« w danej chwili przeważa w jaźni czy męska wola, czy kobieca miłość. Wola bowiem z jednej strony, a miłość z drugiej — są znamionami, że się tak wyrażę, płciowości dusz w metafizyce Lutosławskiego [2]. Wskutek tych wahań wpada się w fazę kobiecości lub męskości. Dalsze różnice i cechy są już drugorzędne i według nich kobiety dzielą się na gęsi, kwoki, niewiasty i anioły, a mężczyźni na osły, męże i króle-duchy [3].

W dalszym ciągu tej interesującej »metafizyki« czytamy, że »w sferze ciał płeć nie zawsze istniała, lecz kiedyś powstała przez zróżniczkowanie istot bezpłciowych« [4]. A i teraz dla wielu »nadchodzą chwile boskiej równowagi, w której płeć całkiem znika«. Dowodem tego mają być Plato, Dante, Słowacki, Joanna d'Arc, Katarzyna z Sienny, Tomasz z Akwinu i Wincenty à Paulo [5]. Do jakiego wniosku ta przesłanka potrzebna? Oto do tego, że każdy może i powinien dążyć do takiej boskiej równowagi, do zaniku płci. Kto się bowiem z płci wyzuje, ten już skończył szereg inkarnacyi i przenosi się na słońce, a jeśli mu spodoba się wrócić jeszcze raz na ziemię, to przyjdzie już w charakterze Zbawiciela i Mesyasza i narodzi się cudownym sposobem [6]. Cel, jak widzimy, godny wszelkiego pożądania, chodzi teraz, jaką drogą doń dojść można. I tu wyłazi szydło z worka. Lutosławski powołuje się na powagę jakiegoś Oliphanta, który »według swych doświadczeń na wschodzie sądzi, że do zupełnej czystości dochodzi się nie uciekając od kobiet, ale owszem przezwyciężając pokusy, wynikające

[1] *Eleusis*, I, str. 11. [2] Tamże, str. 19, 24 i inne.
[3] Tamże, str. 25 ss. [4] Tamże, str. 18. [5] Tamże, str. 19.
[6] Tamże, str. 65.

z codziennej poufałości najbliższej z tą kobietą, z którą razem ktoś postanowił szukać *this pearl of great price*« [1]. Stąd też mężczyzna ma miłować jak najwięcej kobiet, a kobieta mężczyzn, nie dbając o ludzkie sądy (sądy osłów i gęsi). W ten sposób tworzą się związki bratersko-siostrzane, a miłość, z wyłącznej i płciowej rozszerzając się na coraz większe kręgi, doprowadza do harmonii i równowagi i sprawić może, że się »jest bezpłciowym bogiem i nie szuka już poza sobą uzupełnienia w ludzkich istotach« [2].

W związku z tą receptą jest mowa o jakichś »pieszczotach siostrzanych«. Dla umożliwienia powstawania takich braterskosiostrzanych związków, proponuje L. koedukacyę dzieci obojga płci, żąda jednakowego dla nich ubrania, uświadamiania i innych bardzo dziś modnych pedagogicznych środków. Możliwe stąd nadużycia i upadki niewiele go martwią, wówczas bowiem »takie wyjątkowe ofiary, zasługujące na smutny swój los całą przeszłością swej jaźni, męczeństwem swem i cierpieniem okupiłyby ogólny postęp moralny w stosunkach płciowych« [3]. Co do związków siostrzanych, robi L. jeden tylko wyjątek dla tych, na czyich barkach spoczęły losy narodów lub ludzkości. Tacy muszą być wolni nawet »od sióstr«. »Prawdziwy papież, ten p o l s k i p a p i e ż, którego nam obiecuje Słowacki, nie tylko nie może być wyobrażony z żoną i dziećmi, lecz nawet otoczony wiankiem sióstr straciłby w naszych oczach« [4].

Pisząc »metafizykę płci«, nie mógł Lutosławski — rzecz oczywista — pominąć kwestyi małżeństwa. Nie wszyscy bowiem są blizcy owego wyzwolenia, gdzie płeć zupełnie zanika. W przeciwieństwie do dawnych swych poglądów, potępia teraz rozwody, a chwali Kościół za naukę o nierozerwalności małżeństwa, oskarżając tylko »urzędników« Kościoła, że »znajdują rozmaite furtki, prowadzące do wolności niezadowolonych z siebie kochanków« [5]. Nie wiem, jakie »furtki« ma na myśli, ale miło jest stwierdzić tutaj rzeczywistą zmianę na lepsze w poglądach na rozwody. Druga zmiana to uznanie ślubu kościelnego za sakrament. Ale

---

[1] *Eleusis*, I, str. 98. [2] Tamże, str. 63. [3] Tamże, str. 155.
[4] Tamże, str. 145. [5] Tamże, str. 103.

odtąd zaczynają się znowu bałamuctwa. Tak np. katolickie sakramentalne małżeństwo jest dobre dla ludzi prostych i dla ludzi idealnych. Dla ludzi średnich jest »ciężarem nie do zniesienia«. Takim też radzi nie żenić się wcale, a jeśli się ożenili — dotrzymać ślubnej przysięgi, niosąc swój krzyż cierpliwie w duchu pokuty za grzechy. Nie chce jednak potępiać i tych, co do takiej idealności nie dorośli, co się rozwodzą, lub zawierają związki czasowe bez sakramentalnego poświęcenia. »Kto wszystko zrozumie — tak konkluduje sentencyonalnie — ten wszystko wybaczy, jak Chrystus wybaczył Magdalenie« [1]. Następnie twierdzi, że kto nie wierzy, ten nie może zawierać ślubu małżeńskiego, a wtedy druga strona, chociaż wierząca może poprzestać na ślubie cywilnym. »Czysta dziewica obchodzi się bez sakramentu małżeństwa, jeśli ukochała męża, co wiary jej nie dzieli« [2]. Raz wszedłszy na te tory, pędzi Lutosławski coraz szybciej. Więc »małżeństwa cywilne lub protestanckie, przewidujące możliwość rozwodu, są formą przejściową, prowadzącą do zupełnego usunięcia wszelkiej społecznej kontroli. Ta kontrola staje się coraz to mniej potrzebną dla ludzi wyżej rozwiniętych« [3]. Kto zatem nie ma wiary, ten nie tylko nie powinien brać ślubu kościelnego, ale i cywilne śluby winien odrzucić. »Każda para, łącząca się w zupełnej niezależności od opinii, przyczynia się do wywalczenia rzeczywistej swobody sumienia« [4]. Po takich wywodach nie zdziwi nas finalny wniosek, że »ci, co bez wielkiej pomocy, jaką daje wiara katolicka, przedsiębiorą wspólne pożycie, dają dowód tak wielkiej miłości, że zasługują w każdym razie na szacunek« [5], a zatem, że sakrament małżeństwa ma być łaską, nie zaś obowiązkiem [6]. Finał całej nowej »metafizyki płci« ten sam, co i starej — wolna miłość, przynajmniej fakultatywna.

Żeby już raz skończyć z tą materyą, dodać należy jeszcze jeden oryginalny pogląd Lutosławskiego. Słyszeliśmy, że kiedyś ciała były bezpłciowe, wiemy, że i teraz wyzwolenie z płciowości dokonać się może. Otóż dowiadujemy się, że z tych przesłanek

---

[1] *Eleusis*, I, str. 115. [2] Tamże, str. 119. [3] Tamże, str. 119.
[4] Tamże, str. 125. [5] Tamże, str. 126. [6] Tamże, str. 125.

wynika możliwość p a r t e n o g e n e z y, którą L. nazywa »niepokalanem poczęciem«. Dziewica czysta, gorąco kochająca Boga, mogłaby doznać równie cudownego macierzyństwa, jak Matka Boska,— wystarczy jej własna wola i miłość ku szukającemu wcielenia duchowi« — tak brzmi teza 24-ta »O kobiecie«. Potrzeba więc do tego tylko »słonecznego ducha, co postanowi się wcielić dla zbawienia bliźnich bez żadnej własnej potrzeby ani rozkoszy i przeczystej dziewicy, godnej zostać jego matką«. »Dla wierzących przykład Matki Boskiej nie może pozostać oderwanym cudem — jasna konsekwencya tej wiary musi być wiara, że tą samą drogą inne kobiety mogą dać ludzkości zastępy niezwyciężalnych bohaterów ducha« [1]. Owszem, według poglądu Lutosławskiego, który naśladuje tu Słowackiego, takby się wszyscy ludzie rodzili, gdyby nie nastąpił był upadek Adama i Ewy. Grzech pierworodny bowiem, według nich obu, polegał właśnie na pierwszym upadku w tej dziedzinie [2].

Chyba już dosyć tej »metafizyki«. Miała ona zamienić poglądy, niezgodne z nauką Kościoła, czyli sama obiecywała trzymać się w ramach tej nauki. Lecz czyż takiej karności można żądać od »wolnego ducha, nie spętanego niczem, lecz będącego sobą«? Oczywiście z góry można było przewidywać, że metafizyka płci stanie w sprzeczności z dogmatem Kościoła. Tak się też stało. Żeby się długo nie rozwodzić, wykażę tylko najważniejsze jej sprzeczności z wiarą katolicką. Zaczynając od końca — fałszywem jest pojęcie grzechu pierworodnego, o czem żeby się przekonać, dosyć przeczytać pierwsze dwa rozdziały Księgi Rodzaju, gdzie jest mowa o stworzeniu niewiasty, pobłogosławieniu pierwszego związku małżeńskiego i o celu tegoż związku. Bluźnierczem jest przypuszczenie jakiejś nowej »partenogenezy«, jakiegoś nowego wcielania się Mesyaszów, porównywanie ich z Chrystusem, a dziewicmatek z Najświętszą Panną. Gdyby wolno było podejrzywać przeciwnika o najgorsze rzeczy, to z tych ustępów rzuciłbym podejrzenie na Lutosławskiego, że nie wierzy w prawdziwe bóstwo Chrystusowe, lecz stawia Zbawiciela na równi z innymi swoimi

[1] *Eleusis*, I, str. 82. [2] Tamże, str. 79.

»usłonecznionymi« duchami, a w takim razie z chrześcijaństwa jego nawet strzępówby nie zostało. Niepojętem jest pomieszanie pojęcia »partenogenezy« z dogmatem o niepokalanem poczęciu Matki Bożej, co zdradza, że L. słyszał rozmaite wyrażenia teologiczne, ale nie był ciekaw zbadać ich treść, ufny w swą odgadującą intuicyę. Nic dziwnego, wszak sam wyznaje, że nie miał zamiłowania do katechizmu.

Co się tyczy sakramentu małżeństwa, to niezgodnem z nauką Kościoła jest zasadzanie istoty sakramentu na błogosławieństwie kościelnem i przeciwstawianie ślubu protestanckiego ślubowi sakramentalnemu. Istota małżeństwa bowiem polega na wyrażeniu obustronnej zgody, i taki kontrakt, gdyby chodziło tylko o prawo Boże, byłby u chrześcijan już przez to samo sakramentem. Z prawa tylko kościelnego wymaganą jest do ważności kontraktu, a tem samem i sakramentu — obecność świadków i autoryzowanego kapłana, od czego jednak protestanci są wolni. Błogosławieństwo jako takie nie do ważności ślubu jest wymagane. Długo byłoby zresztą rozwijać całą dogmatyczną i prawną naukę o małżeństwie. Ciekawy znajdzie w obszerniejszych katechizmach cały jej wykład.

Błądzi L. i w tem, że niewierzących katolików zwalnia od obowiązku ślubu kościelnego. Nie mówiąc już o tem, że toruje się tym sposobem drogę do niemoralności, każdy bowiem mógłby się zasłaniać swą niewiarą, sprzeciwia się nadto L. wyraźnemu prawu kościelnemu, które od wszystkich katolików domaga się zachowania prawem przepisanych form zawarcia małżeństwa, pod karą nieważności samego kontraktu. Innemi słowy, według nauki Kościoła, dla katolika niema wyboru: albo małżeństwo legalne, sakramentalne, albo g r z e s z n y, wolny związek, zwany konkubinatem, na żadne zaś naturalnie ważne choć nie sakramentalne małżeństwo w chrześcijaństwie miejsca niema. Na trudność zaś, jak może człowiek, który stracił wiarę, przyjąć sakrament i łaskę, nauka kościelna odpowiada rozróżnieniem między prawno-kościelnymi i czysto wewnętrznymi skutkami sakramentu. Pierwsze nie zależą od wiary przyjmującego, drugie zaś suponują wiarę i stan łaski w chwili przyjęcia. Stąd katolik, który subjektywnie stracił wiarę, jeśli w chwili zawierania małżeństwa według wymaganych

przez Kościół form ma tylko intencyę i wolę zawarcia związku, związek ten ważnie zawiera i to sakramentalnie, łask jednak wewnętrznych zwanych sakramentalnemi, z powodu braku usposobienia, nie dostępuje. Brak ten jednak może uzupełnić później przez akt wiary i pokutę.

Teoryą o płciowości dusz nie mam potrzeby zajmować się; pomijam również bez osobnej krytyki zachętę L. do związków bratersko-siostrzanych i pedagogiczne jego pomysły. Samo wyłożenie ich uważnemu czytelnikowi wystarcza do wydania sądu, na jaki zasługują owe ekstrawagancye.

IV.

Działalność L. pisarską i organizacyjną możnaby uważać za jeden z epizodów owego, nieco za głośno reklamowanego, ruchu etycznego, który w latach ostatnich ujawnił się w Europie i Ameryce, wydając dość pokaźną literaturę i zrzeszając w rozmaitych stowarzyszeniach tysiące osób, przeważnie młodzieży. Wiadomo, że jak roślina bez korzeni, tak żaden system etyczny nie może się obejść bez pewnych teoretycznych podstaw, pewnych wierzeń, metafizyki. I ruch etyczny nie tem pociągał umysły, że przynosił coś nowego, a dodatniego w zakresie samej moralności, lecz że tym, co odrzucili tradycyjną wiarę a z nią podstawę dobrych obyczajów, przynosił nowe uzasadnienie etyki, świeckie, obywające się bez Boga osobowego, a przedewszystkiem bez kierownictwa Kościoła. Większość teoretyków ruchu etycznego oparła swe systemy na metafizyce monistycznej.

Marzycielskiej natury L. ta metafizyka nie zadowolniła, monizm nie odpowiadał indywidualistycznym instynktom jego, z drugiej znowu strony trzeba było spłacić dań modnej żądzy nowości, i oto otrzymujemy etykę, opartą na fantastycznej »metafizyce« wolnych dusz, a którą po swem »nawróceniu« ubiera autor w pewne nazwy, zapożyczone z katolickiej teologii, i wzbogaca w praktyki chrześcijańskiej pobożności. Czy zdołał tym sposobem stopić swój system etyczno ascetyczny w jedno z katolicyzmem, zaraz zobaczymy.

Zastrzegamy się z góry, że nie myślimy zarzucać L. jakichś świadomych dążności niemoralnych. Objektywność jednak nakazuje nam wykazać te zboczenia, choćby nieliczne, które zapewne dzięki lotności wyobraźni i umysłu autora, do pism jego etycznych się zakradły. Omawiając »metafizykę płci«, zauważyć mogliśmy pewną skłonność autora do zajmowania się tematami drastycznymi i wygłaszania paradoksalnych pod tym względem zdań. To samo ciążenie wyobraźni w erotycznym kierunku napotyka się często i w innych pismach L., nawet w takich ustępach, gdzie dla tej materyi zdawałoby się niema miejsca. Wogóle w zagadnieniach płciowych L. nie dociąga do wysokości katolickiej etyki. Wiemy, że finałem jego »oczyszczonej« już metafizyki jest wolna miłość, przynajmniej fakultatywna; okazuje się, że toż samo przedostaje się aż do reguł stowarzyszenia »Eleusis«, które L. uważa za zakon katolicki, »stanowiący krok dalszy na tej drodze, na którą pierwszy wkroczył św. Franciszek z Asyżu« [1]. Podczas gdy ten wielki zakonodawca żądał nawet od świeckich tercyarzy zachowania czystości odpowiedniej stanowi każdego z nich, która w odniesieniu do osób wolnych, zgodnie z nauką Kościoła, musi być z u p e ł n ą i bezwzględną, L. tłumacząc czwarty ślub elsów, tak pisze: »Sam fakt wolnego związku kochanków nie dowodzi rozpusty... Ich czyn nie podpada pod sąd stróżów dochowania ślubów poczwórnej wstrzemięźliwości... Przy najwyższym, najlepszym miłosnym stosunku dwojga osób płci różnej, wszelka pieszczota będzie czystą, a rozpusta całkiem niemożliwą» [2]. Czy pod takiem zdaniem może podpisać się katolik? Dla katolika istnieje jedna tylko forma legalna związku osób płci różnej, a tą jest sakramentalne małżeństwo, zaś z wszelkich »czystych pieszczot« i innych »platonicznych« miłości dyabeł, powiadają, w kułak się śmieje. Dlatego też i od organizacyi e t y c z n e j, chcącej uchodzić za katolicką, wolno domagać się, aby w wymaganiach od swych członków, stwierdzanych ślubem, nie obniżała tego poziomu moralnego, jaki obowiązuje chrześcijan nawet bez żadnego ślubu. Wymaganie takie tem bardziej jest uprawnione w obecnym

[1] *Eleusis*, I, str. 279. [2] Tamże, str. 286.

wypadku, gdy w tłumaczeniu ślubów abstynencyi od alkoholu, kart i tytoniu Lutosławski stoi na stanowisku rygorystycznem, nie dopuszczając żadnych wyjątków. Nie podpisze katolik i następującego zdania Lutosławskiego: »Czasem oczywiste na pozór przekroczenie przykazania żadnym grzechem nie jest, jeśli sumienie tego czynu wymagało dla dobra bliźnich« [1]. W tych słowach bowiem wyraził autor nie co innego, jak zasadę: cel uświęca środki, zasadę, którą wprawdzie wrogowie Kościoła namby przypisać chcieli, którą jednak Kościół stale potępia i odrzuca.

Lutosławski nie zadawalnia się jakiemkolwiek życiem moralnem, lecz nawołuje do świętości. Jak ze świętością pogodzić np. wolną miłość, tego nie wiemy; fakt jest, że świętość uważa za obowiązek nasz i za »nasze powołanie narodowe«. Niestety, gdyby świętość oceniać chciano według tego, co o niej L. pisze, byłaby ona bezpowrotnie skompromitowaną. Bo proszę posłuchać, do jakich motywów ucieka się, by ją zalecić. W kazaniu o pokucie narodowej odzywa się z patosem: »Gdybyśmy wszyscy byli świętymi, Moskal ani Prusak nie mógłby nas zmusić do służby wojskowej... Wróg nie mógłby dostać od nas podatków. Gdyby rozpoczął egzekucyę, dziwne i nadprzyrodzone przeszkodyby znalazł. Świętych Bóg nie opuszcza, święty niema czego się bać: bramy więzienia otworzą mu aniołowie, ogień go nie spali, woda nie utopi, stryczek nie zadusi, kula nie zabije« [2]. Z tych słów, z których wynikałoby, że żaden męczennik Kościoła świętym nie był, widzimy, na czem L. świętość pokłada. Świętości sprawdzianem, gdyby go słuchać, byłby chyba najskrajniejszy jakiś rozegzaltowany fanatyzm, graniczący z obłąkaniem, fanatyzm niektórych sekt rosyjskich w rodzaju duchoborów, którzy również do wojska wziąć się nie dali i woleli do Kanady wyemigrować. Lecz i tych bez wątpienia chwyta się kula i stryczek. L. musiał zapewne słyszeć coś z żywotów świętych o pewnych cudownych znakach, towarzyszących niekiedy ich prześladowaniu i męczeństwu, i biorąc te sporadyczne dowody wszechmocy Bożej za nieodłączne znamię świętości, pragnie zutylizować

[1] *Eleusis*, I, str. 350. [2] Tamże, II, str. 41.

je w walce przeciw Moskalom i Prusakom. »Potrzebujemy świętych — woła — powinniśmy wszyscy świętymi zostać i cudotwórcami... Taka świętość powszechna jest naszem powołaniem narodowem« [1]. Świętości cichej, która według nauki Kościoła polega na miłości Boga i ludzi i zgodności woli naszej z wolą Bożą, świętości, która bynajmniej za sobą nie pociąga ani cudów, ani ekstaz i objawień, L. snać nie uznaje. »Wszyscy święci, powiada, cuda czynili; nikogo Kościół za świętego nie uzna, co nie był przyczyną cudów« [2]. Ile bałamuctw w tych wykrzyknikach! Jakie dziwne, jak na »filozofa«, pomieszanie pojęć i rzeczy: rzadkiej stosunkowo łaski cudotwórczej — *charisma miraculorum* — ze świętością, świętości z kanonizacyą! Zle byłoby z naszym Kościołem, gdyby tylu tylko posiadał świętych członków, ilu ma cudotwórców, lub ilu wyniósł na swe ołtarze uroczystą kanonizacyą, i rozpaczaćby należało, gdybyśmy byli obowiązani robić takie wysiłki, by swymi »cudami« zwrócić na siebie uwagę Kościoła i jego uznanie uzyskać. Kto świadomieby do tego dążył, najprawdopodobniej dalekim byłby od prawdziwej świętości.

Najdonioślejszym objawem świętości, według Lutosławskiego, będzie żywa komunikacya »z duchami«, dokonywująca się w ekstazach i natchnieniach. Wiemy, że tem zalecał wiarę w broszurze: »Religia w życiu narodowem«. Katolik to człowiek związku duchów wszechświata. »W ich (t. j. katolików) dążeniach ludzkich i doczesnych wiele duchów wyższych, do Kościoła należących, im dopomaga« [3]. Są to zmarli, którzy i na tamtym świecie zajmują się temi sprawami, którym za życia służyli i przez żyjących do skutku swe plany doprowadzać mają. Trzeba tylko wejść z nimi w regularną komunikacyę. I taką komunikacyę L. obiecuje. W książce swojej: »Ludzkość odrodzona«, uderzając w strunę patryotyczną, woła o zakładanie »kuźnic narodowych» [4]. Jednem

---

[1] *Eleusis*, II, str. 39, 41. [2] Tamże, str. 38.

[3] »Religia w życiu nar.«, str. 23.

[4] Dla »kuźnic narodowych« L. upatrzył już place pod Krakowem i w Tatrach, obliczył koszta utrzymania, nakreślił plan nauk i ćwiczeń, zdefiniował »polską metodę«, wyznaczył program naukowych prac, mających wskazać, jak sprowadzić na świat ową zapowiedzianą przez »Wieszczów« wielką prze-

z ważnych zadań kuźnicy najwyższej będzie doprowadzenie w jednostkach przygotowanych życiem rozwoju jaźni do pełni sił duchowych: jasnowidzenia i natchnienia [1]. W zakresie duchowym dokona się takie ujarzmienie piorunów, jakiego Franklin dokonał w zakresie fizycznym. »Dawniej piorun tylko z nieba spadał, niespodziewany i straszny, dziś go po drutach prowadzimy i używamy według woli. Tak samo pioruny natchnień dziś nam tylko przeważnie spadają z nieba niespodzianie i często niszczące (święta prawda!). Duchy skojarzone jednością narodową będą umiały opanować swe natchnienia i użyć je do codziennych zadań życia« [2].

»Jedność narodowa« jest tu tylko jak Piłat w *Credzie*, nigdzie bowiem L. nie poucza, jakim sposobem poczucie narodo-

---

mianę. Ciekawe są kwalifikacye kierownika owych kuźnic. Ma nim być »profesor uniwersytetu, posiadający bezsporną powagę naukową, niewygasły zapał do czynu społecznego, silną świadomość narodową, wszechstronne wykształcenie, znajomość głównych narodów Europy, niepospolitą siłę żywotną, zgodność życia z głoszonemi przez siebie przekonaniami, sam o sobie wiedzący kim jest, skąd pochodzi, jaką jest przeszłość jego własnej jaźni, słowem — człowiek, dla którego świat ducha stanął otworem«. Musi przytem być człowiekiem bezinteresownym, zadowalniającym się marnymi 6000 kor. pensyi. Żeby kto zbyt daleko nie rozglądał się za takim kandydatem, L. z pewną nieśmiałością na siebie zwraca uwagę. Wyznaje w pokorze, że przez 10 lat czynił w tym kierunku »nieudolne wysiłki«, które »wydały rezultaty śmiesznie małe«, lecz nie każe tracić otuchy. »Autor dziesięć lat temu był bardzo nieodpowiednim do zadań, które wówczas podejmował — bo nie znał prawie wcale ludzi« tylko książki, a z działalnością społeczną »w tym żywocie do czynienia jeszcze nie miał, bo do żadnego towarzystwa jeszcze nie należał, sądził o innych według siebie i zaczął srodze się zawodzić. Więc jego niepowodzenia niczego nie dowodzą«. Dlatego z ufnością w rozum ludzki zapewnia, że teraz właśnie »czuje się szczególniej powołanym do stworzenia stałego warsztatu myśli narodowej w kraju własnym«. Potrzeba mu na to na początek miliona koron. Na dar grunwaldzki niewiele śmie liczyć, co najwięcej dadzą mu z niego »jakąś skromną roczną zapomogę«, ale jest inny sposób: »gdy milion egzemplarzy tego dzieła (Ludzkość odrodzona) znajdzie się w obiegu, milion koron zbierze się z łatwością«. — Odbiega wszelka ochota gniewać się na autora za jego liczne bałamuctwa, kiedy się czyta takie poczciwą naiwnością tchnące wynurzenia. I mylą się chyba ci jego krytycy, którzyby chcieli odkryć w nim jakiegoś »masońskiego« emisaryusza, świadomie a podstępnie podkopującego wiarę katolicką. Jak na »masona« zbyt tu wiele szczerości i prostoty.

[1] »Ludzkość odrodzona«, str. 244. [2] Tamże, str. 244.

wości może wyrobić jasnowidzenie i natchnienie. Za to na wielu miejscach czytamy o innych środkach prowadzących do tego celu: spotykamy tu i modlitwę, i sakramenta, i rozmaite ćwiczenia indyjskie, zwane ogólnie *jogą*, a które w »Rozwoju potęgi woli« L. wysuwa, niekiedy z pewną żenadą, na pierwsze miejsce przed ascezą chrześcijańską, i posty surowe, dochodzące aż do głodówek 60-dniowych, i ćwiczenie się w przypominaniu swych przeszłych istnień, czyli »rozbudzaniu pamięci przedwiekowej« [1]. Słowem, jasnowidzenia i natchnienia występują tu raczej, jako element życia religijnego i skutek zabiegów ascetycznych. Ekstazy takie obejmują widzenie przeszłości i przyszłości. Co do przeszłości, - pominąwszy już »przedwiekową pamięć«, — cytuje L. oderwane przykłady takich widzeń, jakie np. miała Katarzyna Emmerich o życiu, męce Chrystusowej, lecz ubolewa, że te widzenia zjawiały się w chrystyanizmie »dzięki niewiadomym okolicznościom«. Zapomocą systematycznej pracy można dojść do uregulowania tych widzeń [2]. Co się tyczy przyszłości, to »sprawdzone przepowiednie dowodzą, że nad życiem naszem panują istoty potężne, które czasem prorokom uchylają zasłony swych planów, a zwykle mają dosyć siły, aby te plany rychlej czy później przeprowadzić«, choć jednocześnie L. wątpi, »by przyszłość była już zdecydowana, by można ją z całą pewnością przepowiedzieć nawet przy wszechwiedzy i wszechmocy« [3]. Bądź co bądź, systematyczne zabiegi mają zaprządz owe widzenia prorocze do służenia zadaniom praktycznym.

Co sądzić o tym całym mistycznym systemie? Czyż katolicyzm nie zna podobnych rzeczy, obcowania świętych, ukazywania się duchów, otrzymywania proroctw, jasnowidzenia dalekich rzeczy i przeszłych zdarzeń, mistycznych stanów ekstazy, czyż nie mówi ciągle o życiu »nadprzyrodzonem«, wyższem, czy nie wskazuje środków doń wiodących, czy nie zaleca pobożności, jako »pożytecznej do wszystkiego«?

Mimo tych pozornych podobieństw, nadnaturalizm Lutosław-

---

[1] »Ludzkość odrodzona«, str. 245. [2] *Eleusis*, III, str. 183.
[3] »Ludzkość odrodzona«, str. 3.

skiego wielce się różni od nauki Kościoła katolickiego. Przez nieznajomość teologii, owszem katechizmu, mógł sam L. często w dobrej wierze swoje mrzonki podać za autentyczną naukę Kościoła. Kościół mówi wprawdzie o życiu nadprzyrodzonem łaski, życie to uważa za konieczny wszystkich obowiązek, lecz pod »nadprzyrodzonością« zupełnie co innego rozumie, niż Lutosławski. Po uważnem odczytaniu utworów L. przekonać się można, że nie ma on wcale pojęcia o tem, co w rozumieniu Kościoła nazywa się życiem nadprzyrodzonem, nadprzyrodzonym porządkiem, łaską uświęcającą i t. d. Życie nadprzyrodzone, nadprzyrodzony porządek, łaska, według nauki Kościoła, to bynajmniej nie dar cudów, nie ekstazy, nie objawienia i nie komunikacya z duchami. Życie bowiem nadprzyrodzone bez tych wszystkich rzeczy znakomicie się obchodzi. Nie wdając się w trudne metafizyczne określenia istoty łaski, przystępnym sposobem możemy życie nadprzyrodzone pojąć, jako sprawione przez Boga uświęcenie duszy przez pewne podniesienie jej istoty i władz jej do wyższego poziomu istnienia. Na to życie nadprzyrodzone składa się przedewszystkiem habitualna miłość, jakby jakieś ciążenie duszy ku Bogu, i to Bogu takiemu, jakim Go poznajemy przez wiarę na podstawie zewnętrznego objawienia, a następnie zdolność i pewna skłonność do cnót innych i to cnót natchnionych ową właśnie miłością ku Bogu. Jeżelibyśmy szukali przykładu, do którego moglibyśmy przyrównać ów stan nadprzyrodzonego życia duszy, można wskazać na dziedziczne lub nabyte skłonności szczególne do czegoś, np. do muzyki. Taka skłonność istnieje w dziecięciu, zanim ono po raz pierwszy do fortepianu zbliżyć się mogło. W życiu nadprzyrodzonem podobne zaczątki pewnych zdolności i skłonności, mianowicie cnót nadnaturalnych, osiąga się nie przez jakiekolwiek ćwiczenia w rodzaju *jogi*, lecz Bóg je zakłada w duszy w chwili pierwszego usprawiedliwienia człowieka, co się w zwykłym porządku rzeczy dokonywa przez chrzest święty, i te zaczątki, jakoby nasienie cnót, w stanie ukrytym istnieją w duszy dziecięcia chrześcijańskiego, by w stosownej porze objawić się odpowiednimi aktami, które znowu ze swej strony wzmagają w duszy owe zło-

żone w niej przez Boga skłonności. I dusza żyje tem życiem nadprzyrodzonem, dopóki przez nadużycie wolności woli nie sprzeniewierzy się w ważnej rzeczy poznanemu prawu Bożemu, co nazywamy grzechem śmiertelnym. Przez grzech ciężki całe życie nadprzyrodzone traci się, z wyjątkiem wiary i nadziei, które otwierają człowiekowi możność, przy nowej pomocy Bożej, zwrócenia się ku Ojcu Niebieskiemu w szczerej pokucie, by napowrót utracone nadprzyrodzone życie odzyskać. Całe to życie nadprzyrodzone stoi w proporcyi do naszego przeznaczenia nadnaturalnego, to jest z istoty naszej nam nienależnego, lecz z czystej miłości Bożej pochodzącego, przeznaczenia — spotkania się z Bogiem poza grobem, by w bezpośredniem widzeniu Go i w miłości znaleźć swoje najwyższe szczęście, do którego nigdybyśmy nawet wzdychać nie mogli, gdyby nam wiara możliwości osiągnięcia go nie zapewniała.

Kto ma w sobie takie, jakieśmy opisali, życie nadprzyrodzone i pielęgnuje je przez unikanie przynajmniej grzechu ciężkiego i pełnienie cnót, jakie nań stan jego nakłada, ten już posiada owo *minimum* sprawiedliwości i świętości, które czyni go przybranym synem Najwyższego. Zwykle jednak, kiedy mówimy o świętości, przeciwstawiamy ją nie tylko występkowi, ale i owemu *minimum* życia nadprzyrodzonego, o którem dopiero mówiliśmy, dodając doń wierność Bogu w zachowaniu Jego woli nawet w najmniejszych rzeczach, większą względem Boga ofiarność, wyrażającą się w cnotach heroicznych, większą intensywność życia wewnętrznego, zwłaszcza w odnoszeniu wszystkiego ku chwale Bożej. Kto tym warunkom odpowiada, ten jest święty, choćby żadnych cudów nie czynił, ani żadnych objawień nie miewał. Oto »nadprzyrodzoność« według nauki Kościoła.

Jakież więc miejsce i znaczenie mają w teologii katolickiej owe nadzwyczajne objawy, jakich pełne są żywoty świętych i na jakich L. świętość pokłada? Owe dary proroctw i czynienia cudów, widzenia Chrystusa Pana i świętych, owe objawienia i natchnienia? Teologia katolicka obejmuje wszystkie tego rodzaju objawy mianem stanów mistycznych, odróżniając z wielką pre-

cyzyą mistyczność od nadprzyrodzoności[1]. Do życia nadprzyrodzonego wszyscy są powołani i obowiązani, mistykiem zaś zostaje tylko ten, kogo Bóg w drodze szczególnej łaski do tego stanu podnosi. Dążyć doń nie mamy obowiązku, a nawet niebezpiecznymi byłyby nasze wysiłki, ze względu na łatwość wpaść w złudzenia i pseudomistycyzm. O niebezpieczeństwach grożących na tej drodze była wzmianka, gdyśmy omawiali prywatne objawienia w związku z kwestyą źródeł wiary.

Obok błędnego pojmowania »nadprzyrodzoności«, poglądy Lutosławskiego na życie religijne trącą jeszcze pewnego rodzaju materyalizmem. Stosuje się to przedewszystkiem do pojmowania środków, zalecanych w celu wyrobienia w duszy życia religijnego. Weźmy np. modlitwę. Lutosławski każe się modlić, tak jak nakazuje modlitwę i Kościół, lecz jakże inaczej wygląda skuteczność modlitwy w utworach Lutosławskiego. W rozumieniu Kościoła modlitwa posiada skuteczność moralną: jest to rozmowa duszy z Bogiem, Istotą żywą, wszechdobrą i wszechmocną. Jeśli modlitwa zawiera prośbę o rzeczy nam potrzebne, duchowe czy doczesne, to spełnienia naszych pragnień wyglądamy jedynie od Boga. U L. natomiast modlitwa schodzi do rzędu jakichś czarodziejskich zaklęć, posiadających, w mniemaniu naiwnego tłumu, ukrytą w sobie jakąś dzielność fizyczną, która działa sama z siebie na przedmioty zaklęte. Oto, jak tłumaczy skuteczność różańca, w którym, jak wiadomo, powielekroć powtarzają się te same modlitwy. Najpierw, powiada, »ludzie co ducha wznieść do Boga własną siłą umieją, nie potrzebują odmawiać różańca. Lecz ci, co nie przywykli do skupienia myśli ani do samotwórczego ruchu uczuć religijnych, znajdują w tych dziś niby już zastygłych formach modlitwy... zaklętą siłę czarowną, co ich do Boga zbliża. Każde odmówienie takiej modlitwy, choćby nawet bez całkowitego uświadomienia jej treści, ma swój skutek na przebieg wewnętrznego życia nabożnych... Święte słowa działają nawet na otoczenie martwe, — za każdym razem gdy ktoś wyrzeknie nawet bezmyślnie: Niech będzie pochwalony! — podnosi tym

[1] Por. A. Poulain: *Des grâces d'oraison*, cz. I, rozdz. I.

czynem w jakiejś nieuchwytnej mierze ogólny poziom ludzkości na ziemi, — a kwindecyliony takich drobnych czynów obrządkowych mogą spowodować, lub przynajmniej przygotować jakiś czyn istotnie twórczy« [1]. Katolik nie eleuzyński, lecz zwyczajny rzymski nie pojmie tego, w jaki sposób słowa święte, tak same przez się, nawet bezmyślnie wyrzeczone, mogą działać nawet na otoczenie martwe. Jeżeli bowiem modlitwa sprowadza w wyjątkowych okolicznościach jakieś cudowne skutki w naturze martwej, to wchodzi tu w grę interwencya wszechmocy Bożej u p r o s z o n e j, ale nie zmuszonej do tego przez modlitwę. W systemie eleuteryzmu L. zrozumiałą jest rzeczą oddziaływanie na przyrodę martwą, bo tam i ta »martwa« przyroda składa się z »dusz wolnych«, zdolnych do pewnego obcowania z duszą człowieka, ale katolik rzymski takich dusz wolnych nie zna i znać nie może.

To, co się powiedziało o modlitwie, można zastosować do postu, do rozmaitych umartwień i ćwiczeń ascetycznych. Nie przecząc bynajmniej, że tego rodzaju umartwienia i ćwiczenia posiadają pewną skuteczność nawet fizyczną, o ile hartują wolę, dając jej przewagę nad ciałem, Kościół przypisuje im głównie wartość moralną, jako dowodom pewnej ofiary człowieka z samego siebie, zaparcia się, posłuszeństwa ustanowionym prawom; w porządku zaś nadprzyrodzonym mają one znaczenie dopiero wtedy, kiedy są podjęte dla Boga. Lutosławskiemu natomiast nie podoba się post w formach przez Kościół uznanych, jako pozbawiony »wszelkiego fizyologicznego znaczenia«. Zachęca tedy do naśladowania Chrystusa Pana w poście bezwzględnym, t. j. powstrzymywaniu się przez długi czas od wszelkiego pokarmu i napoju, by osiągnąć, obok czysto hygienicznych skutków, »pewien stopień światła i siły« [2]. Widzimy z tego, że działanie fizyologiczne łączy się tu ściśle z duchowem, drugie z pierwszego płynie, i post uzyskuje tę samą wartość nawet u człowieka niewierzącego, a jeśli tak, to należałoby przypuścić, że sprawićby mógł te same skutki, choćby Boga nie było.

---

[1] *Eleusis*, I, str. 90, 91. [2] *Eleusis* II, str. 105.

Niemniej grubo materyalny sposób nabycia cnót podaje nam propagator indyjskiej *jogi* przez wdychanie i wydychanie! »Wdychać wstręt do tytoniu — wydychać nałóg. Wdychać łagodność — wydychać gniew. Wdychać wiarę — wydychać niedowiarstwo. Wdychać czystość — wydychać nieczystość. Wdychać zdolności umysłowe — wydychać głupotę«, i tak po kolei wszystkie inne cnoty, zdolności i t. d. Nie znając się na medycynie, nie myślimy przeczyć, że system *jogi* ze swą hygieną, dyetą, ćwiczeniami, może kiedyś zająć w terapii poczesne miejsce i wyrugować nawet inne sposoby leczenia, lecz na co z katolickiego punktu widzenia zwrócić uwagę trzeba, to na to, by tego systemu nie przeceniano jako ascetycznego środka do zdobycia chrześcijańskiej doskonałości i nie przypinano doń niezgrabnie ewangelicznych motywów. Zgodzimy się na to, że tego rodzaju zabiegi, hartując ciało, mogą usunąć pewne w niem predyspozycye do chorobliwych stanów duszy, ale usunięcie ich to jeszcze nie nabycie cnót w znaczeniu chrześcijańskiem. Nadto przeczymy stanowczo, by hinduskie czy jakiekolwiek inne podobne egzotyczne praktyki miały być drogą do prawdziwej religijnej ekstazy, jak obiecuje Lutosławski [1]. Zgoda, że mogą one wytworzyć fakirów indyjskich, tureckich derwiszów, lub wschodnich mnichów, osiągających podobno przez patrzenie w jeden punkt własnego ciała widzenie światła z góry Tabor, lecz do mistyki chrześcijańskiej nie doprowadzą. Jeśli zaś kto zawierzy takim ekstazom i osiągniętym w nich »jasnowidzeniom«, to powiększy tylko liczbę tych pseudomistyków, o których sam L. pisze, że »z dzieł ich, pisanych bezładnie, mały jest pożytek dla czytelników, bo trudno na wiarę przyjmować niejasne urojenia ludzi, którzy według zdania pospolitych lekarzy cierpią na pewne pomieszanie zmysłów« [2]. Dlatego to Kościół katolicki jest tak ostrożny w badaniu wszelkich mistycznych objawów i stanów, i jeżeli bierze w rachubę podobne fakta np. przy procesach kanonizacyjnych, to czyni to właśnie wtedy, jeśli takie stany nie były spowodowane żadnemi natural-

[1] *Eleusis* III, str. 183. [2] Tamże, str. 184.

nemi, systematycznie stosowanemi sztuczkami, lecz nie mając naturalnych przyczyn muszą być odniesione do szczególnego oddziaływania Bożego. L. mógłby się o tem wiele pouczyć np. z pomnikowego dzieła Benedykta XIV: *De servorum Dei canonizatione.* Dowiedziałby się, że Kościół właśnie te objawy uznaje za prawdziwie mistyczne, które on, Lutosławski, odnosi do rzędu osiągniętych »dzięki niewiadomym okolicznościom«.

Kościół czci relikwie świętych, i L. w charakterze katolika chce ten kult uzasadnić, lecz znowu wpada w swój materyalizm. Aby wytłumaczyć, dlaczego relikwie działają cuda, zastanawia się nad »fizycznem prawem przemiany i równoważników energii«. Opowiada nam dziwy, jak to np. miłość kochanka może wywołać nawet w szatach kochanki jakąś realną i trwałą zmianę. Stąd dowodzi, że i święci włożyli w swe kości jakąś energię, która się znów nam udziela, gdy tych kości dotykamy. Owszem, nawet »ściany, w których mieszkał długo święty, pobudzają do modlitwy, a kamienne łoża Alhambry usposabiają wrażliwe dusze lubieżnie, bo były świadkiem częstej rozpusty... Relikwie świętych wzbudzają wiarę, którą sami święci byli ożywieni« [1]. Możemy upewnić L., że nie wyraża on wiary Kościoła, lecz przekonania jakiegoś fetyszyzmu. Kościół nie wie nic o tem, by relikwie działały cuda, bo cuda działać może jeden tylko Bóg i cześć relikwii może być co najwięcej do tego okazyą. Kościół nie wie nic o jakiejś realnej, złożonej przez świętych w swoje kości energii i relikwie czci nie dla takiej energii, lecz dlatego, że to są najmilsze pamiątki po drogich nam osobach, że, jeśli to są ciała lub kości świętych, to niegdyś one były »żywymi członkami Chrystusa i świątynią Ducha świętego«, i że kiedyś będą wskrzeszone i uwielbione, jak mówi Sobór Trydencki w odnośnym dekrecie [2].

Pierwszorzędnymi środkami zaszczepienia i utrzymywania w nas życia nadprzyrodzonego są sakramenta święte. Niektóre z nich, nie mówiąc o nadzwyczajnych wyjątkach, są konieczne do zbawienia. Począwszy po swem »nawróceniu« przyjmować sakra-

[1] *Eleusis* I, str. 89, 90. [2] Denzinger, n. 985.

menta, L. nie mógł oczywiście pominąć ich i w swoich pismach. I niekiedy bardzo pięknie i bardzo prawdziwie o nich mówi. Niektóre pobudki do spowiedzi może powtórzyć za nim każdy kapłan. Lecz ileż obok tego popełnia bałamuctw! Kościół wierzy, że wszystkie sakramenta ustanowił sam Chrystus Pan, L. zaś mówi, że »sakramenta wszystkie ustanowił Kościół powszechny« [1]. Kościół naucza, że moc sakramentów pochodzi *ex opere operato*, to znaczy, że wymagając od przyjmującego je pewnego stopnia przygotowania i usposobienia, jako warunku godnego przyjęcia sakramentu, nie przypisuje owemu usposobieniu znaczenia przyczyny sprawczej sakramentalnego skutku, lecz skuteczność tę odnosi do wewnętrznej godności samego sakramentu, jako środka, przez Chrystusa Pana ustanowionego, przez Niego również w swoich sługach — ministrach podawanego i na wysługach Jego i śmierci krzyżowej opartego, — Lutosławski natomiast po protestancku twierdzi, że moc sakramentów pochodzi z wiary [2], czyniąc tym sposobem z sakramentu jakiś środek autosuggestyi, czyli znowu wpadając w podkreślony już przez nas swego rodzaju materyalizm. Kościół stale naucza, że sakrament kapłaństwa może przyjąć tylko mężczyzna i że sam Kościół nie jest mocen zmienić tego ustanowienia Bożego, L. zaś oczekuje od przyszłego polskiego papieża dopuszczenia kobiet do kapłaństwa i po tej reformie spodziewa się, że »ustanie ten straszny rozdźwięk między nauką Kościoła, a życiem duchowieństwa, który i t. d.« [3]. Według Kościoła, wszystkie stopnie kapłaństwa ze związanemi z nimi prawami otrzymuje się jedynie przez święcenia kapłańskie, których żadna świętość osobista zastąpić nie może, L. zaś przypuszcza, że »ktoby żył całkiem dla bliźnich, ten miałby wszelkie moce i prawa kapłana bez osobnych święceń« [4]. Do siedmiu wreszcie sakramentów, znanych w Kościele, dodaje ósmy — pasowanie na rycerza polskiego, ustanawia dlań formę i warunki

---

[1] *Eleusis* I, str. 240.

[2] Tamże, str. 241.

[3] *Eleusis* I, str. 167. Przedtem jednak »elsice« mają zostać księżemi gospodyniami... »aniołami opiekuńczymi plebanii«. Tamże str. 254.

[4] Tamże, str. 244.

przyjęcia i twierdzi, że podobnie jak sakramenta kościelne, »tak samo narodowy sakrament szlachectwa ściąga łaskę nadprzyrodzoną, by przyjętego do równości szlacheckiej rycerza uchronić od pokus, narażających go na infamię« [1]. »Nowy rycerz, co bezwzględną wierność ślubuje Rzeczypospolitej, odczuje w tak uroczystej chwili wewnętrzne przeistoczenie« [2]. Znajdujemy nawet formę dyplomu tego sakramentalnego szlachectwa; ma ono być nadawanem na kopcu Kościuszki pod Krakowem. Prawda, że całą tę rzecz zatytułował autor »Marzeniami nowego Don-Kichota«, ale pocóż w takim razie było umieszczać »donkichoteryę« w rocznikach *Eleusis*? Zresztą dobry, uświadomiony z katechizmu katolik nie miałby wcale tego rodzaju marzeń i nowych sakramentówby nie wymyślał.

Oprócz tych wprost fałszywych zdań o sakramentach, znajdujemy i takie nieuzasadnione niczem twierdzenia, jak np. to, że niebo się raduje, gdy na 1000 spowiadających się przynajmniej jeden dostępuje odpuszczenia grzechów, albo jeśli na 1000 tych, co się na księży święcą, przynajmniej jeden zasłuży na prawdziwą łaskę kapłanowi potrzebną [3]. Nie wiemy, na podstawie czego L. dokonał tego obliczenia, ale to pewna, że gdyby kto je brał na seryo, pewnieby nie zachęcił się do przyjmowania sakramentów.

W katolickich kołach L. zyskiwał sympatyę tem, że się często spowiada. W broszurze swej »Religia w życiu narodowem« pięknie mówi o pożytkach spowiedzi dla społeczeństwa [4]. Kiedy jednak przeczytamy to, co o spowiedzi pisze d l a s w o i c h, gotowiśmy stracić zaufanie do wartości jego spowiedzi, — tyle tu fałszywych tonów i nieszczerości. Lutosławski pisze prawie cały traktat z teologii pastoralnej, odbiegający niestety daleko od teologii katolickiej. »Czy tęsknisz, — tak pyta swego ucznia, — do takich przewodników Chrystusowych (?), c o s a m i w o l n i o d g r z e c h ó w (!) mają moc odpuszczania grzechów innych«? [5]. I następnie określa stosunek penitenta do spowiednika. Z jednej strony »sąd spo-

[1] *Eleusis*, str. 240. [2] Tamże, str. 241. [3] Tamże, I, str. 241.
[4] »Religia w życiu nar.«, str. 24. [5] *Eleusis*, II, str. 23.

wiednika ma poniekąd charakter nadprzyrodzonego objawienia« (przesada!)[1], mimo to, jeśli jeden spowiednik nie rozgrzeszy, można iść do drugiego. Jak da nieodpowiednią pokutę, »można iść do mędrszego spowiednika«[2]. Jeszczeby to nic złego nie było, boć i nauka Kościoła na to pozwala, ale robienie z tego zasady ogólnej już rzuca podejrzenie nieszczerości. Albo oto nowe dziwne wymaganie: »Spowiednika szukaj takiego, co gotówby się wobec ciebie nawzajem wyspowiadać bezwzględnie szczerze«[3]. Przewidując, że Jezuici zrobią go heretykiem, oświadcza L., że mimo to poglądów swych nie zrzeknie się, dopóki znajdzie choć jednego księdza, co go na spowiedzi rozgrzeszy[4]. Pobłażliwość więc jednego spowiednika dla jego poglądów ma znaczyć więcej od przeciwnego sądu wszystkich innych księży.

Żeby spowiedników według ducha swego urobić, L. zwraca się do polskich księży z gorącem kazaniem: »Księża polscy, pamiętajcie!... Posłuszeństwo winniście waszym biskupom, a ci biskupi czasem bywają wrogami narodu. Jak tu pogodzić obowiązek kościelny z aspiracyą narodową? Tylko świętość może rozwiązać trudności. Bądźcie świętymi, a biskup żaden nie poważy się od was żądać niczego, na co sumienie narodowe nie pozwoli... Jeśli dla nieba nie chcecie, dla Polski was błagam, wyrzeczcie się wszelkiego zbytku... Jeśli chcecie tę naukę szerzyć, strzeżcie się wszelkiej inkwizycyi... (w konfesyonale) nie wszczynajcie próżnej dyskusyi, bo tem nikogo nie nawrócicie.. Nie liczcie grzechów, bo to na nic się nie zda... Pamiętajcie zawsze o tem, że z Polakami nie z Włochami macie do czynienia. Nie czyńcie z konfesyonału narzędzia niewolnictwa,... bo Polak wolność kocha i gdy go zechcecie zanadto krępować, z Kościoła uchodzi... (Unikajcie grożenia), gdyż Polak się nie boi, zastraszyć go nie łatwo... Nie pozwalajcie kobietom, by was po rękach całowały« i t. d.[5]. Obok ufności w patryotyzm księży, którzy dla Polski mają zrobić nawet to, czegoby dla nieba nie zrobili, jakże dziwnem wygląda oskarżenie biskupów, że czasem bywają wrogami

[1] Tamże, str. 32. [2] Tamże, str. 35. [3] *Eleusis*, I, str. 350.
[4] »Wykł. Jag.«, I, str. XXXVII. [5] *Eleusis*, II, str. 56—59.

narodu! A z wiarą L. musi być krucho, jeśli się tak ubezpiecza przed inkwizycyą, dyskusyą, groźbami spowiedników! Potępiając groźby księży, sam grozi, że »Polak uchodzi z Kościoła«. Na szczęście księża, do których się zwraca, są Polakami, a zatem jego groźby się nie ulękną i w konfesyonale będą spełniać to, co im sumienie kapłańskie, na teologii urobione, wskaże. A sumienie to nakazuje czuwać nie tylko nad moralnością, ale i nad prawowiernością penitentów, nakazuje wdać się czasem w dyskusyę, nakazuje przy ciężkich grzechach zapytać o ich liczbę, bo tego domaga się Sobór Trydencki [1], nakazuje wiele innych rzeczy, bez względu na to, czy one L. się spodobają lub nie. I nie w tem nieszczęście, że większość księży nie usłucha jego rad, ale tego obawiać się trzeba, że w takiej liczbie księży może znaleźć się jeden — drugi, który przez zbytnią pobłażliwość dla uporu swych penitentów postąpi z nimi w myśl danych przez L. wskazówek i zaniechawszy »próżnej dyskusyi«, pozostawi ich w błędach, a rozgrzeszeniem usankcyonuje je. Bo nie ulega wątpliwości, że taka pobłażliwość byłaby potem przez penitentów eleuzyńskich wyniesiona do godności »poniekąd nadprzyrodzonego objawienia«.

(C. d. n.).

Ks. Jan Urban.

---

[1] Denzinger, n. 907.

Z PÓŁNOCNYCH KRESÓW POLSZCZYZNY.

(Dokończenie).

III. W PRZEJEŹDZIE PRZEZ WARMIĄ.

Przyjechałem do Olsztyna w chwili, kiedy całe miasto było pod wrażeniem strasznego wypadku, jaki się zdarzył tego samego dnia przed południem. Na bryczkę, wiozącą czterech myśliwych, między nimi inżyniera z Olsztyna, wpadł na rampie pociąg, jadący od Jansborka: ocalały konie i potłuczony woźnica, wszyscy zaś czterej myśliwi na miejscu śmierć ponieśli. Dziwić się wypadało, że takie wypadki nie zdarzają się codziennie: kolej bowiem, łącząca Ełk, Jansborg, Szczytno i Olsztyn jest drugorzędną i niema ani ramp, ani budników i tylko osobliwy mechanizm, przymocowany do koła maszyny, porusza dzwonek na przodzie umieszczony, który miarowo i nieprzestannie dzwoni podczas jazdy. Gdy panują wichry, dzwonka nawet z blizka nie słychać i wozy przez tor przejeżdżające codziennie zmiażdżone być mogą.

Stolica Warmii polskiej, Olsztyn, rozwija się szybkiem tempem. Później niż inne części Prus odcięta od Polski, mieści w sobie wiele polskich wspomnień. Zamek, odbudowany przez Krzyżaków na wyniosłości znacznej nad rzeką Łyną (Alle stąd Allenstein), składa się z dwu skrzydeł i frontu; od miasta wiedzie do niego wysoka grobla, niegdyś most zwodzony. W zachodniem skrzydle zachowana bardzo dobrze okrągła baszta, we wschodniem kaplica zamkowa, rozmiarów kościoła, dziś — magazyn wojskowy. Kiedy

się przypomni Malborg i olbrzymie nakłady na odnowienie i utrzymanie dawnej stolicy krzyżackiej, nie pojmuje się zaniedbania zamku olsztyńskiego. Obok mniej ciekawego ratusza na środku rynku prostokątnego, otoczonego w części domami starymi z t. zw. podcieniami, zasługuje jeszcze na uwagę brama w części wschodniej starego miasta, na końcu ulicy Wyższej. Ta resztka dawnych murów, okalających miasto, miała również uledz zniszczeniu; zachowano ją jednak zeszpeciwszy przybudowaniem z lewej strony domu na pomieszczenie urzędu a bramę zamieniwszy na policyjne więzienie. Piękny, wielki kościół katolicki, zbudowany w czystym gotyku, zeszpecono półkolistem sklepieniem w stuleciu ubiegłem.

Poza starą częścią miasta rozwija się we wszystkich kierunkach miasto nowe, zawierające domy nawet gustownie budowane; uderza jednak osobliwe zamiłowanie czerwonych murów (t. zw. Rohbau) bez tynkowania i bielenia.

Ludność jest przeważnie katolicka i polska a nawet nie trudno wyczytać na szyldach kupieckich nazwisk czysto polskich jak Mondry, Rogalla, Lubowski, Barwiński, Jastrzembski. Niemcy mówią również miejscową gwarą. Powiat olsztyński jest cały polski, z wyjątkiem pasu północnego; poza nim tylko parę wsi w północno-wschodnim powiecie reszelskim można zaliczyć do polskich.

Dla polskości nastają jednak czasy coraz gorsze: rodzice mówią między sobą po polsku a do dzieci po niemiecku, bo one w szkole tylko tego języka się uczą. Naturalnie każdą taką rodzinę zaliczy się przy spisie do Niemców, bo jej *Umgangssprache* czyli językiem towarzyskim jest język niemiecki.

Oprócz szkoły działa i Kościół na szkodę języka polskiego. Chociaż katolicy a nawet Polacy, alumni w seminaryach są wychowywani w duchu niemieckim. Tu i owdzie znajdzie się gorliwego Polaka, ale często zawiedzie nazwisko polskie. Ustępowanie mniejszości niemieckiej, odprawianie dwojakiego kazania, najpierw niemieckiego, potem polskiego, unikanie zetknięcia się z inteligencyą polską, aby nie być posądzonym o *grosspolnische Agitation:* to wszystko cechuje duchowieństwo tutejsze, które przy dobrej woli i bardzo korzystnem materyalnem położeniu mogłoby zrobić bardzo wiele. Może misye, odbywane między lu-

dem tutejszym przez misyonarzy z Krakowa, przyczynią się nieco do ożywienia poczucia narodowego, przez słuchanie kazań w języku ojczystym.

Jedyne polskie czasopismo *Gazeta Olsztyńska*, wychodzące trzy razy tygodniowo i broniące wytrwale interesów ludności polskiej na Warmii, nie doznaje dostatecznego poparcia między ludem, a to wskutek obojętności lub nawet niechęci duchowieństwa do wybitnie polskiego charakteru tej gazety.

Nie lepiej tu tedy niż na protestanckich Mazurach, pomimo bliższych tradycyi historycznych i katolicyzmu.

Nie mając zamiaru dłużej bawić w Olsztynie, zasięgnąłem informacyi w redakcyi *Gazety Olsztyńskiej* i ruszyłem nazajutrz do Brunswałdu.

Brunswałd leży na północ od Olsztyna, w odległości niespełna dwu mil i jest wsią czysto polską; wsie dalej na północ wysunięte są już mieszane i coraz więcej niemieckie. Aby uzyskać jak najwięcej danych co do charakteru ludności i stosunków etnograficznych, polecono mi gorąco udać się do księdza proboszcza w Brunswałdzie. Nie miałem jednak szczęścia: ks. proboszcz wyjechał na jakieś posiedzenie do Olsztyna i tyle tylko mogłem się przysłuchać mowie ludu tamtejszego, ile zdołałem pochwycić sposobności podczas pobytu w karczmie na obiedzie i w drodze do pociągu do Beyfrieda. Mowa ta zbliżona do mowy Kurpiów z Puszczy Zielonej, ale ma znaczne różnice: obok *psić* (= pić), *ziency* (= więcej), napotykamy *mnila* (mila) i charakterystyczne przejścia *a* na *e* a grupy *fi* na *śi: treśi* (trefi). Spółgłoska *ł*, wymawiana zupełnie wargowo, daje z *u* prawie dźwięk jeden: *kole muna* (koło młyna). Uderzyła mię również starożytna forma *u naju* (u nąs). W budowie chat i całem obejściu zauważyłem mniejszą zamożność, niż w Prusiech Wschodnich i mniejszą też schludność. Przychodzący do gospody mówili wyłącznie po niemiecku; zagadnieni przeze mnie po polsku albo się nic nie odzywali, albo niewiele.

Drugiego dnia udałem się przez Bizele do Gietrzwałdu.

Widny z daleka szczyt wieży gietrzwałdzkiego kościoła był mi drogowskazem w wędrówce pieszej. Nim się kierując, skróci-

łem sobie drogę ścieżynami przez łąki i napawałem się niepospolitą krasą majowej zieleni i kwiecia. Gietrzwałd przez cudowny obraz Matki Boskiej i częste a głośne nie tylko na Warmii odpusty przybrał cechę miasteczka: sklepy, gospody i rzemieślnicy składają się na jego mieszkańców, skupionych około kościoła; dalej dopiero ujrzy się wieś właściwą.

Zapukałem do p. Samuelowskiego, tutejszego księgarza i kupca artykułów dewocyjnych, i otwarto mi gościnne podwoje. Pomimo chwilowego niedomagania sam gospodarz domu oprowadził mię po wsi, po kościele, pokazał miejsce, na którem M. Boża ukazać się miała, a wieczorem w dłuższej pogawędce informował mię o stosunkach językowych okolicy, o ile ją znał dokładnie. Oto w Gietrzwałdzie, podobnie jak w Prusiech, grupa *wi* wymawia się jak *źi* a *fi* jak *si* (*ź*idział, *ź*ino, mó*ź*i, na *ź*ieki *ź*ieków, *ź*itajcie do nas, zo*ś*ieruj...), *cz* wymawia się jak *ć* (c'as); *ę* = *am, an:* św*an*ty, g*am*ba, b*an*dzie, obok g*aj*sto (gęsto). Z osobliwych wyrazów zanotowałem *szurka* (chłopiec), *kiźlak* (źrebię), *mnieük* (młody wół), *néga* (reszta). Z okolic dalszych charakteryzuje okolicę Wartemborka przegłos *a* na *e:* l*e*ntrát (Landrat), r*e*no (rano), farę zaś Gryźlińską na Warmii zatrata nosówek: mi*a*so, g*aś*, p*a*zel (pendzel), modl*a* si*a* i t. p.

Lud sam charakteryzował jako pobożny i pracowity, ale ze słabem poczuciem narodowem. Warunki pracy oświatowo-narodowej niezmiernie trudne.

— Gdybyśmy mieli tyle wolności co wy w Galicyi — mówił — cobyśmy tu mogli zrobić...

Znał dosyć dobrze stosunki galicyjskie, a niestety temu wszystkiemu nie mogłem przeczyć, bo w jego uwagach pesymistycznych było wiele słuszności.

Prawie o wschodzie słońca zerwałem się nazajutrz i korzystając z przepięknego poranka, poszedłem dalej poza »rynek«. Odetchnąłem nie tylko balsamicznem powietrzem, ale wdychałem naokoło atmosferę czysto polskiej wsi. Na jawie, nie w marzeniu tylko obserwowałem, jak coraz częściej wydobywały się słupy dymu z chałup; na obejściu słychać było gdakanie kur, potem głosy nawoływania gospodyń, wreszcie sznurkiem kroczyło bydło

w pole, poganiane przez zaspanych jeszcze pastuchów. A słońce podniosłszy się do znacznej już wysokości, igrało pryzmatami rosy i otwierało kielichy kwiatów łącznych, roznosząc pasami woń świeżą i krzepiącą.

Przeniosłem się myślą pod Kraków i czułem to samo tchnienie ojczyzny...

Póki w piersiach tchu nam stanie,
Pótyś jeden nam i cały,
Drogi, polski łanie! *(Jan Sawa).*

IV. NAD ZATOKĄ PUCKĄ.

Puck posiada dopiero od lat kilku regularne trzechkrotne na dzień połączenie kolejowe z główną linią Gdańsk-Szczecin, wskutek czego nawet w dnie burzliwe, gdy parowce kursować nie mogą, otrzymują Pucczanie świeże dzienniki i potrzebne zapasy — bawara. Oprócz tego spodziewają się mieszkańcy tej okolicy północnych Kaszub, że z nastaniem lepszej pory i prawdziwego lata, przywiozą im pociągi kolejowe jaki taki zarobek w postaci gości kąpielowych. Nadzieje powinnyby się ziścić. Puck posiada z natury dość piękne położenie, po którego stosownem wyzyskaniu może się miasteczko stać wcale miłem miejscem pobytu w lecie dla tych, którzy unikają gwarnych, wystawnych i względnie drogich Sobot (Zoppot), a przecież pragną pokrzepienia w kąpielach morskich.

W stosunku do niewielkiej liczby mieszkańców (około 3.000), jest Puck przyzwoicie zabudowany. Rynek prostokątny otacza wieniec jedno i dwupiętrowych kamienic, z których kilka nosi na swym froncie wyraźne znamiona kilkowiekowego istnienia. Nie brak i zieleni, szkoda tylko, że nie dosyć symetrycznie po całym rynku rozłożonej. Ponad szereg domów w północnej części rynku wynosi się czerwony dach i takież mury katolickiego kościoła; wieża jego prostokątna i dach podobny, przypominają wieżę kościoła Najświętszej Maryi Panny w Gdańsku, tylko że tutejsza jest nieporównanie niższa. Kościół pochodzi z czasów jeszcze krzyżackich, zbudowany w stylu gotyckim; sklepienie wspiera się na

sześciu bardzo grubych i ciężkich okrągłych słupach, które z architekturą stropu nie licują zupełnie. Wieża miała, według podania, być wyżej jeszcze wyprowadzoną, ale zamieszki i wojny nie pozwoliły na to.

W południowo-wschodnim kierunku od skromnej przystani rozciąga się na niewielkiej przestrzeni promenada nadbrzeżna i mały, ale miły park szpilkowy, a częściowo mieszany.

Z brzegu tego, dosyć wzniesionego, obejmuje się okiem całą zatokę pucką, ograniczoną na północy i północnym wschodzie wązkim, u skraju horyzontu, paskiem półwyspu helskiego, giną-cym w południowo-wschodnim kierunku.

Czarny ten pas przerywa na północy kościół swarzewski (Schwarzau), a dalej ku wschodowi w pewnych odstępach bielące się piaski wybrzeża. Ku południowi ginie oko w bezbrzeżnem morzu.

Ludność Pucka, podobnie jak wszystkich miasteczek, jest przeważnie niemiecka, okolica atoli czysto polska, czyli kaszubska. Zarówno Gnieździewo i Swarzewo na północy, jak Mechowa i Daźlub na zachodzie lub Połczyn na południu, są zamieszkane przez Kaszubów, a tylko *Amtsvorstecherzy,* karczmarze lub urzędnicy skarbowi, jeżeli są, liczą się do Niemców. Kaszubi sami, jak wiadomo, uważają się za Polaków, kazań i obrządków religijnych słuchają w języku polskim, czytają polską *Gazetę Gdańską.* W powiecie puckim mają ziemię stosunkowo dobrą, stąd znać we wszystkiem dobrobyt. Nowsze budowle murowane i kryte dachówką wyglądają na dworki, zwłaszcza, że i inne budynki gospodarskie są porządne i obszerne; i stare domy z drzewa i cegły, pokryte słomianym dachem są wewnątrz obszerne, z kilku izb złożone, widne i czyste. Umeblowanie nie jest wprawdzie wykwintne, ale, jak na wieś, bardzo przyzwoite; bywają nawet dosyć ozdobne szafy i komody, na podłogach chodniki z samodziału, a przy każdem oknie białe firanki. Pobożni i religijni Kaszubi mają wiele obrazów świętych i posągi Matki Boskiej z gipsu, które w maju ozdabiają kwiatami i zielenią.

Na stole pojawiają się u nich filiżanki i spodki, porządne widelce i noże, imbryki porcelanowe, czego np. u wieśniaka pol-

skiego w Królestwie lub w Galicyi zupełnie się nie zobaczy. Jednego szkoda wielka, że porzucili zupełnie swój ubiór, a stroją się po miejsku, nawet w jedwabie i atłasy, stosownie do zamożności i okoliczności. Dzieci ubierają również w modne ubrania, kupione w mieście i nie pozwalają im biegać boso, uważając to za dowód ubóstwa; przynajmniej grube pończochy i pantofle z drewnianym obcasem (zwane tu korkami) muszą dzieci wdziewać na nogi.

Mowa Kaszubów prawie w każdej wsi ma inne właściwości; wogóle gdy się ją pierwszy raz słyszy, czyni wrażenie mowy obcej, dopiero, gdy się lepiej wsłucha, widzi się pokrewieństwo blizkie, jeżeli nie dyalekt polskiego języka. Ale to kwestya sporna, co do której można mieć różne zdanie, zwłaszcza, jeżeli się żywego słowa nie słyszało.

Rząd niemiecki radby Kaszubów izolować i wmawia w nich, że nie są Polakami. To też nic dziwnego, że czytanie przez nich polskich gazet i książek jest mu solą w oku.

Każde usiłowanie rozbudzenia oświaty zapomocą polskiej książki lub polskiego odczytu bywa o ile można tłumione, każde zgromadzenie Kółek rolniczych, o ile istnieje, nie obejdzie się bez asystencyi policyi i żandarmeryi. Ale Kaszuba, wytrwały i zacięty, nic sobie z tego nie robi; podatki płaci, żandarmowi się kłania i idzie dalej swoim torem. Że jest Kaszubą w rzadkich wypadkach się tego wstydzi lub wypiera; i to poczucie i świadomość, ta ambicya sprawia, że wierzymy w dwuwiersz Derdowskiego:

Nigde do zgube
Nie przyńdą Kaszube...

Pragnąc poznać lud nad zatoką pucką, wyruszyłem najpierw do Gnieżdżewa. Droga wiedzie w pewnem oddaleniu od błotnistego i trzciną zarosłego brzegu zatoki; z chwilą, kiedy z kierunku zachodniego przechodzi w kierunek północny otwiera się na zatokę i Puck bardzo romantyczny widok. Po mglistym poranku poczęło się pogodzić; kiedy nad bliższą częścią zatoki wisiały jeszcze obłoki szare, część dalsza południowo-wschodnia lśniła już w promieniach słońca i rzucała na farę pucką i inne

wyższe budowle szkliste refleksy. Do ubarwienia obrazu przyczyniały się niemało sieci rybackie na drugim planie rozpięte na obręczach i przymocowane do tyk, wysokich, jak w chmielu.

Kiedym stanął w Gnieździewie i fotografował pierwszą chatę, leżącą malowniczo nad stawem, już wieś cała tonęła w falach słonecznych. Dopytałem się do poleconego mi wieśniaka i wszedłszy w kwadrat budynków gospodarskich, przekroczyłem próg domu leżącego na prawo. W izbie zastałem gospodarza z *Gazetą Gdańską* w ręku. Powitał mię uprzejmie, pytał o znajomych z Gdańska, którzy mię do niego przysłali, a potem przeszedł do spraw swoich i użalał się na niedobrego sąsiada, z którym proces wieść musi. Tymczasem przyszła i gospodyni i na polecenie gospodarza zawinęła się około przysposobienia śniadania, w którem *mäso s pràżnico* t. j. jajecznica z wędzonką główną odgrywała rolę po dobrej kawie i obok wcale dobrego pieczywa (t. zw. *bucht*) Zaciekawionym co noszę na sobie w torbie, ukazałem aparat fotograficzny i oświadczyłem, że ich chętnie z całą rodziną odfotografuję. Gospodyni zabłyszczały oczy z radości, poczęła wołać dzieci *(Podesà!)*, aby wdziały nowy, świąteczny *u̯öblèk*, ale chłopiec starszy niezbyt skwapliwie słuchając matki, musiał dostać napomnienie i tak się rozbeczał, że zaledwie po dłuższym czasie można było usadzić go do zdjęcia. Naturalnie prócz samych typów twarzy charakterystycznych, ale zupełnie niełądnych, nie zyskałem na fotografii nic więcej, ani śladu ubioru ludowego kaszubskiego, lecz zupełnie miejskie i modne kostyumy.

Po fotografii poszliśmy z gospodarzem kawałek wsią, aby ją nieco poznać. Z porównywania mowy gospodarza i gospodyni i innych napotykanych mieszkańców Gnieździewa wyniosłem to przekonanie, że mój gospodarz nie mówił ze mną czystą swoją gwarą kaszubską, lecz naginał ją do języka literackiego polskiego; widziałem bowiem u niego nie tylko *Gazetę Gdańską* ale liczne wydawnictwa tego samego nakładu i inne książki polskie religijnej i świeckiej treści. Domy w Gnieździewie nie równe są postacią, niektóre murowane i kryte dachówką, z obszerną oborą i budynkami gospodarskimi wyglądają na folwarki, inne są niższe i słomą kryte, ale obszerne i schludne. Gnieździewianie są prze-

ważnie zamożni; mój gospodarz np. posiadał $2^1/_2$ włóki gruntu ornego t. j. około 75 mórg. Niemców wśród nich mieszka tylko trzech, a więc wieś na wskróś polska.

Kiedym się zabierał z powrotem, zapraszali, by pozostać dłużej i żałuję, żem tego nie uczynił, śpiesząc się podług programu znowu w inną stronę po południu.

Była to Mechowa, wieś położona na zachód od Pucka, prawie na granicy obszaru kaszubskiego.

Dzień był ciepły i słoneczny, a jak na maj nawet za ciepły, kiedym kroczył przez Polcyn i Daźlub ku Mechowej. Chaty wieśniaków tutejszych sprawiały na mnie wrażenie, że są uboższe niż w Gnieździewie, natomiast kształtem swoim i strzechą, nieraz omszoną, wydały się więcej swojskie. Nie chcąc się błąkać po wsi, nieznany wśród nieznanych, zwróciłem się ku plebanii i zastałem szczęśliwie księdza w domu. Przyjęty z pewnem niedowierzaniem i zrozumiałą nieufnością, potrafiłem jednak powoli przełamać lody i jakie takie zebrać informacye.

— Czy lud tutejszy uważa się za Polaków?

— Odpowiedź wprost na to jest trudna. Musi pan wiedzieć, że lud nasz identyfikuje polskość z katolicyzmem i to do tego stopnia, że »Polak« to u niego to samo, co katolik, a Niemiec to luter. W tem znaczeniu lud się uważa za polski, »nasze« u niego to znaczy polskie. Na tym też gruncie, będzie bronił swej »polskości« z uporem przysłowiowym kaszubskim — do upadłego.

— A czy nabożeństwa i modlitwy w kościele odprawia się po polsku? Kazania są polskie?

— Język polski jest u nas językiem kościelnym od wieków, i tego stanu posiadania bronimy zacięcie. Były nawet z tego powodu zatargi między konsystorzami a rządem i jeżeli germanizacya gdzie postępuje to bardzo powoli i tylko na gruncie katolicyzmu. Rozpoczyna się od tego, że nawet dla kilku Niemców w miejscowości zamieszkałych żąda się kazania niemieckiego raz na miesiąc, lub co dwa tygodnie, potem idzie to dalej... chociaż nie wszędzie. Proboszcz, który ulegnie naciskowi rządu straci zaufanie parafian. My starzy, którzyśmy wzrośli w innych cza-

sach, na te nowostki się nie puścimy, ale kler młodszy, inaczej wychowany... Co będzie, trudno przewidzieć...

— Widziałem u ludu *Gazetę Gdańską* i inne książki polskie; więc czytają po polsku?

— Niewątpliwie, i czytają wiele, bo u nas analfabetów niema, ale właśnie to, że czytają wszyscy, ułatwią wstęp i niemieckiej książce i różnym wpływom postronnym. Oparcia zaś lud niema u nikogo poza kościołem, bo u nas niema inteligencyi kaszubskiej. Skoro ukończył szkoły i został urzędnikiem, zapomina o swojem pochodzeniu i to jest rzecz najsmutniejsza. Nie mając własnej kultury i literatury, oddaleni od ognisk życia polskiego, nie znając Polski ani przeszłej ani teraźniejszej lud musi upatrywać w Niemcu inteligenta, w kulturze niemieckiej ów świat wyższy, który mu imponuje, a imponuje mu celowo każdą manifestacyą, festynem, paradą, a nawet i butą pruską.

— A dlaczego lud tak nieufny do Polaków? W przechodzie przemawiałem po polsku, chwaliłem Pana Boga, ale albo nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi, albo niemiecką.

— Niech się pan temu nie dziwi. Kaszuba jest z natury skryty i podejrzliwy. Ponieważ Polaków widzi rzadko, albo ich nie widzi nigdy, z podziwu zapomina języka w gębie, bo mu tak ta mowa brzmi dziwnie w ustach inteligenta. Boi się zaś, aby to nie była jaka podrywka ze strony Niemca, i żeby się otwartą swą mową nie naraził na pośmiewisko. Wszak pan wie, że nie lubi, aby do niego przemawiać jego narzeczem, on rozumie mowę polską, więc po co mu się wydrzeźniać, — jak on rozumuje.

— Czy oprócz języka są jeszcze ślady swojskiego stroju, swojskiego sposobu budowania chat, zwyczajów i obyczajów.

— Znajdzie się to jeszcze, znajdzie, ale już niewiele.

Właśnie nadszedł mężczyzna młody, ubrany po gospodarsku, z jakąś miarą w ręku.

— To mój p ó ł b r a t — przedstawił mi go ksiądz proboszcz, a kiedy dostrzegł pewne zdziwienie na mej twarzy, objaśnił zaraz dalej:

— Bo my tu po polsku nazywamy francuskiego k u z y n a półbratem i myślę, że trafnie.

Niewątpliwie, że bardzo trafnie, a jaka szkoda, że ten wyraz nie wejdzie w użycie powszechne.

Miało się ku wieczorowi, więc zabrałem się z powrotem. Obejrzałem jeszcze kościół, nie przedstawiający nic osobliwego, i ruszyłem szparkim krokiem do Pucka na noc. Byłbym chętnie pozostał tu do dnia drugiego i ludowi przypatrzył się z blizka, ale kiedy przymówek moich nie chciał czy nie mógł ksiądz zrozumieć, narzucać się nie mogłem.

Kiedym pożegnał księdza proboszcza i ruszył wsią dalej, spotykałem wracających z pola i mężczyzn i kobiety. Widocznie dostrzegli mię w towarzystwie księdza, bo mię każdy teraz witał katolickiem pozdrowieniem:

»Niech bandze pochwalony...«

V. W SZWAJCARYI KASZUBSKIEJ.

Redaktor *Gazety Gdańskiej,* opowiadając mi o Niemcach na Kaszubach, nie pominął zaznaczyć, że istnieją Niemcy uczciwi, którzy szanują pamiątki polskie i przyjaźnie wyrażają się o Polakach. Między innymi zwrócił mi uwagę na poemat Em. Vogelgesanga p. t. *Das Tränentor* (Brama łez), w którym autor nazywa kraj kaszubski, otoczony wieńcem gór zielonych i cichemi dolinami, prawdziwie pięknym krajem *(das schöne Kassubenland),* utrwala tradycyę, że Sobieski podarował Kaszuby zwycięskim bohaterom z pod Wiednia, i wielbi piękność doliny Redy i Cedronu, gdzie żyją wspomnienia rycerzy pogrzebanych pod górą zamkową.

— Około Kartuz — mówił wspomniany redaktor — mamy dość wysokie wzgórza i piękne jeziora, mamy swoją »Szwajcaryę«, którą zobaczyć warto.

A więc chociaż deszcz chwilami strugami leje, chwilami tylko mży i rosi, wyruszam z Gdańska na Pruszcz i zdążam wieczorem do Kartuz. W drodze mam za towarzyszy dwu piechurów pruskich, rodowitych Kaszubów, z którymi wdaję się w rozmowę; spostrzegłszy jednak, żem Polak, jeden przestał mówić, drugi naginał się tak do prawdziwej polszczyzny, żem nie mógł poznać jego gwary i przysłuchać się mowie w tej mierze, jak pragnąłem.

Tyle tylko wyniosłem ciekawego z tej rozmowy, żem zapamiętał nazwę bluzy wojskowej »litewka« — a przyczyny pochodzenia dotąd nie odgadłem.

W Kartuzach zajechałem do kupca polskiego, u którego mi polecono zgłosić się i znalazłem serdeczną gościnę. Ze świtem prawie wyszedłem z domu, aby się przypatrzeć Kartuzom, ale całonocna słota i ołowiane niebo nie pozwoliło mi oglądać tego miasteczka w tej krasie, w jakiej mogłem je był widzieć w dzień pogodny. Obchodząc rynek, niewielki ale schludny, czytałem na szyldach nazwiska na wskróś polskie a nawet w asystencyi przydomka *von*, co miało znaczyć, że osoby te są pochodzenia szlacheckiego; nie przeszkadzało to jednak panu *von* Modrzejewskiemu być — rzeźnikiem, a pani *von* Poblotzki — akuszerką i prawdziwą, rzetelną — feministką...

Szczególniejszą mą uwagę zajął klasztor niegdyś zakonu Kartuzów, piękny gotyk, zepsuty łamanym, gontowym dachem i wieżą barokową; również wewnątrz przeważa w ołtarzach barok; tylko stalle rzeźbione bogato są zabytkiem szacownym i rzadkim. W posadzce wiele kamieni grobowych, z nazwiskami Szczepańskich, Szczawińskich i i. Nie brak i obrazów starych z w. XVII i obrazu zabójstwa św. Stanisława biskupa z w. XVIII, na którym król Bolesław ma na głowie rogatywkę, na sobie kontusz a na nim — order Orła Białego!

W stronie zachodniej od klasztoru rozciąga się dość duże jezioro, którego brzegi, pokryte lasem, są miejscem przechadzek letnich; część alei cienistej nazwano »Philosophenweg«, zdaje się od jakiegoś domorosłego filozofa, który patrząc na klasztor Kartuzów, myślał o znikomości pracy ludzkiej.

Pomimo wilgoci i zamglonego widnokręgu ruszyłem z bratem mego gospodarza poza jezioro ścieżynami leśnemi; przechodząc ze wzgórza na wzgórze, stanęliśmy po mozolnym marszu na »wzgórzu prezydenta« (czy prezydentów — *Präsidentenhöhe*).

Widok, jaki się tu ukazał, był rzeczywiście nieporównany. U spadzistości wzgórza tuliła się wśród drzew i sadu zagroda kaszubska; zarówno dom mieszkalny, jak i stodoła miały dach wysoki, kryty słomą a szczyt przykładany drewnianemi krokiew-

kami. Na lewo rozciągało się jezioro większe, oddzielone jakąś groblą od mniejszego lecz dłuższego, ciągnącego się ku południowi; na prawo nieco dalej znowu jeziorko niewielkie, ujęte w ramę drzew zielonych, odbijających się dokładnie w zwierciedle wodnem. O ile mgła pozwalała rozpoznać plany dalsze, poza grupami drzew przeglądały domy luźne lub gromady; Chmielna jednak, mającego leżeć nad jeziorem na prawo, na zachodzie, nie mogliśmy wyśledzić. Chwilami przedzierały się promienie słońca przez gęste obłoki, a wtedy nabierały jeziora blasku, lasy niezwykłej barwy, i cały krajobraz zmieniał się w okamgnieniu, jak w kalejdoskopie.

W powrocie podziwiałem widok na jezioro klasztorne i położenie Kartuz, czego śpiesząc w przeciwną stronę, obserwować przedtem nie mogłem.

W domu zastaliśmy parę osób obcych, jakichś krewnych i znajomych gospodarstwa, którzy tu przybyli z niedalekiego Leszna. Była to przeważnie szlachta, mówiąca jednak nieszczególnie po polsku; pani zaś już starsza umiała tylko po kaszubsku i nieco po niemiecku. Dosłyszałem jak opowiadała gospodyni domu o wypadku gospodarskim, jak jej *knôp* (chłopiec) postraszył *dwa cèlanta* (cielęta) i te chciały przeskoczyć płot, przyczem jedno z nich przebiło się na kołku. Opowiadała to prawie ze łzami w oczach; skarżyła się na to nieszczęście gospodarskie i wskazywała na przeczucia, jakie miała dni temu parę. Krety też niedawno poryły ścieżkę na podwórzu a to zawsze wróży nieszczęście.

Byłbym się może dowiedział o innych wróżbach nieszczęścia, bo rozgadały się niewiasty niepomiernie, gdyby nie nadejście ojca gospodarza, zwanego tu »starym panem«. Już wczoraj wieczorem rozpoczął ze mną pogawędkę i miał ochotę wieść ją dłużej; widząc jednak moje zmęczenie sam mię do pokoju gościnnego na podstryszu zaprowadził i spać iść kazał. Dzisiaj daleko jeszcze było do spania a dziadzio pykając fajeczkę był w usposobieniu jowialnem i gadatliwem.

Rozpoczął o Krakowie, w którym był przed wielu, bardzo wielu laty a potem utonął we wspomnieniach lepszych czasów nawet w Prusiech. Jego zdaniem wszystkiego złego przyczyną był Bismarck i dopóki jego duch będzie pokutował w polityce

pruskiej nigdy lepiej nie będzie. Bismarck się rzucił na Kościół i wiarę, Bismarck rozpoczął walkę z językami nie niemieckimi, Bismarck pierwszy pogwałcił przywileje szlachty polskiej zagwarantowane przez królów pruskich.

— Bo to, panie mój — kończył starowina — jak się co złego trafi między Niemcami, to już, panie, gorsze od dyabła.

Religijny wielce i szczery katolik, nie mógł zrozumieć, jak duchowieństwo zniesie na stolicach biskupich polskich, biskupów Niemców; zdawało mu się, że biskup powinien zasiadać na swej stolicy z wyboru duchowieństwa i wiernych i przedewszystkiem strzedz nabożeństwa polskiego, bo te wszystkie nowości w kościele odstręczają lud od wiary i rzucają go w Bóg wie jakie objęcia.

— Pan Bóg ich za to skarze, panie mój, że nie uszanowali wiary ojców naszych!

Nazajutrz pożegnałem dom poczciwy. Zdarzyło się tak, że i owa Kaszubka biadająca nad *cèlantami* jechała w tę samą stronę i siadła do tego samego przedziału. Spotkała się z jakąś znajomą Niemką i pokazało się, że jest zupełnie wymowną, bo bez przestanku trzepała po niemiecku aż do swego celu podróży. Obie sąsiadki wysiadły a ja zostałem z jakimś Niemcem. Ponieważ żegnałem Kaszubkę wysiadającą, zagadnął mię, czy i skąd ją znam; a że jechał do Elbląga i mieliśmy być aż do Tczewa towarzyszami podróży, więc się rozgadał na dobre. Że nie mógł zrozumieć, dlaczego Kaszubi nie porzucają swego narzecza dla »kulturnego« języka niemieckiego — nie dziwiło mię to, bom się z tym szowinizmem spotykał u Niemców tutejszych na każdym kroku; ale że nie miał pojęcia o narodowem powinowactwie Kaszubów z Polakami a uważał ich za jakąś osobną gałąź rybaków niemieckich częściowo spolszczonych, że uważał i innych Polaków i Mazurów, mówiących po polsku za owoc agitacyi wielkopolskiej — *der grosspolnischen Agitation* — to mi dało powód do mniemania, że to człowiek średniej inteligencyi, znający z tej strony stosunki o tyle, o ile mu jakiś hakatystyczny dziennik prawdę lub kłamstwa za prawdę podane napisze.

Pozwoliłem mu mówić nie polemizując, ani nie wdając się

w dyskusyę prawdopodobnie bezcelową; czyniłem to tem skwapliwiej, że dzień się zrobił piękny, a okolica nad rzeką Radanią, przez którąśmy przejeżdżali, była na prawdę interesująca; przedwczoraj jej nie widziałem, jadąc wieczorem późnym.

Wreszcie stanęliśmy w Pruszczu a wnet potem w Tczewie. Miałem do następnego pociągu godzin kilka, więc poszedłem ze stacyi po wysokim wale do miasteczka. I znowu fara starożytna z wieżą krzyżacką, znowu napisy nazwisk polskich zeszpecone straszną pisownią, a tu i owdzie oderwane słowa polskie między służbą i robotnikami. *Ein Volk der Sklaven*... (naród niewolników...)

Przechodzącego obok szkoły uderzył śpiew, wydobywający się z wnętrza. Przystanąłem, bo melodya wydała mi się znana. Była to piosenka: *Ich weiss nicht was soll das bedeuten*... śpiewana przez dzieci, pewnie w połowie polskiego pochodzenia. Ale w »Dirschau« Polaków być nie może...

Pod tem wrażeniem przejechałem Prusy Zachodnie i Poznańskie.

Roman Zawiliński.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Teorye kościelno-państwowe św. Augustyna i pisarzy wczesnego średniowiecza.

Stosunku państwa do Kościoła św. Augustyn w dziele *Civitas Dei* bezpośrednio i szczegółowo nie omawia. Tylko tu i ówdzie rozrzucone uwagi i sądy w tym kierunku i niektóre ustępy z listów jego oświecają niedwuznacznie i pozwalają nam zestawić i przedstawić poglądy jego w tej mierze.

Najprzód jak się przedstawia stosunek ten w rozumieniu św. Augustyna do państwa pogańskiego?

Społeczność świecka, mówi on, która z wiary nie żyje, ma na celu utrzymanie pokoju i zgody społecznej, wykwitającej z ładu wewnętrznego i dążenia do wspólnych celów społecznych. Pokój ten potrzebny jest i dla »społeczności niebieskiej, albo raczej tej części, która z wiary żyje i ku wyższej zdąża ojczyźnie«. To też Kościół »podczas swego pochodu wśród świata, będąc jakby w niewoli... nie waha się zastosować się do praw państwowych, które regulują potrzeby życia doczesnego, ażeby w sprawach doczesnych razem idąc z społecznością świecką, obopólna panowała zgoda« ...

A więc uznanie praw państwowych i uległość władzy państwowej, oto pierwszy warunek w rozumieniu św. Augustyna współżycia Kościoła z państwem.

Uległość tę zachowuje Kościół i wówczas, gdy władza pań-

stwowa w niegodnych spoczywa rękach. »Niekiedy, mówi on, dochodzą do władzy i ludzie nieuczciwi. Ale skoro raz dobrali się do władzy i stali się sędziami czy królami, boć i to Bóg czyni dla wychowania ludu swego... należy im się cześć, jaką winniśmy władzy... Julian był niewiernym imperatorem, apostatą, bezbożnym bałwochwalcą. A żołnierze chrześcijańscy zachowali wierność wobec imperatora, niewiernego... Gdy kazał bałwanom palić kadzidło, odmówili posłuszeństwa, bo wyżej stawiali Boga; gdy pchnął ich na pole walki przeciwko nieprzyjacielowi, posłuchali od razu. Oni rozróżniali Pana odwiecznego od pana ziemskiego — i byli poddanymi dla Boga odwiecznego panu ziemskiemu« [1].

Władza ta, według św. Augustyna, w różnych formach występować i opierać się może, jużto na autonomii ludu, jużto na rządach absolutnych monarchii lub oligarchii. Kościół i co do celu i ustroju swego z każdą zgadza się formą rządu. Odwieczne i nieodmienne prawo sprawiedliwości, *lex aeterna atque incommutabilis,* unosząca się nad doczesnością, domaga się poniekąd, by formy państwowe dostroiły się do potrzeb i dojrzałości moralnej ludu. Gdzie lud jest umiarkowany i poważny i czujnie stoi na straży dobra ogółu, gdzie każdy obywatel dobro ogółu przenosi nad prywatę, czyż nie słuszna, żeby lud taki wytworzył sobie rząd własny i sam się rządził? A przeciwnie, gdzie lud przenosi prywatę nad rzeczpospolitą i zaprzedaje się ludziom ambitnym, czyż nie lepiej żeby w kraju takim jeden albo kilku dzielnych ludzi dobrało się do steru rządów? [2]

---

[1] *En. in ps.* 124, 7.

[2] 1, 14: »Si populus sit bene moderatus et gravis, communisque utilitatis diligentissimus custos, in quo unusquisque minoris rem privatam quam publicam pendat; nonne recte lex fertur, qua huic ipsi populo liceat creare sibi magistratus, per quos sua res, id est publica, administretur? Recte prorsus. Porrosi paulatim depravatus idem populus rem privatam reipublicae praeferat, atque habeat venale suffragium, corruptusque ab eis, qui honores amant, regimen in se flagitiosis consceleratisque committat; nonne item recte, si quis tunc extiterit vir bonus, qui plurimum possit, adimat huic populo potestatem dandi honores, et in paucorum bonorum, vel etiam minus redigat arbitrium? Et id recte«.

Kościół, dalej wywodzi św. Augustyn, popiera rozwój każdej narodowości i zgodny jest z kulturalnym rozwojem każdego wieku, i to drugi warunek współżycia i przyjacielskiego porozumienia państwa z Kościołem. »Społeczność niebieska — oto słowa jego — w ciągu ziemskiego swego pochodu, z wszystkich formuje się ludów, wszystkimi mówi językami i nie wojuje z narodowymi obyczajami, prawami i instytucyami, z których pokój ziemski albo wykwita, albo się utrzymuje. Ona nic z tego, co historya wytworzyła, nie niszczy ani nie burzy, lecz przeciwnie, zachowuje i pielęgnuje, bo różnorodność ta wśród różnych narodów do jednego przecież i tego samego zmierza celu t. j. pokoju ziemskiego, byle tylko na tem religia, polegająca na czci jednego najwyższego i prawdziwego Boga nie poniosła uszczerbku« [1].

Tak tedy, według św. Augustyna, pomiędzy celem i organizacyą i kulturalnym rozwojem państwa a zadaniem i organizacyą Kościoła zasadniczej niema sprzeczności. Kościół zawsze stoi na straży zasadniczych podstaw państwa, popiera jego rozwój kulturalny, dopomaga mu do spełnienia i osiągnięcia właściwych mu celów i zadań i pielęgnuje rozwój indywidualny każdej narodowości. Zgoda więc zawsze jest możliwa i w państwie niechrześcijańskiem, byle tylko religia Chrystusowa żadnego nie poniosła uszczerbku.

Tyle co do stosunku Kościoła z państwem, które »z wiary nie żyje«.

Dużo ściślejszy, według św. Augustyna, jest stosunek państwa chrześcijańskiego do Kościoła. Podczas gdy Cicero, mówi on, »sławi umiarkowanie, wstrzemięźliwość, wierność małżeńską, skromne, szlachetne i uczciwe obyczaje«, które stanowią podwaliny kwitnącego państwa, celem państwa chrześcijańskiego nie jest tylko »obyczajność życia i zgodne pożycie w państwie doczesnem, ale nadto dążenie do żywota wiecznego i niebieskiej społeczności Bożej«. Innemi słowy: państwo chrześcijańskie ma

[1] *De Civ. Dei,* 19, c. 17: »Non curans quidquid in moribus, legibus, institutisque diversum est, quibus pax terrena vel conquiritur vel tenetur; nihil eorum rescindens nec destruens, immo etiam servans et sequens«.

budować na Chrystusie i być przeniknięte zasadami jego, ma zaciągnąć się w służbę celów wyższych i zmierzać do niebieskiej społeczności Bożej. Niech się przekona świat, że »tam, gdzie prawdziwa kwitnie religia, ludzie stają się obywatelami innego społeczeństwa, w którem panuje prawda i rządzi miłość i wszystko ocenia się miarą wieczności« [1].

I gdyby królowie świata i wszystkie ludy budowali na Chrystusie i przestrzegali jego przykazań, »kraje rzeczypospolitej w ciągu doczesnego bytu tu na ziemi zakwitnęłyby szczęściem, a rzeczpospolita, szczęśliwie panując, wzniosłaby się na wyżyny życia wiecznego« [2].

Oczywiście stan taki, w mniemaniu św. Augustyna, to ideał niedościgniony, nad realizacyą którego państwo razem z Kościołem pracować powinny. Droga prowadząca na wyżyny Boże jest daleka bardzo i najeżona rozmaitemi trudnościami. Nieraz przez burze namiętności zbrodniczych i krwawe prześladowania przebijać się trzeba, aby zdobyć sobie jasne niebo. »Ponieważ prawo, mówi on, jedni zachowują, inni mają w pogardzie a wielu schlebia występkom raczej, niż surowym cnotom, słudzy Chrystusa: królowie i książęta, sędziowie i wojskowi, mieszkańcy prowincyi, bogaci i ubodzy, wolni i niewolni obojej płci muszą ścierpieć i najgorszą nieraz i w razie konieczności zbrodniczą rzeczpospolitą i cierpliwością, *tolerantia*... zdobywać sobie jasne niebo« [3].

Według św. Augustyna, państwo i wszystkie dobra jego

---

[1] Ep. 138, 17: »Deus enim sic ostendit in opulentissimo et praeclaro imperio Romanorum, quantum valerent civiles etiam sine vera religione virtutes, ut intelligeretur hac addita fieri homines cives alterius civitatis, cuius rex veritas, cuius lex caritas, cuius modus aeternitas«.

[2] *De Civ. Dei,* l. II, c. 19: »Cuius praecepta de iustis probisque moribus si simul audirent adque curarent reges terrae et omnes populi... et terras vitae praesentis ornaret sua felicitate res publica, et vitae aeternae culmen beatissime regnatura conscenderet«.

[3] *De Civ. Dei,* II, 19: »Sed quia iste audit, ille contemnit, pluresque vitiis male blandientibus quam utili virtutum asperitati sunt amiciores: tolerare Christi famuli... etiam pessimam, si ita necesse est, flagitiossimamque rempublicam et in illa... clarissimum sibi locum etiam ista comparare tolerantia«.

ekonomiczne i kulturalne i stosunki własnościowe i zarobkowe i całe życie i działalność jego i cnoty indywidualne, rodzinne i obywatelskie, słowem cały porządek ekonomiczny, społeczny i kulturalny mają swoją dobroć immanentną i wartość etyczną.

A więc i państwo chrześcijańskie, jako organizacya społeczno-polityczna mogłoby się, nie naruszając oczywiście i nie krępując ani zasad ani życia chrześcijaństwa i żywotnie popierając jego działalność zbożną na różnych polach społecznych — mogłoby się, mówię, ograniczyć na spełnianiu swoich zadań społeczno-ekonomicznych i kulturalnych, pozostawiając całą troskę o życie i cele religijne ludności innej społeczności, która jest do tego powołaną i naznaczoną jasnym stygmatem Boskiego pochodzenia, t. j. Kościołowi Chrystusowemu. I wówczas tylko, gdyby państwo chrześcijańskie w życiu i działalności swojej wyraźnie i rozmyślnie zboczyło z drogi, wskazanej mu przez Ewangelię, i samowolnie odtrąciło ideały Boże, na straży których stoi Kościół, zeszłoby z drogi chrześcijańskiej i stałoby się sojusznikiem królestwa złego, *civitas terrena*, w ścisłem znaczeniu. Ale program taki współżycia państwa z Kościołem zawierałby tylko *minimum* tego, co należałoby wymagać od państwa chrześcijańskiego.

Św. Augustyn domaga się czegoś więcej. Zdaniem jego państwo chrześcijańskie »powinno zdążać do żywota wiecznego i niebieskiej społeczności Bożej«. Innemi słowy, on domaga się od państwa i polityki jego we wszystkich dziedzinach życia i działalności publicznej tej ogólnej oryentacyi transcendentalnej według etyki chrześcijańskiej, której tłumaczem jest Kościół Boży. On domaga się, żeby państwo chrześcijańskie zawsze budowało na zasadach Ewangelii i kierowało się nauką Chrystusową, żeby cała jego działalność polityczna i kulturalna zmierzała do rozszerzenia Królestwa Bożego. Państwo bowiem, zdaniem jego, któreby w życiu i polityce publicznej nie kierowało się zasadami etyki chrześcijańskiej, zejdzie niepostrzeżenie na bezdroża błędnych teoryi, i wytworzy przepaść pomiędzy ustawami a porządkiem religii. W takiem państwie miejsce zasad i ideałów Bożych zajmie niebawem filozofia, której zbywa na jasności i pewności i moralnej mocy, by prowadzić ludzkość bezpiecz-

nie na wyżyny społecznego i kulturalnego rozwoju, i która ongi zawiodła ją na bezdroża bałwochwalstwa i wtrąciła w bezdeń niemocy moralnej i nieszczęść strasznych [1].

To też ważnym obowiązkiem króla, według św. Augustyna, jest dbać o rozszerzenie chwały Bożej wśród swoich poddanych. Szczęśliwymi nazywam tych władców, mówi on, którzy rządzą według sprawiedliwości i pochwałami pochlebców ani posługami służalców nie wynoszą się i pamiętają na swoje ludzkie pochodzenie, którzy potęgę swoją w celu rozszerzenia czci Bożej oddają w służbę majestatu Bożego, a w sercu noszą bojaźń Boga i czczą i miłują go [2].

Król chrześcijański ma być prawdziwym ojcem dla swoich poddanych, bo społeczeństwo to rozszerzona rodzina. A rządzić w rozumieniu chrześcijańskiem to znaczy oddać się w służbę publiczną i starać się o to, żeby wszystkim dobrze było. »I ci, którzy są u steru rządu, służą tym, nad którymi, zdaje się, panują. Nie z żądzy bowiem panowania oni dzierżą władzę, lecz dlatego, że obowiązkiem ich jest dbać o dobro ludu, nie z dumy oni stoją u steru, ale dlatego, że miłość dobra ogółu ich popycha do służby publicznej [3].

Ojcowska opieka władzy nad poddanymi odnosi się, według św. Augustyna, nie tylko do dóbr doczesnych, lecz również do zbawienia wiecznego. Obowiązek ten wypływa, zdaniem jego, z istoty władzy, którą imperator otrzymał bezpośrednio od Boga.

[1] *De Civ. Dei*, XIX, 17: »Verum quia terrena civitas habuit quosdam suos sapientes, quos divina improbat disciplina, qui res suspicati vel decepti... factum est, ut religionis leges cum terrena civitate non posset habere communes proque his ab ea dissentire«...

L. XIX, c. 14: »Sed ne ipso studio cognitionis propter humanae mentis infirmitatem in pestem alicuius erroris incurrat, opus habet magisterio divino, cui certus obtemperet, et adiutorio, ut liber obtemperet«.

[2] *De Civ. Dei*, l. V, 24: »Sed felices eos dicimus, si iuste imperant, si inter linguas sublimiter honorantium et obsequia nimis humiliter salutantium non extolluntur, et se homines esse meminerunt; si suam potestatem ad Dei cultum maxime dilatandum maiestati eius famulam faciunt; si Deum timent, diligunt, colunt«.

[3] *De Civ. Dei*, l. 19, 14: »Etiam, qui imperant, serviunt eis, quibus videntur imperare. Neque enim dominandi cupiditate imperant, sed officio consulendi, nec principandi superbia, sed providendi misericordia«.

Non tamen potestas nisi a Deo. (Ep. 93.) Wiarę więc należy otoczyć opieką i popierać jej rozwój a herezye, podnoszące zuchwale głowę, zwalczać środkami choćby przymusowymi [1].

Nieposłuszeństwo zaś wobec imperatora, który w obronie prawdy występuje przeciwko błędom, pociąga za sobą sąd Boży. Rzeczą bowiem króla jest pracować nad rozszerzeniem religii i usuwaniem świętokradztw [2].

Ustawom atoli skierowanym przeciwko prawdzie bożej, na straży której stoi Kościół, należy przeciwstawić opór bierny. W sprawach duchownych zresztą państwo, bez uprzedniego porozumienia się z władzą kościelną, żadnych nie powinno wydawać zarządzeń [3].

Zresztą Kościół w zakresie spraw duchownych posiada najzupełniejszą autonomię a państwo winno potęgą swojej administracyi i ustawodawstwa popierać rozwój wiary i pomagać mu w spełnianiu właściwych mu zadań [4].

W rozumieniu tedy św. Augustyna, pomiędzy państwem a Kościołem winien być stosunek przyjacielski i przyjacielskie

---

[1] Ep. 93: »Mea primitus sententia non erat, nisi neminem ad unitatem Christi esse cogendum; verbo esse agendum, disputatione pugnandum, ratione vincendum, ne fictos catholicos haberemus, quos apertos haereticos noveramus. Sed haec opinio mea, non contradicentium verbis, sed demonstrantium superabatur exemplis...«

[2] Ep. 105, Goldbacher, str. 599: »Imperatores enim si in errore essent, quod absit, pro errore suo contra veritatem leges darent, per quas iusti et probarentur et coronarentur non faciendo, quod illi iuberent, quia Deus prohiberet... quando autem imperatores veritatem tenent pro ipsa veritate contra errorem iubent, quod quisquis contempserit, ipse sibi iudicium adquirit; nam et inter homines poenas luit et apud Deum frontem non habebit, quia hoc facere noluit, quod ei per cor regis ipsa veritas iussit... si iussiones regum non pertinent ad praedicandam religionem et sacrilegia prohibenda, quare ad edictum«.

[3] Ep. 93, do trybuna Marcelina: »Si non audis amicum petentem audi episcopum consulentem, quamvis, quoniam Christiano loquar, maxime in tali causa non arroganter dixerim audire te episcopum convenit iubentem«.

[4] Ep. 185; Goldbacher ep. 43, t. II, str. 458: »Ipso imperatore longe ordinatius agente, ut episcoporum causam ad se delatam ad episcopos mitteret, nec victi pacem cum fratribus habere voluerunt, rursus non Caecilianum tantum verum etiam datos sibi episcopos iudices apud terrenum regem accusaverunt, rursus ab alio episcopali iudicis ad eundem imperatorem appelaverunt«...

porozumienie. Obie potęgi niezależne od siebie w właściwych sobie sferach mają się nawzajem wspierać, bo są z natury rzeczy na współżycie i współpracę skazane i w ten tylko sposób zdołają najlepiej i najżywotniej pracować nad spełnieniem swoich zadań i rozszerzeniem Królestwa Bożego. Państwo ma budować na etyce Ewangelii, która jest zarazem postulatem rozumu i serca i przez wydatne popieranie działalności Kościoła pracować w kierunku socyalnym i kulturalnym. Kościół zaś uważa każdą pomoc żywotną państwa, którego władza bezpośrednio od Boga pochodzi, za zrządzenie Boże i pomoc nieba w służbie Królestwa Bożego [1].

Nieporozumienia i spory pomiędzy potęgami temi zapewne nieraz się wytworzą, ale będą to nieporozumienia, wynikające raczej ze słabości ludzkiej, niż z przeciwieństwa interesów. »Wojują, mówi św. Augustyn, źli ze złymi i źli z dobrymi, dobrzy atoli, którzy się wznieśli na wyżyny doskonałości, ze sobą walczyć nie będą... Prawda i namiętność duchowa zmaga się z namiętnością ciała i odwrotnie namiętność ciała z namiętnością ducha, podobnie jak źli wojują z dobrymi. I pomiędzy dobrymi, którzy jeszcze nie wznieśli się na wyżyny doskonałości, jak pomiędzy złymi namiętności ścierają się z namiętnościami dopóki w opałach walki wraz z ostatecznem zwycięstwem nie okaże się ich doskonałość« [2].

Idee i poglądy polityczno-kościelne św. Augustyna przypadały dobrze do wymagań czasu i pierwotnych formacyi społeczeństw chrześcijańskich i wycisnęły charakterystyczne swe piętno na całej epoce średniowiecza. Niektórzy uczeni, przeważnie gorliwi wyznawcy protestantyzmu, twierdzą nawet, że one w średnich wiekach skrystalizowały się w poglądy supremacyi Kościoła nad państwem i wywołały światowładne i wiekowe zatargi i walki władzy świeckiej z papiestwem.

Mniemanie to jest niezgodne z prawdą, jak to już z wzwyż

---

[1] Ep. 100: »Quia sicut apostolus dicit, non est potestas nisi a Deo, procul dubio, cum per vos sincerissimos catholicae matris filios eidem subvenitur, auxilium nostrum in nomine domini est, qui fecit coelum et terram«.

[2] *De Civ. Dei*, l. 15, c. 5. Por. Mausbacha: *Die Ethik des h. Augustinus*. Freib. 1909, t. 1 i Seidela: *Die Lehre vom Staate beim h. Augustinus*. Bresl. 1909.

przytoczonych poglądów św. Augustyna wynika, a przedewszystkiem niezgodne z historyą rozwoju idei i teoryi kościelno-politycznych średniowiecza, jak to zaraz zobaczymy.

Poglądy św. Augustyna zapewne w wielkiej mierze przyczyniły się do ukształtowania stosunków państw do Kościoła, co więcej, one jakby rzeźbiły, choć więcej pośrednio niż bezpośrednio, duszę średniowiecza i odbiły się potężnem echem w manifescie wojennym wojen krzyżowych, w ruchu franciszkańskim i później jezuickim renesansu religijnego, ale nad wyrobieniem poglądów o supremacyi i rozpętaniem walk religijno-politycznych średniowiecza zgoła odmienne pracowały kierunki myśli i czynniki historyczne. Decydujące pod tym względem wpływy miały tu niewątpliwie potężna i sprężysta organizacya hierarchii kościelnej i kultura rzymska, której historycznym piastunem i stróżem był Kościół i klasztory. Nie należy zapominać, że obok praw zwyczajowych młodych ludów germańskich jaśniało w opustoszałych ogniskach dawnej kultury inne prawo, pełne czaru i majestatu, t. j. prawo Boże i prawo rzymskie, że obok pierwotnych społecznych i państwowych instytucyi patryarchalnych wznosiła się już potężna i o kulturę rzymską oparta, organizacya biskupstw i klasztorów, i to prawo i ta organizacya wycisnęły znamienne swe piętno na ustroju średniowiecza.

Poglądy polityczno-kościelne IX wieku, a więc wczesnego średniowiecza, które po dokonaniu wielkich formacyi społecznych ukazały się na widowni umysłowej i politycznej, budują się nie na pismach św. Augustyna i rozrzuconych w nich poglądach socyologicznych, lecz na wiekopomnych pismach polityczno-kościelnych papieża Gelazego I-go, który po raz pierwszy jasno określił stosunek wzajemny dwu władz najwyższych w ludzkości.

Teoryę tę znajdujemy w krótkich i jasnych zarysach, przedstawioną przedewszystkiem w 4 traktacie tegoż papieża i liście jego do cesarza Anastazego. Przed przyjściem Chrystusa Pana, mówi Gelazy, władza królewska i kapłańska niekiedy w jednym i tym samym spoczywała ręku, jak to widzimy u króla Melchizedecha i cezarów rzymskich. W ścisłem znaczeniu jednak królem i kapłanem był dopiero Chrystus Pan, i dlatego chrześcijanie

przez udział w jego dostojnej naturze stanowią rodzaj królewski zarazem i kapłański. Chrystus atoli, pomny na słabość naszą i zbawienie ogółu, rozdzielił dwa te urzędy i władze z właściwymi im obowiązkami i funkcyami i skazał je przy zupełnej niezawisłości na wzajemną zależność i wzajemne usługi [1].

W liście zaś do cesarza Anastazego papież Gelazy tak rzecz wykłada: »Dwie bowiem władze są, *imperator auguste*, które głównie rządzą światem: święta władza najwyższych Pasterzy i władza królewska. Z tych cięższe dźwigają brzemię kapłani, o ile oni za królów samych na sądzie Bożym zdawać będą rachunek«. W rzeczach bowiem odnoszących się do zbawienia, i władca, który przewodzi ludzkości, schyla czoło przed kapłanem, szafującym sakramentami świętymi i polega na jego zdaniu w rzeczach świętych. Z drugiej strony władza imperatora pochodzi od Boga a więc i kapłani poddają się prawom ustanowionym przez niego. To też podobnie jak biskup, który milczy, gdy wystąpić trzeba w obronie kultu Bożego, do wielkiej przyczynia się klęski; tak i ten, co gardzi powagą biskupa tam, gdzie posłusznym być powinien, na niemniejsze naraża się niebezpieczeństwo. Skoro tedy wierni podlegać winni swoim kapłanom w sprawach Bożych, o ile większe należy się posłuszeństwo temu, którego Bóg postawił nad wszystkich kapłanów?« [2].

---

[1] Migne. Gelasius I, Tract. IV, 11: »Sed cum ad verum ventum est eundem regem atque pontificem, ultra sibi nec imperator pontificis nomen imposuit, nec pontifex regale fastigium vindicavit... quoniam Christus memor fragilitatis humanae, quod suorum saluti congrueret, dispensatione magnifica temperavit, sic actionibus propriis dignitatibusque distinctis officia potestatis utriusque discrevit, suos volens medicinali humilitate salvari, non humana superbia rursus intercipi: ut et Christiani imperatores pro aeterna vita pontificibus indigerent, et pontifices pro temporalium cursu rerum imperialibus dispositionibus uterentur: quatenus spiritalis actio a carnalibus distaret incursibus et, Deo militans minime se negotiis saecularibus implicaret, ac vicissim non ille rebus divinis praesidere videretur, qui esset negotiis saecularibus implicatus: ut et modestia utriusque ordinis curaretur, ne extolleretur utroque suffultus, et competens qualitatibus actionum specialiter professio aptaretur«.

[2] Gelasius I, ep. XII, 2: »Pietatem tuam precor, ne arrogantiam iudices divinae rationis officium. Absit, quaeso, a Romano principe, ut intimatam suis sensibus veritatem arbitretur iniuriam. Duo quippe sunt, imperator auguste,

Z wiekopomnego dokumentu tego, określającego stosunek wzajemny dwu władz najwyższych w chrześcijaństwie, trzy przedewszystkiem rzucają się w oczy prawdy.

Najprzód, że świat cały dwom głównie podlega władzom: w porządku duchowym najwyższej władzy kościelnej t. j papieżowi, w porządku państwowym władzy imperatora. Każda z tych władz pochodzi bezpośrednio od Boga, każda jest w swojej sferze najwyższą i zupełną posiada niezawisłość i zupełną autonomię.

Powtóre, że władze te mimo, że w właściwych sobie sferach są w ścisłem znaczeniu niezawisłe, zależą i w porządku świeckim i duchowym jedna od drugiej i skazane są z natury rzeczy na współdziałanie.

Po trzecie, władze te właśnie z powodu wzajemnej zależności i częściowej zawisłości społecznej od siebie, mają pole i okazyę do różnych nieporozumień i starć. I w tym pierwotnym ich ścisłym sojuszu i współdziałaniu kryją się już przyszłe zatargi i walki, które przez wieki długie światem zachodnim wstrząsały.

Polityczno-kościelna teorya IX stulecia w państwie frankońskiem o stosunku państwa do Kościoła i charakterze władzy kościelnej i politycznej zamyka się w doniosłem sprawozdaniu sy-

---

quibus principaliter mundus hic regitur: auctoritas sacrata pontificium, et regalis potestas. In quibus tanto gravius est pondus sacerdotum, quanto etiam pro ipsis regibus hominum in divino reddituri sunt examine rationem. Nosti enim, fili clementissime, quod licet praesideas humano generi dignitate, rerum tamen praesulibus divinarum devotus colla submittis, atque ab eis causas tuae salutis expectas, inque sumendis coelestibus sacramentis eisque ut compelit disponendis, subdi te debere cognoscis religionis ordine potius quam praesse, itaque inter haec ex illorum te pendere iudicio, non illos ad tuam velle redigi voluntatem. Si enim quantum ad ordinem pertinet publicae disciplinae, cognoscentes imperium tibi superna dispositione collatum, legibus tuis ipsi quoque parent religionis antistites, ne vel in rebus mundanis exclusae videantur obiare sententiae; quo, oro te, decet affectu eis oboedire, qui praerogandis venerabilibus sunt attributi mysteriis. Proinde sicut non leve discrimen incumbit pontificibus, siluisse pro divinitatis cultu, quod congruit; ita his, quod absit, non mediocre periculum est, qui, quum parere debeant despiciunt. Et si cunctis generaliter sacerdotibus recte divina tractantibus fidelium convenit corda submitti, quanto potius sedis illius praesuli consensus est adhibendus; quem cunctis sacerdotibus et Divinitas summa voluit praeeminere, et subsequens Ecclesiae generalis iugiter pietas celebravit?«

nodu paryskiego (829 r.) do cesarza Ludwika Pobożnego, w którym biskupi tamże zebrani tłumaczą wzwyż przytoczone słowa papieża Gelazego z listu do cesarza Anastazego: »Przedewszystkiem tedy przyjmujemy za prawdę — czytamy tam — iż ciało całego świętego Kościoła Bożego podpada pod władzę (podzielone jest) dwu dostojnych osób, mianowicie, arcykapłana i króla, jak to Ojcowie święci przekazali nam w spuściznie. W sprawie tej czcigodny biskup rzymski Gelazy tak pisze do imperatora Anastazego: Dwie bowiem władze są imperator auguste, które głównie rządzą światem: święta władza najwyższych pasterzy i władza królewska. Z tych cięższe dźwigają brzemię kapłani, o ile oni za królów samych na sądzie Bożym zdawać będą rachunek. I Fulgencyusz w księdze *De Veritate Praedestinationis et Gratia*, tak pisze: »Co się tyczy tego życia doczesnego, pierwszą w Kościele godność zajmuje papież a w świecie chrześcijańskim imperator« [1].

W sprawozdaniu powyższem uderza przedewszystkiem tłumaczenie biskupów »w całym świętym Kościele Bożym pod względem ciała«, dodane do słów papieża Gelazego. Podczas bowiem gdy papież pod koniec V wieku mówi w myśl światowładnego imperyum rzymskiego o panowaniu nad światem, biskupi frankońscy na początku IX wieku mówią o podwójnej władzy najwyższej w obrębie chrześcijaństwa i mistycznego ciała Chrystusowego t. j. Kościoła. W kilka lat później (834) biskup Jonas z Orleanu, zaufany doradca króla Ludwika, który na synodzie paryskim wybitną odgrywał rolę, w rozprawie *De Institutione Regia*, do wzwyż pomienionego ustępu papieża Gelazego i synodu inny jeszcze dodał komentarz. I tak gdy papież Gelazy mówi

[1] M. G. H. Leg., sect. II, vol. II, n. 196, Episcoporum ad Hlud. Imp. Relatio, 3: »Quod eiusdem ecclesiae corpus in duabus principaliter dividatur eximiis personis. Principaliter itaque totius sanctae Dei ecclesiae corpus in duas eximias personas, in sacerdotalem videlicet et regalem, sicut a sanctis patribus traditum accepimus, divisum esse novimus; de qua re Gelasius Romanae sedis venerabilis episcopus ad Anastasium imperatorem ita scribit: »Duae sunt quippe... Fulgentius quoque in libro de Veritate Praedestinationis et Gratia ite scribit: »Quantum pertinet, inquit, ad huius temporis vitam, in ecclesia nemo pontifice potior, et in saeclo christiano nemo imperatore celsior invenitur«

o biskupach, że oni ze względu na obowiązki pasterskie cięższe, niż władca świecki, dźwigają brzemię, Jonas dodaje, że biskupi »bezustannie troszczyć się mają o zbawienie króla, aby nie rozminął się z wolą Bożą i urzędem mu poruczonym«, gdy Gelazy kładzie nacisk na posłuszeństwo króla wobec biskupów w sprawach Bożych i na odwrót na posłuszeństwo biskupów wobec króla w rzeczach państwowych, Jonas tłumaczy, że biskupi mają ścisły obowiązek czuwać nad życiem i działalnością publiczną króla i w razie potrzeby nie szczędzić mu napomnień i rad zbawiennych [1].

Że w rozprawie tej odzwierciedlają się wiernie kościelno-polityczne poglądy czasu, wynika to stąd, że Jonas był uczonym, wykształconym w szkole wieku, który w ówczesnym religijno-politycznym ruchu reformatorskim wybitną odgrywał rolę. Był on nadto w przyjacielskim stosunku i porozumieniu z królem Ludwikiem a książkę swą dedykował synowi jego, królowi Pippinowi w Akwitanii 834 r. Cała rozprawa ta była zresztą dosłownem tylko powtórzeniem poglądów uchwalonych i wyłuszczonych w aktach synodu paryskiego, który w myśl króla zastanawiał się nad środkami ratunkowymi na ciężkie niedomagania państwa. Uchwały więc i poglądy synodu, przedłożone królowi Ludwikowi, powtórzył teraz biskup Jonas jego synowi Pippinowi [2].

Drugi z rzędu uczony, który z urzędu przypomina współ-

[1] Jonas, *De Instit. Reg.*, c. 1: »Sciendum omnibus fidelibus est quia universalis Ecclesia corpus est Christi et eius caput idem est Christus, et in ea duae principaliter exstant eximiae personae, sacerdotalis videlicet et regalis, tantoque est praestantior sacerdotalis, quanto pro ipsis regibus Deo est rationem redditurus. Unde Gelasius Romanae Ecclesiae venerabilis pontifex ad Anastasium imperatorem scribens: »Duo quippe... examine rationem reddituri«. Fulgentius quoque... invenitur. Ergo quia tantae auctoritatis, imo tanti discriminis est ministerium sacerdotum, ut de ipsis etiam regibus Deo sint rationem reddituri, oportet et valde necesse est, ut de vestra salute semper simus solliciti, vosque ne a voluntate Dei, quod absit, aut a ministerio quod vobis commisit, erretis, vigilanter admoneamus, et si, quod absit, ab eo aliquo modo oxorbitaveritis, pontificali studio humiliter admonendo, et salubriter procurando, opportunum consultum saluti vestrae conferamus, ut non de silentio taciturnitatis nostrae damnemur, sed magis de salertissima cura et admonitione salutifera remunerari a Christo mereamur«.

[2] Ebert: *Literatur des Mittelalters*, t. II, str. 222 i dalej.

czesnym naukę kościelno-państwową papieża Gelazego, to Hincmar, arcybiskup z Rheims. Jest to memoryał, napisany z polecenia magnatów, dla młodego Karlomana, króla zachodniej Frankonii, »ażeby, jak pisze Hincmar w przedmowie, młody i nowy król przejął się zasadami jego dla wznowienia chwały i pokoju Kościoła i państwa« [1]. W memoryale tym, który nosi tytuł: *Ad Proceres regni, pro institutione Carolomani regis* i innym, wystosowanym do biskupów całego państwa, *Ad Episcopos Regni* [2], powtarza Hincmar znane nam już wywody papieża Gelazego z traktatu IV i listów 10 i 12, które tłumaczą i określają stosunek państwa do Kościoła. W przeciwieństwie do Jonasza Hincmar w urzędowych tych dokumentach, jako doświadczony mąż stanu, wystrzega się wszelkich dodatków i komentarzy dowolnych. Jedna tylko tu rzuca się w oczy myśl, której Gelazy nie był poruszył, mianowicie fakt koronacyi króla przez biskupa, z czego Hincmar wnosi o większej biskupa, niż króla godności [3].

Zasadnicza tedy podstawa stosunku Kościoła do państwa w epoce Karolingów, to nauka Gelazego o dwu władzach światowładnych na ziemi a względnie w chrześcijaństwie, które są zależne i równocześnie niezawisłe od siebie w właściwych sobie sferach. Zapewne twarda rzeczywistość sprawiała nieraz, że w praktyce dwie te władze częstokroć ścierały się ze sobą i krzyżowały, że w życiu dwie te sfery nieraz mieszały się tak, że trudno było albo wręcz niepodobna oznaczyć, które sprawy należą do państwa a które wkraczają w sferę jurysdykcyi Kościoła, ale w teoryi nauka o dualizmie władz najwyższych i niezawisłych nie podlegała nigdy zaprzeczeniu.

Civitas Dei w epoce Karola Wielkiego aż po koniec średniowiecza, to społeczność uniwersalna, ogarniająca całe chrześcijaństwo, w którem rządzą dwie władze najwyższe, zależne od siebie,

---

[1] Migne, t. 125, str. 993: »... ad institutionem istius iuvenis et moderni regis nostri, et ad reerectionem honoris et pacis Ecclesiae ac regni...«

[2] Migne, t. 125, str. 993 i 1007.

[3] Hincmar: Ad Episcopos de Inst. Carol. c. II: »...et tanto est dignitas ponficum maior quam regum, quia reges in culmen regium sacrantur a pontificibus, pontifices autem a regibus consecrari non possunt...«

choć niezawisłe i w przyjacielskiem ze sobą porozumieniu: papież i król. »Rządy królestwa swego, t. j. Kościoła, powtarzają za synodem paryskim inne synody frankońskie, złożył (Bóg) w ręce władzy arcykapłańskiej i królewskiej« [1]. I Kościół i państwo albo raczej hierarchia kościelna i państwowa mają pod względem religijnym jedno zadanie: pracować nad budową, nad rozszerzeniem i wywyższeniem królestwa Bożego tu na ziemi. Duchowieństwo potęgą modlitwy, hierarchia państwowa i wogóle ludzie świeccy potęgą miecza i administracyi. »Naszą rzeczą jest, pisze w r. 796 Karol Wielki do Leona III, w miarę pomocy miłosiernego Boga bronić na zewnątrz wszędzie potęgą miecza święty Kościół Chrystusowy przed napadem pogan i pożogą ze strony niewiernych, a wewnątrz umacniać wiarę katolicką i szerzyć oświatę religijną« [2]. I słowa te były hasłem charakterystycznem jego rządów.

Jaki udział w rządach społeczności Bożej przypada władzy świeckiej a jaki kościelnej, nie było ani ściśle ani w szczegółach określone, ale to pewna, że obie władze były — każda w swojej sferze — niezawisłe od siebie, że obie z natury rzeczy skazane były na współpracę w obrębie tej samej społeczności Bożej, że ich stosunek wzajemny winien być przyjacielski i przyjacielskie pomiędzy niemi panować porozumienie. Dlatego też raz po raz rozporządzenie kapitularne i synodalne na to przyjacielskie porozumienie przedewszystkiem zwracają usilnie uwagę: »Niech usiłują nawzajem po przyjacielsku się wspomagać« — czytamy w aktach synodalnych z Tours; »niech biskupi z komesami i na odwrót komesi z biskupami razem trzymają, ażeby każda strona w zupełności mogła spełnić obowiązki swego urzędu« — czytamy częstokroć i w kapitularzach i rozporządzeniach synodalnych [3]. Co więcej,

[1] Synod w Carisiacum 858, c. 15: »Suum regnum, id est ecclesiam, inter pontificalem auctoritatem et regiam potestatem gubernandum disposuit«. M. G. Capitul. II, 440. Synod w Diedenhofen 844, c. 2, M. G. Capitul. II, 114.

[2] »Nostrum est secundum auxilium divinae pietatis, sanctam ubique Christi ecclesiam ab incursu paganorum et ab infidelium devastatione armis defendere foris et intus catholicae fidei agnitione munire«. M. G. Ep. IV, 136. Porównaj nadto list papieża Zacharyasza do Pippina 747 r. M. G. Ep. III, 480.

[3] M. G. Conc. II, 291: Conc. w Tours 813 r. c. 33. Benedict Lev. Add. III, 86. M. G. Capitul. I, 158: Cap. Baiwaricum ca. 810, c. 4; M. G. Conc.

biskupi i komesi mają się nawzajem kontrolować [1]. I z tego zażyłego współdziałania i z tej wzajemnej kontroli a przedewszystkiem współzawodnictwa supremacyi jednej potęgi nad drugą wyniknąć musiały różne zatargi i spory, które z biegiem czasu razem z ekonomicznem ujarzmieniem duchowieństwa rozwinęły się w wiekowe walki papiestwa z imperyalizmem, wstrząsające średniowieczem.

Rządy Karola Wielkiego mają z jednej strony wszystkie cechy imperyalizmu religijnego.

On uważa się za głowę Kościoła, *rector ecclesiae* [2], za władcę wszystkich chrześcijan, *gubernator omnium christianorum*, za króla i kapłana w rodzaju starozakonnej teokracyi żydowskiej, *rex et sacerdos*. Karol Wielki jest »głową Kościoła jak państwa, mówi jeden z dzisiejszych historyków tej epoki, albo raczej głową biskupów jak komesów. Pomiędzy Kościołem a państwem bowiem on nie czynił różnicy. On poczuwał się do obowiązku zwalczać herezyę tak samo, jak niewiernych, bronić poddanych przed błędem tak samo, jak przed rozbojem, przed grzechami, jak przed zbrodnią. On poczuwał się do odpowiedzialności za ich wieczne zbawienie, podobnie jak za ich spokój doczesny. On kazał zapomocą swoich kapitularzy, on domagał się, żeby każdy umiał »Ojcze nasz«; on wprowadził znowu obowiązkowe małżeństwo religijne; on ogarnia całe społeczeństwo. Państwo jego jest rodzajem *Civitatis Dei*« [3].

Z drugiej strony jednak ten sam Karol Wielki mówi o sobie, że jego usiłowaniem było »wynieść święty Kościół rzymski na szczyt chwały«, *sanctae Romanae ecclesiae fastigium sublimare*

II, 296: Capitula Caroli M. e canonibus excerpta 813, c. 10; M. G. Conc. II 262, 252, 277, 290: synod w Moguncyi r. 813 c. 8, w Arles 813 c. 12, w Chalons 813 c. 20, w Tours 813 c. 33; Ludwika Pobożnego ammonitio 823—25 c. 12, M. G. Capitul. I, 305; Lotara i Karola conventus apud Valentinas 853 c. 6, M. G. Capitul. II, 76; Capitula Pistensia 869 c. 12, M. G. Capitul. II, 336; Ansegis I 59, II, 10, M. G. Capitul. I, 401, 416; Benedict. Lev. I, 240. M. G. LL. II.

[1] Ansegis II, 12. M. G. Capitul. I, 417.

[2] Kap. z roku 769, M. G. Capitul. I, 44; Libri Carolini, Migne 98, 1002. Alkuin do Karola 796. M. G. Ep. IV, 176, 282.

[3] Lavisse'a *Histoire de France*, t. II, str. 316 (Kleinclausz).

i »być powolnym zbawiennym napomnieniom najczcigodniejszego papieża Hadryana« [1]. A Alkuin, przyjaciel jego, pisze, opierając się widocznie na papieżu Gelazym, o równoważności dwu władz najwyższych: »Oddzielne są, mówi on, władza świecka i władza duchowna: tamta dzierży w ręku miecz śmiertelny, ta klucz żywota w słowie... wy kapłani macie z ufnością głosić słowo Boże, inni zaś winni pokornie słuchać i posłusznie wykonać wasze przykazy. Rzeczą książąt jest bronić was, a waszą pośredniczyć, aby była jedna trzoda pod jednym pasterzem, Bogiem Chrystusem« [2]. Jeden z synodów, który się odbył pod okiem Karola r. 786, daje napomnienie królom i książętom, »aby byli posłuszni ze serca... swoim biskupom, bo im powierzono klucze niebieskie [3]. On nazywa się »oddanym obrońcą Kościoła i pokornym jego pomocnikiem«, *devotus S. Ecclesiae defensor humilisque adiutor* [4]. On poleca komesom, sędziom i ludowi, żeby byli posłuszni biskupom [5]. Do zakresu bowiem ich urzędu należy przedewszystkiem żyć w zgodzie z biskupami i pomagać im w spełnianiu ich obowiązków [6].

---

[1] Libri Carolini, Migne t. 98, str. 1021: »Reverendissimi papae Adriani salutaribus exhortationibus parere«.

[2] Migne t. 100, str. 155: »Divisa est potestas saecularis et potestas spiritualis: illa portat gladium mortis in manu; haec clavem vitae in lingua... Id circo vos, sacerdotes, fiduciam habere debetis praedicandi, caeteri vero humilitatem audiendi, et oboedientiam faciendi, quae iubetis. Illi, id est saeculares, sint defensores vestri, vos intercessores illorum, ut sit unus grex sub uno Deo Christo pastore...« Ep. ad Aedilhardum, archiepiscopum Dorvensis civitatis, r. 793.

[3] M. G. Ep. IV, 23: »Ut obediant ex corde... suis episcopis, quia illis claves coeli dati sunt«.

[4] Baluz. I. c. I, 475. Pertz l. c. III, 33.

[5] Cap. Caroli M. e canonibus excerpta 813 c. 10: »Ut comites et iudices et reliquus populus oboedientes sint episcopo«. M. G. Conc. II 296; synod moguncki 813, c. 8; M. G. Conc. II 262; 847 c. 4, M. G. Capit. II, 177; Benedict. Lev. Add. III, 86, 97.

[6] Synod. r. 742 c. 5, M. G. Conc. II, 3. Kap. akwizgr. 825 c. 7, M. G. Capitul. I, 304: »Quia ad vestrum (comitum) ministerium maxime pertinet, ut... cum episcopis vestris concorditer vivatis et eis adiutorium ad suum ministerium peragendum praebeatis«. Ludwika Pobożnego ammonitio 223—25 c. 25, M. G. Capitul. I, 307; Ansegis II, c. 6, 23. Capitul. I, 416 419.

Synod zaś frankfurcki z roku 794 postanawia, żeby komesi stawili się przed sąd biskupi, *ad iudicium episcoporum*[1].

Jak sobie wytłumaczyć tę antynomię w postępowaniu i polityce Karola Wielkiego? Czy on na prawdę był jednym z »najświetniejszych i najpotężniejszych przedstawicieli«[2] Kościoła państwowego, czy też może tylko »zwolennikiem państwa przyszłego«, w któremby »Kościół do spółki z państwem pracował nad wprowadzeniem postulatów nauki chrześcijańskiej w obyczaj i życie ludów«[3]. Ideałem rządów Karola Wielkiego, mówią zwolennicy pierwszego poglądu, »był augustynizm t. z. w rządach jego królewskich zarówno jak cesarskich znalazły teorye państwowe dzieła *Civitas Dei* swoje odbicie i sprawiły, że obrońca Kościoła wciągnął Kościół w służbę państwa swego. Można powiedzieć, że Karol Wielki pierwszy świadomie pojmował *Civitas Dei* nie jako obywatelską społeczność Bożą, lecz jako »państwo Boże«.

Mniemanie błędne, bo na błędnej opiera się supozycyi, że augustyanizm polega na przeobrażeniu się Kościoła Chrystusowego w organizm państwowy[4]. Teorye bowiem kościelno-państwowe św. Augustyna, jak to już wzwyż wykazaliśmy, opierają się na dualizmie kościelno-politycznym, t. j. zupełnej autonomii społeczności Bożej i politycznej i na przyjacielskiem porozumieniu władzy duchownej z polityczną. Zresztą teorye te, w przyćmionych wyzierające zarysach z różnych dzieł i listów św. Augustyna, nie miały faktycznie, jak wzwyż wspomnieliśmy, ani tego wpływu ani znaczenia, jakie im powszechnie przypisują gorliwi obrońcy protestantyzmu i imperyalizmu niemieckiego. Opoką, na której budowano budowę kościelno-państwową średniowiecza, był

[1] M. G. Conc. II, 167; M. G. Capitul. I, 94. Waitz IV, 445. Porównaj postanowienie synodu w Toledo 589 r., które powierza biskupom kontrolę nad sędziami i urzędnikami: »Simul cum sacerdotali consilio autumnali tempore die calendarum Novembrium in suum conveniant, ut discant, quam pie et iuste cum populis agere debeant« (c. 18). Mansi XI, 997.

[2] Theo Sommerlad: *Die wirtschafliche Tätigkeit der Kirche in Deutschland*, t. II, str. 26.

[3] Kolde: *Das Staatsideal des Mittelalters. I. Seine Grundlegung durch Augustin.* 1902 Str. 18.

[4] Tak mniema Schmidt, Dorner, Gierke, Eucken, Sommerland, Reuter i inni.

wiekopomny list papieża Gelazego i jego jasne i autorytatywne określenia kościelno-polityczne.

Nam się zdaje, że warunki i atmosfera duchowa czasu tłumaczą nam dostatecznie imperyalizm religijny Karola.

Wyobraźmy sobie tylko wszystkie te ludy i plemiona germańskie, rozrzucone na olbrzymich obszarach zachodniej Europy, zaledwie trochę otarte z poganizmu i pogrążone głęboko w barbaryi. Ażeby je połączyć i zjednoczyć w spoisty organizm państwowy, ażeby z tego materyału ciemnego i surowego wytworzyć chrześcijańskie państwo światowe, trzeba było oprzeć się o potęgę Kościoła, który już spoistą i rozległą wzdłuż i wszerz świata całego posiadał organizacyę i jaśniał majestatem Boskiego początku i posłannictwa. Podwaliny więc uniwersalnego »świętego państwa rzymskiego« musiały być ściśle religijne i opierać się o Kościół i Rzym, który był »głową świata« i świat miał podbić w posłuszeństwo Chrystusowi. I stąd ten ścisły i zażyły związek dwu potęg, które nawzajem się wspomagały i popierały. W miarę bowiem rozszerzania się królestwa Bożego rosła i jego potęga, w miarę zacieśniania się świętych węzłów z papiestwem wzmagał się blask jego korony i potęga jego władzy. I dlatego starał się on tak bardzo o wyniesienie Stolicy św. i otaczał się chętnie biskupami i opatami i powierzał im najważniejsze misye i urzędy i wydawał za poradą papieża i biskupów ustawy. I dlatego tak bardzo leżała mu na sercu reforma kleru świeckiego i zakonnego, bo bez tej żywotnej pomocy wszystkie jego plany rozległe, zmierzające do odbudowania monarchii rzymskiej, spełzłyby na niczem. W ten sposób powstał w państwie frankońskiem i w zachodniej Europie żywotny i potężny czynnik kulturalny, który nowe rzucił fundamenta pod budowę nowych społeczności narodowych i gmach cywilizacyi chrześcijańskiej. Odtąd Kościół, zbrojny w siły niebieskie i bogaty w środki kulturalne państwa rzymskiego, na długie wieki wziął w swoje ręce religijne i kulturalne wychowanie ludów barbarzyńskich i z siedzib biskupich wytworzył miasta handlowe i ogniska kultury i z plemion barbarzyńskich wychował wielkie narody.

Że w tej polityce państwowo-kościelnej i pracy nad budową

państwa i upowszechnieniem wiary i kultury chrześcijańskiej Karol raz po raz wkraczał w dziedzinę władzy Kościoła i niekiedy w sferę dogmatów, to już było jakby nieuniknionem następstwem ścisłego sojuszu i jakby zlania się w jeden organizm religijno-polityczny państwa z Kościołem i rzeczą jego psychiki religijnej. Bo i to pewna, że Karol Wielki przypisywał sobie wielką misyę religijną w chrześcijaństwie, że wszystkie prawie jego wyprawy wojenne zmierzały do rozszerzenia Królestwa Bożego pomiędzy ludami barbarzyńskimi, że wszystkie zarządzenia jego miały na celu zaszczepienie i utrwalenie cywilizacyi chrześcijańskiej w duchu Kościoła. On czuje się wobec Boga odpowiedzialnym za dusze i zbawienie swoich poddanych i wydaje listy pasterskie do wiernych i rozciąga kontrolę nad klerem i reguluje nabożeństwa kościelne. On porównywa się chętnie z królem Dawidem albo Jozyaszem, który ongi w królestwie judzkiem zapoczątkował był potężny ruch religijny i zapomocą zbawiennych kar i napomnień wznowił dawną cześć prawdziwego Boga.

Że pobożne zapędy te i prace reformatorskie w życiu religijnem i kościelnem nie wywołały reakcyi i potężnego protestu ze strony papieża, tłumaczy się tylko tem, że one zawsze były podjęte w szlachetnej intencyi i z głębokiem rozumieniem spraw Bożych, że doradcami jego byli dbali o chwałę Bożą dygnitarze kościelni i w pierwotnych stosunkach państwowych on jeden tylko miał siłę po temu prowadzić dalej dzieło reformatorskie św. Bonifacego wśród plemion germańskich.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Rzecz o »Róży« Józefa Katerli.

Garść uwag.

Żadna z powieści, poświęconych omówieniu, czy odtworzeniu ostatniej rewolucyi w Królestwie Polskiem, nie daje nam dokładnego obrazu dziejowego tych tragicznych wypadków. Rzecz to zupełnie zrozumiała. Do dokładnego odtworzenia wypadku historycznego potrzeba źródeł zupełnie pewnych i wiarygodnych, potrzeba dokładnego poznania wszystkich czynników, które wywołały ten fakt historyczny, potrzeba również spojrzenia na ten fakt z pewnego, względnie objektywnego stanowiska, które pozwala na powstanie w umyśle piszącego sądów sprawiedliwych, nie spaczonych lub zabarwionych, nieraz może nawet wbrew intencyi piszącego, sympatyą lub antypatyą, wobec osób lub grup ludzi, którzy wspólnie z autorem brali udział czynny lub bierny w czasie wytwarzania się tego faktu historycznego.

Do tej doskonałości objektywnej nie może dojść prawie żaden autor, który opisuje fakt historyczny, przez samego siebie przeżyty, do którego rozwoju on sam, wraz ze zwolennikami swymi, przyczynił się, starając się nadać mu, taki a nie inny, kształt rzeczywisty. Mimo tego, nie może ulegać zaprzeczeniu, że dzieła pisane przez widzów lub uczestników jakiegoś faktu historycznego, mają swoją wartość, są one bowiem jednem ze źródeł potrzebnych do dokładnego poznania tej chwili, jednem ze źródeł tem wartościowszych, o ile autor potrafi wżyć się w daną chwilę jak najgłębiej i jak najobjektywniej,

chociaż prawie bez wyjątku, zupełna objektywność jest tu bezwarunkowo wykluczoną.

Co do »Róży« Żeromskiego, wydanej pod pseudonimem Józefa Katerli, to i ona, jak wszystkie dzisiejsze książki o rewolucyi w Królestwie, ma wartość tylko częściowego źródła oświetlającego ją z pewnego tylko, stronniczego punktu widzenia, stronniczego tem bardziej, że gorąca uczuciowość autora, mimo jego szczerości, mimo jego usiłowań zrozumienia stanowiska różnych stronnictw i różnych ludzi, na to mu nie pozwoliła, zaś upadek rewolucyi przepoił go taką goryczą i pesymizmem, iż uniemożliwił mu wytworzenie sądu możliwie objektywnego, a nie hipersubjektywnie jednostronnego.

Mimo to »Róża«, jako dzieło talentu pierwszorzędnego, posiada niezaprzeczoną wartość, będąc dokumentem literackim danej chwili, który, po usunięciu przez bacznego czytelnika błędów stronniczości partyjnej, daje obraz uczuć wstrząsających duszami i sercami tych, którym danem było przeżywać tragiczne dzieje rewolucyi.

O tem, że subjektywizm, i na jego podłożu powstały wspaniały liryzm, a niejednokrotnie sąd niesprawiedliwy, lub, z powodu pesymizmu Żeromskiego zgrzyt niemiły, a czasem potworny, są składowemi częściami ostatniej pracy Żeromskiego, świadczy już i zewnętrzna forma »Róży«.

Jest to »dramat niesceniczny«, składający się z prologu i epilogu, oraz siedmiu »Spraw«. Pomiędzy »Sprawę« pierwszą a drugą wstawia autor trzy »Obrazy«. Wszystkie te części razem, mimo swych rozlicznych nazw, tworzą właściwie kalejdoskopowy chaos rozmaitych momentów rewolucyi, związanych nader luźno osobą bohatera utworu Czarowica i niejasnym symbolem, który autor ochrzcił mianem Bożyszcza. Kalejdoskopowe te części w architektonicznym swym kształcie są bardzo różne i rozmiarami i wartością literacką, świadcząc o swem wybuchowem niemal powstaniu pod piórem autora. Nieraz szczegół ważny bywa jedynie zaznaczony, nieraz znów sympatya lub antypatya autora względem jakiejś postaci lub jakiegoś objawu psychicznego czy społecznego, każe mu poszczególną »Sprawę« rozszerzać do niepotrzebie wielkich rozmiarów, obciążonych, a nawet przeciążonych najrozmaitszymi dodatkami dydaktycznymi lub socyologicznymi.

W tem dziele może najwyraźniej zarysowuje się, już nawet w jego kształcie zewnętrznym, odrębność i właściwość wielkiego talentu a także i skazy talentu Stefana Żeromskiego.

Jest on lirykiem tak wybuchowym, tak subjektywnym, że nie zdoła on stworzyć architektonicznej równowagi w swym utworze, nie panuje on nad swym materyałem, ale przeciwnie materyał zdaje się nim rządzić, co stwarza dodatnią stronę jego utworów, to jest ich bezwzględną szczerość, ale zarazem i ich bezsprzeczną wadę, to jest nieproporcyonalność architektoniczną poszczególnych części utworu, oraz z powodu przewagi liryzmu ultrasubjektywnego, tę ich ujemną stronę, jaką jest jednostronność, a nawet dziwna nieraz, w niemoc przechodząca, niezdolność oddzielenia tego, co jest etycznie wstrętnem, od tego, co jest etycznie bez zarzutu.

Jeżeliby chodziło o krótkie określenie i charakterystykę »Róży«, to zdaje się, najłacniej nazwaćby ją można nieartykułowanym krzykiem bezgranicznej rozpaczy człowieka szalejącego w bólu niewysłowionym.

Z tej przyczyny »Róża« nie posiada właściwie tego, co rozumiemy pod treścią, pod fabułą utworu literackiego. Jest to raczej szereg wizyi nieraz oślepiająco jaskrawych, nieraz trwających sekund kilka, a nieraz wizyi trwalszych, acz mniej wyraźnych, gdyby zamglonych, a dławiących jak długotrwała zmora senna. W tym chaosie momentów składających się na poszczególne »obrazy« i »sprawy«, trudno skutkiem tego wyłowić to, co jest zgodnem z przekonaniami i poglądami samego autora, co charakteryzuje jego własny sposób myślenia, jego własny światopogląd, i oddzielić od tego, co jest krytyką czy to osób, czy stronnictw, czy kwestyi jemu niesympatycznych.

Wielcy ludzie zwykle, a takim jest Żeromski, mimo wszelkich »ale«, mają fanatycznych zwolenników i fanatycznych przeciwników. Ci fanatyczni zwolennicy, w bezgranicznem uwielbieniu, mówiąc o »Róży«, twierdzą, że bohaterem jej jest Polska, czyli, że w utworze tym autor zobrazował wszystkie uczucia wstrząsające współczesną Polską. Otóż twierdzenie takie jest wręcz fałszywe i przesadzone. Przedewszystkiem każdy naród współczesny składa się z najrozmaitszych warstw społecznych, a więc z arystokracyi, burżuazyi, chłopów, proletaryatu i t. d., i z rozmaitych stronnictw politycznych. Jeżeliby Polska była bohaterem »Róży«, natenczas musiałby autor przedstawić w swym utworze wszystkie warstwy i wszystkie stronnictwa dzisiejszej Polski z jednakowym objektywizmem, uwzględniając złe i dobre strony każdej warstwy i każdego stronnictwa, a na tej podstawie dopiero budując, mógłby wygłaszać swe sądy i stawiać hipotezy na przyszłość. Otóż

tego faktu w »Róży« niema wcale. Jest rzecz ogólnie polska w »Róży«, a tą jest uczucie patryotyczne, wypełniające jej karty, — ale autor stoi na bardzo ciasnem stanowisku jednej partyi politycznej tylko, ją oświeca dokładnie, dla innych zaś partyi i warstw ma tylko uczucie hipersubjektywnej goryczy, a nawet pogardy. A przecież nikt, najbardziej uprzedzony, nie powie, że »polska partya socyalistyczna«, czyli tak zwani »bojowcy« są całą Polską, że poza tą partyą nie ma społeczeństwo dobrych patryotów, ludzi zasłużonych, ludzi zdolnych do jak najdalej idących poświęceń, acz program polityczny »bojowców« nie jest zgodny z ich przekonaniami, nawet wręcz przeciwny ich przekonaniom.

Tak więc, jeżeliby chodziło o konieczne wyszukanie »zbiorowego bohatera« w »Róży«, to mogłaby nim być jedynie »polska partya socyalistyczna«, z którą autora najściślej, zdaje się, łączą nici sympatyi.

Wobec tego, sądzę, że nie bardzo się pomylimy, jeżeli jakość przekonań samego autora zidentyfikujemy z przeważną częścią poglądów i zapatrywań Czarowica, będącego w »Róży« przedstawicielem »bojowców«, a zarazem najwybitniejszą postacią utworu...

Jakim jest ten Czarowic? — zapytujemy — przyglądając się jego czynom i analizując jego myśli, po kartach »Róży« rozrzucone.

Jest to przedewszystkiem romantyk i fantasta, wplątany w chaos dzisiejszych prądów, romantyk uczuciowy bardzo, pragnący uczucia swe przyoblec w szaty rzeczywistości, przetworzyć w czyny, które (jak wierzy w chwilach zapału) doprowadzą go do osiągnięcia politycznego swego ideału.

Ale temu zapałowi Czarowica towarzyszy i idzie za nim jak cień rzeczywistość, ze swem złem, ze swą małością, swym praktycznym rozsądkiem przystosowania się codziennie do zmieniających się okoliczności, i ona to niweczy jego zapał, jego wiarę w zwycięstwo idei, i rzuca go w otchłań rozpaczy, która wywołuje ataki, pełne szalonej niesprawiedliwości, na przeciwników, lub na osoby nie podzielające w każdym szczególe zapatrywań Czarowica. I pozostają Czarowicowi dwie rzeczy. Jedną z nich to fanatyczna, niesprawiedliwa nienawiść do każdego i wszystkiego, co jemu choć w części przeciwne, oraz gorycz pesymizmu, a wreszcie jako zbawcza recepta instyktownego, odruchowego niemal pędu do utrzymania się w pewności, że jednakże droga przezeń wyznaczona była dobrą, pewną i prowadzącą

do celu, wiara w cud, wprawdzie nie w cud dawnej daty, niemodny w czasach pozytywnych, to jest w cud, zdziałany mocą sił nadprzyrodzonych, ale w cud dokonany ręką człowieczą, pomysłem jednostki, tak jak gdyby najgenialniejszy czyn jednostki był w stanie, od jednego zamachu, zmienić to, co się zmienić nie da działaniem jednostki, ale jedynie powolnem, zbiorowem działaniem wszystkich niemal jednostek, warstw, stanów i stronnictw, składających się na dany naród.

I dlatego Czarowic zamknięty w więzieniu, wraz z Zagozdą, nie może się zgodzić na jego męską cierpliwość, na jego poczucie własnej siły, na jego pewność, że ani więzienie, ani zesłanie, ani Sybir, ducha jego, jego przekonań, jego zamiarów ani zgnębić, ani zniweczyć nie zdołają.

»Nie uznaję doli! — mówi Zagozda. — Jestem szermierzem wiecznie walczącym. Walczę z ideami, z tłumami wrogów i z tłumami tych, za kogo walczą. Nie poddaję się wrogowi nigdy, przenigdy!... Nie ustąpię ani jednego z mych żądań, ani jednego strzępka mojego świętego sztandaru!... Niemasz wątpienia!«...

Czarowic nie ma w sobie tej niezachwianej mocy, przez którą dla człowieka niczem się staje więzienie, katorga, posielenie, bo on wie, że one to tylko krótkie przystanki na drodze, którą sobie wytknął, — a z której ani na cal w manowce zwątpienia nie zejdzie.

— »Puśćcie mnie, kraty! Puśćcie mnie! Puśćcie mnie kraty — woła z wściekłością Czarowic, szarpiąc kraty więzienne. — Mam do wykonania niezmierny ogrom prac. Czas mi ucieka... Mam od końca do końca naród polski przeorać«...

Ale te kraty, te mury więzienne przełamie dopiero zewnętrzna moc Bożyszcza, a nie nieugięta wola Czarowica, przedtem zaś, w dyalogu pomiędzy Czarowicem a upiorem zdrajcy Anzelma, gdy kuszący, demoniczny Anzelm na pamięć mu przywiedzie postać Krystyny, zapomnie Czarowic o tem, że ma »przeorać całą Polskę«, i zażąda od Anzelma »wina demonów«, które, jak sądzi, dozwoli mu dowiedzieć się, gdzie jest w tej chwili Krystyna, co czyni, i czy o nim myśli...

I dopiero Bożyszcze obudzi na nowo zapał w hamletyzującej duszy Czarowica i obaliwszy mury więzienne, wywiedzie go na wolność, by dalej zamysły swe w czyny przekształcał...

A jakież są te »czyny« Czarowica?...

Najpierw widzimy go w olbrzymiej hali fabrycznej, w której rozliczne odłamy partyi socyalistycznej, to jest kosmopolityczne i na-

rodowe, toczą ze sobą dyskusye programowe, (sposobem zaczerpniętym z ulotnych pisemek proletaryackich), nie mogąc się zgodzić na jedno, i czynią sobie wzajemne wyrzuty.

A Czarowic, romantyczny fantasta, acz szermujący frazesami zaczerpniętymi z słownika pozytywistów, a Czarowic poeta, ale nie »bojowiec« (chociaż takim chce go mieć Żeromski), w chwili, gdy należy, gdy rozum polityczny to nakazuje, gdy powinno się porwać wszystkich za sobą, — jest to bowiem czas rewolucyi, a Czarowic jest »bojowcem« — aby zdobyć jak największą ilość zwolenników dla swej idei, Czarowic czyni wyrzuty wszystkim proletaryuszom, nawet uzasadniona, ale wypowiedziane zupełnie w porze niestosownej, chyba dlatego tylko, aby odepchnąć od siebie tłumy robotnicze, zamiast je dla swej sprawy pozyskać, czyni im wyrzuty, że przydarzało się mu widzieć takich robotników, »którzy wydusiwszy z fabrykanta niebywałą zapłatę, po dwie brali sobie utrzymanki, a bawili się niemi tylko do czasu ciąży. Potem je wyrzucali na bruk« ...

»Musicie i wy — woła on — przez honor proletaryacki! zrzec się prawa do hulatyki i rozpusty«.

A na to tłum, oburzony kazaniem, wypędza go okrzykiem: Wynoś się raz nareszcie, idealisto, mnichu, kozłowito! Kładź na się kajdany i więzienny strój!

... Również działalność Czarowica, — któremu tu pomaga w odtrącaniu od siebie rodaków dziecinnie naiwnym pomysłem Bożyszcze, — podczas odczytu, w rocznicę powstania, wygłoszonego przez endeckiego prelegenta, dziwnie jest fantastycznie romantyczną, zamiast by miała być politycznie dojrzałą. Oto gdy na ekranie, podczas ukazywania obrazów świetlnych, widzimy obraz z Polonii Grottgera, gdy nastrój jest taki, że »w ciągu sekundy trwa zjednoczenie intelligencyi, posiadaczów, rzemieślników, chłopów w uniesieniu«, w chwili, gdy wszyscy mogliby o sobie powiedzieć: »My, — to Polska!«, wtedy w miejsce obrazu z Polonii wstawia Bożyszcze najpierw postać ociekającego krwią powstańca, ściganego przez bandę chłopów polskich, a następnie obraz okrutnego karania chłopa chłostą przez dziedzica. A więc zniweczoną jest chwila zjednoczenia wszystkich serc polskich, a rzuconą w nie nawzajem niechęć, nieufność i nienawiść. Ale Czarowic dodaje z patosem: »Należy być młodym Tobiasza synem, wyszukać żółć we wnętrznościach ryby i żółcią trzeć oczy ślepego ojca, żeby światło ujrzały. Niewola leży w nas samych« ...

Czyż te dwa przykłady nie wyjaśniają, (wbrew może nawet in-

tencyi samego autora), że bohater jego jest w całem tego słowa znaczeniu fantastą, a nie człowiekiem czynu, który powinien porwać za sobą tłumy, by wieść je do walki o osiągnięcie swego celu?

Czyż te dwa kaznodziejskie wybuchy, w hali fabrycznej i podczas odczytu, którymi Czarowic odstręcza od siebie rzesze robotnicze i rzeszę uczestników odczytu nie są postępkiem fantasty, szkodzącego własnej sprawie, acz te same kazania, wypowiedziane w porze innej, ale nie w porze, kiedy gromadzić należy wszystkich, łączyć cementem zapału, zamiast różnić między sobą i odtrącać od siebie, byłyby nawet może wskazane i zdrowe dla polskiego społeczeństwa.

Tak jak Czarowic postępuje naiwny, zapalony młodzieniaszek, ale nie postępuje tak ten, który ma pretensyę do prowadzenia mas rodaków do walki o wolność.

Że zaś, w dalszej konsekwencyi, Czarowic, aby przerazić filisterstwo i egoizm arystokracyi i plutokracyi podczas balu, (pierwowzorem miał tu być autorowi jeden z balów »Sztuki« w Warszawie), ukaże im jako jedną z masek, skazańca ze stryczkiem na szyi, po tem cośmy powiedzieli, nie zdziwi zapewne nikogo.

Fantasta pozostanie fantastą.

A następnie widzimy Czarowica w biurze policyi tajnej. W oczach jego mordują zbirzy moskiewscy Osta, (do sceny tej powrócimy), jego samego biją agenci prowokatorscy na rozkaz naczelnika, albowiem nie chce wydać wspólników zamachu. Potem wtrącony do więzienia, ucieka zeń Czarowic wraz z Danem, potem nad morskim brzegiem, (zapewne po ucieczce z kraju), dysputuje z Bożyszczem, wreszcie gdzieś na wsi u brata swego romansuje z Krystyną i zabiera swą część milionowej (!) dziedzicznej fortuny, by za te pieniądze założyć zakład wychowawczo-szkolny własnego pomysłu, wreszcie wraz z Danem próbuje w Szwajcaryi siły jego wynalazku, zapomocą którego można palić całe armie nieprzyjacielskie, wreszcie niszczy podczas rewii tymże przyrządem armię moskiewską i sam ginie...

Takie są dzieje bohatera poematu, którego zapatrywania należy identyfikować z zapatrywaniami autora. Dziejów tych nie podałem dokładnie, jeno w ich głównej linii, chodzi mi bowiem nie o treść, ale o kość pacierzową utworu a tą są czyny i rozmyślania Czarowica.

Zaznaczyłem już, i podkreślam raz jeszcze, że Czarowica uważam za romantyka-fantastę, postępującego tak, jak mu przedewszystkiem uczucie nakazuje; że zaś te uczucia wzrosły wśród gwaru haseł pozytywnych, wśród naporu krytycyzmu dni dzisiejszych, dlatego Cza-

rowic, acz romantyk-fantasta, jest nieraz zwątpiałym Hamletem, nieraz zgorzkniałym pesymistą, — ale nigdy człowiekiem, który zdoła widzieć dobro i zło w ich równoczesnym przez świat pochodzie, człowiekiem, który nie tylko przez swe uczucie, ale i z powodu swej równowagi myślowej; powołanym jest do tego, by rzeczywiście pługiem ideału przeorał leżącą odłogiem ziemię polską tak, aby wykwitnąć na niej mogły kwiaty wolności narodowej...

Ale do tego należy nie tylko mieć swój ideał, ale i umieć czuć i działać tak, aby ten ideał w rzeczywistość zamienić się musiał. A w tym celu musi się przedewszystkiem wypiastować w duszy, nie tylko na drodze gorących odczuwań, ale i na drodze filozoficznych rozważań, musi się wypiastować Moc i Hart, bo tylko tak powstała Moc zdolną jest naród porwać za sobą, i być tą siłą, która wiedzie, nie drogą pozytywistycznego cudu, ale drogą konieczności do zwycięstwa...

A tej Mocy niema w duszy Czarowica, szlachetnej i prawej, ale pełnej wahań duszy nowoczesnego Hamleta. I dlatego Czarowic zamiast wszystkie siły narodu skupiać i ześrodkowywać, by uczynić je taranem, który przemoc zwalić musi, będzie te siły od siebie odpychać, słuszną w części, ale nie będącą w chwili stosownej wygłoszoną zgryźliwą prawdą. I zostanie Czarowic niemal sam, — i wreszcie autor przerażony, chcąc ratować swego bohatera, stworzy dlań zbawienie w cudzie, którym jest maszynka Dana. Niestety jednakże ci, (na co tyle dowodów daje tekst »Róży«), których dusze żre jad pesymizmu, jak rdza żelazo, ci tylko w fantazyi mogą być wodzami i zbawcami narodu, — — w rzeczywistości zaś są jeno zmarnowanymi Hamletami...

»... Poznał w nieomylnem przejrzeniu, że stojąc na wysokości wolnego polskiego ducha, nie jest i nie będzie nigdy złączony, ani z temi zbiorowiskami ludzi, ani z żadną na tej ziemi jednostką. Widział doskonale zaród zgnilizny od początku i brud narosły pod wzniosłemi hasłami — i to zarówno pod wstecznemi, jak pod najbardziej skrajnemi... Dobrze to pojmował w tej chwili, że się zawiódł na wszystkich, którym najbezwzględniej ufał... Nie mógł dostrzedz żadnego spoidła, któreby plemię polskie zjednoczyć mogło...«

Ten pesymizm Czarowica (tak jaskrawo bijący w oczy w powyż podanym wyimku), który identyfikuję z pesymizmem Żeromskiego, nabiera w odniesieniu do naszego genialnego pisarza tem większych cech

prawdopodobieństwa, skoro skonstatujemy, że w ogólności pesymizm panuje niemal na każdej kartce »Róży«, że odzywa się przez usta prawie każdej postaci odtworzonej w tym utworze. Widzi się i czuje, że Żeromski przedewszystkiem zdolny jest do odczuwania tego wszystkiego, co jest złe, w stopniowaniu aż do potworności, aczkolwiek nie znaczy to wcale, aby to zło pochwalał, a co, niestety, często wobec nizkich objawów życia zachowuje się z niewytłumaczalną rezerwą, a fascynująca moc słowa, z jaką właśnie najniższe instynkty ludzkie odtwarza, powoduje fakt bezsprzecznie szkodliwy dla umysłów mniej krytycznych, które skutkiem tego identyfikują nieraz zło z pięknem etycznem.

Tę fascynującą moc słowa okazał Żeromski w »Dziejach grzechu« przy odtwarzaniu Ewy Pobratyńskiej, gdy dusza jej staje się, w drugiej części powieści, splotem i chaosem zbrodni i dobrych porywów, tę fascynującą moc okazał Żeromski, odtwarzając postać Zborowskiego w »Dumie o hetmanie«, — tę fascynującą moc słowa okazuje Żeromski stwarzając postać Anzelma w »Róży«.

Anzelm, to jeden ze zdrajców-prowokatorów, których wytworzyły męty rewolucyi. Ci zdrajcy w rzeczywistości rekrutowali się albo z grona jednostek moralnie najniżej upadłych, wydających swych braci w ręce zbirów dla dźwięku judaszowego złota, lub w celu uniknięcia tortur, stosowanych względem więźniów politycznych, albo też z jednostek pod względem psychicznym patologicznych, o chorobliwych, wrodzonych instynktach zbrodniczych. Takie jednostki wypływają gdyby pleśń obrzydliwa na powierzchnię każdej rewolucyi, przeto takich jednostek nie była pozbawioną i ostatnia rewolucya w Królestwie Polskiem.

Tłum tych zdrajców-prowokatorów odtworzył świetnie Żeromski w Sprawie drugiej »Róży«, podając rozmaite typy z »pod trzech zaborów« tych zbrodniczych egzystencyi.

Ale jednym z prowokatorów zajął się Żeromski szczególnie pilnie, ochrzcił go mianem Anzelma i przetworzył w jakąś postać na poły demoniczną, uzbroił go w sofistykę i filozofię specyalną, łagodzącą swą suggiestywną mocą najpotworniejszą zbrodnię, i kazał mu nawet, w celu obudzenia współczucia, powoływać się na to, że czynił on tak, albowiem musiał ratować zbrodnią synka od śmierci głodowej.

Przyznaję, i sądzę, że przyzna to każdy, że podziwiać należy talent autora, który zdołał postać szpiega-prowokatora przekształcić w jakąś siłę fatalną, w jakąś postać demoniczną, — ale podkreślić na-

leży, że ta, modna dziś, sprawa usprawiedliwiania wszelkiego zła, wszelkiej potworności w sposób najbardziej wyrafinowany, powoduje, że ludzie mniej wytrawni zatracają powoli granicę, jaka zachodzi pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy szlachetnem a podłem, znajdując w tak odtworzonych postaciach dla siebie wzory usprawiedliwiające ich własny brak etyki, ich własny daltonizm na to, co jest złem, a co dobrem. A pojęcie zła i dobra, acz ulega ewolucyi, jak każdy wytwór umysłu ludzkiego, egzystować musi i egzystować będzie mimo chaotyczności dzisiejszych na tę kwestyę poglądów...

Dlatego zaś nie mogę usprawiedliwić Żeromskiego, jako myśliciela, nie jako artysty, acz tyle siły wytężył stwarzając postać Anzelma, albowiem skutkiem tego prowokator-Anzelm, mimo wykrzyku Bożyszcza: »Idź precz, — słupie błota, synu pianicy!«, występuje na przód, i przytłacza swą demoniczną zbrodniczością inne postacie dodatnie pod względem etycznym w »Róży«. A to jest ze stanowiska wpływu pod względem etycznym książki na mało krytycznego czytelnika, (a takich jest najwięcej), bezwarunkowo szkodliwem.

Podobnie przedstawia się w »Róży« postać Krystyny, drugiej najwybitniejszej może postaci w utworze Żeromskiego.

Jeżeli pobieżne traktowanie Ewy Pobratyńskiej z »Dziejów grzechu« pozwala, usunąwszy na bok wszelkie nieprawdopodobieństwa, składające się na jej dzieje, na współczucie wobec jej nieszczęść życiowych, to tego faktu niema, skoro przyjrzymy się postaci Krystyny.

Etyka Krystyny, mimo sofizmatów niektórych pseudokrytyków, popędzających frazesy biczem ukręconym z frazesów, tak jest potworną, tak przeciwną wielkiemu prawu miłości, że tu należy przypuścić chyba jakiś błąd fatalny ze strony poety, popełniony w gorączce tworzenia, jakiś błąd fatalny, który autor następnie pragnie w sposób dziwaczny naprawić, rehabilitując to, co się zrehabilitować nie da.

Posłuchajmy tylko cierpliwie sofizmatów samej Krystyny, wypowiadanych wprost w oczy człowiekowi, który ją kocha i którego ona »kocha«.

»...Ja jestem s t r a s z n a, n a d c h o d z ą c a kobieta. Chcę mieć czarującą bieliznę, tak cudną bieliznę z Maison blanc, żebym się w niej sama sobą mogła zachwycać. Chcę mieć suknie, któreby zwracały uwagę na Ringach i przed paryską operą, kapeluszę, czyniące z nas podobieństwo kwiatów, perfumy, zmuszające do marzeń. Muszę mieć

automobil, kufry do podróży, jak Duse, jeździć sleepingami zadumana, półsenna... Będę wprowadzała w modę woale, piękniejsze, niż woale Bellincioni, będę zawsze w zimie w Paryżu, na wiosnę w Rzymie, latem nad oceanem, albo w górach. Dla mnie musi być świat, miasta z tysiącletnią przeszłością i bajeczną, nowoczesną kulturą, cudowne morza Nicei i Raguzy i góry siwe od śniegu. Dla mnie wynalazki głodomorów i komfort w pocie wydoskonalony przez lokajów. Ja nie chcę światu służyć, lecz chcę, żeby on mi służył. Wszelkie idee służenia światu chętnie i bez pretensyi odstępuję żydówkom, Rosyankom i rodaczkom, które cierpią...«

Dotąd nic nowego. Tylko po co nazywać »nadchodzącem« i »strasznem« to, co jest »dawnem« i »płytkiem«. Przecież takie pawie natury znajdujemy często wśród kobiet, i frazes: »jestem straszna, nadchodząca kobieta«, w ustach Krystyny, jest frazesem, który wywołuje uśmieszek ironii u każdego, gdyż każdy wie, że takich pawic znajdujemy (niestety) dosyć pośród kobiet wszystkich warstw, od najniższych do najwyższych, i pośród kobiet wszystkich czasów, bodaj czy nie od czasów pierwotnych począwszy. I co dalej jeszcze. Tę przewagę pawiego usposobienia w naturze kobiecej, wytworzoną anormalnością stosunków społecznych, które nakazywały wciąż i nakazują dziś jeszcze po części (wbrew teoryi) uważać kobietę za przedmiot raczej, aniżeli za człowieka równego duchowo mężczyźnie, tę przewagę pawiego usposobienia, ludzie, starający się wznieść na wyższy stopień etyczny i kulturalny, potępiają i starają się ją wyplenić i wykorzenić.

A jak postępuje w tym wypadku Żeromski?

On, (zapomniawszy o swej »Siłaczce«) będzie w dekadentyzmie swym szukał dla obrony Krystyny paradoksów zwyrodnienia etycznego, a na usprawiedliwienie przyczepi i jej wymówkę wygodną, że do tej potwornej bezetyczności zmusza ją miłość — dla s z t u k i. (!)

Posłuchajmy tylko cierpliwie:

»To też ja obmyśliłam tak, żeby właściwie sztuki nie profanować sprzedawaniem, lecz raczej sprzedawać siebie«.

A więc miła Krystyna uważa spieniężanie wykonanych, (a raczej mających być wykonanymi) przez siebie obrazów za coś niezmiernie podłego, tak podłego, że raczej należy sprzedawać siebie, aniżeli sprzedawać wytwory swego talentu, i przez to zarobić na kawałek uczciwego chleba.

»Sprzedam się za drogie pieniądze jako kobieta, a raczej jako niewinna dziewica, gdyż dziewice są najdroższe. Mając kilkadziesiąt

tysięcy rubli rocznie, będę mogła tylko malować dla siebie, nikomu tego, co namaluję, nie pokazywać, nie »wystawiać« w tych »salonach« i »zachętach«, malować tak, jak zechcę«.

Cytujemy jeszcze dalej:

»— A jeżeli panią rzuci ów pierwszy?

— No, to znajdę drugiego.

— A jeżeli ów drugi zrzuci panią ze schodów swego domu, jako rzecz kupną, która mu obmierzła?

— Znajdzie się inny... gdyż ja jestem bardzo piękna. Sama się dziwię... Gdyby pan miał możność zobaczenia mnie w kąpieli, musiałby pan przyznać...«

Ale chcę być sprawiedliwym do ostatnich granic cierpliwości krytycznej, i stawiam kwestyę tak: Nikt (przypuśćmy) nie ma prawa krępowania autora w wyborze tematu; jeżeli chce on odtworzyć postać potworną w swym utworze (dowodem »Lady Mackbet«, »Balladyna« i t. d.), niech ją odtwarza, byle tylko przez to nie stanął, usprawiedliwiając lub broniąc to, co się usprawiedliwić i obronić nie da, w sprzeczności z etyką, odróżniającą człowieka od najniżej stojącego zwierzęcia.

Czy przynajmniej tak jest u Żeromskiego?

Nie. U niego nawet tak nie jest, — i to przedewszystkiem wywołuje gniew, wstręt i oburzenie. Niech sobie będą Krystyny, do licha. Wszelka, najbardziej chorobliwa i najbardziej niemożliwa podłość możliwą jest na tym naszym miłym świecie. Przeciw tym objawom społeczeństwo broni się więzieniem, zakładem dla obłąkanych, a wreszcie stryczkiem lub gilotyną, — ale wara komukolwiek, nawet Żeromskiemu, zaprzęgać taką Krystynę do sprawy niepodległości, wara mu, z równoczesnem plunięciem w twarz śliną pogardy wszystkim warstwom i wszystkim stronnictwom, czynić z takiej Krystyny bojowniczkę o wolność narodu i o podniesienie jego moralne...

Jeszcze słów kilka o Bożyszczu, którego ja, mimo motta z Shelleya na karcie tytułowej »Róży«, jako symbolu zrozumieć nie mogę.

Że pod postacią Bożyszcza nie należy rozumieć siły nadprzyrodzonej, rzecz to jasna. Żeromski zanadto tkwi w pozytywizmie, materyalizmie i filozofii nauk przyrodniczych niedalekiej przeszłości, zanadto jest zrośnięty z dogmatami nieomylności tych kierunków, by usiłował stworzyć w Bożyszczu jakąś nadprzyrodzoną siłę.

W każdym razie, jakkolwiekby się przyjęło Bożyszcze, czy jako

»duszę danego człowieka na tle całej dotychczasowej duszy ludzkości«, czy jako »dajmoniona«, czy jako jakiegoś »Króla-Ducha«, czy wreszcie jako »Głos Boży«, — musi się skonstatować chwiejność i niezdecydowanie twórcy w ujęciu tego symbolu, a to z tego powodu, że owa wielkość Bożyszcza, wielkość w obejmowaniu myślą spraw nieraz najbardziej zawiłych i chaotycznych, wielkość w wskazywaniu dróg właściwych, załamuje się nieraz fatalnie i Bożyszcze objawia wtedy wady bardzo pospolite, bardzo zwykłe wśród najprzeciętniejszych ludzi.

Mam tu na myśli, prócz innych punktów, jego dziecinnie-naiwne zmienianie obrazków w latarni magicznej podczas odczytu, jego kuszenie Czarowica nad brzegiem morskim, w której to chwili Bożyszcze schodzi nagle do poziomu zwykłego, legendarnego szatanka, jego parobczańskie borykanie się z Czarowicem na tymże brzegu, i wreszcie jego, iście kobiecą pasyę występowania w każdej »Sprawie« w coraz to innym, teatralnym kostyumie.

Ale dość zarzutów! — Od nich, które, ze względu na troskę o zdrowie duszy polskiej, zdawały mi się konieczne, przechodzę do tego, co mimo wszelkich zarzutów, pięknem jest i wielkiem w »Róży« Żeromskiego.

Podkreślałem i podkreślam raz jeszcze, że podstawą piękności poszczególnych ustępów w utworach Żeromskiego jest przedewszystkiem przedziwny jego liryzm. Siła wybuchowa uczucia genialnego pisarza przepaja dziwnym czarem momenta jego utworów, daje im suggiestywną moc słowa, która w czasie czytania utworu, i długo jeszcze potem, czarodziejską swą mocą panuje nad czytelnikiem i nie pozwala mu spojrzeć wzrokiem zimnej analizy krytycznej na przeczytane karty.

Stąd pochodzi rozbieżność sądów o Żeromskim. Stąd jedni, których uderza tylko jednostronność i pesymizm Żeromskiego, potępiają go i niedoceniają, inni zaś, wrażliwsi, ulegający czarowi jego słowa, widzą tylko światła, strony estetycznie dodatnie, a nie widzą miejsc etycznie ujemnych w jego utworach.

Na stanowisku pośredniem, poważnem i zgodnem z prawdą, usiłowałem stanąć rozpatrując twórczość Żeromskiego w świetle jego ostatniego utworu.

I dlatego mimo krytykowania światopoglądu Żeromskiego, nie mogę, i nie usiłuję wcale zamykać oczu na to, co jest pierwszorzędnej piękności na kartach »Róży«.

Powiedziałem już, że całą »Różę« można uważać za nieartykułowany, niezależny niemal od woli człowieka, krzyk rozpaczy. Brzozowski, bezbarwnemu swemu szkicowi o »Róży« dał dobry tytuł, zapożyczony od Ujejskiego: »Skarga to straszna...« I rzeczywiście ten sam żar rozpaczy, który przesyca utwór Ujejskiego, stanowi zasadniczą cechę książki Żeromskiego.

I stąd pochodzi siła i piękność tak wielu ustępów »Róży«, piękność estetyczna, wśród której przeraźliwym zgrzytem odzywa się światopogląd Żeromskiego dla narodu naszego, nie z powodu braku patryotyzmu autora bynajmniej, ale z powodu jego zniechęcenia, jego braku wiary w istnienie utajonych sił w narodzie polskim, z powodu jego braku woli do oddzielenia złego od dobrego, dla narodu i dla zbiorowej jego duszy, zły i szkodliwy.

Ale te wszystkie zarzuty nie obalą i nie obalają piękności niektórych momentów »Róży«, piękności jakim równych mamy bardzo niewiele we współczesnej literaturze polskiej. Nie sposób w krótkiej rozprawce cytować wszystkie piękne i przepiękne ustępy »Róży«. Z konieczności muszę jedynie wskazać na te, które pięknością swą, a przedewszystkiem mocą swą, występują w swej wspaniałości na plan pierwszy.

Jedną z takich scen, jest torturowanie chłopa-bojowca Osta w biurze tajnej policyi moskiewskiej przez szpiclów-prowokatorów, na rozkaz naczelnika tej policyi. Gdy Oset nie chce wydać uczestników zamachu, wtedy w wstrząsającym obrazie, przewyższającym swą grozą opisy Dostojewskiego, ujrzymy katowanie Osta przez szpiegów.

»Agent Chrypa podchodzi cichaczem z tyłu do Osta i uderza go pięścią w lewe ucho. Oset, oszołomiony, zatoczył się bezwładnie na prawo między grupę szpiegów, którzy z ław wstali i zbliżyli się do balustrady... Agent Dąsik uderza go pięścią w prawe ucho i odtrąca od siebie. Oset zatoczył się w lewą stronę. Agent Stasiek uderza go w głowę z tyłu i rzuca bezwładnego na balustradę. Oset przez chwilę obwisł z bezwładnemi rękoma na balustradzie«.

Albo:

»Szpieg Dąsik bije go raz w raz w piersi. Chrypa uderza go pięścią w zęby. Szpieg, zwany Szlachcicem, wymierza mu straszliwy policzek. Oset w tańcu, straszliwem kołem toczy się i wlatuje w tłum szpiegów. Ci go uderzeniami w skronie odtrącają od siebie i podają jedni drugim. Oset biega wkoło, wciąż padając i cudacznie podskakując od ciosów. Wśród szpiegów szczery śmiech...«

A jednak ta straszliwa męka nie wyrwie ani słowa zdrady

z piersi polskiego chłopa, jeno dopiero przerażenie, że w gronie swych katów znajduje dawnych towarzyszy-bojowców, wyrwie ze skatowanej jego piersi te straszliwe, znamienne, chłopskie, bohaterskie słowa:

»Są tu... dawne towarzysze...

Zbawicielu! Zbawicielu!

Padam do nóg jeich... dawnych towarzyszów... Dopraszam się łaski... Jako że już z tego miejsca nie wyjdę. Syna mam, chłopaka małego, Michałka. Jedynaście ma lat. W Kielcach. We fabryce się spytać. Michał imię, jedynaście ma lat. Przez polską mowę proszę i przez dawną pamięć... Jako że pana Czarowica nie znam i na oczy nie widziałem... Więc polskie ludzie obecnie proszę i przez polską mowę zaklinam... Żeby zaś na szpiega nie wyszedł... Zbawicielu! Zbawicielu!... Święte słowo mu zanieść«...

A po prośbie, skierowanej do katów, wybuchnie:

»Nic wam, psie krwie, moskiewskie wychowanie, nie powiem! A ty! Zbawicielu, Zbawicielu! — daj do samego końca w honorze!...«

Takiem jest najsilniejsze miejsce w »Róży«, mocą swą, grozą swą, dantejskim swym obrazem działające tak potężnie, zestawiając okrucieństwo przemocy z nieprzełamalną potęgą duszy polskiego chłopa, że ustęp ten wzmaga w każdym, bez względu na jego przekonania polityczne, mściwy gniew przeciw podłości despotyzmu, przeciw upadlaniu człowieka przez człowieka...

Miejsc słabszych od zacytowanego w wyimkach, mimo to bardzo silnych, jest w »Róży« bardzo wiele. Stworzył je wybuchowy liryzm Żeromskiego, stworzyło je głębokie jego uczucie, i ten talent genialnego poety, który czyni, że nieraz zgodzić się z nim nie można, że nieraz wystąpić przeciw jego poglądom należy, ale zawsze podziwiać go się musi...

Chciałbym uwagi moje nad »Różą« Żeromskiego, a raczej nad ostatnim okresem jego twórczości, zamknąć jakąś syntezą, jakiemś wyjaśnieniem hipotetycznem, dlaczego takiemi a nie innemi drogami posuwa się jego twórczość.

Że tak, a nie inaczej przedstawia się twórczość Żeromskiego, oprócz danych biograficznych, życiowych, których nie znamy, złożyło się na to wiele przyczyn. Najważniejsze z nich chcę podkreślić.

Pamiętajmy o tem, że niezwykła uczuciowość, ten dar wrodzony, nie nabyty, są zasadniczą podstawą psychy Żeromskiego. Ten zasadni-

czy pierwiastek, wrodzony mu, w zetknięciu z przyczynami zewnętrznemi, wytworzył to, co stanowi obecną psychę twórcy — Żeromskiego.

A przyczyny te zewnętrzne były następujące: materyalizm filozoficzny i wpływ półkultury i półwiedzy państwa rosyjskiego.

Podkreślamy, że materyalizm pozytywistyczny, wciąż napierający na duszę Żeromskiego, a nawet pozornie nim owładający, że ten pozytywizm, marki specyalnie warszawskiej, to jest dziwnie jednostronny i fanatyczny, którym Żeromski się przejął jeszcze na progu swej twórczości, właściwie jest wręcz przeciwny najistotniejszej, nieznanej świadomości samego Żeromskiego, treści jego duszy, której znamieniem nostalgia rozpaczliwa do piękna, do dobra, do ideału.

A ta utajona walka materyalizmu z idealizmem musiała wytworzyć nastrój w duszy poety, i stąd pesymizm Żeromskiego, będący widomym znakiem tej walki pomiędzy utajonemi pragnieniami jego duszy, a pomiędzy tem, co mu dała »wiedza« przezeń nabyta, wiedza czerpana ze źródeł przeciwnych jego najwewnętrzniejszym tęsknotom.

A dalszym wynikiem tej walki w duszy Żeromskiego, w której raz ta, to znów ta ze stron walczących odnosi chwilowe zwycięstwo, jest brak stałych, sformułowanych, pewnych postulatów filozoficznych i etycznych w światopoglądzie Żeromskiego. Przyczynia się do tego w znacznej mierze chaos dzisiejszych poglądów na zasadnicze zagadnienia etyczne i społeczne, i brak u Żeromskiego, pod ich naporem, siły, do wytyczenia sobie drogi własnej, drogi, po której filozoficzna myśl jego stąpaćby mogła, bez zwątpień i wahań, krokiem pewnym.

Przyczynia się także do tego w znacznej mierze wpływ półkultury i półwiedzy, w jakiej pogrążona jest dzisiejsza Rosya, nawet w swych najintelligentniejszych przedstawicielach, co tak dowodnie wykazuje Jabłonowski w swej książce »Naokoło Sfinksa«, a co za pośrednictwem szkoły rosyjskiej w Królestwie, nauki i literatury rosyjskiej, tak ujemnie wpływa na dusze polskie. A wiadomo, że literatura rosyjska, (wpływ jej na Żeromskiego nieraz bardzo jest widoczny), mimo swej pozornej świetności, pełną jest, nawet w swym anarchizmie, niewolnictwa i chorobliwego dekadentyzmu.

Krótko streścimy te dane w jednym obrazie: powiedziećby można, że Żeromski podobny jest do tytana zabłąkanego w gęstwie jakiejś nieprzebytej puszczy, z której to gęstwy cienistych krzewów i lepkich ziół trujących usiłuje się wydostać, ale nie wiedząc w którą stronę należy mu się rzucić, by gęstwę krępującą go rozerwać, rzuca się na oślep, to w tę, to w ową stronę, bo nie ma tego wzroku wyjątko-

wych geniuszy (Mickiewicz), który sięga ponad więzy, zasadzki i pułapki dzisiejszej chwili, i spostrzega, poza całą gęstwą, drogę pewną, wiodącą na szczyt wyśnionego ideału...

Adam Stodor.

Wyspiański, cechy i elementy jego twórczości. *Adam Grzymała Siedlecki.* Kraków. Nakł. księgarni D. E. Friedleina. 1909. Str. 239.

W pozagrobowem swem życiu, jakiemkolwiek ono jest, musiał mieć Wyspiański trzy jasne, promienniejsze od innych momenty. Pierwszym było umieszczenie w kościele franciszkańskim witrażu z wizerunkiem św. Salomei; drugim, wystawienie na scenie krakowskiej »Nocy listopadowej«; trzecim wreszcie, *las not least,* chwila opuszczenia prasy drukarskiej przez książkę p. Adama Grzymały Siedleckiego.

Głębokie zrozumienie genialnego umysłu, wniknięcie w przewodnie idee autora »Wesela«, stopienie się, zlanie po prostu z jego ukochaniami – czyni książkę czemś więcej, niż są zwykłe studya literackie. Piękność słowa, szczery talent pisarski krytyka podnoszą ją do znaczenia wysokiego samą przez się, bez względu na jej stosunek do omawianego przedmiotu.

Zapewne nie jest to komentarz popularny do dzieł Wyspiańskiego: czytelnik książki p. Siedleckiego m u s i poetę z n a ć. Ale znającemu krytyk otwiera całe horyzonty, ukazuje perspektywy najgłębsze i najdalsze. Uczy go rozumieć na prawdę — i stokroć więcej — bo uczy go kochać.

Omawiana książka składa się z ośmiu rozdziałów, które w układzie swym zarówno obejmują całość życiorysu duchowego Wyspiańskiego, jak i dają ośm naczelnych właściwości jego twórczości.

Rozdział I nosi nazwę: Liryzm Krakowa. Tutaj poruszono te wszystkie nici, które wiązały malarstwo i poezyę Wyspiańskiego z historycznością Krakowa. Autor zwraca uwagę na związek Wawelu z dziecięcemi laty poety, który urodził się w domu Długosza, u stóp zamku. W powiązaniu dzieciństwa Wyspiańskiego z sentymentem wawelskim widzi autor książki rozwiązanie niejednej ciemności czy dziwności w utworach Wyspiańskiego, niejeden jego upór artystyczny, mieszający Wawel z motywami greckimi, tłumaczy taki a nie inny układ ideowy »Bolesława Śmiałego«, koncepcyę »Akropolis« i »Skałki«. W tym samym rozdziale analizuje i wykazuje autor wpływ dwóch potężnych indywidualności: Szekspira i Matejki na twórczość Wyspiańskiego. Zaznaczywszy wreszcie, jak już za młodych lat, drogą upo-

dobań czysto malarskich, zapadało w duszę Wyspiańskiego temperamentowe tło późniejszego »Wesela«, p. Siedlecki stara się w twórczości poety wykazać ton pewnej synowskiej serdeczności, która otula każde wspomnienie, każdy motyw krakowski: »Jak po portrecie matki Rembrandta, tak po krakowskiej sztuce Wyspiańskiego pozna każdy bez ochyby, że to jest pieśń o macierzy«.

Rozdział II obejmuje biograficznie lata paryskie Wyspiańskiego, i poddaje psychologicznemu rozbiorowi przełom artystyczny, jaki rozegrał się w usposobieniu Wspiańskiego podczas pobytu w Paryżu. Wyspiański jedzie do Paryża w celach wyłącznie malarskich, o twórczości poetyckiej nie marzy jeszcze. Być może, że hypnotyczne wpatrzenie się w Matejkę opóźniało w Wyspiańskim uświadomienie dramatopisarskie: pragnął być za młodu drugim Matejką, iść jego drogą. W Paryżu rozpoczynają się tęsknoty poetyckie. Autor książki o Wyspiańskim stara się dotrzeć do wszystkich źródeł tej tęsknoty. Z korespondencyi Wyspiańskiego do Rydla wydobywa wszystkie możliwe wskazówki w tym względzie, zestawia je biograficznie i psychologicznie i rekonstruuje ówczesny zapładniający entuzyazm poety dla teatru. Pan Siedlecki stawia hipotezę, że najsilniejszem źródłem dramatopisarstwa autora »Wesela« był jednak nie dramat, lecz opera; wykazuje następnie pochop Wyspiańskiego do pisania librettów, oraz dziedzictwo tradycyi operowych na jego pierwszych utworach scenicznych. Gdy Wyspiański po »Legionie« wyzbył się tradycyi i techniki operowej, pozostała jednak głębsza konsekwencya tego źródła: »muzyczność dramatów Wyspiańskiego. Każdy z dramatów tych ma swój odrębny rytm muzyczny, jakby na innym instrumencie wygrany i dobre wykonanie teatralne musi do tej muzyczności się dostosować.

Przechodząc od zewnętrznych źródeł dramatyczności Wyspiańskiego do wewnętrznych, wynikających z usposobienia twórczego, autor monografii zwraca uwagę na halucynacyjność natchnienia poety i na specyficzną wrażliwość, którą nazywa liryzmem wspomnienia w twórczości Wyspiańskiego. »Tradycyjny napis na pierwszej stronie dramatu: rzecz dzieje się w .... w sztukach Wyspiańskiego odnosi się do tego miejsca, w którem dramat był po raz pierwszy w myśli poety poczęty. »Wyzwolenie nie mogło nigdzie indziej być »ujrzane«, jak tylko za kulisami teatru krakowskiego«. »Akropolis« byłaby więc wspomnieniem o tych rozmyślaniach nad dziejami Illionu, snutych u stóp Wawelu. »Noc listopadowa« nosi piętno wspomnienia pobytu w Łazienkach; »Wesele« ma znowu swój liryzm osobistego wspo-

mnienia i t. d. Dla przykładu przeprowadza p. Siedlecki hipotezę powstawania »Nocy listopadowej« w godzinę zachwytu nad pięknością Łazienek, owego uroczego parku Stanisława Augusta w Warszawie i wykazuje jak objektywne elementy tego zachwytu: pejsaż i nastrój jesieni, szum drzew, aleje posągów z bóstwami greckiemi i t. d. stają się zwolna *dramatis personae* »Nocy listopadowej«. Ta właściwość tworzenia się dramatów Wyspiańskiego sprawia, że wolne od wszelkich przepisów jedności. akcyi, miejsca, czasu — mają one swoją odrębną jedność, którą p. Siedlecki nazywa »jednością wzruszenia«.

Rozdział III nosi nazwę »Skala uczuć narodowych«. Jest on obszerną analizą listu Wyspiańskiego pisanego z Rheims, który w swoim czasie drukował *Przegląd Powszechny*. W rozdziale tym rozkrawa p. Siedlecki warstwę tego tragizmu polskiego, który owija każde niemal dzieło Wyspiańskiego, »polonizujące tragicznie« nawet tematy zaczerpnięte z obcych dzieł, obcych cywilizacyi. W rozwojowym biegu owego rozdziału wskazuje monografia na łączność Wyspiańskiego z patryotyzmem romantycznym Mochnackiego i Mickiewicza, i analizuje obszernie »Legion«, ów dramat mający Mickiewicza za bohatera. Bo w rozdziale tym przeprowadza p. Siedlecki studyum nad polskością Hektora w »Achilleis« a zwłaszcza w »Akropolis« i przy tej sposobności stawia definicyę Wyspiańskiego, jako heroicznego trubadura utopii. Ukochanie utopii widzi krytyk w każdej idei poety. To ukochanie właśnie tworzyło także »Wesele«. Przeprowadziwszy szereg udowodnień wielkiego, wyjątkowego napięcia patryotyzmu w duszy Wyspiańskiego, kończy p. Siedlecki rozdział określeniem, że »Wyspiański w swojem pokoleniu był tym, który uczucia narodowe pragnął na nowo podnieść do wyżyn religii«.

Rozdział czwarty, to obraz rozterek wewnętrznych, jakie przechodziła twórczość Wyspiańskiego, dążąca do znaczenia wieszczego, usiłująca wlać w naród poczucie siły i niezłomności, a sama związana z melancholią i bólem pokolenia pogrobowców. Tragizm, wynikający z różnicy między ideałem a rzeczywistością, odbija się w »Weselu«. P. Siedlecki wykazuje, jak pod wpływem poczucia tego tragizmu załamuje się bezwzględność idei »Wesela« — i jak przez to dramat staje się z utopijnego ludzkim. Druga część tego rozdziału i początek następnego daje próbę powiązania idei »Wesela« z ideą »Wyzwolenia«. Komentarz ten w ocenach krytycznych książki p. Siedleckiego wywołał u entuzyastów Wyspiańskiego pewnego rodzaju zastrzeżenia: autor twierdzi bowiem, że »Wyzwolenie« wyzwolone jest z idei jakiejkolwiek

walki z romantyzmem, a jest spowiedzią sumienia artystycznego, spowiedzią z osobistych tragedyi, bolesnych rozmyślań nad losami »Wesela« w społeczeństwie polskiem. Egzegeza »Wyzwolenia« nie przypomina zatem ani jednego z poprzednich a tak licznych komentarzy tego dramatu, jest zupełnie od nich niezależną; źródło pomysłu tego dziwnego i niedość jasnego utworu upatruje w zasadniczych usposobieniach twórczych Wyspiańskiego, które poprzednie rozdziały poruszyły, i stara się tą drogą odtworzyć proces powstawania »Wyzwolenia«. Szczupłe ramy sprawozdania nie pozwalają karta za kartą streszczać komentarza p. Siedleckiego, tak że gwoli poznania tego rozbioru musimy czytelnika odesłać wprost do jego pracy. Zasadniczem dążeniem było udowodnić, że słynny wykrzyk w »Wyzwoleniu«: »Poezyo, precz! — jesteś tyranem!«, odnosi się nie do Romantyzmu, lecz do poznania wyrafinowanego estetyzmu, który Wyspiański w sobie odczuwał, a który stawał jakoby w poprzek jego pragnieniom misyjnym. Poczucie owo stawiało artystę »w więzi sztuki«.

»W więzi sztuki«. Taki jest tytuł następnego rozdziału, w którym krytyk gromadzi dowody umiłowania fanatycznego sztuki. Rozdział ów daje pracy p. Siedleckiego sposobność do wyjaśnienia niejednej cechy zagadkowej, czasem dziwacznej w talencie Wyspiańskiego. Krytyk na licznych przykładach wykazuje, jakie poszczególne łamy cywilizacyi artystycznej, które epoki i prądy zestrzeliwały się w upodobaniach twórczych »Achilleis« i w jakiej formie przenikały się później w jego dziełach. Obszernie i z naciskiem poruszona tu też sprawa preponderancyi marzeń nad rzeczywistością w natchnieniu Wyspiańskiego z zastrzeżeniem, że marzenie jego kierowało się najchętniej w stronę sztuki, w stronę Aischylosów, Velasquezów, Witów Stwoszów, najradośniej przebywało w krasomówczych dlań dziedzinach posągów, rzeźb, obrazów, fresków, wizyi lektury, i z nich snuło — więcej niż z ludzi — wyobrażenia o ludziach. Z tego powodu człowiek w dramacie Wyspiańskiego jest zawsze koturnowy, posągowy, wywyższony, nawet wtedy, gdy przeszywa go satyryczne spojrzenie autora. »Wszystko, co zdolen był ukochać — kończy p. Siedlecki — musiało być piękne. Kategoryą piękna było dlań nawet pojęcie Ojczyzny. Poprzez próg estetycznego uzasadnienia przechodziła dla niego każda miłość. I to tylko co ukochał przez piękno, było jego rzeczywistością. Budowniczy piękna w Polsce w XX wieku — miano Wyspiańskiego«.

Rozdział VI traktuje o stosunku Wyspiańskiego do teatru, o jego

zdolności reżyserskiej i organizacyjnej, i o wpływie tych zdolności na jego twórczość dramatyczną.

Rozdział VII, zatytułowany »Smutek twórczy«, rozpoczyna obszerny traktat o duchowym gatunku Wyspiańskiego-człowieka. Autor monografii kładzie tu nacisk na wysokość moralnych pierwiastków w twórczości Wyspiańskiego, na jego idealizm chrześcijański, na jego myśl, związaną z zagadnieniami bytu pozagrobowego. Tu znajdzie czytelnik obszerny komentarz »Skałki«, wysnuty z założeń o cechach duchowych Wyspiańskiego.

»Rodowód z XVII w.« — tak nazywa się ostatni rozdział pracy p. Siedleckiego. W rozdziale tym poruszona jest w dalszym ciągu kwestya tej samej żarliwości moralnej w usposobieniu Wyspiańskiego. Autor monografii widzi w Wyspiańskim takie samo wstrząśnienie w sprawach sumienia, jakie było przewodnią myślą uczuciowości XVII stulecia. Zestawiając twórczość poety, zwłaszcza »Klątwę«, z dziełami filozofów tamtych czasów, krytyk rzuca tezę, że dzieje duszy bohatera »Klątwy« dają obraz wstrząśnień, pytań, wątpliwości i męczarni religijnej ludzi z XVII stulecia. »Klątwa« a wraz z nią Wyspiański staje jako zwierciadło tych oddalonych umysłowości naszych pradziadów. Określiwszy w ten sposób jakość moralnych zagadnień w twórczości Wyspiańskiego, autor nazywa go polskim Calderonem.

Ostatni rozdział uzupełniony jest krótkiem zakończeniem, które obok analizy »Sędziów« daje zreasumowanie wszystkich założeń autora z ośmiu kolejnych rozdziałów. Sądzimy, że treść ich — krótko powyżej podana — mówi sama za siebie.

Książka jest rozumna, dobra i piękna — i jest radosnym wypadkiem literackim. Jej głęboka uczuciowość i uczuciowa głębia wprost muszą radować, jako objaw prawie wyjątkowy wobec tylu, tylu powierzchownych ocen i sądów. Pozbawiona płytkiego entuzyazmu, jest przejęta od krańca do krańca najszczerszą, najżywszą miłością dla wielkiego poety i — wielkich źródeł jego natchnienia. Powtarzamy: jest — czy byłaby — źródłem wielkiej dla Wyspiańskiego radości.

M. Ruszczyńska.

Z piśmiennictw obcych.

Histoire de l'inquisition en France. T. I. Les origines de l'inquisition. *Th. de Cauzons.* Paris. Blond. 1909.

Pisaliśmy parę lat temu [1], omawiając dwie książki traktujące o inkwizycyi, że »historya inkwizycyi, to rzecz do zrobienia«, że jednak coraz bliżej jesteśmy tego celu, bo zwłaszcza od lat paru temat ten wielu historyków zajmuje. Wyrobić sobie bezstronny sąd o inkwizycyi to jest dążenie tych, którzy szczerze w ostatnich czasach zabrali się do rzeczy, a do nich należy autor, którego obecnie omawiamy. Obronić inkwizycyę w tem znaczeniu, by przemawiała ta instytucya do naszego przekonania dzisiejszego, to rzecz niemożliwa. Słusznie zauważa autor we wstępie: »Czy sposób patrzenia na rzeczy naszych rówieśników lepszy jest, niż poglądy naszych przodków? Chcę w to wierzyć do pewnego stopnia, jeżeli mogę tem ucieszyć czytelników. Ale nasi przodkowie tych poglądów nie mieli, nie mogli się zatem nimi kierować. By dobrze osądzić ich czyny, trzeba się postawić na ich miejscu, patrzeć ich oczyma, myśleć ich umysłem, i pytać się, cobyśmy byli uczynili, gdybyśmy żyli wśród nich«. Dzisiejsze poglądy niewiele tu dokażą, i nigdy nie przestanie inkwizycya być środkiem agitacyjnym dla mas w walce przeciw Kościołowi, w ręku ludzi złej wiary. Jeżeli zaś chodzi o sąd uczony, sąd bezstronny, chce do niego doprowadzić nasz autor w swojem dziele, którego pierwszy tom mamy przed oczami. Nie chce być apologetą inkwizycyi, jak sam zaznacza, lecz jej historykiem, o ile możności bezstronnym, że zaś tę bezstronność zachował do końca w tym pierwszym tomie przynajmniej, o tem świadczy choćby fakt, że czytając jego dzieło, trudno poznać, czy ma się do czynienia z katolikiem, lub z człowiekiem stojącym poza Kościołem [2], i tylko w niektórych przypiskach zdaje się za katolika podawać (np. str. 42). Mimo to już ten tom pierwszy choć, jest tylko ogólnym rzutem oka na początki inkwizycyi (nie omawia przeto ani szczegółowo jej procedury, ani pojedynczych trybunałów) może być najlepszą obroną Kościoła dla ludzi nieuprzedzonych, których może doprowadzić do sądu, jaki sam autor sobie o niej wyrobił. Mówi o tem we

[1] *Przegląd Powsz.* t. 99, str. 97, nn.

[2] Za takiego ma autora recenzent z *Stimmen aus Maria-Laach*, r. 1909, zesz. ostatni.

wstępie: »Kościół rzymski, wielka matrona, liczący wieków już pra wie dwadzieścia nie mógł w długiem swem życiu powstrzymać wszystkich uczuć czysto ludzkich, które niekiedy wtargnęły do serca tej córy Chrystusowej. Płaszcz jego niekiedy zdawał się rozrywać wobec gwałtownych ciosów własnych jego dzieci. Jak to się dzieje i w rodzinach najszlachetniejszych, niecierpliwość ogarnęła niekiedy tę sędziwą matronę wobec uporu i niepoprawnych błędów dzieci swoich. Karciła je za srogo zapewne, bo pomarli, nie zawsze roztropnie, skoro nie zdołała ich poprawić, bez spokoju i słodyczy, jakiej się spodziewać można było, skoro wraz z winnymi i niewinnych ukarała albo ludzi dobrej wiary. Czyż dla tych ludzkich błędów mamy zapomnieć o Boskiem posłannictwie tej matki, zapomnieć o jej zasługach... i żywić dla niej wieczną nienawiść?«

Zapuszczając się w treść tego pierwszego tomu, który jest tylko, według zdania samego autora, wstępem niejako do właściwej historyi inkwizycyi we Francyi, zaznaczyć musimy, że w nim obfitości nowego materyału nie znajdujemy, lecz tylko ujęcie w jedność tego, co już tu i ówdzie dawniejsi pisarze o inkwizycyi zaznaczali, ujęcie jednak bardzo trafne, bo wykazujące, jak inkwizycya nie była wytworem kilku papieży średniowiecznych z Wielkim Innocentym na czele, lecz że powoli gotował się do niej grunt przez same stosunki i prawa, tak, że jakby niespostrzeżenie wyłoniła się za Grzegorza IX. I ten pogląd nie nowy, mieliśmy nawet sposobność o nim wspomnieć przy omawianiu dziełka ks. Vacandarda [1], przyznać trzeba jednak, że i materyał zawarty w zbyt może licznych cytatach, i rozkład całego przedmiotu rzecz czyni gruntowną i zajmującą.

Więc naprzód rozwija się przed naszymi oczyma pogląd Kościoła na sprawę nawracania do wiary, który w ciągu wieków w zasadzie pozostał niezmieniony (r. I.). Inaczej zaś co do heretyków (r. II) Widzimy, że tu od początku Kościół nakładał kary nie czysto duchowne, a po prześladowaniach, gdy państwo zaczęło uważać obronę Kościoła za swoją sprawę, występują kary coraz cięższe na heretyków już w państwie rzymskiem, choć wtedy Kościół bierną raczej grał rolę. Po czasach przejściowych wędrówek narodów, występują państwa średniowieczne tak ściśle złączone z Kościołem, że muszą uważać jego sprawę za swoją własną, więc i tu występowanie przeciw heretykom objawia się wszędzie. Kościół skutkiem roli, jaką teraz odgrywa, nie

[1] Na wyżej podanem miejscu.

jest już tylko biernym czynnikiem w całem tem prawodawstwie, które wreszcie kończy się na sankcyonowaniu kary śmierci na stosie za herezyę, przyjętej już od dawna przez opinię ogólną.

Następnie (r. III.) mamy przegląd sądownictwa średniowiecznego w sprawie herezyi; wykazuje autor braki sądów biskupich raz skutkiem złej woli biskupów, czyto skutkiem samych stosunków feudalnych, które były w tem wielką zaporą. Stąd wyniknęła (r. IV.) konieczność ustanowienia inkwizycyi, osobnego trwałego sądu papieskiego. Wreszcie widzimy (r. V.), jak władza świecka, »ramię świeckie«, jak je nazywano, idzie w tem z Kościołem ręka w rękę, jak wykonywa według swych przepisów, kontrolowanych przez Kościół, kary *(animadversiones debitae,)* które heretyków zatwardziałych prowadziły na stos.

Tak więc, kończy nasz autor, Kościół około r. 1230 uzbrojony jest, jak rycerze w stal okuci; wszystko posiada, co potrzebne do zwycięskiej walki. Nie będzie to walka bez miłosierdzia, zawsze znajdzie heretyk pokutujący drogę powrotną; ale jeśli nie chce się chwycić pokuty, musi być usunięty. Jak się zaś skrystalizowała procedura cała, jakiemi otoczono ją ostrożnościami, by była sprawiedliwą, z tem każe autor czekać do drugiego tomu.

Warto jeszcze podać pogląd autora (w przypisku str. 488, nn.) na niektóre kwestye, tyczące się inkwizycyi. Naprzód co do karania herezyi wogóle sądzi, że w kraju, który na wierze zasadza cały swój porządek i jedność, trudno dozwolić herezyi, by się szerzyła bez przeszkód. Z tego stanowiska ocenić trzeba inne kwestye. I tak kara śmierci mogłaby być słuszną, gdyby odpowiadała charakterowi religijnemu społeczeństwa ówczesnego, co jednak trudno przyznać wobec praw ewangelicznych, które miały być podstawą prawodawstwa średniowiecznego. Co do innych okrucieństw sądzi autor, że wobec heretyków niektórych, którzy niejeden gwałt, niejedną zbrodnię mieli na sumieniu, nie można było wprowadzić poszanowania praw i porządku w średniowiecznych czasach bez odpowiednio srogich kar. Byłoby wprawdzie bardziej pożądane, gdyby Kościół był zostawił państwu samemu stosowanie tych kar, ale wobec ścisłej łączności państwa i Kościoła trudno było jednemu działać bez drugiego. Co do celu, jaki sobie stawiali przed oczy papieże, można przypuścić, i słusznie, że byli przekonani, iż działają dla dobra społeczeństwa chrześcijańskiego; w rzeczy samej jednak często chodziło tylko lub przeważnie o utrzymanie pierwszeństwa stolicy apostolskiej, a tu żałować należy, że stosy płonące były środkiem do osiągnięcia tego celu. W każdym razie

skutek pokazał, że środki te nie były dostosowane do celu, powstrzymały wprawdzie przez czas jakiś, ale nie zniweczyły wielkiej rewolucyi religijnej, która miała niebawem nastąpić.

Takie są poglądy autora, na które nie we wszystkiem godzić się trzeba, przyznać jednak musi każdy po przeczytaniu jego książki, że myśli szczerze i chce tylko wyświetlenia prawdy. Możnaby mu zarzucić poglądy niekiedy mniej prawdziwe, zaczerpnięte z dzieł protestanckich, zwłaszcza w niektórych przypiskach służących do objaśnienia treści, może czasem niepotrzebnie i bez ścisłego związku z całością wyciąga fakty ujemne, zdawałoby się, jakby lubując się w przypominaniu błędów hierarchii kościelnej. Ale to są sporadyczne usterki, całość robi wrażenie dzieła bezstronnego, ściśle historycznego i pisanego ze znajomością rzeczy, stosunków średniowiecza, i, czego niestety taki brak u protestanckich pisarzy, ze znajomością katolicyzmu.

Po tym pierwszym tomie spodziewać się można, że w następnych wykona rzeczywiście autor swój zamiar, napisania bezstronnej historyi inkwizycyi.

Ks. Józef Sawicki.

1. **Handbuch zur Biblischen Geschichte.** *Dr. I. Schuster* und *Dr. J. B. Holzammer.* 2 Bände. 8-vo (XLIV+2054). Freiburg und Wien. Herdersche Verlagshandlung.
2. **St. Augustins Schrift De consensu evangelistarum...**
3. **Die Inspirationslehre des hl. Hieronymus.** Von *Dr. Ludwig Schade.* Freiburg und Wien, 1910. Herdersche Verlagshandlung. 8-vo. (XVI+224).
4. **Euangelium Gatianum.** Edidit J. M. Heer. Friburgi. Brisgoviae 1910. Herder. 8-vo. (LXIV+188).
5. **Das Buch des Propheten Sophonias,** erklärt von *Dr. Joseph Lippl.* Freiburg und Wien. 1910, Herdersche Verlagshandlung. 8-vo. (XVI+140).

1. Znakomity, po naszej stronie jedyny p o d r ę c z n i k — czem innem książka być nie chce — do studyum Pisma św. wyszedł po czterech niespełna latach w nowem, siódmem wydaniu, powiększonem, jak sam o sobie głosi, a dodać należy, że i ulepszonem. W takiej książce postęp w tym kierunku polegać może nie na zasadniczych zmianach, lecz na stronie raczej formalnej, mianowicie, jeśli podręcznik postąpił naprzód jako podręcznik. Tę pochwałę bez zastrzeżeń oddać mu należy w najnowszem wydaniu. Naprzód bowiem nie pomi-

nął prawie niczego, co się w nim znaleźć powinno, a to już dużo znaczy wobec ogromnej liczby strasznie nieraz zawiłych zagadnień biblijnych naszej doby. Wydawca kwestyę stawia zawsze jasno, tak, że szukający od razu wie o co się rozchodzi. Rozumie się, że książka zajmuje prawie zawsze ściśle określone stanowisko wobec danej kwestyi, na podstawie zasadniczego punktu widzenia, nakreślonego w obszernym wstępie (str. 1—103), który w wydaniu 6 obejmował tylko 52 str. Przybyły tu rozprawki: o objawieniu i natchnieniu, objawieniu i ewolucyi, o piękności Biblii; historya badań oryentalnych jest rozszerzona, a w ustępie o stosunku historyi biblijnej do nauk świeckich rozwodzi się dr. Selbst nad zagadnieniami takiemi jak: gatunki literackie, indywidualność autorów biblijnych, ich stosunek do źródeł, »ciche« cytacye, panbabilonizm, duplikaty biblijne. Dobre wrażenie robi tu spokojne, nieuprzedzone, pełne wyrozumiałości rozważanie twierdzeń nowych, które nieraz jedna dosadna i cięta uwaga stawia w należytem oświetleniu. Tak n. p. wobec ciągłych utystkiwań nowszej krytyki na »niezliczone« sprzeczności w opowiadaniach biblijnych, zupełnie słusznie powiada Selbst za A. Scholcem: »Krytyka, zajmująca się tylko odszukiwaniem sprzeczności, nie posiada tak znowu wielkiej wartości naukowej. Bo autorowie czy redaktorowie ksiąg biblijnych, których, nie mówiąc już o darze natchnienia, musimy sobie przedstawiać jako ludzi mądrych i uczonych, musieli chyba tak samo dobrze widzieć »owe sprzeczności«, jak i krytycy dzisiejsi, a skoro je mimo to zostawili, nie usuwając ich, to tem samem dali do zrozumienia, że to nie są sprzeczności, i że jest rzeczą rozumnej i starannej egzegezy, pogodzić je z sobą« (str. 83). Nowe są także we wstępie partye »introdukcyjne« o wiarogodności i nieskazitelności tekstu, o kanonie i kwestya o Pentateuchu, jest znamienne, że to zagadnienie zaliczone jest do zasadniczych. Sprawa Pentateuchu załatwiona jest po myśli ostatniego orzeczenia komisyi bibl. To znaczy, że Pentateuch słusznie nazywa się dziełem Mojżesza, bo Mojżesz zostawił po sobie pisaną torę, ale też Jozue i Samuel i Dawid i Salomon i niektórzy królowie przyczynili się do tory Izraela; wreszcie Ezdrasz ogłosił całe prawo izraelskie i uczynił je podstawą religijnego odnowienia Izraela po niewoli. Ezdrasz jest ostatecznym redaktorem i wydawcą naszego Pentateuchu. To są główne zarysy dziejów Pentateuchu i zawartego w nim prawodawstwa; po właściwościach języka i treści można w naszym Pentateuchu rozpoznać rozmaite części jego składowe. Ale analiza »źródeł«, uprawiana przez t. zw. wyższą krytykę, nie znajduje łaski w oczach

autora. Po wstępie idą już właściwe swego rodzaju »komentarze« do poszczególnych materyi biblijnych, zawsze sprowadzone do najnowszego stanu badań nad danym przedmiotem. Niepodobna ich przytaczać ani streszczać w krótkim referacie, bo wypadłoby może polemizować, a na to niema miejsca. Zresztą sam podręcznik w niejednej kwestyi chce raczej tylko referować i informować, a po dalsze szczegóły odsyła do podanej bogato, nawet najnowszej, literatury. I na tem właśnie, powiedziałbym, polega jego wartość. Materyał illustracyjny w nowem wydaniu nieco się wzbogacił i zmienił na lepsze. Jako podręcznik do dziejów biblijnych nie powinien był pism dydaktycznych St. Test. kłaść na sam koniec tomu I, bo to jest poniekąd przesądem na korzyść późniejszej daty tych ksiąg, i wyrywa je trochę gwałtownie z toku traktowania dziejów biblijnych. Powyższe uwagi odnoszą się przeważnie do tomu I o Starym Testamencie. Drugi tom w porównaniu z wydaniem szóstem uległ o wiele znaczniejszym przeróbkom: urósł o 132 stron, a treścią wzrósł pod każdym względem korzystnie; ma też lepszy materyał illustracyjny, n. p. nowy plan kościoła grobu Pańskiego i kaplicy ukrzyżowania i widok nowo poświęconego kościoła Benedyktynów na Syonie. Wdzięczność należy się wydawcy za dwa dodatki, jeden podaje prawie wszystko o pielgrzymkach i pielgrzymach dawnych; drugi poucza o stowarzyszeniach religijnych i naukowych w Ziemi św. W bliższe szczegóły trudno się wdawać na tem miejscu. Z innej strony zaznaczono, że w nowem wydaniu podręcznika kierunek konserwatywny, mimo sprawiedliwego i łagodnego stanowiska wobec odmiennych zdań, zanadto jednak występuje naprzód, i że konserwatywny wydawca skwapliwie chwyta się każdego korzystnego rzekomo dla siebie zdania z literatury biblijnej, jakby tonący deski, co podobno robi wrażenie małego zaufania do własnej pozycyi. Uwaga ta zmusza do innej, mianowicie; właśnie dobrze jest, że podręcznik taki w tym kierunku się posuwa, nawet dla niemieckich czytelników, bo zdaje się, że *in biblicis* dzisiaj koniecznie potrzebny jest jakiś hamulec. W Niemczech, powiadam, przedewszystkiem, bo u nas ten »konserwatywny« podręcznik stanowić będzie dla niejednego czytelnika coś zgoła »postępowego«. W każdym razie obecnie nie mamy w katolickiej literaturze — nie tylko niemieckiej — nic lepszego nad tę książkę, jeśli się nie chce albo nie może zaglądać do osobnych komentarzy, rozpraw i monografii.

Jeśli nie mamy wiele podręczników, to za to katolicka literatura

biblijna w dziedzinie prac specyalnych wzbogaca się w mierze nader pocieszającej. Oto weźmy n. p.

2. Vogels'a, młodego ucznia Bardenhewer'a, pracę o słynnem dziele św. Augustyna, przyjętą przez powołaną krytykę *maxima cum laude*. Zdawaćby się mogło, że takie studyum nie na wiele się przyda, bo to tylko odgrzewanie dawnych rzeczy. Tymczasem tak nie jest. Bo choćby tylko ta jedna korzyść z tego była, że w takiej rozprawie przemówi do dzisiejszego czytelnika Ojciec Kościoła słowem, któremu umiejętne pióro autora nadało barwę i życie, to już w tem korzyść jest niemała. Zresztą poznać dobrze zasady teologiczne i sposób myślenia onych bohaterów myśli chrześcijańskiej, to d z i s i a j ma wartość dużą, a wobec faktycznie istniejącego prądu umysłów w kierunku historyczno-pozytywnym nie jest pozbawione uroku i ponęty. Niniejsza rozprawa przyniosła nadto, może tylko dzięki przypadkowi, nauce stwierdzenie bardzo ważnego faktu z dziedziny krytyki tekstu łacińskiej Biblii. Faktem tym jest używane przez św. Augustyna w dziele *De consensu evangelistarum* starodawnej Itali, a nie Wulgaty św. Hieronima, jakby się mogło zdawać na podstawie o b e c n e g o kształtu tego dzieła. Bo ten obecny tekst *De consensu* operuje Wulgatą, ale oryginał św. Augustyna posługiwał się Italą. Wulgatę podsunięto dopiero później, prawdopodobnie na początku VI wieku w klasztorach, jak przypuszcza J. Denk (*Theol. Revue* 1910, Nr. 9, 274). Faktu dowiódł Vogels, jak mówią, do reszty. A co to znaczy dla tak skrzętnie obecnie czynionych poszukiwań za starą Italą i za tekstem św. Hieronima, łatwo się domyśleć. Pod tym względem książka Vogelsa jest wysoce pouczająca jako dyrektywa. A rezultat ten dostał się autorowi jako uboczne *praemium laboris*, bo *ex professo* zajmuje się nie tekstem biblijnym św. Augustyna, lecz jego zasadami harmonistycznemi. Te zaś wyłuszczył Vogels ze skrupulatną dokładnością, z tym wynikiem, że zasady one na ogół utrzymać się nie dadzą, mimo, że z drugiej strony nawet nasza dzisiejsza biblistyka nic lepszego nie ma co do odnośnych kwestyi. Jest to krytyka wielkiego Ojca, ale pełna czci i poszanowania: krytyki zresztą życzył sobie sam św. Augustyn (*In omnibus litteris meis non solum pium lectorem, sed etiam liberum correctorem desiderem; De trin, 3 provem* 2. Vogels str. 93). Augustyn wie i wierzy przedewszystkiem w to jedno, że w Ewangelii nie może być żaden błąd, ani najlżejszy, że jest niemożliwy ani cień sprzeczności. Vogels powiada, że Augustyn mógł śmiało uznać niejedną niedokładność w drobnych szczegółach skoro sam gdzieindziej wypowiada wy-

raźnie regułę hermeneutyczną, z którą takie niedokładności znakomicie się zgadzają. Ta mała niekonsekwencya naprowadziła wielkiego Augustyna na ważny błąd, bo twierdzi niesłusznie, że u św. Mateusza najlepiej jest przestrzegany chronologiczny porządek. Ale św. Augustyn tu nie jest pokonany, bo co innego trzymać się mocno bezwarunkowej prawdomowności Ewangelistów i szukać sposobów na rozwiązanie trudności przeciw takiemu stanowisku a co innego odsądzać Ewangelistów od czci i wiary, a swoim własnym kategorycznym twierdzeniom dekretować nieomylną prawdę, jak to czynią często nowocześni bibliści. Końcowy paragraf opowiada o ogromnym wpływie, który wywierał Augustyn na całe średniowiecze, nie tyle przez zasadnicze stanowisko, zajęte w *De consensu*, ile raczej przez rozwiązania poszczególnych trudności. Wszystko, co tylko pisało o Ewangeliach, było pod wszechwładnym wpływem dzieła *De consensu;* dopiero Petrus de Rivo, Toletus, a właściwie wielki Calmet wyłamali się z pod tego czaru i wstąpili co do egzegezy i harmonistyki na właściwe tory. Ten ekskurs historyczny należy, naszem zdaniem, do najpiękniejszych partyi tego nad wyraz wdzięcznego studyum.

3. Św. Hieronim nieraz nie liczył się ze słowami, a teoryi zgoła nie lubił uprawiać. To też co do inspiracyi znaleziono u niego zdania, które chciano uczynić zawiasami dla bram do świątyni postępowej szkoły biblijnej. A przecież z góry można sobie było powiedzieć, że św. Hieronim tej roli nie zechce odegrać. Schade wykazuje to gruntownie w niniejszej książce, która pod względem dokładności i sumiennego badania źródeł nie pozostawia nic do życzenia. Wymagało to całego ogromu pracy, by każde przywołane wyrażenie świętego »obłożyć« źródłowym dowodem. Wielki Pustelnik przemawia do nas o każdem zagadnieniu, składającem się na całość nauki o inspiracyi. Nowego i »ciekawego« nie dowiadujemy się nic. Bo wynika z jego słów, że Bóg brał czynny udział przy powstawaniu ksiąg św., ale tak, że czynnik ludzki zachował, służąc łasce inspiracyi, swe zdolności i swą wolę, a Bóg był *auctor principali* dzieła. Gdzie zaś leży linia demarkacyjna dla działalności właściwej dwom czynnikom, w to Hieronim nie wnikał. Pismo św., będąc takiem dziełem ludzko-boskiem, jest właśnie dlatego nad wyraz wzniosłe, jednolite, niezrozumiałe, tajemniczo-głębokie i — *last not least* – bezbłędne, i to bezwarunkowo. Wzniosłość, zwłaszcza zaś tajemniczą głębokość Biblii, polegającą przedewszystkiem na wielorakim sensie tekstu, wyprowadza Hieronim z onego wpływu boskiego: ponieważ Bóg jest pełnią tajemnic, to i dzieło jego,

Pismo św., musi być głębokie, niejasne, niezrozumiałe, raczej trudne do zrozumienia, a hagiograf sam nie wiedział nic o wielorakiem znaczeniu słów przez siebie użytych. W tem różni się Hieronim od św. Augustyna, który (Vogels, op. cit. str. 80) wieloznaczność wyrazów biblijnych odnosi nie do samej ingerencyi Boga, lecz także do świadomości i intencyi hagiografa.

W Piśmie św. Hieronim nie uznawał ani cienia błędu, co Schade wykazuje zapomocą przygniatającego materyału dowodowego; a nie uznawał błędu ani wtenczas, kiedy się z trudnościami nie mógł w żaden sposób uporać. Z początku szło to jeszcze łatwo, bo Hieronim hołdował skrajnemu allegoryzmowi, ale nawet później, kiedy odstąpił od kierunku Oryginesa, nie zgadzał się nigdy na jakikolwiek błąd w Piśmie św., choćby nawet rozwiązania trudności nie szukał w dziedzinie wyższego sensu mistycznego, który zawsze uznawał. To bardzo znaczące dla Hieronima, ze względu na to, co z nim w tej materyi chciano uczynić. W dalszym ciągu rozprawia się autor ze stanowiskiem świętego wobec Septuaginty, Kanonu i Apokryfów. Zasadniczo studyum w tym względzie nie przynosi nic nowego ponad to, co się już wie o św. Hieronimie, ale dokładne poznanie jego w tym przedmiocie stanowiska, znanego na ogół raczej tylko z kompendyów dogmatycznych i biblistycznych, sprawia czytelnikowi interesowanemu niemałe zadowolenie.

4. Heer wydał tu starannie po raz pierwszy drukiem cztery Ewangelie, znajdujące się w kodeksie św. Gatiana z Tours. Kodeks ten, pisany w VIII wieku ręką iryjską, znalazł się później we Francyi, a obecnie stanowi jeden z najcenniejszych rękopisów biblioteki narodowej w Paryżu. Jest to rękopis Wulgaty, ale powstał na podstawie starodawnego tłumaczenia Itali, a dopiero później przerobił się na tekst Wulgaty. Tło zaś »afrykańskie«, które wszędzie przebija, zdradza wpływy syryjskiego wzoru; stąd wniosek, że tłumaczenie pochodzi raczej z Rzymu, niż z Kartaginy. Temi kwestyami zajmują się wysoce naukowe Prolegomena (IX—LXIV). Sam *corpus* książki podaje wierny obraz rękopisu paryskiego z annotacyami krytycznemi, z których da się poznać stosunek tego tekstu do innych, które tu uwzględnić należało. Praca to żmudna, ale wielce owocna, bo dużo światła rzuca na dzieje tekstu łacińskiej Biblii z czasów przed i po św. Hieronimie, obecnie tak skwapliwie badane, katolickiej zaś nauce przynosi zaszczyt i chlubę, bo ten dział nauk biblijnych do niedawna, jak się zdawać mogło, był wyłącznym monopolem pracowników z obozu akatolickiego.

5. Egzegeza proroków mniejszych, tak trudna, nieponętna, a przecież ogromnie ważna, była dzieckiem boleści tak dla nas, jak i dla »tamtych«, ale dla nas najbardziej. Bo od r. 1868, kiedy stary Reinke napisał monografię o proroctwie Sofoniasza, z naszej strony nie było dotąd ani jednej pracy o tej księdze. A tak stanowczo być nie powinno. Bo prorocy mniejsi, mimo niepozornej treści, formy i objętości, zawierają tyle zagadnień ważnych dla dziejów objawienia i, jeśli się chce, dla historyi religii, że dziwić się trzeba, że im więcej uwagi nie poświęcano. Ale w tym celu należy się dokładnie przypatrzyć samemu tekstowi w świetle wyników prawdziwych badań, a jest to zadanie nie bardzo wdzięczne. Lippl podjął się go z całym zasobem erudycyi bibliograficznej i egzegetycznej. Za sam skrzętnie i bez mała bez luki podany materyał literacki należy się mu wdzięczność, nie mówiąc już o samej pracy, która wykazuje sumiennego, wyrobionego, nieuprzedzonego, ale też w prawdziwem słowa znaczeniu konserwatywnego egzegetę. Takich prac nam więcej, a zarzuty o zacofaniu katolickiej pracy badawczej musiałyby umilknąć. Rezultaty jego pracy, należące do introdukcyi, mianowicie, że Sofoniasza należy odnieść do czasu po reformie Jozyasza, są nowe, ale, jak widać, dobrze ugruntowane. Tego, że się autor liczy na seryo z systemami metryki hebrajskiej poezyi, ani za złe, ani za dobre nikt mu nie weźmie: to jego rzecz. Właściwa egzegeza proroka jest ponad wszelką krytyką, i nie tylko inne zastąpi, ale sama siebie chwali, bo operuje całym rynsztunkiem, wymaganym przez dzisiejszy stan prawdziwej nauki.

Ks. Jan Korzonkiewicz.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Nella Santa Russia. *Giusto Buttognoni.* Udine. Tipografia del Patronato. 1909. Str. 443.

»W świętej Rosyi!« Pod tak interesującym tytułem znajdują się rzeczy bardzo ciekawe, ale nie te, którychby na pierwszy rzut oka spodziewać się można było. Niema tam żadnych nowych spostrzeżeń ani rewelacyi, poglądów na życie religijne rosyjskiego narodu, nie jest to pendant do *Chiesa Russa* O. Palmierego, ale opis kilkotygodniowej podróży, którą w czasie wielkich wakacyi odbył autor, nauczyciel religii w jednem z gimnazyów tryesteńskich, jadąc na Warszawę do Moskwy, Petersburga, znowu Warszawę i Kraków do domu.

Opis ten w swoim rodzaju może być postawiony za wzór. Ks. Buttignoni, człowiek wszechstronnie wykształcony, o smaku wykwintnym,

znający się doskonale na sztuce, nie omieszkał przed podróżą przestudyować gruntownie historyę kraju, który miał zwiedzić, stąd, przekroczywszy jego granice, mógł nakreślić obraz Rosyi, jeśli nie wyczerpujący, to w każdym razie wcale nie szablonowy ani banalny.

To też książkę jego czyta się od początku do końca z wzrastającem ciągle zajęciem — ba! nawet z prawdziwym pożytkiem. Żeby zapewnić sobie sąd całkiem niezależny i ustrzedz się wszelkiej suggestyi, obchodzi się ks. Buttignoni bez przewodnika. Bedeker w ręku i kilka słów koniecznych do porozumienia się z otoczeniem, zastępują mu jego miejsce. Oczywiście stawia go to nieraz w położeniu nieprzyjemnem a nawet krytycznem. Raz wpada w ręce bandytów, innym razem dostaje się w obroty agenta policyjnego prowokatora, to znowu warszawską soborną cerkiew na Wolskiej w całej naiwności bierze za cerkiew unicką, jaką dawniej była — albo furmanów w kacapskim tułupie i dnem do góry wywróconej czapce z pawiem piórem za typ woźniców »polskiej arystokracyi« — ale ostatecznie, dzięki temu, może robić spostrzeżenia własne, na ogół bardzo trafne.

Pozorami kultury i blaskiem wschodniego przepychu, jak rodak Palmieri, odurzyć się nie dał. W przeciwieństwie do tego wroga polskiego duchowieństwa, podnosi on z uznaniem przyjazne przyjęcie ze strony miejscowego polskiego duchowieństwa, odróżniające się jaskrawie od obejścia grubijańskiego, którego doznaje w kościele cudzoziemskim, francuskim.

Opowiadanie ks. Buttignoni jest nadzwyczaj ożywione. Sposobem pisarzy romańskich, myślących prędko i głęboko a wyrażających się krótko i jasno, w szczegółach się nie traci, choć, gdzie potrzeba, nie żałuje ich, jak z rogu obfitości sypie anegdotami charakterystycznemi i wszędzie ze szczególnem amatorstwem rozprawia o tem, o czem taki podróżnik najłatwiej rozprawiać może: mianowicie o stronie estetycznej tego, co widzi.

Na Rosyan, Rosyę, jej historyę patrzy trzeźwo, tak samo i na Polaków, względem których nie kryje swej sympatyi i współczucia. Kraków z kopcem Kościuszki i Sukiennicami podoba mu się bardzo. Nie chce go jednak opuścić, nie rzuciwszy przynajmniej okiem na mury, poza którymi tyle lat smutny swój żywot prowadziła *la monaca di Cracovia*, Barbara Ubrykówna. Być w Krakowie i nie widzieć ich, to dla niego znaczy tyle, co być w Rzymie i nie widzieć papieża. To też na wyjezdnem szuka ich; po długich korowodach odnajduje, alarmuje siostrę kołową, furtyankę, i dostawszy od niej potakującą odpowiedź, rezygnuje z widzenia przełożonej, aby... skończyć swe opowiadanie.

Książka ilustrowana bogato, ma koło 40 ciekawych, do tekstu szczęśliwie dostosowanych fotografii. Kto ją przeczyta, może wyrobić sobie pojęcie wystarczające o Petersburgu i Moskwie. Dlatego znającym język włoski gorąco polecić ją można.

X. X.

Kontrapunkt, kanony, waryacye i fuga. Wykład praktyczny. Napisał ***Zygmunt Noskowski.*** Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 8-ka. 221.

Dziełko to posiada wartość tylko jako pierwszy polski podręcznik nauki kontrapunktu, ale posiada wielkie wady, zmniejszające tę wartość. Jest bardzo powierzchowne, nie odpowiada wymogom ścisłej nauki, cierpi na

brak takich kwestyi, bez których nawet ogólna nauka kontrapunktu w żaden sposób obejść się nie może, natomiast zawiera ustępy, które nie należą do nauki kontrapunktu (rozdział o zasadach rytmiki) lub wypływają z fałszywych poglądów autora na stan obecnej muzyki. Nikt nie zgodzi się z autorem na to, że dziś fugę zaniedbano lub ją potępiono. To nigdy nie miało miejsca. Nie brak ustępów zupełnie nie nadających się do podręcznika tego rodzaju, a będących z daleka od wszelkiej poważnej nauki. Wprawdzie autor twierdzi, że opierał się tylko na podręczniku Dehna, ale jest wiele dowodów, że czerpał swe wiadomości także z dziełka Busslera. Wiele ustępów jest bądź żywcem, bądź wolno przetłumaczonych z Dehna. Nie jest zgodnem z rzeczywistością, że w żadnym z istniejących podręczników kontrapunktu niema wykładu waryacyi. Lat temu 30 wydał swe dzieło Bussler i w nim jest szczegółowy wykład waryacyi. Nie jest zatem autor pierwszym, który uwzględnia ten ważny rozdział. »Nowe drogi« dla fugi, które autor wysuwa przeciw »rutynistom i zacofańcom« nie są niczem innem, jak zburzeniem formy fugi. Pan Noskowski jako kompozytor nie pisze wcale »reformowanych« fug, co jest ważnym argumentem przeciw jego eksperymentowi, który, jako taki, nie powinien mieć miejsca w podręczniku szkolnym. Jedną trzecią część książki zajmuje kompozycya p. N., której zalet nie ignorujemy, lecz której obszar podnosi nadmiernie cenę książki, teoretycznie bardzo powierzchownej. Żaden z wielkich kompozytorów nie czynił tego, ilekroć wydawał podręcznik do nauki kontrapunktu (Cherubini!). Żałować należy, że autor nie opracował sumiennie swego dziełka. *A. Ch.*

Kirchengeschichtliche Apologie. Sammlung kirchengeschichtlicher Kritiken, Texte und Quellen auf apologetischer Grundlage, herausgegeben von *Dr. Theodor Deimel.* Freiburg—Wien 1910. Herdersche Verlagshandlung. 8-vo, str. XX+396.

Na szczęśliwy pomysł wpadł dr. Deimel. Zebrał kilkaset cytat z rozmaitych źródeł i opracowań historycznych w celach apologetycznych. Nie jest to więc jednolite, oryginalne dzieło apologetyki historycznej, jakby z pierwszych wyrazów tytułu mógł ktoś wnosić, lecz — *repertorium* surowych materyałów dla apologii dziejów kościelnych. Dr. D. przeszedł historyę, że tak powiemy, we wszystkich kierunkach: wzdłuż, wszerz i wgłąb. Nie uszła jego uwagi żadna epoka historyi Kościoła, przebiegł rozmaite kraje, zbadał przeróżne objawy życia religijnego: rozszerzanie się wiary, trudności rozmaite Kościoła, naukę jego i herezye, politykę i życie papieży, sztukę kościelną i ascezę. Gdzie zauważył jakiś punkt ciemniejszy, lub umyślnie zaciemniony, jakiś fakt lub osobistość kościelną niesłusznie lub przesadnie napastowaną, wszędzie przytacza te teksty ze źródeł, te zdania sumiennych badaczy dziejów, które mogą ciemniejszy punkt rozświetlić, inkryminowany fakt usprawiedliwić, oczernioną osobistość zrehabilitować lub stopień winy właściwemi granicami objąć. W bardzo zrozumiałym celu daje pierwszeństwo historykom niekatolickim, którzy o zbytnią względem Kościoła łaskawość posądzeni być nie mogą. Zbiór ten może oddać niemałe usługi jużto katechetom przy wykładzie historyi kościelnej, jużto tym wszystkim, którzy z urzędu muszą często dawać wyjaśnienia na rozmaite zarzuty, czerpane z historyi przeciw wierze i Kościołowi. *J. U.*

Die Musik Skandinaviens. *Walter Niemann.* Lipsk. Druk i nakład Breitkopfa i Härtla. 8-ka, XII i 155.

Dzięki wybitnie utalentowanym muzykom skandynawskim, jak Grieg, Sibelius, Gade i innym, zainteresowano się dziejami muzycznemi Szwecyi, Norwegii, Danii i Finlandyi. Do wybitnych działaczy w tym kierunku należy znany pisarz muzyczny dr. W. Niemann. Rozprawa jego jest pisana z entuzyazmem, czasem zbyt daleko prowadzącym, ale zdolnym do obudzenia w czytelniku chęci poznania sztuki skandynawskiej. Obejmuje ona całokształt skandynawskiego idyomu, a na tem tle kreśli rozwój i obecny stan muzyki północnej. Czasem psuje się tok wywodów, gdy autor wylicza w leksykonowym stylu, ile który z kompozytorów wydał lub stworzył. Czasem zawodzi autora impresya stylu i rozumowania. Nie brak przerw w toku myśli; całość również wykazuje braki w argumentacyi. Często wierzy się autorowi tylko dlatego, że w nas wmawia, iż coś jest bardzo interesujące lub wzniosłe i piękne. Przecenia autor wielu komkozytorów. Nie można jednak powiedzieć, aby nie doceniał innych. I tak np. wielokrotnie przecenioną jest muzyka finlandzka. Z uznaniem należy podnieść, że dr. Niemann wykazuje bardzo subtelnie, co jest rodzimem w muzyce Skandynawów, a co naleciałością. Wskazuje na wpływy polskie w szwedzkiej muzyce XVII stulecia. Książka zasługuje na poczytność.

Dr. A. Ch.

Eduard Grieg. Biographie und Würdigung seiner Werke. *Gerhard Schjelderup u. Walter Niemann.* Lipsk. C. F. Peters. 4-to, VII i 202.

Twórczość Griega opisywano już nieraz w entuzyastycznych pracach, które jednakże nie zdołały powstrzymać trzeźwiejszych umysłów od bezstronnego krytycyzmu. Nie ulega wątpliwości, że wiele, bardzo wiele utworów Griega z biegiem czasu zaczyna coraz mniej interesować. Książka pp. Schjelderupa i Niemanna jest bardzo sympatyczna, mimo że nie można się oprzeć wrażeniu, iż nie uchyli wyroku zbliżającego się losu. Autorowie godzą metodę analizy krytycznej z wrażeniowem opisywaniem nastrojowej treści utworów Griega. Czyta się więc to dzieło z zainteresowaniem—jednym tchem. Nie oponuje się im, gdyż unikają tonu właściwego agitacyjnym broszurom. Książkę zdobią liczne ilustracye, portrety i cytaty muzyczne. Wydawnicza strona przedstawia się wytwornie. Grieg posiada u nas tylu jeszcze wyznawców i zwolenników, że można im polecić tę książkę, jako najlepszą o zmarłym niedawno skandynawskim liryku muzycznym.

Dr. A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dzień 20 września w Rzymie

Duszę katolicką do głębi oburzający fakt, fakt urągający jej najświętszym uczuciom i bolesnym wspomnieniom, przypomniał światu pamiętne dni wrześniowe roku 1870 i zniewolił katolików do poważnych refleksyi i energicznego protestu. Z powodu 40-letniej rocznicy świętokradzkiego zaboru Rzymu przez wojska włoskie, którego pamiątkę święci loża jako jeden z największych tryumfów swoich, wypowiedział żyd, wolnomularz Nathan, obecny burmistrz Wiecznego Miasta, publiczną mowę, która dla swego urzędowego charakteru i miotanych w niej bezwstydnych obelg na papieża i Kościół, jest niesłychaną prowokacyą całego świata katolickiego. Przeciwstawiając Rzym przed świętokradzkim zaborem Rzymowi obecnej doby, wskazał na Watykan, jako na »źródło ciemnoty«, której wybitnym objawem miało być ostatnie rozporządzenie papieskie przeciw modernizmowi. W ignorancyi czy też z rozmysłu dopatrzył się w dogmacie o nieomylności papieskiej bluźnierczego uznawania w papieżu wszechwiedzy i nieograniczonej władzy nad ludźmi i nazwał papieża parodyą Chrystusa, który w ten sposób z człowieka stał się Bogiem. To bluźnierstwo uważa Nathan za ostatnią manifestacyę papieża-króla, z której płynęła ciemnota

ludu, potępienie całej pracy kulturalnej czasów ostatnich i wolności myśli.

W tym tonie rozprawia żyd-wolnomularz dalej o papieżu i Kościele w swej oficyalnej mowie. Zapomniał arogancki burmistrz, że urąga Głowie Kościoła, liczącego 240 milionów katolików, co jest niesłychanem ale i śmiesznem zuchwalstwem, zapomniał także mistrz loży, że jest burmistrzem, nie zapomną zaś katolicy o zuchwalstwie żyda-burmistrza. Nieśmiertelnych zasług papiestwa około kultury i cywilizacyi, zapisanych w dziejach wszystkich narodów złotemi zgłoskami, nie zmażą banalne słowa i płytkie frazesy fanatycznego wolnomularza Nathana, zdradzają zaś one bezdenną nienawiść wrogów Kościoła do tej Bożej instytucyi. Szkoda że Nathan, który z pewnością musi znać dzieje swego narodu i jego wpływy na kulturę nowożytną, nic nie wspomniał w swej mowie o zasługach swej rasy w dziejach tej kultury, o lichwie, wyzysku, spekulacyach giełdowych, niemoralnej prasie, szerzeniu rozpusty, handlu żywym towarem i innych wynalazkach żydowskich, które tak fatalnie nad nią zaciężyły i takie sromotne piętno na niej wycisnęły.

Pius X w ostrych słowach zaprotestował przeciw tym obelgom i bluźnierstwom oficyalnego reprezentanta miasta Rzymu, i nie wątpi, że wierni katolicy oburzenie jego podzielą. Jest dla nas katolików mowa Nathana, po coraz to częstszych napaściach i demonstracyach rzymskich przeciw papieżowi-suwerenowi, nowym dowodem, że zagwarantowany przez rząd włoski spokój i szacunek dla Stolicy św. stoi na słabych nogach; ale mamy nadzieję, że protest Piusa X i całego świata katolickiego nie przejdzie bez echa i nie pozostanie bez skutku. Czas też najwyższy, żeby Włochy sobie przypomniały, że są państwem katolickiem, dla którego hańbą jest, że Kapitol znajduje się w rękach loży i socyalistów, czas też żeby zwłaszcza Rzym zrozumiał, że degradacya jego ze stolicy całego świata na stolicę półwyspu dość już była wielka, żeby jeszcze pozwolić przerobić ją na kuźnię lóż masońskich.

Raj w Portugalii

Na brak sensacyjnych zdarzeń świat w ostatnich czasach narzekać nie mógł, to też i prasa starała się z nich w rozmaitych celach skorzystać. I tak, gazety liberalno-żydowskie, donosząc o zmianie formy rządu w Portugalii, nie mogły wyjść z zachwytów. Telegramy, listy, artykuły usiłowały świat pouczyć, że Portugalia, dotychczasowa ofiara klerykalizmu, tego okropnego wroga postępu i cywilizacyi, nareszcie pod szczęśliwymi rządami nowej żydowsko-liberalnej republiki odetchnie świeżem powietrzem wolnomyślnej oświaty i nowszej kultury. Doniesiono, że lud z entuzyazmem wita wybawicieli swoich, o których wspaniałomyślności niebywałej i rzadkiej tolerancyi cuda opowiadano. Naturalnie gwałtów, mordów, tyranii śladu tam nie było, owszem rząd prowizoryczny zarządził, aby się jak najoględniej z wszystkimi obchodzono i sypały się obietnice przedstawicieli rządu, rokujące wprost złotą przyszłość kraju.

Cóż na to mówi historya i prawdziwa rzeczywistość? Od czasów słynnego ministra Pombala, (krótko przedtem Benedykt XIV nadał Janowi V i następcom jego zaszczytny tytuł: *Rex fidelissimus*), który do zgonu słabego Józefa Emmanuela (1777) samowładnie rządził Portugalią, rządy kraju znajdują się w rękach liberałów i wolnomularzy i pod zgubnym protektoratem Anglii. Głębokie rany, które Pombal zadał Kościołowi i krajowi, nigdy się już nie zagoiły. Portugalia niegdyś tak potężna na morzu i w koloniach, odtąd upada zupełnie. Cały XIX wiek znaczy się prawie nieprzerwanem prześladowaniem Kościoła w Portugalii, które odbiło się szczególnie na klasztorach i dobrach kościelnych. Na nieszczęście dostał się także jedyny uniwersytet kraju w Coimbryi zupełnie w ręce wolnomularzy, tak, że i kler tam kształcony, został zarażony ich duchem. Rząd skorzystał z tego i obsadzał biskupstwa i znaczniejsze posady w Kościele swemi kreaturami, tak że i na stolicach biskupich wolnomularz nie był rzadkością, co spowodowało protest papieża Grzegorza XVI w latach 1833 i 1834. Jeszcze w roku 1844 było w samej Lizbonie między 36 proboszczami miasta 34 wolnomularzy. Trudności nie ustały także za Piusa IX i Leona XIII, wystarczy zaznaczyć, że po liceach nauki religii wcale niema, w szko-

łach normalnych udzielają jej marnie sami nauczyciele, a w seminaryach nauczycielskich jest ona rzeczą podrzędną. Trzeba zaś, aby nie ominąć się z prawdą, także przyznać, że dużo w obecnem położeniu zawinił kler świecki a częścią także i zakonny. Kler świecki nie posiada wystarczającego wykształcenia i dla oceny jego moralnej wartości wystarcza przytoczyć oświadczenie nuncyusza, że mu trudno wśród niego znaleźć człowieka nieposzlakowanych obyczajów, jako kandydata na biskupa. W szeregach kleru nie był rzadkością agitator partyi republikańskiej a loża niektórych z nich postawiła jako kandydatów przy wyborach. Wobec tego nie dziw, że zakony, a zwłaszcza Jezuici, którzy tego rodzaju katolicyzm zwalczali, byli klerowi świeckiemu solą w oku, której trzeba było się pozbyć. Stąd ta ustawiczna zawzięta walka w Portugalii między klerem świeckim i zakonnym. Stan ten zawziętej walki tłumaczy nam to smutne zjawisko, że dziś wielu z kleru świeckiego pomaga wolnomularskiemu rządowi przy znoszeniu klasztorów i wypędzaniu zakonników. Z klerem świeckim szli ręka w rękę Franciszkanie. W swojem czasopismie *Głos św. Antoniego*, głosili zdanie, że katoliccy rodzice nie mają obowiązku posyłać swych dzieci do szkół katolickich. Oni też popierali jawnie antykatolickie ministeryum Feixeiry i w Oporto, gdzie wychodzi znakomity dziennik katolicki *Palavra*, finansowo wspierali liberalne *Correo do Norte*. Kler świecki i Franciszkanie zawsze też stali po stroniekażdorazowego rządu. W roku 1907 powstał nawet związek kleru parafialnego niezależny od biskupów, który nie dbał o zagrożenie karami kościelnemi, ponieważ proboszcz według konkordatu tylko od rządu mógł być złożony. Całe duszpasterstwo kleru parafialnego ograniczało się zwyczajnie na udzielanie chrztu św., napierwszej komunii św. i pogrzebach.

Inne zakony starały się smutnemu położeniu katolicyzmu w Portugalii zapobiedz, w ostatnich czasach zabrano się także do organizacyi katolików — była to jednak akcya bardzo spóźniona.

Zaiste trudno dopatrzyć się tutaj choćby cienia jakiegoś klerykalizmu. Portugalia, był to kraj od dawna zupełnie wydany w ręce loży i radykalnych żywiołów i ich to dziełem jest ekonomiczny, polityczny i moralny upadek niegdyś potężnej i boga-

tej Portugalii. Z góry było do przewidzenia, że młoda rzeczpospolita nie będzie także rajem, przynajmniej dla katolików, ale żeby znaczyła pierwsze kroki swoje tak nizkiemi i ohydnemi wykroczeniami, o których się powoli dowiadujemy, tego i zwolennicy jej nie przypuszczali. Nie myślimy tutaj o krwawych starciach między rojalistami i rewolucyą, o zdradzie wojska i grabieżach, jakich dopuszczało się pospólstwo, bo to są zjawiska, bez których się chyba żadna rewolucya nie obejdzie, ale o owych scenach ohydnych, z których do tego czasu tylko szczycić się mogła jedyna wielka rewolucya francuska i to w epoce największego fananatyzmu. Orgie, które się powtarzały po różnych kościołach Lizbony, trudno opisać; shańbiono ołtarze, niszczono, rabowano, co się dało, aby od początku wyraźnie zaznaczyć, że rewolucya skierowana jest nie tylko przeciw tronowi ale i ołtarzowi. Jużciż najwięcej ucierpiały klasztory i ich mieszkańcy. Wiele z klasztorów leży dziś w ruinach, zakonników i zakonnice zaś częściowo wypędzono, obchodząc się z nimi często w sposób brutalny, częścią uwięziono; nie brakło zaś także ofiar fanatycznego tłumu. I to wszystko dzieje się w XX wieku w imię kultury i oświaty! Nie trudno odgadnąć o co tu właściwie chodzi. Chodzi tu mianowicie o przeprowadzenie zasad szkoły francuskiej. Już prezydent rządu prowizorycznego, brat wolnomularski Braga, oświadczył, że po uporaniu się ze zakonami przyjdzie kolej na kler świecki, i w przeciągu miesiąca spodziewa się dokonać zupełnej separacyi Kościoła od państwa. Tymczasem zdradziecka Anglia, która z rewolucyą portugalską szła ręka w rękę, gości u siebie zdetronizowanego króla Manuela II, za którym podążą może w blizkiej przyszłości król Hiszpanii i Włoch. Bo dziś chyba już może nikomu tajnem nie jest, że los Portugalii podzieli Hiszpania a po po niej Włochy. Canalejas wprawdzie wciąż jeszcze oświadcza, że nie jest wrogiem Kościoła, ale prawo przeciw zakonom w kraju na wskróś katolickim gwałtem przeprowadzić usiłuje, pomimo imponujących protestów całego kraju. Nie przyjdzie łatwo republikanom w Hiszpanii urzeczywistnienie swych planów, lecz przyjść musi, jeżeli rząd dalej widzieć będzie w programie Canalejasa zbawienie kraju. Mówią przecież, że sam Canalejas już wskazał

na przyszłego prezydenta rzeczypospolitej hiszpańskiej i ponoś wyższe władze wojskowe sympatyzują z ruchem republikańskim. Czas przeto najwyższy, aby katolicy hiszpańscy podali sobie ręce i żywą agitacyą zmusili rząd, aby szukał kulturalnej i ekonomicznej regeneracyi kraju nie w programie lóż wolnomularskich, lecz w programie chrześcijańskim, który najwięcej licuje z całą przeszłością katolickiej Hiszpanii.

Z obozu katolickiego w Niemczech.

Od dłuższego czasu nie jest już tajemnicą, że na polu literackiem, ekonomicznem i politycznem zarysowują się między katolikami niemieckimi dwa kierunki, wolniejszy i konserwatywny. Wolniejszy kierunek na polu literackiem reprezentuje czasopismo *Hochland* i grupa literatów koło niego się skupiająca, partya zaś konserwatywna znajduje odzwierciedlenie swych poglądów w czasopiśmie *Der Aar*. Na polu ekonomicznem ścierają się dwa prądy, jeden, mający środowisko w München-Gladbach, więcej akcentuje moment ekonomiczny, niż religijny; drugi, kierunek berliński, podkreślający mocno stanowisko katolickie. Na polu zaś politycznem i to w sprawie samego centrum od roku toczy się polemika między dwoma poglądami, z których jeden chce, aby centrum było partyą wyraźnie katolicką, a więc wyznaniową, drugi zaś broni jego charakteru czysto politycznego, choć dodaje, że centrum zawsze powinno bronić praw Kościoła i religii. Jak długo różnica zdań i przekonań nie grozi katastrofą całemu obozowi katolickiemu w Niemczech i nie osłabia akcyi o wspólnych siłach, nie ma racyi żałować, że pewien ferment, choć nie zawsze przyjemny, chroni od stagnacyi i przyczynia się do nowych prób i wysiłków w interesie katolickim; jeżeli jednak wywoła rozgoryczenie umysłów i zwróci się do niewłaściwych sposobów walki, denuncyacyi nieuzasadnionych i niegodziwych rewelacyi, wówczas rzecz staje się krytyczną. Niestety objawów tego ostatniego stadyum nie brakło w czasach ostatnich, zwłaszcza publikacya poufnego listu kardynała Koppa do prezydentki związku katolickich pań niemieckich von Schalscha bardzo niekorzystne wywarła wrażenie i ostrą wywołała polemikę. Nikt chyba kardynałowi wrocławskiemu za złe brać nie może, że stoi

raczej po stronie kierunków mocniej akcentujących stronę religijną i że w swojej dyecezyi z poważnych przyczyn z całą siłą popiera kierunek berliński, a nie sympatyzuje z kierunkami wolniejszych zapatrywań. Wzmiankowany list poufny trochę ostrzej wyraża to stanowisko kardynała Koppa w kwestyi specyalnej związku pań katolickich i sam kardynał nie byłby użył pewnych wyrażeń tego listu, gdyby o tej samej sprawie miał się wyrazić publicznie. Wina więc cała ogromnego rozgoryczenia umysłów spada na sprawców niegodziwej publikacyi tego listu i to jeszcze w prasie liberalnej, tak, jak zawsze spada ona na tych, którzy nie przebierając w środkach chcą w ten sposób bronić sprawy skądinąd dobrej nawet.

Rozumne dotychczas postępowanie obu kierunków wobec ostatnich faktów pozwala się spodziewać, że smutne te zajścia dalszych skutków mieć nie będą, przyznać wszakże trzeba, że wytworzyły one w obozie katolickim w Niemczech rodzaj nieufności wzajemnej i niezdrowego antagonizmu, który, daj Boże, aby nie wywarł bardzo niekorzystnego wpływu na przyszłoroczne wybory do parlamentu niemieckiego. *In certis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas!*

Ks. A. Starker.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909.

(Ciąg dalszy).

Założony przez p. Tadeusza Stamirowskiego w połowie czerwca 1909 r. *Klub polsko-węgierski* postawił sobie za zadanie zaznajamianie społeczeństwa naszego z literaturą i stosunkami naszych najbliższych sąsiadów, z którymi łączyła nas od wieków najściślejsza i niezamącona niczem przyjaźń. Cele swoje uskuteczniał za pomocą masowych wycieczek do Węgier i urządzania wieczorków literackich oraz odczytów z literatury węgierskiej, z pomiędzy których na pierwszy plan wybiły się prelekcye d-ra Czesława Łukaszkiewicza, znającego z autopsyi puszty węgierskie, doskonałego tłumacza licznych nowel współczesnych autorów madiarskich na język polski. Licząc 250

członków i korzystając z sympatycznego nastroju ogółu społeczeństwa, urządził »Klub« 5. października ub. r. sześciodniową wycieczkę do Węgier, celem odwzajemnienia się reprezentantom narodu węgierskiego za udział w naszej uroczystości narodowej 3-go maja. Wycieczka wystąpiła gremialnie w obchodzie pamiątkowym 60-ciolecia walk o wolność Węgier w Aradzie, gdzie spotkało ją przyjęcie entuzyastyczne. Rzecz inna, czy ze względów politycznych, a zwłaszeza ze względu na ucisk i madiaryzacyę ludu polskiego na Spiżu, oraz ludu słowackiego, którego duszpasterzy wsadza się bez przyczyny za kraty więzienne, manifestacye te polskie były usprawiedliwione?...

Liczba członków *Czytelni katolickiej* jest więcej niż skromna, skoro było ich tylko 254 na 200.000 ludności lwowskiej. Nie potrafiono wyzyskać siły zrzeszeń, o jaką tyle dbają przeciwnicy idei katolickiej. Skutkiem tego był również słaby ruch odczytowy. Ogółem bowiem wygłoszono tylko pięć prelekcyi, a mianowicie: dr. Z. Gargas »O wychodźcach polskich w Ameryce«, p. Br. Błocki »Próba naukowego odparcia zakusów modernizmu«, dr. K. Lubecki »Pius X. na tle Rzymu«, ks. dr. Szydelski »Położénie Kościoła katolickiego we Francyi« oraz prof. dr. M. Thullie »Kwestya kobieca«. — Dochody wynosiły kor. 4172, rozchody 4133 kor. Fundusz budowy domu własnego był w zapoczątkowaniu (466 kor.), a fundusz żelazny wynosił wynosił 1178 kor. — Czytelnia otrzymywała 44 czasopism i dzienników. — Biblioteka powiększyła swój księgozbiór do liczby 1100 tomów. Ruch w niej był wcale pokaźny, o czem świadczy ilość wypożyczonych dzieł, zamykająca się cyfrą 750. — Winę niezbyt intensywnego rozwoju *Czytelni katol.* ponoszą wyłącznie jej członkowie, którzy dotąd nie nauczyli się organizacyi od swoich przeciwników, a należało pamiętać, że podczas gdy jednostki są niczem, grupa ludzi, złączonych wspólną ideą i celem, tworzy liczne i karne szeregi, których chyba w mieście stołecznem braknąć nie powinno.

* * *

Rozwój instytucyi *Powszechnych wykładów uniwersyteckich* był do tego stopnia świetny, że niepodobna nie poświęcić im baczniejszej uwagi. Niechaj przemówią suche daty cyfrowe, świadczące wymowniej od wszystkiego, o znaczeniu i powadze tego rozsadnika wiedzy, wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa, o której osłabienie napróżno starały się koła pseudopostępowe, skupiające się

około »Uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza«, a mające na celu właściwie agitacyę polityczną.

W r. ub. liczyły *P. W. U.* 151 prelegentów, którzy wygłosili we Lwowie 246, na prowincyi zaś (we wschodniej Galicyi) 96, czyli razem 342 wykładów. Największa ilość wykładów przypada na M. Limanowskiego (18), prof. d-ra A. Zippera (13), d-ra W. Schreibera (8), d-ra H. Kadyi'ego (7), prof. d-ra St. Dobrzyckiego, prof. d-ra K. Hadaczka, d-ra W. Kubika i d-ra Wł. Witwickiego (po 6). Wykłady obejmowały, jak zazwyczaj, trzy serye we Lwowie, na których wygłoszono 104 prelekcyi. Na prowincyi każdy wykład stanowił dla siebie zamkniętą całość. Urządzono ich w 24 miastach 242. Najwyższą cyfrę osiągnięto w Brodach, Kołomyi, Stanisławowie, Tarnopolu, Złoczowie i Żółkwi, bo po 12 w każdem z miast. Z ogólnej liczby 346 wykładów, urządzonych we Lwowie i na prowincyi, przypada na przedmioty humanistyczne 206, a na przedmioty przyrodniczo-techniczne 140 wykładów. Najwięcej wykładów wygłoszono z dziedziny historyi literatury polskiej, bo 60 i z historyi ojczystej 43, w dziale zaś przyrodniczym z fizyki i chemii po 26 i z geologii 25, najmniej z botaniki i fizyologii (3). Opłata wynosiła 10 halerzy za jeden wykład, a 40 hal. za bilet seryowy, uprawniający do wstępu na 6 wykładów. Ponadto udzielono 14.103 osobom na prowincyi, tj. 29·11% wszystkich słuchaczów w miastach prowincyonalnych, bezpłatnych biletów wstępu.

A teraz parę dat z frekwencyi wykładów we Lwowie: na prelekcye d-ra Hadaczka p. t. »Bóstwa w sztuce greckiej« uczęszczało 708 osób, przeciętnie na wykład 118, na M. Limanowskiego »O wulkanach« 1010 osób, przeciętnie 168, M. Olszewskiego »Malarstwo francuskie w XIX. wieku« 687, przeciętnie 115, prof. d-ra G. Roszkowskiego »O kwestyi pokoju w bieżącym stuleciu« 317, d-ra Wł. Schreibera »Metoda i najnowsze badania antropologiczne« 416, przeciętnie 139 osób, prof. d-ra St. Tołłoczki »Najpospolitsze pierwiastki i ich reakcye« 713, przeciętnie 119 osób, prof. d-ra Zippera »Poezya i podania wieków średnich, a twórczość dramatyczna R. Wagnera« 1257, przeciętnie 210 osób, prof. d-ra H. Kadyi'ego »Ogólne zasady budowy ciała ludzkiego« 921, przeciętnie 153 osób, prof. d-ra I. Zakrzewskiego »O elektryczności« 1662, przeciętnie 277 osób, prof. d-ra St. Dobrzyckiego o Słowackim 1757, przeciętnie 293 osób, na wieczory recytacyjne utworów Słowackiego p. Chmielińskiego 802, p. J. Tennera 1221, prze-

ciętnie 611, p. Wysockiego 1661, przeciętnie 554 osób. Uczęszczało tedy we Lwowie na 39 wykładów seryi pierwszej 5308 osób, przeciętnie na wykład 136, seryi drugiej 2971 osób, przeciętnie 156, seryi trzeciej 8820, przeciętnie 128 osób. Ogólna frekwencya we Lwowie była zatem w r. ub. większa o 184 osób, aniżeli w roku poprzednim, przeciętna podniosła się o 40 osób w porównaniu z rokiem minionym. Jak dawniej, tak też i teraz uczęszczało na wykłady więcej mężczyzn, aniżeli kobiet. Nadwyżka po stronie kobiet wynosiła 473 osób, czyli 2·76%.

Z wykładów, mianych w miastach prowincyonalnych, wymienimy niektóre tylko. I tak w Brodach największą popularnością cieszyły się odczyty p. Morawieckiego o Stefanie Żeromskim, Słowackim i Świętochowskim, p. Kochmana o powstaniu listopadowem, p. Mańkowskiego »O niewoli ducha« i p. Jaworskiego »Dramat Cypryana Norwida«; w Brzeżanach d-ra Kowenickiego »O gruźlicy«, p. Kowalskiego »Powstanie listopadowe« i Rylskiego »O dramatach Słowackiego«; — w Dolinie p. Limanowskiego »O trzęsieniach ziemi« i »O Tatrach«; w Drohobyczu: d-ra L. Bernackiego »Twórczość Słowackiego na tle powstania listopadowego«, p. Niemca »Mesyanizm polski«, p. Pytla »O hetmanie Żółkiewskim«, p. M. Olszewskiego »O artyzmie w przemyśle« i p. Schneidra »Budowa i życie kwiatu«; — w Horodence: prof. d-ra G. Roszkowskiego »Małżeństwo i rozwód wobec prawa narodów«, d-ra Wł. Lenkiewicza »Wrażenia z podróży po Grecyi« i p. Niewiadomskiego »Mickiewicz, a powstanie listopadowe«; — w Jarosławiu: p. Koima »O końcu świata«, p. Kłodzińskiego »Co to jest historya i co o niej, jako o nauce wiedzieć należy?«, p. Sikorskiego »O powietrzu skroplonem«, prof. d-ra W. Rubczyńskiego »Teorye estetyczne lat ostatnich«; — w Kałuszu: p. Osieckiego »O powstaniu listopadowem«; — w Kołomyi: p. Witwickiego »Mechanika ruchów ciała ludzkiego«, p. Pilcha »Mistycyzm Słowackiego«, p. Osuchowskiego »Poezya zemsty u Mickiewicza i Słowackiego, a miłości u Krasińskiego«, p. Strutyńskiego »Fale elektryczne«, p. Schreibera »Dramat polski do XIX. wieku«; — w Lubaczowie: p. d-ra L. Bykowskiego »Wyraz twarzy u człowieka i zwierząt«, p. M. Olszewskiego »O architekturze miasteczek«, p. K. Missony »Dzieje teatru«; — w Mościskach: prof. d-ra Biernackiego »Co i jak jeść należy?«, p. Schreibera »Najmniejsze lądy ziemi«; — w Przemyślu: p. Błażka »U wrót myśli«, d-ra T. Troskolańskiego »O powstaniu listopadowem«, p. Garlickiego »O atmosferze«, p. Machowskiego »Z psy-

chologii zwierząt«, p. Przyjemskiego »Najnowszy utwór Żeromskiego »Duma o hetmanie«, prof. d-ra Roszkowskiego »O wojnie rosyjsko-japońskiej ze stanowiska prawa narodów«; — w Samborze: p. Fischera »Klejnoty Krakowa«, p. Nankego »Z powstania listopadowego«, d-ra R. Negrusza »O powietrzu i wodzie«, d-ra B. Potockiego »Jak ginęli Słowianie?«; — w Sanoku: p. Miękisza »Stanisław Żółkiewski na tle dziejów Zygmunta III.«, p. Borka »Dziedziczność u ludzi i u zwierząt«, d-ra Ramera »Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach«; w Sądowej Wiszni: p. Limanowskidgo »Trzęsienie ziemi w Kalabryi« i p. Witwickiego »Konfederacya barska«; — w Skolem: d-ra Nowickiego »O przyczynach chorób zakaźnych« i p. Węgla »Gdańsk i Polska w XIX. wieku«; — w Stanisławowie: pana Blautha »O najnowszych przyrządach do latania«, p. Tokarskiego »O trzęsieniach ziemi«, p. Sroczyńskiego »Kobiety w powstaniu listopadowem«, p. A. Cehaka »Ostatnie utwory Żeromskiego«; — w Stryju prof. d-ra Zippera »O Dantem i Boskiej Komedyi«, p. St. Zabielskiego »O pamięci«, p. Arndta »O najnowszych postępach w chemii«, p. Kubrakiewicza »Oko ludzkie«, p. Friedberga »Kwestya wschodnia w XIX. wieku«; — w Śniatynie: p. Augustaka »O trzęsieniach ziemi«, p. Ryniewicza »Emigracya polska po r. 1831« i p. Kreisla »Stanowisko kobiety w obowiązującej ustawie cywilnej a rządowym projekcie do tej ustawy«; — w Tarnopolu: d-ra W. Schreibera »Człowiek przedpotopowy«, »Z antropologii kobiety«, d-ra A. Passendorfera »O letargu i lunatyzmie«, p. Urby »Dramat Ibsena i Wyspiańskiego«, d-ra M. Maciszewskiego »O najazdach tatarskich na Ruś i Podole«; — w Trembowli: p. W. Hecka »O powstaniu listopadowem«, p. Medyczki »Handel wszechświatowy«; — w Turce: p. K. Notza »O wojnach polsko szwedzkich« i d-ra L. Bykowskiego »Biurokratyzm w przyrodzie«; — w Złoczowie: p. Zajączkowskiego »Nowoczesna aeronautyka«, p. Niedźwieckiego »Początki walk tatarskich«, p. Goldhammera »Stanowisko kobiety w starożytnej Helladzie«, d-ra J. Uranowicza »Zarys dziejów miasta Złoczowa«; — w Żółkwi: p. Eliasza »O telegrafie bez drutu«.

Z zestawienia szczegółowego okazuje się, że frekwencya ogólna na prowincyi zwiększyła się o 1436 osób, w porównaniu z rokiem poprzednim (43.603), zwiększyła się też i liczba wykładów o 9 (233). Ogółem uczęszczało na P. W. Uniw. osób 62.138, tj. o 1620 więcej, aniżeli w roku poprzednim, przeciętnie było na jednym wykładzie osób 172, tj. o 30 więcej, aniżeli w r. ub. — Z pośród wykładów tych

ogłoszono dotąd drukiem 20, bądź w czasopismach peryodycznych, bądź też w wydaniach książkowych.

Zamknięcie rachunków za r. ub. wykazuje nadwyżkę dochodów w kwocie 1628 kor., wskutek czego niedobór ogólny spadł do kwoty 551 kor. W rubryce wydatków najwyższą pozycyą są honorarya prelegentów, w kwocie 7417 kor., oraz koszta podróży 1619 kor., ogólna zaś suma rozchodu dosięgła cyfry poważnej 17.952 kor. Z niej pochłonęły najwięcej, bo 9115 kor. wykłady na prowincyi, wydatki ogólne wyniosły 4627 kor., na wykłady zaś lwowskie 4208 koron.

Rok ubiegły zamyka dziesięcioletnią działalność instytucyi P. W. Uniw., godzi się tedy streścić ją pokrótce w najważniejszych datach i cyfrach. Powstały one z inicyatywy dzisiejszego szefa sekcyi w min. oświaty, prof. d-ra L. Ćwiklińskiego, a rozwój swój zawdzięczają głównie energii niepożytej prof. d-ra K. Twardowskiego, Zakrzewskiego i Tołłoczki. Cyfra **3.171** wykładów, których wysłuchało **507.960** słuchaczów, mówi najlepiej o pożytecznej działalności P. W. Un. w pierwszem dziesięcioleciu. W ogólnej sumie dochodów z tego okresu stanowiły: subwencya rządu 50%, sejmu 7·5%, miasta Lwowa 4%, władz autonom. prowincyonalnych 6%, bilety wstępu 29%, inne 3·5%. W ogólnej sumie rozchodów **124.421 koron** honorarya prelegentów pochłonęły 44%. Sześcioprocentowy zaledwie ogólnej sumy rozchodów wydatek na środki naukowe, pozwolił przecież Zarządowi obok znacznej liczby kartonów i rysunków zgromadzić przedewszystkiem dziś już nader cenny zbiór przeźroczy do obrazów świetlnych, których liczba porządkowa doszła do 4016 n-ru. Zawiera on bardzo liczny dział obrazów do geografii Polski, historyi malarstwa polskiego, historyi sztuki i różnych dziedzin wiedzy przyrodniczej.

Uważając za potrzebne informowanie zagranicy o istnieniu pracy polskiej na niwie popularyzowania oświaty, wziął zarząd P. W. Uniw. udział w wszechświatowej wystawie szkolnej, która odbyła się w r. 1906 w Medyolanie. Za działalność swoją, przedstawioną w tabelach statystycznych, sprawozdaniach i programach wykładów, otrzymał zarząd dyplom honorowy, a przewodniczący ówczesny medal złoty.

Korzystając z wystawy przyrodniczo-lekarskiej we Lwowie w r. 1909, ogłoszono czwartą seryę wykładów, które odbywały się w jednym z pawilonów wystawowych za wstępem bezpłatnym. Program tej seryi zawierał same wykłady przyrodnicze, mające związek z wystawą.

W r. ub. wzięły P. W. Uniw. udział w jubileuszu Słowackiego, a to urządzając tak we Lwowie, jak i we wszystkich miastach prowincyonalnych, wieczory recytacyjne utworów poety, tudzież stosowne odczyty.

Jedynie podejmowane przez szereg lat próby nawiązania stosunków z organizacyami robotniczemi — nie zdołały — niestety! — mimo wolnego wstępu na te wykłady, zachęcić tych warstw do zajęcia się P. W. Uniw. Jest to objaw niewątpliwie bardzo smutny, który wskazuje, że kręgi oświaty nie rozszerzają się jeszcze dostatecznie w tym kierunku, w którym posuwać się powinnyby. Zupełne fiasko, jakiego doznały nawet socyalistyczno-agitacyjne wykłady Uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza we Lwowie, świadczy, że warstwy robotnicze przestały się interesować nawet tem, co zostało zaaranżowane przez ich prowodyrów partyjnych. Rzecz inna, czy owa obojętność dla celów kulturalnych posłuży za dobre tym warstwom obałamuconym mrzonkami o równości bezwzględnej i równowartościowości klas?...

* * *

Z pomiędzy stowarzyszeń prowincyonalnych najbardziej ożywiony ruch panował w *Związku naukowo-literackim* w Stanisławowie, zaradzającym doskonale brakowi instytucyi kulturalnej, podnoszącej poziom umysłowy naszej inteligencyi, co tak często daje się zauważyć nawet w większych miastach zachodnio-galicyjskich. Skupić zaś do wspólnej pracy jednostki chętne na prowincyi jest nieporównanie trudniejsze, aniżeli w centrach życia umysłowego. Tam bowiem niepodobna wprost ustrzedz się kwasów, plotek, a nawet pospolitej zawiści, niejednokrotnie na tle czysto osobistem wynikłej. Związek stanisławowski, pomimo jednorocznego zaledwie istnienia, może pochlubić się całym szeregiem poważnych odczytów, na których poruszono szereg najżywotniejszych zagadnień, zarówno z dziedziny literatury i sztuki, jak niemniej z zakresu filozofii i nauk społecznych, chociaż — naturalnie — przeważała literatura.

I tak mówili między innymi: p. G. Feliński na temat »Ewolucya myśli polskiej po r. 1863«, dr. E. Kucharski »Poezya Kazimiery Zawistowskiej«, p. J. Trusz »Społeczno-prawne stanowisko kobiety«, dr. M. Janik »Słowacki jako człowiek«, p. Lipa »Ruch etyczny w ostatniem 20-stoleciu XIX. w.«, p. Adam Stodoro »Dziejach grzechu« Żeromskiego, dr. J. Frenkiel »Dramat przyszłości w świetle teoryi Fr. Hebbla«, wreszcie p. L. Krzemieniecki

»Ludzie z lat 1861—1864, a powstanie styczniowe«. Po każdym odczycie następowały dyskusye, ożywienie zaś, jakie na nich panowało, stwierdza najdokładniej potrzebę ognisk prowincyonalnych ruchu umysłowego, jak niemniej potrzebę wymiany poglądów wśród inteligencyi, odciętej od stolic.

Cykl odczytów uzupełniały doskonale pogadanki na temat zagadnień, będących na dobie, żeby tylko z tego miejsca wymienić tak interesujące, jak np.: »Współczesny stan duszy polskiej« lub »Czy jest możliwa etyka indywidualna?« Zgromadzenia tygodniowe cieszyły się wcale pokaźną frekwencyą, wahającą się między 100 a 250 osobami. Oddzielne ciało w »Związku«, tworzyło »Kółko Słowackiego«, którego celem było dokładne zaznajomienie się z twórczością Juliuszową. W r. ub. poświęcono się wspólnej lekturze i interpretacyi »Króla Ducha«.

Najmłodsza z pomiędzy instytucyi prowincyonalnych, *Towarzystwo Przyjaciół Nauk* w Przemyślu, postawiła sobie za cel przedewszystkiem poznawanie dziejowej przeszłości i pamiątek miasta i okolicy, oraz konserwowanie dzieł sztuki i kultury na ziemiach polskich, jako też ratowanie ich od zatraty przez gromadzenie w muzeum Tow. Do osiągnięcia tego celu dąży Tow. przez założenie i utrzymanie biblioteki, stworzenie zbiorów muzealnych (archeologicznych, etnograficznych, numizmatycznych, przyrodniczych, przemysłu artystycznego itp.), galeryi obrazów i sztychów, oddziałów naukowych z rozmaitych gałęzi wiedzy, odczytów, wydawania sprawozdań rocznych z rozprawami naukowemi, stworzenia stacyi archeologicznej dla umiejętnych wykopalisk i odnawiania zabytków historycznych i rozpisywania konkursów na prace naukowe. Rezultaty prac Tow. są na razie jeszcze nikłe, a to z tego powodu, że jakkolwiek Tow. zostało założone formalnie na wiosnę ub. roku, przecież liczne trudności natury technicznej i finansowej, nie pozwoliły mu zaraz rozpocząć działalności. Dopiero wynajęcie lokalu w listopadzie ub. r., umożliwiło złożenia w nim biblioteki, pochodzącej z darów prywatnych, i zbiorów muzealnych. Biblioteka jest już obecnie wcale pokaźna, liczy bowiem około 3000 dzieł, a nadto wiele rękopisów i aktów grodzkich i ziemskich (niektóre z podpisami królów polskich). Ponadto wśród zbiorów posiada Tow. około 1000 monet i medali, wiele pieczęci, porcelany, broni, sztychów, obrazów i wykopalisk. Obecnie trwa w całej pełni praca nad uporządkowaniem zbiorów, jako też biblioteki, która z biegiem czasu ma stać się publiczną. Prócz tego w najbliższym czasie

mają rozpocząć się staraniem Tow. odczyty publiczne, dla których wygłoszenia uproszono prelegentów tak zamiejscowych, jak i miejscowych. Członków liczy Tow. 87, wśród nich 2 założycieli i kilku wspierających. Pośród członków znajdujemy między innymi: ks. biskupa Pelczara, ks. biskupa Fiszera, ks. infułatów Federkiewicza i Łękawskiego. — Obrót kasowy przedstawia się nadzwyczaj skromnie, a mianowicie przychód wynosił 404 kor., rozchód 393 kor. 83 hal.

Czytelnia naukowa w Stryju, założona przez miejscowy oddział Tow. Szkoły ludowej, miała na celu przedewszystkiem zaopatrywanie licznej inteligencyi miejscowej w nowości literackie, z zakresu powieściopisarstwa, poezyi, dramatu i historyi piśmiennictwa naszego, oraz przekładów najcelniejszych utworów pisarzy obcych. Po dwumiesięcznem zaledwie istnieniu liczy obecnie Czytelnia 72 członków, księgozbiór zaś jej stanowi 453 dzieł w 523 tomach, z czego treści beletrystycznej 276, naukowej 185, dramatu 68, a poezyi 34. Zbiór ten podlega — naturalnie — ciągłym uzupełnieniom. O zainteresowaniu się Czytelnią świadczy najlepiej cyfra jej czytelników i ilość dzieł wypożyczonych. Mianowicie w ciągu półtrzecia miesiąca wydano na użytek 139 osób 529 dzieł. Jak na początek — wcale dobrze, tem lepiej, że z ogólnej sumy dochodu 565 koron, wydatkowano zaledwie 254 kor. Bilans majątkowy zamknięto wcale poważną cyfrą 2100 koron. Z tego okazuje się najlepiej słuszność agitacyi prof. O. Balcera za otwieraniem bibliotek prowincyonalnych, o czem wspomnieliśmy obszerniej z okazyi »Tow. dla pop. nauki polskiej«. Jednym z najradykalniejszych środków przeciwko ospałości i gnuśności inteligencyi prowincyonalnej będą księgozbiory naukowe, zakreślone — naturalnie na wielką skalę. Szkoda, że przykład Stryja nie znalazł naśladowców!...

(C. d. n.)

Dr. St. Zdziarski.

Wśród młodocianych katolickich rękodzielników i robotników za granicą.

1. Kraje austryackie.

Wiedeń. Bawiąc w Wiedniu, najpierw kroki swe skierowałem w celu zwiedzenia znanego w całej Austryi a nawet za granicą »Calasantinum«. Jest to dom terminatorów katolickich na Tellgasse 7.

Dir. XV. Twórcą tej instytucyi jest ks. Antoni Schwarz [1]. W r. 1882 jako młody kapłan zajął się, można powiedzieć, pierwszy w Wiedniu młodzieżą rękodzielniczą. Najpierw stworzył rodzaj opieki nad terminatorami. Początkowo mieli zebrania w małym lokalu u Sióstr Miłosierdzia na tej samej ulicy Tellgasse. W r. 1886 założył internat dla terminatorów. Następnie, przy pomocy katolickich osobistości wiedeńskich, wystawił wspaniały gmach, w którym mieści się internat czyli bursa na mniej więcej 70 terminatorów za opłatą miesięczną 24 koron, za co mają mieszkanie i jedzenie. Prócz internistów, przy »Calasantinum« jest patronaż dla przychodnich terminatorów. Liczba przychodnich w zimie dochodzi do 200, w lecie 120—130. Prócz tego jest koło czeladników, rekrutujących się z wychowanych terminatorów w liczbie 80—90.

Urządzenia są wprost wzorowe. Sala teatralna wielka, bogato przyozdobiona. Urządzenie sceny według techniki dobrze urządzonych teatrów. Komfort ten jest wytłumaczalny, bo na przedstawieniach bywają często członkowie rodziny cesarskiej. Sala na odczyty i konferencye, biblioteka i czytelnia osobno dla terminatorów, osobno dla czeladników. Bardzo praktycznie i gustownie urządzona kręgielnia w suterynach, oświetlona elektrycznością, łazienki, tusz, kawałek ogródka i t. d. Pomyślnie rozwija się kasa oszczędności zapomocą systemu groszowego. Obecny stan kas 148.800 kor. Mają też własną muzykę, śpiew. Przed kilku laty zaprowadzono Kongregacyę Maryańską. Każdy otrzymuje miesięcznik *Calasantinum*. Prenumerata wynosi 1·40 kor. rocznie.

System prowadzenia i wychowania w »Calasantinum« jest na modłę patronaży. Ks. Antoni Schwarz jest w zasadzie za samorządem, byle na czele stowarzyszenia był kapłan i energiczna ręka prowadziła, bo jak się wyraził: »Biada samorządowi młodzieży, jeśli nie ma karności i silnej ręki kierowniczej«.

Jest też w Wiedniu i w całej Austryi »Związek chrześcijańskiej młodzieży«. Związek ten powstał w 1905 r. Założycielem jest Antoni Orel, akademik-prawnik. Jest to zrzeszenie młodzieży mieszanej t. j. nie tylko są młodociani rękodzielnicy i robotnicy, ale także gimnazya-

[1] Założył on też zgromadzenie Kalasantynów, mające na celu przedewszystkiem wychowanie młodzieży rękodzielniczej. Zasłużony to jest kapłan nie tylko stworzeniem »Calasantinum«, ale jest jednym ze znanych działaczy w Austryi na polu pracy wśród młodzieży rękodzielniczej.

liści, młodzi kupcy, przemysłowcy i t. p. Jednak największy procent jest młodzieży rękodzielniczej i robotniczej. Mają samorząd i rządzą się przeważnie według zasad Foerstera. Cały związek dzieli się na pojedyncze stowarzyszenia z własnym zarządem, każde zaś stowarzyszenie dzieli się na sekcye z własną autonomią. Stan liczbowy jest następujący:

15 stycznia 1905 r.	1 stowarzyszenie	12 członków
1 » 1906 »	6 stowarzyszeń	250 »
1 » 1907 »	10 »	400 »
1 » 1908 »	17 »	750 »
1 » 1909 »	43 »	2300 »
1 września 1909 »	85 »	4000 »
1 do 15 lipca 1910 »	88 »	4500 »

W samym Wiedniu grup tego Związku jest 24, a członków 1200, poza Wiedniem 20, w Austryi Górnej 3, w Salzburgu 2, w Innsbrucku 1, w Styryi 2, w Czechach 10, na Morawach 8, na Śląsku 3, i t. d.

Mają swój dwutygodnik *Unsere Jugend.* Sekretaryat dla spraw Związku ogólno-austryackiego na ul. Brückengasse 3. VI. Sam zaś Antoni Orel mieszka: Wien XVII. Pötzleinschorferstrasse 116.

A. Orel jest wielkim zwolennikiem Foerstera, stąd wszędzie stara się wprowadzać jego naukę i zasady. Przeciwny wszelkiej policyjnej kontroli, całą swą działalność opiera niemal na samem poczuciu obowiązku i wyrobieniu charakteru. Ważną rolę w jego typie zrzeszenia odgrywają mężowie zaufania, którzy niemal zastępują księgi, kartki kontrolujące i t. p. Członkowie Związku przystępują obowiązkowo 4 razy na rok do Komunii św. Wszędzie też zakładają Kongregacyę Maryańską z wyrobionych członków. P. Orel, jako wychowanek Jezuitów z Kalksburga, bezwiednie stosuje także system stamtąd zapożyczony, wyrabiając kandydatów do Kongregacyi Maryańskiej, aby przez nią po katolicku ukształtować całą młodzież. Tworzą także przy każdej grupie kasy oszczędności zapomocą marek pocztowych, kluby footbalowe, gimnastyczne, kluby turystyczne i rozmaite inne sekcye. O muzykę nie bardzo się starają, gdyż p. Orel jest przeciwny muzyce, jako czynnikowi wytwarzającemu, podług niego, zarozumiałość i niezgodę wśród kolegów. Nieprzejednany wróg patronaży, potępia też bezwzględnie wszelkie internaty czyli bursy dla młodzieży rękodzielniczej, twierdząc: »że bursy wiele kosztują, a mało wydają dobrych

skutków. Dopóki są w bursie, są jako tako dobrzy, a potem kiedy wyjdą z niej, rozlatują się i marnieją«.

Posądzają niektórzy katolicy p. Orela o zbytni idealizm i liberalizm, co także dało powód, że pewna ilość stowarzyszeń wiedeńskich oderwała się od systemu p. Orela i przystąpiła do organizacyi p. t. »Katolicki Związek młodociany«. Twórcą tego zrzeszenia na początku 1909 r. jest poseł do parlamentu i członek partyi Luegerowskiej, Leopold Kunschak. Związek ten oparty na zasadach ścisłej organizacyi, dzieli się na grupy i połączony jest w jedną centralę. Raz na rok jest ogólne zebranie delegatów wszystkich grup. Należą tylko młodociani rękodzielnicy i robotnicy. Centralę mają: Wien VII, Kaiserstrasse 8. W samym Wiedniu mają grup 23, poza Wiedniem 15, w Asutryi Górnej 3, Styryi 3, Karyntyi 3, na Morawach 3, w Czechach 3, na Bukowinie 1. Mają swój dwutygodnik *Die Arbeiterjugend.*

2. Niemcy południowe.

Monachium. Praca nad terminatorami i młodocianymi robotnikami rozpoczęła się około 1885 r. od patronaży. Obecnie tak w Monachium, jak i w całej Bawaryi i innych prowincyach południowych Niemiec, istnieją już tylko same stowarzyszenia o ścisłej organizacyi w liczbie około 300 i przeszło 12.000 członków. Samo Monachium ma 18 stowarzyszeń i przeszło 1500 członków. Forma działalności tych stowarzyszeń opiera się obecnie na samorządzie t. j., że terminatorzy biorą udział w rządach. Do istoty stowarzyszenia należy, by prezesem był kapłan, nigdy świecki. Kapłana mianuje na prezesa władza duchowna. W ostatnich czasach nawet patronaże młodych pracownic zamieniono na stowarzyszenia oparte na samorządzie.

Mają też swój dwutygodnik *Der Treue Kamerad.* Należący do Związku płacą miesięcznie 20 f., a z tego 10 f. idzie na opłatę gazetki, którą każdy młodociany otrzymuje.

W Monachium jest centrala Związku na całe Niemcy południowe na ul. Morasistrasse 14. Biurem centrali obecnie zarządza ks. dr. Rudolf Weiss, który jest też równocześnie prezesem miejscowego stowarzyszenia młodocianych i dyrektorem bursy terminatorskiej.

Urządzenie internatu na kilkudziesięciu terminatorów jest dość prymitywne. Płacą miesięcznie 26 m. Zapatrywania ks. Weissa co do bursy jest dość pesymistyczne: »Bursa jest *malum necessarium*, lepiej zakładać eksternaty«. To też przy bursie jest stowarzyszenie dla eksternistów. Przychodzi ich około 100. Mają salę teatralną, footbal,

wycieczki, zwłaszcza bardzo modne w Bawaryi są ćwiczenia wojskowe. Mają też kręgielnię, bilard i wiele gier pokojowych, muzykę własną i t. p. W kasie oszczędności rocznie składają od 3000—5000 m. Próbują też wprowadzić propagandę przeciw alkoholowi, ale ta się jeszcze nie udaje, — Bawarczycy zbyt przyzwyczajeni do picia piwa. Udało się już gdzieniegdzie wyrugować alkohol i zastąpić go limoniadą. Głównym propagatorem idei abstynencyi i wstrzemięźliwości jest O. Dyonizy, Kapucyn.

Zwiedziłem wśród osiemnastu monachijskich stowarzyszeń młodocianych jeszcze jedno na ul. Schleissheimorstrasse 157. Stowarzyszenie to prowadzą OO. Kapucyni. Założył je O. Dyonizy w 1908. Dotychczas 80 członków mieściło się w lichem zabudowaniu. Obecnie OO. Kapucyni budują wielki dom dla robotników, a obok tego budują dom dla młodocianych eksternistów. Jest także obszerny plac do zabaw. Obok innych urządzeń, O. Dyonizy zakupił maszynę wyrabiającą limoniadę. Każdy chłopiec może sobie za kilka fenigów kupić flaszkę limoniady, stosunkowo więc dość taniej i smacznej.

We wszystkich stowarzyszeniach południowych Niemiec 4 razy do roku jest Komunia św. obowiązkowa. W rubrykach ogólnej kontroli obecności na zebraniach, znajduje się także rubryka na czterokrotną obowiązkową Komunię św Mimo to organizacyom bawarskim młodocianym zarzucają, że zbytnio młodych rozbawiają, a za mały nacisk kładą w stowarzyszeniach na gruntowne i chrześcijańskie wyrobienie charakteru.

3. Prowincye nadreńskie.

M o g u n c y a. Moguncya, miasto Kettelera, wielkiego biskupa i ojca ruchu robotniczego w akcyi katolickiej, była, można powiedzieć, także kolebką organizacyi terminatorskich, dziś tak licznie rozsianych po całych Niemczech. Biskup Ketteler swem bystrem okiem spoglądając w dal, zrozumiał, jak konieczną jest praca nad terminatorami. Miał szczerego swego przyjaciela, męża znanego z nauki i cnoty, księdza Jana Chrzciciela Heinricha. Otóż ten, za namową i prośbą biskupa Ketellera, przystępuje w 1861 r. do założenia opieki nad terminatorami; odłączywszy na wiosnę tegoż roku terminatorów od czeladników, utworzył Kongregacyę Maryańską pod wezwaniem św. Stanisława Kostki.

Jadąc do Niemiec w sprawie zbadania pracy na polu katolickiej młodzieży rękodzielniczej i czeladników, nie spodziewałem się, że zastanę imię św. Stanisława Kostki tak ściśle, jak u nas w Polsce, związane

z pracą nad terminatorami. Było to miłem nie tylko dla tego, że nasz święty młodzieniaszek taką cześć w Niemczech odbiera, ale przedewszystkiem z powodu wzmocnienia wiary w przyszłość, że jak to ziarnko mogunckie zasiane pod opieką św. Stanisława Kostki rozrosło się w potężne drzewo, które dziś swymi konarami okrywa całe Niemcy, tak i w naszej ojczyźnie to ziarnko pod opieką św. Stanisława Kostki rozrośnie się w potężne drzewo, co swemi gałęziami uwieńczy cały nasz kraj polski.

Początkowo cała praca ks. Heinricha ograniczała się do nauk religijnych, które miał w niedziele i święta do terminatorów w kaplicy św. Mikołaja. Lecz około 1868 r., obarczony coraz większą pracą, powierzył ukochaną przez siebie Kongregacyę terminatorów OO. Jezuitom, do śmierci jednak zostając honorowym prezesem. Pierwszy pracował O. Doss, słynny apostoł młodzieży. Krótko pracował. Po nim objęli kierownictwo OO. Martin, Meschenmoser i O. Wolter. OO. Jezuici Kongregacyę doprowadzili do świetnego stanu, a zwłaszcza O. Wolter, który to pierwszy zamierzał za radą ks. biskupa Kettelera zbudować osobny dom dla terminatorów. Lecz prawa majowe przerwały pracę Jezuitów. Musieli opuścić Niemcy, wygnani przez Bismarcka.

Po Jezuitach sprawę terminatorską wzięli w swe ręce księża świeccy, a zwłaszcza tę pracę posunął naprzód ks. Tomasz Landmann, wikary, a potem proboszcz przy kościele św. Krzysztofa. Do tego czasu Kongregacya św. Stanisława mieściła się w domu czeladników, ale za ciasno było jednym i drugim. Więc ks. Landmann, wskrzesiwszy dawny projekt O. Woltera, utworzył komitet z obywateli mogunckich i za ich pomocą zakupiono dom, gdzie nie tylko urządzono internat dla terminatorów niemających rodziców, ale także miejsce zebrań dla kongregacyi św. Stanisława. Z biegiem czasu okazało się, że Kongregacya sama nie wystarcza, potrzeba organizacyi szerszej i dostosowanej do warunków i potrzeb czasu. Stworzono 1890 r. Związek terminatorów i ten połączono z Kongregacyą tak, że stanowi to jedną całość. Obecnie Kongregacya św. Stanisława i Związek przeciętnie liczy 400 członków, z tych 100 jest kongreganistów. W ostatnich czasach wybudowano nowy, wspaniały dom. Dziś można oglądać to arcypożyteczne dzieło św. Stanisława Kostki. Internat przeciętnie na 30 terminatorów. Wszystko bardzo porządnie urządzone. Gospodarstwem zajmują się zakonnice. Utrzymanie miesięcznie kosztuje 30 m. Prócz tego w gmachu tym mieszczą się: kaplica, sale na konferencye, na zabawy, sala teatralna, sale szkolne dla szkół wieczornych,

czytelnia, biblioteka i t. p. Niedaleko od domu jest plac na zabawy, ma przeszło 5000 kw. metrów. Na placu wystawiono wielką halę z salą gimnastyczną i teatralną na lato.

Zrozumiano też, że aby to dzieło prawdziwie rozwijało się i wydawało owoce, potrzeba, by prezes wolny był od innych zajęć parafialnych. Stąd arcybiskup moguncki od kilku lat przeznacza osobnego kapłana, który niepodzielnie może się oddać sprawom terminatorskim m. Moguncyi. Mają też własny dwutygodnik *Gwiazda przewodnia (Leitstern)*.

Za Moguncyą poszły wszystkie niemal miasta i miasteczka całej prowincyi nadreńskiej. Wprawdzie nie wszędzie mają terminatorzy swoje własne domy, bo mieszczą się przeważnie w wynajętych domach lub na komornem w domach czeladników, to jednak wszędzie istnieją Kongregacye św. Stanisława Kostki, które im zastępują urządzenia związków.

Sprawa terminatorów i młodocianych, można powiedzieć, biorąc w ogólności, w prowincyach nadreńskich co do formy stoi niżej, niż w innych częściach Niemiec, ale jest to rzeczą wytłumaczalną. W tych prowincyach, a zwłaszcza w Kolonii, cały nacisk i uwagę skierowano na organizacye czeladników. Majstrowie i czeladnicy w całej prowincyi przeważnie są katolikami, niema więc takiej obawy wyzysku i zgorszenia, a terminator, z natury rzeczy, choćby do żadnej organizacyi nie należał, nie ma pokusy należeć do wrogiej chrystyanizmowi organizacyi, ale zaraz po wyzwolinach wstępuje do stowarzyszenia czeladniczego.

K o l o n i a. Najpierw zwiedziłem Lehrlingshaus na ul. Weissgerbereckgasse 2. Naśladownictwo domu mogunckiego. Terminatorów przeciętnie 60. Mieszka z nimi też kilkunastu gimnazyalistów. Płacą miesięcznie 30 m. Gospodarstwem, jak wogóle wszędzie, zajmują się zakonnice. Przy internacie jest Kongregacya św. Stanisława Kostki, do której należy także około 100 eksternistów. Urządzenia podobne jak w Moguncyi. Obecnie na czele Kongregacyi i internatu stoi ksiądz H. Bosch. Zapatrywanie ks. Boscha na kwestyę burs terminatorskich jest: »że bursy tylko dla tych, co nie mogą mieszkać u odpowiednio uposażonych majstrów, zawsze jednak trzeba koniecznie się starać, by przy bursie był eksternat«.

W stowarzyszeniach terminatorskich wszędzie można zauważyć akademików katolickich, pomagających w pracy kapłanom.

Będąc w Kolonii, trudno nie zwiedzić sławnej na cały świat in-

stytucyi ks. Kolpinga. Tu bowiem jest centrala wszechświatowego Związku stowarzyszeń katolickich czeladników. Obecnie stowarzyszeń czeladniczych jest przeszło 1182, które rozsiane są po obu półkulach ziemi. Na czele związku katolickich czeladników stoi jako generalny prezes ks. dr. Franciszek Schweitzer. Mieszka w gmachu centrali, ul. Breiterstrasse 147—151. Jest to kompleks budynków, należących do centrali i miejscowego stowarzyszenia czeladników. Mieszczą się w nich biura zarządów, mieszkanie dla generalnego prezesa i generalnego sekretarza i innych urzędników. Jest także internat na przeszło 100 czeladników, prócz tego mieszkania dla czeladników, szukających pracy.

Każdy czeladnik katolicki, a należący do Związku i zgłaszający się, otrzymuje za darmo mieszkanie na jeden lub najwięcej na dwa dni. Następnie, jeśli jeszcze miejsca nie znalazł, opłaca mieszkanie za bardzo nizką kwotę. Jest także i kuchnia tania nie tylko dla internistów, ale także dla eksternistów. Mają też piekarnię, szkołę kucharską, ślusarnię i t. p., by także czeladnik nawet niefachowy mógł w tym domu znaleźć zarobek, dopóki nie znajdzie pracy u odpowiedniego majstra.

Jest tu również wzorowo zorganizowane biuro pracy. Tak czeladnicy jak majstrowie zgłaszają się i stawiają swe warunki, a biuro za małą opłatą, złożoną przez majstra, załatwia sprawę. W zeszłym roku 1909 zgłosiło się 2406 majstrów do biura w celu dostania dla swej pracowni czeladników. W gmachu tym mieszczą się też sale bawialne, sala teatralna, dziedziniec z ogródkiem. Na przyszły rok będą jeszcze więcej rozszerzać zabudowania i urządzać je według wszystkich wymagań hygieny.

Dziwne robi wrażenie to życie, jakie wre w tym domu. Stykając się osobiście z H. Antoniushausem, widzi się namacalnie, że Kolping czeladnikom dał to, co jest niemal najdroższe dla serca ludzkiego, dał im pełną miłości opiekę i rodzinę, a tego nie dadzą im ani zawodowe, ani nie wiem jakie materyalne korzyści. Nie dziw, że to dzieło tak się rozszerzyło po świecie i wszystko, co szlachetniejsze, doń się garnie.

Członkowie wszystkich stowarzyszeń czeladniczych obowiązani są rocznie chodzić 8 razy wspólnie do Komunii św., a poleca się tygodniowa a przynajmniej miesięczna. To też można widzieć w Kolonii nie tylko w niedzielę, ale nawet w dni powszednie rano, przedrozpoczęciem pracy, czeladników przystępujących do Komunii św.

W Kolonii, kościołem czeladników jest kościół Minorytów, nie-

daleko katedry. Na placu przed kościołem wznosi się pełen myśli i powabu pomnik ks. Kolpinga, twórcy tego potężnego dzieła katolickiego. Drogim też jest kościół Minorytów dla młodzieży czeladniczej, bo w swych murach mieści ciało jej najwybitniejszego przyjaciela i ojca. To też w niedzielę, zwłaszcza po wspólnej Komunii św., można widzieć gromadki czeladników, modlących się na grobie ks. Kolpinga. Ciało leży w nawie od wejścia po prawej stronie, pod samym ołtarzem. Przykrywa je wielka płyta, na której wyryte są słowa: »Tu spoczywa Adolf Kolping, ur. 8 grud. 1813, um. 4 grud. 1865 i prosi o jałmużnę modlitwy«.

Prawdziwie opatrznościowym stał się były czeladnik szewski, a potem kapłan katolicki, Kolping, bo niemal w tym samym czasie, kiedy Marx swą doktryną i odezwą komunistyczną do świata całego skazuje na zagładę i śmierć drobne rękodzielnictwo, to wtedy właśnie kapłan katolicki, Kolping, tworzy potężne i niespożyte dzieło, mające na celu zachowanie i podniesienie rękodzieł.

M. Gladbach. Miasto półtorej godziny drogi koleją od Kolonii, o ludności kilkunastutysięcznej, na wskroś katolickiej. Jest ono stolicą obecnego ruchu robotniczo-ludowo-społecznego na polu akcyi katolickiej. Tu się bowiem znajduje centrala Volksvereinu, słynna na całe Niemcy, a nawet swym wpływem sięgająca daleko poza granice państwa Niemieckiego.

Co się tyczy pracy nad młodocianymi, niema tu nic specyalnego. Kongregacye św. Stanisława Kostki, podobnie jak w całej prowincyi nadreńskiej.

Do M. Gladbach nie jedzie się, by oglądać instytucye robotnicze, ale by poznać życie centralnego rządu, jakby centralnego motoru całego ruchu ludowo-robotniczego w Niemczech.

Zabudowania centrali znajdują się przy ul. Sandstrasse. Gmach wielki, którego dwa fronty wychodzą na dwie ulice. Wewnątrz dziedziniec i piękny ogródek. Urządzenia wprost z komfortem. Wszędzie porządek wzorowy. Czuje się, że tu starają się, by ta instytucya była klasycznym wzorem dla wszystkich. I jest w istocie taką. W gmachu mieszczą się mieszkania dla dyrektorów, którymi są kapłani świeccy, mieszkania dla niektórych urzędników, następnie kilkanaście biur dla poszczególnych działów pracy. Sale posiedzeń, sala na wykłady w czasie kursów społecznych, biblioteka o 50.000 tomach, z której mogą pożyczać nie tylko z Niemiec, ale nawet z zagranicy, biblioteka osobna

dla tych, co odbywają na miejscu kursa społeczne. Osobne biuro dla wycinków z gazet, z którego można wypożyczyć niemal wszystko, co napisano ważnego w gazetach niemieckich. Wielkich rozmiarów, arcywzorowo urządzona drukarnia, w której drukują się tylko książki, gazety, broszury, odezwy, ulotne pisma i t. p. niemal dla wszystkich działów katolickiej pracy społecznej w Niemczech. Pracuje w niej przeszło sto kilkadziesiąt osób. Obok tego introligatornia, w której około 80 osób zajmuje się broszurowaniem i oprawą książek. Osobne składy na druki, na papier, osobne ubikacye na pakowanie druków i ich wysyłanie.

Życie tu wielkie, a takiego drugiego nie znajdzie się łatwo. Prócz robotników pracujących w drukarni i t. p., około 100 osób pracuje w biurach centrali, między któremi 20 osób z wykształceniem uniwersyteckiem, którzy już pokończyli prawo, filozofię lub teologię. Obecnie głównym i pierwszym dyrektorem centrali jest ks. dr. Brauns.

Odbywały się w tym czasie 1—7 sierpnia kursa społeczne: *Die bürgerliche Socialreform.* Przeznaczona na kursa sala jest wielkich rozmiarów o 300 miejscach wygodnych do siedzenia, urządzona według wszelkich wymagań hygieny, akustyki, oświetlenia i t. p.

Wśród uczestników, których było nas przeszło stu kilkudziesięciu, można było widzieć starszych i młodszych kapłanów, zakonników, zakonnice, akademików, młode niewiasty. Porządek przez całe 6 dni jest następujący: Rano 4 godziny wykładów z małą przerwą. Po obiedzie ćwiczenia i przygotowania prywatne. O godzinie $7^1/_2$—10 wieczorem są praktyczne ćwiczenia publiczne pod przewodnictwem samego dyrektora ks. d-ra Braunsa [1].

Jednem słowem M. Gladbach jest rodzajem uniwersytetu, gdzie teoretycznie i praktycznie można się nauczyć pracować na polu akcyi katolickiej.

Rheindahlen. Zwiedzając M. Gladbach warto tym, co się zajmują kwestyą młodocianych, zwiedzić zakład wychowawczo-poprawczy w Rheindahlen. Jedzie się z M. Gladbachu tramwajem najdłużej pół godziny. Zakład ten urządzony według systemu familijnego, przeszczepionego z Anglii, a różnego od dawnego systemu koszarowego.

---

[1] Kiedy i o czem kursa społeczne się odbywają, można się w każdej chwili dowiedzieć: M. Gladbach, Sandstrasse. X. Dr. H. Brauns. Centrala ma też własny hotel.

System koszarowy polega na tem, że wszystkie urządzenia dla wszystkich niemal są w jednym budynku. Familijny składa się z kilku budynków, w których chłopcy umieszczeni są według odpowiednich warunków i wymagań.

Zakład wystawiony przez rząd kosztem przeszło 2,000.000 m. dla chłopców li tylko wyznania katolickiego. Na czele zakładu stoi świecki z ramienia rządu, a dyrektorem zakładu jest kapłan Franciszek Becker. Zakład może pomieścić 320 chłopców. Podzielony jest na kilkanaście budynków. Chłopców może mieszkać w jednym budynku najwyżej 50-ciu, ale i ci podzieleni są na dwa oddziały. Każdy oddział, złożony z 25, ma swego przełożonego, a nad nimi jest jeszcze jeden główny kierownik, zwykle majster, względnie nauczyciel dla chłopców w latach szkolnych. Każdy taki dom jest oddalony od drugiego o kilkadziesiąt kroków i ma swoje własne urządzenia. Wspólnie mają tylko kaplicę, łazienki, salę teatralną, szpital. Zresztą nie schodzą się, tylko w wyjątkowych wypadkach.

Chłopców przyjmują od 10—22 lat. Miesięcznie utrzymanie kosztuje około 60 marek. Koszta utrzymania ponosi rząd. Nim chłopca przydzielą do zakładu, najpierw w osobnym budynku mieszka przez pewien czas, w celu obserwacyi, by zarząd mógł dokładnie zadecydować, do którego domu ma być przeznaczonym.

Opieka religijna jest staranna. Co sześć tygodni mają spowiedź obowiązkową i Komunię św. a polecają jak najczęstszą.

Pracownie rękodzielnicze urządzone według najnowszych ulepszeń. Pracownie są następujące: stolarska, ślusarska, koszykarska i ogrodownictwo. Szpital wprost zadziwia swemi urządzeniami. Zasadzono na stronie lasek sosnowy, tuż obok weranda na leżaki dla piersiowo chorych.

Porządek dnia[1] jest przepisany stałym regulaminem. W zimie

[1] Przytaczam porządek dnia:
Godz. 5 wstanie i pacierz wspólny.
» $5^3/_4$ I śniadanie z zupy i chleba.
» $6^1/_2$ Msza św. Chłopcy do lat 12 codziennie, terminatorzy 4 razy na tydzień.
» 7—12 szkoła dla młodszych, dla terminatorów praca po pracowniach. O godzinie 9 przerwa: II śniadanie z kawy, chleba i masła.
» 12 obiad składający się z jednej potrawy. Jest to mieszanina z mięsa siekanego, kartofli, jarzyn i t. d., podobnie jak dla wojska w Prusiech.
» $12^1/_2$—$1^1/_2$ mycie naczyń i rekreacya.

zabawy mają w swych własnych budynkach lub wspólnie w wielkiej sali: odczyty, przedstawienia, koncerta i t. p. W lecie zabawy na placach, wycieczki. Mają muzykę własną i śpiew.

Gospodarstwem, jak kuchnią, pralnią, szwalnią, folwarkiem i t. p. zajmują się zakonnice Augustyanki.

Rezultat wychowania jest podobno dodatni. Na 100 wychodzi 70% na uczciwych rzemieślników, a nawet 80%, jeśli są oddani do zakładu w latach młodszych.

Viersen (ul. Lindenstrasse). Pół godziny drogi tramwajem od Gladbachu leży dom rekolekcyjny dla robotników. Kiedyśmy zwiedzali dom, odprawiało wtedy 34 rekrutów rekolekcye. Dom jest na 60 osób. Pokoje dla każdego osobno. Utrzymanie kosztuje 4 m. za trzy dni. Przeciętnie rocznie 1000 robotników odprawia klauzurowe rekolekcye. Bardzo pocieszającym objawem jest, że młodzież rękodzielnicza garnie się na te duchowne ćwiczenia. »Na liczbę 1004 — czytamy w sprawozdaniu za rok 1906 — było 805 młodzieńców, a mianowicie 631 czeladników, 54 starszych terminatorów. Ten wspaniały rezultat jest zasługą w pierwszym rzędzie agitacyi poprzednich uczestników rekolekcyi a głównie niestrudzonej gorliwości ks. d-ra Schweitzera, który wszelkimi sposobami starał się o rozwój rekolekcyi wśród młodzieży rękodzielniczej«.

(Dok. nast.)

Ks. M. Kuznowicz.

Godz. $1^1/_2$—$3^1/_2$ praca, względnie szkoła.
» $3^3/_4$—7 praca dla wszystkich, nawet dla najmłodszych w ogródkach.
» 7 kolacya.
» $7^1/_2$—$8^3/_4$ sprzątanie i rekreacya.
» $8^3/_4$ wspólna modlitwa wieczorna.
» 9 spoczynek.
Niedziela:
» $8^1/_2$ Msza święta.
» $2^1/_2$ Nabożeństwo popołudniowe.
Zresztą cały dzień jest wolny.

Druk ukończono 12 listopada 1910.

CZY TEOLOGIA JEST UMIEJĘTNOŚCIĄ?

Coraz częściej, natarczywiej i w formie coraz mniej przyzwoitej domagają się dziś pewne sfery w Austryi usunięcia teologii z uniwersytetów. Jako powód tego żądania podają nienaukowość studyów teologicznych. Ani przedmiotem — powiadają — ani metodą badania nie zasługuje teologia na nazwę nauki. Brakuje jej też nieodzownych warunków prawdziwej umiejętności t. j. wolności i postępu.

Dziwna doprawdy rzecz! Teologia dała początek uniwersytetom. Ona wypiastowała inne wydziały na uniwersytetach. Długie wieki zajmowała tam dominujące stanowisko. Liczyła między swymi mistrzami bardzo wybitnych, nieraz genialnych, wykształciła ludzi światowej sławy, którzy na polu naukowej, narodowej i społecznej pracy przodownicze zajmowali miejsce. I oto dziś tej teologii odmawia się nawet nazwy prawdziwej umiejętności, wypowiada się jej miejsce na uniwersytecie. Przez tyle wieków najwybitniejsi mężowie nauką, charakterem, zasługą nie dostrzegli tej rzekomej nienaukowości teologii, choć bezsprzecznie lepiej się na teologii rozumieli, niż dzisiejsi jej przeciwnicy, a i rozumem im nie ustępują. Fakt ten już sam jeden starczy za dowód, że rzekoma nienaukowość teologii, dla której domagają się wspomniane sfery usunięcia teologii z uniwersytetu, jest tylko pozorem, właściwe przyczyny leżą gdzieindziej. O nich powiemy także pod koniec naszej rozprawki. Główną jednak osnową niniejszej pracy będzie rozprawić się z zarzutem nienaukowości robionym teologii,

służącym za płaszczyk ukrywanych pod nim właściwych, postronnych celów. Płaszczyk to bardzo dziś wygodny i agitacyjnym celom wielce usłużny. W dzisiejszych czasach bałwochwalczej czci dla nauki zarzut nienaukowości teologii czyniony, gdyby się, choć kłamliwy, powszechnie w umysłach zakorzenił, obniżyłby wielce znaczenie teologii nawet u ludzi wierzących, a w konsekwencyi rzucałby pewien cień na religię chrześcijańską, której teologia służy. Wiedzą o tem przeciwnicy teologii i religii, dlatego tym zarzutem tak chętnie się posługują, ukrywając skrzętnie swe właściwe cele, do których dążą. Występując za usunięciem teologii z uniwersytetu w imię zagrożonej przez teologię godności nauki i uniwersytetu, pasują się na obrońców samej nauki, a w ten sposób zyskują popularność i zwolenników dla przeprowadzenia swych ukrytych zamiarów. Z tego się pokazuje, jak niebezpieczną dla teologii i religii jest broń, którą nieprzyjaciele walczą, i jak ważną jest rzeczą wytrącać im tę broń z ręki, odsłaniając ich zamiary, a przedewszystkiem wykazując, że mijają się z prawdą i zwodzą łatwowiernych zarzutem nienaukowości teologii czynionym. Rzecz bowiem ma się przeciwnie. Teologia jest prawdziwą umiejętnością, na równi z innemi, bo posiada wszystkie warunki prawdziwej umiejętności. Temu też celowi ma służyć niniejsza rozprawka.

1. Co to jest umiejętność?

Starzy określali umiejętność jako poznanie przyczyn rzeczy — *cognitio rerum per causas*. Określenie bardzo trafne. Umiejętności nie stanowi znajomość samych faktów. Ten dopiero poznał umiejętnie pewną rzecz, kto umie odpowiedzieć na pytanie, skąd się ta rzecz wzięła czyli umie podać jej przyczynę sprawczą, kto dalej zbadał istotę rzeczy, wreszcie, kto zna cel, jakiemu ma służyć. Wszystkie dotyczące wiadomości, jeśli mają stanowić umiejętność, muszą być nadto systematycznie zestawione i uporządkowane. Tak np. umiejętność przyrodnicza jest systematycznem zestawieniem faktów przyrody i wytłumaczeniem ich przyczyn. Historya jest systematycznem, na źródłach opartem zestawieniem faktów, powiązanych w łańcuch przyczyn i skutków.

Każda umiejętność ma swój przedmiot badania i swój kąt widzenia, pod którym bada dany przedmiot. Stąd może się stać, że dwie odrębne umiejętności mają ten sam materyalny przedmiot badania, a przecież formalnie ich przedmioty badania się różnią, bo kąt widzenia badacza w obydwóch razach jest odmienny. Tak np. przedmiotem fizyki, chemii, geologii, geometryi są ciała. Odmienny jednak jest punkt widzenia tych umiejętności na ciała, czyli inny jest przedmiot formalny każdej z tych umiejętności. Kiedy fizyka bada prawa, jakie rządzą ciałami, to chemia podpatruje części składowe ciał, ich związki i własności, geologia ich formowanie się a geometrya oblicza ich wielkości.

Każda umiejętność ma swą metodę badania wskazaną jej przez naturę przedmiotu. Wszystkie atoli metody, mimo swej odrębności, mają przecież pewne wspólne cechy. Wszystkie wychodzą z pewników, nie ulegających wątpliwości, z nich wyprowadzają nowe prawdy, albo naodwrót starają się sprowadzić swe twierdzenia do pewników naukowych, posługując się w tym celu logicznem wnioskowaniem lub eksperymentem. Jeśli się to uda, badanie jest skończone, nowa prawda została odkryta lub stara naukowo udowodniona.

W dalszym ciągu naszej rozprawki wykażemy, że teologia posiada wszystkie dopieroco wymienione warunki prawdziwej umiejętności. Ma swój przedmiot badania, naukową metodę, która w ogólnych zarysach schodzi się z metodą badania innych umiejętności, zachowując oczywiście swą odrębność, naturą swego przedmiotu podyktowaną.

2. Przedmiot i metoda badania w teologii.

Teologia jest umiejętnością wiary, umiejętnością religii objawionej. Zadaniem teologii jest prawdy wiary metodą umiejętną uzasadnić, objaśnić, bronić, wyprowadzić z nich nowe prawdy, przystosować je do życia, wreszcie śledzić ich rozwój w dziejach katolickich narodów. Rozwiniemy nieco to zadanie teologii.

Bóg stworzywszy człowieka, nie pozostawia go jego własnemu losowi, nie troszcząc się więcej o niego, ale zawiązuje

z nim osobiste a liczne stosunki. Najprzód sam w raju, później przez swych wysłańców, wreszcie przez swego Syna poucza ludzi o sobie, swych przymiotach, o stosunku ludzi do siebie i t. p. Z upadku grzechowego dźwiga ich znowu osobiście, bo Syn Boży ponosi śmierć za ludzi i w ten sposób dawny przyjazny stosunek z Bogiem ludziom przywraca. Syn Boży, odchodząc z ziemi w swej widzialnej ludzkiej naturze, ustanawia widzialny Kościół na ziemi. Jemu powierza swe prawdy i swe lekarstwa na rany ludzkie. Kościół ma zlecone, w zastępstwie Chrystusa i w Jego imieniu, utrzymywać nadal ludzkość, aż po koniec wieków, w łączności z Bogiem. Przez głoszenie prawd objawionych, przez szafarstwo łask Bożych, przez rząd dusz ma rozpraszać ciemności umysłu, leczyć wolę z namiętności, uszlachetniać ludzkość, prowadzić ją na szczyty doskonałości i oddać ją znowu Temu, od kogo wyszła — Ojcu, który jest w niebiesiech. Zabiegi Boże, podejmowane dla ludzkości z taką miłością i miłosierdziem, nie pozostają bez skutku. Miliony przyjmuje prawdy Boże i poddaje się słodkiemu jarzmu Chrystusowemu. Królestwo Boże na ziemi rośnie, coraz piękniej zakwita, szerzy się. Łączność ziemi z niebem, ludzi z Bogiem jest utrzymana. Prawdy z nieba ludziom objawione, a przez ludzi z pokorą, wdzięcznością i wiarą przyjęte, strumienie łask na ludzkość z nieba spływających stworzyły nowy nadprzyrodzony stosunek Boga z ludźmi, nowe odsłoniły światy przed wzrokiem ludzkim, nowe węzły zadzierzgnęły ludzkości z Bogiem, węzły religii objawionej. Religia objawiona zaszczepiła w ludzkości nowe pojęcia, obudziła nową, niezmiernie wysoką skalę uczuć, stała się pobudką najszlachetniejszych dzieł. Tej to objawionej religii umiejętnością jest teologia katolicka.

Teologia ma swój odmienny przedmiot badania, stąd jest umiejętnością różną od wszystkich innych. Przedmiotem tym są, jak już zaznaczyliśmy, prawdy przez Boga objawione. Prawda, że i filozofia zajmuje się niektóremi z prawd religijnych, ale to czyni pod innym kątem widzenia. Teologia rozważa swój przedmiot jako objawiony od Boga, wspiera się tedy na autorytecie Bożym, teolog od Boga wie o istnieniu pewnych prawd.

Filozofia dochodzi do znajomości prawd, które stanowią wspólny przedmiot z teologią, zapomocą samego rozumu. Rozum mówi filozofii, że pewne twierdzenia należy przyjąć za prawdę, teologowi Boże objawienie. Nawet w tych umiejętnościach teologicznych, jak historya kościelna i prawo kościelne, które metodą badania i przedmiotem bardzo zbliżają się do umiejętności świeckich, i w tych, mówię, teolog rozważa fakta historyczne i prawa kościelne w odniesieniu do prawd objawionych.

Prawdy objawione są dla teologa p e w n i k a m i badania. Czem dla umiejętności świeckich są pewniki naukowe, tem dla teologa są prawdy objawione. One stanowią dla wielu gałęzi umiejętności teologicznych, np. dla dogmatyki, dla teologii moralnej punkt wyjścia w badaniu, dla innych są celem i sprawdzianem. Ale ta właśnie okoliczność, że przedmiotem, pewnikami i kontrolą prawdy dla teologii są prawdy objawione, a więc prawdy wiary, sprowadza na nią zarzut nienaukowości.

Skąd ten zarzut pochodzi i jaka jest jego wartość?

U wielu spowodowały go pewne światopoglądy, głoszone hałaśliwie, w imię nauki, choć wcale nie oparte na naukowych podstawach. Tu należy materyalizm i panteizm. Kto poza światem materyalnym żadnej wyższej istoty nie uznaje, albo, co na jedno wychodzi, kto identyfikuje Boga ze światem, temu oczywiście niema co mówić o Bożem objawieniu prawd, dla niego teologia która się właśnie prawdami objawionemi zajmuje, będzie tylko tworem wyobraźni, pustym dźwiękiem, dla którego w dziedzinie wiedzy niema miejsca. Nie teraz pora rozprawiać się z materyalizmem i panteizmem. Kto tych kwestyi ciekawy, znajdzie dość dzieł ściśle naukowych i popularnych, wykazujących bezpodstawność wspomnianych teoryi. Dla nas wystarczy zaznaczyć, że te poglądy, w każdym razie, pewnikami naukowymi nie są, wolno tedy każdemu w imię nauki i zdrowego rozsądku, być odmiennego zdania.

Dla wielu przeszkodę w zaliczeniu teologii w poczet umiejętności, stanowi ich agnostycyzm. Może, mówią, Bóg istnieje, może i możliwe są objawienia, ale my doświadczalnie tego sprawdzić nie możemy, a dzisiejsza nauka na eksperymencie polega,

więc i teologii, która rozprawia o objawieniach, o Bogu, do umiejętności zaliczyć nie możemy. Konkluzya niezbyt logiczna. Bo jeśli o Bogu nic na pewne nie można wiedzieć, to nie można na pewne i zaprzeczać jego istnienia i możliwości objawień. A w takim razie jest przynajmniej rzeczą możliwą, że teologia jest rzetelną umiejętnością.

Dla niejednego mylne pojęcie o istocie wiary jest przyczyną, dlaczego nie chce zaliczyć teologii w szereg umiejętności. Teologia jest umiejętnością wiary, więc jest rzeczą całkiem naturalną, że kto ma błędne pojęcie o wierze, musi takie mieć i o teologii.

Wiarę uważa się we wspomnianym obozie za przedmiot i wytwór uczucia. Rozum nie ma tutaj nic do mówienia.

Piosnka to stara. Od pietystów począwszy, poprzez niemieckich sentymentalistów aż do dzisiejszych modernistów wciąż się powtarza z uporczywością zastarzałego zabobonu. Tymczasem nic mylniejszego nad takie pojęcie wiary. W każdym razie nie jest to pojęcie katolickie i zawsze jako fałszywe było przez Kościół katolicki potępiane. Przykład świeży zapatrywań Kościoła na sentymentalizm religijny daje niedawne potępienie modernizmu. Kościół uczy a z nim i zdrowy rozum, że kłaść samo uczucie jako fundament wiary, sprzeciwia się rozumnej naturze ludzkiej, która dlatego właśnie, że jest rozumną, nic bez racyi, jak chce sentymentalizm, nie może za prawdę przyjmować, wiedzie do fanatyzmu religijnego, do ośmieszenia wiary wobec zdrowego rozsądku, do zwyrodnienia obyczajów, wprowadza indyferentyzm religijny, który jest grobem wszelkiej religii.

Uczucie rozumem rządzone jest cenną rzeczą w aktach wiary, ale tylko jako czynnik pomocniczy, usuwający przeszkody przez złą wolę wierze stawiane, ale nigdy nie może być pierwiastkiem dominującym, a tem mniej jedynym. Według rozumnego pojęcia wiary jest ona, oprócz łaski Bożej, dziełem wszystkich władz duszy ludzkiej: rozumu, woli i uczucia. Uczucie jest dziełem w znaczeniu dopieroco zaznaczonem jako czynnika drugorzędnego, bez którego ewentualnie przy akcie wiary mogłoby się obejść. Główne role ze strony ludzkiej odgrywają w akcie wiary rozum i wolna wola. Wiara jest rozumnem uznaniem pewnego zdania,

na słowo Boże, za prawdę. Autorytet objawiającego, nieomylnego Boga staje się dla rozumu racyą, dlaczego pewną prawdę przyjmuje za swoją, choć jej może nie pojmuje.

By jednak rozum nie na ślepo uznawał coś za prawdę objawioną, musi się wprzód przekonać, że rzeczywiście Bóg istnieje i że pewne prawdy rzeczywiście objawił. Te dwa postulaty nazywają się w teologii przesłankami wiary, bo muszą poprzedzać każdą rozumną wiarę. Wierni dochodzą do ich poznania różnemi drogami. Najpierw rodzice, potem kapłan wszczepiają w duszę dziecka przekonanie o prawdziwości przesłanek wiary. Tak i w różnych gałęziach wiedzy ludzkiej autorytet uczonych jest dla bardzo wielu jedyną racyą ich przekonań. Autorytet ludzki na polu wiary zastępuje tylko czasowo objektywne racye. Z rozwojem duchowym wnet się człowiek sam dopatrzy wewnętrznych racyi, na jakich się wspierają przesłanki wiary. Bo też nie jest to rzeczą zbyt trudną. Istnienie Boga jest dla umysłu nie popsutego sofizmatami pseudo-naukowymi prawdą, która się mu sama narzuca. Dość otworzyć oczy na świat, dość przypatrzyć się cudownej harmonii najrozmaitszych w nim żywiołów, dość rzucić okiem w głębie swego sumienia, aby się przekonać o istnieniu potężnego a mądrego Stwórcy i nieprzedajnego Sędziego spraw ludzkich.

A fakt objawienia, czy równie łatwo poznać? Może nieco trudniej, ale nie o wiele. Bóg wycisnął na swych objawieniach Boże znaki, dał swój podpis i pieczęć uwierzytelniającą. Znakami tymi są cuda i proroctwa. Objawienia, które się mogą nimi wykazać, bezsprzecznie pochodzą od Boga. Kościół katolicki i prawdy, które głosi, mogą się taką niemylną gwarancyą pochlubić. Każdy może się o tem przekonać, kto z uwagą przeczyta niemal współczesne z objawieniem religii katolickiej świadectwa, mianowicie cztery Ewangelie. Tam znajdzie opowiedziane przez naocznych świadków cuda, które Pan Jezus czynił na dowód swego Boskiego posłannictwa, znajdzie też stwierdzenie faktów, iż założył Kościół katolicki, jemu powierzył swe prawdy i wyposażył go darem nieomylności.

Jest jeszcze inny, łatwiejszy sposób przekonania się o Bo-

skiem pochodzeniu Kościoła katolickiego i prawd, których naucza. Sam Kościół katolicki swem dwudziestowiekowem istnieniem, swą nauką, swemi dziełami świadczy, iż jest instytucyą Boską.

Kościół katolicki trwa, mimo najsroższych prześladowań, już dwudziesty wiek. Patrzał w tym czasie na ruinę potężnych królestw, republik bronionych milionowemi armiami. Tyle instytucyi ludzkich, tyle systemów filozoficznych, tyle sekt religijnych znikło w tym czasie, zamarło. On stoi wśród tych ruin niezmieniony, ze swoją nauką, ze swymi dogmatami, ze swą wzniosłą etyką taki sam, jaki był przed 20 wiekami, nie zmieniwszy ani joty ze swego *Credo*, ani litery ze swego Dekalogu. Choć prześladowany, oczerniany, oplwany przez złych ludzi nie przestaje ich podnosić z błota występków, dźwigać w górę, uszlachetniać, prowadzić na najwyższe szczeble doskonałości. Ludzkość ustawicznie zwraca swój wzrok i serce ku ziemi, gdzie znajduje tylko poniżenie i sponiewieranie swej godności, Kościół ustawicznie odrywa serca ludzkie od znieprawiających je rozkoszy zmysłowych a kieruje ku najwyższym ideałom, ku rozkoszom duchowym, szlachetnym, Bożym, wiecznym. »Co wzgórę jest szukajcie — powtarza z Apostołem — co wzgórę jest miłujcie, nie co na ziemi« (Kol. 3, 1). Od tej pracy nad udoskonaleniem ludzkości nie da się odwieść ani niewdzięcznością ludzką, ani krzykiem tłumów, ani lekceważeniem pseudo-uczonych, ani groźbami mocarzy tego świata, nie paktuje nigdy z namiętnościami ludzkiemi, wszystko co doczesne gotów poświęcić i poświęca w rzeczywistości: sławę, mienie, nawet życie swych kapłanów i wiernych mu dzieci, zostawia sobie tylko trud, pracę, ofiarę, byle tylko ludzkość uświęcić. Ta dwudziestowiekowa walka Kościoła o najwyższe ideały ludzkości, walka wytrwała, bezinteresowna, prowadzona pod niepokalanym sztandarem świętości, czyż nie dowodzi Boskości tej instytucyi? Dzieła ludzkie, choćby im przy ich narodzeniu najpiękniejsze przyświecały ideały, obniżają w ciągu wieków swój poziom duchowy, dostrajają się do ducha czasu, tracą powoli swój pierwotny wysoki cel z oka, aż w końcu bywają wciągnięte w fale namiętności ludzkich i w nich ostatecznie toną, lub marny, anemiczny wiodą nadal żywot.

Pod tchnieniem nauki Kościoła katolickiego przemieniają się

dzikie, barbarzyńskie, bałwochwalcze ludy w narody cywilizowane. Pod wpływem nauki Kościoła wychowały się całe zastępy prawdziwych bohaterów cnoty, poświęcenia, ofiary, wychowały się prawdziwe ideały ludzi. Kto zna egoizm i zepsucie natury ludzkiej, ten zrozumie, że nie ludzkimi ale Bożymi to środkami wypielęgnował Kościół takie kwiaty świętości, jak św. Augustyn, św. Bazyli, św. Ambroży, św. Wojciech, św. Franciszek z Asyżu, św. Franciszek Salezy, św. gnacy, św. Wincenty a Paulo, św. Teresa i tylu tylu innych.

A jedność Kościoła, jedność w wierze i w posłuszeństwie dla jednej władzy, czyliż ona także nie dowodzi Boskości Kościoła katolickiego? Miliony wiernych, rozsianych po całej ziemi, ludzi różnej narodowości, o sprzecznych interesach narodowych, politycznych, społecznych, ludzi najrozmaitszych charakterów i wykształcenia jest w rzeczach wiary, a więc w rzeczach najgłębszych zagadnień dotykających, jest, mówię, jednego zdania, jednej myśli. To zjednoczenie pod jeden sztandar wiary i posłuszeństwa niestałych serc ludzkich i dumnych, żadnej powagi kiedyindziej nie chcących uznawać rozumów, to cud swego rodzaju, jedynie przez Boga w dziedzinie serc ludzkich sprawiony, a zarazem to znak widomy szczególnej opieki Bożej nad swym Kościołem.

A jeszcze jedno. Kościół katolicki był w ciągu wieków największym czynnikiem kulturalnym dla ludzkości. Zaprzeczać mu niewyczerpanej żywotności na polu kultury, znaczy wojować z faktami. Ten Kościół wywodzi swój początek, swe prawdy, swe środki uświęcające od Boga, z objawienia Bożego. Czy może to przeświadczenie na fałszu, na ułudzie się opiera? Kto tak mówi, ten musi mieć odwagę przyjąć na siebie wszystkie konsekwencye swego twierdzenia. »A więc Jezus Chrystus, Apostołowie, Święci... bohaterzy chrześcijańskiej miłości bliźniego, olbrzymy ducha między Ojcami Kościoła i uczonymi chrześcijańskimi, dzieła najszlachetniejszej sztuki na wszystkich polach piękna, wyrosłe na gruncie chrześcijańskiej wiary, słowem chrześcijaństwo ze swymi szlachetnymi ludźmi i wspaniałemi dziełami, którym świat nic równego do dziś dnia nie może przeciwstawić, jeśli to wszystko jest owocem ułudy, chorej wyobraźni i nierozumu, to trzeba przypuścić, że błąd jest bardziej w skutki błogosławiony, niż prawda,

że fałsz jest najpodatniejszym gruntem dla zrodzenia dobra, że cała nasza natura nie na poznaniu prawdy, lecz na illuzyach się opiera, że poznanie prawdy czyni ludzi nieszczęśliwymi, i stoi na przeszkodzie wszelkiej prawdziwej wielkości. W takim razie ludzkość jest wielką rodziną matołków, którzy tylko w posiadaniu swych niemądrych idei są szczęśliwymi i do wykonania swych najlepszych dzieł uzdolnionymi« [1]. Co jest bardziej na nierozumie oparte, czy wiara katolików ze wszystkimi swymi błogosławionymi skutkami, czy ta filozofia, która się waży piętnować tę wiarę jako nierozum i szaleństwo i bierze na swą odpowiedzialność wszystkie wyżej wymienione konsekwencye?

Słusznie przeto powiada Sobór Watykański, cap. 3, *de fide:* »Kościół sam przez się, dla swego podziw budzącego rozszerzenia się, nadzwyczajnej świętości i niewyczerpanej w błogie skutki żywotności, dla powszechnej jedności i stałości niezwyciężonej, jest wielkim i ustawicznym motywem, uwierzytelniającym swój Boski początek... Jest on jakby znakiem wysoko wzniesionym między narody, które zaprasza do siebie, a syny swe upewnia, że ich wiara opiera się na najsilniejszej podstawie«.

Najogólniejszy ten zarys o przesłankach wiary, znajduje w teologii bardzo obszerne i systematyczne uzasadnienie. Najpierw idą tam dowody na istnienie Boga, przeprowadzone z najskrupulatniejszą sumiennością, z uwzględnieniem najnowszych zdobyczy naukowych, z odpowiedzią na zarzuty tak przeciw owym dowodom, jak i przeciw istnieniu Boga wogóle skierowanym. Następuje filozoficzne uzasadnienie możliwości objawienia Bożego i Boskich znaków, po których to objawienie nieomylnie poznać można. Potem omawia teologia sam fakt objawionych prawd Bożych. Tak i historyk świecki musi przedewszystkiem na podstawie źródeł sprawdzić fakta historyczne, o których chce mówić, zanim do dalszej przystąpi pracy. Objawienia Boże pewnych prawd, to także fakta historyczne, muszą tedy na wzór innych faktów być sprawdzone źródłami historycznemi. Teologia posiada w rzeczy samej takie źródła. Są niemi najprzód dokumenta pisane, zwane

[1] Chr. Pesch: *Theologische Zeitfragen,* v. S. 60.

zbiorową nazwą Pismem św., jest dalej żywa nauka Kościoła z pokolenia na pokolenie przekazywana, stąd zwana Tradycyą. Historyk świecki zanim się oprze na danych źródłach, musi wprzód ocenić ich wartość naukową. Tak samo czyni i teolog Osobny dział teologii t. z. studya biblijne, zajmują się zbadaniem autentyczności, nieskazitelności i wiarogodności Pisma św. Archeologia znowu kościelna, patrologia, historya dogmatów, historya sztuki kościelnej i t. p. wydobywają na jaw dokumenta, w których się mieści Tradycya kościelna, dokumenta stwierdzające, że prawdy wiary dziś w Kościele głoszone sięgają swym początkiem czasów Apostolskich i Chrystusa. W ocenieniu wymienionych dokumentów i ich spożytkowaniu posługuje się teologia, jak to każdy może stwierdzić, metodami nowożytnej nauki. Zresztą już sama nie do pozazdroszczenia pozycya teologii katolickiej, wystawionej na pociski protestantów, schizmatyków, uczonych i nieuczonych niedowiarków, zmusza teologów katolickich do krytycznego postępowania w swych badaniach.

Dopiero teraz ze źródeł wymienionych, krytycznie opracowanych, korzystają poszczególne działy teologii. Dogmatyka i teologia moralna czerpią z nich prawdy objawione, pierwsza prawdy wiary, druga moralności, objaśniają je, nowe z nich wyprowadzają, układają je w system naukowy, bronią ich przed zarzutami, wykazują wzajemny stosunek między poszczególnemi prawdami, słowem postępują tak, jak wszystkie prawdziwe umiejętności świeckie. Historya kościelna śledzi błogie skutki prawd i łask Bożych w życiu jednostek i narodów chrześcijańskich, odsłania przeciwników tych prawd i odstępców od nich. Prawo kościelne bada ustawodawstwo kościelne, wyrosłe na prawdach objawionych, a mające za cel bliżej określić prawo Boże i tak uregulować stosunki ludzkie, by prawdy objawione mogły bez przeszkody przyjąć się w sercach ludzkich.

Nie potrzebuję dodawać po tem, co wyżej było powiedziane, że jeżeli które umiejętności teologiczne, to przedewszystkiem historya kościelna i prawo kościelne najwięcej się zbliżają swą metodą badania do odpowiednich umiejętności świeckich, a często nawet swym przedmiotem z niemi się schodzą.

Teologia pastoralna jest umiejętnością nawskróś praktyczną, ma bowiem tylko praktyczne cele na oku. Jej zadaniem pouczyć przyszłych lewitów w jakiej formie mają ludowi głosić prawdy Boże, by chętny u niego posłuch znalazły, jakimi posługiwać się w pasterzowaniu środkami, by dusze ludzkie uświęcić i do nieba wprowadzić.

Już choćby z tego krótkiego szkicu metody badań teologicznych pokazuje się, że teologia nie przyjmuje swych założeń, swych pewników na ślepo, powodując się tylko niepochwytnem uczuciem, ale je czerpie z faktycznego objawienia Bożego. Fakt zaś sam objawienia uzasadnia tą samą naukową metodą jaką n. p. historyk świecki uzasadnia fakta historyczne. Dalsza działalność teologii, po sprawdzeniu faktu objawienia, jest tylko, jak i w innych umiejętnościach, zastosowaniem metody dedukcyi indukcyi, analogii i t. d.

Skoro się tedy rzecz tak ma z teologią, to nie widać żadnej rozumnej racyi, dla którejby można jej było odmówić tytułu prawdziwej umiejętności. To, że teologia czerpie swój przedmiot badania z objawienia Bożego, nie powinno chyba zmieniać w niczem stanu rzeczy, skoro teologia sam fakt objawienia naukowo uzasadnia. Nie jest przecie zadaniem nauki eliminować ze swych badań niesympatyczne dla pewnych uczonych fakta, lecz winna je wszystkie przyjąć w zakres swych badań, skoro tylko ich objektywna rzeczywistość została dostatecznie udowodnioną. Żeby zaś teologia tego ostatniego warunku nie dopełniała, dotąd na to nie dano dowodu.

Dotychczasowe nasze wywody nie podobają się przeciwnikom teologii głównie z tego względu, że w nich jest mowa o cudach, jako jednym z najpewniejszych znaków objawienia Boskiego. Nauka zaś — powiadają uczeni niedowiarkowie — cudów nie uznaje. Więc cała argumentacya na cudach skonstruowana jest nienaukową. Nauka znowu cudów nie uznaje, bo prawa przyrody są niezmienne, w żelazną ujęte konieczność. Dzieło zaś cudowne wyłamuje się z pod tych praw.

Zarzut niniejszy można jeszcze zrozumieć ze stanowiska ateisty lub panteisty, nigdy ze stanowiska wierzącego w istnienie

osobowego Boga. Kto uznaje osobowego Boga — a jest to w każdym razie przynajmniej dobrze uzasadniona hipoteza naukowa — temu powyższy zarzut żadnego nie powinien sprawić kłopotu. Prawa przyrody są niezmienne, jak długo same działają. Nie jest zaś rzeczą prawdopodobną, aby Twórca tych praw sam sobie niemi ręce wiązał i nie mógł nic uczynić ponad to, co mogą one prawa lub musiał swe czynności koniecznie poddawać działaniu praw przyrody. Wszak już nawet dowcip ludzki nakłada tym prawom obrożę i kieruje niemi do posług, jakich sobie od nich życzy. Miałyżby tylko Stwórcy swemu odmówić uległości?

Nauka dzisiejsza — powiadają przeciwnicy — zajmuje się tylko takimi przedmiotami, które dadzą się wytłumaczyć naturalnemi przyczynami i są dostępne doświadczeniu. Co poza ten okres wystaje, jak n. p. cuda, nie może być przedmiotem nauki.

Jest nadużyciem pojęcia »nauki«, kiedy się tą nazwą oznacza wyłącznie empiryczne dziedziny wiedzy, a więc tylko umiejętności przyrodnicze i historyczne, a potem się tak wnioskuje: »Nauka« nie wie nic o cudach, cuda naukowo nie dadzą się uzasadnić. To jest sofizmat. Bo jeśli się nazwę »nauki« ogranicza tylko do samego konstatowania empirycznych faktów, w przyczynowym zostających związku, to tego, co poza tymi faktami leży nie można odrzucać jako nienaukowe, ale tylko zaznaczyć, to nie jest przedmiotem tej tak pojętej »nauki«. Z tego jednak bynajmniej nie wypływa, że człowiekowi jest wzbronione, albo, że to jest nierozumne nie zostawać tylko przy oglądaniu samych faktów, ale szukać dla ich wytłumaczenia odpowiednich przyczyn, a gdy się te nie znajdują w obrębie praw przyrody, szukać takowych poza temi prawami. Wniosek ze skutku na odpowiednią przyczynę zawsze się utrzyma wobec zdrowego rozumu, czy go kto nazwie »naukowym« czy nie. Tak samo wolno zawsze będzie wnioskować ze skutku, który siłami przyrody nie mógł powstać, na nadprzyrodzoną przyczynę. Czy taki wniosek nazwie kto »naukowym« czy nie, mniejsza o to, w każdym razie będzie on rozumnym.

Ale to jest metafizyka, a z metafizyką już sprawa skończona. Do »rzeczy samej w sobie«, do *numenon* jest nam droga zamknięta.

Tak orzekł Kant. Z umiejętnościami nieempirycznemi już koniec, to są illuzye transcendentalne. A więc w imię nauki cud jest przypuszczeniem nienaukowem, bo cud jest czemś transcendentalnem.

Twierdzenie, że wszelkie poznanie rzeczywistości poza światem zjawisk jest niemożliwem, jest, jak dotąd, bez dowodu. Jest ono wypowiadane z »metafizyczną« iście dogmatycznością, ale nie jest dowiedzione. W każdym razie samo twierdzenie o niemożliwości transcendentalnego poznania, nie jest dowodem przeciw cudom. Mamy prawo na mocy zasady przyczynowości powiedzieć: Każdy skutek ma swą przyczynę; a więc skutek, który przewyższa siły naturalnych przyczyn, musi mieć nadnaturalną przyczynę. A gdy się mówi, że poza empiryczną wiedzą niema żadnego innego pewnego poznania, to prosimy już raz dać nam dowód na to twierdzenie [1].

Teologia jeszcze i dlatego — według racyonalistycznych uczonych — nie jest umiejętnością, bo jej pewniki opierają się na autorytecie i są nieraz nieprzystępne rozumowi, jak np. tak zwane tajemnice wiary. Tymczasem pewniki prawdziwej nauki muszą być dla rozumu prawdami oczywistemi albo dać się stwierdzić eksperymentem.

Ten zarzut zacieśnia zbytnio pojęcie nauki. Prawdą jest, że pewniki nauk filozoficznych są jedne same przez się widoczne, inne dadzą się do takiej widoczności rozumowaniem sprowadzić, a pewniki nauk przyrodniczych można doświadczeniem stwierdzić, ale czy poza tymi rodzajami umiejętności niema już innych, któreby na nazwę umiejętności zasługiwały? Fakta np. historyczne, które są pewnikami nauk historycznych, bo z nich te nauki wychodzą i na nich swe dalsze badania opierają, są stwierdzone nie doświadczeniem historyka, ale powagą świadectw. Nie o to chodzi w umiejętności, w jaki sposób są jej pewniki stwierdzone, tylko czy są prawdziwe. Więc jeśli na autorytecie się opierają, chodzi tylko o naukowe zbadanie, czy ten autorytet zasługuje na wiarę? Bo jeśli tak, zwłaszcza jeśli to autorytet nieomylny, to niema

[1] Cfr. Chr. Pesch: *Theologische Zeitfragen,* 5 Folge. S. 92.

racyi nie przyjąć twierdzeń takiego autorytetu za pewniki, na których dalsze badanie może się bezpiecznie oprzeć. Wszak i drogą autorytetu, przestrzegając oczywiście pewnych warunków, można przyjść do poznania prawdy.

Nie może także naukowemu charakterowi teologii przeszkadzać ta okoliczność, że między teologicznymi pewnikami znajdują się pewne prawdy nie dające się rozumem przeniknąć, czyli t. zw. tajemnice. Nie można, mówię, z tego powodu odsądzać teologii od nazwy umiejętności, bo w tym względzie teologia dzieli wspólny los ograniczoności ludzkiej z innemi umiejętnościami. We wszystkich niemal umiejętnościach natrafiamy ostatecznie na trudności, na które albo wcale niema odpowiedzi, albo tylko niezadowalające. Naturalista konstatuje pewne siły w przyrodzie, umie nawet określić bliżej prawa, jakiemi bywają rządzone, ale istoty tych sił lub praw przeniknąć nie jest w stanie. Że słońce własne ciepło posiada jest rzeczą pewną; co wytwarza na słońcu to ciepło, o tem istnieją najwyżej hipotezy. Czem jest życie, eter, elektryczność, siła ciężkości i t. p., jest dotąd dla uczonych tajemnicą, a jednak to im nie przeszkadza brać tych zjawisk przyrody za przedmiot swych badań. Wybitny angielski fizyk I. T. Thomson powiada: »Grawitacya ciał niebieskich jest tajemnicą tajemnic. To samo trzeba powiedzieć o magnetyzmie i elektryczności. A w przyrodzie żyjącej jest tych ciemnych punktów nieporównanie więcej. Można powiedzieć, że o procesach w żyjących organizmach właściwie nic nie wiemy. O trawieniu, rozradzaniu się, instynkcie posiadamy tak skąpe wiadomości, że te ograniczają się prawie do historycznego wyliczenia ich przebiegów w naturze. Co wiemy i co rozumiemy nie jest ani tysiączną częścią tego, coby było potrzebne do osiągnięcia naukowej wiedzy« [1].

Prawda, że w tajemnicach przyrody fakt istnienia pewnego zjawiska da się doświadczeniem stwierdzić, w teologii tajemnic w ten sposób sprawdzić nie można, ale ta różnica nie znosi naszych dotychczasowych wywodów. Fakt bowiem objawienia przez Boga pewnych tajemnic da się ściśle naukowo stwierdzić, zupeł-

[1] K. Braun: *Kosmogonie*[3], (1905), 322.

nie tą samą metodą, jak każdy inny fakt historyczny się stwierdza. Pozostaje tylko natura tajemnicy niezgłębiona, podobnie jak i przy tajemnicach przyrody [1]. Tajemnice przyrody ułatwiają nam też poniekąd zrozumienie możliwości tajemnic nadprzyrodzonych. Jeśli przyroda, która jest tylko odblaskiem Boga i jego przymiotów tyle kryje w swem łonie niedostępnych dla rozumu ludzkiego tajemnic, to nie dziwić się, że sam Bóg jeszcze mniej może być objęty rozumem ludzkim; a tajemnice wiary to nic innego tylko objawienie się Boga, jakim jest sam w sobie i w swych nadprzyrodzonych dziełach.

(Dok. nast.)

Ks. M. Sieniatycki.

[1] Zaznaczamy, że tajemnice przyrody nie nazywają się tajemnicami w znaczeniu teologicznem; różnica nie zmienia atoli naszej argumentacyi.

SPRAWA NASZYCH WYCHODŹCÓW I ROBOTNIKÓW SEZONOWYCH

NA KONFERENCYI BUDAPESZTEŃSKIEJ.

W dniu 17 maja 1909 r. brałem udział w konferencyi środkowo-europejskich towarzystw gospodarczych *(Mitteleuropäische Wirtschaftsvereine)*, odbytej w Berlinie, jako jeden z trzech delegatów austryackich.

Mimo nieprzyjemnej atmosfery antypolskiej, mimo przykrego uczucia, że jestem jedynym Polakiem w tem gronie, poczytywałem sobie za obowiązek nie odmówić zaszczytnej prośbie austryackiego towarzystwa i jego prezesa, byłego ministra skarbu, Plenera, ponieważ uważam, że *les absents ont toujours tort*, i jeśli na porządku dziennym jest sprawa tej doniosłości, co niniejsza, wszelkie osobiste przykrości schodzić winny na plan ostatni i człowiek, który może być pożytecznym w danym kierunku, nie ma po prostu prawa myśleć o sobie. To też nie oglądając się na rady niektórych ludzi, abym nie jechał, bo to Berlin, pojechałem i miałem tę satysfakcyę, że jakkolwiek i w odczycie i prywatnie zaznaczałem bardzo wyraźnie moje stanowisko polskie i demonstracyjnie odmówiłem nawet zaproszeniu na przyjęcie prywatne u obecnego kanclerza, ówczesnego sekretarza stanu, Bethmana Holwega, jako autora ustawy o stowarzyszeniach, a księciu Holsztyńskiemu powiedziałem, że tylko dlatego jestem u niego, ponieważ głosował przeciw ustawie ekspropryacyjnej, Niemcy nie-

tylko mój odczyt[1] przedrukowali w różnych poczytnych czasopismach np. w *Zukunft* Hardena i dużo o nim rozprawiali, ale ponadto myśli przewodnie w nim zawarte przekazali i wzięli za główną podstawę prac komisyi, wybranej w Berlinie dla dalszego studyum tej sprawy. Aby umożliwić kontrolę w tym kierunku, przedstawię przedewszystkiem owe myśli przewodnie odczytu berlińskiego, pokrywające się w wielkiej części z ostatecznie uchwalonemi w Peszcie rezolucyami:

»I. Naturalne przeciwieństwo interesów między pracodawcą a robotnikiem, przeistacza się w kwestyi wychodźczej w przeciwieństwo państwowe i narodowe. Zupełne usunięcie tego przeciwieństwa nie da się wprawdzie przy dzisiejszym ustroju gospodarczym urzeczywistnić, ale można utorować drogę bodaj złagodzeniu istniejących sprzeczności zarówno między poszczególnemi klasami ludności w granicach tego samego państwa lub narodu, jako też między różnemi państwami i narodami.

II. Podniesienie siły wytwórczej w kraju, dalej konsumcyi wewnętrznej, jako też oświaty ludowej u analfabetów, uwiedzionych często do emigracyi przez agentów, zredukowałoby liczbę wychodźców w krajach eksportujących robotników do liczby rzeczywiście nie mogących znaleźć w kraju utrzymania. Z drugiej strony państwa importujące nie mają powodu obawiać się w najbliższym czasie nagłej stagnacyi w zasilaniu się siłami roboczemi i kolonistami z zagranicy zarówno z powodu powolnego rozwoju gospodarczego krajów eksportujących, a tak przemysłowo jak rolniczo mniej rozwiniętych, jako też z powodu pojawiania się coraz nowych ludów na powierzchni obrotu międzynarodowego.

III. Wspomniane przeciwieństwa gospodarcze występują tem silniej

a) im mniej istnieje nadziei dla państwa lub narodu eksportującego robotników odzyskania dla siebie rodzimych sił roboczych;

b) na im większe niebezpieczeństwo narażone jest ich życie

[1] ogłoszony w polskim przekładzie w *Przegl. Powsz.* w zeszycie czerwcowym 1909 r., po niemiecku w *Verhandlungen der Mitteleuropäischen Wirtschaftskonferenz in Berlin* (17 u. 18 Mai 1909) Puttkammer & Mühlbrecht. Berlin 1909.

i zdrowie np. wskutek zmiany klimatu, niezwykle intensywnej pracy, w szczególności pracy akordowej, niemniej w przedsiębiorstwach przemysłowych i kopalniach pewnych kategoryi;

c) im niekorzystniej wypada materyalny rezultat ich pracy zarobkowej, w szczególności im większej redukcyi ulega ich płaca wskutek nieproduktywnego zysku pośredników i ajentów;

d) last not least, im dotkliwszemu zachwianiu ulegają ich etyczne zasady skutkiem złego przykładu i uwiedzenia w nowem otoczeniu.

IV. Wytknąwszy sobie świadomą celu politykę emigracyjną i kolonialną osiągnąć można mimo tych strat gospodarczych korzyści pod względem narodowym, jako to tworzenie na obczyźnie osad narodowo i terytoryalnie skupionych, a przytem utrzymujących nadal stosunki kulturalne i gospodarcze z ojczyzną pierwotną. Z drugiej strony mniejsza szkoda gospodarcza, wyrządzona ojczyźnie przez czasowe jedynie zabranie jej sił roboczych, może stać się o wiele dotkliwszą w razie wprowadzenia różnic w traktowaniu poszczególnych narodów, przyczem faktycznie osiągniętym choć bynajmniej niezamierzonym rezultatem takiego postępowania bywa świadomości narodowej obudzenie i doprowadzenie tą drogą świeżych soków narodowi eksportującemu robotników.

V. Jest przeto konieczną w państwach eksportujących robotników i wykazujących znaczne wychodźtwo

a) odpowiednia organizacya publicznego pośrednictwa pracy, wprowadzenie poszczególnych urzędów ugrupowanych wedle krajów koronnych w ścisły między sobą związek, a to celem wymiany zgłoszeń popytu i podaży oraz wyłączenia o ile możności wszędzie agentów prywatnych;

b) założenie centralnych biur wywiadowczych, funkcyonujących bezpłatnie, a udzielających informacyi przedewszystkiem o wolnych miejscach w obrębie danego kraju i państwa, a dopiero w dalszym rzędzie o zagranicy, jako też założenie komisaryatów jeneralnych czyli państwowych urzędów emigracyjnych dla opieki nad wychodźtwem zamorskiem.

VI. Celem złagodzenia istniejącego między różnymi narodami i państwami przeciwieństwa interesów, jako też ze zrozumia-

łych motywów socyalno-politycznych i socyalno-etycznych pożądanem jest w drodze układów międzynarodowych

a) ustalenie wspólnych zasad statystyki emigracyi i immigracyi;

b) zastrzeżenie dostarczania zwerbowanych robotników zagranicy (oczywiście z wyłączeniem Stanów Zjednoczonych, do których ono ustawowo jest zabronione) wyłącznie publicznym biurom pośrednictwa pracy, a aż do powszechnego przeprowadzenia tej zasady wprowadzenie najsurowszej kontroli koncesyonowanych i zabezpieczających dopełnienie przyjętych zobowiązań wysoką kaucyą agentów prywatnych ze strony centralnych urzędów emigracyjnych;

c) dalsze rozwinięcie układu międzynarodowego z 18 maja 1904 r. w przedmiocie handlu dziewczętami i skłonienie do przystąpienia tych państw, które dotąd traktatu tego nie podpisały;

d) przepisanie minimum światła, powietrza i wiktu dla każdego pasażera międzypokładowego na okrętach transportowych zamorskich, jako też urządzenie kajut III klasy zamiast wspólnego międzypokładu, niemniej osobnych sal jadalnych w nowo budować się mających okrętach;

e) ustanowienie i odpowiednie urządzenie w portach europejskich, jako też w stacyach kontrolnych i u granic państwa obowiązkowych hal emigracyjnych, jako też oficyalnych biur wymiany pieniędzy;

f) niemniej założenie publicznych urzędów pośrednictwa pracy w państwach przyjmujących wychodźców i importujących robotników;

g) uproszczenie warunków skuteczności prawnej dokumentów publicznych, wystawionych za granicą;

h) zmniejszenie kosztów przesyłek pieniężnych z za morza i nadanie im większego bezpieczeństwa.

VII. Z postulatów tych wynika zarazem potrzeba i doniosłość założenia instytutu międzynarodowego, subwencyonowanego przez rządy różnych państw z zadaniem

a) przygotowania wymienionych i dalszych, analogicznych postanowień prawnych w ustawodawstwie państw poszczególnych;

b) zbierania informacyi pochodzących z urzędowych i innych

godnych zaufania źródeł, odnośnie do położenia wychodźców zamorskich i sezonowych w rozmaitych krajach, tudzież odnośnie do istniejącego w tychże ustawodawstwa immigracyjnego, kolonizacyjnego, dotyczącego prawa własności, ochrony pracy, wysokości płac, warunków utrzymania i t. p.;

c) celem naukowego opracowania uzyskanych wiadomości po poprzedniem porównaniu tychże i skontrolowaniu, jako też celem peryodycznej publikacyi zdobytych rezultatów«.

Takie były przewodnie myśli mego referatu berlińskiego, po którym wybrano komisyę specyalną celem opracowania postulatów leżących w interesie wszystkich państw, wchodzących w skład Związku środkowo-europejskich towarzystw gospodarczych.

Do komisyi tej weszli z Niemiec dr. Bodenstein, z ces. Urzędu statystycznego w Berlinie i dr. von Stojentin, jeneralny sekretarz Izby rolniczej w Szczecinie, z Austryi prof. Mischler z Gracu, ja i dr. von Fürer, z ministerstwa rolnictwa, z Węgier były minister rolnictwa György, radca ministerstwa i dyrektor domen i lasów Siérban i poseł do sejmu węgierskiego Roland von Hegedüs.

Zebraliśmy się w Budapeszcie 31 stycznia i 1 lutego 1910 r. na wspólną konferencyę celem wypracowania sprawozdania dla zebrać się mającej później konferencyi plenarnej. Na posiedzeniu komisyi objawiły się zasadnicze różnice zdania między referentami z Niemiec: Bodensteinem i Stojentinen z jednej, a mną z drugiej strony. Delegaci niemieccy bowiem starali się wykazać, że robotnikom polskim w Niemczech jest bardzo dobrze, oraz że wszystkie korzyści z tego sezonowego wychodźtwa odnoszą Polacy, a wszystkie niekorzyści Niemcy. Przeciw temu pojmowaniu rzeczy musiałem wystąpić. Oto streszczenie moich wywodów, ogłoszonych równocześnie obecnie w peszteńskiem sprawozdaniu komisyi referentów, w ostatnim zeszycie wiedeńskiego czasopisma *Arbeitsnachweis* i berlińskiego czasopisma *Arbeitsmarkt:*

»W Niemczech widzi się korzyści, wynikające z emigracyi dla państw dostarczających robotnika w świetle zanadto optymistycznem, natomiast pesymizm przeważa przy ocenie szkód wynikających dla państw, dających tym robotnikom pracę i dla-

tego rzekoma równowaga, stworzona między temi korzyściami i szkodami, nie odpowiada rzeczywistości.

Korzyści emigrantów mają polegać na materyalnym zarobku i na wzbogaceniu ich wiadomości. Częściowo jedno i drugie jest niewątpliwie prawdą. Ale nie należy zapominać, że czysty zarobek przywożony przez polskich robotników do domu po 8-mio miesięcznej pracy wynosi przeciętnie co najwięcej 100 do 120 marek. Również i wzbogacenie ich gospodarczych wiadomości nie przynosi im bezpośrednich korzyści, gdyż nie mogą praktycznie zużytkować w swych drobnych gospodarstwach tego, czego się nauczyli na wielkich folwarkach nadelbiańskich. Gdyby nasi wychodźcy zatrudniani byli w wielkich gospodarstwach włościańskich, z pewnością przysporzyłoby to im więcej wiadomości praktycznych, dających się zużytkować w domu. Reprezentanci Niemiec pomijają nadto milczeniem szkodliwe skutki sezonowego wychodźtwa dla austryackich emigrantów, jako to niejednokrotnie złe traktowanie przez pracodawców, wysiłek fizyczny nad możność i przyzwyczajenie, demoralizacyę, ograniczenie do 3-letniej renty w razie nieszczęśliwego wypadku i t. d.

Mylnem jest również przedstawienie wrzekomych szkód, jakie ponoszą Niemcy, wskutek importu ogromnej rzeszy robotniczej z sąsiednich państw: Austryi i Rosyi.

Milionowe zarobki, wypłacane sezonowym robotnikom, zużywają oni przeważnie w Niemczech, a tylko stosunkowo niewielką nadwyżkę wywożą do kraju rodzinnego. Jeżeli weźmiemy za podstawę liczbę robotników, podaną w przybliżeniu przez d-ra Stojentina (300.000 polskich robotników z zaboru rosyjskiego, a 170.000 polskich i ruskich robotników z Austryi), które to cyfry jednak uważam za zbyt nizkie, nadwyżka wywożona do kraju rodzinnego wynosiłaby 17 do 20 milionów marek, gdyby nie dalsze okoliczności, jak w pierwszym rzędzie częste zrywanie kontraktów, wskutek czego robotnikom przepadają na rzecz pracodawców kaucye, tworzone przez potrącanie części tygodniowego zarobku. Do obniżenia zarobku przywożonego do kraju przyczynia się dalej okoliczność, że łamiący kontrakty muszą i w Niemczech opłacać koszta powrotnej drogi, które w razie normalnego roz-

wiązania umowy, płaciłby bodaj po granicę niemiecką niemiecki pracodawca — nadto przykład niemieckich robotników i wyższa ich kultura materyalna, skłania naszych w Niemczech do nieznanych im dotychczas wydatków, a w rezultacie robotnik wraca do kraju wprawdzie lepiej odżywiony, ale z bardzo małą kwotą gotówki. Ale i ta nadwyżka zostałaby przecie w Niemczech, gdyby nie zakaz stałego pobytu, zmuszający robotników naszych najpóźniej 20 grudnia każdego roku do powrotu i wydawania pewnej części gotówki w nieproduktywny sposób na koszta drogi powrotnej. Gdyby nie było tego zakazu, odpadłyby nadto w roku następnym koszta pośrednictwa i podróży, a w ten sposób gospodarstwo niemieckie miałoby tańszego robotnika i oszczędziłoby sobie znaczne sumy. Jeżeli atoli zakaz stałego pobytu ma być wynikiem jakichś politycznych pobudek, które zresztą zgodnie z zastępcami niemieckiego rolnictwa i przemysłu uważam za wprost chybione, to nie należy mówić o szkodach, jakie ponoszą Niemcy z powodu wypłacania zarobku cudzoziemcom, gdyż szkody te wynikają z woli państwa i stają się ekwiwalentem wyższych, politycznie uznanych za ważniejsze korzyści, które je zdaniem rządu o wiele przewyższają.

Uważa się również w Niemczech jako ujemny rezultat sprowadzania zagranicznych robotników obniżenie zarobków robotników niemieckich, tudzież ich ucieczkę ze wsi do centrów przemysłowych. Tę szkodę równoważyłyby atoli, gdyby wogóle o niej mogła być mowa, korzyści, jakie odnoszą z tego stanu rzeczy niemieccy pracodawcy rolni. W rzeczywistości rzecz się ma wprost przeciwnie. Nie import zagranicznych robotników spowodował ucieczkę ze wsi robotników niemieckich, lecz naodwrót. Uprzemysłowienie Niemiec i ucieczka ze wsi rodzimych robotników, wywołały popyt za rękami robotniczemi, który zaspokoić zdołano jedynie przez sprowadzenie robotnika zagranicznego. Każdej chwili przysługuje przecież rządowi niemieckiemu prawo zamknięcia granicy dla obcych robotników, jeżeli tylko ma swoich dosyć. I gdyby udało się odzyskać pewną część robotników przemysłowych dla rolnictwa, a dla przemysłu mogła reszta pozostała wystarczyć, rząd niemiecki nie wahałby się przecie użyć tego

środká. I byłby w swojem prawie. Ale wątpię bardzo, czy niemieckie rolnictwo byłoby w stanie mimo swego kolosalnego rozwoju uiszczać choćby niemieckim robotnikom płace równie wysokie jak w przemyśle, jak również wątpię, czy państwo zdecydowałoby się na udzielenie robotnikom rolnym prawa koalicyi, przysługującego dotąd tylko robotnikom przemysłowym. A tylko w tym wypadku możnaby skutecznie zapobiedz ucieczce ze wsi i obniżeniu zarobków. Jak długo jednak państwo na tę drogę nie wejdzie, jak długo zatem istnieć będzie dokuczliwy brak robotników niemieckich i konieczność sprowadzania obcych, nie można podawać sprowadzania zagranicznych robotników sezonowych jako przyczyny obniżenia zarobków i ucieczki ze wsi.

Łamanie kontraktów przez robotników sezonowych, które nadzwyczaj często się przytrafia, przynosi szkodę nie tylko pracodawcy niemieckiemu, ale i robotnikowi, który traci kaucyę. Nadto nie jest ono koniecznem następstwem sprowadzania obcych robotników. Jest ono natomiast zjawiskiem, znajdującem swe źródło w rozwielmożnieniu prywatnego pośrednictwa, w szablonowem zawieraniu kontraktów, w jednostronnej działalności Centrali robotników rolnych *(Feldarbeitercentrale)* i w wykluczeniu zwykłej drogi prawa w kontraktach Izb rolniczych w razie sporów wynikających z umowy o pracę. Zjawisko to z korzyścią dla obu stron przestałoby przeto być typowem, gdyby wymienione wyżej przyczyny, zależące wyłącznie od woli Niemiec zostały usunięte.

Również wzmożenie się zarobkowego pośrednictwa pracy nie jest wynikiem sprowadzania zagranicznych robotników. Rozstrzygającem jest bowiem w tej mierze zachowanie się niemieckich pracodawców, którzy każdej chwili mogą przecie i powinni we własnym interesie posługiwać się publicznemi biurami pośrednictwa pracy w Austryi a nie popierać prywatnych agentów rozmaitego kalibru.

Nie uznaję również, jakoby import obcych robotników »idealne« Niemcom wyrządzał szkody, jak twierdził dr. Stojentin. Jeżeli niemieccy pracodawcy i robotnicy narzekają na brak dostatecznej ilości niemieckich robotników, którąby usunęła konie-

czność sprowadzania obcych, to wolno im przecie dać upust patryotycznym swym uczuciom czynem, a to pierwszym przez przyznanie równej płacy w rolnictwie co i w przemyśle, oraz przez uzyskanie dla swych robotników prawa koalicyi, a względnie drugim przez dobrowolny powrót z przemysłu do rolnictwa. Jeżeli jednak materyalny interes jest rozstrzygającym i to tak po stronie pracodawcy, jak i robotnika, to nie należy mówić na seryo o idealnej szkodzie po czyjejkolwiek stronie. Również nie może być mowy o jakiemkolwiek ujemnem oddziaływaniu zagranicznych robotników na zachowanie się robotników niemieckich. Wprawdzie kulturalny poziom niemieckiego robotnika jest na ogół wyższy, atoli zagranicznych, to jest naszych robotników, trzyma się oddzielnie, do czego się nawet pracodawca z góry wobec władzy zobowiązać musi, a ponadto posiadają oni szereg doniosłych gospodarczych zalet, jak np. tradycyonalne zamiłowanie do pracy rolnej i chowu bydła oraz wzruszające przywiązanie do religii i jej przykazań, co stanowi w każdym razie wybitny moment kulturalny, a bez względu na osobiste zapatrywania religijne pracodawców wychodzi bardzo na ich korzyść.

Natomiast jest istotnie jedna strona ujemna dla Niemiec, wynikająca z tego wzajemnego stosunku. Jest nią wybitna zależność ekonomiczna od Austryi i Rosyi w danym kierunku. Na wypadek bowiem, gdyby te państwa zakazały emigracyi sezonowej lub ją w jakikolwiek sposób utrudniały, powstałoby dla Niemiec niebezpieczeństwo utraty większej części żniwa, dalej upadek wszystkich gałęzi przemysłu opierającego się na produkcyi rolniczej, co więcej, stagnacya pewnej części fabryk i kopalń węgla dla braku robotników nakazem rządu odkomenderowanych do roli. Niestosunkowe podwyższenie płac wewnątrz Niemiec pociągnęłoby za sobą bądź przyspieszoną, może nawet przymusową parcelacyę niemieckiej wielkiej własności, bądź też ogromne podrożenie środków żywności, i co za tem idzie dalszą proletaryzacyę mas, a chyba żadna z tych ewentualności nie leży w interesie niemieckiego rządu.

Zrozumienie tej przymusowej sytuacyi Niemiec nie budzi atoli w decydujących gospodarczych kołach Austryi i Rosyi za-

miaru sprowadzenia tych obawianych następstw i np. skierowania emigracyi sezonowej do innych krajów.

Robotnicy, którzy wędrują do Danii, Szwecyi, Francyi, Rumunii i Szwajcaryi stanowią zaledwie drobny ułamek ogromnej masy sezonowych emigrantów, która — jak dawniej tak i dotąd — stale kieruje się do Niemiec.

Z drugiej strony państwa eksportujące robotnika znajdują się o wiele w przykrzejszej sytuacyi, gdyż brak im wprost robotnika dla własnego rolnictwa i przemysłu, a w niektórych powiatach praca spoczywa na barkach dzieci, kobiet i starców, co np. dzieciom zagraża zatamowaniem ich fizycznego rozwoju.

Siła produkcyjna własnego kraju pozostaje wskutek tego w dotychczasowych, albo nawet w ściślejszych granicach, podczas gdy wzmożona siła produkcyi państwa importującego robotnika umożliwia mu obieranie nowych dróg i tworzenie nowych milionowych wartości. Gdyby nawet suma czystych zarobków, przywożonych przez sezonowców z Niemiec wynosiła o wiele więcej, niż przyjąłem, co zresztą o tyle jest drugorzędnego znaczenia, że przysparzają im one dochodu nie kapitału, obraca się je bowiem na konsumcyę, nie na zakupno np. nieruchomości, w każdym atoli razie wskutek utraty tylu rąk roboczych ogólny bilans handlowy państwa eksportującego robotnika ulega pogorszeniu i ta stała smutna proporcya przyczynia się nawet do powolnego przesuwania się stosunku mocarstwowego między obiema kategoryami państw.

Tak więc stają naprzeciw siebie z jednej strony jedyny, idealny, ujemny dla Niemiec i to jeszcze przez traktaty handlowe dający się usunąć wpływ naszej emigracyi sezonowej, a z drugiej ogromna korzyść dla państwa niemieckiego, które otrzymuje corocznie przeszło pół miliona tanich robotników rolnych, po największej części pochodzenia polskiego, a za to w razie nieszczęśliwych wypadków przyznaje im zaledwie trzyletnią rentę, a ich wdowom i sierotom nic zgoła, odmawia im wogóle ubezpieczenia na starość i niezdolność do pracy, przyznaje ubezpieczenie na wypadek choroby w niedostatecznej mierze, każdej chwili może ich wydalić, jako uciążliwych cudzoziemców, a co roku wyrzuca

ich bezwzględnie przed Bożem Narodzeniem. W razie stargania zdrowia wskutek pracy w Niemczech odbytej, żadna gmina niemiecka nie ma obowiązku ich wspierania, natomiast w razie choroby albo wypadku stają się oni wraz z rodziną ciężarem austryackich gmin i funduszów.

Z tego wszystkiego jest widocznem, że wobec korzyści państwa niemieckiego, które między innemi emigracyi sezonowej zawdzięcza swój ogromny rozwój gospodarczy w ostatnich kilku dziesięcioleciach, korzyści państw eksportujących robotnika, polegające na drobnym zarobku, przywożonym do kraju, jako też na zdobyciu techniczno-gospodarczych wiadomości ze strony robotnika, są minimalne.

Przystępując do odpowiedzi na pytanie, co ma Austrya uczynić, by uregulować wzajemne stosunki z państwem niemieckiem i zabezpieczyć wzajemną wymianę usług, domagałem się stworzenia w tym celu centralnego urzędu pracy oraz biur krajowych z tem, że analogicznie do zadań niemieckich urzędów, mających przyjmować zamówienia niemieckich pracodawców, na dostarczenie im robotników, austryackie urzędy winny prowadzić wykazy co do podaży sił roboczych i posiadać każdego czasu dokładny przegląd tychże.

Atoli odrębne stosunki państwa eksportującego robotnika wymagają, by dla krajowego zapotrzebowania nie istniały osobne urzędy, jak się tego domagają dla Niemiec, lecz, by ten przyszły austryacki państwowy urząd pracy prowadził równocześnie wykazy wewnętrznego ogólno-austryackiego popytu za robotnikami, podejmował się bezpłatnego pośrednictwa austryackich robotników, uzyskał zrównanie austryackich warunków pracy z zagranicznemi oraz zniżki biletów kolejowych robotniczych na austryackich kolejach, starał się o rozpowszechnianie wiadomości o wolnych miejscach w obrębie państwa, a dopiero nadwyżkę armii roboczej oddawał zagranicy. Niemcy wskutek tego szkodyby nie poniosły, gdyż i teraz dziesiątki tysięcy robotników wraca z Mysłowic i Nowego Bierunia, nie znalazłszy pracy, natomiast w Austryi odnieśliby z tego ogromną korzyść gospodarczą zarówno pracodawca rolny i przemysłowiec, jak i sam robotnik.

Naturalnie musiałyby funkcyonować obok urzędów prowincyonalnych, także powiatowe, a ponad to należałoby utworzyć w celu łatwiejszego wykluczenia prywatnego pośrednictwa urzędy graniczne policyjno-statystyczne. W ścisłej łączności z państwowym urzędem pracy należałoby stworzyć państwowy urząd emigracyjny oraz prywatne, ale przez państwo informowane i kontrolowane centralne biuro wywiadowcze dla emigrantów odnośnie do szans zarobku, stosunków zdrowotnych, prawodawstwa i t. p. istniejącego w poszczególnych państwach, będących celem emigracyi.

Należy się jednak liczyć z faktycznym stanem rzeczy, a mianowicie, że stworzenie takiej centralnej organizacyi w Austryi jest na razie muzyką przyszłości, że do tego potrzeba szeroko rozgałęzionej organizacyi i znaczniejszego kredytu, którego uchwalenia w parlamencie na razie spodziewać się nie możemy, a wreszcie, że kwestyę tę należy w Austryi traktować łącznie z całą kwestyą emigracyjną, że zatem przedewszystkiem domagać się musimy, by nowe rządowe przedłożenie w tej sprawie weszło do parlamentu i stało się ustawą.

W pierwszym więc rzędzie i zanim nareszcie przyjdzie do skutku ustawa wychodźcza, należy domagać się traktatów państwowych, mogących choć w części uzdrowić stosunki wychodźtwa sezonowego. Traktaty te winnyby zapewnić naszym robotnikom sezonowym:

1. analogicznie z art. 20 niemiecko-włoskiego traktatu handlowego z 3 grudnia 1904, zupełne uprawnienie z robotnikami niemieckimi na polu ubezpieczenia od wypadków, starości, niezdolności do pracy i choroby, jako też zezwolenie na tworzenie się austryackich komitetów opiekuńczych we wszystkich okolicach, w których znajduje zatrudnienie większa ilość robotników austryackich;

2. dopuszczenie w tych okolicach księży różnych narodowości zamieszkujących Austryę, w celu spełniania religijnych czynności (w szczególności słuchania spowiedzi) w języku zrozumiałym dla robotników;

3. wydanie w Niemczech ustawy ochronnej dla zagranicznych

robotników sezonowych, analogicznej do ustawy duńskiej, wydanej w r. 1908 dla robotników polskich;

4. ponowne dopuszczenie kompetencyi sądów zwyczajnych w razie sporów między pracodawcami a robotnikami rolnymi w Niemczech, podczas gdy dotychczas ci ostatni w myśl kontraktów, sporządzanych przez cztery Izby rolnicze, zrzekać się muszą zwykłej drogi prawa, dalej zniesienie ryczałtowych umów, szczegółowe objaśnienia i omówienia treści umów o pracę w języku dla robotników zrozumiałym — wreszcie zaprzestanie przydzielania robotników pracodawcom z góry upatrzonym oraz wydawania papierów legitymacyjnych w rozmaitych kolorach wedle narodowości robotników austryackich, ponieważ tego rodzaju różniczkowanie nie znajduje usprawiedliwienia w prawie międzynarodowem i narusza obowiązek traktowania jednakowo wszystkich obywateli jednego i tego samego obcego państwa;

5. zaprowadzenie austryackich komisarzy granicznych, których zadaniem byłoby: *a)* nie przepuszczać za granicę robotników niezaopatrzonych w pisemną umowę o pracę; *b)* tłumaczyć robotnikom w ich języku ojczystym treść zawartych z nimi kontraktów; *c)* kontrolować kontrakty, czy nie zawierają one przeciwnych prawu postanowień, a w szczególności, czy nie zawierają zakazać się mającego wypłacania zarobku do rąk agentów lub ich organów, lub przekazywania choćby części tego zarobku na rzecz tychże agentów, w którym to wypadku agent, względnie jego pełnomocnik, musiałby być pociągniętym do odpowiedzialności, a sam pracodawca, przed odjazdem robotnika do niego, zezwolić wyraźnie na unieważnienie tego punktu; *d)* kontrolować identyczność egzemplarza kontraktu przeznaczonego dla pracodawcy z egzemplarzem robotnika; *e)* zarządzać podpisanie kontraktu wobec władzy, co byłoby warunkiem jego ważności;

6. złagodzenie przepisów odnoszących się do Polaków z austryackiego zaboru (praca zimowa, dopuszczenie robotników żonatych) w myśl uchwał konferencyi wydziałów pruskich Izb rolniczych z 5 marca 1907 r. i to tak w interesie niemieckiego przemysłu i rolnictwa, jak i austryackich robotników.

Austrya ma interes w opiekowaniu się swymi robotnikami

za granicą, Niemcy w zabezpieczeniu sobie za pośrednictwem centralnej organizacyi dostatecznej ilości robotników. Interesa te nie są sprzeczne, owszem uzupełniają się wzajemnie.

Jeżeli się decydujemy na centralizowanie pośrednictwa pracy i wykluczenie prywatnych agencyi, to musimy równocześnie domagać się traktatów państwowych, które miałyby za cel opiekę robotników naszych za granicą«.

Nie mogłem oczywiście jako jeden z delegatów austryackich wciągnąć w dyskusyę stosunków naszych robotników sezonowych z Królestwa. Delegaci niemieccy spodziewali się tego, ażeby potem wszystkie postulaty obalić wskazaniem, że referent przekracza granice swoich uprawnień. Było więc rzeczą przezorności pamiętać o zasadzie, że lepsze jest nieprzyjacielem dobrego. Dlaczego stawiałem całą sprawę na gruncie austryackim jest zbyt oczywistem, abym potrzebował to osobno uzasadniać.

Ponadto ponowiłem na konferencyi budapeszteńskiej postulaty, jakie postawiłem w roku zeszłym na konferencyi berlińskiej, a w szczególności odnośnie do wykluczenia prywatnych agencyi od dostarczania robotników sezonowych zagranicy i zastrzeżenia tego pośrednictwa wyłącznie publicznym urzędom pośrednictwa pracy; odnośnie do zawarcia międzynarodowych umów pocztowych w celu potanienia przesyłek pieniężnych z zagranicy, a w pierwszym rzędzie z Ameryki; w kierunku tworzenia stacyi kontrolnych i hal emigracyjnych u granic państwa, jako też w portach austryackich, z których wypływają emigranci, a wreszcie odnośnie do uznania solidarnej odpowiedzialności przedsiębiorstw okrętowych zagranicznych z agentami w kraju zamieszkałymi, co do wszelkich pretensyi wychodźców z tytułu poniesionych szkód i strat.

Rezolucye przedstawione przez nas do aprobaty konferencyi plenarnej, ustalone po dwudniowej zaciętej walce, wśród której dr. Bodenstein nawet domagał się acz bezskutecznie odebrania mi głosu — tak streszczoną tu moją polemiką czuł się dotknięty — odnosiły się do:

1) centralizacyi publicznego pośrednictwa pracy celem łatwiejszego przeglądu targu pracy;

2) utworzenia przybocznych rad emigracyjnych, złożonych z reprezentantów nauki, rolnictwa, przemysłu i towarzystw okrętowych;

3) zakazu prywatnego pośrednictwa pracy przy dostarczaniu robotników za granicę;

4) karno-sądowego ścigania agentów, trudniących się obok tego wyszynkiem, agentów wędrownych i wreszcie wynagradzanych prowizyą od głowy, a nie stałą pensyą;

5) dostarczania opieki prawnej robotnikom za granicą państwa, a w szczególności w Niemczech;

6) uproszczenia i potanienia przesyłek pieniężnych z za morza;

7) równouprawnienia robotników naszych z niemieckimi co do ubezpieczenia socyalnego;

8) utworzenia urzędów granicznych i hal emigracyjnych dla opieki i kontroli wychodźców i robotników sezonowych;

9) przedsięwzięcia wspólnych zarządzeń, uwzględniających interes zarówno pracodawców jak robotników w celu zapobieżenia zrywaniu umów o pracę;

10) kontroli sanitarnej i powołania do życia urządzeń humanitarnych w interesie robotników na granicach państwa;

11) przestrzegania we wszystkich państwach istniejących w innych państwach przepisów kontrolnych oraz zakazu emigracyi obowiązanych do służby wojskowej;

12) ustanowienia solidarnej odpowiedzialności towarzystw transportowych i ich agentów, tudzież obowiązkowej, nie tylko fakultatywnej asekuracyi wychodźcy z powodu doznanych szkód, skutkiem np. niezawinionego spóźnienia, przerwy lub wypadku w podróży, bezprawnego pobrania należytości za bilet powrotny w razie zakazu wylądowania w Ameryce i t. d.

Na tem tle rozwinęła się na konferencyi plenarnej w Budapeszcie przez dwa dni: 7 i 8 października 1910 r., bardzo gorąca, a chwilowo namiętna dyskusya. Głównymi mowcami byli: baron von dem Bussche, Kessel i ja; na naszych też wywodach skupiała się główna uwaga całego, z przeszło 100 uczestników składającego się zgromadzenia.

Wiadomo, że na granicy naszej w Mysłowicach istnieje pół oficyalne, pół prywatne przedsiębiorstwo kolosalnych rozmiarów, t. zw. *Feldarbeitercentrale*, wydające naszym robotnikom karty legitymacyjne, bez których nie mogą oni dostać w Niemczech zatrudnienia.

Skutkiem tego wszyscy robotnicy nasi muszą się tam zgłaszać, a następnie dostarcza się ich niemieckim pracodawcom.

Otóż tej centrali zarzuciłem:

1) że zatrudnia agentów prywatnych, nie zasługujących na zaufanie, a natomiast z publicznemi instytucyami tylko w małym stopniu wchodzi w stosunki;

2) że przy pomocy listów tych prywatnych, agentów, do których dołącza się niewypełnione formularze kontraktów, zgromadza się w Mysłowicach już w lutym każdego roku, a więc w terminie zbyt wczesnym, ogromny zastęp robotników, i nawet na ostrzeżenia ludzi dobrej woli tej treści, by robotnicy wstrzymali się o tej porze z wyjazdem, odpowiada się cyrkularzami, że należy jechać już teraz, a przy dłuższej pracy więcej się zarobi; faktycznie zaś ludzie nie znajdują po większej części zajęcia i ich obecność służy tylko do obniżenia zarobków;

3) wykazałem szczegółowo, że kontrakty obecne w całym szeregu punktów różnią się od dawniejszych na niekorzyść [1];

4) wytknąłem, że w kontraktach mowa jest o prawach pracodawcy, ale niema w nich ani słowa o prawach robotnika np.

---

[1] Porównywałem kontrakty robotników rolnych z 1907 (α) i 1908 (β) r. Kontrakt α oznaczał godzinę rozpoczęcia i końca robót, w kontrakcie β prawo to służy pracodawcy; w α wyraźnie zastrzeżono po pół godziny na śniadanie i podwieczorek oraz godzinę na obiad, w β czas ten oznaczał pracodawca; w α robotnik dostawał tygodniowo między innymi funt krup i funt ryżu — w β albo jedno albo drugie; pracodawca ma w β prawo zamiast funta mięsa tygodniowo dawać 70 fenig. wedle własnego wyboru, zabroniono robotnikowi sprzedawać cokolwiek z otrzymanej ordynaryi, odpadki i pozostałości należą do pracodawcy, czego dawniej nie było; kara za wszelkie uchybienia porządku domowego podwyższoną została z 50 fenig. na 1 markę; do przekroczeń zaliczono także palenie tytoniu na podwórzu gospodarczem; wreszcie w razie nieprzyjścia do roboty dawniej mógł się robotnik uwolnić od kary przez przedłożenie świadectwa lekarskiego, w β ustęp odnośny został wykreślony.

niema tam mowy o prawie wcześniejszego rozwiązania kontraktu w razie czynnej zniewagi, z powodu niedostarczenia wiktu lub płacy umówionej i t. d., a skutkiem tego z kontraktów tych robotnik nie może poznać zakresu swoich uprawnień;

5) zarzuciłem, że kontraktów nie odczytuje się, jak należy i nie objaśnia się robotników o ich treści, tylko załatwia wszystko ryczałtowo i pobieżnie, a więc nic dziwnego, że tak często zdarzają się zrywania umów, do których jeszcze agenci we własnym nteresie stale zachęcają;

6) wykazałem, że z chwilą gdy pracodawca niemiecki nie zgodzi się wskutek skargi wniesionej na uwolnienie robotnika przed czasem, tenże pozbawiony jest mieszkania i utrzymania, a wobec tego faktycznie wobec pracodawcy i landrata jest bezbronnym, zwłaszcza, że i nowego miejsca nie dostanie, dopóki poprzedni pracodawca na to się nie zgodzi; wreszcie

7) wskazałem na to, że karty legitymacyjne zaprowadzone zostały w interesie niemieckiego państwa i niemieckich pracodawców, że przeto co najmniej jest niesprawiedliwością kazać płacić za nie robotnikom, a już zaprowadzenie różnokolorowych kart innych dla Polaków, innych dla Rusinów, innych dla Niemców i t. d. wprowadza sprzeczne z prawem narodów odmienne traktowanie rozmaitych obywateli tego samego państwa, jakkolwiek wszyscy mają prawo domagać się jednakowego traktowania.

Zarzuty te odpierał szczegółowo baron von dem Bussche. Twierdził mianowicie, że robotnicy, niezadowoleni z miejsca służbowego, mogą skarżyć o rozwiązanie umowy, ale nie powinni przed rozstrzygnięciem opuszczać pracodawcy, jeśli zaś to czynią i sami sobie sprawiedliwość wymierzają, zupełnie słusznem jest pozbawienie ich mieszkania i utrzymania. Postanowienia na korzyść robotników nie potrzebują mieścić się w kontrakcie, gdyż od tego jest niemiecka *Gesindeordnung*, której postanowienia są powszechnie znane. (?!!) *Feldarbeitercentrale* daleką jest od sprowadzania ludzi już w lutym do Niemiec i z odnośnemi manipulacyami agentów nie ma nic wspólnego. Agentów prywatnych żadną miarą nie można się zrzec wobec tego, że instytucye publiczne, jak w szczególności urzędy pośrednictwa pracy w Galicyi słabo

funkcyonują; odczytywanie kontraktów i szczegółowe objaśnianie odbywa się w *Feldarbeitercentrale*, wreszcie zaś wprowadzenie kart legitymacyjnych nastąpiło w interesie robotników.

W odpowiedzi stwierdziłem, wskazując na przykład Danii, że odesłanie na żmudną i kosztowną drogę prawa z równoczesnem pozbawieniem utrzymania i zakazem przyjęcia nowego miejsca dla ludzi, nieznających języka, pozbawionych funduszów na utrzymanie i koszta adwokackie, stoi na równi z pozbawieniem ich wszelkich praw i zdaniem na łaskę i niełaskę wobec przewagi niemieckiego pracodawcy. Należałoby zakładać Towarzystwa opieki prawnej w Niemczech na wzór zakładanych dla robotników włoskich a popieranych tak gorąco przez społeczeństwo niemieckie. Towarzystwa takie w razie złamania kontraktu ze strony pracodawcy, złego obchodzenia się z robotnikiem i t. d. miałyby ostatniemu udzielać rad i pomocy, dawać polecenia do adwokatów stowarzyszenia, nadto zaś w każdem miejscu, w którem pewna ilość robotników polskich pracuje, należałoby zamianować mężów zaufania stowarzyszenia, pełniących honorowo swoje funkcye imieniem tegoż. Tow. św. Rafała ma wszędzie swoich mężów zaufania. Tak samo należałoby instytucye podobne powołać do życia w obronie i interesie naszych wychodźców sezonowych. Wskazałem wreszcie na możliwość zawarcia umowy o dostawę robotników z Polskiem Towarzystwem emigracyjnem w Krakowie pod ewentualną kontrolą Wydziału krajowego, o czem obszerniej jeszcze prywatnie z niemieckimi delegatami rozmawiałem i co dało powód do zawarcia umowy z tem towarzystwem o dostawę na rok 1911... 8000 robotników.

W dyskusyi wziął udział także książę Ernest Günther Szleswig Holsztyński, który twierdząc, że i między agentami trafiają się porządni ludzie, wyraził zapatrywanie, że gdyby stworzyć się mająca austryacka centralna instytucya, dążyła do skierowania robotników na zachód Austryi i tym krajom dawała pierwszeństwo przed Niemcami wyrządziłaby robotnikom krzywdę, o ile robotnicy w Niemczech faktycznie mogą spodziewać się wyższych płac. Co się zaś tyczy karno-sądowego ścigania pewnych

kategoryi agentów, to jest to, zdaniem jego, sprawa wewnętrzna danego państwa, która kongres nic nie obchodzi.

Odpowiedziałem, że nie można nam brać za złe, że przedewszystkiem pragniemy podniesienia rolnictwa i przemysłu austryackiego i że dajemy mu pierwszeństwo, jako lojalni obywatele tego państwa, przed przemysłem i rolnictwem niemieckiem. Sprawa zaś karno-sądowego ścigania pewnych kategoryi szczególnie niebezpiecznych agentów, nie jest bynajmniej sprawą tylko jednego państwa, albowiem chodzi o to, aby podobne prawa istniały nie tylko w Austryi, ale i w Niemczech, nadto zaś, aby w razie ucieczki naszych agentów do Niemiec, mogli oni być naszym władzom dla ukarania wydani.

W sprawie socyalnego ubezpieczenia jako referent przedstawiłem wyjątkowe traktowanie naszych robotników. Jakkolwiek bowiem płacą oni wkładkę do funduszu ubezpieczeniowego w tej samej wysokości co robotnicy niemieccy, to jednak polscy robotnicy z Galicyi i Królestwa otrzymują w razie nieszczęśliwego wypadku tylko trzyletnią rentę, a wdowy i sieroty zupełnie nic. Anomalię tę tłumaczy przepis, że ten tylko robotnik, względnie jego wdowy lub sieroty mogą reflektować na normalną rentę, którzy względnie które w chwili wypadku mają stałe miejsce zamieszkania w Niemczech. Ponieważ zaś robotnik polski najpóźniej 20 grudnia każdego roku musi opuścić granice państwa, wdowom zaś i sierotom jego z tego samego powodu stały pobyt w państwie jest wzbroniony, więc łatwy stąd wniosek, że ani jedni ani drudzy nie odpowiadają wymaganiom ustawy i że wobec tego mogą być dobrodziejstwa korzystania z niej pozbawieni. Podobne postanowienia wprawdzie istniały we Francyi odnośnie do robotników włoskich, ale nikomu dotąd nie przyszło na myśl, by karać kogoś za niedobrowolną nieobecność, zakazaną osobnemi ustawami, nadto zaś Francya odstąpiła obecnie od zasady przez siebie przyjętej, bo w układzie z Włochami zobowiązała się, bez względu na miejsce pobytu robotnika włoskiego, dopuścić go względnie jego rodzinę do zupełnie równomiernego korzystania z dobrodziejstw ustaw ubezpieczeniowych na równi z robotnikami francuskimi.

W perfidnej praktyce niemieckiej mieści się dwukrotna

kara za ciężki grzech pochodzenia polskiego i niesłuszne wzbogacenie się funduszu ubezpieczeniowego w Niemczech z krzywdą polskich kalek, wdów i sierót, unieszczęśliwionych w służbie niemieckiego rolnictwa, wzbogacenie, na którem z pewnością nie będzie spoczywało błogosławieństwo Boskie!

Tajny radca Szterenyi oświadczył, że idzie jeszcze dalej, a mianowicie domagał się, ażeby w nowym projekcie niemieckiej ustawy ubezpieczeniowej postanowione zostało zupełne równouprawnienie robotników zagranicznych, oświadczył jednak, że z mojem »narodowem« postawieniem kwestyi się nie zgadza, za co otrzymał oklaski od Niemców.

Tajny radca Lusensky, reprezentant niemieckiego rządu oświadczył, że osobiście sympatycznie odnosi się do poruszonych przeze mnie żądań, że atoli nie może żadnych oświadczeń złożyć imieniem swego rządu, wobec tego, że w trakcie przygotowania jest nowy projekt ubezpieczenia socyalnego.

Trzecia sprawa, która ściągnęła na siebie ogólną uwagę, odnosi się do utworzenia u r z ę d ó w g r a n i c z n y c h.

Jako referent powiedziałem, że żądam wprowadzenia takich urzędów: 1) dla badania i objaśniania ze strony władz umów o pracę, zawieranych w ojczyźnie z robotnikami sezonowymi, 2) dla kontroli, czy niema między emigrantami obowiązanych do służby wojskowej, których niemieckie towarzystwa bez ceremonii transportują, 3) dla szczegółowego objaśnienia tych emigrantów, którzy nie chcą jechać na Hamburg lub Bremę, jaką w takim razie winni obrać rutę, aby nie być narażonymi na szykany ze strony niemieckich władz. Urzędy graniczne ulżyłyby przytem znacznie uciążliwej pracy *Feldarbeitercentrale.*

Na to odpowiedział znowu p. baron Bussche, że kontrola taka mogłaby się odbywać tylko w rozmaitych starostwach i gminach, z których emigrant pochodzi, ale nie na granicy, licząc zapewne na rozmaite traktowanie tej sprawy ze strony r ó ż n y c h urzędów, ich nieznajomość rzeczy i możność wpływania na nie, podczas gdy mnie właśnie chodziło o jednolite postępowanie. Nadto zaś wiadomo, że kontrola w domu nie jest możliwa w tym stopniu, jak w miejscu, przez które wszyscy przejeżdżać muszą

i że przy kontroli domowej wielu bardzo mogłoby się od niej uchylić. Jeżeli zaś twierdził, że wobec masy ludzi zgromadzonych na granicy i oczekujących przepuszczenia nie dałaby się taka kontrola szybko uskutecznić, to przeciwieństwo tego okazuje się w urzędach kontrolnych, zarówno w Mysłowicach, jak i w Ellis Island w Stanach Zjednoczonych. Chodzi tylko o odpowiednią ilość i dobór urzędników. Z drugiej strony jest to rzeczą tak wielkiej doniosłości dla państwa, ażeby samo mogło wykonywać kontrolę i udzielać opieki swoim obywatelom, iż tego aktu władze nie powinny zrzekać się pod żadnym warunkiem na rzecz obcego państwa.

Poruszyłem także utworzenie hal emigracyjnych w miejscach granicznych, celem dostarczenia emigrantom noclegu i ochronienia ich przed wyzyskiem ze strony właścicieli gospód prywatnych, tudzież celem przeprowadzenia w tych halach kontroli sanitarnej.

Za wszystkimi tymi trzema wnioskami oświadczyła się delegacya austryacka i węgierska, niemiecka zaś, dezawuując swoich reprezentantów w komisyi, oświadczyła się przeciwko nim.

Obrona prawna w Niemczech jest tak doskonałą — jak twierdzili Niemcy — że nie potrzeba nowych instytucyi, socyalne ubezpieczenie jest w trakcie reformy, chwila więc dyskusyi nad tą kwestyą nie jest szczęśliwie obraną (tak jak gdyby odpowiedniejszą była chwila, gdy projekt niemiecki stanie się już ustawą), a urzędy graniczne i hale emigracyjne są niepotrzebne, bo Niemcy już za nas wykonują potrzebną kontrolę. Tak motywowano odmowę.

Ostatni z tych postulatów (urzędy graniczne i hale emigracyjne) możemy wykonać w Austryi w głównym zarysie i zapewniono mnie z autorytatywnej strony, że utworzenie takich urzędów nastąpi wraz z przyjściem do skutku nowej ustawy emigracyjnej.

Niewątpliwie też towarzystwa opieki prawnej będą mogły powstać w Niemczech i nie potrafi faktycznie państwo niemieckie stanąć temu na przeszkodzie, zwłaszcza jeżeli w tym kierunku porozumią się założyciele z potężnym niemieckim związkiem *Charitasverband* i ze stronnictwem *Centrum*, które niewątpliwie sprawie tej użyczy gorącego poparcia.

Co się wreszcie tyczy ubezpieczenia socyalnego, to nie-

wątpliwie osiągniemy zrównanie formalne, co i Niemcy przyznawali w toku dyskusyi, to jest podobne traktowanie naszych robotników rolnych w Niemczech pod względem ubezpieczenia socyalnego, jakie przysługiwałoby Niemcom u nas. Dalszy więc rozwój ustawodawstwa socyalnego i rozciągnięcie go na robotników rolnych w Austryi, jest zarazem warunkiem poprawienia ich losu za granicą. Natomiast mój punkt widzenia, że zrównanie to powinno być materyalne, t. j. że bez względu na mniej korzystne warunki w domu, należy wziąć w rachubę, że praca ich służy niemieckiemu rolnictwu i niemieckiemu kapitałowi i że oni do funduszu ubezpieczeniowego Niemiec przyczyniają się swojemi wkładkami, że przeto jest niesłusznością, aby mieli być gorzej traktowani, niż inni robotnicy, opłacający takie same wkładki, utwierdzony został wprawdzie w protokole jako autentyczna interpretacya autorów rezolucyi, za którą głosowali reprezentanci Austryi i Węgier, ale Niemcy z góry oświadczyli, że na takie pojmowanie rzeczy absolutnie nie mogliby się zgodzić. Również rezolucyi zwracających się przeciw agentom i domagających się wykluczenia pośrednictwa prywatnego przy dostarczaniu robotników za granicę Niemcy uchwalić nie chcieli. — Austrya i Węgry natomiast oświadczyły się solidarnie za tymi postulatami.

Inne przedstawione powyżej rezolucye z wyjątkiem ostatniej (12-tej), którą dla braku czasu musieliśmy usunąć z porządku dziennego, zostały także przez Niemców akceptowane.

Rezultaty konferencyi peszteńskiej dla naszego ludu widzę w trzech następujących kierunkach:

1) skargi nasze z powodu odmiennego i wyjątkowego traktowania półmilionowej armii naszych robotników stały się publicznie wiadome, a Niemcy przez dwa dni były faktycznie na ławie oskarżonych;

2) przez postawienie kwestyi jako austryackiej i ściśle gospodarczej i wyłączenie z dyskusyi wszelkiej polityki zyskaliśmy sympatyczne poparcie niemiecko-austryackich sfer teoretycznych, rolniczych i przemysłowych, które nareszcie zrozumiały, jak wielką mogłyby osiągnąć korzyść przez sprowadzenie robotnika polskiego do krajów koronnych zachodniej Austryi i sprzątnięcie

ich z przed nosa Niemcom, co równocześnie jest w pierwszorzędnym naszym politycznym interesie;

3) zyskaliśmy poparcie dla całego szeregu doniosłych postulatów ze strony wszystkich, a jakkolwiek co do wymienionych spraw Niemcy założyli *votum separatum*, to jednak nie zdołali poprzeć go żadnym rozsądnym argumentem, przez co publicznie zaszkodzili interesom przez się bronionym, nadto zaś dwa państwa stanęły solidarnie przeciw Niemcom, co wszystko nie może pozostać bez wpływu na ustawodawstwo austryackie, owszem popchnąć je musi w kierunku dla nas pożądanym [1].

Leopold Caro.

---

[1] Dosłowny tekst referatów komisyjnych i obrad pojawi się niebawem w Budapeszcie p. t. *Verhandlungen der Mitteleuropäischen Wirtschaftskonferenz in Budapest* (7 u. 8 Oktober 1910). Budapest 1911.

„WIRY“ SIENKIEWICZA.

Ostatnia powieść Sienkiewicza jest mniej efektowną od swoich poprzedniczek ale niezaprzeczenie jest od nich głębszą. Głębszych idei nie brakowało i w dotychczasowej twórczości mistrza, w tej jednak powieści odczuwa się te natężone akcenty, na które składa się długo doświadczenie życia.

Pióro do pisania tej powieści włożyła autorowi do ręki socyalistyczna rewolucya w Królestwie. Pobudziła ona niejeden umysł i niejedno pióro do głębszych refleksyi. Rzecz jasna. Musiało pobudzić do myślenia to piekło zbrodni, które wówczas krwawymi płomieniami zażegło kraj cały. Wszystkie występki, przewrotności, grzechy, dzikie instynkty i fałszywe doktryny, cały muł, gnijący na dnie społeczeństwa, wszystko to zatargane huraganem, zwirowało się, zmieszało i wypłynęło na wierzch. Widok był tak potworny, że nawet sami przywódcy i doktrynerzy socyalizmu zdrętwieli.

Co w tej powieści, na pierwszy rzut oka uderza, to jest dziwny kontrast między jaskrawością tematu a spokojnym, klasycznie równym, tonem powieści. Panuje najpierw spokój w wątku i rozwoju opowieści, i to tak dalece, że możnaby mieć nawet wątpliwość, czy to rzeczywiście o tej rewolucyi mowa. Rzecz toczy się przeważnie w towarzyskich gawędach dworków wiejskich i miejskich salonów, a jeżeli temat rewolucyi i socyalizmu jest w tych rozmowach od czasu do czasu omawiany, to omawia go głównie wytworny intelektualista, przypominający żywo estetę

Petroniusza. Poza tem sporą część powieści zajmuje romans dwojga młodych ludzi, obok romansu przewija się sporo zagadnień bieżących, praktycznych i teoretycznych, nawet pięknościom muzyki poświęcona jest znaczna ilość stron. Rewolucya wpada tylko kilka razy w ten sielankowy nastrój, jako coś, co dzieje się zewnątrz, coś, co jest poza życiem społeczeństwa i jego dążeniami, jak kamień uliczny w szybę pokoju cichego pracownika. I to wrażenie chciał niewątpliwie Sienkiewicz swoją powieścią wywołać, chciał wskazać, że nie była to rewolucya polska, lecz tylko anarchia szumowin polskich, poza polskiem społeczeństwem.

Ten klasycznie równy i spokojny ton uderza przedewszystkiem w technice utworu. Porównać tylko dziesiątki tomów z ostatnich czasów, poświęconych przez innych powieściopisarzy temu samemu tematowi a dostrzeże się ogromną różnicę. Przy tamtych, jaskrawych i rozedrganych, jak ciało konwulsyami wstrząsane, utwór Sienkiewicza sprawia wrażenie klasycznego posągu, który, jak pogodne wspomnienie minionych czasów, przypadkiem tylko zabłąkał się w obcy sobie świat. Nawet w porównaniu z poprzedniemi powieściami Sienkiewicza, cecha ta tego utworu zastanawia. Może być, że płynie ona wyłącznie ze wzmiankowanej intencyi pisarza, ale nie jest też wykluczonem, że mimowiednie odzwierciedla się w niej ta złota pogoda ducha, jaką po trudach życia przynosi z sobą słoneczna jesień wieku. Nastrój twórczy tego utworu wciąż narzuca się odczuciu, jako odpoczynek świąteczny, przejaśniony łagodnem światłem zachodzącego słońca. Odczuwa się to nie tylko przy opisach wsi, wiejskich gawęd, zajęć i wczasów, nie tylko przy takim wspaniałym ustępie, jak interpretacya symfonii, ale i w całym nadzwyczaj proporcyonalnym rozkładzie utworu, w całym szlachetnie wykończonym wizerunku działających postaci.

Ta równowaga cechuje także obyczajową stronę powieści. Pominąwszy kilka drastycznych momentów, bez których utwór ten doskonaleby się obszedł, całość owiana jest wielką powagą życia.

Momentem etycznym, około którego skupia się fabuła powieści, jest obowiązek młodego dziedzica do poślubienia chłopki,

którą w latach studenckich uwiódł. Obowiązek ten afirmuje ta powieść z wielką siłą. Kiedy w początkach powieści młody Krzycki sprawę tę lekceważąco traktuje, przyjaciel jego Groński taki sobie sąd o nim tworzy: »Ten nie czytał zapewne Nietzschego, a jednak w jego żyłach płynie razem z krwią jakieś szlacheckie nadczłowieczeństwo. Gdyby mu ktoś uwiódł jego siostrę, strzeliłby mu w łeb, jak psu, ale ponieważ chodzi o wiejską dziewczynę, więc ani się zatroska«.

Główny moment etyczny i ideowy mieści się w tej sferze, która ponad fabułą powieściową się unosi i jest zasadniczym motywem tej książki, w aktualnym problemie socyalistycznej rewolucyi. Stan społeczny, którego ta rewolucya była wyrazem, nasuwa autorowi wiele refleksyi o chwili obecnej i doniosłe wskazania na przyszłość. Tu tkwi główny moment tej książki. Uwidocznia to nawet samo artystyczne wykonanie tego utworu. Wskutek wzmiankowanego powyżej zrównoważenia tonu, tak w treści jak w technice, przenosi się najsilniejszy akcent na tę właśnie stronę powieści. Myśli autora o sprawie społecznej, nieprzygłuszone jaskrawymi efektami artystycznymi, wypowiedziane z precyzyą, jasnością i tą siłą, która płynąć tylko może z długich rozmyślań i z głębi przekonania, wysuwają się na pierwszy plan. Tej też stronie poświęcimy wyłączną uwagę. Jest tak doniosła, że warto.

Że sąd Sienkiewicza o socyalizmie nie będzie sądem dodatnim, można było, na podstawie dotychczasowych jego przekonań, z góry wiedzieć. Ale nowością jest wszechstronność tego sądu. Na tę wszechstronność składają się także idee, skądinąd znane, jak ta, że socyalizm, zasadniczo rzeczy biorąc, jest tak stary, jak ludzkość, że w pewnych okresach, gdy przykryją go inne idee, nurtuje pod ziemią, w innych wydostaje się na światło dzienne, czasem opada, czasem wzbiera i rozlewa. Obecnie mamy powódź i to bardzo groźną, która może zatopić nie tylko fabryki, miasta i kraje, lecz nawet cywilizacyę. W czem zaś należy szukać przyczyny dzisiejszego wzrostu socyalizmu, najlepiej wskazuje Francya, w której fala socyalizmu jest najgroźniejszą. Najistot-

niejszem niedomaganiem dzisiejszej Francyi jest to, że dobrobyt i pieniądz wyrugowały w niej wszystkie inne idee. Kapitał zaś ożeniony z demagogią nie mógł spłodzić innego dziecka. Dawniej mieli przywileje książęta, duchowieństwo, szlachta; dziś nikt nie ma żadnych — pieniądz ma wszystkie. Nic dziwnego, że do walki z nim występuje praca.

Socyalizm wezbrał, bo w tych warunkach musiał wezbrać — musi to przyznać każdy człowiek rozumny i nieuprzedzony. Stan społeczny jest obecnie wprost anormalnym, jest wywróceniem do góry nogami porządku społecznego. Ci więc, co dążą do reformy tego stanu, stoją na stanowisku słusznem, w pierwszym rzędzie dążą do tej reformy przedstawiciele idei chrześcijańsko-społecznej; wina socyalistów w tem, jak trafnie charakteryzuje Sienkiewicz, »że idea zaczyna w ich szkole nabierać coraz bardziej rysów złośliwego idyoty«. Idea słuszna zmarniała zupełnie w doborze środków i celów, w pomieszaniu najfałszywszych pojęć i poglądów. W miejsce jednego nieładu przychodzi z socyalizmem drugi większy.

Znaną również myśl porusza Sienkiewicz, gdy przedstawia konsekwencye społeczne socyalizmu; daje jej jednak oryginalne zabarwienie. Rozmowa toczy się z młodym socyalistą, studentem, stąd rozumowanie zwraca się w stronę młodzieży. »Wasz dzisiejszy socyalizm — słyszymy w toku rozmowy — ma istotnie jeszcze dość gęstą czuprynę, ale, gdy wyłysieje, nikt nie będzie mu tak urągał, jak młodzież... Wasze państwo socyalistyczne, jeśli je kiedykolwiek założycie, będzie takiem poddaniem osobistości ludzkiej urządzeniom społecznym, takiem wtłoczeniem człowieka w tryby i koła powszechnego mechanizmu, taką kontrolą i taką niewolą, że nawet dzisiejsze państwo pruskie jest w porównaniu świątynią wolności. I, oczywiście, rozpocznie się natychmiast reakcya. Prasa, literatura, poezya, sztuka wydadzą wam, w imię indywiduum i jego swobody nieubłaganą wojnę — i wiesz pan, kto będzie niósł chorągiew tej opozycyi? Młodzież!«

Podobnych myśli jest po całej książce rozsypanych wiele. Zaznaczamy je o tyle tylko, o ile tego wymaga ogólny tok rozumowania; chciałoby się jednak, ku najszerszemu ich rozpowszechnieniu, jak najwięcej ich przytoczyć. Na przykład, taka myśl,

rzucona młodemu socyaliście, gdy ten głosi jako cel partyi, dążność do powszechnej wolności: »Co do wolności, to proszę pana, byś wziął pod uwagę dwie myśli. Pierwsza z nich da się wyrazić tak: Biada narodom, które kochają więcej wolność niż ojczyznę! Naturalnie nie mówię o narodach podbitych, albowiem w takiem położeniu pojęcia wolności i ojczyzny stają się niemal identyczne. Ale pomyśl pan, co naprawdę zgubiło politycznie Polskę i co gubi obecnie Francyę, która w naszych oczach rozsypuje się jak beczka bez obręczy? Czy nie ukochanie większe wolności niż ojczyzny? A drugą myślą, która mi często przychodzi do głowy, jest, że wolność, przechodząca granice zakreślone przez pomyślność i bezpieczeństwo narodu, potrzebna jest tylko dla łajdaków«.

Jeżeli już tak sądzi Sienkiewicz o socyalizmie, w ogóle, to polskiemu socyalizmowi zarzuca on »głupotę wprost bajeczną«. Ogólny ten sąd uzasadnia najpierw położeniem zewnętrznem, tem, że socyalizm polski wypowiada walkę swojemu społeczeństwu, gdy to społeczeństwo prawie dogorywa pod naciskiem wrogów zewnętrznych. »Co bowiem mógłby ktoś powiedzieć o mrówkach, któreby wytoczyły sprawę robotnic i gryzły się o nią w chwili, gdy na mrowisku leży mrówkojad i połyka je tysiącami«.

Cóż dopiero, gdy weźmie się pod uwagę cały szereg innych powodów, tę chimerę, na przykład, jaką jest zespolenie idei polskiej z ideą socyalistyczną, przedewszystkiem zaś walkę, jaką wypowiada socyalizm religii, oraz tę deprawacyę moralną, jaką wszczepia w krew społeczeństwa. Z tych rozważań autora trzeba koniecznie jeden dłuższy ustęp przytoczyć, ten mianowicie, w którym autor ma szczególniej na oku rewolucyę socyalistyczną w Królestwie:

»Twierdzisz pan, że wy imię Polski połączyliście z młodą i potężną ideą, przez co wpuściliście w jej żyły młodą krew. A ja odpowiem, że sama idea, jakakolwiek ona jest — tak zwyrodniała w waszych umysłach, że przestała być społeczną ideą. Zaszczepiliście Polsce chorobę i nic więcej. Nowy polski gmach trzeba budować z cegieł i kamienia — nie z dynamitu i bomb. A u was niema ni cegieł, ni kamienia. Wy jesteście tylko krzy-

kiem nienawiści. Porzuciliście starą Ewangelię, a nie umiecie stworzyć nowej, wskutek czego niema w was zadatków życia. Imię wasze Błąd — i dlatego wypadkowa waszych działań będzie zawsze przeciwna waszym założeniom. Bo, przeciągnąwszy strunę strajkową, nie doprowadzicie ludu do czego innego, jak do słabości i nędzy, a ze słabych nędzarzy nie potraficie zbudować silnej Polski. To przecież oczywiste. A przytem na jednej i tej samej głowie nie można nosić dwóch czapek, chyba, że jedna będzie pod spodem. Otóż pytam, co tu jest pod spodem? Czy wasz socyalizm jest tylko środkiem do zbudowania Polski, czy wasza Polska jest tylko przynętą i hasłem, które ma przyciągnąć do waszego obozu lud? Socyalistom, którzy się zwą socyalistami bez dodatków, i nie twierdzą, że są w jednej osobie rybą i rakiem, muszę przyznać, że są logiczniejsi. Ale wy łudzicie sami siebie. Naprawdę jest tak, że wy choćbyście chcieli uczynić coś polskiego, to nie zdołacie, albowiem w was samych niema nic polskiego. Szkoła, którąście przeszli, nie odjęła wam, bo odjąć nie mogła języka, ale urobiła wasze umysły i dusze w ten sposób, że jesteście nie Polakami, lecz Rosyanami nienawidzącymi Rosyi. Jak na tem wyjdzie Polska i Rosya, to inna rzecz, ale tak jest. Wam się w tej chwili zdaje, że robicie rewolucyę, a to jest tylko małpa rewolucyi — i w dodatku obcej. Wy jesteście złym kwiatem obcego ducha. Dość wziąć wasze dzienniki, waszych pisarzy, poetów i krytyków! Cały ich aparat umysłowy jest obcy. Prawdziwy ich cel, to nawet nie socyalizm, ale zniszczenie. W ręku żagiew, a na dnie duszy beznadziejność i wielkie *nihil*. A przecież wiadomo skąd to rodem... Wy jesteście jak owoc z jednej strony zielony, a z drugiej gnijący. Wy jesteście chorzy. Tą chorobą tłumaczy się ten bezgraniczny brak logiki, polegający na tem, że, krzycząc przeciw wojnom, robicie wojnę, krzycząc przeciw sądom wojennym, skazujecie bez żadnych sądów i krzycząc przeciw karze śmierci, wtykacie ludziom w ręce browningi, mówicie: »zabij«! Tą także chorobą tłumaczą się wasze szalone porywy i wasza zupełna obojętność na to, co dalej będzie, jak również na los tych nieszczęsnych ludzi, z których robicie swe narzędzia. Niech mordują, niech ograbiają kasy, a czy potem za-

wisną na stryczkach, czy staną się łajdakami — mniejsza wam o to. Wasze *nihil* pozwala wam pluć na krew i na etykę. Wy otwieracie na rozcież drzwi nawet znanym łajdakom i pozwalacie im reprezentować, nie własne łajdactwo, ale waszą ideę. Wy, ogólnie mówiąc, nosicie w sobie zatratę, i Polskę łączycie z zatratą. W waszej partyi są niechybnie ludzie poświęcenia i dobrej wiary, ale ślepi, którzy w swej ślepocie służą komu innemu, niż myślą«.

Oto pogląd syntetyczny na istotę i działalność socyalizmu polskiego. Stwierdźmy, że tak jasno i z taką mocą nikt przed Sienkiewiczem tego poglądu nie wypowiedział. Jeźli dodamy, że tym teoretycznym wywodom przychodzi z pomocą, w odpowiednich partyach książki, osnowa powieści, raz bałamucenie chłopów, kiedyindziej analiza psychologiczna różnych socyalistycznych typów, a przedewszystkiem ta scena, w której od kuli proletaryatu ginie nieletnia dziewczynka, uosobienie wdzięku niewinności, to zrozumieć można ten pomruk złowrogi obozu socyalistycznego, jaki ukazaniu się tej książki towarzyszył.

Wskazaliśmy z początku, że Sienkiewiczowi w tej powieści chodziło o oddzielenie rewolucyjnych żywiołów od reszty społeczeństwa polskiego. Oczywiście, że w takiem postawieniu kwestyi może być tylko mowa o samym fakcie rewolucyi, jako takim. Rewolucya, jako taka, była tylko dziełem żywiołów socyalistycznych. Inaczej jednak sprawa się przedstawia, gdy bierze się pod uwagę przyczyny i okoliczności towarzyszące rewolucyi. Cały szereg przedwstępnych wpływów działał nie tylko na same żywioły rewolucyjne, ale działał także na całe społeczeństwo polskie. Powiedzieć to trzeba głównie o wpływach obyczajowych, wpływach idących z Zachodu i ze Wschodu. Ten ogólniejszy punkt widzenia, to rozszerzenie kwestyi, widoczne są pod koniec »Wirów«. U trumny nieletniej dziewczynki, zamordowanej przez proletaryat, przychodzi nawet takiemu Świdwickiemu refleksya, że, jeżeli tak dalej pójdzie, to za lat kilkanaście wszędzie grzebać będziemy tak samo naukę, sztukę, kulturę, wogóle całą cywilizacyę. Szczególniej u nas w Polsce: »U nas są tylko w i r y. I to nie wiry na toni wodnej, gdzie poniżej jest głębia spokojna, ale wiry z piasku. Teraz wicher dmie od Wschodu i jałowy pia-

sek zasypuje naszą tradycyę, naszą cywilizacyę, naszą kulturę, całą Polskę i zmienia ją w pustynię, na której giną kwiaty, a żyć mogą tylko szakale«.

Jest jasnem tak z tego ustępu, jak i z poprzednich przytoczeń, że pod wichrem od Wschodu rozumie Sienkiewicz zgubny wpływ ducha rosyjskiego na duszę polską, wpływ etycznego nihilizmu, jedno z największych dzisiaj niebezpieczeństw narodowych. Na to niebezpieczeństwo wskazuje wymownie, wskazuje również i na lekarstwo, mogące uzdrowić tak z tej choroby, jak i z innych, wyżej wymienionych, niedomagań społecznych.

Jakie jest to lekarstwo?

Na widok trumny dziewczęcia, ofiary rozbestwionego tłumu, wobec powagi powyższych refleksyi, jedna z działających postaci powieści, gorący patryota, doktor Szremski, woła z boleścią:

— Ach, oświaty, oświaty, oświaty!

Odpowiada mu na to ateista Świdwicki:

»Posłuchaj pan ateisty, a przynajmniej człowieka, który z żadną religią nie ma nic do czynienia: oświata bez religii wyhoduje tylko złodziei i bandytów«.

Oto najistotniejsze zdanie tej książki!

Na tę ideę wskazuje pośrednio autor niejednokrotnie w toku tej powieści, — czy, gdy socyaliście, nazywającemu katolicyzm przeżytkiem, odpowiada, że »Kościół już przeżył i jeszcze przeżyje niejeden prąd społeczny«, czy, gdy socyalizmowi zarzuca, że porzucił starą Ewangelię a nie umie stworzyć nowej, albo, gdy wkłada w usta doktora, nie mającego wiele wspólności z katolicyzmem, apologię katolicyzmu. W dyspucie z Rosyaninem wypowiada doktor następujące zdania:

»Ten katolicyzm, z którym radzisz nam się pan z dziś na jutro pożegnać, ogarnął cały Zachód, zorganizował społeczeństwa, stworzył europejską cywilizacyę, przechował naukę, stworzył uniwersytety, wzniósł kościoły, które są arcydziełami, wydał św. Augustyna, Danta, Petrarkę, św. Franciszka i św. Tomasza, stworzył renesans, stworzył Wieczerzę Pańską Leonarda da Vinci, grobowce Medyceuszów Michała Anioła, Szkołę ateńską i Dysputę Rafaela, stworzył takie kościoły jak św. Piotra, nie licząc innych,

rozsianych we Włoszech i po całej Europie. Ten katolicyzm zrobił nas uczestnikami wszechświatowej kultury, połączył nas z Zachodem, wycisnął europejskie piętno na naszej polskiej duszy...«

Albo, jak niezwykłą, pod tym względem, jest analiza psychologiczna duszy sceptyka.

W staropolskim dworze odbywa się wieczorne nabożeństwo majowe.

»Groński, który był sceptykiem, ale nie ateistą, naprzód odczuł, jako człowiek wysokiej kultury, estetyczną stronę tego dziecęcego dobranoc, zanoszonego łagodnemu bóstwu przez kobiety. Następnie, jakby chcąc stwierdzić, że Dołhański miał słuszność, mówiąc o jego zwyczaju obracania każdej rzeczy na wszystkie strony i rozmyślania nad każdem zjawiskiem, począł rozmyślać nad objawami religijnymi. Przeszło mu przez głowę, że ta cześć, oddawana bóstwu, to jest jednak pierwiastek czysto idealny, na który zdobył się dopiero człowiek. Przypomniał sobie, że ilekroć razy zdarzyło mu się być w kościele i widzieć ludzi modlących się, tylekroć uderzała go ta niczem nie zapełniona przepaść, jaka dzieli świat ludzki od świata zwierząt. Faktycznie, pojęcia religijne wytworzył dopiero organizm wyższy i doskonalszy, a stąd wniosek, że gdyby istniały jakieś istoty dziesięć razy inteligentniejsze od człowieka, byłyby dziesięć razy na swój sposób religijniejsze«.

W tem miejscu w tok rozumowania Grońskiego zaczynają znowu napływać mgły sceptycyzmu, wątpliwości na temat niepoznawalności absolutu, istnienia zła, i tak dalej. I tu świetne lekarstwo podaje Sienkiewicz na tę chorobę dzisiejszych intellektualistów, polegającą na wiecznem przeżuwaniu starych i nowych wątpliwości przeciw wierze. »Wszystko to przypomina gonitwę psa za własnym ogonem. A ja ci powiadam: patrz na to co cię otacza, nie na własny pępek«. Pod wpływem tej uwagi tak rezonuje do siebie Groński: »Rzeczywiście ta droga, na którą ustawicznie, jakby ze złego przyzwyczajenia wchodzę, nie prowadzi nigdzie, i kto wie, czy te kobiety, modlące się w tej chwili z taką wiarą, nie są bez porównania rozumniejsze, nie mówiąc już o tem, że są spokojniejsze i szczęśliwsze«.

Tą zasadą potrzeby religii, jej dostojności, jej znaczenia obyczajowego i społecznego, przejęty jest cały duch tej książki. Naczelnem hasłem, jakie z tej powieści pada, jest religia.

Losy tej książki są nadzwyczaj pouczające. Wywołała najpierw gniew w obozie socyalistycznym. Wkrótce potem rzucili się na nią warszawscy realiści, dotknięci tem, że Sienkiewicz w kilku zdaniach przyznaje wszechpolakom wyższość nad nimi. Poza krótkiemi wzmiankami, które każde pismo z prostej konieczności dać musiało, pojawiło się jeszcze kilka dłuższych ocen w pismach postępowych, ocen niechętnych, upozorowanych różnorodnemi pobudkami. Poza tem cisza. Cisza tak głęboka, że nie może nic nie oznaczać. Oto losy idei religijnej.

Nie zmniejsza to zasługi dostojnego pisarza ani nie jest dowodem, że książka nie jest czytaną. Zeszła do katakumb, ażeby w ciszy współdziałać z tworzeniem się życia nowego.

Ks. J. Pawelski.

OBERAMMERGAU
w roku 1910.

Na każdej stacyi kolejowej, na każdym nieomal rogu ulic większych miast niemieckich, a przedewszystkiem po gazetach wszystkich cywilizowanych krajów i ludów można się było w tym roku znowu spotkać z reklamą Pasyi, która co dziesięć lat odbywa się w Oberammergau, u stóp Alp bawarskich. Olbrzymia ta reklama sprowadza do skromnej wioski, liczącej 1400 mieszkańców, od kwietnia do końca września ogromne tłumy ciekawych ze wszystkich części świata i to tygodniowo zwyczajnie dwa, a nieraz i trzy razy. W podróży, po salonach, w kółkach towarzyskich, a zwłaszcza w gazetach i czasopismach Oberammergau było ulubionym tematem rozmów, sprawozdań, interesujących opisów. Milionowe dochody z tegorocznych przedstawień i miliony wydane na koszta podróży każą nam w przedstawieniach w Oberammergau upatrywać zjawisko niezwyczajne, które i dla dzisiejszego świata, tak zasobnego w teatry, zabawy i sztukę wszelkiego rodzaju dużo mieści w sobie cennych i ciekawych momentów. Czy tak jest w rzeczywistości?

Stara, wiekami uświęcona tradycya, która Pasyi w Oberammergau nadaje pewien urok wieków dawnych, jest niezawodnie najpoważniejszą przyczyną jej atrakcyi. Sięga ona w początkach swoich ponoś średniowiecza; pierwsza historyczna wzmianka o niej pochodzi, jak twierdzi *Offizieller Gesamttext*, z r. 1633, z okazyi ślubu, uczynionego przez wieś wobec grasującej »czarnej śmierci«. Najstarszy do dziś jeszcze przechowany tekst Pasyi, nosi datę

1662. Ale i on uchodzi w owym czasie za przeróbkę tekstu pierwotniejszego, bo źródła wyrażają się o nim, że jest *renoviert und beschrieben*. Jest to więc wiek poważny, który w naszych czasach wrażliwych na piękności archaiczne całemu zjawisku nie może nie nadawać szczególniejszego powabu. Ale od owego czasu tak w tekscie jako też w całym sposobie przedstawienia dużo się zmieniło. Tylko pytanie, czy na lepsze? Nie można zaprzeczyć, że dzisiejszy tekst, zredagowany głównie przez ks. Józefa A. Daisenberga, proboszcza w Oberammergau († 1883), unika szczęśliwie owego naiwnego patosu, śmiesznych anachronizmów i banalnych scen, które się tak często spotyka w mysteryach średniowiecznych. Czy przy oczyszczaniu tekstu i uwzględnieniu dzisiejszego gustu nie zostały czasem usunięte bardzo charakterystyczne epizody i jeszcze charakterystyczniejsze zwroty, trudno nam skonstatować, gdyż dawniejszych tekstów nie mamy pod ręką. Wogóle jednak można stwierdzić, że przy nieuniknionych nierównościach popularnego przedstawienia rzeczy, nieraz bardzo trudnych do oddania, cały tekst dość udatnie ze swego zadania się wywiązuje. Sama zresztą akcya, świetnie tekst illustrująca, usuwa po większej części pozostałe w nim niedomagania, które zwłaszcza w chórach najwięcej jeszcze dają się odczuwać.

Przedstawienie trwa 8 godzin, z dwugodzinną przerwą obiadową. Niemała to zaiste próba cierpliwości i wytrwałości widzów, jeżeli się zwłaszcza uwzględnia, że sam przebieg akcyi z góry już jest znany. A jednak żadna scena świata nie może się poszczycić taką uwagą i zajęciem widzów, jak scena w Oberammergau. Składają się na to różne czynniki. Pomijając samo zaciekawienie wywołane reklamą i głosami prasy, sam sposób przedstawienia oryginalnością i rozmaitością swoją ustawicznie podtrzymuje uwagę, mimo, że przez cztery godziny przed i popołudniowe ani chwilki wypoczynku widzowi nie dają. Już sama budowa teatru, olbrzymia hala, w której wygodnie mieszczą się siedzenia dla 5 lub 6 tysięcy osób, usposobia poważnie, zaś scena pod gołem niebem, z przepysznem tłem poważnych szczytów Alp bawarskich, ma tyle zalet, nastraja tak wysoko, że i najskrupulatniejszy katolik gotów przebaczyć mieszkańcom Oberammergau,

że cały ten czysto religijny dramat przenieśli z kościoła czy tez cmentarza na wolne powietrze i dali świętym scenom taką uroczą oprawę wspaniałej natury. W dzisiejszem stadyum rozwoju Pasyi, dawniejsza scena byłaby nie tylko niemożliwa ale i niestosowna. Przy całej wielkiej pobożności i religijności mieszkańców i aktorów tamtejszych, Pasya już tyle dziś mieści w sobie sztuki teatralnej i teatralnych efektów, że brak tła teatralnego wywołałby po prostu niesmak sprzeczności. Olbrzymia scena, na której tysiąc osób swobodnie obracać się może, nadaje się wybornie do owych scen masowych z Męki Pańskiej, które bez wątpienia imponującą swą siłą są rzadkiemi zjawiskami w sztuce scenicznej. Skomplikowana, ale świetnie funkcyonująca maszynerya umożliwia szybką zmianę sceneryi, która zwłaszcza przy żywych obrazach nie pozostawia nic do życzenia. Samo przeprowadzenie akcyi, w którem czuje się dużo aluzyi do sztuki scenicznej greckiej, w połączeniu z umiejętnem i szerokiem zastosowaniem wszelkich zdobyczy sztuki nowszej jest arcydziełem w swoim rodzaju.

Divina Tragoedia od wjazdu do Jerozolimy do wniebowstąpienia, tak bogata w barwne i przejmujące sceny z naturalną swoją psychologią mas i wyrazistością pojedyńczych charakterów, dramat najczystszej miłości i piekielnej nienawiści, przytem zaś tak głębokiego znaczenia i wyjątkowej Bożej opatrzności, nie mogła być oderwana od swego historycznego tła, na którem rysuje się jako dopełnienie wiekowych oczekiwań i najświętszych wyroków Bożych. Jednem słowem, trzeba było dla podniesienia całej doniosłości Męki Pańskiej wprowadzić ją w łączność ze starym światem oczekiwań Zbawiciela i przy pomocy znaczących i głębokich figur Starego Zakonu, podkreślić i uzmysłowić opatrznościowy i Boski charakter tego historycznego zdarzenia. Przy przeprowadzeniu samego dramatu, figury te przedstawiają się jako wyborny środek do korzystnego przerywania szeregu scen o charakterze często bardzo różnym i denerwującym. Przytem mnóstwo barwnych i wspaniałych scen ze Starego Zakonu nastręczyło tutaj plastyce scenicznej znakomitą sposobność do roztoczenia całego bogactwa ugrupowań, efektów świetlnych i scenizacyi w żywych

obrazach, które symbolami są i allegorycznie przedstawiają całe epizody z Męki Chrystusowej. To też wiele z tych obrazów żywych są prawdziwemi arcydziełami. Wśród deklamacyi i śpiewu chóru, któremu towarzyszy pełna orkiestra, przesuwa się przed oczami widzów szereg obrazów, jakby w pierwszorzędnej pinakotece świata. Przesuwają się jedne po drugich aż nieraz zanadto szybko wspaniałe kompozycye. W jednych przypomnisz sobie fantastyczne oświetlenie Rembrandta, w drugiej uderzy oko kompozycya Rafaela lub Nazarejczyków, ta scena ma coś z surowej powagi Dürera, tamta znów cała tchnie melancholią Dominichina lub zalewa duszę jakąś niewymowną błogością świętego Brata Fiesole. Niezatarte wspomnienia zostawiają tak miłe sceny, jak pożegnanie się młodego Tobiasza ze swymi starymi rodzicami, scena z Pieśni nad pieśniami, w której oblubienica opłakuje stratę swego oblubieńca, obydwie jako figury żegnania się Chrystusa z Matką swoją w Bethanii, albo tłumny obraz, przedstawiający mannę na pustyni i wysłańców powracających z winogronami z ziemi obiecanej, jako figury wieczerzy Pańskiej, lub wywyższenie węża przez Mojżesza jako figurę Ukrzyżowanego. Inne przejmują do głębi zgrozą swego tragizmu. Taką jest scena, gdy Aswer dla Estery porzuca swą żonę Vasthi, lub gdy synowie Jakóba sprzedają swego brata Józefa za 30 srebrników, taka, gdy Kain dręczony wyrzutami sumienia błąka się po świecie, albo kiedy niewinny Naboth z powodu fałszywych świadków skazany jest na śmierć. Bez przesady powiedzieć można, że żywe obrazy Pasyi w Oberammergau są mistrzowską reprodukcyą nieśmiertelnych epizodów Starego Zakonu i dla niejednego niespodziewanem pogłębieniem wiedzy biblijnej albo nawet rewelacyą nieznanych mu dotąd figur Męki Pańskiej.

Co do chóru, śpiewu i muzyki mogą być zdania podzielone, zwłaszcza jeśli się je zestawi z całą akcyą dramatu i z żywymi obrazami, gdy się do nich zastosuje wysoką miarę wybrednych wymagań dzisiejszej sztuki. Chór sam, składający się z 40 osób w równej prawie liczbie kobiet i mężczyzn, w powłóczystych płaszczach różnobarwnych, z dyademem na głowie bardzo poważne robi wrażenie. Zwłaszcza dowodzący chóru wspaniale się

przedstawiał. W prologu i innych monologach dysponował on tak znakomitym i donośnym głosem, że olbrzymią halę całkowicie wypełnił. Także pojedyńcze głosy, zwłaszcza sopran i tenor poszczycić się mogą doskonałymi śpiewakami, tylko brak szkoły dotkliwie czuć się daje. Wrażenie całości śpiewu, muzyki i deklamacyi jest wogóle mierne, choć i w tym zakresie nie brak miejsc wcale udatnych i efektownych. Wobec tych partyi udałych, oraz dużej pewności, z jaką wykonane są długie a niemelodyjne chorały chętnie przebacza im słuchacz ich braki, a tylko nie może w sobie przytłumić życzenia, żeby na przyszłość skrócono ile możności te nużące chorały. Pewnie, że zmiany sceneryi dla żywych obrazów domagają się dłuższego czasu i stąd dłuższego chóru, ale są miejsca, gdzie te trudności nie istnieją, a jednak chór przewleka się niepotrzebnie i wywołuje u słuchacza znużenie, zwłaszcza przy niewyraźnej pronuncyacyi śpiewaków.

Przyznać należy, że z pewną obawą oczekuje się rozpoczęcia samego dramatu. Czy wszystko będzie dostrojone do ważności przedmiotu? Czy nie będzie rażącego dysonansu między religijnym nastrojem widza i przedstawieniem chwil tak doniosłych i świętych? Czy w całem tem przedstawieniu dramat największy nie ulegnie wykoszlawieniu, nie stanie się karykaturą, albo dziecinną zabawką naiwnych prostaczków? a jednak mają być oddane charaktery tak trudne i sprzeczne, a jednak tak wzniosłe i piękne jak Piotra, Jana, Maryi Magdaleny? jak potężna namiętność Annasza, Kaifasza, Judasza? a co dopiero niezrównane postacie Maryi i Jezusa samego?

Rozpoczyna się wjazd do Jerozolimy! Z ulic miasta wysypuje się tłum, dzieci, kobiety, mężczyźni w barwnych strojach wschodu, z palmami w rękach i recytują choralnie hymn na cześć Syna Dawidowego. Hosanna i cześć Tobie, powtarzają ustawicznie, zwracając się w stronę zbliżającego się Zbawiciela, aż nareszcie ukazuje się On sam na oślicy, przez Jana prowadzonej, w otoczeniu apostołów, błogosławiąc rzeszy z naturalną powagą i niekłamanem przejęciem się chwilą. Tymczasem środkowa scena przemienia się w przedsionek świątyni jerozolimskiej, krzykiem i wrzawą kupiecką napełniają go handlarze i kłócący się weksla-

rze. Chrystus zatrzymuje się przy nich i zwrócony ku nim, pierwsze wymawia słowa powoli, z szlachetnem oburzeniem w głosie. Były to chwile wprost uroczyste, nadspodziewanie wspaniałe, rozwiały nie tylko wszelkie obawy, ale i wzmogły nastrój religijny. Czuć było, że kilkutysięczna rzesza widzów cała stoi pod wrażeniem sztuki płynącej ze serca i przekonania religijnego, dalekiej od pozy i sztucznych efektów. Autorytatywne wystąpienie Chrystusa w świątyni i entuzyazm tłumów Go otaczających, od razu odsłania nadzwyczajny wpływ tej osobistości i motywuje tem dalszy rozwój i zawikłania dramatu.

Inna scena! Nadzwyczajne, gorączkowo zwołane posiedzenie synedryum żydowskiego, narada najwyższych kapłanów i rady przybocznej. Stroje przepyszne, nastrój poważny, ale znać rozdrażnienie w ruchach większości. Jedyny Kaifasz zachowuje niczem niezamącony spokój. Zimno, celowo, z głębokim akcentem, w którym drga całe przeświadczenie ważności chwili, przedkłada kwestyę, tyczącą się Chrystusa i Jego stosunku do synagogi. On jeden rozumie, że dla niej przyszła chwila stanowcza. Albo Chrustus albo synagoga, innego wyjścia niema i być nie może. Każdy środek jest dobry i każdy pomocnik chętnie widziany, byleby służył planom Kaifasza, które z góry są ułożone i stanowcze: zguba Chrystusa za wszelką cenę. Tak, to Kaifasz, jak go nam Pismo przekazało: jego nie wzruszy ani niewinność Chrystusa, ani rozpacz Judasza, jego nie złamie opór Rzymianina Piłata; to jeden z tych, którzy albo zwyciężą albo zginą. Teraz dalsze losy Chrystusa są jasne, o ostatecznym wyniku walki wątpliwości być nie może.

W rzewnej scenie rozstaje się Chrystus ze swą Matką, rozstaje się z cichą, gościnną Bethanią, a w słowach jego przebija się cała wzruszająca świadomość tragicznego losu, który go niechybnie czeka. Chrystus go nie omija, nie unika i sam idzie do Jerozolimy, znać, że działa w imię Woli wyższej, której nieświadomem narzędziem jest także Kaifasz. Nie jest to tragizm greckiego fatalizmu, lecz świadome i heroiczne poddanie się wszechpotężnej sprawiedliwości i wszechpotężnej miłości, których cel ten sam: najpiękniejsza i całkowita ofiara sprawiedliwości i miłości.

Kaifasz, to człowiek przewrotny, ale nie bez stron dodatnich.

Trudno, żeby w tym dramacie, w którym poruszone są wszystkie sprężyny uczuć i namiętności ludzkich, w którym tragizm doszedł do szczytu, brakło podłości. Znajduje się ona w najbliższem otoczeniu Chrystusa, idącego do Jerozolimy. Za Chrystusem idzie Judasz. Następują sceny, w których kontrast z siłą elementarną działa na widza. Podczas gdy Judasz brnie coraz dalej i borykając się ze swojem sumieniem, wchodzi w sojusz z zawziętymi wrogami Mistrza, Chrystus ustanawia tajemniczą wieczerzę miłości, wchodząc w najściślejszy związek z miłośnikami swymi. Wieczerza Pańska należy do najudatniejszych epizodów Pasyi. W Oberammergau wśród grobowej ciszy sali rozlegają się nieśmiertelne słowa Zbawiciela, w których zamknął testament życia i serca swego i spełnienie się niezgłębionych tajemnic. I znów wśród ciszy zapierającej oddech, odzywa się Jezus spokojnie do Judasza: *co masz czynić, czyń prędko.* Czuć, że wie o powziętej decyzyi Judaszowej, że dla jego duszy rozstrzygająca chwila minęła — zdrada w sercu już dokonana, w czynie niechybnie nastąpi.

W bardzo trudnej ale i wzruszającej scenie wyciąga Chrystus ostatnią konkluzyę z dotychczasowego rozwoju dramatu. W pamiętnej walce wewnętrznej poddaje się ostatecznie nieubłaganym wyrokom Sprawiedliwości Bożej. Nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie — scena w Ogrojcu.

To końcowy akord rannego przedstawienia, to tryumf sprawy Bożej w duszy Zbawiciela, ale akord nie bez rażącego rozdźwięku, tryumf w największym bólu. Judasz przystępuje, aby pocałunkiem zdradzić Syna Człowieczego i oddać go w ręce oprawców.

Przerwa na tem miejscu nastręcza się sama. Co nastąpi, może być już tylko spełnieniem powziętych zamiarów. Przerwa ta jest także bardzo pożądana, bo przez cztery godziny tyle wrażeń, tyle przepysznych obrazów i scen przesunęło się przed oczyma, że chwila wytchnienia i rozważania jest psychologiczną koniecznością, nie mówię o tem, że i inny postulat natury ludzkiej dotkliwie się odzywa — głód. Dwunasta godzina dochodzi, cała fala zalewa dość liczne restauracye, aby nabrać sił na dalsze cztery godziny przedstawienia o scenach jeszcze drażliwszych i jeszcze bardziej targających nerwy i wyczerpujących. Rozmowa

jest bardzo ożywiona, bo temat gotowy i obfity. Toczy się ona przy stolikach naszej restauracyi w najróżnorodniejszych językach, przeważa zaś język angielski i niemiecki. Czas do trzech kwadransów na drugą trzeba jakoś wypełnić, nie trudno o sposoby. Oglądamy ładne wille najwybitniejszych aktorów. Tuż obok hali teatralnej piękna willa Judasza, Jana Zwinka, którego córka występuje w roli Maryi, matki Chrystusa. Niedaleko od ładnej grupy Ukrzyżowania, darowanej przez króla Ludwika II gminie Oberammergau, willa Antoniego Langa *Daheim*, grającego rolę Chrystusa, w której rozłożona złota księga zawiera już miliony nazwisk przeważnie angielskich, amerykańskich i niemieckich, nie mało także i polskich, za to zaś bardzo mało francuskich. Widocznie gust francuski jest pikantniejszy.

Wśród zabudowań przeważają restauracye i sklepy, zapełnione głównie znanemi robotami snycerskiemi z Oberammergau i najróżnorodniejszemi pamiątkami Pasyi. Kogo więc stać na to, zaopatruje się w fotografie lub rzeźby na pamiątkę, a każdy niemal spieszy się z wypełnianiem widokówek, by je zaraz wysłać w różne strony do rozmaitych krewnych i znajomych.

Im więcej zbliża się czas do rozpoczęcia przedstawienia popołudniowego, tem liczniej aktorowie przesuwają się wśród publiczności, udając się z domów swoich do garderoby. Mężczyźni o długich włosach, w strojach góralskich robią wrażenie zwyczajnych górali bawarskich, za to dziewczęta (mężatki są wykluczone z personalu teatralnego), ponoś próżniejsze od mężczyzn, już więcej ukazują się w strojach miejskich. Nie mogłem skonstatować o ile napływ pieniędzy i obcych, zwłaszcza Amerykanów i Anglików, przyczynia się do pewnej demoralizacyi ludności.

Słyszy się o tem często i czyta w gazetach, ale czas krótki nie pozwala tego zbadać na miejscu. Ogólne jednak wrażenie było przeciwne ujmującym pogłoskom do tego stopnia, że zachowanie się aktorów i aktorek, ich powaga i skromność na scenie i w chórze była wprost budującą. Zresztą sam kler miejscowy byłby może nie pokazał tyle sympatyi i czynnego interesu dla Pasyi, jak to dotychczas czyni, gdyby ona przestała być objawem wiary ludu i stała się przyczyną moralnego upadku. Nie wyklucza to poje-

dynczych wykroczeń i smutnych objawów, ale znikają one z pewnością wobec przewagi pewnej atmosfery religijnej, jaką mimowoli roztacza nad małą wioską bawarską Pasya wszechświatowej sławy.

Trzy kwadranse na drugą! Wystrzały, odbite głośno i kilkakrotnie o otaczające góry, dają znak do rozpoczęcia popołudniowego przedstawienia.

Chrystus staje kolejno przed różnymi trybunałami. Doskonale pochwycono w tych scenach całe zakłopotanie intrygi żydowskiej wobec braku świadectw oraz gorączkowego pośpiechu, z którym się starają sprawę przeprowadzić; mizerną rolę, którą Izrael w tej walce odgrywa, świetnie illustrują sceny przed domem Piłata, który z całą pogardą Rzymianina traktuje jego najwyższych przedstawicieli; ale są to zarazem sceny tak przestraszającej namiętności tłumu podburzonego przez kapłanów, że zrozumiałem się staje wahanie się i ostateczne ustępstwo Piłata. Przerywa te sceny obraz okropny, katastrofa przewidziana a jednak straszna, rozpacz i koniec Judasza. Monologi jego, zwłaszcza ostatni, za długie, osłabiają nieraz i utrudniają siłę efektu, ale obraz w całości do głębi przejmuje widza, który dopiero wtedy odetchnie swobodniej, gdy przed Judaszem, zarzucającym pas swój na gałęzie uschłego drzewa, zapada kurtyna. Koniec podłości na przeklętem drzewie figowem! znacząco mówi legenda.

Teraz zbliża się już szybkimi krokami ostateczna katastrofa w życiu Chrystusa, ofiara miłości na świętem drzewie krzyża. Po bolesnej scenie ukoronowania cierniem i biczowaniu, którą Pasya z całą brutalnością faktu przedstawia, Piłat łamiąc sztabę wydaje wyrok śmierci. Z drogi krzyżowej przedstawiony jest tylko ostatni upadek a w łączności z nim mogła być wprowadzona wdzięczna postać Cyrenejczyka i przelotne spotkanie się z Matką. Po tym epizodzie chór zmienia swoje różnobarwne płaszcze na czarne, żałobne okrycia, gotując się w ten sposób na ostatnią chwilę życia i śmierci Chrystusowej.

Następuje Ukrzyżowanie. Podczas gdy chór odśpiewuje odpowiednie słowa, za kurtyną odbywa się krzyżowanie łotrów, poczem kurtyna się podnosi a na ziemi, między dwoma stojącymi już krzyżami, ukazuje się rozciągnięty na leżącym krzyżu Chry-

stus. Podnoszenie krzyża Chrystusowego, które zaraz następuje, i pierwszy znak życia Jezusa na krzyżu, olbrzymie wywierają wrażenie na widza. Łagodzi te rozdzierające sceny pod krzyżem, w szczegółach swoich bardzo wiernie i plastycznie oddane, ładny obraz zdjęcia Chrystusa z krzyża, opłakiwanie i namaszczenie jego zwłok. Może znużenie, które wystąpić musi po tylu godzinach natężonej uwagi i głębokich wrażeń, może oswojenie się z tematem a może jedno i drugie razem sprawia, że sceny właściwej męki Pańskiej, choć przedstawione w całej nagości historycznej, bardzo mieszane w widzu budzą uczucia. Dochodzi do tego, że czasem odczuwa się już pewien przesyt wszystkiego a budząca się świadomość, że te ogromne bole mogą być tylko udane, przyczynia się mimowoli do osłabienia tych najważniejszych chwil Pasyi i pewnego zobojętnienia. W każdym razie, sceny te właściwej męki przedstawiają się jako najsłabsza partya całej Pasyi i dlatego też całkiem słusznie i z pewnością świadomie są w przedstawieniu względnie bardzo krótko traktowane. Byłoby może nawet korzystniej dla samej sztuki, gdyby w przyszłości sceny te zostały przerobione albo zastąpione żywym obrazem lub jakoś inaczej przedstawione, bo nawet w samych aktorach znać już po tylu godzinach natężającej gry pewne znużenie. Dla tak potężnych, druzgocących nerwy scen brak im potrzebnej świeżości i energii fizycznej i duchowej.

Krótkie obrazy zmartwychstania i wniebowstąpienia, które raczej stanowią tryumf i chwałę Chrystusa, bardzo wdzięcznie i stosownie kończą słynną Pasyę w Oberammergau. Zdania o pojedynczych rolach, zwłaszcza głównych, wypadają bardzo rozmaicie, bo też i różne jest usposobienie, przekonanie, nastrój i gusty tego olbrzymiego tłumu widzów, który w Pasyi uczestniczy. Słusznie podnosi proboszcz miejscowy M. Schroeder, że piękność tej popularnej sztuki nie jest dostępna dla widza, który kieruje się nowoczesnymi poglądami na religię i smak znajduje tylko w grymaśnej sztuce doby obecnej. Ktoby w tych mysteryach średniowiecznych, zresztą pod wielu względami przerobionych według rozumnych wymagań dzisiejszych, chciał przeoczyć moment religijny zwłaszcza w aktorach samych, dla tego przedstawienie

w Oberammergau musi się stać czemś niezrozumiałem, w czem znajdywać będzie sprzeczność we formie i treści, co go nie zadowoli, owszem, łatwo zrazi. Pierwszorzędna wartość Pasyi leży nie w artystycznem ale religijnem jej znaczeniu i sądzę, że tak pojmują ją także aktorzy, kiedy występują na scenę.

Chrystus (Antoni Lang) bez wątpienia duże wykazał zalety i bardzo trudną a męczącą swą rolę grał z nadzwyczajną powagą i dostojnością. Sympatyczna jego postać, zwłaszcza w łagodniejszych scenach, występowała bardzo korzystnie i równowaga ducha, jaką umiał zachować w chwilach krytycznych, uwydatniała bardzo trafnie wyższość osoby, którą przedstawiał. Ale właśnie ta równowaga od początku do końca gry staje się nieraz monotonną i zwłaszcza razi tam, gdzie sama natura rzeczy domaga się żywszego akcentu w głosie i większej energii akcyi. Przeradza się ona nieraz w pewien rodzaj apatyi w namiętnych scenach przed radą żydowską, albo w rozmowie z Judaszem jest w niej coś zbyt martwego i ograniczonego. Ale te braki łatwiej przebacza się Langowi w jego tak trudnej roli, niż gdyby je próbował nadrabiać pozą aktorską, nie licującą z powagą Chrystusa.

Bezsprzecznie najudatniejsza była rola Kaifasza (Breitsamter Gregor). Przeprowadzona z wyborną psychologią a Breitsamter umie całą powagę Najwyższego Kapłana połączyć z kipiącą namiętnością tak trafnie, że nigdy swej godności z oka nie spuszcza. Z powodu tego wszystkie te sceny, w których występuje synedryum, należą do najudatniejszych w całej Pasyi. Obok nich należy postawić sceny masowe, w których sam tłum, kilkaset osób liczący, różnobarwny i ruchliwy przemawia do widza elementarną siłą ulicy, niedbającą o prawa i władzę, przemawia wymownie zwłaszcza w naszych czasach.

Mówiono, że Jan Zwink, który w tym roku grał rolę Judasza, kiedyś występował w roli św. Jana. Byłby to skok rozpaczliwy z jednej ostateczności w drugą; ale dziś, pominąwszy wiek, byłby w roli Jana stanowczo niemożliwy, bo minę ma iście Judaszowską. Także cała jego postać sucha i gwałtowna w ruchach, wybornie charakteryzuje Judasza, duszę niespokojną i — żydowską, co to wszystko ocenia na wagę złota. Jest to bardzo nie-

wdzięczne zadanie dostrajać latami całemi duszę do tych brudnych i gwałtownych drgań duszy Judaszowskiej, ale za to Jan Zwink należy do wybitniejszych sił sceny w Oberammergau i niełatwo będzie go można równą siłą zastąpić.

Córka jego Ottylia Zwink występuje w roli Maryi, Matki Chrystusa. Jej gra robi dość mierne wrażenie, do czego przyczynia się i ta okoliczność, że obok Chrystusa — wygląda stanowczo za młodo i za nikło. Sceny, w których występuje: pożegnanie się z Chrystusem w Bethanii, spotkanie się z Nim wśród drogi krzyżowej i pod krzyżem, muszą być rzewne bez wątpienia, jednak w jej grze wypadały zbyt miękko, z jakąś niesmaczną tkliwością, trącącą udawaniem i pozą. Mniej więcej, to samo można powiedzieć o wszystkich rolach kobiecych, wszystkie były za słodkie, za czułe, za nudne.

Pasya jest w pierwszym rzędzie sztuką religijną, i to zawsze należy mieć przed oczyma w ocenie gry aktorów. Otóż wszystkim osobom biorącym udział w przedstawieniu, a także chórowi należy się zupełne uznanie za to, że nigdy nie tracą z oka religijności i tem samem w zupełności odpowiadają swemu pierwszorzędnemu zadaniu. Byłoby to klęską dla tych przedstawień, gdyby kiedykolwiek estetyczna strona wzięła w nich górę nad stroną religijną. W sztuce religijnej, a do tego popularnej, łatwiej się wybacza braki artyzmu i wykończenia, aniżeli brak pietyzmu i szczerej serdecznej religijności.

Ogólne wrażenie przedstawień jest stanowczo dodatnie i tak głębokie, że go nigdy życie nie zatrze. Na ich znaczenie można się z różnych punktów zapatrywać. Chcemy tutaj tylko zwrócić uwagę na apologetyczne znaczenie tych przedstawień. Jest rzeczą znaną, że żaden inny czas, z wyjątkiem może wieków walk chrystologicznych, tak bardzo nie interesował się t. zw. problematem Chrystusa, jak wiek ostatni, który niesłychane wkłady niezmiernych prac i niepospolitych zdolności poświęcił tej doniosłej kwestyi. Zwłaszcza w obozie protestanckim od Reimara począwszy, przez Renana i Straussa, aż do naszych dni, stała ta kwestya na pierwszym planie. Nie było hipotezy, którejby nie uważano przez czas jakiś za jedyny klucz do rozwiązania kwestyi, czy charakter

Chrystusa znany z wiary, zgadza się z Chrystusem, jakim go zna historya. I dziwna rzecz, im bliższym zdawał się cel wytknięty, tem więcej oddalał się niejako ten Chrystus od naszych czasów. Coraz więcej przekonywano się, że Chrystus dla nauki, niechcącej w nim niczego więcej dojrzeć prócz człowieka, jest i zostanie zagadką, której jedynem rozwiązaniem mogłoby być tylko zaprzeczenie, wyparcie nie tylko Chrystusa z wiary, ale i wykreślenie go z historyi, — fakt, z którymśmy się w ostatnich czasach częściej spotkać mogli. Stąd ci, którym ta konsekwencya w całej niedorzeczności swojej jasno się przedstawiła, nie tają się z upokarzającem wyznaniem, że cała dotychczasowa olbrzymia praca, która głównie reprezentantów znalazła w obozie protestanckim, skończyła się wielkiem bankructwem. Z zadowoleniem słyszymy z ust protestanckiego uczonego [1], obeznanego doskonale z całem szczegółowem mnóstwem badań w tym kierunku, te charakterystyczne słowa: »Nie Chrystus historyków (dzisiejszych), którzy nie doszli do żadnych rezultatów, może mieć znaczenie w dzisiejszych czasach — ale Chrystus w sercach naszych zmartwychwstały, (wiara w Chrystusa). Tyle zrozumienia Chrystusa ile ducha Chrystusowego«. Innemi słowy, Chrystus tylko wtedy może się stać dla nas Zbawicielem, jeżeli się go pojmie w duchu wiary, tak jak go określa wiara. Chrystusa historycznego nikt nie zrozumie, kto nie przyjmuje określeń wiary, odnoszących się do jego osoby.

. Na scenie w Oberammergau Chrystus historyczny jest zarazem Chrystusem wiary a zawdzięczają te przedstawienia byt i sławę swoją temu, że dla mieszkańców z Oberammergau Chrystus nie przestał być nigdy »Bożą siłą i Bożą mądrością«, nie przestał być nigdy Chrystusem wiary. I nie mylimy się chyba, że w tej wierze, zgodnej z historyą, leży siła tego potężnego głosu, którym przemawiają do dzisiejszego świata wierzącego i niewiernego. Przedstawienia te łączą historyę z wiarą, wyrażają ich zespół w sposób trafny i artystyczny, wykazują historyczne a nadprzyrodzone wkroczenie Boga w dzieje ludzkości, są wspaniałem wyznaniem wiary w Boga Chrystusa i jego posłannictwo. Nie

[1] Schweitzer: *Von Reimarus bis Wrede.*

wiem, czy prawdą jest, co opowiadają, że już niejeden z widzów zawdzięcza tym przedstawieniom powrót do wiary prawdziwej w Chrystusa, ale to chyba przyznać musi każdy, kto miał sposobność choć raz je widzieć, że są wspaniałą apologią Chrystusa, przemawiającą do serca siłą prostoty i szczerości popularnej sztuki a do przekonania psychologią i prawdą swej treści. I dlatego można tylko wyrazić życzenie, żeby przedstawienia w Oberammergau i nadal tem zostały, czem są dzisiaj, to jest: przy wszystkich ubocznych celach pojedynczych jednak w pierwszym rzędzie wyznaniem wiary ogółu mieszkańców wioski Oberammergau, wiary, która dla nich jest drogą spuścizną wieków i jądrem tak żywotnej tradycyi.

Ks. A. Starker.

POEZYE.

KOŚCIÓŁ OPUSZCZONY.

Znam kościół opuszczony...
W zawiasach nieruszane zardzewiały dźwierze,
Na stallach, gdzie nie klęka nikt, pyłu osłony.
W oknach, gdzie święci stali w rozbłyskach rycerze
I Święte zachwycone, teraz pustka świeci.
Po grobach wykwitają ślizkie biele śnieci,
Czasem z nadworu odgłos targowisk doleci,
Albo niefrasobliwy, głośny rozgwar dzieci.

A Sacrosanctum puste... świeci głąb złocony —
Ołtarz w gruzy się wali, świecą szczerby świeże,
I wiernej lampki płomień czujny, zagaszony.
Na stopniach nikt nie klęczy, Świętości nie bierze
W Najświętszym, z rąk kapłana podawanym Chlebie.
Nikt... Sacrosanctum puste po Boga pogrzebie!
W pustce tej zamyślony pająk się kolebie,
Nieskończoną nić szarą sennie snując z siebie.

Pusty, ze smutnym we drzwiach zamkniętych aniołem...
O ludzka duszo, dzisiaj! tyś jest — tym kościołem!

Z KRÓLEWSKICH PÓL.

A łany róż Król ma,
Nad nimi, na dolinie słoneczna stoi mgła.
Srebrnoróżowa róża w blask srebrny oprzędzona
Śni słońca sen cudowny, w woń słodką sen zamienia.
Coraz się niżej kłoni srebrzysta jej korona,
Balsamu kropla wzbiera w milczeniu utajenia.

A łany róż ma Król...
I pójdą róże wonne, z dolinnych pójdą pól,
Z łagodnej pieczy dolin, z powiewów pieszczoty,
Z miłości słońca, w której wsłuchane jasne stoją,
Pod sierp ten wyostrzony, pod sierp Królewski złoty,
W królewskie niosąc tłocznie balsamu kroplę swoją.

A łany Król ma róż!
Tysiące wonnych róż, balsamu jeden kruż...
Na polach, na słonecznych, śnią róże sen tęsknoty,
Kiedy jasnością słońca swą srebrną duszę poją.
»Ach, kiedyż to Król słońca sierp po nas poszle złoty?
Kiedyż mu do Stóp padniem balsamu kroplą swoją?«

Z CYKLU MIASTO.

Dlaczego zginęła ziemia i spalona jest jako pustynia?...
Jer. 9—12.

Pustyni rozpalonej piaski, w pagór wzdęte,
Wynoszą pustynnego miasta płowe mury,
Płowością rudą piasków słońcem rozpaloną.
Miasto będące pustyń spalonych koroną,
Z której łun utajonych bije blask ponury.

Wichrem w drobniuchne fale wyrzeźbione kręte
Sypkie piaski pustyni u nóg legły miasta,
Wżerają mu się w stopy, stopy miasta kruszą,
Żary swoje wieczyste gasząc jego duszą.
Miasto milczy pustynne, w piasek pustyń wrasta.

Miasto milczy, — pod żarem słońca popieleje —
Dawno już źródła jego zamilknęły żywe!
Kwiaty lekkie i giętkie, chłodna, świeża zieleń
Odeszły za źródłami w krainę spopieleń.
I dzieciąt śmiech i matek wołania pieściwe,
I smutne, oglądając się, poszły nadzieje.

A z za pustyń mórz struna pobłyska daleka...
Duch miasta je opuścił, ale odejść zwleka,
I pustyniami chodząc, krąży dookoła,
I słucha, czy go miasto niewierne nie woła.
Cierpliwy, w dnie upalne, w noce gwiezdne czeka...
Niemasz tęsknoty ducha tu... »niemasz człowieka«.

Krystyna Saryusz-Zaleska.

KATOLICYZM ELEUZYŃSKI.

(Dokończenie).

V.

We wszystkich pracach i zabiegach Lutosławskiego tonem często się powtarzającym jest patryotyzm. Jak swojem »nawróceniem« mógł kupić sympatyę wielu katolików, tak patryotyzmem zjednywał sobie tych, co miłość ojczyzny na pierwszem miejscu stawiać zwykli. Polska nie schodzi z ust jego. Kiedy obejmuje w r. 1899 docenturę na uniwersytecie krakowskim, zdaje mu się, że »sięgnął po najwyższe w Polsce stanowisko nauczyciela filozofii polskiej na Wszechnicy Jagiellońskiej, czyli jednego z głównych kierowników polskiej młodzieży w dążeniach jej do niepodległości ojczyzny« [1]. We wstępnym wykładzie zaznaczył, że misyą jego jest »zwalczać panoszący się trójlojalizm«; wykładając historyę filozofii greckiej, umiał jej nadać znaczenie »polskiej ewangelii« [2].

[1] »Wykłady Jag.« I, str. 5.

[2] Przyjaciele L., jak sam wyznaje, radzili mu, by z katedry wykładał tylko to, co rozumem ściśle dowieść może, nie tykając tego, co mu Bóg w natchnieniu objawił, lecz on inaczej zapatrywał się na »wychowanie narodowe«, czem ściągnął na siebie nieprzyjemności. Raz zamknięto przed nim aulę, że musiał siłą z pomocą młodzieży katedrę zdobywać; potem sprowadzono do auli lekarzy, którzy, wysłuchawszy wykładu, zaopiniowali, że stan zdrowia docenta wzbudza obawy i że powinien być zwolniony od dalszego wykładania. Kiedy zaś docent urządził z młodzieżą patryotyczny obchód w rocznicę powstania listopadowego, przyjaciele przestrzegli go, iż istnieje

Cała późniejsza działalność L. zmierzać ma ku odrodzeniu Polski przez wychowanie narodowe. W tym celu tworzył wszystkie instytucye, związki, bractwa, rozdawał urzędy, pisał ustawy i sprawozdania, o jakich do przesytu można się naczytać w tomikach *Eleusis* i rozmaitych dodatkach do innych książek. Warto przeto przypatrzeć się systemowi eleuzyńskiemu, czy też eleuteryzmowi i z tej strony.

Według powszechnie przyjętego mniemania narodem nazywamy większą grupę ludzi, związanych wspólnością terytoryum, a jeszcze bardziej pochodzenia, języka, kultury i tradycyi historycznych; słowem narodowość to produkt naturalny czynników przypadkowych w stosunku do istoty dusz. Atoli Lutosławskiego pogląd taki nie zadawalnia: on podstawę narodowości widzi daleko głębiej, bo aż »w naturze jaźni«. »To pewien odrębny gatunek ducha, — powiada nasz filozof, — wybiera sobie miejsce stosowne na ziemi, lub na innych planetach, by urzeczywistnić swe narodowe ideały, stworzyć swój język, żyć swoją historyą« [1]. A zatem »naród jest to duchowy związek ludzi duchowo do siebie podobnych, niezależnie od ich miejsca zamieszkania na ziemi lub poza ziemią« [2]. Albowiem »naród istnieć może poza ziemią na licznych innych światach« [3]. Trzeba atoli dodać, że »naród to nie cała masa ludzi mówiących jednym językiem — tylko to szczupłe grono duchów, które są świadome swej odrębności wśród innych narodów i swej łączności między sobą, nawet gdy się wzajemnie jeszcze nie znają« [4].

Cechą wszelkiego rodzaju »proroków«, poetów, utopistów było to, że zapowiadali rychłe, a zwykle nagle przyjść mające odnowienie świata, zstąpienie na ziemię królestwa Bożego. Roz-

---

zamiar zamknięcia go w domu zdrowia. On jednak »postanowił utrudnić zadanie przeciwnikom filozofii narodowej« i zawczasu wyjechał za granicę z zamiarem uzyskania od jakiego psychiatry świadectwa, że jest przy zdrowych zmysłach. Tymczasem ministeryum zawiesiło go w docenturze na czas nieokreślony. O tem wszystkiem sam opowiada drobiazgowo we wstępie do I-go tomu »Wykładów Jagiellońskich«. Nie czytamy tam tylko, czy uzyskał za granicą ów »glejt« bezpieczeństwa, mający go chronić od »nieprzyjaciół wychowania narodowego«.

[1] »Ludzkość odr.«, str. 11. [2] Tamże, str. 48.
[3] Tamże, str. 13. [4] Tamże, str. 216.

maici rozmaitym czynnikom ten apokaliptyczny przewrót przypisywali, dopiero pierwszy, o ile wiemy, Lutosławski spodziewa się owej zapowiedzianej przez »wieszczów« wielkiej przemiany od świadomości narodowej. Rozwój tego uświadomienia ma sprawić to, że wilk z jagnięciem razem legać będą. »Budzić się zaczyna, — powiada — w ludzkości nowe uczucie, dawniej nieznane(?), a tak silne, że najsilniejsze dotąd znane uczucia, jak miłość kobiety lub Kościoła (ciekawa asocyacya!), podporządkowują się temu jednemu dążeniu, które pewne wybrane dusze w pełni opanowało« [1]. W szeregu »wizyi przyszłości« opowiada L., jak pod działaniem tego uczucia będzie świat zmieniał swe oblicze. W wojnach ostatecznych słowiańskie legiony zaważą tak na szali wypadków, że głos ich przy zawarciu wiecznego pokoju musi być uwzględniony, a żądać będą dla wszystkich ludów praw narodowościowych. W rezultacie zachłanne Prusy zostaną unicestwione, Europa stanie się federacyą ludów z trybunałem międzynarodowym w Warszawie, z którego tylko Prusacy i Żydzi mają być wykluczeni. Świadomość narodowa sprowadzi kompletny przewrót w stosunkach kulturalnych, zmieni wygląd miast i wsi, unarodowi gospodarstwo, przemysł i handel, boć uświadomiony Polak tylko z polskiej skóry buty nosić i tylko z polskiego zboża chleb jadać będzie. Pomijamy inne dobrodziejstwa uświadomienia narodowego [2],

---

[1] »Ludzkość odr.«, str. 7.

[2] W »Ludzkości odrodzonej« mamy takie nawet obietnice, jak np. ta, że w przyszłości rolnicy będą mogli według potrzeby zamawiać deszcz lub pogodę w specyalnem ministeryum, lub ta, że bieguny kuli ziemskiej będą ogrzewane; albo, że powszechna oświata będzie rozciągnięta do zwierząt, bo »człowiek w każdem zwierzęciu nauczy się uznawać nieśmiertelną jaźń«, wskutek zaś tej oświaty służbę szoferów na automobilach obejmą małpy, a kozy listy będą roznosiły. Ulepszenie komunikacyi osiągnie się przez przeprowadzenie kolei podziemnych bez oglądania się na kulistość ziemi, pociągi będą pchane pneumatycznie, z Warszawy do Berdyczowa jeździć się będzie przez Kijów, bilety będą równej ceny bez względu na odległość, »jazda bowiem na wielką odległość i tak już jest znacznym wysiłkiem, więc nie zasługuje na to, by ją nadto jeszcze obciążać wysoką opłatą« i t. d., i t. d. Gdyby L. posiadał talent artystyczny, jego wizye przyszłości zajęłyby poczesne miejsce w szeregu fantastycznych powieści w rodzaju opowiadań o wycieczkach na księżyc; gdyby swoją żywą wyobraźnię umiał utrzymać

nie możemy jednak nie wspomnieć o tem, że jakkolwiek »wszystko będziemy oceniali z tego narodowego (oczywiście swojego) stanowiska« [1], to jednak wykluczonym ma być »podbój obcych narodów«, i jakkolwiek w gospodarstwie, handlu, przemyśle każdy naród otoczy się jak najściślejszą granicą, jednak to nie doprowadzi do żadnych konfliktów, owszem jeden naród drugiemu służyć będzie. »Bo różne narody, — wchodzimy tu w historyozofię — mają tak różne przeznaczenia i powołania, jak różni ludzie« [2] i »naród, gdyby żył sam dla siebie,... nie zasługiwałby ani na szczęście, ani nawet na istnienie. Naród powinien służyć ludzkości, podobnie jak jednostka ludzka służy narodowi« [3]. Nie możemy pominąć i tego zdania L., że »uczucie narodowe jest uczuciem religijnem i pogłębia naszą wiarę, a z wiarą nasz stosunek do Boga«, a także »że świadomość narodowa pogłębia stosunek płciowy i wzbogaca go« i t. d. [4]. Tylko »trudno jest o tych tajemnicach mówić przed światem, bo mało jeszcze jest wtajemniczonych«.

Jakkolwiek przytoczone poglądy konsekwentnie winien był stosować jednakowo do każdej narodowości i każdemu patryotyzmowi przyznać tę samą wartość, jednak L. polską jaźń uważa za szczególniej uprzywilejowaną i polskiemu narodowi przyznaje wyjątkowe zalety i przeznaczenie. Już wiemy, że dobry Polak już przez to samo należy do duszy Kościoła katolickiego, czego nigdyby chyba nie powiedział L. o »dobrym Niemcu«. Polskiemu umysłowi przypisuje L. jakieś uniwersalne zdolności, bo czytamy, że »Polak wszystko jest w stanie ogarnąć, przeniknąć, przetrawić i na swoje przerobić« [5]. Nic więc dziwnego, że Polskę czyni przedmiotem »wiary widzącej« na równi z Bogiem [6], że Polsce przypisuje misyę odrodzenia całej ludzkości, służenie zatem Polsce uważa za najwyższy cel Polaka, w imię Polski, jak wiemy, odzywa się do kapła-

---

w granicach rozsądku, mógłby stanąć w rzędzie filozofów-utopistów, których myślowym kreacyom wartości odmówić nie można. Tragicznem atoli jest to, że L. swoją »Ludzkość odrodzoną« uważa za »szkic obszerniejszej pracy naukowej«, którą obiecuje wydać, jeśli poparcie ogółu znajdzie.

[1] »Ludzkość odrodzona«, str. 14. [2] Tamże, str. 222.

[3] Tamże, str. 223. [4] Tamże, str. 226.

[5] *Eleusis*, I, str. 238. [6] Tamże, str. 291.

nów, aby według jego przepisów spowiedzi słuchali. W czem konkretnie ma się wyrażać na bliższą metę służenie Polsce? Lutosławski nam wskazuje tu na wychowanie narodowe w swoim eleuzyńskim duchu, a potem wywalczenie niepodległości ojczyzny choćby »szpicrutą« [1], apoteozując przytem wszystkie nasze ruchy zbrojne, aż do powstania chochołowskiego włącznie [2].

Nie mamy zamiaru wdawać się w szczegółową ocenę teoryi narodowości Lutosławskiego. Jest ona, na równi z »metafizyką płci«, pozbawiona jakiegokolwiek dowodu i opierając się ostatecznie na teoryi reinkarnacyi razem z nią upada. Jeśli zaś chodzi o wartość jej w praktycznych zastosowaniach, to w całej tej filozofii podobno najbardziej pocieszającem jest zapewnienie, że narodowość może istnieć i na innych planetach, w chwili bowiem, kiedy nas najsrożej przyciśną Prusacy czy Moskale, moglibyśmy się zmówić, by po swym zgonie, przy ponownych wcieleniach, przenieść się gromadnie na Marsa, lub inną jakąś planetę, by ujść brutalności wrogów. Nie wiem tylko, po co w takim razie koniecznie tu, na ziemi, mamy wywalczać sobie niepodległość choćby szpicrutą. Nie czujemy kompetencyi do sądzenia »wizyi przyszłości« w zakresie polityki, tylko to nadmienię, że »szpicruta« i »chochołowskie powstania« na pewno nie zjednają niczyjego zaufania dla wychowania narodowego i »kuźnice narodowe« wskutek tego pozostaną w sferze marzeń.

Nie możemy pominąć bez odparcia jednego punktu nauki L. o patryotyzmie, punktu, w którym on rozmija się z zasadami katolickiemi, a nawet wpada w sprzeczność z samym sobą. Jest to mianowicie wysuwanie patryotyzmu na bezwzględnie pierwsze miejsce w szeregu pobudek i uczuć ludzkich. Jeśli nic prawdziwszego, z punktu widzenia chrystyanizmu, nad zdanie L., że naród, żyjący egoizmem, nie wart istnienia, to jak z tem zdaniem pogodzić twierdzenie o wyższości patryotyzmu od miłości Kościoła? Zaiste, chce się zapytać, które z tych dwóch zdań L. napisał w roztargnieniu? Jeżeli bowiem narody na to istnieją, by służyły jakimś ogólniejszym celom, celom całej ludzkości, czyż mogą to lepiej uczynić, jak służąc Kościołowi katolickiemu, którego celem nie tylko doczesny,

[1] *Eleusis*, III, str. 22—23. [2] Tamże, str. 26.

materyalny dobrobyt ludzkości, ale kultura ducha, uszlachetnianie serc i zgromadzanie wszystkich ludzi w jedną nadprzyrodzoną, z Bogiem połączoną i dla Boga wychowującą rodzinę? A w takim razie, t. j. żądając od narodu, by służył ideałom przez Kościół pielęgnowanym, czyż nie podporządkowuje się uczucia patryotycznego dobrze zrozumianej miłości Kościoła? Oczywiście, nie uzna tych wywodów człowiek niewierzący w nadprzyrodzone pochodzenie i posłannictwo Kościoła, lecz od katolika, za jakiego się uważa L., mamy prawo domagać się tej konsekwencyi.

Co się tyczy jakichś szczególnych przymiotów ducha polskiego i opartego na nich jakoby szczególnego posłannictwa naszego narodu, to uważamy tego rodzaju przechwałki za spóźnione echa mesyanizmu. Łatwo o przesadę w ocenianiu siebie. Uważamy że zamiast historyozoficznych domysłów o posłannictwie narodowem, którego się bliżej określić nie umie, lepiej często a usilnie przypominać obowiązki narodowe. Obowiązkiem takim jest kierowanie się w życiu nie tylko prywatnem, ale i publicznem i w stosunkach do innych narodowości zasadami ewangelii, prawem sprawiedliwości i miłości. Niechaj to tylko spełnia naród wytrwale, a wtedy spłaci i dań należną całemu człowieczeństwu. Jeśli już koniecznie mamy mówić o jakiejś misyi narodowej, to ona nie na czem innem polegać będzie, jak właśnie na zastosowaniu chrześcijańskich zasad do tych warunków i okoliczności, w jakich naród przez Opatrzność został postawiony, lecz to o każdym narodzie powiedzieć można.

VI.

Rozpatrywany przez nas system Lutosławskiego, — jeśli systemem nazwać wolno cały ten konglomerat prawdy i błędów, dziwacznych pomysłów obok trafnych spostrzeżeń, — cały ten system, o ile on chce uchodzić za katolicyzm, nazwaliśmy katolicyzmem eleuzyńskim. Nazwę tę wzięliśmy od stowarzyszenia »Eleusis«, które Lutosławski założył. Narzuca się tedy pytanie, co nas skłoniło do nadania teoryom Lutosławskiego tej nazwy i czy przez nią chcemy odsądzić od prawowierności ka-

tolickiej wszystkich, co do owego stowarzyszenia należą? Czy nie należało raczej skrytykowaną naukę uważać za wyłączną Lutosławskiego własność? Pytania te wymagają dłuższej odpowiedzi.

Oczywiście, nazywając naukę L. katolicyzmem eleuzyńskim, nie mieliśmy zamiaru twierdzić, że wszystkie przytoczone i ze stanowiska nauki katolickiej rozebrane zdania tego pisarza są podzielane przez członków stowarzyszenia »Eleusis«. Możemy chętnie przypuścić, że te lub owe ekscentryczne pomysły, te lub owe sposoby ujęcia swej myśli i tok argumentacyi nie są wyrazem stałych przekonań nawet samego L., i to nie tylko dlatego, że myśl jego, znajdując się wciąż w stanie rozwoju, musi niekiedy cofać się, poprawiać, ale jeszcze więcej dlatego, że L. dzięki rozwichrzeniu swej wyobraźni pisze »z natchnienia«, bez premedytacyi szczegółów, i stąd o niejednem zdaniu, wypowiedzianem przez siebie, łatwo mu zapomnieć samemu. Tem trudniej więc przypuścić, by elsowie mieli przysięgać na k a ż d e słowo mistrza.

Ale, odrzuciwszy drugorzędne szczegóły, znajdujemy u L pewien szkielet, stanowiący, że tak powiemy, substancyę jego nauki, i otóż tę substancyę przypisujemy również stowarzyszeniu »Eleusis«. Czy słusznie? Zaraz zobaczymy.

Najpierw ze studyum *Eleusis,* czasopisma elsów, przekonujemy się, że stosunek L. do owego »zakonu« nie kończy się na roli inicyatywy, pierwszego impulsu, dania organizacyi, ale trwa dalej, a sięga bardzo głęboko. Elsowie w korespondencyi swej z nim nazywają go ojcem swoim, od niego otrzymują wskazówki działania, on kieruje nimi w pracach ich umysłowych. Sam L. nie wymawia się ani od tego tytułu, ani od duchowego kierownictwa »Eleusis«. Podpisuje się na listach do elsów: »Wasz wierny ojciec W«. O swem względem nich zadaniu wyraża się: »Mam was jednoczyć duchem moim« [1] i dlatego żąda, aby każdy z nich, jak poświęca pół godziny na Mszę świętą, tak podobnież znalazł »kwadrans dla Ojca« na korespondencyę z nim. Trudno przypuścić, żeby przy tak blizkich stosunkach z elsami nie miał zaszczepić w nich swoich poglądów, lub żeby chciał być kierowni-

[1] *Eleusis*, II, str. 171.

kiem duchowym tych, którzyby poglądów jego nie podzielali. Apryoryczny ten dowód nabiera tem większego znaczenia, gdy uprzytomnimy sobie, że stałem dążeniem L. jest ucieleśnienie swego systemu w zewnętrznej organizacyi, do czego zmierzały wszystkie jego próby z »wychowaniem narodowem«. »Eleusis« musi być zatem uważaną za wcielenie »filozofii« Lutosławskiego.

Lecz mamy i inne dowody solidarności ideowej stowarzyszenia ze swym założycielem. Ma tu wszak jakieś znaczenie sam fakt umieszczania przez niego swoich pomysłów w wydawnictwie którego okładka nosi napis: »Czasopismo elsów«. Od lat kilku osobiste stosunki L. z elsami jakoby słabną, oprócz pióra »inicyatora« debiutują pisarze z założonego przezeń stowarzyszenia, lecz właśnie te prace uczniów nie tylko, że nie zdradzają duchowej emancypacyi z pod wpływów mistrza, ale przeciwnie stwierdzają solidarność z nim w najistotniejszych punktach jego nauki. W ciągu niniejszej pracy tylko mimochodem przytoczyliśmy parę cytatów z rozpraw, pisanych przez elsów. Najnowszy, piąty tom *Eleusis*, wydany r. 1909 ku czci Juliusza Słowackiego może dostarczyć więcej dowodów solidarności ideowej elsów z Lutosławskim. Dość przytoczyć tu rozprawkę T. Strumiłło: »Pojęcie Boga u Słowackiego«.

Najważniejsze atoli wyznanie znajdujemy w trzecim—czwartym tomiku *Eleusis*, wydanym w roku 1908. Ówczesny redaktor T. Dąbrowa podaje w przedmowie jakby zarys *Credo* stowarzyszenia, występując widocznie w imieniu nie swojem własnem wyłącznie, lecz w imieniu koła, którego myśli tłumaczy. Wyznaje on tam, że »Eleusis« w ciągu sześciu lat swego istnienia wyrobiła już sobie »pewien w y r a ź n y (?) całokształt poglądu na świat«. Gdyby ten całokształt był szczerze katolickim nie zachodziłaby potrzeba mówić o wytwarzaniu go w łonie »Eleusis«. Niestety, w zarysie owym odnajdujemy wszystkie istotne składniki nauki Lutosławskiego. Potępioną jest zatem »krzykliwa nietolerancya«, a drogą jest elsom »nauka o duszy Kościoła, do której wszyscy ludzie dobrej woli i czystego sumienia należą«. Świta elsom »synteza najskrajniejszych systemów filozoficznych«, mająca się nazywać »panteistycznym indywidualizmem«. Jaźń nieśmiertelna,

jak u Lutosławskiego, tak i u nich »dąży poprzez liczne szczeble bytowania do osiągnięcia pełni doskonałości... do powrotu do jedni z Naczelną Jaźnią świata, w której wszyscy byliśmy bez początku przed początkiem widzialności«. Potępiają elsowie »supremacyę intellektu nad intuicyą, przyznając zatem rozumowi, w charakterze organu poznawczego, wartość tylko względną, wskutek czego przekonania religijne swoje muszą oprzeć właśnie na owej »bezpośredniej intuicyi«. Mówią o kulcie naszych »wieszczów«, uważając ich za »szczyty filozoficznych pomysłów i konstrukcyi«, i stawiając ich obok Ojców Kościoła, a tych ostatnich obok Platona, Plotyna, Kartezyusza, Leibniza i... mędrców staroindyjskich. Narodowość uznają za »gatunek dusz« [1]. Czegóż więcej potrzeba ze strony »Eleusis« do stwierdzenia identyczności jej poglądów, które w tejże przedmowie wprost nazwane »eleuzyńskim poglądem na świat« [2], z nauką Lutosławskiego? Czyż nie dość wyraźnie, jak na »zarys«, wypowiedziano tu i pseudomistyczne pojęcie aktu wiary i jej źródeł, i niebacznie tolerancyjne rozszerzanie ram Kościoła, i przecenianie pism naszych poetów, i odwieczne istnienie duchów i ich reinkarnacye ze wszystkiemi konsekwencyami, i spychanie Boga do skromnej roli »naczelnej jaźni świata«, — słowem, rdzeń systemu założyciela »Eleusis«? I, jeżeli te poglądy nie są wiernym wyrazem wewnętrznych przekonań wszystkich elsów, to w każdym razie czasopismo ich nie uznało za rzecz potrzebną zaznaczyć o istnieniu w łonie stowarzyszenia jakiejś różnicy zdań, a przez to upoważniło krytykę do tego, by naukę, wypowiedzianą najpełniej przez L. i przez Dąbrowę przypisać i stowarzyszeniu i obdarzyć ją mianem »eleuzyńskiego katolicyzmu«. I sądu naszego o ideowej wspólności L. i elsów nie zmienimy dopóty, dopóki »Eleusis« zbiorowo nie oświadczy wyraźnie, że przyjmuje w całości i bez zastrzeżeń *credo* katolickie, w tem rozumieniu, w jakiem je Kościół wykłada, a odrzuca naukę L. w tych punktach, w których ona z nauką Kościoła się nie zgadza [3].

---

[1] *Eleusis*, III—IV, str. I—VIII, »Do czytelnika«. [2] Tamże, str. III.
[3] Dowiadujemy się, że »Eleusis« gotuje już tezy swego religijnego

Tu moglibyśmy zakończyć naszą pracę. Zadaniem naszem było zestawienie nauki Lutosławskiego z nauką Kościoła i tego już dokonaliśmy. Wykazywanie źródeł, z których L. czerpał swe poglądy, pokrewieństwa jego nauki z jakimikolwiek innymi objawami w sferze myśli filozoficznej i religijnej nie wchodziło początkowo w plan naszej pracy. Atoli ujrzeliśmy się zmuszonymi dotknąć i tej kwestyi, by uniemożliwić L. apologię jego poglądów przez odwoływanie się do powag, które w oczach wielu niemało mogą znaczyć. Musimy tedy jużto w zgodzie z L., jużto wbrew niemu stwierdzić fakt zależności poglądów jego od pewnych źródeł i uświadomić sobie, o ile te źródła mogą wpływać na nasz sąd o katolicyzmie eleuzyńskim.

»Ja występuję wśród was, — mówił L. dziesięć lat temu do swych słuchaczy, — jako dziedzic ducha naszych wieszczów i bohaterów: Kościuszki, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Towiańskiego i Cieszkowskiego« [1]. W czem się wyraża dziedzictwo ducha Kościuszki, trudno dociec, boć chyba nie w tem, że L. nawołuje do wywalczenia niepodległości ojczyzny choćby »szpicrutą«, — Kościuszko zażądałby przynajmniej kos. To więc pokrewieństwo możemy na boku pozostawić. Nie chcemy długo się zastanawiać nad Krasińskim i Cieszkowskim. Tak poeta, jak filozof nasz zajmowali się kwestyami religijnemi. Pierwszy z nich podejmował, w ślad za niemieckimi filozofami, rozpaczliwą pracę apryorycznego konstruowania dogmatu Trójcy św., obaj zajmowali się kwestyą przyszłości Kościoła i chrześcijaństwa. Krasiński w »Śnie Cezary« i »Legendzie« i na innych miejscach daje wyraz swym oczekiwaniom nowej epoki Kościoła, epoki św. Jana po upadku bazyliki św. Piotra, epoki Ducha św. po przejściu czasów Syna. Cieszkowski całe tomy swego »Ojczenasza« poświęca temu nowemu objawieniu się Boga w ludzkości, tej nowej epoce trzeciej Osoby Trójcy. Tutaj Lutosławski znajduje oparcie dla s w o j e j »w i e l k i e j p r z e m i a n y«.

---

systemu i ma je drukiem ogłosić w najbliższym tomiku swego wydawnictwa. Jeśli tezy owe znajdziemy zupełnie katolickiemi, nie omieszkamy podzielić się z czytelnikami *Przeglądu* radosną wiadomością.

[1] »Wykłady Jag.« I, str. 60.

Że się przemiana ciągle dokonywa nie tylko w naturalnej ludzkości, ale i w Kościele chrześcijańskim, tego nikt z katolików nie zaprzeczy. Jest to przemiana rośnięcia żywego organizmu, przemiana rośliny z małego nasienia stającej się rozrosłem drzewem, przemiana mąki, w którą rozczyn włożono. I Królestwo Boże wciąż przychodzi, ale przychodzi, jak Chrystus zapowiedział, niepostrzeżenie, i wciela się w ludzkości, ale bez przewrotów nagłych i hałasu. Jeśli jednak, tę przemianę chce się rozumieć, jako nowe objawienie, analogiczne do objawienia danego w Chrystusie i przez Chrystusa, jeśli się przepowiada koniec Kościołowi obecnemu, Kościołowi zbudowanemu na Piotrze, i zapowiada Kościół nowy, będący do starego w tym stosunku, jak ten ostatni do synagogi, — podobno dla zadosyćuczynienia tylko ulubionemu schematowi troistości, — to się popełnia herezyę tak przeciw nieomylności, jak i trwałości Kościoła do skończenia świata. Lutosławski pod tym względem wyraźnie się nie wypowiedział, wskutek czego nie mamy potrzeby dłużej się zatrzymywać nad teologiczną wartością nauki Krasińskiego i Cieszkowskiego. Jeśli swą »przemianę« tak rozumie, jak oni, zwłaszcza jak Cieszkowski, to tem gorzej dla całości jego systemu.

Przejdźmy więc do innego z przytoczonych przez L. poprzedników jego, mianowicie do Towiańskiego. W polemice swej niedawnej z O. Smolikowskim Lutosławski wypierał się pokrewieństwa z Towiańskim, na dowód czego przytaczał, że towiańczycy energicznie go potępiali. Widzieliśmy jednak, że dziesięć lat temu głosił siebie za spadkobiercę ducha mistrza Andrzeja. Nie będąc znawcą towiańszczyzny, nie śmiem twierdzić, że między nauką L., a nauką Towiańskiego panuje całkowita harmonia, jeżeli jednak chodzi o pokrewieństwo ideowe w zasadniczych rzeczach, to wypieranie się obecne takiego pokrewieństwa jest niczem nieusprawiedliwionem i z strony L. względem »mistrza« conajmniej nielojalnem. Zdradza tu zresztą swego założyciela sama »Eleusis«, twierdząc, że jest grupą ludzi, przejętych wskrzeszonemi tradycyami Filaretów i Towiańczyków[1], a od kogoż te tradycye zaczerpnąć

[1] *Eleusis*, III, str. II.

miała jak nie od swego inicyatora? Przyznaje się i sam Lutosławski do tego, że jego katolicyzm jest tym samym katolicyzmem jaki wyznawał między innymi i »polski apostoł Towiański« [1]. Wreszcie i co znaczy uporczywe bronienie przez L. przy każdej nadarzonej sposobności prawowierności Towiańskiego przed zarzutem błędnowierstwa, jeśli nie to, że broniąc mistrza broni uczeń swojej własnej sprawy?

Tej właśnie obronie musimy się przypatrzeć, gdyż ona nam dostarczy nowego dowodu przeciwko całemu systemowi Lutosławskiego. Przeciwników swoich, a nawet życzliwych sobie przyjaciół, którzy zwracają jego uwagę na to, że pismo Towiańskiego zostało przez Kościół umieszczone na Indeksie, Lutosławski chce zbić z tropu argumentem *ad ignorantiam*. Mianowicie księża i biskupi, »nieoświecona część naszego kleru« powołuje się na »Biesiadę« Towiańskiego, tymczasem według L. odpowiedzialności za to pismo nie należy składać na »mistrza« Andrzeja. »Mylne jest wielce rozpowszechnione mniemanie, jakoby jakiekolwiek pismo Towiańskiego było pomieszczone na Indeksie. Dostały się na Indeks pisma bez jego wiedzy i kontroli ogłoszone — nie mogące zatem mu być przypisywane. Jego prawdziwe pisma, w trzech tomach w Turynie (1882) wydane, nigdy przez Kościół potępione nie były, ale są naszym biskupom nieznane« [2]. Czy taki sposób argumentacyi można brać na seryo? Czyż dlatego Towiański staje się nieodpowiedzialnym za swe przekonania, że swej »Biesiady« nie przeznaczał z początku do druku, bojąc się opozycyi ze strony katolickiej, lecz szerzyć ją począł prywatnie między zaufanymi i uczniami swymi? Czy przestał być jej autorem dlatego, że zdradzoną ona została przez generała Skrzyneckiego i ogłoszoną przez Witwickiego i księży Zmartwychwstańców? Czyż nie przyznał się do jej autorstwa w rozmowie z ks. Semeneńką i czy nie uważał jej za tak ważne pismo, że aż polecił Mickiewiczowi publiczny jej wykład w *Collège de France*? »Biesiada, — tak pisał do A. Mickiewicza, — choć w niej ton Sprawy słabo i niepełnie jest

[1] »Wykłady Jagiellońskie«, I, str. XXXV.
[2] Tamże.

oddany, jedynem dotąd jest pismem publicznem, mogącem za przedmiot rozbioru z katedry służyć... Rzecz wielką uczynisz« [1]. Prawda, że umieszczona w turyńskiem wydaniu »Biesiada« znacznie się różni od pierwszej redakcyi i pod względem zewnętrznego obrobienia i pod względem toku myśli, ale L., chcąc obronić Towiańskiego, winien był udowodnić jakoś, że »mistrz« Andrzej porzucił swe błędne zdania, że nowe wydanie jego pism jest od nich wolne, a jeśli broni ubocznie i swej własnej sprawy, winien był nadto wykazać, że sam nie podziela tych właśnie zdań Towiańskiego, które można kwestyonować ze stanowiska katolickiego. Tego L. nie udowodnił, bo udowodnić nie mógł. Sam Towiański błędów swych nigdy nie odwołał. Wiadomo, że »Biesiada« została opublikowaną w r. 1842, a wpisano ją na Indeks dopiero w r. 1858 [2], miał więc Towiański czas oświadczyć, że już błędów, które mu wytykano z »Biesiady«, nie podziela. Tego jednak nie uczynił ani przed, ani po potępieniu »Biesiady« i doczekał tego, że w pięć lat później dostała się na Indeks druga jego praca, mianowicie odezwa: »Do rodaków — tułacz kończący tułactwo« [3]. Mało tego. Jeszcze przed potępieniem »Biesiady«, Kościół odrzucał pisma szerzące poglądy Towiańskiego. W r. 1848 [4] znalazły się na Indeksie dwie francuskie książki Mickiewicza: *L'église officielle et le Messianisme* i *L'église et le Messie,* zawierające w sobie, jak wiadomo, ostatnie dwa kursy wykładów w *Collège,* a r. 1857 [5] książka towiańczyka Różyckiego p. t.: *Duński prêtre zélé,* broniąca tychże poglądów i nowego adepta towiańszczyzny z pomiędzy kleru. I co w tych wszystkich utworach potępiano w Rzymie? Jużci nie styl, ani obrobienie zewnętrzne, ale pojęcia o duchach, niezgodne z nauką Kościoła o duszy ludzkiej, metempsychozę, negacyę piekła, uważanie siebie za organ nowego objawienia, nieszczere stanowisko względem Kościoła. Tego wszyst-

[1] »Współudział A. Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego«, tom I, str. 129.

[2] Dekret S. Officii 24 kwietnia 1858 r.

[3] Dekret 15 grudnia 1863 r.

[4] Dekr. 15 kwietnia 1848 r.

[5] Dekr. 10 grudnia 1857 r.

kiego Towiański nigdy się nie pozbył i zaręczając ogólnikowo o swej uległości Kościołowi, jednocześnie oświadczał, że Kościołowi samych objawień swoich pod sąd nie podda, lecz tylko »użytek z tego źródła wyciągnięty«[1]. Pomijając więc osobiste przymioty »mistrza«, pomijając jego ogólną najprawdziwszą tezę o potrzebie dostrajania siebie do »tonu Chrystusowego«, jak również wiele trafnych myśli, dotyczących życia wewnętrznego, musimy pamiętać, że to wszystko nie ratuje go od zarzutu nieprawowierności nawet w późniejszych latach jego »posłannictwa«. Nie myślimy sprawdzać całego wydania turyńskiego jego pism, przytoczymy wzięte z niego na chybił trafił zdanie, które nas przekona, że i to »oczyszczone« wydanie nie jest wolne od błędów, nawet grubszych. Oto, co czytamy zaraz na początku I tomu: »Nieprzejrzane kolumny duchów napełniają atmosferę ziemską. Duchy te bez ciała, tej pokrywy ziemskiej, nie mające żadnego innego życia nad to, które człowiek łącząc się z nimi, dać im może, pokutują zwyczajnie w stanie tym, poprawiają się, oczyszczają się, oczekują czasu, w którym wola najwyższa powoła ich na nowo do życia na ziemi, aby złożyły Bogu i bliźniemu owoc poprawy, oczyszczenia się swojego«[2]. To jedno zdanie wystarczyłoby do osądzenia książki Towiańskiego. Turyńskiego wydania pism »mistrza« Kościół osobno nie rozpatrywał, ale trzeba pamiętać, że Kongregacya św. Oficyum nie jest bynajmniej jakiemś biurem cenzury policyjnej wszystkich wychodzących druków. Rozpatruje ona tylko utwory najczęściej autorów katolickich, lub podających się za katolików, które w danym czasie zwracają na siebie więcej uwagi i w razie, gdy posiadają w sobie błędy, mogą stać się niebezpiecznymi. O pismach Towiańskiego, wydanych r. 1882, tego powiedzieć nie można; przeszły one niepostrzeżenie i dziś rzeczywiście mało kto wie o ich istnieniu. Rozpatrywać więc je osobno i piętnować nie było najmniejszego powodu. Jeżeli jednak, jak jest w istocie, system Lutosławskiego pokrewny jest tezom błędnym »mistrza Andrzeja«,

[1] List do ks. Duńskiego z dnia 7 lipca 1849 r.
[2] »Pisma A. Towiańskiego«, t. 1, str. 8.

to czyż nie narzuca się wniosek, że przytoczone przez nas dekrety rzymskie odnoszą się ubocznie i do Lutosławskiego?

Pozostało nam zbadać, co sądzić o Adamie Mickiewiczu i Juliuszu Słowackim, jako o ojcach duchowych systemu eleuzyńskiego. Jak wiemy kult tych »wieszczów« (również Krasińskiego) należy do składowych części eleuzyńskiego kierunku, studyum ich wchodzi w program »wychowania narodowego« w »Eleusis«, pisma ich, według Lutosławskiego, mają kiedyś nabyć znaczenia ksiąg świętych.

Taka afirmacya pietyzmu względem tych, czyje imiona są chlubą Polski, pozyskać może dla L. i elsów przychylność wielu, i krytyk musi pamiętać o tem, by nie uchybić pamięci wielkich pieśniarzy naszych i należnemu względem nich pietyzmowi. Mimo to ośmielamy się dotknąć i tego stosunku — Mickiewicza i Słowackiego do nauki Lutosławskiego, znowu ze stanowiska nauki katolickiej.

Stosunek największych dwóch naszych poetów do katolickiego Kościoła i jego nauki dotąd czeka na wszechstronne zbadanie. Zbyt wielu jednak podobno węzłami jesteśmy z nimi połączeni, abyśmy zdołali z zimną krwią tą kwestyą się zająć i sąd wyczerpujący, a zupełnie przedmiotowy wydać. Dlatego, kiedy jest mowa o ich przekonaniach religijnych, każdyby pragnął ujrzeć ich w swoim obozie. Nie wchodząc w szczegóły tej skomplikowanej kwestyi, chcemy wypowiedzieć tylko pokrótce, co o niej myślimy. Zbyt trudnej, naszem zdaniem, rzeczy podejmują się ci katoliccy pisarze, którzy za jakąbądź cenę starają się obronić prawowierność naszych wielkich poetów. Przemilczając lub osłaniając błędne punkta ich nauki, podnoszą, jako dowód katolickości, jużto religijną lirykę ich pism, jużto ogólną ich religijną tendencyę, jużto życie chrześcijańskie autorów, jużto wreszcie śmierć ich w pojednaniu się z Bogiem i Kościołem. Dowody te jednak, naszem zdaniem, chybiają celu, bo dowodzą czego innego, niż o co chodziło w założeniu; co innego bowiem religijność, a co innego katolicka prawowierność przekonań. Nawet fakt przystępowania jakiegoś autora do sakramentów w ciągu życia, lub przyjęcia ich przed śmiercią, nie może być rozstrzy-

gającym dowodem odwołania błędów, znajdujących się w jego pismach, a tem mniej dowodem, że pisma te niczego nagannego pod względem teologicznym nie zawierają.

Prawowierność czyichś przekonań musimy badać przedewszystkiem z pism tego pisarza, o którego nam chodzi. Otóż z przykrością musimy wyznać, że Lutosławski, powołując się na Mickiewicza i Słowackiego, jako na swoich ideowych poprzedników, ma często słuszność. Pokrewnym jest on im przez Towiańskiego. Mickiewicz propagował z katedry doktryny mistrza »Andrzeja«, i w wykładach jego znajdujemy i metempsychozę, i ostateczne zbawienie i uchrystusowienie wszystkich ludzi i duchów, i niemiłosierną krytykę Kościoła urzędowego, krytykę tak ostrą, na jaką nawet Lutosławski sobie nie pozwolił, i oczekiwanie nowej ery, nowego Kościoła, i zacieranie granicy między objawieniem chrześcijańskiem, a objawieniami i natchnieniami prywatnemi, — słowem wszystkie ważniejsze składniki późniejszego »katolicyzmu eleuzyńskiego«. Przypominamy tutaj, że te właśnie wykłady Mickiewicza Kościół musiał umieścić na indeksie książek zabronionych. Słowacki znowu uważał wprost za swoje powołanie szerzyć swoją »genezyjską« naukę, według której odwieczne duchy istnieją naprzód w Słowie, a potem kształcą sobie ciała, począwszy od najniższych, aż do najdoskonalszego — człowieczego, i mają dojść wreszcie wszystkie do słoneczności i zupełnego podobieństwa z Chrystusem. Ostatnie siedm lat życia Juliusza to czas nieprzerwanej propagandy tych idei w utworach poetyckich. Syntezą ich to »Genezis z ducha«, która, według któregoś elsa, przewyższa genezę Mojżeszową. Nie pustej więc przechwałki dopuszcza się Lutosławski, jeśli pod tym względem uważa się za spadkobiercę ducha Słowackiego.

Jeżeli zatem tak rzeczy stoją, jakież ma być stanowisko nasze w tym przedmiocie względem słońc naszej poezyi? Lutosławski, mogąc w wielu razach poprzeć swe teorye powagą tak wielkich autorytetów, usiłuje wmówić, że ich, a zatem i jego światopogląd jest czemś naszem wyłącznie, narodowem, polskiem. Czyż wyrzec się zaszczytu posiadania własnej, oryginalnej polskiej filozofii i polskiego religijnego światopoglądu? Oczywiście filozof

rozwieje te wahania prostą uwagą, że w filozofii nie idzie o to, aby była narodową, oryginalną, ale aby była prawdziwą, a prawdziwych światopoglądów więcej nad jeden być nie może, bo jest jedna tylko objektywna prawda i jeden ludzki rozum ją poznający. Historyk jednak i krytyk doda coś więcej. Mianowicie wskaże, że bezpodstawnie czyniłoby się polski lub choćby słowiański światopogląd z tych teoryi, jakie znajdujemy u Mickiewicza czy Słowackiego, a które potem złożyły się na system »katolicyzmu eleuzyńskiego«. Przechwałki o »wierze widzącej« były właściwe już starym gnostykom; opieranie się na prywatnych objawieniach, to rzecz właściwa wszystkim niemal sektom mistycznym; oczekiwanie nowego trzeciego zakonu, nowej epoki, jakiegoś radykalnego przekształcenia Kościoła poczęło się od montanistów jeszcze, a powtarzało po niezliczone ilości razy; metempsychoza zrodziła się aż w Indyach, była znaną w Egipcie i Grecyi; powszechne doskonalenie wszystkich istot i zbawienie wszystkich duchów konstruował Orygenes. Nic tu specyalnie polskiego niema. Polacy, ani Towiański, ani nasi wieszczowie, ani Lutosławski, nawet tego nie mogą sobie przypisać, jakoby teorye te wydobyli z jakiegoś długiego zapomnienia, bo w końcu XVIII i w początkach XIX stulecia pełną ich była literatura romantyczna zachodnich narodów, zwłaszcza niemiecka. Kto chce, może ciekawych rzeczy się dowiedzieć od J. G. Pawlikowskiego, czytając jego książkę: »Mistyka Słowackiego, jej źródła i pokrewieństwa«. Tak więc pobudka patryotyczna, by cenić te teorye, jako coś polskiego, łatwo upada i jedni niesłusznie się z tego chlubią, a drudzy niepotrzebnie martwią, żeśmy wydali na polskiej ziemi tyle ekscentrycznych poglądów. Wszędzie znajdziemy tego potrosze, a może i więcej, niż u nas.

Wobec tego nie trudnem jest do określenia nasze stanowisko. Oto poetów naszych po dawnemu cenić, kochać i czytać będziemy. Oni czarem swego słowa podnoszą naszego ducha w górne krainy piękna. Możemy się nimi chlubić, jako wielkimi patryotami, jako ludźmi kryształowego charakteru, możemy, i słusznie, widzieć w nich nawet niepospolitych myślicieli, boć niejedną myśl zdrową, niejedno genialne ujęcie i wypowiedzenie prawdy im zawdzię-

czamy. Przy tem wszystkiem nie zapomnimy, że jako ludzie nie posiadali oni patentu na nieomylność. Tak Słowacki, jak Mickiewicz ulegli wpływom pseudo-iluminata Towiańskiego i uwierzyli w jego posłannictwo wyższe do narodu. Będąc ludźmi wysokiego napięcia uczuć religijnych, a nie posiadając fachowego teologicznego wykształcenia, nie umieli sformułować jasnego sądu o wartości w Kościele prywatnych objawień, nie znali nauki katolickiej o tem, że objawienia publicznego i powszechnie obowiązującego, a przytem przynoszącego nowe jakieś elementy do skarbnicy prawdy, złożonej w Kościele przez Chrystusa i Apostołów, spodziewać się nie godzi, — i uwierzyli w rzeczywistość objawień, jakie sobie Towiański przypisywał. Zaczęli potem wytrwale i namiętnie propagować błędy »Mistrza«. Mickiewicz, więcej człowiek czynu, wziął na siebie rolę nawoływania do reformy, do wznoszenia »trzeciego piętra Kościoła« [1], Słowacki, »pchnięty« przez »Mistrza«, a potem oświecony przez jakąś wizyę, którą za Boską uważał, wystąpił ze »słowem«, które miało przynieść szczęście ludzkości, a słowem tem była nauka o odwiecznem istnieniu duchów, ich genezyjskiej pracy, ciągłem wcielaniu się i ostatecznem wszystkich usłonecznieniu. Nie wątpimy, że sam poeta mocno był przekonany o prawdziwości swej nauki przynajmniej w najgrubszych zarysach. W tem właśnie cały tragizm jego twórczości. Obdarzony hojnie twórczą wyobraźnią, tą prawdziwą potęgą wielkich poetów, umiejącą uduchowić nawet martwą przyrodę, rozkazać jej czuć, myśleć, i śpiewać hymn swemu Stwórcy, Słowacki doszedł w rozwinięciu tej siły do tego punktu, gdzie się już zatraca poczucie różnicy między symbolem a rzeczywistością. Śpiewając cudną pieśń, był przekonany, że snuje metafizykę. I pobłądził, ale był to błąd, za który trudno kłaść odpowiedzialność na jego w o l ę. Na usprawiedliwienie znowu Mickiewicza można również przytoczyć jego gorącą duszę, rwącą się do czynu, jego płomienną miłość ojczyzny, której zbawienie widział w uznaniu misyi Towiańskiego. Pamiętając na te łagodzące okoliczności, nie potrzebujemy ukrywać ich błędów i uchybień przeciwko Kościo-

[1] »Współudział«, t. I, str. 46.

łowi i prawowierności katolickiej, a znowu notując te błędy, nie przestaniemy cenić i kochać błądzących za ich wzniosłe pragnienia, jak również za to piękno, którem nasze życie ozłocili, za wypowiedziane obok błędów prawdy, któremi naszą myśl wzbogacili. Tam jednak, gdzie idzie o czystość wiary, zaufamy raczej Kościołowi i z prostotą jego kierownictwu się oddamy, wiedząc, komu ufamy, żadnych zaś naleciałości obcych, niczem nie udowodnionych, dowolnych, do wiary choćby na powagę tych wielkich poetów wprowadzać nie będziemy. Słowem, — jak to pisał niegdyś ks. Jełowicki do A. Mickiewicza, — w rzeczach Boskich będziemy nie poetami, lecz katolikami, i katolicyzm nasz pokochamy — według wyrażenia innego kapłana-patryoty, ks. Kajsiewicza, nie dlatego, że narodowy, ale że jest Boży. I sądzimy, że tak postępując, nie uchybimy czci należnej tym wielkim światłom narodu, owszem mniemamy, że ten jej uchybia, kto pozostawiając w cieniu to, co stanowi prawdziwą ich zasługę i prawdziwą wielkość, usiłuje ich powagą potwierdzić te zboczenia myślowe, których istotna wartość zapewne im się ukazała w świetle dostępnej już dla nich Wiekuistej Prawdy.

* * *

Dobiegliśmy do końca. Naukę »eleuzyńską« zestawiliśmy z nauką Kościoła i widzieliśmy, że katolicyzmu z przyprawą Lutosławskiego przyjąć nie możemy. Przy tem badaniu nieraz uśmiech zaigrał na wargach piszącego, nieraz wyrwało się trochę sarkazmu, — winą temu przedewszystkiem ten humorystyczny sposób, w jaki Lutosławski wypowiada swe pomysły. Nieraz czuliśmy, że *difficile satiram non scribere.* Upewniamy jednak, że to był »śmiech przez łzy«, bo przecież szkoda tych ludzi, którzy marnują swój czas i zdolności na ekscentryczne pomysły i plany, kiedy należało skupić je pod jednym sztandarem iście katolickim do wspólnej pracy na dobro Kościoła i społeczeństwa.

Żegnając Lutosławskiego i elsów, radzimy im zająć się rewizyą swego »światopoglądu« i pogłębianiem przekonań religijnych, ale na podstawie katechizmu, nie zaś pism poetów. Lutosławski niedawno oświadczył, że całą dotychczasową praktyczną

działalność swoją na polu propagandy »katolicyzmu« wśród niewierzącej inteligencyi uważa za chybioną i powraca »na szczyty teoryi — do swoich badań, rozmyślań i prac naukowych« i że z tego osamotnienia nie wyjdzie, chyba na życzenie władz kościelnych. Mamy nadzieję, że »władze kościelne« nie przerwą tych jego wakacyi. I przekonani jesteśmy, że bardzo dobrze użyje ich, jeśli obok swych prac naukowych, zwyciężywszy wyniesioną ze szkół średnich niechęć do katechizmu i nauki kościelnej, pozna wiarę z pewnych, uznanych przez Kościół źródeł.

Ks. Jan Urban.

ESTETYKA T. LIPPS'A.

II. Wczuwanie się wogólności.

Co to jest wczuwanie się?

Dla szybszej oryentacyi użyjmy na początku przykładu. Widzę człowieka, który, pochylony nieco, zbliża się ku mnie, podnosi głowę, oczy na mnie kieruje, wyciąga rękę i milcząc patrzy na mnie. Jeśli tylko nie ujdzie mej uwagi, jeśli znajdzie się we mnie zainteresowanie dostrzeżoną postacią, od razu odczuję w sobie znaczenie całej postawy, ruchów i wyrazu, które za pośrednictwem wzroku dostały się do mej świadomości. Choć słowa nie wyrzekł, choć nie zwrócił się do mego rozumu, odkrywając mu słowami swe myśli, przecież ja odczuwam te myśli, a raczej uczucia tego człowieka. Mówi mi o tem położenie jego głowy, wzrok utkwiony we mnie, mówi wyciągnięta ręka, i cała jego postawa jest mową jakąś, którą rozumiem nie zapomocą pojęć, ale od razu wprost odczuwam. Kształty, jakie w tym człowieku dostrzegam, zwracają się do mnie, wyrażają dla mnie coś, co mnie przejmuje, chwyta całego, co wywołuje we mnie prawdziwą falę uczucia, a raczej odczucia tego, co się dzieje wewnątrz, w duszy człowieka, o którym mowa. Może byłem dotychczas wesoły, śmiałem się ochoczo, lub płocho żartowałem, ale z chwilą, jak uwagę zwróciłem na owego człowieka i z pewnem zainteresowaniem weń się wpatrzyłem, usposobienie moje poczęło ulegać zmianie. Im więcej wpatruję się w niego, tem bardziej wesołość moja niknie. Usta, które

może rozszerzały się już do śmiechu, doznają przeszkody w swym rozpoczętym ruchu, radosne fałdy pod oczyma znikają, oczy tracą blask, a ja, jakby mię coś chwytało, zaczynam odczuwać jakby jakiś ciężar, jakąś słabość, przygnębienie, pod którem moje nerwy, siły radośnie napięte się rozprężają, słabną, stają się niezdolne do prac i życia, a dalej odczuwam, jakby jakąś potrzebę oparcia się o kogoś, proszenia o wsparcie. Coś dzieje się ze mną, jakbym ja sam był owym żebrakiem, który do mnie wyciąga rękę. Mam uczucie, jakbym przeżywał stan duchowy żebraka. I rzeczywiście ja przeżywam w sobie ten stan, doświadczam go wnętrznie, odczuwam w sobie w jakiś sposób to, co czuje żebrak w rzeczywistości. Współ-czuję z nim. Proces psychiczny, który się odbywał w mej duszy podczas tego gdy patrzyłem na żebraka, nazywają psychologowie »wczuwaniem się«.

Pewne ruchy, kształty, głosy, zjawiska dostrzegane przeze mnie u innych, wchodząc w zakres mojej świadomości, wywołują we mnie czynności duchowe, stany, nastroje takie, jakie w sobie zamykają, i których są wyrazem.

Uśmiechnięta twarz — budzi we mnie odczucie radości; wyprostowana postawa, oko z góry patrzące — daje mi odczuć uczucie duszy; głowa zwieszona, opadające ramiona wywołują uczucie zmęczenia, upadku sił, bezradności. W nagłym, urywanym krzyku odczuwam trwogę, przeciągła arya dumki napełnia mię melancholią, podczas gdy mazur, krakowiak budzi energię i chęć do życia. We wszystkich wymienionych wypadkach, którychby można przytaczać niekończące się szeregi, występuje wszędzie wczuwanie się, jako objaw duchowego życia wcale nierzadki. Uważna refleksya spostrzeże często rozliczne ślady wczuwania się, jakiemu niemal na każdym kroku podlegamy. Wszak nawet mowa nasza jest szczególnym rodzajem wczuwania się, gdy z dźwięków dosłyszanych, z ujrzanych liter odczuwam to, co inni myślą, sądzą, co czują, czem i jak się zajmują.

Lipps poddaje szerokiej analizie cały proces wczuwania się, jak on się objawia, w jaki sposób przychodzi do skutku, jakie prawa niem kierują, jaka potrzeba duszy je wywołuje.

Jeśli chodzi o ogólne cechy wczuwania, to na podstawie

opisów przebiegu, możnaby je określić w ten sposób: Wczuwanie się jest czynnością duchową, wskutek której odczuwamy w przedmiotach dostrzeganych pewne stany życiowe, w jakiś sposób w ich kształtach i dźwiękach wyrażone.

Więc nie jest to tylko proste rozumienie kształtów, wiedza, że pewnemu ruchowi spostrzeżonemu, np. rozszerzeniu poziomemu ust z pewnem wygięciem ich końców ku górze, wraz z pękiem zmarszczków pod zewnętrznym kątem oczu, odpowiada radosne usposobienie w duszy — jest to coś więcej, niż wiedza, a zarazem i mniej; więcej, — bo we wczuciu jest jakaś większa bezpośredniość w pochwyceniu stanów drugiego, jest ich odczucie, jakby były własne, bez uciekania się do pośrednictwa rozumienia ich pojęciowego, jest przeżywanie stanów cudzych w sobie; mniej zaś, bo czynniki rozumowe pozostają w tyle, w cieniu, a w każdym razie nie wybijają się na pierwszy plan. Jak często przytrafia się we własnem życiu psychicznem, że czuję się jakoś i jasno czuję i mam zupełną świadomość czucia — a nie zdaję sobie rozumowej sprawy z tego, co czuję, tak podobnie jest przy procesie wczuwania się w przedmioty różne ode mnie. Jasno i pewnie odczuwam je, ale nieraz nie zdaję sobie z tego sprawy, nie rozumiem dostatecznie tego odczucia. I owszem odczucie to, przynajmniej w swem największem napięciu wprost wyklucza refleksyę rozumową, tak że kiedy refleksya się zjawia, jest ona oznaką, że wczucie ma się ku końcowi, że zanika, a na jego miejsce następuje chłodna rozwaga, zimne zastanawianie się i obliczanie rozumowe.

To, co człowiek wczuwając się w kształty dostrzeżone odczuwa w sobie, to są wewnętrzne stany działalności życiowej, pojętej w jak najszerszem znaczeniu tego słowa.

W ogólności mówiąc, uczucia są drogą, którą nasza wnętrzna działalność wraz ze swoim stanem zabarwienia przyjemnem lub nieprzyjemnem dostają się do świadomości. W uczuciach świadom jestem, że coś się we mnie dzieje i jak się dzieje. Raz przez nie dowiaduję się, że np. oburzam się na coś lub do czegoś lgnę, że wytężam się lub odpoczywam, że zajmuję się czemś z upodobaniem lub doznaję w jakiemś zajęciu: myśleniu, chodzeniu, patrzeniu

i t. p. nieprzyjemności. Zawsze więc w uczuciach dane mi jest jakieś zajęcie, jakaś czynność, jakiś objaw życiowy i sposób, w jaki się odbywa, a dany jest jako objaw m ó j własny. Czegoś, coby było poza mną, nie we mnie, odczuć nie mogę. Co uczuwam, uczuwam w sobie, jako swoje, czyli w uczuciach, dowiadując się o jakiemś zajęciu życiowem, dowiaduję się też o sobie samym, odczuwam i życie w jakimś przejawie i siebie samego.

To też kiedy jest mowa o wczuwaniu się w kształty obce, w dźwięki cudze, w coś, co leży poza mną, to wczuwanie to wnosi do mnie, w moje wnętrze jakiś życia przejaw, czynność, zajęcie wraz ze sposobem i charakterem jego przebiegu. Z p o s t a c i d o s t r z e ż o n y c h p r z e l e w a s i ę n a m n i e t e n i c h w e w n ę t r z n y s t a n, który w nich przebija, usposobienie, jakie w nich leży, i staje się moim stanem uczuciowym, mojem usposobieniem. Raz będzie to usposobienie wesołe, pogodne, to znów posępne i chmurne; raz uczuję się zajętym jakoś lekko, swobodnie, kiedyindziej, wobec dojrzanych kształtów, odczuję cały ciężar, przygniecenie mozolnej pracy. Czasem ucieszę się bujnem bogactwem życia, to znów skurczę się w jego ubóstwie i pospolitości. Czynności świadome i ślepe popędy ciemnych tajni nieświadomości, zajęcia się energiczne i bierny spokój w odbieraniu ciosów, zmagania się i poddawanie się lub zwyciężanie przeciwności i cały ten ruchomy ciąg, kalejdoskopowy w swej rozmaitości pochód życia, albo też pojedyncze jego momenty, a nawet same siły, sama możność pracy, walki, zajęcia się, wszystko to, co się da objąć nazwą przejawu życiowego, stanowi przedmiot wczuwania się, t. j. może z dostrzeżonych kształtów, z usłyszanych dźwięków, bądź to od ludzi, bądź z przyrody, tak żywej jak i martwej, spłynąć na mnie i udzielić mi się tak, że staje się mojem życiem własnem, moją czynnością, zajęciem się, które w sobie przeżywam.

Wczuwanie się więc, jakkolwiek zależy w znacznej mierze i od woli człowieka i od jego usposobienia, to przecież zupełnie dowolnem nie jest. Z a l e ż y ono w wielkiej części o d s a m e g o z j a w i s k a p r z e d m i o t o w e g o, które człowiek dostrzegł w danych zmysłowych. Jasny, słoneczny dzień nie usposabia do smutku,

tylko wraz ze światłem i ciepłem wnosi do duszy promień wesela, a znowu pora szarych i zimnych mgieł, leniwo wlokących się nad ziemią, chłonących każdy promień, brudzących każdą barwę, mącących każdą wyrazistość, nie może nie zgasić i radości w duszy, nie może jej nie gubić w szarych, bezbarwnych falach smutku, melancholii i jakiejś ciężkiej nudy. Uczucia, stany, przejawy życiowe narzucają się człowiekowi ze strony przedmiotów, przedmioty więc muszą w sobie w jakiś sposób mieścić to, co mu narzucają. Nawet i wtedy, gdy człowiek sam dowolnie chce w sobie wywołać proces wczuwania się w pewnym kierunku, chce się nastroić w jakiś sposób, wówczas wyszukuje stosownych przedmiotów, zdarzeń obrazów; w jakiś sposób staje wobec nich, by z ich form wyczytać to, co wyczytać pragnie. One muszą mu mówić, muszą posiadać dla niego własności wyrazu, wprowadzającego ich w życiową zawartość swoją. Przedmiot pozbawiony wszelkiego wyrazu, którego kształty nicby nie mówiły o jego wnętrzu, nie zdołałby wywołać wczucia się weń; dopiero gdy przybierze na się taki wygląd, taki strój, żeby przezeń widoczny był układ jego ciała, ruchy członków jego organizmu, żeby przezeń przeglądało wewnętrzne życie jego, wówczas dopiero przez swą zjawiskową powłokę pozwoli człowiekowi wniknąć w swą treść i przeżyć w odczuciu chwile własnego życia.

I jeszcze jedno, na co trzeba zwrócić uwagę dla zrozumienia wczuwania się. Na tym momencie kładzie Lipps duży nacisk. Jest to w prawdziwem wczuwaniu się zachodzące jakieś zlanie się podmiotu z przedmiotem. Człowiek będąc w procesie wczuwania się, nie odczuwa różnicy między sobą a przedmiotem. Ma odczucie życia, ale nie cudzego życia tylko swego życia, odczuwa siebie — czuje się jakimś innym w przedmiocie, który w nim ten proces wywołał. W skrzywionych rysach twarzy obcej odczuwa niezadowolenie; swoje niezadowolenie przywiązując do tych rysów, czuje się sam niezadowolonym w tych rysach. Wpatrując się w zwinne ruchy i karkołomne sztuki akrobaty, nie odczuwa on różnicy między sobą, widzem, a nim, który mozoli się gdzieś wysoko na trapezie nad wykonaniem niebezpiecznego ruchu. Różnica między nimi

istnieje i widz może ją sobie zastanowieniem się uświadomić; ale we wczuwaniu świadomość ta zanika. Widz przeżywa wtedy całe życie wnętrzne akrobaty samego. Nie wykonywując ruchów akrobaty, czuje w sobie całą. swobodę jego ruchów, zwinność, elastyczność, pewność; — a gdy przypadkiem uczyni on krok fałszywy, wówczas owłada widzem taka niepewność i lęk, że wyrywa się mu z ust okrzyk przerażenia, bladość występuje na policzki, i wszystkie oznaki takie, jakby się sam znajdował w tem niebezpieczeństwie. »Wszystko to odczuwam w akrobacie i tylko w nim — pisze Lipps. — Nie mam obok siebie: raz świadomości tego, że on czuje, potem znów mego uczucia; uczucie jest tylko jedno. Słowem, ma tu miejsce owa identyfikacya we wczuwaniu« [1].

Jeżeli objawy i cechy wczuwania się są dość jednakowe, to droga, jaką dochodzą do skutku, nie jest jedna i ta sama przy każdem wczuwaniu się. Zachodzą w sposobie wytwarzania się wczuwań duże różnice, które i samym wczuwaniom się udzielają i nadają im przy ogólnych cechach wspólnych pewien odrębny wygląd.

Nie od razu można było zdać sobie sprawę ze sposobu, w jaki wczuwanie dochodzi do skutku. W badaniu podstaw wczuwania się, uderza nas oczywisty rozwój. Gdy T. Vischer, stwierdzając sam fakt wczuwania się, podnosił jego znaczenie przy używaniu estetycznem, nie ośmielił się pokusić o wyjaśnienie jego genezy. Wczuwanie się było i pozostało dlań ciemnem — i nazwał je też tajemniczem. Lotze dla wyjaśnienia procesu wczuwania się, stawia hipotezę przypominania sobie. Do spostrzeżeń zmysłowych, pochodzących wprost od jakiegoś przedmiotu obecnego, dołącza się wzbudzone przypomnienie dawnych doświadczeń własnych i kombinuje się z niemi, wywiązując nowy stan czuciowy — t. j. wczuwanie się w kształty dostrzeżone.

Volkelt poszedł dalej. Wykazał niedostateczność hipotezy Lotze'go, która może tłumaczyć pewien tylko zakres wczuwań, ale niezdolna jest objąć każdego ich rodzaju. Dochodzi on następnie do przekonania, że pominąwszy słabe objawy wczuwania, gdy

---

[1] *Grundlegung der Ästhetik*, str. 134.

tylko weźmie się pod uwagę same wybitne jego objawy — to taką pokazują one różnorodność, że nie dadzą się sprowadzić do wspólnej miary, nie dadzą się wyprowadzić ze wspólnej jakiejś formuły zasadniczej. Cel, do którego wszystkie wczuwania się dążą, jest jednakowy; mianowicie usiłują stopić zmysłowe pojmowanie z podmiotowem życiem w jakiemś uczuciu i nastroju, ale drogi do tego stopienia i zlania prowadzące, wykazują odmienne właściwości. Życie psychiczne człowieka jest tak niezmiernie bogate i różnorodne, spostrzeżenia zmysłowe dają mu sposobność zetknąć się z taką rozmaitością przedmiotów, że połączenie obydwu elementów nie może przedstawiać tego samego typu zjednoczenia, i musi wytwarzać zasadnicze różnice [1]. Niektóre z tych różnic wykazuje on przy omawianiu różnych rodzajów estetycznych wrażeń. I tak sądzi, że »wczuwanie się motoryczne« *(motorische Einfühlung)* odgrywa główną rolę przy spostrzeganiu ruchów i spoczynku u ludzi i zwierząt, także rytm i różnice wysokości tonu wywołują wczuwanie się na zasadzie słuchu. Wczuwanie się na podstawie kojarzenia się wyobrażeń z uczuciami lub uczuć między sobą *(associative Einfühlung)*, stanowią odmienną grupę. W tym typie wczuć treść ich wskutek kojarzeń staje się bogatszą, ale natężenie uczucia częstokroć maleje. Trzeci rodzaj wczuć t. j. bezpośrednie wczucia *(unmittelbare Einfühlung)*, są względnie rzadkie, jeszcze najczęściej przychodzą w poezyi i muzyce. Różnice takie podnosił Volkelt. Lipps jeszcze bardziej szczegółowo roztrząsa i pogłębia sposób wytwarzania się wczuć przy rozmaitych spostrzeżeniach. Dzieli więc i wyróżnia następujące grupy wczuwań:

1. wczuwanie się w kształty ludzkie [2];
2. wczuwanie się w kształty zwierzęce [3];
3. wczuwanie się zjawiska martwej przyrody [4];
4. wczuwanie się w przedmioty sztuki [5].

Każda z tych grup daje mu sposobność do wykazania różnic,

[1] *System der Aesthetik.* I. 282.
[2] Lipps: *Psychologie des Schoenen.* I. 1. 2. 3. 4.
[3] Tamże, 5. str. 159.
[4] Tamże, 5. 6. 7. 8. [5] Tamże, tom 2-i. II. 3. 4.

jakie zachodzą u podstaw powstającego wczuwania się. Najłatwiej przychodzi człowiekowi wczuć się w kształty ludzkie. Jest to też wczucie, które chronologicznie najpierw w człowieku powstaje. Objawia się już u dziecięcia, które bez wątpienia wpierw nim pocznie rozumieć cokolwiek, już dobrze potrafi się wczuć w wyraz twarzy tych, którzy koło niego chodzą. Inaczej się czuje, gdy się do niego zbliży uśmiechnięta postać matki, a inaczej, gdy widzi zmarszczoną, ponurą twarz ojca. Są to wprawdzie bardzo pierwotne wczuwania się w wyraz kształtów ludzkich, wczuwania się dość nieokreślone, nierozróżniczkowane w rozmaite odcienie, ale w każdym razie są prawdziwem wczuwaniem. O doświadczeniu, o przypominaniu sobie, o jakiemkolwiek kombinowaniu i wnioskowaniu z zewnętrznego wyrazu o wewnętrznem usposobieniu osób widzianych, jeszcze mowy być nie może u dzieci. Odczucie u nich jest bezpośrednie. Lipps tłumaczy to bezpośrednie odczucie popędem do naśladowania. Istnieje w naturze ludzkiej instynktowy i już dalej niewytłumaczalny popęd do wykonywania i odtwarzania spostrzeganych ruchów. Popęd ten istnieje w dziecku i on to nieświadomo pcha dziecię do wykonania ruchów, jakie dostrzega w swojem otoczeniu i wywołuje w niem usiłowania w tym kierunku. Usiłowania, jakie dziecię czyni, dają mu sposobność, żeby odczuło w sobie te pierwsze drgnięcia, skierowane ku działaniu, a także przynajmniej ogólnikowo ich zabarwienie czuciowe przyjemne lub nieprzyjemne. W ten sposób do nieświadomego, instynktowego usiłowania odtworzenia pewnych ruchów, dołącza się odczucie własnego stanu życiowego, odpowiadającego owym ruchom dostrzeganym w rysach rodziców i otoczenia.

Jest to więc prawdziwe wczuwanie się w przedmiot dostrzeżony.

Tylko wczuwanie się na podstawie popędu naśladowniczego nie ogranicza się do lat niemowlęcych, w których zapewne ten rodzaj wczuwania się największą gra rolę. Jak popęd do naśladowania zostaje w człowieku nieodłącznym od jego natury, tak też i wczuwanie na nim oparte towarzyszy człowiekowi przez życie. Wprawdzie zewnętrzne ruchy mimo odczuwanego wewnątrz popędu do ich wytworzenia nie zawsze przychodzą do skutku, —

widzowie w cyrku nie uskuteczniają ruchów i karkołomnych sztuk akrobaty — jednak w rzeczywistości przeżywają wewnątrz ich treść, odczuwają wysiłki i zmagania się, trwogi zarówno, jak i swobodę dostrzeżonych ruchów, a nawet nierzadko spostrzedz się u nich dają jakieś mimowolne poruszenia rąk, nóg i jakieś drgnięcia, świadczące, że i u nich zaczęły się wywiązywać ruchy podobne. W każdym razie przyznać należy, że rola popędu naśladowczego we wczuciach ludzi starszych maleje i ustępuje na drugi plan.

Natomiast na pierwszy plan przy wczuwaniu się wybija się doświadczenie. Doświadczenie otwiera przed człowiekiem cały świat różnorodnych uczuć, daje poznać i zrozumieć związek istniejący między pewnymi kształtami, ruchami ciała, fizyognomią twarzy, rąk i innych członków, a psychicznymi stanami człowieka. Kształty ludzkiego ciała zyskują w doświadczeniu swą treść życiową. W niem przekonywamy się, że postać człowieka to nie tylko bryła w ten lub ów sposób uformowana, od której mniej lub więcej odbijają się promienie świetlne, że to nie tylko plastyczna powierzchnia, krzywizna nie wiadomo jak wytworzona, ale że to wytwór sił życiowych pod nią istniejących, które w tym wytworze o sobie dają znać, mówią, wyrażają swoje istnienie i swoją naturę. W sobie odczuwaliśmy te siły kiedyś, w sobie doznaliśmy ich działań i nauczyliśmy się wiązać je z ich zewnętrznymi przejawami w ciele, w jego postaci, postawie, ruchach i dlatego, że w sobie poznaliśmy naturalny związek wewnętrznych uczuć z ich zewnętrznymi wykładnikami, zdolni jesteśmy z dostrzeżonych objawów zewnętrznych u innych ludzi przenieść się w ich treść wewnętrzną i odczuć ją w sobie. I w ten sposób im bogatsze jest nasze życie i większe doświadczenie, tem też bogatsze pod względem swej treści będą nasze wczucia w kształty cudze.

Pierwsze początkowe objawy wczuwań z konieczności musiały być bardzo ubogie i proste, tak jak życie psychiczne dziecka jest ubogie i nierozwinięte. Ale w miarę przypływu i rozwoju życia, przybywa mu doświadczenia wnętrznego, rośnie znajomość stałego stosunku życia uczuciowego z jego przejawami zewnętrznymi, uczucia się różniczkują, a konsekwentnie i proces wczuwa-

nia się staje się coraz bardziej zróżniczkowany, coraz obfitszy i pełniejszy w życiową treść [1].

Wskutek doświadczenia zdobywamy bezpośrednią znajomość wnętrznego znaczenia niezliczonego mnóstwa przejawów życiowych. Nie tylko owe przejawy wprost narzucające się zmysłom, jak gwałtowne ruchy, gesty, wstrząsający płacz, głośne śmiechy mówią nam o życiu wewnętrznem, ale i małoznaczne przejawy, delikatny skurcz na twarzy, zmarszczka na czole, ledwo dostrzegalne przesunięcie brwi, lekkie zarumienienie policzków stają się dla nas pomostem, po którym wejść możemy w głąb duszy i odczuć w niej pod niepozornymi znakami ogromne różnice wnętrzne. Wskutek doświadczenia nie tylko ruchy, ale i postać ciała w spoczynku staje się nam zrozumiałą. Rysy twarzy przedstawiają nam wypadkową życia duchowego, widok skóry na ręce da nam odczuć prace i rodzaj ich, zajęcie osobistości, do której te ręce należą; budowa całego ciała, ustosunkowanie członków, wyrobienie mięśni, plastyka kształtów, większa lub mniejsza wyrazistość kości, wszystko niemal w człowieku będzie mówiło o przebiegu jego życia i będzie wywoływało w patrzącym wczucie się w jego treść wewnętrzną.

Tak się przedstawia wczuwanie w stosunku do kształtów ludzkich. Naśladowanie i doświadczenie są głównemi podstawami do powstawania tych wczuwań. Ale wczuwania w kształty ludzkie nie wypełniają całego skarbca wczuwań. Prócz nich istnieją jeszcze ogromne pola wczuwań, jakie otwierają człowiekowi kształty zwierzęce oraz kształty i zjawiska spotykane w tak zwanej naturze martwej. Podstawą do powstawania wczuwań w przedmioty nie będące człowiekiem, są odmienne od tych, które działały przy wytwarzaniu się wczuwań w zewnętrzną postać człowieka, a zwłaszcza odnosi się to twierdzenie do wczuwań w zjawiska przyrody martwej. Przejawy życiowe u zwierząt, kształty ich ciał, jako najbardziej zbliżone do ludzkich, nie przedstawiają trudności w ich zrozumieniu i dlatego i wczucia się w nie łatwiej człowiekowi przychodzą zwłaszcza, gdy się do tego przyczyni doświadczenie

[1] Lipps: *Grundlegung der Aesthetik.* Str. 135; 151—154.

o ruchach i zachowaniu się zwierząt. Kiedy już raz poznaliśmy ruchy i kształty u ludzi, jako symbole i wyrazy wewnętrznej pracy ducha, to mamy tem samem daną także regułę, według której tłumaczymy sobie objawy zwierzęcego życia co do ich wewnętrznego odpowiednika, odpowiedniej siły, zręczności, roztropności i t. d. Oczywiście najprędzej i najpewniej potrafimy się wczuć w te kształty zwierzęce, które do naszych są najwięcej zbliżone. Im bardziej się oddalamy od kształtów ludzkich, tem trudniej przychodzi wczucie się w nie, aż kiedy dojdziemy do istot martwych, wówczas tam już wczuwanie odbywa się w zmienionych warunkach. Że takie wczuwania w przedmioty martwe mają miejsce, to nie ulega żadnej wątpliwości, i tylko należy uprzytomnić sobie niektóre bardziej pospolite objawy wczuwania, żeby się o tem przekonać.

Słyszymy często w naturze głosy nie pochodzące od istot żywych, ale jakże my je słyszymy? Mówimy: wichry wyją, stękając uginają się drzewa, strumyki szemrzą, kamień zgrzyta, mówimy o skowytach, zawodzeniach zawiei, o szeptach listków i t. d., lub weźmy nasz sposób wyrażania się o kształtach w naturze: kwiat zwiesza bezsilnie swą główkę, prostuje się, gdy deszczyk lub rosa go skropi, góry podnoszą się majestatycznie, gwiazdy mrugają, brzozy płaczą, drzewa obejmują korzeniami ziemię, konary wznoszą się do góry i t. d. Ten sposób wysłowienia jest zupełnie zwyczajny, nikogo nie razi, ale przypatrzywszy się mu z blizka, ze zdziwieniem spostrzeżemy, że on nie oddaje natury tak, jaką ona jest w sobie, ale tak, jak my się w nią wczuwamy. Spostrzeżenia przedmiotów zewnętrznych przechodzą przez naszą pracownię uczuciową i doznają tam pewnej przeróbki z jasną oznaką firmy, która je wyrabiała. Uderza nas w powyższych wyrażeniach, że cała natura jest w nich, choć martwa, jakoś dziwnie podobna do nas żywych, zdaje się myśleć, czuć, postępować sobie tak, jak my postępujemy. Cała natura pojęta jest po naszemu. I jakże się to stało? Jest to skutek naszego wczuwania się w przejawy i zjawiska naturalne. Wczuwamy w naturę, która nie żyje, życie takie, jakie znajdujemy w sobie, a dowody tego wczuwania okazują nam nawet zwykłe, najpospolitsze sposoby wyrażania się.

Wytłumaczenie wczuwań się w martwą naturę upatruje Lipps w dążnościach antropomorficznych naszego poznania oraz w naszem przyczynowem myśleniu.

Jużto nic nie jest nam tak znane, jak my sami sobie. Bez trudu, bez badań i dociekań uczymy się poznawać siebie przez to samo, że żyjemy, czynności nasze życiowe nie potrzebują żadnych bram, żeby weszły do świadomości naszej. One są nam dane i stawią się przed nami same przez się; kiedy powstają, zaraz, stają w świetle tej świadomości, która z ich wnętrza wytryska. To też z niemi, z ich następstwem po sobie i ich ciągłością, z życiem własnem, którego są ogniwami, znamy się najlepiej, najwięcej jesteśmy spoufaleni, jesteśmy swoi. Na terenie własnego świadomego życia obracamy się najswobodniej, bo tam wszystko znane, bo jesteśmy u siebie. Kiedy wychylimy się poza ten teren własnej świadomości, spotykamy coś, co nie jest nam swojskie, co jest nam obce. Jesteśmy wobec czegoś, co wprawdzie weszło na naszą drogę, ale czego nie znamy jak tylko z powierzchowności, a wnętrze jego jest dla nas ciemne i tajemnicze. Żeby się jednak w tych ciemnościach zoryentować, wnosimy w nie światło ze swego wnętrza. Wnętrze napotkanego przedmiotu oświetlamy światłem własnego wnętrza. W jego obcość wnosimy coś ze swego, i dopiero w tych promieniach, które z nas wyszły, także na terenie obcym, zaczynamy się oryentować, zaczynamy wydobywać się z cieniów niepewności i wahania się, zaczynamy czuć się swojsko. Wtedy dopiero staje się coś dla nas zrozumiałem, gdy się nam przedstawi nie w jakiemś obcem, nieznanem nam świetle, ale po naszemu, kiedy w niem ujrzymy i odczujemy to, na co patrzymy i co odczuwamy w domu własnego wnętrza. I dlatego na drodze nieznanej w przedmiotach obcych, zawsze radziśmy widzieć coś ze swego, jakieś ślady swoje, oznaki wytworzone własną działalnością. I tak wszędzie i zawsze szukamy i upatrujemy siebie i czegoś swego.

W odniesieniu do rzeczy i istot nierozumnych przedstawia się ta dążność, jako chęć wyposażenia ich wszystkimi przymiotami rozumnie działających ludzi. Jest to tak zwana tendencya antropomorficzna poznania ludzkiego, która sprawia, że nawet przedmioty

całkiem od nas odmienne pojmujemy na modłę naszą, jakby żyły, czuły, działały, podobnie jak my. Przyjąwszy takową tendencyę, nietrudno już zrozumieć powstawanie wczuć w przedmioty martwe. Wystarcza bowiem, żeby pokazały pewne, choćby dalekie i całkiem zewnętrzne podobieństwo do jakiejś strony ludzkiego życia, aby, przy tej dążności do uczłowieczenia wszystkiego, dusza poczęła dorabiać do tego rysu owe misterne desenie i obrazy, do jakich dostarcza jej wzoru jej własne, bogate bardzo i różnorodne życie.

Ale jakiż to rys, jakie podobieństwo do człowieka wykazać mogą przedmioty martwe, bezduszna materya?

Zewnętrznych podobieństw przypadkowych dałoby się wiele wyliczyć. Lipps zwraca głównie uwagę na wnętrzne, zasadnicze podobieństwo między ludźmi a tworami natury, mianowicie, że jak w naszem życiu istnieje wnętrzne powiązanie zdarzeń, jakiś głębszy związek między pojedynczemi objawami naszej działalności, tak podobnież i w świecie bezdusznych, materyalnych tworów dostrzegamy na każdym kroku powiązanie ich między sobą tysiącznymi węzłami oddziaływań wzajemnych. Rozliczne zmiany, jakie wywołują w człowieku lub nawzajem człowiek wywołuje w nich, również zmiany zachodzące między niemi samemi w pewnej od siebie zależności, według pewnych norm i praw, świadczą, że istnieją wśród nich związki przyczynowe, jako fakt, z którym się człowiek ciągle spotyka. Te związki przyczynowe, wszędzie konstatowane, wszędzie napotykane, nie pozostają bez psychologicznego wpływu na człowieka. One wywołują, wymuszają na nim powstawanie uczuć czynnego lub biernego zachowania się, które w związkach przyczynowych się przebija. Gdy stoję wobec przyczyny muszę psychologiczną koniecznością odczuwać w sobie jej działanie; gdy się stawię wobec przedmiotu, który zmienia się zależnie od przyczyny, odczuwam przymus, uleganie, bierność. A ponieważ w całej naturze istnieje oddziaływanie wzajemne, to też wszędzie, z każdego przedmiotu, odczuć mogę działalność, dążność, siłę życia i — uleganie, bierność, poddawanie się pod działanie obce.

Niemałą rolę w tem odczuwaniu przyczynowych związków, jako działań lub ulegań, gra sposób, w jaki człowiek spostrzega

przedmioty zmysłowe. Czynność poznawcza człowieka nie odbywa się od razu, nie jest skupiona w momencie, ale ciągnie się kolejno przez pewien przeciąg czasu, obejmując stopniowo część po części czynniki, składające całość zmysłowego przedmiotu. Czyto więc człowiek poznaje zmysłowo zdarzenie jakieś odbywające się w czasie, którego przebieg rozłożony jest na poszczególne po sobie następujące i od siebie zależne momenty, czy też ma przed sobą przedmiot naraz wprawdzie dany, ale nie dający się od razu objąć w całości, lecz tylko częściowo, aż do wyczerpania wszystkich części; w jednym i drugim wypadku czynność spostrzegania zmysłowego odbywa się sukcesywnie, kolejno, przez dodawanie nowych części do poprzednich. Lipps nazywa ją sukcesywną appercepcyą, appercepcyjnym myślowym ruchem. Człowiek jest świadom tego postępowego ruchu myślowego, odczuwa go jako swoją działalność, ale bynajmniej nie dowolną, tylko zależną i narzuconą mu od przedmiotów, które taką właśnie kolejną postępowość od części do części, od momentu do momentu przed nim rozwijają. »Człowiek odczuwa swoją wnętrzną działalność jako związaną z przedmiotem, leżącą w nim, jako działalność przedmiotu samego«, — innemi słowy — człowiek wczuwa swe kolejne działanie (przy poznawaniu) w przedmioty same [1].

I w tej sukcesywnej appercepcyi, w tym myślowym ruchu, zależnym od kolejnego następstwa części przestrzennych lub czasowych w przedmiotach, upatruje Lipps ogólne tło do wczuwania się w przedmioty martwej natury, do ożywienia natury i wyposażenia jej w czynności życiowe, analogiczne do naszych. Tło to istnieje w każdem wczuwaniu się w przedmioty zmysłowe i nadaje mu pewien ogólny charakter odczucia jakiegoś działania, jakiegoś ruchu, jakiejś czynności przestrzennej w ogólności. Na tem ogólnem tle zarysowują się dopiero coraz bardziej szczegółowe rysy wyrazistszych wczuwań, zróżniczkowanych na podstawie rozmaitych odcieni tak podmiotowych, jak i przedmiotowych czynników wczuwania się.

I tak do ożywienia i uczłowieczenia natury przyczynia się

[1] Lipps: *Grundlegung der Aesthetik.* I, str. 187.

istniejąca w człowieku dążność do poznawczego skupiania wielu różnorodnych szczegółów w całość i jedność. Dążność ta była podstawą do sformułowania naczelnej zasady formalnej piękna — jedność w mnogości. Jednakowoż znaczenie jej nie ogranicza się tylko do zewnętrznej strony piękna, ona jest koniecznym postulatem treści piękna, jest podstawą skupienia objawów życiowych i samego życia w jakiejś całości, do którejby wszystkie poszczególne momenty należały.

Człowiek czuje się jednością, sobą, jednym, do którego należy ciało i rozmaite jego części rozwinięte w przestrzeni, jak również i czynności i przeróżne przeżycia występujące w czasie. I tę jedność, którą w sobie czuje, chce napotykać wszędzie, jako coś swojskiego, coś znajomego. Swoją jednością chce wypełniać ciemne wnętrze przedmiotów napotykanych.

Jeśli w spotykanych przedmiotach natrafi na jakiś rys jedności w nich wyrażony, wówczas z łatwością człowiek wczuwa się w tę jedność przedmiotową, odczuwa ją już na swoją modłę, jako swoją jedność. W przedmiocie czuje się jednym, wszystkie części przedmiotu jednoczącym, do którego należą i części przestrzenne i wszystkie zmiany czynności, prace, zdolności, siły. We wczuwaniu tem znajduje swoją jedność w przedmiocie, a przedmiotową jedność w sobie. Zasada formalna jedności posłużyła mu do wniknięcia w głąb rzeczy i odczucia ich jedności życiowej.

I jak formalna zasada jedności, tak też i inne zasady, dotyczące formy piękna, nabierają nowego znaczenia, gdy się na nie patrzy pod kątem teoryi wczuwania się. I one także są objawem tendencyi antropomorficznych i w świetle tych tendencyi stają się zrozumialszemi. Tak zwana »zasada monarchicznego podporządkowania«, będąca naczelną zasadą w grupowaniu części w całości, w całej swej rozciągłości nie mogła powstać inaczej, jak tylko na podstawie stosunków zachodzących wśród ludzi, między którymi istnieją całe skale społecznych podporządkowań jednych pod drugimi, aż wreszcie wszystkie stopnie poddane są pod naczelną władzę jedną.

Do dalszego rozwoju wczuwania się należy zaliczyć odczucie »charakteru rzeczy martwych«, do którego przedmiotowe oparcie

daje prawidłowość ich działań czyli tak zwane przywyki natury; następnie »swobodę naturalną«, opartą na przypadkowości w naturze; »usposobienie przyjazne lub nieprzyjazne«, której odczucie zależy od pożyteczności lub szkodliwości danych przedmiotowych dla mnie albo dla kogoś innego; nastroje t. j. owe stany czuciowe dłużej trwające, nie związane ściśle z przedmiotem, lecz raczej z całością jego otoczenia, warunków, wśród których się odbywa, z powietrzem, światłem, ciemnością, ciepłem, zimnem, chmurami, wodą, I charakter i swoboda i usposobienia przyjazne i nieprzyjazne i nastroje nie znajdują się w przedmiotach, ale znajdują się w człowieku, jako jego objawy życiowe, a jednak pochodzą od przedmiotu, od tej natury martwej, która jest niezdolna do nich i pochodzą jako jej objawy życiowe. Człowiek odczuwa je w sobie, ale jako pochodzące z przedmiotu, odczuwa je w przedmiocie, ale jako swoje.

W ten sposób zrozumieć może człowiek całą naturę na swój sposób, zrozumieć nie przez pojęcia abstracyjne, ale zrozumieć odczuciem wnętrznem, może objąć ją całą i przyswoić sobie, może wczuć w nią życie.

Teoryę tę zechciejmy sobie uprzytomnić na jakimś szczególnym wypadku wczuwania się w przedmiot martwy. Niechże nim będzie np. wielka skalna góra, przed którą stoję, na którą patrzę. Rozciąga się ona w przestrzeni tak dużej, że nie mogę jej objąć wzrokiem od razu, zmuszony jestem poznawać ją kolejno, część po części. Poznaję ją więc część po części i w ten sposób kolejno w oczach mych, w mem poznaniu postępowo powstaje skała. Skała sama w sobie była dana cała, w sobie ona nie powstaje. Powstaje tylko moje poznanie skały, powstaje skała w mem poznaniu. Ale to powstawanie, które jest czynnością moją, ja wczuwam w nią. Moje działanie staje się jej działaniem, powstawanie mego poznania ja wnoszę w nią, jako jej powstawanie.

I oto dany mamy najogólniejszy sposób odczucia na podstawie ruchu myślowego czyli postępowego poznania. Przedmiot wywołał działalność poznawczą podmiotu i zmusił ją do kolejnego posuwania się naprzód w jego pojmowaniu. Wskutek tego wywią-

zało się uczuciowe zlanie się obydwu, odczucie powstawania przedmiotu.

Lecz na tem nie koniec. Wczuwanie musi się różniczkować dalej. Skała nie tylko narzuca memu poznawaniu kolejne posuwanie się naprzód, lecz także nadaje mu kierunek od dołu do góry. Niższe bowiem części warunkują byt wyższych warstw skały. Stąd żądanie ze strony przedmiotu, aby i poznanie szło w tym naturalnym kierunku od dołu do góry. A kiedy ja wiodę wzrokiem od dołu do góry, to w mojem poznaniu skała powstaje od dołu do góry i podnosi się w górę. Znów skała przedtem w rzeczywistości stoi nieruchoma, ale we wczuciu się w nią skała nie stoi, tylko rośnie od dołu do góry. Następnie podnoszenie się w górę,— znam to z doświadczenia na sobie i na innych,— jest pokonywaniem oporu, jaki stawia ciężar. Więc znów podnoszenie się skały odczuję w sobie, jako zwycięskie pokonanie oporu. Uczuję się w tej skale jakoś tak, jak czułem się kiedyś w życiu, gdy mi się udało podnieść ciężar i wyprostować się z nim i pokazać się przed innymi, czego to ja dokazałem. Wtedy uczułem, jak mi pierś się jakoś dumą rozszerzała, dumą ze swej siły i z dokonanego czynu. Więc i teraz to uczucie mnie, człowiekowi własne, wkładam w skałę i zabarwię niem czynniki przedmiotowe: odczuję w skale, jak się dumnie prostuje. Do tego odczucia pomogą mi także czynniki przedmiotowe. Widzę w skale ogromne głazy, olbrzymie odłamy zmieszane z mniejszymi, porozrzucane tak bezładnie, tak kapryśnie, jakby od niechcenia, jakby się dziecię nimi bawiło — a przecież to są ogromy. Wiem z doświadczenia, ile się namozoliłem, by ruszyć niewielką stosunkowo bryłę. A przede mną leżą bryły nie do poruszenia ani przez tysiące ludzi. Więc jakże olbrzymia jest ta siła, która tak lekko, swobodnie, kapryśnie je porozrzucała. Ja odczuwam w sobie tę siłę twórczą skał, odczuwam swobodę i lekkość, z jaką działała, ona mi pierś rozpiera, i czując ją w sobie, czuję się z niej dumnym. We wczuwaniu się ja jestem dumnym ze siły skały, którą uczuwam w sobie, a skała czuje się ze swej siły dumną we mnie, ma uczucie dumy we mnie. I tak dalej postępować będzie wczuwanie się, wciągając w siebie coraz to inne momenty tak przedmiotowe jak i podmiotowe i zlewając je w jed-

ność wczuwania się. Ostateczny rezultat będzie zawsze wzbogacenie się wzajemne wskutek wzajemnego oddziaływania na siebie, przedmiotu na podmiot, podmiotu na przedmiot. Przedmiot wnosi kapitały martwe — człowiek wnosi w nie życie, ruch. Wskutek tego one żyją, a człowiek jest bogaty ich wielkością. Przenikają się wzajem, zlewają się. I Ja człowiecze znajduje się ostatecznie w skale jakiemś innem, aniżeli było przed wczuwaniem. Ja ideowe stało się idealnem, a tej przemiany cudownej dokonał proces wczuwania się [1].

Lipps szczególnie akcentuje charakterystyczne dla wczuwania, zjednoczenie i zlanie się podmiotu z przedmiotem. We wczuciu niema dwoistości, niema rozdziału na podmiot i przedmiot. Podmiot nie przeciwstawia się przedmiotowi, nie czuje się różnym od przedmiotu. Wszelka różnica zaciera się, a uczucie jest tylko jedno. Choć złożyły się na nie podmiot i przedmiot, przecież w złożeniu nie pozostały względem siebie wyodrębnione obie, lecz przeniknęły się tak, że podmiot jest w przedmiocie, przedmiot w podmiocie. I nie może być między nimi rozdziału, boby nie było i wczucia. Z chwilą gdy występuje rozróżnienie podmiotu i przedmiotu wczucie zaczyna słabnąć, a ginie zupełnie, gdy refleksya zupełnie wyróżni i przeciwstawi sobie obydwa czynniki wczuwania. Wczuwanie ginie, a jako ślad po niem pozostają tylko wyrażenia, dziwne zestawienia słów, w których życie człowieka miesza się z tworami przyrody. Od takich wyrażeń roi się mowa ludzka, a ich mnogość świadczy o powszechności wczuwania się.

Wczuwanie się jest zatem jednym z najpowszechniejszych i najpierwotniejszych objawów życiowych, stoi ono u kolebki dziecięcia i ono pierwsze wprowadza je w bliższą styczność duchową z otoczeniem, a potem w życiu towarzyszy człowiekowi ciągle w jego stosunkach do świata podpadającego pod zmysły.

(C. d. n.)

Ks L. Rudnicki.

[1] *Grundlegung der Aesthetik,* str. 191.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Królowa Jadwiga. Napisał *Lucyan Rydel.* Wydał Karol Kozłowski. Poznań 1910. 4-ka, str. 350.

Autor »Zaczarowanego koła« nową perłę dołożył do tylu już drogich kamieni, którymi zbogaca skarby ojczystego piśmiennictwa. I w najnowszym utworze zaciekawia czytelnika odrębnym objawem sił twórczych, niepodobnym do żadnego, za które dotąd zbierał oklaski i wieńce. Wyrzeźbił posąg dziejowej prawdy; każdym ruchem rylca wiernie w alabastrowej postaci powtarzał, co każą w niej widzieć ściśli badacze jej dziejów; nie puścił wodzów zachwyconej wyobraźni, aby przemarzonem pięknem ozdobić świadectwo źródeł o prawdzie surowej; a nastawił ucha na każde słowo świadków, na pomruk ich nawet w głosie niechętnym, kiedy przytaczał rocznikarzy z obozu wrogiego. Słowem, zdał sprawę sumiennie z całego dorobku wiedzy wszechstronnej. I na tem to stanowisku prozaicznego dziejoznawcy nie przestał być sobą samym: poetą. Z całą czcią dla prawdy w szczególe jej choćby najmniejszym, spojrzał na nią okiem płomiennem i już jej nie widział zimnym pewnikiem, zamarzłą od pół tysiąca lat falą w potoku ludzkich żywotów: postrącał z królewskich zamków we Włoszech, i nad Dunajem, i na Wawelu pokłady stuleci, które przewaliły zaspami przewrotów i ułud widownię dawnych czynów w spokrewnionych rodach Andagawenów i Piastów. Z rozsypanej mogiły pięciowiecza wstaje królewna, żyje, kocha, bohaterskich czynów dokazuje w oczach widza... widza, nie czytelnika, bo to L. Rydel ją wskrzesił, więc nie tylko w płaskorzeźbie ją znakami pisarskimi przypomniał

czytelnikowi książki, ale ją wprowadził na tło stosunków uchwytnych, odział pełnem ciałem i zaprosił na Wawel, gdzie dzieje ducha jej rozgrywają się w barwnych odsłonach, męką serca zaczęte, wichrzone piorunami, co strzaskały dla niej szczęście człowieka, zakończone pasmem chrześcijańskich bohaterstw, za które nagrodą tylko niebo, i rozgłos cudów, i cześć należna świętym w ołtarzach.

Taką poezyę prawdy dziejowej rozsnuł liryk perlistem piórem w obrazach, w których czego tknął, wlał we wszystko strugę życia i tętno ruchu, i tajemnicę słowa, jakie na uwięzi trzyma widza zasłuchanego z całą uwagą. Wybrał z dziejów prawdę, przez się cudną; nie potrzebował jej stroić krasą, przydaną do świadectw źródłowych. Umiał tę prawdę uwypuklić i w całym blasku wdzięków odcieniować: na stanowisku ścisłego dziejopisa nie potrzebował odkładać harfy: pozostał poetą.

I najprzód sięgnął po dobę, w której sam Bóg upatrywał Polskę dla świętej Królowej na pole zasług i chwały, a Jadwigę przysposabiał dla Polski na wybawczynię.

Polska miała za co wielbić rządy Łokietkowego syna; wdzięczna upamiętniła jego dobrodziejstwa mianem Wielkiego a również wdzięczna nie pamięta królowi równie wielkiemu jak wielce krewkiemu jego domowych stosunków, choć na ich widok cierpiała dotkliwie, choć śmiałym głosem Baryczki wyraziła swój ból, większy, niż trwoga przed śmiercią, choć po zgonie króla poniosła skutki jego swywoli, »dla której nie dziw, — mniema Długosz (Ks. 10, rok 1349), — że Bóg sędzia sprawiedliwy zmierziwszy go sobie z jego plemieniem, wydziedziczył go z tronu królestwa polskiego«. Wolą Kaźmierza zdana pod rządy jego siostrzeńca Andegaweńczyka, Polska widziała znów zaognione na całem ciele swojem stare blizny po ranach... odnosiła je tyle razy w bojach, rozstrojach i zamieszkach wiekowych... dobę podziałów i grozę rozbioru ledwo Łokietek świeżo zakończył... świeżo pogoił te rany, które wnet za Ludwika odezwały się bolami i niebezpieczeństwem zewsząd.

Rocznik kujawski (*Mon. Pol.* t. II, str. 211, 212) gorzko biada nad strasznym zamętem w Polsce za Ludwika: »Skutkiem jego nieobecności i pobłażliwości, która ułatwia drogę przestępcom, oraz trudnego dostępu do niego dla biednych, w królestwie polskiem niezliczone zła nastały, mianowicie łupiestwo po drogach, krwawe mężobójstwa, pożary i przeróżne uciski ubogich. Bo po nocach biedni, kmiecie, księża i znaczni rodem ale nie majątkiem bywają chwytani

i przypalani ogniem, aby wydrzeć od nich pieniądze. Dostojnicy królestwa polskiego, którym właśnie szczęście się zaśmiało, świadomie przechodzą koło takich stosunków z ogłuchłem uchem i suchemi oczyma, o nic więcej nie dbają, jak o zysk dla siebie i swoich, a zapewniają, — jak, o nieszczęście! słychać, — pana Ludwika króla o takim spokoju w królestwie polskiem, jaki był za czasów Kaźmierza króla. Ale o biada! nie było tak! nie było tak! Bo na sądy przychodzą z mnóstwem zbrojnych, wszczynają swary i kłótnie, tłumią i sądy godziwe i samą sprawiedliwość i pokoju w królestwie polskiem na teraz całkiem zabrakło! Biada! biada! teraz dopiero pora na płacz i smutek, na żałobę i niewymowny jęk z powodu śmierci króla Kaźmierza, za którego czasów nigdy tak nie bywało! Dla tylu i takich bezeceństw i bezprawi Bóg dopuścił w r. 1376-m niespodziany najazd Litwinów...« Nadto rosło niebezpieczeństwo ze strony Krzyżaków, ruskie księstwa dostawały się Węgrom, rozkład wnętrzny wzmagał się walkami rodów i rozstrojem między Polską Wielką a Małą, więc zachęcał złych sąsiadów do układów o rozbiór Polski. Nakoniec nad przepaścią kraj stanął śród grozy bezkrólewia.

Taki ugór bez uprawy od lat kilkunastu, jak tęsknota pusty i zjałowiały jak nieużytek, taka po ludzku nieprzydatna na nic dziedzina bezrządu: oto ów wesoły pałac śród gajów słonecznych w krainie spokojnej i rządnej upatrzony dla świętej królowej na jej szczęście bez chmurki! Żywoty świętych często powtarzają, że najprzykrzejszy bezład stosunków rozściela się zamiast róż dokoła drogi upatrzonej dla świętych...

Na tę drogę wygnanki z raju wnuczka Andegawenów i Piastów szła z sercem rozmarzonem pieśniami trubadurów, a ci nie w bój o niebo porywali świętych: ludziom nucili na ziemi o złotej przędzy dni pojonych wonią i słodkim czarem ziszczonych snów. I Andegaweni wnuczce swojej przekazali w żyłach tę krew, która gorąco kipi w sercu rozmarzonem; chadzali skrajnymi drogami. Jedni, na głos z nieba czujni, spieszyli krokami bohaterskiej miłości bliźnim na pomoc w imieniu Bożem. Inni ziemskich koron żądniejsi, szli z boju w bój, aż królewskie lilie swoje z Francyi pozanosili na nowe stolice swoich państw w Sycylii, w Dalmacyi, na Węgrzech i nakoniec w Polsce. Jeszcze inni między nimi puścili inaczej wodze namiętnym porywom i ani od okrucieństw, ani od zbrodni się nie wstrzymali, byle dogodzić żądzom nikczemnym.

Stać ich było na wszystko w cnocie i na bezczelne występki

stać było tych przodków Jadwigi po mieczu, a po kądzieli nie rozwodnił w jej żyłach gorącej krwi spadek rycerskiego ducha Łokietków i Konradów Mazowieckich. Jej, aby łagodną lekarką zjawić się i ocalić Polskę miotaną dreszczem przedśmiertnym, tej płomiennej duszy trzeba było na piastowskiej stolicy nie jak do uczty ale jak na katownię siąść i wyprężyć w sobie całe bohaterstwo przodków świętych, aby w samej sobie zmódz przodków, którzy nie znali praw.

I dramat rozgrywa się w odsłonach, które pod nagłówkami »Oblubienica Wilhelma«, »Męczennica na tronie«, »Apostołka Litwy« przedstawiają Jadwigę w boju o swoje prawa do szczęścia na ziemi, Jadwigę z głazem cmentarnym walonym własnemi jej rękoma na dziewczęce sny serca, Jadwigę z blaskiem nadziemskiego wesela w oczach zapatrzonych na niebo przez nią otwarte dla Litwy. Dramat po dniach,— gorzkich dla serca... jak śmierć, — rozegrał się zwycięstwem: z dziewczęcia ognistego jak iskra piorunu, jej polskie królestwo dostało śliczną królowę, która chyba łzą gorącą przypominała ogień, ale tę łzę już roniła nad bliźnim w niedoli... dla siebie nie myślała już o zawodach w miłości. Za mrzonkę poczytywała marny sen o szczęściu osobistem: żyła tylko dla szczęścia tego narodu, który w strasznym rozstroju po nią wyciągnął ręce z prośbą: Bądź nam zbawczynią! I przyniosła temu pokoleniu przodków naszych, co za jej rządów żyło, przyniosła nieopisane dobra: króla słynnego zwycięstwem grunwaldzkiem, unię z Litwą, akademię krakowską, odzyskane ziemie czerwieńskie, złote czasy jagiellońskie, wiek naśladowców jej: piętnasty wiek świętych... i przyniosła nam słowo tajemnicze, aby rozwiązać zagadkę czasów dzisiejszych: ofiara!

I kto odczytał to słowo w dziejach serca Jadwigi, — kto pojął, za co naród tak żywo o tej świętej królowej pamięta, — kto odczuł, czemu Tę właśnie Jadwigę przeważnie nasze siostry i matki Jadwigi czczą jako patronkę: ten już zadowolniony, — jak podróżny znanym końcem drogi, — czyta ostatnie rozdziały o Jadwidze w sztuce, o Jadwidze w poezyi, o Jadwidze świętej.

I zamarzony o drodze, którą ma własnymi krokami odbyć za śladem świętych na polskiej ziemi, podziękuje autorowi »Betleemu« za wszystko, co z pod jego pióra płynie, a zawsze zmierza do odrodzin, do nowego dla narodu dnia z gwiazdą jasną i pieśnią o pokoju śród tryumfalnych znowu dźwięków Zygmunta, któremu tak oczywiście żal, że nie dzwoni dotąd na kanonizacyę świętej Jadwigi.

Natęcz.

Dzieła Juliusza Słowackiego. Pierwsze krytyczne wydanie zbiorowe pod redakcyą d-ra Bronisława Gubrynowicza i d-ra Wiktora Hahna. Lwów. 1909. Nakładem Gubrynowicza i Syna. Tom I—X.

Królowie ducha i pieśni polskiej pozostawali do niedawnych jeszcze lat jak gdyby pod jakiemś fatalnem zaklęciem. Podczas gdy n. p. w takiej Rosyi — najwybitniejsi jej twórcy: pół-Murzyn z pochodzenia Puszkin, pół-Szkot Lermontow, żeby nie wymieniać innych, doczekali się lat temu kilkanaście wzorowych, kompletnych wydań krytycznych, — u nas — z wyjątkiem Kochanowskiego i Bohdana Zaleskiego, uczyniono w tej mierze aż nadto mało, wprost jak gdyby nam rąk chętnych do pracy brakowało.

Bodaj czy nie najgorzej miały się rzeczy ze Słowackim?... Przedewszystkiem wydanie, dokonane przez prof. Małeckiego, było rozbite na dwie części, które i tak nie dawały pojęcia o całokształcie twórczości Juliuszowej, jako że nie mieściły w sobie wielu arcyważnych utworów. Wydanie d-ra H. Biegeleisena obejmowało jedynie pisma ogłoszone za życia poety. O wydaniach innych lepiej nawet nie wspominać!...

Zbliżał się zwolna rok setnej rocznicy urodzin twórcy »Króla Ducha«. I z radością pradziwą wyznać możemy — nie zastał nas nieprzygotowanych. Bo oto, — obok wydania warszawskiego, dokonanego pod redakcyą p. Artura Górskiego, — które niestety, z przyczyn niezależnych od wydawcy, nie mogło być kompletne, — otrzymaliśmy iście jubileuszowy podarek z rąk dwu wytrwałych i długoletnich badaczy pism Słowackiego, docentów uniwersytetu lwowskiego, pp. d-ra Bronisława Gubrynowicza, autora prac o »Piaście Dantyszku«, Brodzińskim, Reklewskim i innych, oraz d-ra Wiktora Hahna, wytrwałego badacza »Mindowego«, »Maryi Stuart«, »Lilli Wenedy« i szeregu drobnych notatek do pism Słowackiego. Ich dotychczasowa, niezmordowana praca nad Słowackim, oraz rutyna ściśle naukowa, dawały najzupełniejszą pewność, iż z trudnego przedsięwzięcia, jakie przyjęli na swe barki, wywiążą się bez zarzutu.

Postępując w myśl wskazówek, uchwalonych przez trzy nasze zjazdy literackie, oparli się wydawcy w redagowaniu swojego tekstu przedewszystkiem na autografach poety, o ile one n. b. były do rozporządzenia, a w wypadkach, kiedy ich brakowało, na wydaniach pierwszych, dokonanych pod okiem poety za jego życia, albo też wydobytych z ukrycia przez prof. Małeckiego. Zastosowując tę metodę, uniknięto powtórzenia dawniejszych błędów, poczynionych przez mniej

krytycznych wydawców. To też wydanie omawiane jest pierwszem, które przynosi całkowitą spuściznę literacką Słowackiego, z wyjątkiem bogatej jego korespondencyi, nad której ogłoszeniem pracuje wytrwale od szeregu lat zasłużony Leopold Méyet.

Oprócz utworów, nieznanych zupełnie do tej pory i niedrukowanych nigdzie, ukazał się tutaj po raz pierwszy szereg dzieł w brzmieniu autentycznem, takiem, w jakiem one wyszły z pod pióra poety. W odmianach tekstu, licznych aż nadto, podano z jak największą ścisłością wszystkie poprawki, poczynione przez Słowackiego, a wśród nich pierwsze rzuty i fragmenty piękności niezwykłej.

O ile chodzi o statystykę, to w tomie pierwszym z 226 wierszy drobnych tekst 137 oparty jest na autografach, w tomie drugim »Szanfary« cały został przedrukowany z autografu, w tomie trzecim »Beniowskiego« pieśń VI—XIV, »Rozmowy z Matką Mokryną Mieczysławską« oraz fragment »Pana Tadeusza«, mają za podstawę autografy, tekst zaś »Teogonii« — odpis Szczęsnego Felińskiego; w tomie czwartym »Król Duch« ukazuje się po raz pierwszy ze wszystkiemi odmianami i fragmentami, gdyż z wyjątkiem rapsodu pierwszego, wszystkie inne zostały wydrukowane według autografów, oprócz tylko pewnych odmianek tekstowych, które ukazały się już gdzieindziej przedtem. Na ogół wziąwszy — pierwszym wydaniom poświęcono baczną uwagę, autografy zaś uwzględniono nawet te, które udostępniły się wydawcom pod sam koniec druku całego przedsięwzięcia. Są to urywki: »Mazepy«, »Lilli Wenedy«, »dwu listów do Krasińskiego«, »wiersza do Aleksandra Hołyńskiego«, wreszcie »Grobu Agamemnona«, które uwzględniono w osobnym dodatku do tomu pierwszego.

Co się tyczy ściśle chronologicznego rozmieszczenia utworów, to było ono bezwarunkowo niemożliwe do przeprowadzenia. Stąd nader słusznie postąpili wydawcy, segregując spuściznę Słowackiego na poszczególne działy. Zebrali tedy: w tomie pierwszym wiersze drobne, w drugim do czwartego wyłącznie powieści poetyckie, w tomach piątym do połowy dziewiątego dramaty, w drugiej połowie tomu dziewiątego przekłady, wreszcie w tomie ostatnim utwory prozą. Naturalnie, że w każdym dziale poszczególnym starano się o zachowanie porządku chronologicznego, jakkolwiek nie był on do pomyślenia, zwłaszcza, o ile tyczył się wierszy drobnych. Z tego też powodu nie można czynić wydawcom najlżejszego zarzutu.

Nowości tutaj całe mnóstwo, wydobytych po raz pierwszy z ukry-

cia trudem mozolnym, a uznania najwyższego godnym, z licznych rękopisów i zeszytów poety, gdzie były poumieszczane na marginesach w nieładzie babilońskim. Że zaś niektóre z nich ogłosili byli już przedtem inni, z tego niepodobna nawet najsurowszemu krytykowi kuć zarzutu poważnego, gdyż teksty, podane przez d-ra Gubrynowicza, są w wielu razach różne zasadniczo z odcyfrowanymi przez jego poprzedników, niedbałych o dokładność literalną. Jak wiele trudu ogromnego wymagało odczytywanie tych hieroglifów istnych, o tem mógłby wiele powiedzieć każdy, kto miał kiedykolwiek do czynienia z rękopisami Słowackiego. Pracy tej, napozór mechanicznej, w istocie zaś pracy odtwórczej, niepodobna lekceważyć.

Za największe zaś *plus* wydania pp. Gubrynowicza i Hahna śmie podpisany uważać »Króla Ducha«. Na tym bowiem właśnie poemacie spoczywa, przynajmniej w ostatnich latach spoczęła główna waga baczności badaczy Słowackiego. Wiele w uporządkowanie »Króla Ducha« włożono pracy niepożytej, ile energii męskiej, wiele zdrowia, to chyba zdoła zrozumieć ten tylko, kto rozejrzy się uważnie we wszystkich waryantach, tak licznych, a tak pogmatwanych dawniej. Wszak rękopis »Króla Ducha«, przechowywany w Zakładzie im. Ossolińskich, to chaos kart, kartek, arkuszyków luźnych!... A poza tem ogłaszano po czasopismach poszczególne urywki. To wszystko rozprószone, niepoznaczone, nieponumerowane, bezładne, zebrać w jedną całość logiczną — małyż to był trud i mała zasługa?... Wszak tutaj konstruktorem musi być sam wydawca, wszak on musi łączyć w jedną całość luźne fragmenty i ułożyć je w pewien porządek!... Że możliwe są w danym wypadku do przypuszczenia omyłki i błędna miejscami rekonstrukcya, to możliwem jest do przypuszczenia, wszak Słowacki został zaskoczony śmiercią przy pracy nad porządkowaniem rękopisów swojego kanonu wiary i nie było mu danem pracy dokończyć! Mimo trudności zrobiono bardzo wiele. Dość będzie zaznaczyć, że podczas gdy w wydaniu najnowszem warszawskiem »Król Duch« zajmuje tylko 338 stron, w wydaniu omawianem mieści się na 631 stronach, i to o wiele większego formatu!...

Co się tyczy samej metody wydawniczej, nie mamy pp. d-rom Gubrynowiczowi i Hahnowi nic do zarzucenia.

Natomiast do »objaśnień wydawców« musi mieć każdy, nawet tak nieuprzedzony, jak podpisany, cały szereg pretensyi, uzasadnionych, na nieszczęście, a bynajmniej nie wygórowanych. Pp. wydawcy zepsuli bowiem niepotrzebnie arkusze papieru, ażeby pouczyć czytel-

ników zbiorowego wydania pism Słowackiego o rzeczach tak prymitywnych i tak doskonale ludziom inteligentnym znanych, że chyba objaśnienia te w przeważnej części kwalifikowałyby się, co najwyżej, do jakiegoś wydania popularnego. Bo pocóż n. p. było męczyć papier objaśnieniami tego, iż Mars i Saturn są planetami, czem był ongi a czem jest dzisiaj Luwr paryski i t. d. i t. d.? Najkapitalniejszym jednak przykładem pobieżności i powierzchowności »objaśnień wydawców« jest jedno, zamieszczone na stronie 464 tomu VI-go, które brzmi, jak następuje:

— »K a z n a«, wyraz nieznany w słownikach polskich, prawie tyle, co »k a b z a« ...

I pocóż to bałamuctwo?!... Naturalnie, że w »słownikach polskich« darmo szukano wyjaśnienia znaczenia owego wyrazu. A wszakże każdemu, dla kogo znajomość języka rosyjskiego nie jest obca, wiadomo, iż *kazna* znaczy nic innego, jak tylko s k a r b p a ń s t w o w y. Tak samo mają się rzeczy z objaśnieniami innych wyrazów, które Słowacki niejednokrotnie wprowadzał żywcem do swoich utworów z języka rosyjskiego. Ale nie miejsce tu, ani pora na naukę początkową języka rosyjskiego... Jeśli pp. wydawcy nie rozumieją go, mogli przecież prosić o objaśnienie tego lub innego wyrazu fachowych znawców, a ci z pewnością nie byliby odmówili im swoich uwag...

Co najgorsze? Oto w wydaniu omawianem uwzględniono literaturę, tyczącą się Słowackiego, w dawkach minimalnych, wprost tak, jak gdyby chciano nią w dozach mikroskopijnych raczyć czytelnika. A czyliż tak wiele trudu ponieśliby byli wytrawni znawcy Słowackiego, gdyby w objaśnieniach swoich byli przytoczyli znane im doskonale prace, traktujące o danym utworze? Tego rodzaju spis bibliograficzny byłby wielce wartościowy nie tylko dla czytelników, zajmujących się, chociażby odrobinę, teoryą twórczości poetyckiej w ogólności, ale nawet dla badaczy zawodowych, spis bowiem ryczałtowy, jaki mamy w wydaniu d-ra H. Biegeleisena, pominąwszy już tę okoliczność, że ono w zupełności jest wyczerpane, nie jest w stanie zadowolić słusznych wymagań, przedewszystkiem z powodu swojej chaotyczności. Być może jednakowoż, iż znany ze swojego zamiłowania do bibliografii dr. Hahn obdarzy nas niebawem wyczerpującym spisem wszystkiego, co kiedykolwiek o Słowackim napisano, a bodaj tylko bibliografię roku jubileuszowego?...

Pod koniec niniejszego sprawozdania niepodobna nie podnieść jeszcze jednej zasługi wydawców, którzy nie poskąpili reprodukcyi,

wykonanych wzorowo, licznych autografów poety z rozmaitych lat jego twórczości, jak niemniej portretów, wyobrażających poetę w różnych okresach życia.

Reasumując wrażenia, odniesione podczas przeglądania omawianego wydawnictwa, musi się przyznać pp. d-rom Gybrynowiczowi i Hahnowi niepoślednią zasługę. Równie dobrego wydania, jakiem nas uraczyli nie posiadamy i chyba tak rychło posiadać nie będziemy. Że są w niem usterki drobne, to nie powinno nic ważyć wobec ogromu przedsięwzięcia, jakie wydawcy podjęli. I jeszcze słowo: Z tego wszystkiego, co w roku bieżącym tyczyło się Słowackiego, wydanie dzieł, omówione przez nas pokrótce, jest najtrwalszym pomnikiem. Za dokonanie zaś jego należy się wydawcom cześć prawdziwa, jako że spełnili czyn prawdziwie obywatelski.

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Die Geschichte der scholastischen Methode. Nach den gedruckten und ungedructen Quellen dargestellt von *Dr. Martin Grabmann,* Prof. der Dogmatik am bischöflichen Lyzeum zu Eichstätt. I. Band: Die scholastische Methode von ihren ersten Anfängen in der Väterliteratur bis zum Beginn des XII. Jahrhunderts. Freiburg 1909. Herder. 8-o. (XIV u. 354).

Przeszłość należy rozumieć na tle ówczesnych warunków i w związku z całym rozwojem kulturalnym — tego domaga się metoda genetyczna w historyi, oparta na zasadzie historycznej ciągłości w rozwoju kultury. Na polu religijnem najmniej dotąd ustalił się sprawiedliwy sąd o przeszłości, zwłaszcza o okrzyczanych »ciemnych« wiekach średnich. Mnożą się jednak z każdym rokiem poważne prace, które pozwalają nam rokować jeszcze lepszą w tym względzie nadzieję na przyszłość. Uwydatnia się to także w żywszym interesie, jaki filozofii scholastycznej okazują nie tylko nie-teologowie, ale i niekatoliccy uczeni. Badając zapomocą metody historyczno-genetycznej podkład nowożytnych prądów umysłowych filozofowie naszej ery raz po raz napotykają na scholastykę i nie szczędzą jej należnego uznania. Jednak niepodobna słusznie ocenić scholastycznej metody w oderwaniu jej od teologii katolickiej, w obrębie której powstała i rozwijała się aż do najwyższego rozkwitu. Niezrozumienie katolickiej teologii, jej

podstaw i prawdziwej, niewykrzywionej treści, pokutuje też ustawicznie w dziełach oddających zresztą sprawiedliwość scholastyce, jak w pracach protestanckich teologów i filozofów: Ad. Harnacka, Loofsa, Seeberga, Paulsena, Dittheya, Euckena i innych. Patrzą się ci uczeni na metodę scholastyczną bez uwzględnienia organicznego jej związku z charakterem samej nauki objawionej. Wielką stąd doniosłość ma wydane przeszłego roku dzieło profesora d-ra Grabmanna o historyi metody scholastycznej.

Całe dzieło obliczone jest na trzy tomy, w których autor chce przedstawić historyczny rozwój scholastycznej metody aż do wykończenia jej w okresie najwyższego rozkwitu scholastyki. Dotąd wyszedł tom pierwszy, obejmujący historyę scholastycznej metody od pierwszych jej początków w literaturze Ojców Kościoła aż do początku XII wieku, a zatem okres przygotowawczy właściwej scholastyki. Ma jednak ten pierwszy tom zasadnicze znaczenie dla całej filozofii średnich wieków, ponieważ autor na podstawie źródłowych badań wyjaśnia genezę tejże, będącą najlepszym kluczem do zrozumienia jej podstaw i metody.

O staranności autora o jak największą dokładność i wszechstronne uwzględnienie źródeł i odnośnej literatury, daje nam wyobrażenie pierwsza część dzieła, będąca wstępem do historyi scholastycznej metody. Znajdujemy tu nader pouczające zestawienie rozmaitych poglądów katolickich i niekatolickich uczonych naszej ery na metodę scholastyczną oraz gruntowną informacyę o źródłach i literaturze historyi metody scholastycznej. Rezultat swego studyum nad obecną oceną scholastyki podaje Grabmann w tych słowach: »Racyonalizm, przewaga pierwiastka rozumowego — a zupełna jego kapitulacya przed autorytetem; oryginalność myślenia — a niesamodzielny tradycyonalizm; olbrzymia energia intelektualna — a pusty, bezpłodny formalizm i szablonowość; ścisły kontakt ze sposobem myślenia Ojców Kościoła — a zupełne zerwanie z nimi; wrogie stanowisko względem mistyki i zlanie się z nią: wszystkie te antytezy zawiera w sobie całokształt sądów nowoczesnych myślicieli o scholastyce. Nie można jednak zaprzeczyć, że wogólności ocena dzisiejsza scholastyki jest bardziej przedmiotową i sprawiedliwą, niż pogląd niektórych humanistów, reformatorów i przedstawicieli wieku oświecenia« (str. 18). Rozbieżność poglądów na metodę scholastyczną nie powinna nas dziwić, wobec tego, że scholastyka łączy wiarę z wiedzą, uległość dla autorytetu Kościoła z rozumową spekulacyą, teologię z metafizyką, chrześcijaństwo z arystotelesowską

i platońską (za pośrednictwem św. Augustyna) filozofią, mistykę z rozumowaniem. W obecnej epoce indywidualizmu niewielu oczywiście będzie uczonych, którzyby ten istotny związek między autorytetem i wolnością, a na polu religijnem między wiarą i wiedzą należycie pojmowali lub raczej chcieli pojąć, co naturalnie musi spowodować najfałszywsze i sprzeczne sądy o scholastyce. Zresztą walka przeciw scholastyce weszła w ramy wielkiej kampanii przeciw religii objawionej, stała się jednym z epizodów wielkiego i zawikłanego sporu o cały pogląd na świat, epizodem naukowego sporu o stosunek prawdy przedmiotowej i objawionej, — do subjektywistycznych opinii — z nią splątane są najżywotniejsze zagadnienia ludzkości. W tem świetle dopiero można rozumieć całą aktualność i doniosłość pracy prof. Grabmanna, w której autor jasno wykazuje, w jak wspaniałe skarby mądrości wzbogacała filozofię wiara chrześcijańska i niestrudzona praca umysłowa geniuszów chrześcijańskich. Hasło *credo, ut intelligam,* t. j. pokorne przekonanie, że od przewyższającego mię rozumu winien się człowiek uczyć zamiast w uporczywej pewności siebie wierzyć w pierwszym rzędzie w siebie i własny rozum — to hasło jest kluczem do zrozumienia wielkich i trwałych zdobyczy scholastyki. Ze stanowiska indywidualizmu absolutnego scholastyka jest wprost niezrozumiałą. Stanowi to główną zaletę dzieła prof. Grabmanna, że stosunek wiary do wiedzy i autorytetu do samodzielnego myślenia krytycznie przedstawia na tle dokumentów, począwszy od pierwszych zaczątków metody scholastycznej u Ojców Kościoła. W ten sposób dochodzi do gruntownego wyświetlenia zależności teologii od filozofii greckiej, i skreśla tem samem historyę umysłowych wysiłków myślicieli chrześcijańskich. Jak wyczerpująco autor traktuje swój przedmiot, to widać już stąd, że obszerny rozdział (str. 148—178) poświęca Boecyuszowi, »ostatniemu Rzymianinowi i pierwszemu scholastykowi«, oraz całą niemal monografię naukowej metodzie św. Anzelma, »ojca scholastyki«.

Żmudną swą pracą oddał Grabmann wielką usługę nauce, i to zarówno dogmatyce i historyi dogmatów, jako też historyi filozofii i historyi literatury teologicznej.

Po tej źródłowej pracy Grabmanna częstokroć dziś jeszcze powtarzane zdanie, że scholastyce »chodziło tylko o to, aby wszystko, czego uczył Kościół katolicki, uzasadnić rozumowo« [1], musi stanowczo

[1] Chrzanowski: »Historya literatury niepodległej Polski«. Wydanie 2. Warszawa—Kraków. 1908. Str. 17.

być uważane za bałamutne i błędne. Dla uzasadnienia dogmatów wiary scholastyka nie posługiwała się rozumowaniem, jak to np. później usiłowała filozofia Heglowska, lecz opierała swe dowody na źródłach wiary, t. j. na tradycyi kościelnej i na Piśmie św., komentowanem w myśl tradycyi. Późniejsze tomy, do których materyały już są zebrane przez autora, z pewnością potwierdzą zupełnie osiągnięte dotąd rezultaty.

Ks. Ernest Matzel.

Der junge De Spinoza. Leben und Werdegang im Lichte der Weltphilosophie. Von *Stanislaus von Dunin-Borkowski S. J.* Mit zwei Vierfarbendrucken, dreizehn Autotypien und sieben Faksimiles. Münster i. W. Aschendorffsche Buchhandlung. 1910. XXIII+633.

Z wielkiem zadowoleniem skończyłem lekturę tego znakomitego dzieła. Powiem raczej studyum, boć doprawdy nie wystarczy powierzchownie tylko przeczytać ten tom; trzeba wmyśleć się w jego myśli, iść w ślad za jego wnioskami lub domysłami; trzeba przenieść się w atmosferę filozoficzną siedemnastego wieku: trzeba starać się wniknąć w psychikę tego poważnego, samotnego, chciwego wiedzy młodzieńca, który panteistyczną metafizyką swoją miał taki wielki a dalekonośny wpływ wywierać na przyszłe pokolenia, wpływ, który może w miarę oddalania się ludzkości od owych czasów coraz bardziej a bardziej wzrasta.

Baruch Despinoza (tak bowiem pisze ks. Dunin-Borkowski na podstawie poważnych dokumentów zamiast powszechnie przyjętego, choć także uzasadnionego De Spinoza) należy dzisiaj niezawodnie do najbardziej uwielbianych, powtarzanych i wyzyskiwanych myślicieli przeszłych stuleci. I w rzeczy samej panteistyczna nauka jego o tożsamości Boga i świata oraz o przestępnej jedności materyi i ducha czyli rozciągłości i myśli, jest wybornem i bogatem źródłem dla dzisiejszych monistów tak ubogich w prawdziwe myśli filozoficzne. Główne dzieła Despinozy, jak *Tractatus de Deo et homine eiusque felicitate*, *Tractatus theologico-politicus*, a zwłaszcza *Ethica ordine geometrico demonstrata*, wydają się naszym monistom zawierać niezbite, z matematyczną ścisłością przeprowadzone dowody na podstawowe tezy ich filozofii i religii. Jeden z najbardziej znanych zwolenników idealistycznego monizmu, Fryderyk Paulsen, powiada wyraźnie: »Kto posiada pogląd na cały rozwój spółczesnej myśli, ten może dojść do wniosku, że metafizyka Spinozy zawarta w nielicznych a krótkich

zdaniach jego Etyki, wyprzedza rozwiązanie problemów dzisiejszych. Coraz bardziej a bardziej skłaniają się myśli ku temu poglądowi, najwidoczniej w filozofii; w ostatnich czasach zbliżają się do niego także fizyologowie i biologowie, chociaż, co prawda, często nie dostrzegają wyraźnie konsekwencyi«.

Dlatego należy uważać chwilę, w której ta nowa biografia młodego Despinozy wychodzi, za bardzo szczęśliwie obraną. Wprawdzie uczony autor, pisząc to dzieło, nie nosił się wcale z zamiarem walki z dzisiejszym monizmem; ani w przedmowie, ani wogóle w całem dziele nie wspomina słowem o doniosłości swojego tematu dla naszych czasów, pomimo to, a raczej właśnie dla tej zupełnej bezstronności i przedmiotowości historycznej i filozoficznej dzieło jego należy uważać za pierwszorzędną krytykę monizmu wogóle, a w szczególności racyonalistycznego, deduktywnego panteizmu. Autor ze zdumiewającą prawie uczonością wykazuje źródła współczesnej Despinozie i niedawno minionej filozofii, z których tenże czerpał, analizuje z mikroskopijną niemal subtelnością różnorodne czynniki wchodzące w skład tego systemu na pozór z jednej wyciosanego bryły i w ten sposób doprowadza myślącego czytelnika tak logiką faktów, jak immanentną, zupełnie przedmiotową krytyką do wniosku, że w systemie Despinozy jest dużo przesłanek z ślepą wiarą przyjętych, jest dużo przesądów dających się tylko tłumaczyć ówczesną kulturą filozoficzną, jest dużo składników wprost ze sobą sprzecznych, że nawet samo jądro Spinozyzmu zawiera w sobie zarodek śmierci. Chociaż więc w tomie obecnym autor dochodzi tylko do roku 1656, t. j. do 24-go roku życia naszego myśliciela, w którym za swoje herezye filozoficzne i religijne został uroczyście z synagogi wyklęty, to już w tym czasie widzimy, że w umyśle młodego Barucha zarysowywał się wyraźnie plan przyszłego dzieła i tylko niektóre podrzędne poglądy ulegną późniejszej zmianie, jednak jądro, charakter systemu pozostaną te same.

»Usiłowałem — powiada sam autor w przedmowie — rozwój poglądów młodego filozofa, że tak powiem, rok po roku połączyć z zewnętrznymi i wewnętrznymi wypadkami z jego życia; wywnioskować go z jego studyów, z jego lektury, jego stosunków i jego otoczenia i przynajmniej hipotetycznie wytłumaczyć. Wszędzie starałem się w zasobie myślowym Despinozy ostrożnie oddzielić to, co widział, słyszał, odziedziczył lub zapożyczył, od tego, co samodzielnie wymyślił, w nowy sposób sformułował lub świeżo odkrył«. Dzieło świadczy, że z zadania swojego szanowny autor znakomicie się wywiązał.

Najcenniejszymi dla zrozumienia Despinozy oraz ówczesnej kultury filozoficznej są owe bardzo liczne rozdziały, w których autor przedstawia nam obraz różnorodnych prądów religijnych, filozoficznych i naukowych na schyłku szesnastego i w pierwszej połowie siedemnastego wieku. Z rzadką plastyką a zarazem ścisłością naukową staje przed oczyma naszymi fizyognomia mistyki kabalistycznej i racyonalizmu biblijnego wśród uczonych Żydów oraz panteistycznej metafizyki arabskiej; dalej fizyognomia ówczesnego sceptycyzmu, naturalizmu, chrześcijańskiego mistycyzmu z panteistyczną tendencyą, liberalizmu chrześcijańskiego obok ścisłej scholastyki i t. d. i t. d. Słowem, w każdym rozdziale iści się to, co autor w samym tytule tak znacząco wyraził, że zamierza przedstawić życie i rozwój młodego Despinozy w świetle filozofii wszechświatowej, *im Lichte der Weltphilosophie.*

Jesteśmy wdzięczni szanownemu autorowi za tak cenny przyczynek do historyi filozofii i oczekujemy z wielką ciekawością tomu następnego, w którym mamy poznać dzieło dojrzałego już Despinozy.

Ks. Fryderyk Klimke.

La diète de Galicie; les tendences autonomiques. *Dr. G. Bienaimé.* Paris 1910. A. Rousseau. 8-ka. XIX i 259.

Fakt, że w publicystyce zagranicznej udział nasz jest prawie taki, jak żaden, pomścił się niejednokrotnie już na naszych ogólnonarodowych interesach. Objaw znamienny, iż, jakkolwiek zdajemy sobie nieraz wcale trzeźwo sprawę ze szkodliwości błędnych informacyi, w jakie obfituje wprost o nas zagranica, jakkolwiek nie brak nam sił wcale wybitnych, które mogłyby z pożytkiem ogromnym zaznajamiać prasę europejską z zasadniczymi prądami współczesnej duszy polskiej, pomimo to rolę informatorów w sprawach polskich pozostawiliśmy ludziom, znającym nas przygodnie i więcej lub mniej powierzchownie, którzy *eo ipso* muszą polegać częstokroć na bardzo jednostronnych poglądach, ilekroć zapragną uchwycić na kliszę całokształt duszy narodowej.

Książka omawiana stanowi bodaj czy nie wyjątkowe zjawisko w publicystyce francuskiej, osławionej i tak aż nadto pod względem bałamuctw, tyczących się spraw naszych, chociażby najżywotniejszych. I jakkolwiek nie brak w niej pewnych przekręceń faktycznego stanu rzeczy, przecież Francuza zdolna będzie zaznajomić z obecnem naszem położeniem politycznem w Galicyi oraz z działalnością sejmu, o czem

za granicą wiedziano dotychczas wcale niedokładnie, częstokroć zaś nawet wprost opacznie.

Studyum właściwe zostało poprzedzone garścią zwięzłych wiadomości geograficzno-statystycznych, oraz wstępem historycznym, w którym jest mowa o stanie Galicyi w chwili przejścia jej pod panowanie austryackie, o systemie rządów Metternichowskich, rzezi 1846 roku, wypadkach »wiosny narodów«, o statucie dla Galicyi z r. 1860, wreszcie o rezolucyi sejmowej z roku 1868, domagającej się autonomii realnej, i rozwianiu się złotych nadziei, kiedy to ustawą z r. 1873 odebrano sejmowi prawo wysyłania delegatów do parlamentu.

Słusznie podkreślił autor życzliwość dla Galicyi za rządów Taaffego i Badeniego, która była spowodowana względami polityki zagranicznej. I wytłumaczył ją podstawowo. Przymierze bowiem austryacko-niemieckie zostało zawarte na skutek rewizyi traktatu z San Stefano, dokonanej przez kongres berliński wbrew interesom rosyjskim, które zostały wprost zlekceważone. Uraza, jaką z tej przyczyny czuła Rosya, doprowadziła do przymierza dwu potężnych mocarstw z widoczną tendencyą przeciwko Rosyi. Wojskowość austryacka zwróciła wówczas baczną uwagę na Galicyę, jako teren przyszłej wojny. Stąd owa częstość manewrów cesarskich na terenie galicyjskim, stąd wreszcie życzliwość specyalna monarchy dla kraju, stanowiącego przedmurze Wschodu.

Co się tyczy okresu najbliższego, rozpatrzono tutaj szczegółowo ordynacyę wyborczą do rady państwa z r. 1896, przyczyny i skutki strejków rolnych wschodnio-galicyjskich z r. 1902, niemniej ostatnią reformę wyborczą. W dalszym ciągu kreśli autor ustrój prawno-polityczny Galicyi, zakres kompetencyi sejmowej, z czego bierze asumpt omówienia wszechstronnego autonomii finansowej Galicyi, przyczem wytyka zupełnie słusznie braki w niej zauważone, informując zarazem zapomocą zestawień cyfrowych o charakterze wydatków krajowych i o obecnem położeniu finansowem Galicyi.

Projektowanej reformie wyborczej do sejmu i stanowisku, jakie zajęły wobec niej poszczególne stronnictwa polityczne, poświęcono w omawianej książce słusznie sporo miejsca i rzetelnej uwagi zwłaszcza, o ile chodzi o charakterystykę partyi naszych, która po większej części jest poprawna. Nie wiadomo tylko, na jakiej podstawie pomieszały się w książce p. Bienaimé'a tak sprzeczne stronnictwa, jak demokracyi narodowej z demokracyą postępową?...

Nie pominiętą też została sprawa narodowościowa na punkcie kwestyi małoruskiej i żydowskiej. Na pierwszą z nich autor patrzy

trzeźwo, nie dając posłuchu wyrzekaniom i groźbom ruskim, tak modnym za granicą i rozpowszechnianym celowo a tendencyjnie. Autor nie może dać wiary skargom małoruskim, gdyż zdaje sobie dokładnie sprawę z położenia, w jakiem znajdują się »Ukraińcy« galicyjscy. To też daje dosadną odprawę roszczeniom ruskim, kiedy pisze: »Obydwa języki, polski i ruski, zostały dopuszczone do sejmu, dalej do szkół i do sądownictwa, wszystkie urzędy stoją otworem przed Rusinami, a, jeżeli Polacy stanowią większość w tych urzędach, to dlatego, że Rusini nie posiadają jeszcze wystarczającego wykształcenia, ażeby mogli zająć tam miejsce. W zawziętości zatem Rusinów wobec Polaków jest, obok uzasadnionych zarzutów przeciwko wielkiej własności(?!), część zazdrości o wyższość kulturalną Polaków, wyższość, która jest dziełem czasu i której Rusini powinni starać się dorównać cierpliwością i wytrwałością«.

Równie trzeźwy jest pogląd autora francuskiego na zarzuty, wytaczane przeciwko Kołu polskiemu w parlamencie austryackim z powodu rzekomej polityki antysłowiańskiej, o której uprawianie tak często bywa pomawiane. To też słusznie zauważył, że »polityka antypolska biurokracyi rosyjskiej, nieustanne osłabianie reprezentacyi polskiej w Dumie państwowej, zamykanie szkół polskich, ucisk, stosowany do wyznań nieprawosławnych, wreszcie projekt wyłączenia Chełmszczyzny z terytoryum Królestwa Polskiego, — wszystkie te środki, wymierzone przeciwko narodowi polskiemu, nie mogą spowodować odciągnięcia Koła polskiego od Wiednia, od jego lojalności austryackiej i można udowodnić, że właśnie nietolerancya rządu »słowiańskiego« hamuje postęp »sławizmu« w Austryi.

Jak z tego krótkiego streszczenia okazuje się, praca d-ra Bienaimé'a może służyć za katechizm polityczny stronnictw galicyjskich, z którego cudzoziemiec będzie mógł sobie wyrobić rzeczywiste pojęcie o prądach nurtujących w naszej myśli współczesnej politycznej, a zarazem rozwiać te błędne wyobrażenia, jakich nabrał z artykułów rozmaitych naszych »najserdeczniejszych przyjaciół« lub ludzi, traktujących publicystykę zbyt powierzchownie lub, co gorsza, zanadto lekkomyślnie. Boć chyba od publicysty winno się i jest się w prawie zupełnem żądać równej ścisłości, jak od uczonego, bo i w publicystyce jedno, niekiedy, słowo zbędne zdolne jest spaczyć myśl, a skutkiem tego wyrobić u czytelnika pogląd zupełnie mylny.

Dr. St. Zdziarski.

Studiji z pola suspilnych nauk i statystyki, wydaje statystyczna komisija Naukowoho Towarystwa im. Szewczenka. Tom I, pid redakcijeju Mychajła Hruszewśkoho. U Lwowi 1909. 8-ka. Str. X i 218.

Komisya statystyczna, założona w łonie Tow. im. Szewczenki przed laty trzema, wystąpiła dopiero teraz ze swojem wydawnictwem. Zadaniem jej jest publikowanie rozpraw z zakresu nauk społecznych w ogólności, ze szczególnem uwzględnieniem ziem małoruskich, ich rozwoju historycznego i życia bieżącego. Specyalną uwagę, jak dowiadujemy się ze słowa wstępnego, które wyszło z pod pióra prof. Hruszewskiego, postanowiono poświęcić krytyce statystyki urzędowej z jednej strony, z drugiej zaś próbom opracowania materyału statystycznego własnemi siłami, nie wyłączając kwestyi społeczno-ekonomicznych. Praca komisyi lwowskiej będzie o tyle ułatwiona, ile że przy Ukraińskiem Towarzystwie Naukowem w Kijowie zawiązała się również Komisya statystyczno-ekonomiczna, która rozwinęła od razu energiczną działalność i skupiła dokoła siebie poważną ilość współpracowników. Założenie takich dwu paralelnych organizacyi, mających analogiczne cele i sferę działalności w centrach Ukrainy i Rusi galicyjskiej, przy obopólnym ich kontakcie i stosunkach wzajemnych, da możność korzystnego podziału pracy. Na razie, dopóki stowarzyszenie kijowskie nie założy własnego organu, »Studya« będą organem wspólnym obydwu organizacyi.

Rozprawa wstępna p. W. Panejki p. t. »Z historyi i teoryi statystyki« zajmuje się losami teoryi Queteleta, która nie cieszyła się długo życiem i należy dzisiaj do przeżytków kulturalno-historycznych, na jej miejsce zaś wstąpiły specyalne studya statystyczne.

Zasadniczym charakterem odznaczą się również praca prof. d-ra Dniestrzańskiego p. t. »Statystyka narodowościowa«, składająca się z dwu rozdziałów, z których pierwszy zajmuje się historyą statystyki narodowościowej w monarchii austro-węgierskiej, drugi zaś pomieszcza rzut oka na tę gałąź nauk statystycznych w innych państwach europejskich. Głównie możnaby sprzeczać się z autorem o pojęcie terminów: »mowy towarzyskiej« i »rodzinnej«.

Pan Włodzimierz Ochrymowicz stara się w obszernej rozprawie p. t. »Z pola statystyki narodowościowej galicyjskiej« obliczyć cyfrowo ilość ludności małoruskiej w Galicyi, jej stosunek procentowy do ludności polskiej oraz innych narodowości. Pomysłowości pod względem konstrukcyjnym nie można mu odmówić bezwarunkowo. To też podług tych obliczeń wypada, że Małorusini stanowią 48·2% całego

zaludnienia chrześcijańskiego, podczas gdy statystyka urzędowa wykazuje tylko 42·1%. Czy jednak słusznie uczynił autor przyjmując za Małorusina każdego, kto jest wyznania grecko-katolickiego, o tem możnaby długo dyskutować.

Rozprawa p. M. Hechtera p. t. »Do historyi klasy roboczej na Ukrainie rosyjskiej«, zajmuje się warunkami sanitarnymi, w jakich żyją robotnicy, a zatem ich mieszkaniami, długością dnia roboczego, wysokością wynagrodzenia. Z pracy tej okazuje się, że stan roboczy nie jest zorganizowany, skutkiem czego jest upośledzony w swoich prawach.

Druga rozprawa tego samego autora p. t. »Statystyka ziemska o płacy zarobkowej w gospodarstwie wiejskiem na lewobrzeżnej Ukrainie« jest zestawieniem materyału urzędowego, zebranego w ziemstwach: połtawskiem, jekaterynosławskiem, czernihowskiem, charkowskiem i chersońskiem w latach 1904—1906.

Wzorową pod względem metodologicznym jest ostatnia w tym tomie praca p. S. Witwickiego p. n. »Stosunki ekonomiczne we wsi Stare Bohorodczany«.

K. R.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Przenajświętszy Sakrament. *O. Fr. W. Faber.* Tłum. z angielskiego A. Dziewicka. Nakł. F. Westa. Brody — Lwów. Warszawa E. Wende i Sp. Str. 319 in 8-vo.

Ożywiony ruch eucharystyczny w naszych czasach — jak pisze pani Dziewicka w przedmowie — był jej całkiem słuszną pobudką, by ogół nasz intelligentny zapoznać z dziełem O. Fabera. W 28 rozdziałach omawia ks. Faber najpierw dogmatykę Najśw. Sakramentu: Jego istotę, tajemnicę samego przeistoczenia, w księdze drugiej przedstawia Najśw. Sakrament, o ile On jest przedmiotem nabożeństwa katolików, dalej o ile On jest odbiciem Trójcy Przenajśw. i całej Wszechmocy Bożej, wreszcie o ile w Nim odbija się całe życie ziemskie Jezusa, Jego łaska i moc, a tem samem o ile Przen. Sakrament jest życiodajnym dla całego Kościoła i każdego z nas. W każdej z wymienionych ksiąg omawia ks. Faber w początkowych rozdziałach stronę dogmatyczną, w końcowych zaś rozdziałach przechodzi zwykle do zastosowań; aczkolwiek rozwijając samą prawdę dogmatyczną, raz wraz rzuca wspaniałe porównania czy zastosowania.

Sposób przedstawienia nie jest wszędzie równie łatwy. W omawianiu dogmatycznych, abstrakcyjnych prawd, jest pewna trudna powaga, towarzysząca, zwykle tak głębokim prawdom: ale często przebija się polot

prawie poetyczny, porywający. Miejsca te nie uległy zmianie w tłumaczeniu, ponieważ dla ocalenia wierności, tłumaczenie jest prawie że dosłownem — może aż nazbyt czasem z tego powodu, jak to bywa w tłumaczeniach — i styl polski na tem cierpieć musiał. Książka ta nadaje się nie tylko do czytania, ale można ją uważać także jako bardzo obszerny materyał do kazań dogmatycznych, z zastosowaniem nie tylko do słuchaczy z ludu, ale i do intelligentnych i nawet bardzo subtelnie pod względem duchowym wyrobionych.

K. K.

Teka Grona konserwatorów Galicyi zachodniej. T. III, z 11 ilustracyami. Nakł. Grona konserw. Kraków 1909, str. 321 in folio.

Tom niniejszy przynosi bardzo ważną pomoc dla pracujących na niwie historycznej, gdyż zawiera katalog Krajowego archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, wraz z indeksem miejscowości i rzeczy. Katalog oznacza działy ksiąg, ich charakter, dalej wylicza pojszczególne księgi z oznaczeniem ich dat. Wiadomości o historyi ksiąg uzupełniają ten spis. Spisano zaś następujące księgi: I. Księgi ziemskie województwa krakowskiego (do r. 1792) wiecowe, sądów sejmowych i królewskich. II. Księgi grodzkie wojew. krakowskiego: krakowskie do r. 1792, bieckie i sandeckie do r. 1787. III. Księgi sądów i regesta podatkowe. IV. Księgi krakowskie sądowe od 1792—1810. V. Księgi sądowe księstw: Zatorskiego, Oświęcimskiego, Pilzneńskiego powiatu; nadto niektóre ławnicze i kapturowe. VI. Księgi sądów prawa niemieckiego wyż. na zamku krakowskim, oraz sześciu okolicznych miast. Osobne rozdziały omawiają historyę archiwum, a stronę artystyczną samych ksiąg, w czem podnoszą wartość pracy, znakomite reprodukcye.

K. K.

Polska myśl mesyaniczna. Przez *Andrzeja Baumfelda*. Warszawa 1910. Str. 97.

Autor szkiców, które na broszurę tę złożyły się, przystąpił do badania myśli mesyanicznej w celu »poznania i przyswojenia żywych jeszcze, do rozwoju zdatnych pierwiastków« tej myśli. Zamiar dobry, ale wybór owych żywych pierwiastków fatalny. Będąc trochę towiańczykiem, trochę dekadentem, symbolistą, ale głównie człowiekiem, który o kwestyach religijnych spokojnie mówić nie umie, Baumfeld wyłowił dla siebie z mesyanizmu polskiego i »wtargnięcie do nieba« i »żądzę ku ziemi« i »ton« Towiańskiego, który ma sprowadzać się do trzech symbolów: światła, węzła i jedności, i »ofiarę w duchu — w ciele — i w czynie«. Podobała mu się u Towiańskiego idea metempsychozy i wiara w zaświatowy rozwój indywidualny, niemniej — rewolucyonizm mesyaniczny, którego wyrazem — legion Mickiewicza. Mówiąc o stanowisku mesyanizmu względem Kościoła, może zawiele Baumfeld twierdzi, gdy mówi, że Towiański, Mickiewicz i Słowacki w ideach swych religijnych burzyli wszystko, co s a m ą i s t o t ę Kościoła katolickiego stanowi, godzien zaś uznania za to, że nie stara się, za przykładem innych zwolenników Towiańskiego, podszywać nauk mesyanizmu pod firmę katolicką. Że bagatelizuje to, co w mesyanizmie było zdrowem jądrem, zasługę upatruje w tem, w czem mesyanizm sprzeciwiał się Kościołowi, że bierze modernizm w obronę przeciw Piusowi X, tem daje

dowód, iż cenną mu jest w dziedzinie myśli rewolucya tylko dlatego, że jest rewolucyą bez względu na to, czy są z niej pozytywne zdobycze, a tem mniej czy po jej stronie wewnętrzna prawda. Nie mogłem zrozumieć, co w mesyanizmie polskim robi Kasprowicz i Przybyszewski.

J. U.

Juliusz Słowacki w świetle swoich pism religijnych. Przez *ks. d-ra Jana Ciemniewskiego.* Lwów 1910. Str. 96.

Notując na tem miejscu broszurę ks. Ciemniewskiego, odsyłamy czytelnika po sąd o niej do pracy ks. R. Koppensa: »Wpływ transfiguracyi Słowackiego« i t. d., drukowanej w naszem piśmie. Przyłączając się do zdania ks. Koppensa, dodajemy jeszcze jedną uwagę od siebie. Ks. dr. C. niemal na każdej stronie mówi o »natchnieniu« Słowackiego, nazywa je wciąż »prawdziwem« natchnieniem, »prawdziwem religijnem« natchnieniem, zasady poety — »natchnieniem«, jego samego — pisarzem »natchnionym«, który »wstępuje w krainę religijnego natchnienia, stojąc obok największych geniuszów katolicyzmu«, przyczem owo »wstępowanie« wyraźnie odróżnia się od »poetycznych rojeń« i t. d. Przypisuje ks. C. poecie »zdolności rewelatorskie«. Ponieważ byłoby zbytecznem odnosić do owego »religijnego natchnienia« lub »zdolności rewelatorskich« te prawdy religijne i ich zastosowanie życiowe, które każdy nie natchniony może czerpać z katechizmu i innych dostępnych źródeł, przeto czytelnik broszury ks. C. odnosi wrażenie, któremu oprzeć się trudno, że według ks. doktora z »natchnienia prawdziwego« poeta czerpał te nauki, które sam ks. doktor uznał za sprzeczne z nauką Kościoła katolickiego. Czy nie lepiejby było powykreślać z broszury wszystkie owe »natchnienia«? Rewelatorstwo określa ks. C. jako »wynalezienie czegoś nowego, stworzenie rzeczy nieznanej«, nieco niżej twierdzi, że rewelatorstwo wieszczów polega na »intuicyi rzeczy Bożych«. Stąd wynika, że Słowacki, jako wieszcz i rewelator, musiał odkryć jakąś rzecz nieznaną z pośród rzeczy Bożych. Zdaje się nam, że krytyka musiałaby zadać sobie trud nielada, by wykazać, co właściwie Słowacki odkrył w tej dziedzinie, boć nawet metempsychoza, choćby była »rzeczą Bożą«, nie zawdzięczałaby Słowackiemu swego odkrycia. To też zaraz cofa się ks. doktor, zapewniając, że »nie chodzi tu bynajmniej o odkrycie nowych prawd, ale o poznanie i zgłębienie rzeczy przez Boga już objawionych«. Rażąca to sprzeczność w broszurze ks. Ciemniewskiego.

Ks. J. U.

Arcydzieło Juliusza Słowackiego: Król-Duch. Przez *M. Mossoczową (Koliskównę).* Kraków 1910. Str. 83.

Autorka rozprawy o arcydziele Słowackiego zupełnie słusznie, naszem zdaniem, określa w rozdz. I przewodnią ideę poematu »Poeta nie chciał nam odmalować dziejów ojczystych, ani tłumaczyć ich treści, objaśniać przyczyny naszego rozwoju i upadku«, lecz »chciał wyśpiewać tajemnicę bytu jednostek, społeczeństw i narodów tak, jak mu się ona przedstawiała w świetle mistycznych poglądów... chciał przedstawić odwieczną pracę ludzkiego ducha, wyrażonego symbolicznie w postaci Króla-Ducha naszego kraju, pracę, która ma na celu przemienić ludzkość... w przyszłe anielstwo globowe...« Dla Słowackiego kolejne wcielanie się Króla-Ducha to nie poe-

tyczna tylko szata dla ojczystych dziejów, lecz przeciwnie osobistości dziejowe są wybrane, by służyły za symbole tego kolejno wcielającego się i doskonalącego się ducha, symbole tej reinkarnacyi, w którą Słowacki głęboko wierzył. Niesłusznie za to Mossoczowa stara się osłabić znaczenie towianizmu, jako źródła tego rodzaju »mistyki« poety, twierdząc, że »teorya Słowackiego rozwijała się samoistnie, opierając się na mocnych podstawach religii katolickiej, matki tylu mistyków«. Twierdzenie ostatnie musimy uważać za usiłowanie, już nie pierwsze, by towianizm, a zwłaszcza naukę o metempsychozie przemycić podstępnie pod etykietą katolicką do umysłów niedość uświadomionych pod względem dogmatycznym. Dokonawszy w następnych (II—IV) rozdziałach analizy poematu i jego licznych waryantów, autorka wskazuje w rozdziale V na przyczyny niezrozumiałości poematu dla wielu. Jedna z tych przyczyn leży w formie, w bogactwie niezwykłych obrazów, szczegółów, uderzających naszą wyobraźnię, druga w samej treści, w zasadniczej idei poematu, trzecia wreszcie w jego nieukończoności. Pomimo to, »Król-Duch« »jest arcydziełem, najpiękniejszym utworem Słowackiego, syntezą jego poetyckiej działalności« (r. VI). Wkońcu wyjaśnia się rola poety, jako Króla-Ducha narodu, przez głęboką jego wiarę w dane jakoby z góry posłannictwo. Zbyt może prostem jest przypuszczenie autorki, że na takie pojęcie swej roli mogło naprowadzić poetę brzmienie jego nazwiska. Raczej źródła tego przeświadczenia szukać należy w wysokiem zawsze mniemaniu poety o sobie i w owem »widzeniu«, które jego »transfiguracyę« utwierdziło.

Ks. J. U.

Religijność Juliusza Słowackiego. Przez *ks. J. Maktowicza.* Lwów 1909. Str. 27.

Licznymi cytatami stara się autor odtworzyć obraz stosunku poety do wiary, Kościoła i cnoty chrześcijańskiej. Poeta żartuje niekiedy z rzeczy świętych, szarpie aż zjadliwie papieża, księży; wycieczki te jednak bynajmniej nie są dowodem niereligijności. U c z u c i a religijnego nigdy nie stracił, przez czas pewien tylko nieco w niem ostygł i praktyk religijnych zaniedbywał. Obyczaje jego zawsze czyste były. Stosunek do Boga i Chrystusa znowu się ożywił pod wpływem kilku zdarzeń z życia, jak podróż do Ziemi św., a zwłaszcza spotkanie z Towiańskim. Ostatnie lata, to okres najbardziej religijny w życiu poety. Przekonany nawet, że jest powołanym do głoszenia ludziom prawd z góry mu odkrytych. Mniemane te objawienia zawierają poważne błędy, ale nic pewniejszego nad to, że Słowackiego nie można traktować jako herezyarchy uświadomionego, ale jako religijnego fantastę. Umiera niemal jak święty. Niepotrzebnie tylko ks. M. mówi o »nawróceniu«. Świadomie nie błądził, i niema dowodu, żeby przed śmiercią błędy swe odwoływał lub miał jakiś wyrzut sumienia z powodu takowych. Jak żył, tak umarł w dobrej wierze, godzącej się z materyalnymi błędami.

J. U.

Wspomnienia z powstania styczniowego i sybirskiej katorgi 1863—1869. *Leonard Mężyński,* majster ciesielski. Tarnopol 1910. Str. 162.

Do pamiętnika majstra ciesielskiego nikt nie będzie przykładał tej miary wymagań artystycznych, jak np. do »Zapisków z martwego domu« Dostojewskiego. Za to więcej naturalności

i szczerości. Autor nie tworzy, lecz przypomina sobie i opowiada przeżyte chwile walki i cierpień bez przesady, amplifikacyi, patosu. Tak jak opowiadać zwykł przygody bojowe wnuczkom swoim dziadunio-weteran. Nawet poprzekręcane nazwy i wyrazy rosyjskie wzmacniają tę cechę naturalności, autor bowiem tak je odtwarza, jak w jego słuchu pierwotnie się wycisnęły. Czytelnik znajdzie wiele szczegółów do charakterystyki Syberyi i życia w niej »politycznych-przestępców«.

J. U.

Żalejka. *Janka Kupały.* Pieciarburh. Str. 152.

Zahlanie sonce i ù nasze wakonce, zaglądnie słoneczko i w nasze okieneczko. Pod taką dewizą zawiązała się w Petersburgu przed paru laty spółka kilku ludzi dobrej woli, mająca na celu oświatę Białorusinów przez szerzenie utworów w języku rodzimym. Dorobek literacki tej spółki jest jeszcze skromniutki; parę elementarzy, czytanek, tłumaczenie »Pana Tadeusza« i dwa czy trzy zbiorki rodzimych poezyi. Do tych ostatnich należy i »Żalejka« (fujarka). »Graj, moja żalejko, śpiewaj jak słowiczek, opiewaj niedolę, opiewaj niewolę, i głoś swobodnie, że żyje kraj rodzimy«. W rzeczy samej Janko Kupała to poeta niedoli i niewoli tego ludu ośmiomilionowego, który spóźnił się, by na godach narodów zająć miejsce przy biesiadnym stole. Może teraz zapóźno? Kto może o tem wiedzieć? ale dziecię tego ludu chce pieśnią przypomnieć, że żyje lud ten zapomniany, że czuje, że śpiewa, choć śpiew jego smętny, jak smętną jego dola. Janko Kupała to prawdziwy poeta, bo tylko prawdziwie poetyczna dusza odczuje piękno nawet w tym jednostajnym, smętnym, piaszczystym kraju, tylko poeta prawdziwy, choć widzi »lud ubogi, wiecznie w łapciach, w łachmanach, nie umiejący czytać«, kocha jednak swoją Białoruś i zapewnia ją:

Jak kalib z jej razłuczyûsia,
Płakaŭ b s usich sił.
Ej, bo dzie woùk uradziûsia,
Jamu kust toj mił.

Tej swojej »storonce« pragnie lepszej doli, pragnie więcej chleba dla ciała, więcej oświaty dla ducha. Pragnie więcej »ziamielki« dla mużyczka, bo z tej, którą posiada, trudno mu wyżyć, i dobrze że jej pragnie. Ale tu i owdzie słyszy się fałszywy akord— to utyskiwanie na pana, na jego bogactwo, wyzysk. To może w duszy ludu zasiać tego rodzaju uczucia, które go z nędzy na pewno nie wydobędą. Należy się obejrzeć za innym, pewniejszym programem, a tymczasem i do panów stosować postępowanie według tych pięknych słów:

Lubimoś, maje susiedzi!
Kińma swarki, zwadki,
Żyjma, jak rodnyje dzieci
Adnej naszaj matki.
Szto ty majesz z swojej zwadki,
Z dzikaj nienawiści?
Ludzi tolki naśmiajucca,
I ûsiej toj karyści.
Ludzi tolki naśmiajucca,
Wragi skarystają,
Nad duszoj czort zapanuje,
Wnuki ciabie złajuć.

Ks. J. U.

Kirchenmusikalisches Jahrbuch. Gegründet von Dr. F. X. Haberl, herausgegeben von Dr. Karl Weinmann. 22. Jahrgang. Regensburg, Rom, New York und Cincinnati. Druck und Verlag von Fr. Pustet. 1909. 8-vo. IV i 172.

Jak przeszłoroczny tom wydawnictwa, z którego zdawaliśmy już sprawę w *Przeglądzie*, tak i tegoroczny odznacza się wyborową treścią.

Prac dostarczyli wybitni uczeni. Prof. dr. P. Wagner o słynnym starożytnym hymnie *O Roma nobilis,* J. Rennen o mszach J. Rheinbergera, H. M. Frey o palestryńczyku Rugg. Giovannellim (którego i u nas wiele śpiewano w XVII wieku), ks. dr. Mathias o uniwersalności katolickiej muzyki i t. d. Wśród mniejszych artykułów zwraca uwagę praca ks. d-ra Weinmanna o początkach reformy kościelnej muzyki oraz artykuły ks. O. Mayrhofera, Mathiasa; niepospolitą wartość posiadają sprawozdania z literatury muzycznej, pisane przez wydawcę oraz prof. d-ra Kroyera, A. Scheringa, L. Schiedermaira, H. Riemana, E. Schmitza, P. Wagnera, A. Einsteina i innych. Kto pracuje nad historyą i teoryą muzyki kościelnej, temu wydawnictwo ks. Weinmanna okaże się niezbędnem.

Dr. A. Ch.

Compendium der katholischen Kirchenmusik. Von *Dr. A. Möhler* und *Repetent O. Gauss.* Ravensburg. Verlag von Friedrich Alber, 1909. 8-o, XVIII+588.

Autorowie zebrali w swej książeczce zasady nauki historyi i estetyki i teoryi muzycznej i organologii. Jest to repetitoryum zawierające niezbędne wiadomości zasadnicze; historya wypadła zbyt pobieżnie — i to nawet historya katolickiej muzyki kościelnej. Nie brak błędnych poglądów, niezgodnych z ostatniemi badaniami nad tym przedmiotem, jakkolwiek wszędzie złożyli autorowie dowody, że najnowsze badania nie są im obce. Tendencye na ogół są bardzo zdrowe; byłyby one jeszcze zdrowsze, gdyby nie to, że zwłaszcza w dziale estetyki muzycznej czuje się jakąś radykalnie zabarwioną niechęć, zbyt mało argumentowaną i niezbyt *suavis in modo.* Bibliografia odznacza się starannością. To samo i te działy, które zajmują się wyłącznie muzyką kościelną. Dziełko to, mimo pewnych słabych stron i gdzieniegdzie po dziennikarsku traktowanego stylu można gorąco polecić, tem bardziej, że brak u nas polskich podręczników podobnego typu.

Dr. A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

20-ty kongres katolików włoskich w Modenie.

Po sześciu latach przerwy odbył się od 9—13 listopada w Modenie wiec katolików włoskich. Gdy burzliwy wiec roku 1904 w Bolonii dostarczył jasnych dowodów, że w katolickiej akcyi zwłaszcza partyi słynnego Murriego nurtują prądy niebezpieczne i skrajna lewica wprost zarażona jest zgubnymi dla katolicyzmu poglądami, zabrał się Pius X sam do reformy akcyi katolickiej. Atoli reorganizacya nie odbywa się łatwo i jednym zamachem, ale częściowo i powoli. Akcya katolicka odtąd podzieliła się na trzy grupy: *Unione Economico-Sociale* czynna jest na polu gospodarczem; do niej należą gospodarcze stowarzyszenia kredytowe, kasy ubezpieczeń, banki ludowe, organizacye zawodowe i inne podobne urządzenia; *Unione Elettorale* ma na celu organizacyę wyborczą, w pierwszym rzędzie odnoszącą się do wyborów gminnych ale ewentualnie także i do wyborów do parlamentu; *Unione Popolare*, odpowiada prawie niemieckiemu Volksvereinowi z centralą i stałemi wkładkami, zajmuje się rozszerzaniem katolickiej oświaty ludowej. Z powodu dalszych dekretów papieskich dołączyły się do tych istniejących grup jeszcze: *Organizacya młodzieży katolickiej* i *Związek pań katolickich*, mający cel podwójny, wychowania katolickiego i religijnej propagandy wśród kobiet. Nową katastrofą groził akcyi

katolickiej bunt przeciw encyklice *Pascendi*. Partya Murriego, hołdująca napiętnowanym w encyklice zasadom, odłączyła się częściowo od organizacyi katolickiej. Członkowie jej przeszli częścią na protestantyzm, częścią stali się racyonalistami, pod względem zaś społecznym zamienili się w socyalistów najczystszej wody. Jednak z apostazyą skrajnej lewicy nie zupełnie zostały usunięte różnice zdań i praktyk w obozie katolickim. Partya grupująca się około *Giornale d'Italia* a sympatyzująca z poglądani ruchu modernistycznego poczęła rzucać podejrzenia na Watykan, jakoby mu tylko chodziło o sparaliżowanie akcyi chrześcijańsko-społecznej. Dołączyły się do tego namiętne polemiki po gazetach, o charakterze osobistym i lokalnym, tak iż wciąż była obawa, że cała organizacya katolicka znów się rozpadnie. Że się to nie stało, zawdzięczać należy Piusowi X, który raz wytkniętego celu nie spuszczał z oka i godząc, zachęcając i wspierając, wszędzie dopomagał do utrzymania jedności. Dzięki tej jego pieczołowitości organizacya pomimo wielkich trudności i walk wewnętrznych mogła się poszczycić takimi wynikami, że liczba zorganizowanej młodzieży katolickiej podniosła się z 5000 do 15000, a *Unione Popolare* z 10000 na 150000 członków, nie mówiąc już o znacznych zyskach na polu gospodarczem, w organizacyach zawodowych i gospodarczych stowarzyszeniach kredytowych. Wśród takich stosunków i pewnej nieufności wzajemnej nie dziw, że odraczano ogólny wiec katolicki i że także z pewną obawą przystępowano do zwołania tegorocznego wiecu w Modenie. Tem się też tłumaczy żywy interes, z jakim świat katolicki śledził przebieg całego wiecu. Dziś możemy z radością donieść, że obawy, w części może i uzasadnione, okazały się płonne i wiec modeński dał dowód, że twarda próba, którą organizacya katolicka we Włoszech przeszła w latach ostatnich, zbliżyła ją do upragnionej jedności programu i czynu. Do udziału w wiecu byli przypuszczeni tylko członkowie pięciu wzwyż wymienionych organizacyi, które wprawdzie reprezentują całą od Kościoła uznaną akcyę katolicką we Włoszech, ale nie obejmują katolików wszystkich odcieni; stąd też obrady głównie tyczyły się spraw uczestniczących stowarzyszeń. Co zaś na tegorocznym wiecu szczególnie uderzało,

to fakt, że przeważała na nim liczba uczestników świeckich, a duchowieństwa było stosunkowo mało. Prezydentem wiecu był najznakomitszy konferencyonista włoski Marchese Crispolti. Jakim duchem owiane były prace posiedzenia i narady wiecu, zaznaczył w konkluzyjnej mowie swojej prezydent Crispolti, twierdząc, że powaga Stolicy św. podczas całego wiecu najwyższą zawsze była dyrektywą i że cały wiec zgodnym się okazał w trzech głównych postulatach: w dążności do praktycznej pracy katolickiej z organizacyą centralną; w stworzeniu wyraźnie określonego programu, któryby katolików odróżnił od innych partyi i w konieczności pracy społecznej dla dźwignięcia ludu. Przebieg całego kongresu jest tych słów Crispoltiego jawnym dowodem. Zaraz na pierwszej sesyi w Teatro Storchi odczytał generalny sekretarz wiecu Rezzara wyznanie wiary, ułożone przez barona Vito d'Ondes Reggia, które oświadcza, że kongres chce być wyłącznie katolickim i tylko zgodne z nauką Stolicy św. powziąć uchwały. Na południowem zaś posiedzeniu sławny profesor Toniolo, senior katolickiego ruchu we Włoszech, zestawił w programowej swej mowie zadanie akcyi katolickiej w trzech hasłach: dla ołtarzy! dla chrześcijańskiej kultury! dla reformy społecznej i zadań państwa! Burzliwy bardzo charakter przybrały obrady w sekcyach *Unione Economico-Sociale*, gdy sekretarz Rezzara, powołując się na encyklikę *Rerum novarum*, zaproponował zawodową organizacyę mieszaną t. j. składającą się z chlebodawców i robotników. Przeciw temu projektowi powstał Millioli, żądając organizacyi zawodowej dla samych tylko robotników, która przecież, jako czysto zawodowa, kościelnym dyrektywom się nie sprzeciwia. Ponieważ jego wystąpienie zyskało przychylność większości, wiceprezydent *Unione Economico-Sociale*, Bertone, widział się zmuszonym do przedłożenia w dniu następnym szeregu modyfikacyi w poprzednim projekcie, pod wpływem których ostatecznie odrzucono wniosek Rezzary o organizacyi mieszanej, dalsze zaś określenia zostawiono komisyi.

Kwestya dla włoskich stosunków bardzo drażliwa, tycząca się udziału katolików w życiu politycznem i narodowem, znalazła u t. zw. »Młodych« (demokratów chrześcijańskich) gorących rzecz-

ników, którzy domagają się, by udział katolików na tych polach był intensywniejszy i żywszy. Ponieważ na wiecu właśnie chrześcijjańsko-społeczni stanowili większość, przeto przyjęta została rezolucya Bertiniego o żywszy udział katolików w życiu polityczno-narodowem. A mogło się to stać tem łatwiej, że i »Młodzi« kościelnej dyrektywy nie odrzucają, a różnica zdań ograniczała się tylko do kwestyi taktycznych. Wobec tych zasadniczych spraw, które pochłaniały uwagę i siły wiecujących, sprawy dotyczące organizacyi *Gioventu cattolica Italiana* ustąpiły na drugi plan, zwłaszcza że jej obrady toczyły się wyłącznie prawie o kwestyach wewnętrznej organizacyi. Także obrady *Unione Popolare* i organizacyi pań włoskich toczyły się głównie nad dalszem wydoskonaleniem dotychczasowej akcyi, konstatując przytem pewien brak żywej i rozległej agitacyi.

Ogólne wrażenie wiecu bez wątpienia przedstawia się jako pewne zwycięstwo czynnego, postępowego, chrześcijańsko-społecznego kierunku »Młodych«, jako dowód, że prąd domagający się pełnego udziału katolików w życiu narodowem, nie wykluczając wyborów do parlamentu, staje się coraz silniejszym. To też nasuwają się przypuszczenia, że pomimo świetnego przebiegu wiecu modeńskiego, trudności w dalszej akcyi katolickiej nie zostały jeszcze usunięte. Jakikolwiek wypadnie sąd Stolicy św. o uchwałach tegorocznego kongresu, to jednak po ogólnem jednomyślnem uznaniu dyrektywy kościelnej, przynajmniej w zasadzie, należy stwierdzić, że obrady wiecu modeńskiego przyczyniły się na niejednym punkcie do wyświetlenia sytuacyi, do żywej inicyatywy na niejednem polu akcyi katolickiej i przedewszystkiem do większej jedności zdań i poglądów.

Z okazyi dorocznego wiecu katolików węgierskich

W połowie listopada odbył się w Peszcie doroczny wiec katolików węgierskich. Jednak mimo tych corocznych wieców i płynącej z nich inicyatywy dla akcyi katolickiej ani położenie katolicyzmu na Węgrzech ani widoki jego na przyszłość nie są różowe. Partye reprezentowane w parlamencie węgierskim częścią są obojętne, częścią nawet wrogie katolikom. Najważniejsza partya t. j. właściwa partya rządowa

dba wyłącznie o utrzymanie *status quo* i sprzeciwia się wszelkim zmianom, chybaby z góry zostały narzucone. Typowym jej przedstawicielem jest hr. Khuen-Hedervary. Frakcya katolicka, której przedstawicielem jest hr. Jan Zichy, chciałaby uwzględnienia religii w polityce, ale jest tak słabą i małą, że wpływ jej jest minimalny. Ma ona nadto do walczenia z nieprzejednanym wrogiem t. j. z partyą Tiszy i Zilinskiego, która jest w służbie protestantyzmu. Najruchliwszą może partyą jest stronnictwo Franciszka Szekelyego, postępowca i demokraty radykalnego w jednej osobie, hołdujące skrajnym zasadom loży i socyalnej demokracyi. Pomijając mniejsze partye, jak skrajnie nacyonalną Kossutha i Justha, partyę socyalistów i ludową, widzi się niestety, że położenie polityczne przedstawia się dla katolicyzmu bardzo niekorzystnie.

Przyczyny są dość jasne. Przedewszystkiem brak wpływowej prasy katolickiej. Jedynym większym dziennikiem katolickim jest *Alkotmany*, którego abonentami są przeważnie księża. Inteligencyi, którąby chciała korzystać z prasy katolickiej, niema, a nieuświadomione warstwy ludu nie odczuwają tej potrzeby. Za to bardzo liczne są wielkie gazety antykatolickie: *Budapesti-Hirlap*, *Pesti-Naplo*, *Egyetertes* i niedawno założony przez lożę za olbrzymie kapitały dziennik *Vilag* (świat). Jest to fakt tem smutniejszy, że Kościół węgierski należy do najlepiej uposażonych na świecie. Episkopat ma niezwykle wielkie dochody roczne (od 100000 do miliona guldenów), bogate bardzo są klasztory benedyktyńskie i między szlachtą jest jeszcze wielu bardzo majętnych magnatów. Ostatnie lata wykazały, że składki, urządzane przez biskupów po kościołach w każdą drugą niedzielę października, znacznie także zasilają kapitał prasowy. Byłoby więc rzeczą względnie łatwą stworzyć silną prasę, bez której o szerszej akcyi katolickiej nie może być mowy. Przy takim braku prasy katolickiej nie zadziwi nikogo, że i organizacya katolicka, choć dość liczna (taki Związek ludowy liczy $^1/_4$ miliona członków, jak twierdził prezes Związku Rakowsky na kongresie), nie odpowiada wymogom chwili obecnej. *Regnum Marianum* ma też cały szereg Kongregacyi Maryańskich, a przez nie możność wy-

robienia sobie przekonanych i dzielnych katolików, którzyby się poświęcić chcieli dla dobrej sprawy, ale wyniki do tego czasu są dość słabe. Stąd politycznie i społecznie nieuświadomiony lud, wydany jest przy wyborach w ręce ruchliwych agitatorów i głosuje za pierwszym lepszym, który potrafił z ciemnoty i demoralizacyi jego skorzystać. Nie wspominamy już o słynnej presyi rządowej przy wyborach węgierskich.

A czas najwyższy, aby katolicyzm na Węgrzech przypomniał sobie, że ma jeszcze środki w ręku dla zapobieżenia katastrofie. Posłowie do parlamentu nie tają się już wcale ze swymi wrogimi dla Kościoła zamiarami, głośno mówią o blizkiej sekularyzacyi dóbr kościelnych, o wyrugowaniu religii ze szkół po ich upaństwowieniu, o separacyi Kościoła od państwa i nikt się chyba nie łudzi, że dla tych żywiołów urzeczywistnienie programu fracuskiej loży jest celem upragnionym. Wiadomą także rzeczą, że Węgry znajdują się w wielkiej części w rękach żydowskich, kapitał żydowski już dziś wszechwładnie tam panuje, — jedna ulica Leopolda w Peszcie liczy 99 milionerów żydowskich — po doświadczeniach zaś francuskich i portugalskich, każdy wie, co to znaczy dla Kościoła katolickiego.

Byłoby więc w interesie Kościoła, aby zwłaszcza wielki majątek Kościoła węgierskiego został obrócony na naglące jego potrzeby. W całym kraju szkoła jest jeszcze w rękach Kościoła, każda parafia ma swoją katolicką, biskupią szkołę, możnaby więc przez założenie uniwersytetu katolickiego zapewnić katolickie wychowanie młodzieży akademickiej, również należałoby pomnożyć liczbę seminaryów nauczycielskich, zostających pod wpływem Kościoła. Nadto nie można także zapominać o finansowem wspieraniu organizacyi robotników, zakładaniu kas i przezornych innych instytucyi społecznych, bez których nie da się nawet wyobrazić jakakolwiek na szerszą skalę obliczona akcya katolicka. W tych wszystkich kierunkach potrzebny jest współudział kapitału. Dla jego braku w wielu wypadkach utyka i rwie się bardzo obiecująco rozpoczęte dzieło. To też tam, gdzie katolicy mogą nim dysponować, należy go użyć przedewszystkiem do poparcia tej akcyi katolickiej na szerszą skalę. *Principiis obsta*, bo może

być za późno. Wisząca nad katolicyzmem katastrofa, uniemożliwiłaby albo przynajmniej niezmiernie utrudniłaby wszelką akcyę. Dziś trzeba tylko leczenia, później trzebaby było wskrzeszenia.

Ostatnie zajścia na uniwersytecie krakowskim.

Młodzież akademicka Uniwersytetu krakowskiego t. zw. wolnych przekonań, a więc żydzi, socyaliści i liczni przybysze z Królestwa, przeszkodzili w imię wolności nauki pierwszemu wykładowi ks. prof. Zimmermana, który z początkiem bieżącego półrocza objął nową katedrę chrześcijańskich nauk społecznych. Gwałt ten wywołał ogólne oburzenie. Oburzyła się nawet *Nowa Reforma*, oczywiście ku wielkiemu zdziwieniu *Naprzodu* i — ogółu. Senat Uniwersytetu ogłosił w ostrej odezwie protest przeciw brutalnemu pogwałceniu wolności nauki i oddał całą sprawę prokuratoryi; gazety nie tylko polskie, ale i zagraniczne omawiały, stosownie do swego kierunku, sensacyjne zajście; akademicy, w celu omówienia sytuacyi, zwoływali wiece, na których znać było rozdrażnienie i napięcie chwili.

Wobec rozgałęzionej agitacyi antyreligijnej, która szczególnie usiłuje zdobyć wyższe uczelnie i na uniwersytetach zapewnić panowanie zasadom antykatolickim, z góry można sądzić, że ostatnie zajście, to nie tyle chwilowy wybryk młodzieży akademickiej, co raczej smutny objaw szerzącej się niewiary i wpływu wszechświatowej agitacyi żydowsko-masońskiej. Kto z początku inaczej myślał, tego mogły w tych dniach dostatecznie w tej sprawie pouczyć telegramy i listy, ogłoszone w *Naprzodzie*, wyrażające gratulacye i sympatye z ruchem krakowskim, od różnych przedstawicieli loży i wolnej myśli, jak np. list wiceprezesa belgijskiej Ligi Praw człowieka i głównego sekretarza dzieła Franciszka Ferrera i innych. Sympatyi ze strony lwowskiej Ligi akademickiej Wolnej myśli i podobnych elementów można się było spodziewać tem łatwiej, że właśnie niedawno, bo 12 listopada tego roku oświadczyli się ci panowie na wiecu antyteologicznym za podobnymi hasłami. Cała ta kamaryla wie zresztą doskonale, że nie jest odosobniona w uniwersyteckim świecie Austryi i że nie brak jej wpływowych protektorów. Stąd taka śmiała i taka zuchwała.

Nam katolikom powinno w tej sprawie chodzić przedewszystkiem o kwestyę zasadniczą, czy mianowicie światopogląd katolicki, reprezentowany przez 250 milionów ludzi na świecie, ma prawo żądać, aby po uniwersytetach, nie wyjąwszy krakowskiego, był uznany. Odpowiedź nie trudna i w niej przyczyna ogólnego oburzenia na brutalne postępowanie t. zw. młodzieży postępowej, która zapomniała, że jest tylko garstką, choćby nawet bardzo silną w głosie i pięści. Rozumiemy też dobrze to ogólne zdziwienie, jakie wywołać musiało hasło, że na uniwersytecie wolno wszystkie najradykalniejsze przekonania głosić. Katolicka młodzież krakowska nie wahała się śmiało stanąć w obronie swych praw i przekonań, ale ustąpić musiała brutalnej przemocy. Jest to fakt poważny, który zasługuje na uwagę wszystkich, którym katolicka sprawa leży na sercu, zwłaszcza że szersza sympatya lub antypatya między akademikami dla pewnego poglądu na świat nie pozostaje bez wpływu na samych profesorów. Stąd młodzież akademicka zasługuje na większe uwzględnienie w sferach katolickich, aniżeli do tego czasu się działo. Dla szwaczek, służących i robotników wszelkich kategoryi już od szeregu lat starano się o instytucye, stowarzyszenia, domy, kasy i wszelkiego rodzaju pomoc, aby ich ochronić przed nędzą materyalną, obyczajową i religijną i osłonić przed radykalną agitacyą żywiołów wywrotowych. I słusznie. Wyzysk, na jaki byli narażeni, energicznie się tego domagał. Ale czasem wyglądało to tak (i dziś jeszcze wygląda), jak gdyby ocalenie całego społeczeństwa przed zalewem prądów antyreligijnych i antyspołecznych wyłącznie zależało od osłony tych tylko warstw. Walka z socyalizmem zasłoniła oczy wielu na potrzeby bez wątpienia ważniejsze. Nadzieją przyszłości jest młodzież, a kolebką przyszłości to szkoły, między któremi szkoły średnie i uniwersytety zajmują pierwsze miejsce. Nie dbać o nie, nie dbać o fizyczne, duchowe i religijne dobro młodzieży, znaczy zaprzepaścić nadzieję przyszłości. Nierzadko spotkać się można z lamentami na temat demoralizacyi i niewiary wśród naszej młodzieży, ale bardzo rzadko słychać o środkach zaradczych, aby temu zapobiedz. Dla młodzieży akademickiej nastręczają się na pierwszy rzut oka, jako środki ochronne, stowarzyszenia katolickie i domy

akademików. Ostatnie wprawdzie nie są dzisiaj rzadkością, ale domy o charakterze wyłącznie katolickim, z wszelką gwarancyą dla moralności i przekonań religijnych, są u nas jeszcze nieznane. Nikt chyba nie wątpi, że takie domy dla przyszłości bez porównania większe miałyby znaczenie, niż domy robotników, Zytek i t. p., choć i tych potrzeba. Jeżeli katolicka ofiarność nie szczędzi grosza dla najróżnorodniejszych, nieraz dość podrzędnych celów, to tem bardziej nie powinna zamykać oczu na sprawy o wiele większej doniosłości i nie powinna oszczędzać funduszów na zakładanie takich ognisk katolickich. Równie ważne a łatwiejsze do przeprowadzenia są stowarzyszenia katolickie akademików, a jednak polskie uniwersytety w nie nie obfitują. Mówią, że temu winien charakter polski, zanadto indywidualny, nie znoszący regulaminu organizacyjnego. Jeżeli to prawda, to również prawdą zostaje, że młodzież zawsze i wszędzie jest towarzyska, przystępna dla podniety i zachęty, gotowa także do ofiar, gdy widzi, że nią się interesują i jej młodzieńczych zapałów i ideałów nie bagatelizują. Tego ostatniego najczęściej brak u nas. Sama sobie zostawiona, nie może wyjść z okresu prób, które ją mogą zniechęcić do dalszych wysiłków. Mamy przed sobą sprawozdanie »Polonii«, związku katolickiej młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie, w którem »po raz drugi poddaje publicznej krytyce swoją działalność roczną« i spodziewa się, »że sprawozdanie zyska jej zwolenników wśród polskiego społeczeństwa katolickiego, że zyska jej nowych członków«. Oby się to życzenie spełniło! »Polonia« dziś liczy 44 członków zwyczajnych, 8 członków seniorów, dwóch członków honorowych, 58 członków wspierających. Zważając na niezwykłe trudności, z jakiemi katolicka młodzież wszędzie i ponoś najwięcej w Austryi ma do walczenia, można stan »Polonii« uważać za zadawalniający, ale niekoniecznie świetny. Ze sprawozdania jej wynika, że w małem tem gronie młodzieży katolickiej Uniwersytetu krakowskiego dużo szlachetnego zapału dla religii i nauki, dużo zdrowego patryotyzmu i umiłowania spraw narodowych, że w nich widnieje nadzieja lepszej przyszłości. Niejednokrotne wystąpienie członków »Polonii« na wiecach ogólnoakademickich, jako też przy ostatniem zajściu na Uniwersytecie

krakowskim w obronie przekonań religijnych, wskazuje na najlepsze usposobienie członków, zasługujące na najżywszy interes i najgorliwsze poparcie ze strony katolickiej.

Tak samo Sodalicya akademicka i Zjednoczenie niejednokrotnie w zajściach ostatnich zajęły stanowisko stanowcze przeciw tyranii socyalistyczno-żydowskiej. Więc zdrowego elementu nie brak, ale silniejszej organizacyi i większego porozumienia potrzeba obok czynniejszej sympatyi ze strony ogółu.

Ks. A. Starker.

Przegląd artystyczny.

Wystawy krakowskie. — Powszechna wystawa sztuki we Lwowie.

W stosunkowo krótkim czasie, bo w ciągu miesiąca, zmieniono dwa razy wystawę sztuki w gmachu Tow. Przyj. Szt. P. na Placu Szczepańskim. Najpierw otwarto wystawę zbiorową Stan. Podgórskiego. Młody malarz, znany dobrze z lat poprzednich, wystąpił teraz z bardzo poważnym dorobkiem artystycznym i liczebnym, a co ważniejsze jeszcze, jakościowym. Tak kompletnego obrazu twórczości tego talentu jeszcześmy nie widzieli. Wielka sala gmachu wypełniła się niemal zupełnie jego dziełami. Podgórski ukochał pejsaż i poświęcił mu się całkowicie. Wyszedł on ze szkoły Stanisławskiego, przebył pierwsze lata szukań i pragnień, nieustannych studyów natury, odnalazł wkońcu swój właściwy ton czy kierunek i stanął teraz przed nami jako zdecydowany, twórczy talent, sumienny i głęboko czujący całą mowę, cały czar niewypowiedziany przyrody.

Studyum pejsażu nie jest łatwe. Pociąga nadzwyczajnie bujnością i zmiennością swego wyrazu, ale wymaga w zamian za to wielkiego poświęcenia, niemal zaparcia. Malarstwo przyrody to surowy zakon, nakładający nieraz twarde reguły życia. Zmusza ono często do szukania samotnych, odludnych stron, gdzieby w zupełnem odosobnieniu można się poświęcić całkiem nieustannej — niejako — kontemplacyi wzrokowej, wczuć się, wsłuchać w mowę przyrody i tą drogą tylko pojąć i zrozumieć istotę jej wszystkich przejawów. I dlatego w dawnych czasach i dzisiejszych, odkąd pejsaż sam dla siebie począł grać ważniejszą rolę, spotykamy zawsze przykłady podobnego poświęcenia.

Tego rodzaju zakonników przyrody naliczyć możemy jednak więcej w drugiej połowie ubiegłego stulecia, kiedy właśnie przez studyum pejsażu sztuka posunęła się naprzód, odkryła nowe prawdy, przedtem nieznane zupełnie. Do nich właśnie należy Franciszek Millet i szkoła plainairzystów, następnie impresyoniści i obecne czasy z Gauguinem i Van Gaug'em na czele. Charakterystycznym rysem ich wszystkich jest szczerość i prostota, której uczy obcowanie z naturą, a przytem dziwny sentyment czy nastrój, będący istotą albo duszą pejsażu, zależny od stopnia wczucia się, wsłuchania w przyrodę.

Te właśnie cechy posiada także Podgórski. Prostota, szczerość i głębokie studyum przemawia ze wszystkich płócien. Jego świat malarski obejmuje szerokie horyzonty, różnorodne tematy. Nie ma on bynajmniej jakiegoś zamkniętego koła, w którem się zawsze obraca, powtarzając ten sam temat w różnych waryacyach. Nie jest w ścisłem znaczeniu poetą-malarzem wsi polskiej, choć i tę u niego odnajdujemy. Nie. Pociąga go wszystko, w czem drga światło i barwa, wszystko, co tworzy świat i życie przyrody. Z równą bowiem miłością i sumiennością maluje zieleń traw polnych lub ogrodu wiejskiego, zmierzch wieczoru czy zmrok nad jeziorem, grę obłoków, harmonię kolorów kwiatowych, mgły poranne otulające lasy, wschody słońca w górach, niewyczerpane nastroje pejsażu zimowego lub całą krasę jesieni. Wszędzie ujmuje nas to samo wczucie się czy zasłuchanie w przyrodę i wielka szczerość.

Szczególnie świetnym był duży obraz nawprost drzwi wiszący »Zmrok«, który zapada zwolna nad zielonem polem, zarosłem mnóstwem badyli, słoneczników i ostów. Widać tu całą gamę różnych tonów zieleni, a przytem dobrze wyczutą wilgoć. Podobne tematy mamy po bokach poprzedniego zawieszone, wybornie wystudyowane. Studyum zieleni przynosi szereg płócien, np. »Zagroda« i prześliczna »Jabłoń«, albo raczej jej gałąź na tle fioletowych bzów. Niezwykle dobrym przez swój ogromny nastrój był »Wieczór nad jeziorem«. Spokojna tafla wodna, z boku ujęta w ramę bujnej zieleni, rozciąga się w bezmierną dal, zlewając się niemal z niebem. Niebo odbijające się w wodzie tworzy całą skalę ciepłych, pomarańczowo-fioletowych tonów. Świetnie zaobserwowane są »Obłoki«. Jest to dość duży obraz o dalekim horyzoncie. Na pierwszym planie parę kwiatów polnych na wysokich badylach, a za nimi jednostajna płaszczyzna pola czy stepu, przykryta błękitem nieba, poprzerywanym białemi chmurami.

Obok tych płócien można postawić inną grupę pejsaży górskich.

Np. »Zachód słońca w górach« uderza świeżością poranku górskiego, dobrze odczutą czystością atmosfery. Górskie szczyty, układające się w pasma fioletowo-błękitno-szaro-sine, rozpływają się w sinej dali nieba. Podobnie również fioletowo-sine szczyty gór, tonące w tumanach białych »Mgieł« doskonale oddają mroczno-groźny nastrój pejsażu górskiego. Całkiem inny sentyment wyraża obraz »Sitowia«. Nad dalekim, płaskim horyzontem wody, miejscami zarośniętym sitowiem, rozpostarło się niebo, całe brudno fioletowe, pokryte chmurami. Jest tu jakiś wielki smutek, pustka i spokój, przy ogromnej zarazem prostocie wybranego motywu i szczerości. Ten sam jakoby nastrój w przyrodzie, jakby uśpienie przynoszą »Mgły«.

Inną grupę tworzą studya kwiatów. Jest ich cały szereg, np. »Maki w słońcu«, rzucone na tło trawnika, zalane falą słońca. Był to motyw malarski bardzo trudny, pogodzenia właśnie walorów barwnych, jaskrawych kwiatów z głębokim stosunkowo tonem zieleni. Inny obraz »Begonie« przedstawia aleę w parku wiejskim, prowadzącą do starego dworu, wśród drzew ukrytego. Z boku trawnik, zasypany różnobarwnem kwieciem, grających silną gamą kolorów. Bardziej ztonowanym jest »Ogród« ze starym lamusem w oddali i krzakiem piwonii na pierwszym planie. Najlepszem ze wszystkich są niewątpliwie »Maki« (akwarela). Siny ton ściany i blado-błękitny miednicy, w której są zanurzone, tworzą bardzo piękną harmonię. Niemniej ciekawym jest też »Pejsaż zimowy«, dobrze wystudyowany i wyczuty. Także »Wieczór nad morzem« i »Cisza na morzu« nieźle ujmują nastrój krajobrazu zimowego.

Niepodobna w krótkim szkicu podnosić zalety każdego płótna osobno. Wszystkie razem wyrażają przedewszystkiem jedno uczucie wielkiego ukochania przyrody i szczerości. Przez to właśnie nie waham się postawić Podgórskiego w rzędzie pierwszych pejsażystów polskich. Po wielkim twórcy pejsażu polskiego Stanisławskim, on właśnie — niegdyś jego uczeń — mógłby rzeczywiście zająć i miejsce.

Z innych dzieł, zapełniających resztę sal, należy podnieść parę doskonałych akwarel Fałata, szczególniej świetne pejsaże zimowe i »Kościółek w Mikuszowicach«, Sz. Fromera bardzo ciekawe »Opactwo w Tyńcu«, przeglądające się w wodzie, a także »Uliczka w Wenecyi« i parę małych szkiców włoskich. Malarza tego odznacza duża subtelność w zestrojeniu harmonii kolorystycznych i głównym dla niego motywem w obrazie jest barwna plama. Akwaforty Jabłczyńskiego przynoszą widoki włoskie, głównie motywy architektoniczne, bardzo

starannie opracowane. Zbiorowo wystąpił równie Pieńkowski z szeregiem studyów kwiatowych, doskonale skomponowanych i »Dworków« wiejskich. Z tych jeden zwłaszcza, jesienią malowany, ma ogromnie dużo sentymentu. Niezmiernie ciekawym jest także tryptyk K. Sichulskiego »Rybak«. Przynosi on niedostępną gąszcz lasu, wraz z kapitalnie wyczutym nastrojem dziewiczej dzikości, nie spotykanej gdzieindziej. Dalej widzimy illustracye Procajłowicza, ładne studya pejsażowe Szygla, Wrzesińskiego, St. Czajkowskiego, ludowe tematy Krasnowolskiego, przedewszystkiem zaś »Dziewczyna z pawiami« i wiele innych.

Ładnie wydany katalog, ozdobiony paru auto-litografiami Podgórskiego, cieszył się dużem powodzeniem. Nie można nie wspomnieć o pewnej, korzystnej zmianie w wielkiej sali. Oto markiza, zawieszona zwykle pod samym sufitem sali, została opuszczoną i rozszerzoną. Przez to obrazy otrzymują dużo korzystniejsze, właściwie spokojniejsze oświetlenie. Z tych właśnie względów należałoby markizę dociągnąć do samych ścian, tak, jak się praktykuje na wszystkich wystawach zagranicznych.

Niedawno zmieniono wystawę. I znowu kilku artystów wystąpiło ze zbiorowemi wystawami, jak Tetmajer, Fałat, Karpiński, Żarnecki i Mączyński. Wielką salę wypełniło kilkadziesiąt dzieł Tetmajera. Artysta ten ukochał wieś polską, zżył się z nią i ona jest głównym tematem jego pracy. Życie wiejskie w różnych swych objawach, tak w pracy, jak i w zabawie znalazło w nim swego najlepszego piewcę. Przytem jednak studyum pejsażu nie cofa się nigdy na dalszy plan. Przeciwnie, często bardzo wysuwa się naprzód. Wówczas widzimy owe bezmierne łany złotego zboża, tchnące świeżością i wilgocią zielone łąki, albo nagie, brunatne ugory ziemi, dopieroco zaoranej. Zwykle te studya ożywia jeszcze Tetmajer przez wprowadzanie figur, przeważnie używanych jako sztafaż. Ulubionym jego motywem malarskim są żniwa. I na obecnej wystawie spotykamy się z niemi. Wśród puszystych, bujnych łanów szereg dziewek wiejskich, w malowniczych chustach i jaskrawych spodnicach. Także studyum portretu poświęca się z zamiłowaniem, wystawiając kilka obecnie. Z tych najlepszym może jest portret żony i teścia swego. Oba przynoszą nam dwa piękne typy naszego ludu, pojęte szczerze, bezpretensyonalnie. Nie można pominąć milczeniem całego szeregu drobnych obrazków, niezmiernie ciekawych. W nich bowiem odbija się cały świat zwyczajów wsi polskiej. Widzimy, jak lud obchodzi święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy. Są to bowiem małe sceny, chwytane bezpośrednio

z życia i silnie pulsujące tem życiem czyto w zabawie, jak podczas Śmigusu, czy w czasie obchodzenia z »szopką« lub »gwiazdą« na Boże Narodzenie.

Mimo tej bardzo obfitej produkcyi nie można się oprzeć jednemu wrażeniu. Oto oglądając obrazy Tetmajera, doznajemy wrażenia nudy. Widzimy znowu to samo, cośmy już tyle razy widzieli. Nie dostrzegamy natomiast żadnego rysu nowego, zdradzającego jakąś nową fazę w twórczości. Zawsze ta sama, jednaka maniera wyciśnięta na każdem płótnie. Można powiedzieć, że Tetmajer maluje obecnie z przyzwyczajenia. Malarstwo stało się jego nie potrzebą duchową, ale nałogiem. Uderza u niego przytem brak głębszego studyum, a właściwie razi płytkością.

Podobne refleksye do pewnego stopnia nasuwa także zbiorowa wystawa Fałata, rozwieszona na ścianach »świetlicy«. Dwadzieścia kilka akwarel, malowanych w ostatnich, zdaje się, miesiącach, przynosi nam po większej części pejsaże jesienne. I ta sala robi dość przykre wrażenie. Przywykliśmy oglądać innego Fałata. Jeszcze na poprzedniej wystawie miał parę świetnych rzeczy. Obecna zaś jego wystawa świadczy o jakimś nerwowym pośpiechu. Wszędzie uderza ogromna rutyna, a nawet brawura, ale to już nie to, co dawniej. Czegoś jakby tu brakło. Coś nie dopisało. A przytem widzimy powtarzanie się, zwłaszcza w motywach pejsażowych. Z tego jednak nie możnaby mu robić zarzutu. Przeciwnie. Czasami jeden i ten sam motyw może być niezmiernie zajmującym i zawsze nowym tematem. Pamiętamy np. Wyspiańskiego »Widok na kopiec Kościuszki« tyle razy malowany z okna mieszkania, zawsze w tem samem ujęciu, a zawsze tak inny, tak ciekawy. Tymczasem tu uderza nas, obok powtarzania motywów, więcej jeszcze jakiś pośpiech czy spychanie tych obrazów. W niektórych nawet rażą grube błędy rysunkowe, jak np. w dużym dość obrazie »Studyum kobiece na werandzie«, gdzie linie górne i dolne stołu mają zupełnie rozbieżne kierunki. Tu i ówdzie w pejsażach znać także dużą nierówność. Niektóre bowiem partye, zwłaszcza lasu i ziemi, są wcale dobre, natomiast nieba robione są jakby z pamięci. Zwykle występuje tu kolorkowy błękit, bardzo przypominający farbkę do prania bielizny, czasem poprzerywany stereotypowymi obłokami. Jest przecież jeden doskonały obraz, który ukazuje nam całe mistrzowstwo artysty. Wisi koło drzwi do głównej sali a przedstawia pejsaż zimowy: na polu zasłanem śniegiem sterczy dachami parę przyziemnych chat, dalej zaś rozciąga się wzgórze. Świetny obraz. Czuć tu mróz, pustkę i wzbie-

rającą zawieruchę śniegową. I nadzwyczajna brawura techniki: połowa obrazu ze śniegiem, to czysty papier, na który rzuconych tylko parę plam oznacza chaty wiejskie. Na prawo od wejścia zatrzymuje uwagę duża akwarela: kawałek polany bez drzew, na tle nieba, z drogą w dół zagiętą i samotną figurą Chrystusa na krzyżu. To również pod każdym względem doskonała rzecz. Także studyum dwóch chłopców, siedzących na łóżku, mówi o wielkim talencie malarskim.

Alfons Karpiński przedstawił obecnie aż dwanaście swych prac. Artystę tego tak rzadko spotykamy, że mimowoli nie możemy się oprzeć zdumieniu na widok jego zbiorowej wystawy. Z zaciekawieniem ją oglądamy, tem bardziej, że na obecnej wystawie Karpiński ma rzeczy najwięcej interesujące. Pociąga głównie studyum portretu, przeważnie kobiecego. Znać tu pewien wpływ, jakby rozważne zapatrzenie się na malarstwo francuskie. Duża finezya w odczuwaniu wdzięku modela, a także znaczne wyrafinowanie w jego upozowaniu, opanowanie techniki malarstwa, oto wysokie zalety Karpińskiego. Środek ściany zajmuje duży portret damy, w czarne jedwabie ubranej, z białą kryzą na szyi. Stoi do nas bokiem, założywszy w tył ręce, trzymając głowę zwróconą więcej *en face*. Jest to najlepszy obraz w obecnej wystawie. Subtelność w modelowaniu współzawodniczy doskonałem malowaniem sukni. Po bokach wiszą dwa studya kobiece, z których szczególniej ciekawem jest to po lewej stronie: model kobiety z profilu widziany, o pysznych miedzianych włosach, w dużym kapeluszu czarnym i z czarnem futrem, zarzuconem na nagie ramiona. Bliżej drzwi zatrzymuje świetne studyum pastelowe głowy kobiecej z ogromną finezyą wyrazu rysów. Dalej parę lekkich akwafort kobiecych, portret pastelowy damy, na tle żółtej ściany i parę pejsażów francuskich, z doskonałym większym »Pont neuf w Paryżu«.

Salę z bocznem światłem wypełnia zbiorowa wystawa architekty p. Fr. Mączyńskiego. Rysunki, szkice, projekty i pastele zajęły wszystkie ściany, mądrze i wcale wykwintnie rozmieszczone. Na pierwszy plan wysuwają się doskonałe witraże, robione dla Izby handlowej. Są one małe, choć naturalnej wielkości i tu prezentują się lepiej, niż na miejscu, t. j. w Izbie handlowej. Tam bowiem rozrzucone są na tle wielkich, bezbarwnych okien klatki schodowej. Tymczasem one raczej nadawałyby się więcej do dekoracyi małych okien, umieszczane pojedynczo na jednostajnem, zmatowanem tle. One też są najlepsze z całej sali. Przedstawiają szczyty i wieże kościołów krakowskich albo motywy, zaczerpnięte z życia handlowo-przemysłowego, np. kominy fa-

bryczne, kopalnie i t. d. Uderza w nich doskonała kompozycya, koloryt i rysunek. Poza tem widzimy szeregi szkiców, rysowanych po całym świecie, zdradzających ogromne poczucie autora dla linii architektury. Dołem rozwieszone kapitalne rysunki ze starego Krakowa, które wybraniem motywu i jego skomponowaniem, jak również dużym sentymentem nie mają sobie równych. One właśnie złożyły się na śliczną książkę Mączyńskiego »Ze starego Krakowa«, która szerokiem echem odbiła się po kraju. Pod samym sufitem rozpięto parę szkiców dekoracyjnych o motywach liściowych. Przypominają one nieco podobne studya St. Wyspiańskiego. Zresztą wystawa p. Mączyńskiego jest obrazem — nie jego twórczości, jako architekty w ścisłem słowa znaczeniu — ale jego wielkiego rozmachu rysunkowego, do którego czuje szczególniejszy pociąg.

W przyległej sali z górnem światłem znajdujemy zbiorową wystawę p. Żarneckiego. Głównem polem jego pracy jest portret, w którym daje czasem rzeczy zupełnie doskonałe, np. portret oficera w pozie siedzącej. Poza tem spotykamy jeszcze obrazy J. Piotrowskiego, Borkowskiego, Strojnowskiego i innych.

Ku uczczeniu jubileuszu grunwaldzkiego Lwów urządził wielką, powszechną wystawę sztuki polskiej. Zadanie miał o tyle ułatwione, że był do dyspozycyi Pałac sztuki, pozostały z wystawy krajowej z przed dwudziestu lat, wybudowany właśnie na pomieszczenie ówczesnej wystawy sztuki. Obecna wystawa miała wszelkie widoki powodzenia i mogłaby odnieść zupełny sukces, gdyby komitet organizujący miał lepsze pojęcie o swych obowiązkach i o celu wystawy. Celem takiej wystawy miało być danie całokształtu artystycznej twórczości z ostatniego dziesięciolecia. Tak bowiem był określony cel tej wystawy w zaproszeniach do wzięcia w niej udziału, rozsyłanych artystom. Drugiem głównem zadaniem miało być zapewnienie jej powodzenia finansowego pod względem sprzedaży. I w tym kierunku były szczególnie pomyślne zapowiedzi. Komitet organizacyjny miał bowiem do dyspozycyi na zakupno obrazów przeszło 50.000 koron, a zatem w naszych stosunkach sumę bardzo wielką, którą uzyskał drogą specyalnych subwencyi od miasta, kraju i państwa. Nadto jeszcze otrzymano pozwolenie na urządzenie artystycznej loteryi z obrazów i rzeźb na ten cel z wystawy zakupionych.

A zatem — jak widzimy — były wszelkie dane zupełnego powodzenia pod każdym względem. Tymczasem wystawa się nie udała. Była licznie, a nawet masowo odwiedzana. I to jest jedyny jej sukces.

Dochód ze wstępów przeniósł podobno sumę 20.000 koron, a trzeba zaznaczyć, że była głównie otwartą w miesiącach letnich, które znaczna część mieszkańców spędza poza Lwowem.

Najpierw mijała się ze swym celem, powyżej zaznaczonym. Nie była ona zupełnie obrazem twórczości artystycznej ostatniego dziesięciolecia. Brakło na niej bowiem Wyspiańskiego i Wyczółkowskiego, a zatem dwóch wybitniejszych malarzy współczesnych, nie wspominając o innych. Następnie wielu z pierwszorzędnych talentów miało po jednej lub po dwie rzeczy mniejszej wartości. Do takich należeli Weiss, Ruszczyc, Lentz, Fałat, Dębicki i i. Poza tem całokształt wystawy robił wrażenie, że komitetowi chodziło przedewszystkiem o ilość, a nie o jakość wystawionych prac. Obok rzeczy dobrych uderzała przeważna znacznie ilość obrazów tak słabych albo przestarzałych, że stanowczo nie powinny się były znaleźć na wystawie. Pod względem urządzenia przedstawiała się bardzo niekorzystnie. Spotkać tu można było obrazy o charakterze panoramicznym np. »Wilki« p. Kowalskiego, z tą wystawą nie mające nic wspólnego, albo pomysł tak potworny, jak ustawienie olbrzymiej wielkości gipsowego odlewu z konnego pomnika Pułaskiego w małej, ciasnej sali. Następnie co miała znaczyć »Czytelnia wystawy, urządzona i dekorowana przez firmę S. Scheina we Lwowie« zapomocą wschodnich dywanów (!), w której były różne pisma polskie nie mające znów nic wspólnego ze sztuką. Przecież szło się na zwiedzenie wystawy a nie na przeglądanie gazet w czytelni. Ostatecznie miałaby ona swe uzasadnienie, gdyby w niej zebrano pisma czy książki odnoszące się do sztuki polskiej a tem samem do obecnej wystawy. Ale w takim razie nie należało jej dekorować zapomocą dywanów wschodnich. Tak, jaka była urządzoną, robiła wrażenie niesmacznej *gratis* reklamy jakiejś firmy p. Scheina ze Lwowa.

Równocześnie dziwnem — co najmniej — i zagadkowem trzeba nazwać postępowanie komitetu w sprawie zakupna obrazów. Wszędzie na zagranicznych wystawach jest przyjęty zwyczaj, że państwo czy miasto ma prawo pierwszeństwa wyboru dzieł, zakupywanych do publicznych galeryi i muzeów. Wybór ten następuje czasem przed otwarciem wystawy lub w pierwszych dniach potem. Tymczasem wystawę lwowską już zamknięto, a nikt nie słyszał o zakupnie obrazów dla lwowskiej galeryi, mimo że na ten cel było z góry przeznaczonych kilkanaście tysięcy koron, jako umyślna subwencya rządowa i krajowa. Przytem trzeba zaznaczyć, że obowiązkiem komitetu wystawy jest

ułatwianie artystom sprzedaży dzieł, nie tylko w formie odbierania pieniędzy, ale przedewszystkiem przez zachęcanie publiczności do kupowania. A przecież nic tak nie podnosi artysty w oczach społeczeństwa, nic tak nie zachęca, jak karta przypięta do obrazu z napisem: »Zakupiono do galeryi miejskiej z funduszu subwencyi rządowej«. Ale takich kart jednak nie można było znaleźć na wystawie lwowskiej. Natomiast chodziły dziwne, trudne do wiary pogłoski, które się niestety potem sprawdziły, że obraz p. Brandta »Bogarodzico« zakupiono dla Galeryi miejskiej za sumę 16.000 koron. Można się zachwycać p. Brandtem lub nie, można kupować jego dzieła do Galeryi z funduszów publicznych lub nie. Ale nie wolno było wydać tej sumy z funduszów obecnej wystawy, dlatego, że obraz ten, jako kierunek znacznie starszy, nie ma nic wspólnego z malarstwem ostatniego dziesięciolecia. Poza tem jest to obraz całkiem słaby.

To samo trzeba powiedzieć o loteryi. Wystawę zamknięto, a nikt nie widział, jakie obrazy przeznaczono na wygrane i obrazów tych podobno dotąd nie zakupiono. Proszę sobie wyobrazić loteryę np. pieniężną, na którejby nie powiedziano naprzód wygranych, od największej do najmniejszej. Przecież na każdym losie każdej loteryi są podane. I one decydują o jej powodzeniu. A przytem to trzeba zaznaczyć, że przez parę tygodni po otwarciu wystawy, kiedy było najwięcej zwiedzających i kiedy się publiczność dopominała o losy loteryi, losów tych nie można było kupić, bo podobno spóźniono się z ich drukiem. To jest już lekceważące niedbalstwo ze strony komitetu.

I wiele innych możnaby jeszcze podnieść zarzutów. Tak np. dlaczego pominięto zupełnie artystyczny przemysł polski. Dlaczego nie było na wystawie pięknych kilimów polskich, projektowanych przez członków Tow. Sztuki Stosowanej. Dlaczego nie było przepysznych makat buczackich. Przecież te rzeczy były jakby umyślnie stworzone do dekoracyi np. takiej »czytelni wystawy«. Jakiem prawem znalazły się zamiast nich wschodnie dywany tureckie i perskie, nie mające nic wspólnego z wystawą sztuki polskiej? Nie można także nie wspomnieć o katalogu wystawy, który wydano z takim nakładem, ozdabiając go kilkudziesięciu illustracyami. Czyż nie należało umieścić na początku maleńkiego wstępu, informującego publiczność o celu wystawy i o pobudkach jej urządzenia, o rozwoju sztuki w okresie dziesięciolecia. Przecież można się było wzorować na świetnym katalogu prof. Antoniewicza z wystawy sztuki polskiej w r. 1890. Za granicą zawsze

niemal katalogi podobnych wystaw mają liczne objaśnienia dla publiczności. A przytem katalog lwowski w wielu miejscach musiał się rumienić za swoich autorów, np. pomiędzy artystami wymieniony »Krakowski zakład witrażów«. Albo w dziale illustracyi umieszczono rysunek jakiejś głowy męskiej Wyspiańskiego i podpis »† Stanisław Wyspiański (ze zbiorów Paonu)« — co to miało oznaczać? A równocześnie z jakiej racyi wydrukowano tak długie objaśnienia szczegółowe do obrazków p. Stachiewicza. Katalog wystawowy nie jest bynajmniej polem do wypisywania całych anegdot. Jeszcze inne, podobne niedomagania w katalogu można było zauważyć.

Zastanawiając się nad pozytywnym rezultatem wystawy, trzeba przyznać otwarcie, że przedstawia się on nadzwyczaj smutno. Cała organizacya wystawy była karygodnem lekceważeniem czy niedbalstwem. Komitet wystawy nie rozumiał czy nie chciał rozumieć swych obowiązków. Były do dyspozycyi komitetu wielkie sumy, które przy mądrej organizacyi można było jeszcze podwoić. Tymczasem nie spełniono tutaj — jak to widzieliśmy — głównych, zasadniczych zadań wystawy, tak co do jej urządzenia, jak i gospodarki funduszami. Nic dziwnego, że taki komitet nie umiał wzbudzić zaufania u artystów i u właścicieli obrazów, którzy nie chcieli mu powierzać swych dzieł. Widocznie jedni i drudzy przeczuli smutny sukces wystawy w kierunku ujemnym.

Franciszek Klein.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909.

Królestwo Polskie i ziemie zabrane.

W czasach przedkonstytucyjnych o utworzeniu jakiegoś nowego stowarzyszenia naukowego polskiego w Warszawie ani mowy być nie mogło. »Bracia-Słowianie« rosyjscy, pouczeni zapewne przez zasadniczych wrogów Słowiańszczyzny, przejawili w niszczeniu wszelkiej kultury zachodniej wandalizm wprost bestyalski, mogący śmiało iść o lepsze z barbarzyństwem pruskiem. Dopiero pierwsze chwile tak zwanej »konstytucyi« pozwoliły pomyśleć o stworzeniu bodaj imitacyi tego co mieliśmy lat temu sto z górą, wówczas, kiedy Rosyą rządziła ciemnota krańcowa. A że ciemność nie znosi nigdzie i nigdy światła, to też »bracia-Słowianie-zdobywcy« zaczęli swoją działalność w kraju

»podbitym« od niszczenia wszystkiego, co mogło z siebie wydać bodaj iskrę. W równy a podły sposób, w jaki zwinięto najwyższą litewską uczelnię, zrabowano też nam Tow. Przyj. Nauk. Ale dzieje świata uczą, iż przemocą nie zdusi ognia zapału prawdziwego.

To też, pomimo rozmaitych utrudnień i represyi ze strony rządu »słowiańskiego«, społeczeństwo polskie, wyzyskując ustawę o stowarzyszeniach, powołało do życia najwyższą instancyę naukową w Królestwie — *Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie.* Przedsięwzięciu takiemu sprzyjała chwila, gdyż apatya ogółu, jaka ujawniła się w stosunku do spraw politycznych, nie objęła bynajmniej spraw kulturalnych. Co więcej, ogół, usunąwszy się od polityki, całą swoją energię skierował ku twórczej pracy kulturalnej, która objawiła się przedewszystkiem w kółkach rolniczych, stowarzyszeniach oszczędnościowych i współdzielczych, fundowania domów ludowych, czytelni i bibliotek publicznych. Sprawdziło się przysłowie prastare, że *inter arma silent Musae.* Przekonawszy się o zbędności przedstawicielstwa polskiego nad Newą — zabrano się do pracy w kraju.

Towarzystwo Naukowe, istniejące już od lat dwu, zdołało zgrupować dokoła siebie większość osób, pracujących w jakiejkolwiek dziedzinie nauki czystej. Wobec tego nie można dziwić się, iż rozwija się ono bardzo powoli, tak że jest obecnie najmniej licznem stowarzyszeniem w Warszawie, w swoich szeregach bowiem liczy zaledwie 86 członków. Stan taki jest wynikiem deklaracyi twórców i inicyatorów Tow., którzy zastrzegli się jak najkategoryczniej przeciwko wdzieraniu się tłumu do świątyni nauki. Ideałem ich było nieożywione, ruchliwe, bezpośrednio stykające się ze wszystkimi miłośnikami wiedzy, dawne Tow. Przyj. Nauk, które pozostawiło po sobie tyle pięknych tradycyi i obudziło tak wiele zapału do nauki wśród kostniejącego w rygorze wojskowym społeczeństwa.

Tow., na którego czele stoi tyle zasłużony historyk p. M. Jabłonowski, dzieli się na trzy wydziały, a mianowicie: na językoznawstwa i literatury (członków 19), nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii (czł. 30) oraz nauk matematycznych i przyrodniczych (czł. 37). Wydział pierwszy odbył w ciągu roku ubiegłego 9 posiedzeń, drugi 14, a trzeci 9. Na posiedzeniach tych były wygłaszane referaty naukowe, nad którymi toczyła się następnie dyskusya. Przeciętna liczba uczestniczących w posiedzeniach nie przenosiła cyfry 17-tu osób, co jest objawem niezbyt pomyślnym.

Obok wydziałów istniały przy Tow. specyalne komisye, a mianowicie: językowa, antropologiczna, historyczna, meteorologiczna i rewizyjna. W nich ogniskowała się głównie działalność Tow. Stąd też nie godzi się przejść obok nich mimo. A zatem: Komisya językowa odbyła cztery posiedzenia, na których omawiano między innemi: sprawę podjęcia dalszego wydawnictwa »Słownika języka polskiego«, rozpoczętego przez Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwieckiego, chociaż ostateczny rezultat wypadł niepomyślnie, gdyż względy prawne i materyalne nie pozwalają obecnie Tow. na podjęcie tego zadania. Ponadto komisya językowa uchwaliła podjąć się monograficznego opracowania języka wybitnych pisarzy polskich, przedewszystkiem stylistów XIX wieku pod względem słownikowym, semazyologicznym, składniowym, frazeologicznym i stylistycznym, ażeby w ten sposób przygotować materyał do wielkiego Słownika pisarzy polskich XIX w. Pracę postanowiono rozpocząć od zbadania języka Jana i Jędrzeja Śniadeckich oraz twórcy »Króla Ducha«. — Komisya antropologiczna wysłuchała na czterech posiedzeniach sześciu referatów, a nadto uchwaliła wystosować odezwę do ogółu w sprawie ochrony zabytków przedhistorycznych oraz składać przedmioty przedhistoryczne, nadsyłane do komisyi w depozyt, do muzeum p. Majewskiego, który zawiadomił komisyę o zamiarze ofiarowania swoich nader cennych (utrzymuję tak z autopsyi!) zbiorów przedhistorycznych T. N. W. i funduszu na budowę własnego muzeum. Poruszano również na posiedzeniach komisyi sprawę wskrzeszenia czasopisma *Wisły*. (Czy ale co z tego będzie?...)

Najruchliwiej przedstawia się działalność Komisyi historycznej, która odbyła sześć posiedzeń, rezultatem zaś ich nakreślenie planu działalności na czas najbliższy. Plan ten obejmuje: 1) wydanie Kodeksu Mazowieckiego pod kierunkiem p. Jana Kochanowskiego; 2) wydanie Kodeksu m. Warszawy przez pp. K. Wachowskiego i J. Siemieńskiego; 3) wydanie pod redakcyą p. Konopczyńskiego i p. Jastrzębskiej dyaryuszów sejmowych z XVIII wieku; 4) wydawanie systematyczne »Materyałów do dziejów wsi polskiej« przez p. I. T. Baranowskiego, oraz 5) ogłaszanie źródeł do dziejów Księstwa Warszawskiego.

Do druku przygotowano już pierwszy tomik »Materyałów do dziejów wsi polskiej« i zeszyt źródeł do dziejów Księstwa Warszawskiego, opracowany przez p. H. Konica. — Nadto Komisya postano-

wiła zająć się katalogowaniem prac, tyczących się rzeczy polskich, rozproszonych po wydawnictwach rosyjskich i inwentaryzowaniem archiwów Królestwa. Część tej inwentaryzacyi została już dokonana. — Znany historyk p. M. Jabłonowski przekazał »Komisyi historycznej« swoje wydawnictwa »Źródeł dziejowych« i »Tek Pawińskiego«, które też będą prowadzone w dalszym ciągu w tym samym kierunku. Obecnie drukuje się część druga tomu XVII-go, obejmująca materyały geograficzno-statystyczne do Podlasia. Nadto przygotowano materyały do takiegoż opisu Prus Królewskich. — K o m i s y a m e t e o r o l o g i c z n a odbyła również cztery posiedzenia, na których omawiano między innemi sprawę urządzenia obserwatoryum astronomicznego i meteorologicznego w okolicach Warszawy, niezależnie od istniejącej już stacyi przy »Muzeum handlu i przemysłu«. — Zapomóg pieniężnych na prowadzenie badań naukowych nadano sześć.

Działalność *Tow. Naukowego* jest zaledwie w zaczątkach. Cele ma ono doniosłe, zamierzenia jak najpiękniejsze, ale... przeszkodę zasadniczą w urzeczywistnieniu owych zamierzeń stanowi na każdym kroku... brak pieniędzy. Brak ten uwidoczniony został w sposób aż nadto wyraźny w preliminarzu budżetowym, według którego ogół wydatków kancelaryjnych obliczono na 805 rubli ogółem, koszt druku sprawozdań miesięcznych na 1.500 rubli, a wydatki na trzy wymienione wyżej wydziały 2.280 rb., czyli razem 4.635 rubli. Tymczasem w rubryce »dochodów« znajdujemy pozycye znacznie niższe, gdyż preliminowano: 800 rb. w składkach członków, 250 rb. w procentach od funduszu, wreszcie rb. 30 ze sprzedaży biuletynów miesięcznych. Ponadto spodziewane datki dobrowolne obliczono na 550 rb., a z tego wszystkiego wynika n i e d o b ó r w wysokości 3.00[illegible] rb, pozostających do pokrycia. W niedobór powyższy, przewidywany z góry, nie chce się wprost wierzyć. Przecież najwyższej instytucyi polskiej w Warszawie nie przystoi walczyć z brakami materyalnymi! I tutaj nie możemy wstrzymać się od wypowiedzenia refleksyi wcale nie wesołej, jaka nasuwa się nam mimo naszej ku niej niechęci. Na całe Królestwo Polskie przypada stowarzyszeń naukowych tylko sześć, t. j. o dwie trzecie mniej, aniżeli na sam Lwów lub Kraków. Stowarzyszenia galicyjskie nie wykazują niedoborów, choć przy swojej pracy intensywnej, dziwićby się nie można, gdyby deficyty zachodziły bodaj tu i ówdzie. Ale, żeby społeczeństwo w Królestwie było do tego stopnia obojętne, iżby nie udzieliło poparcia materyalnego instytucyi za-

sługującej na nie pod wszelkimi względami, to już jest czemś gorszem, aniżeli jest prosta lekkomyślność. Budować umieliśmy, konserwować budowy nigdy!...

* * *

Jedyne u nas, a istniejące dopiero rok trzeci *Towarzystwo krajoznawcze* ma wielką już zasługę za sobą, ale też niemniejsze zadania w przyszłości, skoro nawet wśród tak zwanej inteligencyi mogła znaleźć się we Lwowie pewna urzędniczka pocztowa, która nie wiedziała, jak się okazało, w jakim kraju leży — Lublin, skutkiem czego najzupełniej usprawiedliwionym był zgiełk uczyniony wówczas przez prasę. Spotykałem często ludzi zresztą wcale poważnych, ale na tyle ignorujących znawstwo kraju ojczystego, że nie wahali się chlubić znakomitemi wiadomościami, wyniesionemi z autopsyi, o Francyi, Hiszpanii i krajach zamorskich, ale z pewnością nie potrafiliby bodaj określić tylko położenia Kruszwicy lub Dubna czy Święcian. W tej mierze moglibyśmy śmiało iść w zawody z przysłowiowymi Francuzami.

Ale — dość zrzędzenia, bo chyba wystarczy zauważyć poprawę w kierunku wspomnianym, jaka dokonuje się w Królestwie Polskiem, skoro Polskie Tow. krajoznawcze potrafiło dotąd skupić 1.700 członków, zrzeszonych w 51 oddziałach prowincyonalnych. Z pomiędzy nich najruchliwsze są oddziały: łódzki, kujawski, częstochowski, miechowski i piotrkowski. O pracy ich, a niemniej o pracy samego stowarzyszenia centralnego świadczy istnienie ośmiu muzeów prowincyonalnych. O ważności takich muzeów nie potrzeba chyba nikogo przekonywać. chociaż mamy przed sobą jeszcze bardzo wiele do zrobienia w tym kierunku, zwłaszcza w Galicyi. — Znajomość kraju ojczystego szerzyło Tow. skutecznie zapomocą wydawania specyalnych monografii. W r. ub. wydano monografię Częstochowy, w opracowaniu zaś znajduje się obecnie monografia Łysej Góry. Znajomość kraju szerzono także przez wycieczki w rozmaite strony, w których wzięło udział 4000 osób. Obecnie znakomitym czynnikiem pomocniczym w tej pracy stał się tygodnik krajoznawczy *Ziemia,* który zdobył sobie naczelne stanowisko dzięki doborowi artykułów oraz reprodukcyom, wykonanym artystycznie.

Ruch odczytowy w instytucyi centralnej przedstawia się bardzo dobrze. Szczupłość ram niniejszego artykułu zmusza nas do streszczania się najzwięźlejszego, to też wymieniamy tylko prelekcye: p. Kulwiecia i M. Wisznickiego o wycieczce na Podole, p. A. Ja-

nowskiego »Krajoznawstwo w Pamiętnikach Paska«, p. Zygm. Glogera »O potrzebie słownika imion własnych«, mającego na celu zinwentaryzowanie nazw miejscowości, oraz łąk, pól, bagien, wzgórz, borów, uroczysk, rzek, strumieni, grodzisk, kurhanów i t. p., przyczem zaznaczyć należy, że sam prelegent ma już zebranych 80 tysięcy kartek z nazwami, p. K. Chmielewskiego »Istota i zadanie krajoznawstwa«, p. W. Wróblewskiego »O pracach krajoznawczych Filaretów«, p. L. Włodka »O koloniach polskich w Paranie«, d-ra L. Sawickiego »Krajoznawstwo a geografia« i »Tatry, jako jednostka krajoznawcza«, p. Kaz. Stołyhwy »O badaniach w grocie na Kadzielni pod Kielcami«, p. K. Hoffmana »Humań i Zofijówka«, przyczem nie od rzeczy będzie nadmienić, że w dziesięciu zebraniach naukowych wzięło udział 1763 osób, z czego minimalna cyfra przedstawia się w 128, maksymalna w 280 uczestnikach.

Komisya wydawnicza zajmowała się wydaniem dwu większych prac zbiorowych, a mianowicie: »Metodyki wycieczek krajoznawczych« oraz »Przewodnika po Częstochowie«. Wydanie gotowego już do druku »Przewodnika po Kamieńcu« p. M. Prusiewicza z przedmową prof. A. Jabłonowskiego odroczono do r. b. ze względu na wydatki związane z tem kosztownem wydawnictwem.

Komisya muzealna miała sporo pracy z porządkowaniem zbiorów, dzielących się na dwie części: szkolną i krajoznawczą. Szkolna obejmuje okazy z zoologii, botaniki mineralogii i geologii w liczbie ogólnej 1512 numerów oraz 4790 przeźroczy i sześć latarń. Dział krajoznawczy zawiera 380 okazów, z geologii 196, etnografii 141, archeologii 43 i z numizmatyki 67. Liczba zwiedzających zbiory muzealne wynosiła 3073 osób. Biblioteka Tow. posiadała 1059 dzieł w 1556 tomach, przyczem w r. ubiegłym powiększył się o 251 dzieł w 351 tomach. — Komisya popularyzacyi krajoznawstwa odbyła 22 posiedzeń, na których przedstawiono 39 prac. — Komisya wycieczkowa urządziła 17 wycieczek, w których wzięło udział 1883 osób. — Wreszcie komisya Łysogórska ustaliła plan badań Łysej Góry. — Ze sprawozdania kasowego dowiadujemy się, że dochody dosięgły sumy 11757 rb., wydatki 11208 rb. — Rozwój oddziałów prowincyonalnych był zapewniony, a przeważnie wcale dobry zwłaszcza na punkcie posiedzeń naukowych.

Czy nie czas pomyśleć i nam w Galicyi o pokrewnej instytucyi! Co prawda mamy akademicki klub turystyczny we Lwowie. Ale on nie ma bynajmniej na widoku badań naukowych, a bodaj tylko po-

pularyzatorskich, skoro jest stowarzyszeniem wyłącznie sportowem. Z czasów uniwersyteckich pamiętam kółko krajoznawcze w »Czytelni akademickiej« lwowskiej. Ono jednakowoż, z powodów nie nadających się do dyskusyi publicznej, wcale krajoznawstwa w ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie miało na celu. I jak to smutne, że młodzież nasza, nawet szkół średnich, wie więcej z nauki książkowej o Saharze i Polinezyi, niżby powinna wiedzieć z autopsyi o ziemi, co ją wydała. Czy nie wskazanem byłoby zaprowadzenie nauki krajoznawstwa w szkołach średnich?...

* * *

Bez *Kasy pomocy im. d-ra J. Mianowskiego* niepodobna sobie wprost wyobrazić ruchu naukowego w Król. Polskiem, skoro wiadomo powszechnie, iż w wyjątkowych tylko wypadkach podejmują się nasi księgarze wydania prac ściśle naukowych. Powodów tego smutnego objawu jest aż nadto wiele, ale nie miejsce ani pora tutaj mówić o nich.

Pomimo niezaprzeczalnej ważności placówki, zajmowanej przez Kasę, liczba jej członków utrzymuje się niemal na jednakim poziomie od kilku lat. I tak: członków założycieli liczyła Kasa 88, honorowych 158, rzeczywistych zaś 572 zaledwo! Jakżeż chromałoby tutaj porównanie z lwowskiem »Tow. dla popierania nauki polskiej«?!...

Siłą Kasy są wszelako fundusze, jakich nam tutaj w Galicyi brak. Ale o nich za chwilę dopiero. Wystarczy nadmienić, że w r. ub. podań o zapomogi i pożyczki złożono 123, z tej liczby zaś załatwiono przychylnie 57, odpowiedź odmowną udzielono 66. — Z pomiędzy zapomóg na cele i badania naukowe wymieniamy tylko następujące: p. Łucyanowi Boettcherowi rb. 150 na prace matematyczne, p. J. Joteykównie na prace w zakresie fizyologii doświadczalnej rb. 250, p. J. K. Kochanowskiemu na studya socyologiczne rb. 250, p. W. Kozłowskiemu na prace filozoficzne rb. 150, p. K. Krzeczkowskiemu na ukończenie pracy p. n. »Historya stosunków poddańczych i uwłaszczenie włościan w W. Ks. Krakowskiem« rb. 600, d-rowi F. Malinowskiemu na badania z zakresu syfilidologii rb. 300, p. J. Matuszewskiemu na studya literackie rb. 600, p. St. Michalskiemu na studya nad sanskrytem rb. 360, pp. Radziwiłłowiczowi i Orłowskiemu na opracowanie terminologii psychologicznej polskiej rb. 200, d-rowi L. Rutkowskiemu na prace antropologiczne rb. 150, p. J. Turowi na prace

geologiczne rb. 450, wreszcie p. K. Wroczyńskiemu na ukończenie pracy p. n. »Dante w Polsce« rb. 500. Ogółem na cele i badania naukowe wypłacono w r. ub. rb. 10945.

Z pomiędzy zapomóg na wydawnictwa naukowe wymienimy następujące: prof. d-rowi Sz. Askenazemu rb. [redacted] na wydanie »Polski w dobie wojny siedmioletniej« Wł. Konopczyńskiego, rb. 410 p. Wł. Biegańskiemu na wydanie pracy p. t. »Traktat o poznaniu i prawdzie«, rb. 500 na wydanie pracy p. W. Sierpińskiego p. t. »Teorya liczb niewymiernych«, p. A. Jabłonowskiemu na wydawanie *Przeglądu historycznego* rb. 600, p. J. Kucharzewskiemu na wydanie studyum o Maurycym Mochnackim rb. 400, p. H. Radziszewskiemu na wydanie książki p. t. »Skarb i organizacya władz skarbowych Księstwa Warszawskiego« rb. 900, d-rowi Wł. Weryho na wydawanie *Przeglądu filozoficznego* rb. 720, p. Z. Weybergowi na edycyę »Mapy geologicznej ziem polskich i krajów przyleglych« rb. 1300, prof. T. Wierzbowskiemu na wydanie »Sumaryusza ksiąg z czasów Zygmunta Starego« rb. 2900, ks. L. Zaleskiemu na wydanie pracy »Sztuka rymotwórcza Dmochowskiego« rb. 360, wreszcie na ogłoszenie XX-go tomu *Pamiętnika fizyograficznego* rb. 2000. Ogółem uwzględniono w części lub w całości podań 23 na 66 złożonych, oraz wypłacono rb. 13744.

Z zapisów i funduszów specyalnych przyznano lub wypłacono już w r. ub. następujące zapomogi: z zapisu Fr. Czajczyńskiego: p. K. Rzętkowskiemu na badania w zakresie chemii fizyologicznej rb. 130, p. K. Szokalskiemu na studya lekarskie rb. 300; — z zapisu im. E. Dziewulskiego — rb. 400 p. J. M. Kraszowskiemu na prace w dziedzinie astronomii, rb. 450 p. St. Poniatowskiemu na prace antropologiczne, oraz na takież prace rb. 250 p. K. Stołyhwie; — z zapisu M. Lewickiego rb. 497 p. E. Abramowskiemu na wydanie pracy p. t. »Badania doświadczalne nad pamięcią«; — nagrody z zapisu J. Natansona przyznano pp. J. Braunowi za pracę z dziedziny nauk ścisłych i p. M. Handelsmanowi za pracę z zakresu nauk humanistycznych, obie po 2470 rb. — z funduszu im. A. Pawińskiego wypłacono po raz czwarty nagrodę p. A. Jabłonowskiemu za pracę »Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym« tom VI, część 1; — z zapisu Z. Pileckiego wypłacono p. K. Applowi za pracę p. n. »Język i społeczeństwo« rb. 150, p. H. Mościckiemu za »Wilno i Warszawa w Dziadach Mickiewicza« rb. 300 i p. H. Radziszewskiemu za

»Skarb i organ. władz skarb. w Kr. Pol.« tom II, rb. 450; — z ofiary wychowańców b. Szkoły Głównej wypłacono rb. 800 na wydawnictwo »Słownika języka polskiego« pp. Kryńskiemu i Niedźwieckiemu; — z zapisu J. Sierakowskiej rb. 150 p. L. Krzywickiemu na poszukiwania w grodziskach żmudzkich, rb. 150 p. K. Stołyhwie na studya biblioteczne i muzealne w Wiedniu i Pradze w zakresie antropologii.

Ogółem wypłacono w r. ub. na cele i badania naukowe rb. 13.400, na wydawnictwa naukowe rb. 19.142, na zapomogi dla osób, które już poprzednio dały się poznać z prac naukowych rb. 7227.

Majątek Kasy przekroczył już sumę 600.000 rb.!...

* * *

Warszawskie Tow. lekarskie skupiło w swojem łonie nieproporcyonalnie małą liczbę członków w stosnnku do ogółu lekarzy-Polaków Królestwa, Litwy i Rusi, bo tylko 368, z czego należałoby jeszcze odliczyć trzydziestn kilku, jako niezamieszkałych na terytoryum ziem wymienionych. Pomimo to rozwój jego finansowy można nazwać bez przesady wprost świetnym. Niechaj o tem zaświadczy cyfr kilka. Otóż — bilans zeszłoroczny zamknięto w rubryce dochodów cyfrą 488.396 rb., w czem — po odtrąceniu rozmaitych funduszów o specyalnem przeznaczeniu — własny majątek Tow. wynosił 146.096 rubli. Nagrody konkursowe przyznano pracom następującym: d-ra A. Januszkiewicza »O wpływie alkoholu na funkcye nerek«, profesora d-ra St. Orłowskiego »Choroby rdzenia kręgowego«, d-ra F. Malinowskiego »Choroby weneryczne. I. Syfilis« i d-ra Gryglewicza »Przyczyny dyzenteryi i surowica przeciwdyzenteryczna«. — Biblioteka wzrosła z 27709 tomów na 28096. — Publikacyą naukową Tow. był *Pamiętnik*, na którego treść złożyły się w r. ub. prace następujące: Fr. Gedroycia »Źródła biograficzno-bibliograficzne do dziejów medycyny w dawnej Polsce«, A. Januszkiewicza (patrz wyżej), Cz. Otto »Arteryoskleroza u zwierząt i jej stosunek do arteryosklerozy ludzkiej«, J. Pawińskiego »Profesor Ignacy Baranowski«, K. Rzętkowskiego »O żywieniu chorych w szpitalach warszawskich« i Wł. Sterlinga »O zaburzeniach psychicznych przy nowotworach mózgu«. Wydawnictwo to pochłonęło sumę 1746 rubli.

Trzeci rok istnienia *T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie* zaznaczył się wcale pomyślnymi rezultatami pod każdym względem. Już w sprawozdaniu za rok 1908 zaznaczono, iż palącą dla Tow. potrzebą jest

sprawa pozyskania nowego lokalu, gdyż dotychczasowy stał się zbyt szczupłym wobec napływających darów i z powodu oddalenia od środka miasta niedogodnym. Dzięki hojności p. H. Łęskiego wybrnięto z nieszczęśliwego położenia: uzyskano mianowicie w [redacted] domu bezinteresownie kompletnie urządzony lokal na kancelaryę, oraz gotowiznę w wysokości 20200 rb. na budowę własnego gmachu dla dogodnego umieszczenia zbiorów. Członków liczyło Tow. następujące kategorye: 9 honorowych, 7 protektorów, 10 korespondentów, 10 dożywotnich i 280 zwyczajnych. — Praca ściśle naukowa streszczała się w gromadzeniu materyałów do t. III *Rocznika*, oraz w przedkładaniu referatów naukowych. Rozpraw przedłożono ośm, a to: bar. G. Manteuffla »Monografia o Birżach litewskich«, d-ra Czarkowskiego »Notatkę bibliograficzną o drukach najciekawszych, stanowiących własność T-wa«, p. M. Römera »O instruktarzu ekonomicznym dóbr Abelskich z r. 1781«, p. Z. Hryniewicza »Teorya elektronów, jako rezultat badań nad radem«, p. M. Birżyszki »Zarys historyi rozwoju literatury litewskiej«, p. M. Römera »Z badań nad stanem ekonomicznym trzech wsi litewskich«, p. K. Stołyhwy »Przyczynek do badań antropologicznych z demonstr. osteoforu«, wreszcie ks. J. Dunin-Kozickiego »Góra Zamkowa wileńska a tajemnica Bakszty«.— Poszukiwań naukowych, jakie miały miejsce n. p. w pierwszym roku istnienia, Tow. nie prowadziło z powodu braku środków. Z tejże przyczyny ograniczyć musiano wydawnictwa do jednego trzeciego tomu *Rocznika*. Również nie sposób było rozpocząć jakichkolwiek robót około podtrzymania ruin zamku Trockiego.

Na rzecz tworzącej się biblioteki otrzymało T-wo w r. ub. prawie dwa razy tyle dzieł, co w ciągu dwu lat poprzednich razem wziętych, a mianowicie 13.659 wobec 7220. Z tej liczby skatalogowano dzieł 2213 w 3592 tomach, tak, że do uporządkowania pozostało na r. b. 12794 dzieł w 20.054 tomów. — Na rzecz archiwum T-wa złożono 45 fascykułów, z pomiędzy których specyalnej uwagi godzien zbiór przeszło 500 listów, pisanych przez lub do Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego [są tu m. in. listy Stanisława Augusta (5), J. Chreptowicza (22), Poczobutta-Odlanickiego (8), ks. metropolity Stanisława Bohusz-Siestrzeńcewicza (16)], oraz ks. Puzyrewskiego 17 tomów »Miscellaneów« z XVIII wieku. — Dział muzealny powiększył się w r. ub. o 6745 przedmiotów, przybyło mianowicie do działów: archeologii przedhistorycznej 1572 przedmiotów, numizmatyki 2387, medali 119, kultu religij-

nego 37, sfragistyki 5, etnografii 111, historyczno-obyczajowego 971' artystycznego 615, przyrodniczego 713 i *varia* 71.

Dochody Tow. wynosiły 1801·75 rb. (w tem wkładki członków 1365 rb.). Pozostało na r. b. 158·88 rb. Bilans T-wa w dniu 1 stycznia 1910 r. zamknięto cyfrą 2331 rb. w stanie czynnym.

* * *

Kijów może słusznie chlubić się dwiema instytucyami, starającemi się według sił i możności zadośćuczynić potrzebom inteligencyi naszej. Jedną z nich, mającą charakter ogólny, to *Ogniwo*, którego zadaniem zrzeszenie życia kulturalnego, literackiego i towarzyskiego wśród Polonii kijowskiej. W lokalu jego mieści się też polski klub przemysłowo-techniczny oraz towarzystwo miłośników sceny. *Ogniwo* liczyło członków 326. Dochody wynosiły 23.917 rubli; pozostałość kasowa 22.351 rubli.

Polskie Towarzystwo lekarskie istnieje urzędowo od r. 1907. Członków liczy obecnie 74, z tych wszyscy, z wyjątkiem kilku, zamieszkali są w Kijowie. Posiedzenia naukowe odbywały się dość często, protokoły zaś z nich podawał stale krakowski *Przegląd lekarski*. Biblioteka, którą zawiaduje p. A Modrzewski, znajduje się dopiero w stadyum rozwoju początkowego. — Z funduszów specyalnych posiada Tow. 15.400 rubli na rzecz budowy szpitala dla biednych oraz 1200 rb. na zapomogi dla wdów i sierot po lekarzach. Na czele Tow. stoi znany uczony dr. K. Rumszewicz.

* * *

O *Polskim Uniwersytecie Powszechnym w Petersburgu* mogę powiedzieć słów parę z autopsyi. Wyłania się on jako sekcya autonomiczna z rosyjskiego Uniw. Lud., dzięki zapobiegliwości niestrudzonego prof. St. Ptaszyckiego, przy czynnym współudziale jenerała Babiańskiego, oraz profesorowej Romualdy Boudouin de Courtenay. Członkowie sekcyi polskiej płacą po 1 rb. do kasy własnej, po 2 rb. zaś do kasy ogólnej. W zamian zaś za to sekcya może korzystać z rozmaitych zapomóg kasy ogólnej. Wszelako sekcya polska ma do walczenia z przeszkodami natury administracyjnej. Rozwój sekcyi bowiem tamuje ogromnie zakaz wykładów programowych, któremu Rosyanie, nie podlegają. Również dotkliwie odczuwa się brak pracowników zdolnych do organizowania odczytów i wykładów. Cyfrowo działalność sekcyi polskiej przedstawia się następująco: ogółem wygłoszono od-

czytów w r. 1907 — 10, 1908 — 29, 1909 — tylko 5. Na odczyty te uczęszczało osób 20—200. Treścią odczytów były zagadnienia z zakresu historyi i literatury polskiej przedewszystkiem, poza tem uwzględniono hygienę, socyologię, prawo, ludo- i językoznawstwo nauki przyrodnicze i pedagogikę. Z pomiędzy prelegentów wymienimy: prof. J. Boudouina de Courtenay, prof. Merczynga, prof. d-ra J. Ziemackiego, prof. St. Ptaszyckiego, mecenasa B. Kutyłowskiego, wreszcie z zamiejscowych pp.: M. Szukiewicza i p. M. Römera. Ponadto urządzono wieczory artystyczne: Grottgerowski i Matejkowski.

W. Ks. Poznańskie. *Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskie* dokonało w ciągu lat dwu ostatnich kilku doniosłych reform w swojem łonie, z których najważniejszą jest wskrzeszenie wydziału prawniczo-ekonomicznego za inicyatywą ks. dr. Zimmermana. Wydział ten umiał od razu zainteresować naszych uczonych i, stojąc pod przewodnictwem ks. szambelana Wawrzyniaka, zapowiada wielką żywotność. Jeżeli zaś nie wszystkie wydziały pracowały z równą wydatnością, to stało się z przyczyny odbywającego się w społeczeństwie polskiem w Poznańskiem przełomu wewnętrznego, który nakładał na najdzielniejsze umysły obowiązek wytężonej pracy w innym kierunku, jak na polu literackiem lub naukowem. Rozgrywała się kwestya bytu ekonomicznego. Społeczeństwo zrozumiało doskonale swoje położenie i zabrało się energicznie do umiejętnej pracy na polu ekonomicznem i socyalnem Ta okoliczność tłumaczy dostatecznie, dlaczego w latach ostatnich niejeden dzielny umysł, innej, żywotniejszej na razie i dla społeczeństwa pożyteczniejszej oddany pracy, stał zdala od prac naukowych Tow. P. N.

Najżywszą działalnością odznaczał się wydział historyczno-literacki. Z pośród rozpraw, czytanych na posiedzeniach, wymieniamy: d-ra B. Erzepkiego »O herbie Leszczyc i jego pochodzeniu«, d-ra Zielewicza »O czasach studenckich Karola Marcinkowskiego«, ks. K. Kantaka o »Kronice Bernardynów poznańskich«, d-ra St. Karwowskiego »Długoszowi biskupi poznańscy wobec krytyki«, d-ra Fr. Chłapowskiego »O istocie antropologii i etnografii«. — Na wydziale prawniczo-ekonomicznym mówili między innymi: ks. Wawrzyniak »O rozgatunkowaniu spółek«, dr. Mizerski »Pogląd na judykaturę sądu Rzeszy w sprawach patronatu kościelnego«, dr. W. Celichowski »Życie i działalność Józefa Supińskiego«, ks. dr. K. Zimmermann »O uregulowaniu prawnem umów taryfowych«, wreszcie dr. Świniarski »O zapisach

w księgach kościelnych«. — Na wydziale lekarskim mówił dr. Fr. Chłapowski o lekarzu XVI w. Anzelmie Ephorinusie, p. Gantkowski »Zakopane pod względem leczniczym«, dr. Karwowski »O nowoczesnej Roentgenoterapii«, wreszcie p. Gantkowski »O poznańskiej miejskiej stacyi dla alkoholików«. — Wydział przyrodników i techników otrzymał wspaniałe kollekcye od p Maryi z Skirmunttów Twardowskiej (flora litewska), od ś. p. M. Łomnickiego kawałek skóry mamuta i nosorożca podkarpackiego (z kopalń wosku w Staruni), wreszcie drogą wymiany 5 pudeł z motylami krajowymi od komisyi fizyograficznej Akad. Umiej. krakowskiej. Z pośród odczytów wymieniam: p. St. Hedingera »Postępy w wyzyskiwaniu siły wiatru na cele przemysłowe«, p. St. Rzepeckiego »O najnowszych zastosowaniach elektryczności«, i p. Suchowiaka »O rozwoju żeglugi powietrznej«.

Drugie na całym obszarze ziem polskich pod zaborem pruskim *Towarzystwo naukowe* w Toruniu postępowało w swoim rozwoju wcale pięknie, o czem poświadczą najlepiej cyfry, których nie omieszkał mnie udzielić złożony chorobą ks. Stan. Kujot, twórca, a zarazem po dziś dzień najtroskliwszy opiekun tej szanownej instytucyi. — Członków liczyło Tow. z końcem r. ub. 582 a na tę pokaźną cyfrę przypada 527 z samych tylko Prus Zachodnich (polskich). — Stan finansowy przy skromnych wydatkach pomyślny, wykazuje w dochodach 4315 mk., w rozchodach 3282 mk. — Stosunkowo do tak skromnych zasobów finansowych, ogłoszono drukiem sporo cennych materyałów i opracowań, a mianowicie: *Fontes* tom XIII, *Rocznik* tom XVI, oraz kilka zeszytów *Zapisków*, przeznaczonych wyłącznie na ogłaszanie prac drobnych, pochodzących li tylko z Prus Zachodnich. Dobrze też stało się, że w n-rze 6—7 podano wcale wyczerpujący i ułatwiający pogląd na całość przewodnik po zbiorach Tow. naukowego. — Na ogół biorąc, zainteresowanie sprawami Tow. jest na prowincyi wystarczające. Brak tylko cokolwiek współpracowników, a najwięcej daje odczuwać się brak odpowiedniego pomieszczenia dla zbiorów.

Niepodobna wreszcie pominąć milczeniem *Zjednoczenia kobiecych towarzystw oświatowych*, z którego sprawozdania, złożonego na pierwszym zjeździe, okazuje się, iż po zaledwie jednorocznej działalności instytucya ta rozwija się znakomicie pod wszelkimi względami. Do »Zjednoczenia« należy bowiem 12 stowarzyszeń z ogólną liczbą członków 1237. Organ związku rozchodził się w 1400 egzemplarzach. Stowarzyszenia kobiece w Poznańskiem stoją na gruncie narodowym

i religijnym, a zadaniem ich jest zachęcanie kobiet do czynnego udziału w ruchu oświatowym i społecznym o barwie wybitnie narodowej. Charakter ich określają najlepiej tematy odczytów, wygłoszonych w r. ub., pomiędzy którymi napotykamy ogólno-kształcące, jak: »Dobry przykład wobec dzieci«, »O wychowaniu w rodzinie«, »O ważności kształcenia własnego charakteru«, »Hygiena w wychowaniu«, »O właściwem zadaniu kobiety«, »Stanowisko kobiety przed Chrystusem«, »Życie w rodzinie«, żeby nie przedłużać tego spisu, bo on i tak wymownie świadczy o dążnościach stowarzyszenia, które wierne hasłu Pola — »bo z ich to piersi płynie trucizna, którą wrogowie się trują«. — Tam w Poznańskiem dopiero mogliby się najdowodniej przekonać rozmaici teoretycy »wolności sumienia«, jaka siła leży w religii praojców naszych... A wówczas może sami przeraziliby się czynów swoich, zmierzających do wydarcia wiary z serc maluczkich, kiedy za mało im widocznie dowodów z historyi, które niezbicie świadczą, iż Polska bez wiary Chrystusowej nie jest do pomyślenia...

Śląsk

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie, dała im lwie i gołębie serca, dała szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów. Ale nie był to jeszcze koniec darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: Oto na domiar wszystkiego daję wam spiż, dźwięczny i niepożyty, taki z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swoim bohaterom, daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą! I wstała ta mowa, niepożyta, jak spiż, świetna i drogocenna, jak złoto, — jedna z najwspanialszych na świecie — i tak piękna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać. Z biegiem stuleci liczni mistrze słowa uczynili ze spiżu ramię harfy, a ze złota nawiązali na niej strun, a wówczas poczęła śpiewać ta harfa polska — dawną chwałę, dawne boje, dawną wiarę, dawne życie. Czasem huczała, jako grzmot w górach, czasem z jeremiaszowym jękiem unosiła się nad równinami, czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad szarą roztoką pól błogosławiąca i błogosławiona, czysta, jak łza, — Boża, jak modlitwa, — słodka, jak miłość. Językowi temu, najbogatszemu dźwiękowo z pomiędzy licznej rodziny języków indo-europejskich — wypowiedzieli potomkowie wiarołomnych rycerzy krzyżowych wojnę

dopóty, dopóki nie zgłuchnie dźwięk mowy polskiej, jak zgłuchły echa Słowian nadsprewskich.

W chwili nowego Grunwaldu, w chwili funduszów Roseggerowskich, pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na zapomniane przez społeczeństwo nasze *Polskie Tow. Pedagogiczne* w Cieszynie.

Denuncyowane najniecniej przez »Landlehrervereiny«, cieszące się jawnemi szykanami władz politycznych P. T. P., a niemniej przez organy gadzinowe śląsko-pruskie, musiało Tow. stracić sporo czasu i pracy celem samoobrony, na czem — naturalnie — ucierpiała wydatność pracy ściśle pedagogicznej.

Stan liczebny Tow. przedstawia się następująco: w r. 1908/9 wstąpiło do Tow. 47 członków, tak, że ogólna ich liczba wynosi 450, a mianowicie: 1 honorowy, 371 zwyczajnych i 78 nadzwyczajnych.

Obraz ruchu naukowego był wcale dobry. W kółku jabłonkowskiem odbyto 4 konferencye pedagogiczne, 3 lekcye praktyczne, referatów wygłoszono 5; — w kółku cieszyńskiem: konferencyi 4, lekcyi 2, referatów 4; — w Błędowicach Dolnych: konferencyi 6, lekcyi 5, referatów 12, pogadanek pedagogicznych 4, odczytów publicznych 6; — we Frysztacie: konferencyi 4, lekcyi 3, referatów 4; — w Boguminie: konferencyi 4, lekcyi 3, referatów 4; — w Dziedzicach: konferencyi 6, lekcyi 4, referatów 4, wreszcie w Ustroniu: konferencyi 4, lekcyi prakt. 3, referaty 4, t. j. r a z e m: konferencyi 32, lekcyi 23, referatów 37, pogadanek pedagogicznych 4 i odczytów publicznych 6. — Jak władze autonomiczne dbały o Tow., tego najwymowniejszym dowodem wprost humorystyczna subwencya sejmu śląskiego w kwocie kor. 200 z wyraźnem przeznaczeniem na zakupno n i e m i e c k i c h dzieł pedagogicznych dla biblioteki Tow.

Co się tyczy pracy wydawniczej Tow., na wszelkie uznanie zasługuje redakcya *Miesięcznika pedagogicznego*, który dzięki jej zabiegom zyskuje coraz więcej współpracowników i odznacza się urozmaiceniem treści. Staraniem Tow. wyjdzie też niebawem mapa ścienna Śląska austr. Kobera, przystosowana do użytku w szkołach polskich przez prof. Fr. P o p i o ł k a, oraz tłumaczenie polskie najważniejszych ustaw szkolnych.

* * *

Polskie Tow. *Beskid* w Cieszynie, jako wcale niedawno powstałe, nie może wykazać się jeszcze wynikami swojej działalności, które oby były jak najlepsze! Stworzenie jego, jako przeciwwagi hakatystycznemu »Beskidenvereinowi«, należy powitać z najzupełniejszem uzna-

niem. Celem Tow. jest: umiejętne badanie Beskidów śląskich oraz ułatwianie zwiedzania ich, ochrona rzadszych gatunków zwierząt i roślin górskich, wreszcie popieranie przemysłu góralskiego. Z pomiędzy środków, służących do osiągnięcia zamierzonego celu, wymieniamy: urządzanie odczytów naukowych i wspólnych wycieczek a także wydawanie map i przewodników górskich oraz innych dzieł, służących do poznania przyrody górskiej.

Nowe stowarzyszenie zajmie się celowo i systematycznie turystyką na Śląsku, będzie organizować większe wycieczki, przez które rozszerzy się znajomość gór naszych.

Spodziewać się należy, iż Tow. Tatrzańskie nie odmówi udzielić członkom »Beskidu cieszyńskiego« tych praw, jakie przysługują członkom Tow. Tatrzańskiego, zwłaszcza, że początkowa działalność nowej instytucyi napotka niewątpliwie na trudności z rozmaitych stron, a przedewszystkiem ze strony prusofilskiego »Beskidenvereinu«. Skoro Tow. Tatrzańskie stać na utrzymywanie oddziału... Czarnohorskiego, o polskości którego chyba jest nader mało ludzi nie wątpiących, to już bezwarunkowo powinno ono podać dłoń pomocną młodej instytucyi śląskiej, tem więcej, że w gronie jej założycieli widzimy sporo osób bynajmniej poważnych, jak d-ra Parczewskiego, d-ra Seydę, d-ra Farnika, ks. Macoszka i ks. Londzina.

Gór naszych nadal Niemcom nie godzi się zostawiać, bo ci i tak już aż nadto splugawili je napisami, godnymi ekscellencyi w guście p. Eulenburga...

* * *

Szczupłość sił oraz położenie całej wagi na pracę oświatową nie mogły sprzyjać tworzeniu się liczniejszych stowarzyszeń. To też na całym Śląsku cieszyńskim mamy jedynie jedno jeszcze stowarzyszenie, powstałe siłą konieczności badania kultury polskiej w tej prastarej dzielnicy Piastowej. Wyrosłe ze skromnych początków cieszyńskie *Towarzystwo ludoznawcze,* pomimo szczupłych środków materyalnych, jakimi rozporządza, rozwija się z roku na rok stale i widocznie. Licząc zaledwie około 60-ciu członków, może słusznie pochlubić się kwartalnikiem literackim *Zaranie śląskie,* w którem osobny dział poświęcony jest etnografii ze szczególnem uwzględnieniem melodyi ludowych. Również zbiory muzealne wzrastają stale. Zmarły w r. ub. kościelny cieszyński, Teodor Bulik, zapisał Tow. testamentem bardzo cenny zbiór, składający się z 13-tu staroświeckich mebli inkrustowa-

nych, kilku zegarów kurantowych, kilkunastu obrazów olejnych z rozmaitych epok, dzbanków i talerzy staroślaskich, wreszcie kilkuset sztuk starej porcelany i szkła. Skoro tylko znajdzie się odpowiedni lokal, muzeum zostanie uporządkowane i otwarte dla użytku publicznego. Główną przeszkodę w wydatniejszym rozwoju Tow. widzimy w braku wystarczających środków materyalnych, sejm opawski bowiem udzielił zaledwie 200 koron subwencyi z wyraźnem ich przeznaczeniem na utrzymanie muzeum. Subwencya ta świadczy najzupełniej o całkowitej nieznajomości potrzeb kulturalnych ludności polskiej na Śląsku. Bo chyba za 200 koron nie tylko o konserwacyi należytej okazów muzealnych mowy być nie może, ale choćby tylko o opłacie za lokal najskromniejszy! Cóż czynić wszelako, skoro p. poseł Kożdoń nie uważa się za Polaka śląskiego, jeno za Ślązaka?...

* * *

Z pomiędzy stowarzyszeń, działających na obczyźnie, godnem uwzględnienia jest jedynie *Związek polski lekarzy i przyrodników* w Petersburgu. W skład jego wchodziły trzy sekcye: lekarska, przyrodnicza i założona w r. ub. farmaceutyczna. Pierwsza z nich liczyła 132 członków, druga 137, trzecia 18. Poza tem należało do Związku 11 lekarzy-dentystów i 18 członków-korespondentów. Wydział przyrodniczy miał w r. ub. dwa odczyty: p. St. Czarneckiego »O budowie geologicznej Zagłębia Dąbrowskiego« oraz prof. Leonarda Jaczewskiego »O źródłach mineralnych typu Narzan«. Na wydziale farmaceutycznym wygłosił p. Chrzanowski dwa referaty p. t. »Prawodawstwo aptekarskie w Rosyi od czasu założenia pierwszych aptek w r. 1701 do dnia dzisiejszego« i »Krytyka ustawy farmaceutycznej, oddanej obecnie pod rozważanie Rady medycznej«. Całkowity dochód *Związku* wynosił 990 rb., pozostałość kasowa rb. 379. Biblioteka, będąca dopiero w zaczątku, została w r. ub. uporządkowana.

Dr. St. Zdziarski.

Wśród młodocianych katolickich rękodzielników i robotników za granicą.

(Ciąg dalszy).

4. Prusy.

Berlin. Od r. 1906 w Niemczech na polu katolickiej pracy społecznej nastąpiło pewne rozdwojenie. Obok systemu M. Gladbachskiego powstał nowy t. zw. Berliński, który ma centralę dla katolickich stowarzyszeń robotniczych w Berlinie przy ul. Kaiserstrasse 37. Co do urządzeń, naśladownictwo M. Gladbachu. Przy systemie berlińskim jest też rodzaj centrali dla stowarzyszeń katolickiej młodzieży. System berliński wyklucza ze stowarzyszeń młodocianych wszelki rodzaj patronaży a wszędzie jest zaprowadzony samorząd, który polega na tem, iż proboszcz jest prezesem honorowym. Właściwym prezesem musi być zawsze kapłan, którego mianuje proboszcz. Resztę urzędników, jak wiceprezesi, sekretarz i t. p. mianuje częściowo sam zwyczajny prezes, częściowo walne zgromadzenie, ale w taki sposób, że prezes może jakiegoś wyboru nie zatwierdzić i wtedy muszą przystąpić do powtórnego wyboru. Pojedyncze stowarzyszenia łączą się w związki dyecezyalne lub prowincyonalne.

W samym Berlinie i okolicy jest katolickich stowarzyszeń młodocianych 25, a członków przeciętnie 6 tysięcy. W całych Niemczech systemu Berlińskiego jest zorganizowanych około 100.000. Wkładki miesięczne wynoszą 20 f., z tego 5 f. idzie do centrali berlińskiej. Mają też swój własny dwutygodnik: *Die Kommenden.*

Zwiedziłem jedno takie stowarzyszenie młodocianych w Berlinie przy ulicy Nord-West-Oldenburgerstrasse 47. Stowarzyszenie prowadzą OO. Dominikanie. Założycielem był w 1895 O. Bernard, Dominikanin. Obecnie prowadzi je O. Ulrich Kaiser. Członków jest około 180. Z młodocianymi zorganizowało się przeszło 30 gimnazyastów. Na szczególną uwagę zasługuje to, że mają — co prawie wszędzie zaczynają już wprowadzć — tak zwaną »Kasę wspierającą«. Zorganizowani płacą 5 f. tygodniowo i z tej kasy otrzymują zapomogę w czasie choroby, podróży i bezrobocia. Mają też kasę oszczędności. Co miesiąc przedstawienie teatralne, football, klub gimnastyczny, muzyka własna i t. d. Na tę modłę są urządzone wszystkie stowarzyszenia młodzieży systemu berlińskiego.

Podobną pracą w Berlinie zajmują się też OO. Franciszkanie.

Przy tej sposobności warto podać statystykę zorganizowanej młodzieży katolickiej wszystkich odcieni w całych Niemczech. Katolickie stowarzyszenia młodzieży męskiej są objęte dyecezyą i na czele mają dyecezyalnego prezesa, jako kierownika dyecezyalnego związku. W każdej dyecezyi stowarzyszenia łączą się w związki okręgowe. Wszystkie związki dyecezyalne tworzą centralny związek naczelny, którym kieruje Komitet centralny, składający się z prezesów dyecezyalnych. Generalny sekretaryat Związku znajduje się w Düsseldorfie przy Stiftsplatz 10.

Liczba zorganizowanych stowarzyszeń według ostatniego obliczenia (1909 r.), wynosi 1615 stowarzyszeń a członków 200.000, z których 30% członków ma powyżej lat 18-tu. A gdy się jeszcze dołączy do tego kilkaset stowarzyszeń burszów i kilkaset stowarzyszeń, które nie należą do centrali, to będziemy mieli według ostatniego sprawozdania 2850 stowarzyszeń a przeciętnie 300.000 członków męskiej młodzieży. Organa zrzeszenia katolickiej młodzieży w Niemczech są następujące: 1. dla prezesów: *Korrespondenzblatt für Jugendpräsides;* jest to miesięcznik i wychodzi w Düsseldorfie nakładem generalnego sekretaryatu, ul. Stiftsplatz 10a. 2. *Der Jugendverein,* poradnik dla przewodniczących, wychodzi co miesiąc nakładem generalnego sekretaryatu w Düsseldorfie. 3. Dla członków Związku młodzieży: *a) Der Leitstern,* wychodzi w Moguncyi, *b) Der treue Kamerad* w Monachium, *c) Die Wacht* w M. Gladbachu, Sandstrasse. *d) Jungland* w M. Gladbachu, *e) Die Kommenden,* Berlin.

Ogarniając całość pracy nad młodzieżą rękodzielniczą i robotniczą w krajach niemieckich, możemy wyciągnąć niektóre stałe wnioski i zasady ich działalności.

Najpierw coraz większe zrozumienie, że trzeba w pracy nad młodzieżą kłaść główny nacisk na wychowanie religijne i gruntowną pobożność chrześcijańską, stąd nowo wydane w ostatnich czasach statuty i regulaminy powiększają coraz więcej liczbę Spowiedzi i Komunii św.

Wszędzie w pracy nad młodocianymi do istotnych warunków stowarzyszenia należy ta zasada, że na czele organizacyi młodocianych rękodzielników i robotników zawsze ma stać kapłan katolicki, naznaczony przez władzę duchowną.

Prawie wszyscy obecni działacze na tem polu są przeciwni pa-

tronażom a zwolennikami samorządu młodzieży. Stąd nowe stowarzyszenia są oparte na współudziale młodocianych w rządach, a starają się nawet patronaże dziewcząt przekształcać na stowarzyszenia oparte na samorządzie.

Kwestya internatów czyli burs terminatorskich, nie jest jeszcze rozstrzygnięta, ale niemal wszyscy się na to godzą, że bursy to *malum necessarium:* są tylko wskazane z konieczności i z przyczyn oportunistycznych i to pod następującymi warunkami: a) by bursiści znajdowali się w niewielkiej liczbie, najwięcej 50, b) by u nich kwitła silna karność i ustawiczna czujność, c) żeby przy bursie koniecznie było stowarzyszenie z samorządem także i dla eksternistów, d) by na czele katolickich internatów stał zawsze o ile możności kapłan katolicki.

Wszyscy coraz bardziej oświadczają się za wprowadzaniem systemu angielskiego, t. j., by w stowarzyszeniach młodocianych, opartych na samorządzie, nie było więcej członków nad 100. Gdy się tę liczbę przekroczy, należy tworzyć nowe stowarzyszenie lub filię.

Mieć własne domy związkowe uważa się za kwestyę życiową rozwoju pracy. Jeśli nie można mieć własnego domu, to przynajmniej mieć wynajęty, ale tak, by był do całkowitej dyspozycyi członków stowarzyszenia.

Starać się trzeba, by nad każdem stowarzyszeniem były utworzone komitety lub rady, lub komisye opiekuńcze, złożone z obywateli i pracodawców a mające na celu niesienie pomocy materyalnej i duchowej stowarzyszeniom młodocianych.

5 Czechy.

Praga. *Johanneum.* Jest to internat założony 1888 r. przez hr. Sylwę Taroucca dla biednych terminatorów i gimnazyalistów. Dom ten jest na ul. Salmovska 8. Obecnie terminatorów jest przeciętnie 120, a gimnazyalistów przeciętnie 80, ale nie mają oni ze sobą żadnej styczności. Miesięcznie płacą 20 k. Gospodarstwem zajmują się ludzie świeccy i gospodyni. Urządzenia nędzne. Wszędzie pełno brudów. Dyrektorem jest ksiądz Jan Władysław Vlk. Na czele internatu stoi komitet złożony z bogatych osobistości praskich pod protektoratem rodziny hr. Taroucca. Przy internacie niema stowarzyszenia dla eksternistów.

Jest też w Pradze na ul. Nowodworska 2 patronaż pod wezwaniem Matki Boskiej Dobrego Pasterza. Patronaż założył hr. Schönborn 1898 r. Patronatem opiekuje się osobny komitet, złożony z arystokracyi praskiej pod protektoratem arcyksiężny Maryi Józefy. Obecnie

duszą i dyrektorem patronażu jest ks. kanonik Zygmunt Ledóchowski. Wszystkich członków około 60—70. Urządzenia patronatu, jak szkoła wieczorna, biuro wywiadowcze, sala teatralna, kaplica, wspaniały ogród i t. p. mieszczą się w zabudowaniach, należących do jednego z magnatów praskich. Przy patronacie jest też pracownia rzeźbiarsko-stolarska, w której terminują niektórzy wychowankowie patronatu. Mają też swe pismo w języku czeskim i niemieckim *Patronat der Jugend,* rodzaj *Sendbote.* Wychodzi co miesiąc. Redagowane jest słabo. Do Komunii św. miesięcznej zachęcają, obowiązkowa jest raz na rok i kontroluje się ją zapomocą kartek.

Jest jeszcze kilkanaście stowarzyszeń, przeważnie niemieckich, systemu Orela i kilka systemu Kunschaka. Zresztą działalność katolicka zwłaszcza czeska na polu pracy nad młodzieżą rękodzielniczą i robotniczą jest na nizkim stopniu. Dopiero obecnie ruch poczyna się w tym kierunku, ale bardzo słaby.

6. Belgia.

Bruksela. Badając kwestyę terminatorów i młodocianych robotników w Belgii, trzeba było najpierw rozpatrzyć się w całej sytuacyi i sposobie pracy na niwie społecznej w Belgii, gdyż osobny to jest świat, nieco różny od sposobu myślenia, zapatrywania się i działalności, jaką się widzi u nas lub w Niemczech.

Praca nad terminatorami powstała bardzo wcześnie, nawet wyprzedziła Niemcy, bo w Brukseli już w 1855 roku założony został pierwszy patronaż św. Jana Ewangelisty, który obecnie mieści się na ul. rue de Flandre 155. Ale co do działalności w całej Belgii praca ta nie wyzwoliła się z przestarzałej formy patronaży i niema nadziei, przynajmniej na razie, by nastąpiła zmiana, bo obecni kierownicy pracy są przeważnie przekonani, że ta forma jest najlepsza. Więc co do formy działalności od 1855—1910 r. prawie nic się nie zmieniło w Belgii. Za to co do liczby patronaży i ich urządzeń jest ogromny postęp.

Internatów czyli burs terminatorskich zupełnie prawie niema w Belgii, bo niema potrzeby. Ludność miejska czy wiejska w ogólności zamożna, więc rodzice i opiekunowie sami utrzymują swe dzieci w chłopięcych, a jeśli potrzeba i młodzieńczych latach, stąd majstrowie i kierownicy po fabrykach i pracowniach zawodowych prawie nigdy nie biorą na siebie obowiązków wychowania lub utrzymania domowego. Wskutek tego kwestya burs rękodzielniczych w Belgii, można powiedzieć, jest wprost niezrozumiałą.

Szkoły zawodowe rękodzielnicze są dzienne i wieczorne. Tylko nieco inaczej trzeba je rozumieć, niż u nas. Z opisu jednej lub drugiej takiej szkoły można mieć pojęcie o ustroju szkół belgijskich.

Ponieważ w całej Belgii jest wolność szkół, t. j., że szkoły prywatne i rządowe mają te same prawa ogólno-państwowe, stąd najwięcej szkół jest w rękach prywatnych. To samo z wykształceniem zawodowem. Na przykład dwie wyższe szkoły handlowe, najliczniejsze w Belgii, prowadzą OO. Jezuici: jedna w Antwerpii, do której uczęszcza przeszło 700 handlowców, druga w Leodium, jeszcze większa, bo licząca około 900. Przy tych szkołach Jezuici mają niewielkie internaty na 40 lub 50 handlowców.

Szkoły zawodowo-rzemieślnicze, jedne z najliczniejszych, prowadzą OO. Jezuici. I tak w Brukseli założycielem szkoły jest Jezuita O. Van Langermeersch, który założył ją przed kilku laty wśród największych trudności; dziś szkoła ta należy do najsłynniejszych szkół zawodowo-rzemieślniczych całej Belgii.

Szkoła ta dzieli się na dzienną i wieczorną. Do dziennej szkoły uczęszcza przeciętnie około 100 i ci płacą mniej więcej 10 fr. miesięcznie, do wieczornej przeszło 400 i jest za darmo.

Następujące są tam działy: ślusarski, mechaniczny, elektryczny, pokojowo stolarski, tapicerski. Nadto wyższe kursa dla starszych aż do lat 45: jak wyższy kurs mechaniczno-kolejowy, szoferski i obecni założony wyższy kurs awiatyki. Wyższe kursa są przeważnie tylko dzienne. Z wieczornych szkół wychodzą czeladnicy, z dziennych i wyższych kursów profesorowie szkół zawodowych i kierownicy pracowni i fabryk.

Obecnie OO. Jezuici widząc, że stara szkoła okazała się za szczupłą z powodu coraz liczniejszego napływu terminatorów i ludzi starszych na wyższe kursa, wybudowali nową szkołę, do której będzie mogło uczęszczać nie jak przedtem 400, ale przeszło 1000 terminatorów. Szkoła ta mieści się na ulicy d'Allemagne 151. Pracownie odpowiednich działów zawodowych, sale wykładowe, rysunkowe, gabinet fizyczny, sale konferencyjne, są urządzone według wszelkich nowych wymagań i ulepszeń belgijskich. Cały personal nauczycieli i administracyjny to ludzie świeccy i płatni. Jezuici zatrzymują tylko kierownictwo ogólne i duchowo-religijne.

Na czele tej szkoły stoi komitet złożony z osobistości brukselskich, tak z panów, jak z pań, pod kierownictwem OO. Jezuitów. Ko-

mitet ten rządzi i stara się o utrzymanie szkoły. Pytanie, skąd czerpią się fundusze na utrzymanie takiej szkoły? Rząd na nią daje zaledwie 20 tysięcy franków, resztę, kilkadziesiąt tysięcy, dostarcza dobroczynność prywatna katolików belgijskich, która w Belgii jest wprost zdumiewającą.

Podobną szkołę mają OO. Jezuici w Leodium, tylko prowadzoną jeszcze na większą skalę. Podobnych szkół obecnie jest wiele w Belgii jużto w rękach rządowych, jużto w rękach katolików, jużto w rękach masońsko-socyalno-liberalnych.

(Dok. nast.)

Ks. M. Kuznowicz.

Druk ukończono 15 grudnia 1910.

ZBRODNIE NA JASNEJ GÓRZE.

Po kraju całym rozległa się ponura wieść: Jasnogóra zbezczeszczona!

W chwili gdy te słowa piszemy, klasztor częstochowski opasany jest kordonem wojska rosyjskiego i ścisłemu poddany śledztwu. Krew się ścina na myśl, że w sanktuaryum Polski przedstawicielem prawa i sumienia jest w tej chwili prawosławny żołdak, a ci, których powołaniem było to sanktuaryum własnem życiem uświęcać, są pod pręgierzem opinii.

Straszną była wiadomość przed rokiem, że znalazł się zbrodniarz, który śmiał targnąć się na święty obraz jasnogórski. To jednak, co dni ostatnie odkryły, ten piekielny korowód ohyd, na tem świętem miejscu szalejący, ten przechodzi wszelkie pojęcie, tamuje oddech i słowo. Otwiera się przed nogami jakaś bezdenna przepaść, wobec której mroczy się umysł i głowa.

Kapłan, zakonnik, który miał być stróżem świętości, zaprzysiężonym sługą Królowej Korony Polskiej, był, jak się okazuje, ohydnym zbrodniarzem. Rozpusta, pospolita kradzież, wyrafinowane świętokradztwo, fałszerstwo, bratobójstwo — oto, co się kryło pod białym habitem, w którym cały naród widział relikwię Kordeckiego. Wszystkie te zbrodnie spowiły się w jakichś fantastycznie potwornych kształtach, a ujawniły się takim doborem środków i okoliczności, że najśmielsze kryminalistyczne powieści blednieją. Nie trzeba żadnych dodatków ni powiększań, by zaalarmować

opinię całego świata. Przyłącza się jeszcze to, że opinia łączy z temi zbrodniami także przeszłoroczne ograbienie świętego obrazu. Całe ówczesne zdrętwienie narodu, wszystkie ekspiacye całego kraju, wraz z koronacyą, w której pośredni udział brał sam papież, wszystko to, jak mściwy piorun sprawiedliwości bożej zawisło nad nieszczęsnym dachem jasnogórskiego klasztoru.

I pomyśleć, że to wszystko dziać się miało w Częstochowie, u stóp cudownego obrazu, w najbliższem i wybranem jego otoczeniu — w *sancta sanctorum* Polski! Wie się o tem, a jeszcze trudno uwierzyć.

Dotkliwe są ciosy, godzące w Kościół od wrogów zewnętrznych, podobnemu jednak ciosowi, jak obecny, żadne najstraszniejsze prześladowania wrogów zewnętrznych nie dorównają. Pomijając już to, że tryumf szatana i jego potomstwa roznosić się będzie długo po całym świecie, najboleśniejszym tej zbrodni wynikiem jest zachwianie wiary w słabych sercach. Z kapłaństwem związała Opatrzność nierozerwalnie losy wiary, cóż stanie się z wiarą, jeżeli zaufanie do kapłana zniknie?

Wiemy o tem dobrze, że Kościół stoi na opoce, której nic nie naruszy, ani nawet niewierność najbliższych. Istotę Kościoła stanowi nieśmiertelny Boży pierwiastek, wyższy i silniejszy nad wszelki ferment i rozkład ułomności ludzkiej. Stąd, choć w historyi Kościoła były chwile bardzo ciemne, ze wszystkich przygód i słabości wychodził on zwycięsko, tem bardziej odnowiony i odrodzony, im cięższe były rany i dolegliwsze choroby. Jeżeli minęły bez szkody dla Kościoła takie epoki, w których sam tron papieski był toczony czerwem, jeżeli Kościół ze zwiększoną siłą wyszedł z takiej doby, jaką była epoka reformacyi, to i epizod jasnogórski pozostanie tylko epizodem. O tem wszystkiem dobrze wiemy. Niemniej pozostajemy pod grozą zbrodni i nie łudzimy się na chwilę, że przyniesie ona nieobliczone szkody.

Cóż więc począć?

Groza ta, a zwłaszcza pierwsze jej wrażenie, pod którem pozostajemy, jest takie, że nie stać nas w tej chwili na szczegółowe omówienie planu działania, któryby z tych manowców wy-

prowadzić mógł na drogę prostą. Niemniej, pewne ogólne myśli nasuwają się mimowoli.

Pierwsza myśl jest ta, że świętość Jasnogóry musi być na przyszłość, wedle ludzkiej możności, zapewnioną. Tego domaga się cały naród i tego ma prawo domagać się. Niech to kosztuje, co chce, niech to będzie osiągnięte tym czy tamtym sposobem, ale to osiągnięte być musi. W szczegóły wchodzić nie możemy, bo te należą do władz duchownych, ale to ogólne żądanie, to jest uprawniony głos całej Polski. Teraz nie pomogą już żadne półśrodki, teraz musi przyjść krok stanowczy. Potworność zbrodni i całe jej tło jest takie, że wszelki półśrodek zostawiłby w oczach Boga i w oczach ludzi plamę niezmytej ohydy. Nadto, oglądać się trzeba na przyszłość. Broń Boże, ale gdyby tak po jakimś czasie drugi, choćby nie tak okropny, wypadek zaszedł. Co wtedy? Dziś jeszcze silna ręka, nie licząca się z żadnym względem ludzkim, zdoła naprawić zło i jego głębsze przyczyny; czyby to udało się później, nie wiadomo. A potem, w czasach tak wrogich wierze, ani chwili jednej nie wolno wystawiać na szwank tak dostojnego miejsca jak Jasnogóra.

To jedno. Druga myśl jest ogólniejszej natury. Jasnogóra jest własnością całej Polski, ale dziś należy szczególniej do Polski rosyjskiej i jej warunkom podlega. Że te warunki nie sprzyjają sprawie katolickiej, tak samo jak nie sprzyjają polskości, to każdy wie. Najsmutniejsze to, że usunięcie całego szeregu tych wrogich warunków nie leży w możności ani Kościoła ani społeczeństwa. Z tem, niestety, liczyć się trzeba i tem niejedno sobie tłumaczyć, choć, oczywiście, trudno tłumaczyć wszystko. Tłumaczymy w ten sposób sobie wiele, niemniej jednak z boleścią za innymi powtórzyć musimy, że praca obyczajowo-religijna, — przy najpiękniejszych wzorach tej pracy, jakich inne dzielnice pozazdrościć mogą, — leży odłogiem na niejednem polu tamtej dzielnicy. Jakżeż byłoby możliwem, by bandytyzm święcił takie orgie i tak potrafił się rozpowszechnić, gdyby napotkał na opór sumień ludności. Jakżeż w normalnych warunkach mógłby taki maryawityzm powstać, i takie korzenie zapuścić? Zbrodnie jasnogórskie są dalszym ciągiem tego anormalnego stanu.

Ten anormalny stan, nie wykluczający oczywiście winy osobistej, płynie z całego systemu biurokracyi rosyjskiej, systemu, który wszędzie, gdzie może, kładzie zapory rozwojowi polskości i katolicyzmu — ale płynie także, i to najważniejsze, z wpływów ducha rosyjskiego na duszę polską. Od kilku lat, w społeczeństwie naszem zakordonowem zauważyć się daje, w całym szeregu dziedzin, nowy objaw, który nazwalibyśmy zmoskwiceniem duszy polskiej. Chodzi tu przedewszystkiem, o najistotniejszy rys rusycyzmu, jakim jest nihilizm etyczny. Ten nihilizm wszczepiony mimowiednie, w młodości przez lata szkolne, przez zetknięcie i wpływy w późniejszem życiu, wytwarza w odmiennej od siebie, naturalnie etycznej duszy polskiej, wprost anormalną konstrukcyę psychiczną. Powstaje typ nihilisty etycznego, dużo nawet gorszy, o wiele jaskrawszy od swego pierwowzoru. Ostatnie lata pełne były tego rodzaju objawów i okazów. Jakie potworne, naprzykład, typy wykazuje bandytyzm w Królestwie; jakie jaskrawe momenty przedstawiał feminizm w Warszawie; jakim dziwolągiem ideowym jest cały maryawityzm! Czy taki Niemojewski potrafiłby tak rzucać się na katolicyzm, gdyby nie nosił w duszy zarazków moskwicyzmu? Nawet w literaturze tamtejszej wyżłobił ten prąd dość pokaźne koryto. Pierwszym etapem tej literatury są »Płomienie« Brzozowskiego, zohydzające wszystko, co polskie, a ostatnim są Żeromskiego »Dzieje grzechu«. Wszyscy ci ludzie, gotowi rąbać się za taką charakterystykę, mimo to, każdy z nich jest mówiącym po polsku typem nihilisty moskiewskiego.

I takim typem jest ten Paulin — morderca. Pewne szczegóły zbrodni są tak ohydne, że żaden najgorszy ale szczery Polak nie potrafiłby się ich dopuścić.

Przed wszystkimi czynnikami społecznymi tamtej dzielnicy staje tu otworem ogromne pole do pracy. Grom jasnogórskiej zbrodni ma wszystkie dane po temu, by czujną obudzić uwagę i pobudzić do energicznej samoobrony polskiej duszy, która była i jest *naturaliter christiana.*

I jeszcze jedna myśl. Zbrodnia zakonnika wkłada na zakony obowiązek wytężenia wszystkich sił, ażeby ideał zakonnego życia zajaśniał na polskiej ziemi w całej pełni. Wypadek jasnogórski

zaostrzył sytuacyę niepomiernie. Niezależnie nawet od tego epizodu, sytuacya zakonów jest dziś bardzo krytyczna. Idące z Zachodu echa walki religijnej, zaczynającej się zawsze od prześladowania zakonów, nie pozostają i u nas bez skutku. Raz po raz spotkać się można z głosami, bardzo niechętnymi dla zakonów, tam nawet, gdzie niema do tego słusznej podstawy. Cóż dopiero, gdy zarzuty mają pozory słuszności, cóż, gdy są tak słuszne, jak w obecnym wypadku? Tego rodzaju opinie zwykły róść, a w dalszym ciągu nie pozostają bez rezultatów. Obowiązek zatem zakonów, by wyrównać w społeczeństwie długi takie jak jasnogórski, powinien od dziś szczególniej leżeć na sercu.

Na koniec jedna krzepiąca myśl. Obecny grom jasnogórski jest tak strasznem uderzeniem w serce całego narodu, że musi wywołać zdrową reakcyę. Z głosów opinii czuć, że zanosi się w społeczeństwie na postanowienie stanowcze, które musi przynieść owoce. Nie tylko ufać ale i pewność mieć można, że grom ten będzie początkiem uzdrowienia etyczno-religijnego nie tylko na Jasnogórze ale i indziej.

Ks. Jan Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

ZBRODNIE NA JASNEJ GÓRZE. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.* . . . . . 1*—5*

WIECE I KONGRESY W OSTATNICH MIESIĄCACH. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 1

PIĘĆSĘTLECIE KRAKOWSKIEJ KONGREGACYI KUPIECKIEJ. Przez *ks. Jarosława Rejowicza T. J.* . . 15

KATOLICYZM ELEUZYŃSKI. (Dok.) Przez *ks. J. Urbana T. J.* 29 190 375

Z PÓŁNOCNYCH KRESÓW POLSZCZYZNY. Przez *d-ra Romana Zawilińskiego:*

I. Z Mazowsza pruskiego. II. Na Mazurskiem Pojezierzu 46

III. W przejeździe przez Warmią. IV. Nad Zatoką pucką. V. W Szwajcaryi kaszubskiej 214

ECHA PODZIEMNE. Szkic literacki. Przez *d-ra Stanisława Zdziarskiego* 62

BITWA. Iliady pieśń V. (Dok.) Przez *Lucyana Rydla* . 86

ODŻYDZENIE POSTĘPU. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 157

JASNEJ GÓRY STRAŻ. Przez *Krystynę Saryusz-Zaleską* 171

ESTETYKA T. LIPPS'A. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.*:

I. Stanowisko psychologiczne estetyki 174

II. Wczuwanie się wogólności 395

»CIVITAS DEI« W EPOCE KAROLA WIELKIEGO. (C. d.) Teorye kościelno-państwowe św. Augustyna i pisarzy wczesnego średniowiecza. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 229

WOBEC WALKI PRZECIW FAKULTETOM TEOLOGICZNYM: CZY TEOLOGIA JEST UMIEJĘTNOŚCIĄ? Przez *ks. M. Sieniatyckiego* 309

SPRAWA NASZYCH WYCHODŹCÓW I ROBOTNIKÓW SEZONOWYCH NA KONFERENCYI BUDAPESZTEŃSKIEJ. Przez *d ra Leopolda Caro* 325

»WIRY« SIENKIEWICZA. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 348

OBERAMMERGAU W R. 1910. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 358

POEZYE. Kościół opuszczony. Z królewskich pól. Z cyklu Miasto. Przez *Krystynę Saryusz-Zaleską* . . 372

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z NOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH. (⁂) 92
RZECZ O »RÓŻY« JÓZEFA KATERLI. Garść uwag. *(Adam Stodor)* . . . 249
WYSPIAŃSKI, CECHY I ELEMENTY JEGO TWÓRCZOŚCI. Adam Grzymała Siedlecki. *(M. Ruszczyńska)* 265
KRÓLOWA JADWIGA. Napisał Lucyan Rydel. *(Nałęcz)* 413
DZIEŁA JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Pierwsze krytyczne wydanie zbiorowe pod redakcyą d-ra Bronisława Gubrynowicza i d-ra Wiktora Hahna. Tom I—X. *(Dr. St. Zdziarski)* 417

Z piśmiennictw obcych.

DIE EHE AM AUSGANGE DES MITTELALTERS. Eine kirchen- u. kulturhistorische Studie. Von Dr. Franz Falk. *(Ks. J. Roth T. J.)* . . . 109
GESCHICHTE DER ÖSTERREICHISCHEN REVOLUTION IM ZUSAMMENHANGE MIT DER MITTELEUROPÄISCHEN BEWEGUNG DER JAHRE 1848—1849. J. A. Helfert. I. Bd. *(Ks. K. Konopka T. J.)* . . . 111
DIE WELT ALS TAT. Umrisse einer Weltansicht auf naturwissenschaftlicher Grundlage. Von Dr. J. Reinke, Prof. der Botanik an der Universität Kiel. 5 Aufl. *(J. Hahn)* 114
HISTOIRE DE L'INQUISITION EN FRANCE. T. I. Les origines de l'inquisition. Th. de Cauzons. *(Ks. Józef Sawicki T. J.)* 270
1. HANDBUCH ZUR BIBLISCHEN GESCHICHTE. Dr. I. Schuster und Dr. J. B. Holzammer. 2 Bd. — 2. ST. AUGUSTINS SCHRIFT DE CONSENSU EVANGELISTARUM. — 3. DIE INSPIRATIONSLEHRE DES HL. HIERONYMUS. Von Dr. Ludwig Schade. — 4. EVANGELIUM GATIANUM. Edidit J. M. Heer. — 5. DAS BUCH DES PROPHETEN SOPHONIAS, erklärt von Dr. Joseph Lippl. *(Ks. Jan Korzonkiewicz)* 273
DIE GESCHICHTE DER SCHOLASTISCHEN METHODE. Nach den gedruckten und ungedruckten Quellen dargestellt von Dr. Martin Grabmann. I Band: Die scholastische Methode von ihren ersten Anfängen in der Väterliteratur bis zum Beginn des XII. Jahrh. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 421
DER JUNGE DE SPINOZA. Leben und Werdegang im Lichte der Weltphilosophie. Von Stanisl. von Dunin-Borkowski S. J. *(Ks. Fryderyk Klimke T. J.)* 424
LA DIÈTE DE GALICIE. LES TENDENCES AUTONOMIQUES. Dr. G. Bienaimé. *(Dr. St. Zdziarski)* 426
STUDIJI Z POLA SUSPILNYCH NAUK I STATYSTYKI, wydaje statystyczna komisija Naukowoho Towarystwa im. Szewczenka. Tom I. Pid redakcijeju M. Hruszewśkoho. *(K. R.)* 429

Zapiski bibliograficzne.

URZĄDZENIA POLITYCZNE SZWAJCARYI. Michał Wyrostek. *(B.)* . . . 118
SYONIZM. Teodor Jeske-Choiński. *(A.)* 118
MOJA WOJACZKA 1825—1831. Z notatek, szkiców i wspomnień Jerzego Reczyńskiego ułożył Władysław Chodźkiewicz. *(B.)* 119
PATRYOTYZM A SOCYALIZM. Res. Biblioteczka popularna »Życia«. *(B.)* 119

Str.

MEDITATIONES DE PRAECIPUIS FIDEI NOSTRAE MYSTERIIS. Ven. P. Ludovici de Ponte S. J. De Hispanico in Latinum translatae a Melchiore Trevinio S. J. de novo in lucem datae cura Augustini Lehmkuhl S. J. Editio altera recognita. *(M. H.)* 119
ZAPYSKI NAUKOWOHO TOWARYSTWA IMENY SZEWCZENKA. Tom LXXXVII. *(F. R.)* 120
JULIUSZ SŁOWACKI. W sześćdziesiątą rocznicę zgonu poety. Dr. Wiktor Hahn. *(B. K.)* 120
NELLA SANTA RUSSIA. Giusto Buttognoni. *(X. X.)* 279
KONTRAPUNKT, kanony, waryacye i fuga. Wykład praktyczny. Napisał Zygmunt Noskowski. *(A. Ch.)* 280
KIRCHENGESCHICHTLICHE APOLOGIE. Sammlung kirchengeschichtlicher Kritiken, Texte und Quellen auf apologetischer Grundlage. Herausgegeben von Dr. Theodor Deimel. *(J. U.)* 281
DIE MUSIK SKANDINAVIENS. Walter Niemann. *(Dr. A. Ch.)* 282
EDUARD GRIEG. Biographie und Würdigung seiner Werke. Gerhard Schjelderup u. Walter Niemann. *(Dr. A. Ch.)* 282
PRZENAJŚWIĘTSZY SAKRAMENT. O. Fr. W. Faber. Tłum. z angielsk. A. Dziewicka. *(K. K.)* 430
TEKA GRONA KONSERWATORÓW GALICYI ZACHODNIEJ. T. III. *(K. K.)* 431
POLSKA MYŚL MESYANICZNA Przez A. Baumfelda. *(J. U.)* 431
JULIUSZ SŁOWACKI W ŚWIETLE SWOICH PISM RELIGIJNYCH. Przez ks. d-ra J. Ciemniewskiego *(Ks. J. U.)* 432
ARCYDZIEŁO JULIUSZA SŁOWACKIEGO: KRÓL-DUCH. Przez M. Mosoczową (Koliskównę). *(J. U.)* 432
RELIGIJNOŚĆ JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Ks. J. Makłowicz. *(J. U.)* . . 433
WSPOMNIENIA Z POWSTANIA STYCZNIOWEGO I SYBIRSKIEJ KATORGI. 1863—1869. Leonard Mężyński, majster ciesielski. *(J. U.)* . . . 433
ŻALEJKA. Janka Kupały. *(Ks. J. U.)* 434
KIRCHENMUSIKAKISCHES JAHRBUCH. 22. Jahrgang. *(Dr. A. Ch.)* . . 434
COMPENDIUM DER KATHOLISCHEN KIRCHENMUSIK. Von Dr. A. Möhler und Repetent O. Gauss. *(Dr. A. Ch.)* 435

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK

SPRAWY KOŚCIOŁA. Ostatnie rozporządzenia papieskie. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 121
WYSTAWA W KRAKOWIE. Przez *Franciszka Kleina* 127
PRZEGLĄD MUZYCZNY. Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* 132
NOTATKI ASTRONOMICZNE. Przez *ks. Józefa Sawickiego T. J.* 135
STOWARZYSZENIA NAUKOWO-LITERACKIE W R. 1909. (Ciąg dalszy) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 144

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Dzień 20 września w Rzymie. — Raj w Portugalii. — Z obozu katolickiego w Niemczech. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 283

Str.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909. (C. d.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 289

Wśród młodocianych katolickich rękodzielników i robotników za granicą. Przez *ks. M. Kuznowicza T. J.* 297

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła. 20-ty kongres katolików włoskich w Modenie. — Z okazyi dorocznego wiecu katolików węgierskich. — Ostatnie zajścia na Uniwersytecie krak. Przez *ks. A. Starkera T. J.* . . 436

Przegląd artystyczny. Wystawy krakowskie. — Powszechna wystawa sztuki we Lwowie. Przez *Franciszka Kleina* 445

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909. Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 454

Wśród młodocianych katolickich rękodzielników i robotników za granicą. (C. d.) Przez *ks. M. Kuznowicza T. J.* . . . 471

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.